



Elizabeth Noble

NASZE SPRAWY

Prawdziwym, choć ukrytym tematem rozważań dyskusyjnego klubu czytelniczego są jego członkowie.

Margaret Atwood

19.15

Clare przyjrzała się młodej kobiecie, którą minęła na szpitalnym korytarzu. Zdecydowanie był to jej pierwszy raz, bo na poblądłej twarzy widniała panika i podekscytowanie. Szła wolno, przygarbiona, na ugiętych nogach, ciągnęła za sobą kropłówkę, szurając stopami w dziewczęcych kapciach; kupionych zapewne specjalnie na tę okazję. Jej spojrzenie mówiło: „Pomóż mi. Kiedy to wszystko się skończy? Kiedy ono się wreszcie urodzi?”. Prawdopodobnie miała rozwarcie na pół cala - najpierw przypuszczalnie usiłowała uśmierzyć ból domowymi sposobami, potem zadzwoniła po matkę i po raz kolejny przepakowała torbę z nieprawdopodobnie maleńkimi białymi śpioszками, rękawiczkami i czapeczkami w kształcie kapтурka na jajka.

Dwuskrzydłowe drzwi zamknęły się i otworzyły. Do kobiety podszedł duży, ciemnowłosy mężczyzna, wziął ją za rękę i objął ramieniem. Prowadził ją z wielką ostrożnością. Był jeszcze bledszy niż ona. Typ X, pomyślała Clare. Ci sobie zawsze dobrze radzą. Typ Y z trudem powstrzymywał się od płaczu podczas podawania znieczulenia zewnątrzoponowego. O ileż szczęśliwsi czuli się ojcowie w zeszłym stuleciu, gdy samotnie przemierzali szpitalne korytarze z zatkniętym za ucho cygarem. Clare wołała typ Y.

Elliot przypuszczalnie był typem X. A może hybrydą: igrekiem udającym iksa. Tacy zachowywali się dobrze, dopóki nie zaczęło się dziać coś przerażającego. Kogo chciała oszukać? Nie miała pojęcia, jakim Elliot okaże się typem. To już zresztą nieważne.

Dziewczyna jęknęła i zgięła się wpół. Clare odpowiedziała na pytające spojrzenie mężczyzny. Nigdy nie była obojętna. Interesowała ją każda historia, każde życie zaczynające się w tych ścianach. Być może kiedyś się to zmieni.

- Poczekaj, pomogę ci. Jak masz na imię?

- Lynne.

- W porządku, Lynne. Chodźmy z powrotem do pokoju. Musisz chyba trochę odpocząć. Kto się tobą opiekuje?

W drzwiach pojawiła się pielęgniarzka.

- Przepraszam. Już jestem. Trzymaj się, Lynne. Zajmę się nią, Clare. Skończyłaś dyżur, prawda?

- Tak.

- No to dobranoc.

- Cześć.

Dziś wieczorem, chwała Bogu, miała powód, żeby nie zostawać w domu i nie rozmawiać z Elliotem. Prawdopodobnie znowu wyjdzie, zanim on wróci z college'u, gdy zaś położy się obok niego do łóżka, będzie już spał.

A ta dziewczyna, Lynne, będzie trzymała w ramionach swoje dziecko.

19.20

Jak zawsze o tej porze Harriet wspinała się po schodach, trzymając oburącz przelewającą się stertę skarpetek nie od pary, zmiętych swetrów, porzuconych zabawek - urobek całego dnia. Na dole jak zwykle zostały jeszcze kubki, plastikowe naczynia wydobyte spod łóżek, zaczytane gazety i lepkie od syropu łyżeczki. Podobnie na górze. Mimo wszystko, powtarzała sobie z kwaśnym uśmiechem, różnorodność ubarwia życie. Cha, cha, cha. Upojne życie domowe przypominało jej *Dzień Świstaka*, obejrzany kiedyś głupi film, w którym pewien facet był zmuszony przeżywać bez końca jeden i ten sam dzień i nie miał szans na zdobycie ukochanej, ponieważ nie mógł zmienić biegu wydarzeń. Cokolwiek wyżej na kulturalnej drabinie znajdował się ten facet z mitologii - Syfi... Syzyf chyba? Skazany przez bogów za jakieś przewinienie na pchanie ogromnego głazu pod górę po to tylko, żeby potem patrzeć, jak spada, i tak bez końca. Pchanie głazu pod górę przynajmniej szybko rozwiązałoby kwestię wałków tłuszczu na biodrach, pomyślała Harriet. Zamiatanie podłogi w kuchni cztery razy dziennie, trzykrotne ładowanie pralki i odpowiadanie na czterdzieści dwa pytania, dlaczego nie ma już dinozaurów i jak duże robiłyby kupki, gdyby żyły, nie zmieniło zbyt wiele.

Na piętrze po raz pierwszy od szóstej rano zapanowała cisza. Harriet weszła do sypialni za głosem Tima; siedział na kanapie pod oknem. Jego dręczyciele pozwolili mu zdjąć buty i marynarkę oraz poluzować krawat. Dzieci, czyste i wilgotne po kąpieli, wtulone w niego słuchały bajki. Tim czytał powoli, używając każdej postaci innego głosu, czasami żywo gestykułował. Harriet poczuła wyrzuty sumienia. Sama na ogół wybierała najkrótszą historyjkę i czytała ją jak najszybciej. Mimo wszystkich wysiłków, jakie podejmowała, aby zmieniać sposób mówienia, jej dzieci zapewne żyły w przekonaniu, że wszystkie postaci literackie należą do klasy średniej i mieszkają w południowej Anglii. To jednak było prostsze: przyjść wieczorem, kiedy gile, łyzy i sos pomidorowy zostały wytarte z twarzy, a bitwa o szczoteczki do zębów i wściekle wrzucanie zabawek do dwóch małych szafek zakończone, prawda? Łatwo wynagrodzić żywiołowe powitanie ciepłem, czułością i czytaniem bajek w stylu słuchowiska radiowego. Dzieci wyładowały całą energię w ciągu długiego dnia, a Harriet ją wchłonęła. Teraz nie były już w wojowniczym nastroju, lecz łagodne i zaspane. Ona za to znajdowała się w stanie katatonii.

Harriet zatrzymała się w progu, nie chcąc psuć idealnego obrazka, jaki tworzyli. Jakoś nie pasowała do tego kręgu pełnego miłości. Cisnęła swój tobolek na zapasowe łóżko i poszła do łazienki. Zignorowała brudną obwódkę z piany wokół wanny i pastę do zębów wyciśniętą na kurek od umywalki. Bezskutecznie usiłowała przygładzić w lustrze potargane włosy, przypudrowała nos i brodę. Szybko przeciągnęła szminką

po górnej wardze, a potem dokładnie zacisnęła usta (nie dla niej system konturówka - szminka - błyszczak, zalecany przez pisma ilustrowane, z którymi stykała się raz na trzy miesiące u fryzjera).

W drzwiach pojawił się Tim z na wpół uśpioną Chloe na rękach.

- Powiedz „dobranocki, mamusiu”.

Z kciukiem mocno tkwiącym w buzi Chloe machnęła kubeczkim z ciepłym mlekiem w stronę Harriet.

- Dobranocki, śpij dobrze, kochanie - uśmiechnęła się Harriet.

Stojący za Timem Josh zapytał:

- Wychodzisz, mammo?

- Tak, skarbie. Tata się wami zaopiekuje. Mogę wrócić późno.

- Przytulisz mnie, jak wrócisz? Nawet jak będzie bardzo późno? Obiecujesz?

- Jasne, króliczku. Daj buziaczka na do widzenia.

Harriet odprowadziła syna do sypialni i patrzyła, jak wspina się do łóżeczka.

- Mammo, nie gaś światła. Tata obiecał, że przeczytamy jeszcze jeden rozdział *Harry'ego Pottera*, kiedy Chloe już będzie spała.

- Naprawdę? No proszę, dwie bajki naraz. Czy tata chce, żebym wyszła na beznadziejną mamę?

Powiedziała to półzartem. Nagle Tim stanął za nią.

- Nie mógłbym, nawet gdybym chciał.

Wszedł do pokoju i pocałował ją w policzek.

- A teraz, Josh, przypomnij mi, gdzie skończyliśmy.

I zagłębili się w lekturze. Tim podniósł głowę i mrugnął na pożegnanie, kiedy Harriet zamykała za sobą drzwi.

Harriet schodziła ciężko po schodach. To wszystko jest cholernie fantastyczne, pomyślała. Tyle że chyba już go nie Kocham. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek kochałam.

19.25

Nicole czuła się tak, jakby jakiś niewyobrażalny ciężar przygniatał jej klatkę piersiową, ściskając gardło i uniemożliwiając oddychanie. Doświadczała jednocześnie tak wielu uczuć: gniewu, poczucia krzywdy, frustracji, upokorzenia, a także bezbrzeżnej miłości. Jak zawsze działało to na nią otepiająco.

Przebrnęła przez cały dzień w stanie absolutnej obojętności, który opracowała do perfekcji. Odłożyła wszystko do zaryglowanej komórki w głowie i nie odważyła się do niej zbliżyć. Otworzyć ją i dać się ponieść emocjom oznaczałoby koniec normalnego funkcjonowania. Odcinając się od tego wszystkiego, stanowiła ideał samokontroli i praktyczności. Zawiozła buty do naprawy i brudną bieliznę do pralni, w piecyku dusiła się potrawka w rozmaitych ziołach, dzieci zajmowały się edukacyjnymi grami, Cecile, jej pomoc au pair, otrzymała wyczerpujące instrukcje.

Do tego Nicole wyglądała doskonale. Włosy, makijaż, figura, ubranie; wszystko było świetne, jak zawsze. Inne kobiety w chwilach kryzysu miały na głowie wronie gniazdo, Nicole układała włosy w idealne fale. Zdradzało ją jedynie bicie serca. Jak w opowiadaniu Edgara Allana Poe'go. Była pewna, że jeśli ktokolwiek ją obserwuje, uśmiechając się łagodnie, musi je słyszeć, jak bije coraz głośniejsze i głośniejsze, starając się wyrwać na zewnątrz.

Postawiła talerz z crostini na stoliku w holu i spojrzała w lustro. Na dole panowała cisza. Na piętrze Will, George i Martha leżeli pogrążeni w głębokim śnie, wyczerpani pływaniem i zabawą. Z najwyższego piętra, gdzie miała swój pokój Cecile, zza zamkniętych drzwi dobiegał miękki dźwięk muzyki i odgłosy ożywionej rozmowy po francusku. Prawdopodobnie plotkuje przez telefon (i kto to mówi) z inną przedstawicielką mafii au pair, opisując przygody minionego dnia lub planując następne. Dzisiaj au pair zostały przez cały dzień z dziećmi, wychodziły, kiedy rodzice wracali do domu. „Och, nie, pani Thomas, to się zaczyna, wie pani, dopiero o północy”. Wracały o czwartej rano po wypaleniu jakichś czterdziestu papierosów i po dwóch godzinach snu miały siłę o siódmej rano z uśmiechem układać płatki śniadaniowe w zwierzęce kształty, aby zachęcić niejadków. Sprawiało to czasami, że Nicole czuła się, jakby miała sto lat. Mimo to lubiła Cecile. Była taka bystra, nie trzeba jej było wszystkiego tłumaczyć. Nicole wierzyła także, że pozostawała rozsądnie nieczuła na wszelkie uroki roztaczane przez Gavina, co akurat doskonale jej odpowiadało.

Zesztywniała na dźwięk samochodu przed domem, czekając na zgrzyt klucza w zamku. Co ma powiedzieć? Wcześniej, pod prysznicem, wypróbowała rozmaite scenariusze, wyobrażając sobie, jak robią to inne kobiety. Mimo to na jego widok zrozumiała, że zachowa się jak zawsze. Stało się to jej przyzwyczajeniem, częścią ich wspólnego życia. Nigdy nie przypuszczała, że do tego dojdzie.

Boże, jaki on piękny. Te ogromne lśniące oczy. Kto by pomyślał, że nigdy nie zdradzają jego sekretów?

Uśmiechnął się, potem zauważył tacę z jedzeniem i to, że Nicole stoi w płaszczu i szaliku.

- Cześć, kochanie. Przepraszam za spóźnienie. Miałem okropny dzień. Co to takiego? Dokąd się wybierasz?

Nachylił się, żeby ją pocałować.

Nicole odsunęła się, tak że cmoknął powietrze.

- Będę u Susan, kochanie.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu z ciężkim sarkazmem. Tylko na tyle było ją stać. Na to i na wyzywające trzaśnięcie drzwiami. Szybko. Nie chciała, żeby zobaczył, jak taca z jedzeniem drży jej w rękach.

19.30

Pierścionek był cudowny. Całkiem spory, ale nie prostacki. Niektóre tak okropnie rzucały się w oczy, że ich właścicielki mogły równie dobrze nosić na lewej ręce odcisk platynowej karty kredytowej

swoich narzeczonych. Nowoczesna oprawa, ale nie tak modna, że będzie wyglądać śmiesznie za dziesięć lat (zakładając, że nadal będzie miała ochotę go nosić). Nawet kamień - rubin - pasował do niej idealnie. Dokładnie taki wybrałaby sama, gdyby ktoś ją zapytał. Co było raczej nieprawdopodobne, ponieważ zaręczyny spadły na nią jak grom z jasnego nieba. To żenujące, pomyślała Polly, gapić się na wystawy i zachwycać pierścionkiem za pięć tysięcy funtów, zastanawiając się cały czas, czy on przypadkiem nie patrzy na ten za pięćset. Czy jednak wybór właściwego pierścionka oznaczał, że to także właściwy facet? Czy to jakiś symbol? Czy po prostu świadczył o zmyśle obserwacyjnym - albo o niezłym guście? Czy może kogoś się poradził? Cressidy? Suze? Wydawało się jej to niemożliwe. To nie w stylu Jacka. Uprzedziłyby ją chyba, gdyby wiedziały, do czego zmierza. Chociaż pewnie jednak nie. Tak się nie robiło. Pierścionek wyglądał ładnie na palcu. Przekręciła ponownie rękę, oglądając kamień pod światło, potem zachichotała na widok swojego odbicia w lustrze toaletki. Zdjęła pierścionek, upchnęła między warstwami aksamitu, zatrzasnęła pudełeczko i wsunęła je z powrotem do szuflady z bielizną, pomiędzy wyjściowe i codzienne majtki.

Otworzyła szafę na ubrania w poszukiwaniu luźnego swetra, który, jak jej się wydawało, ostatnio tam wcisnęła.

Ach, ta moja schizofreniczna garderoba. Rzeczy po prawej stronie wisiały równiutko i porządnie. „Paralegalny szyk”, jak je nazywała. Spódnice do kolan i buty odpowiednie na rozprawy sądowe, zgodne z gustem partnerów kancelarii Smith, March i May. Po lewej stronie rozpościerała się instalacja Tracey Emin.

Jaką będzie panną młodą? Zawsze marzyła o czerwonej sukni z głębokim dekoltem. Chociaż z drugiej strony tak mogła się ubrać na pierwsze lepsze przyjęcie bożonarodzeniowe. Podczas gdy koronki nie pasowały do zbyt wielu okazji. Gdyby było chłodno, mogłaby włożyć białe koronki i jedną z tych bajecznych aksamitnych czapeczek. Czerwoną albo ciemnozieloną? I pantofle z koralikami.

Na litość boską, Polly - czy raczej Pollyanno - czy nie jesteś odrobinę za stara na takie marzenia? Czy nie powinnaś być już odrobinę mądrzejsza? Pierścionek i zaręczyny, a ty się od razu zachowujesz jak szesnastolatka.

- Mamo?

Polly chwyciła zjedzony przez mole sweter i naciągając go przez głowę, wyszła na półpiętro.

- Mamo? To dla mnie?

To był Daniel, zaróżowiony po treningu piłki nożnej, mierzący pięć stóp, spocony, pryszczaty, wygłodniały piętnastolatek, buszujący po domu w poszukiwaniu jedzenia.

- Tak, kochanie. Podgrzej w mikrofalówce, dwie minuty. Potem mamy ciasto z bakaliami i paszteciki.

Polly wsunęła głowę przez drzwi salonu. Jej córka Cressida siedziała jak zaczarowana, gapiąc się na *EastEnders*, obejmując ramionami kolana, z głową na poduszce.

- Cress, kochanie, będę u Susan, pamiętasz? Nie wrócę zbyt późno.

- No.

Urocze, pomyślała Polly. Dziewczyna się robi gburowata. Kogo ja chcę oszukać, u licha, marząc w sypialni o zaręczynach, kiedy tych dwoje tutaj przypomina mi co dzień, kim jestem, co robiłam i co mi nie wychodzi. Co powiedzieć? Tak? Nie? Czy wystarczy mu „może”?

19.35

Pięć minut później Cressida siedziała w łazience z mocno zaciśniętymi powiekami i usiłowała przeprosić Pana Boga. Nie wierzyła w Boga, ale co z tego? Uwierzy, jeśli tylko On sprawi, że wynik będzie negatywny.

Jak u diabła znalazła się w tak beznadziejnym położeniu?

Cressida najbardziej na świecie nienawidziła klisz i stereotypów. I oto ona, studentka kochająca swoje zajęcia i mogąca wybierać w wielu uczelniach, które otworzą przed nią tak wiele dróg, fascynujących przyjaźni i wolności, miała stać się postacią najbardziej stereotypową z możliwych, jak jakaś pieprzona bohaterka książek Catherine Cookson, złapana na gorącym uczynku i okryta hańbą. To nie mogło się zdarzyć. Po prostu nie mogło.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności. Jedna minuta. Ponownie przeczytała instrukcję. Ulotka była sformułowana oględnie, jakby jej autorzy brali pod uwagę dwa skrajne rodzaje ludzi przeprowadzających test. Niektórzy pragnęli pojawienia się niebieskiego paska bardziej niż czegokolwiek na świecie. Inni oddaliby nerkę w zamian za puste okienko. Cressida usiłowała wyobrazić sobie pragnienie pozytywnego wyniku, lecz było to zbyt trudne. Wszystko, ale to absolutnie wszystko, musiałyby się wtedy zmienić. Ona sama musiałyby się kompletnie zmienić. Wyobraziła sobie dużo starszą Cressidę, z rozsądnie przyciętą długą czupryną. Modne dzinsy zastąpiłyby ubrania dla dorosłych, papierosy i wódka stałyby się odległym wspomnieniem. Życiorys zakończony na maturze. I oczywiście mąż. W tym punkcie Cressida była dziwnie staroświecka. Cóż, żadna z wymienionych wyżej wizji nie wydawała się zbyt prawdopodobna. Zwłaszcza rozstanie z papierosami i alkoholem, pomyślała na wspomnienie sylwestra. Obudziła się wtedy niepewna, czy zabije ją ból głowy, czy gardła, w nadziei, że stanie się to prędko. Jeśli dziecko się urodzi, pewnie będzie miało dwie głowy. Chryste.

Byli zawsze tacy ostrożni - choć nie myślała obsesyjnie o antykoncepcji. W końcu urodziła się w latach osiemdziesiątych - w dekadzie AIDS. Co gorsza, on był pierwszy. Czy to nie tragiczne? Dwudziestoletnia dziewica.

Co prawda dziewictwo niespecjalnie jej ciążyło. Inne dziewczyny traktowały kolejne urodziny jako swego rodzaju kamienie milowe: w wieku szesnastu lat zdaj egzaminy, siedemnastu - zdobądź prawo jazdy, osiemnastu - zagłośuj. W każdym z tych momentów rozpocznij życie seksualne z pierwszym lepszym niezbyt odpychającym osobnikiem płci męskiej. Nie, Cressida nie była jedną z tych fanatyczek, wierzących w zachowanie czystości do ślubu. Po prostu nikt nie podobał się jej wystarczająco. A może z żadnym z chłopaków, z którymi chodziła, nie czuła się wystarczająco bezpiecznie. Bez wątplenia psychoterapeuta obarczyłby tu winą ojca. Jej zaufanie do mężczyzn ucierpiało, gdy porzucił mamę. Co było bzdurą, bo jeśli

już, to porzucili się nawzajem. Cressida nie rozumiała rozterek osób, cierpiących z powodu rozwodów w rodzinie. Kochała oboje rodziców raczej oddzielnie niż razem. Tata był szczęśliwy z Tiną. Mama była zadowolona sama, a może będzie jeszcze szczęśliwsza z Jackiem. „W życiu dzieją się gorsze rzeczy”, jak mawiała babcia. Cressida nie martwiła się ranami, jakie być może zadało jej sercu życie. Jak cudownie się czuła, kiedy go spotkała! Cieszyła się, że z nikim nie była wcześniej tak blisko. To jak podarunek, który dla niego przygotowała. Leżała potem u jego boku, podekscytowana, że to właśnie z nim przeżyła swój pierwszy raz, że nic już nie mogło tego zmienić. Nie oznaczało to, że było aż tak cudownie, po prostu była zadowolona. Aż do teraz. O, nie. Nie! Wynik był pozytywny.

19.45

Szczęśliwa i zmęczona Susan oparła się o drzwi. W salonie ponownie zapanował porządek. Mój Boże, ale się bałagani na Gwiazdkę, pomyślała. Wcześniej przez sześć tygodni żyjemy w oblężeniu zakupów i wypełniamy nieczytelnym pismem niekończące się listy. Końcowa wyprawa do sklepu przypomina operację wojskową. Misja życia i śmierci - zdobyć ostatnie świeże żurawiny, zanim dorwie się do nich wróg, załadować do wypełnionego wózka jeszcze jedno opakowanie świątecznych cukierków. Każda powierzchnia w domu musi zostać wyszorowana, jakby zaraz miała się na niej odbyć operacja kardiochirurgiczna. Potem ustawia się domowej roboty aniołki i świeczki. Z religijnym namaszczeniem stosujemy się do wszystkich zaleceń „Porad na zorganizowanie najbardziej niekłopotliwej Gwiazdki”, co o mało nie doprowadza nas do zapaści. Wszystko to oznacza jednak, że o wpół do jedenastej wieczorem w Wigilię można zasiąść ze szklaneczką ajerkoniaku (oczywiście domowej roboty) i być panią sytuacji. Trzy dni później jest już po wszystkim, a ty zostajesz z resztkami indyka, nietkniętym świątecznym ciastem i bałaganem, jak po obozującym pułku. Ale dla Susan były to najwspanialsze trzy dni minionego roku. Tylko ich pięcioro. Ona i Roger, Alex i Ed, i jej mama Alice.

Susan najbardziej lubiła swój dom w takich chwilach. Jej przystojni, mili chłopcy śpią piętro wyżej, w pokoju, w którym nadal królują modele samolotów i szkolne puchary sportowe. Młode, zabawne dziewczyny zajmują sąsiedni pokój. Alice leży uśpiona pod swoim własnym kocem w dawnym pokoju dziecięcym przylegającym do sypialni Susan. I Roger obok niej - ostatnio delikatnie pochrapujący. Czemu niektóre kobiety skarżą się, że chrapanie doprowadza je do szału? Susan lubiła to rytmiczne mruczenie znaczące upływ czasu w nocnej ciszy.

Susan odstawiła odkurzacz do szafki w przedpokoju i ulokowała na półpiętrze ostatnie pudło ozdób choinkowych - kiedy Roger wróci z wieczornego dyżuru, poprosi go, żeby odniósł wszystko na stryszek.

U szczytu schodów pojawiła się Alice. Ona również wydawała się zmęczona w tym roku, zauważyła Susan. Straciła apetyt, choć jak zawsze cieszyła się towarzystwem swoich wspaniałych wnuków. Susan była zadowolona, że zdołała zatrzymać matkę na kilka tygodni po Nowym Roku.

„Pozwól mi się obsługiwać”, żartowała Susan. Alice miała już siedemdziesiąt lat. Było bardzo miło mieć ją w domu.

- Czy wszystko dobrze, mamo?

- Tak, kochanie. Nie spałam, tylko słuchałam sobie radia i pozwoliłam odpocząć oczom.

Susan uśmiechnęła się. Ach, ten odpoczynek oczu u starszych osób. Jak dzieci, nigdy nie chcieli przyznać, że są zmęczeni.

Zerknęła na zegar stojący na półce nad kominkiem w salonie. Przyjdą za jakieś dwadzieścia minut. Powinna zająć się przyniesionymi z biura fakturami, ale to musi poczekać. W przedświąteczne dni zawsze przeżywała obłęzenie klientów - ludzie rozpaczliwie pragnęli wykończyć zamówione zasłony i obicia jeszcze przed Gwiazdką. Susan, sama lubiąca święta i ceremonie, w dwójnasób starała się spełnić ich domowe marzenia. Potem następował spokojny styczeń, wypełniony nudą i sprawdzaniem rachunków.

Susan nakryła do stołu w kuchni dla Rogera i Alice. Ich kolacja była już gotowa, przykryta schludnie warstwą folii. Na piekarniku przykleiła żółtą karteczkę, na której wypisała temperaturę i czas odgrzewania. Z przyjemnością myślała o wieczornym spotkaniu klubu czytelniczego. Jakaż to miła odmiana. Ostatnie eksperymenty w organizowaniu sobie czasu wolnego się nie powiodły. Ćwiczenia z niezwykle wygimnastykowaną Teresą nie zmieniły jej pulchnej figury ani nie pomogły obolałym plecóm. Lekcje francuskiego dla początkujących w miejscowym college'u sprawiły, że w swoją rocznicę ślubu znalazła się w Paryżu, pełna niczym nieusprawiedliwionej pewności siebie i udawanego tupetu. Nawet jednak jej najmniejszy przejaw wiary we własne językowe umiejętności był natychmiast tłumiony przez aroganckie ekspedientki i kelnerów.

Tak, to będzie miły wieczór. Zasługiwała na jakąś przyjemność.

19.50

W domu panowała przytłaczająca cisza. Elliot hałaśliwie upuścił kluczyki na kuchenny stół i machinalnie zaczął przeglądać pocztę. Głównie ulotki reklamowe, rachunek za gaz...

- Clare? Hej, wróciłem...

Wiedział, że żona jest w domu. Dyżur w szpitalu skończył się przed godziną, a jej samochód stał zaparkowany na podjeździe.

Bez odpowiedzi. Najwyraźniej był to zły dzień. W dobre dni witała go przyjaznym smutkiem, w przeciętne - z obojętnością. Ale kiedy go ignorowała, a potem nie kryła wrogości, miała zły dzień. Elliot rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu przyczyny - zawsze coś się znalazło. Ponownie zerknął na listy: wakacyjna pocztówka od sąsiadów... to chyba nie to. Rachunek od niejakiego pana Thompsona z Harley Street. Ostatnia nieudana próba.

Ciężko wspiął się po schodach, uzbrajając się wewnętrznie na spotkanie z żoną.

- Cześć.

Na dźwięk jego kroków Clare zamknęła drzwi łazienki. Zdążył pochwytać wzrokiem skrawek nagiego ramienia. Nie zawsze była taka. Oczywiście, kiedy przeżywali swój pierwszy raz, zachowywała się nieśmiało, lecz byli wtedy zaledwie czternastolatkami. Nie mieli nawet okazji zobaczenia się nago.

Wszystko wydawało się takie nowe, wstydlive. Uważał dotąd, że spotkało ich wielkie szczęście. Byli parą od czwartej klasy, razem przeszli maturę, egzaminy na studia, jej dyplom pielęgniarstwa, jego kursy nauczycielskie. Inni doświadczali nieszczęśliwej miłości, upokorzeń i wielu dramatów wieku dojrzewania. Z Clare i Elliotem było inaczej. Trwali niezmiennie w samym sercu bandy radosnych nastolatków, jak stały punkt kompasu.

To nie miało się tak skończyć, tym sterylnym, pustym, bezdziejnym małżeństwem. Próbowali przez pięć lat. Na początku myśl o dziecku podczas kochania się była miła i zabawna, a nawet podniecająca. Czuł się fantastycznie, leżąc z ręką na brzuchu Clare, zastanawiając się, czy coś - kogoś - zapoczątkowali. Przez tyle lat miał ją tylko dla siebie i był gotów zacząć się nią dzielić. Oboje bardzo się przejmowali. Za pierwszym razem szybko zaszła w ciążę. Kilka tygodni później przyszło okropne, krwawe poronienie. To było jeszcze normalne. Wszyscy powtarzali: „Naturalnie, to smutne, ale zdarza się wszystkim. Następnym razem pójdzie dobrze”. Byli młodzi. Razem oplakiwali dziecko, które miało się urodzić na przyszłą Gwiazdkę, i żyli dalej. Dalej i dalej, aż para, jaką kiedyś tworzyli, zmieniła się nie do poznania nawet dla nich samych. Sześćdziesiąt miesięcy, pięć poronień (a może więcej), dziesiątki badań, niekończąca się procesja lekarzy, położników, specjalistów. Kalendarz pełen dat przypominających o czymś, czego i tak nie mogli zapomnieć.

Czasami Elliot myślał, że żona nienawidzi go prawie tak mocno, jak samej siebie. A może bardziej, niż kiedykolwiek go kochała.

Clare wyszła z łazienki, ciasno owinięta frotowym szlafrokiem, choć była dopiero siódma wieczorem. Uśmiechnęła się słabo do Elliota, kiedy pochylił się, żeby ją objąć. Nauczył się dotykać jej w asekuralny, bezpieczny sposób. Jak bardzo tego nienawidził: jeśli jego palce przesunęły się po jej piersi czy spoczęły w wygięciu pośladków, strząsała je, jakby dotyk ją parzył, jakby chciał ją zgwałcić. Teraz pozwoliła mu się dotknąć, lecz pozostała obojętna.

Nie pocałowali się ani razu od Bożego Narodzenia, nie naprawdę. Gwiazdka była zawsze najgorszym okresem - rocznicą nie-narodzin pierwszego dziecka. Tego roku Clare nawet nie trudziła się, aby zapakować bezosobową koszulę i krawat, które mu kupiła. Na świąteczny lunch przyrządziła łososia. Przy kominku, jak wyrzut sumienia, stało kolorowe, obwiązane wstążkami pudełeczko na biżuterię, które podarował jej Elliot. Otworzyła je wprawdzie, ale nie był pewien, czy w ogóle zauważyła bransoletkę. W każdym razie nigdy jej nie nosiła.

A jednak próbował dalej.

- Miałaś ciężki dzień, kochanie?

- Nie był taki zły. Cztery kobiety urodziły, tylko jedna musiała mieć cesarskie cięcie. Trzy dziewczynki, jeden chłopczyk. Hannah, Victoria, Liam i jedno jeszcze nienazwane. Jedna okropna dziewczucha, która urodziła w poniedziałek, dzwoniła co pięć minut, aby ktoś przyjechał po nią i dziecko. A ta wyniosła kierowniczką jest na urlopie.

Clare udzielała informacji monotonnym głosem, nie patrząc mu w oczy. Jakby mnie to cokolwiek obchodziło, pomyślał Elliot. Ukrywa szczegóły tego dnia. Nigdy nie dopuszcza rozmowy o czymś prawdziwym. Na głos powiedział:

- À propos urlopu, pocztówka od Midge i Paula nasunęła mi pewien pomysł. Dawno już nie odwiedzaliśmy Dordogne.

To były straszliwe wakacje. Elliot zamówił je jako niespodziankę i pomylił daty. Jeden z czarnych dni przypadał dokładnie w środku pierwszego tygodnia. Co prawda było coraz trudniej znaleźć choćby dwa tygodnie bez jednego czarnego dnia.

Clare odwróciła się do niego i po raz pierwszy zauważył, że miała zaczerwienione powieki.

- Może.

- A jakbyśmy tak wyjechali na Wielkanoc na narty, na przykład do Austrii? Od wieków mówimy, że warto to zrobić.

Nigdy nie jeździli na nartach. W pierwszych latach nie mieli pieniędzy. Potem Clare niepokoiła się, że upadnie, raz była w ciąży, raz nie... Zamknęła się we własnym szklanym kloszu.

- Ach tak - warknęła. - Nie mamy dzieci, to jedźmy na narty. Doprawdy wspaniałe wakacje.

Nie patrząc na niego, wściekle wyjmowała swoje rzeczy z szuflad. Odwrócona tyłem włożyła majtki, mając na sobie cały czas szlafrok, żeby nie mógł jej zobaczyć. Kara.

- Może podrzucę ci kilka broszur przy okazji. Obejrzyj strony internetowe z ofertami last-minute.

Nowa taktyka. Udawać, że odpowiada mu grzecznie, z zainteresowaniem. Jakby samą siłą woli mógł sprawić, aby porzuciła tę kruczaję przeciwko niemu. Ponieważ dzisiaj Clare nie miała dosyć energii na atak, pozwoliła mu mówić dalej. U obojga małeńki skrawek umysłu uparcie podsuwał obrazy dawnych wakacji. Tanie wycieczki do niezbyt przyjemnych miejscowości wypoczynkowych nad Morzem Śródziemnym, lecz pełne śmiechu i miłości. Byli brązowi jak orzechy po popołudniach spędzonych na słońcu, zmęczeni od kochania się przez całe ranki. Zawsze kochali się rano, kiedy światło wzmagalo poczucie intymności i z otwartymi oczami obserwowali nawzajem swoje reakcje i pragnienia. Chichocząc na wspomnienie wypitych w mieście drinków, przyglądali się ludziom mniej szczęśliwym od nich, nie tak zakochanym. Wspomnienia rozwijały się jak ośmiomilimetrowy film, a potem wróciły do chwili terażniejszej. Od czterech lat nie byli na takich wakacjach i nigdy już nie będą.

- Wychodzę wieczorem. Makaron jest w szafce, a resztki sosu w lodówce. Podgrzej sobie.

- A, faktycznie. To ten klub czytelniczy? Przeczytałaś książkę?

- Oczywiście. Inaczej nie mogłabym pójść, prawda?

- Podobała ci się?

Clare podniosła wzrok, zastanawiając się jednocześnie nad pytaniem i nad zainteresowaniem okazywanym jej przez Elliota. Książka była dobra, właściwie wspaniała. Przeczytała ją w trzy wieczory, zafascynowana wyimaginowanym życiem nieprawdziwych osób. Przystojna twarz Elliota, na którą spoglądała przez ponad połowę swego życia, zdradzała jedynie umiarkowane zainteresowanie. Tak usilnie, tak roz-

paczliwie starał się do niej zbliżyć, ułagodzić ją, powiedzieć to, co trzeba. Czuła się winna i zirytowana, i tak strasznie pozbawiona nadziei.

To tak, jakby na pasie ziemi niczyjej między nimi leżały wielkie złomy gruzy, pozostałe z poprzednich bitew. Nie miała siły się na nie wspiąć i zamachać białą flagą. Starła się zawrzeć pokój tak samo jak on, lecz nie mogli się nawzajem dojrzeć z dna okopu.

- Była niezła - odparła w końcu. - Ale pewnie i tak do końca nie zrozumiałam. Właściwie nie wiem, po co tam idę. One wszystkie są chyba po studiach. Na pewno się ośmieszę i więcej tam nie pójdę.

- Nie jesteś głupia, Clare. Poradzisz sobie. Kto jeszcze będzie?

- Nie znasz ich. Spotkamy się u Susan - mama szła jej zasłony - w domu na wzgórzu. Przyjdzie jej przyjaciółka Nicole, Harriet, może ktoś jeszcze.

- Idź koniecznie, będzie fajnie. Grupa kobiet i kilka butelek wina - pewnie nawet nie zdążycie porozmawiać o książce.

To Mary, mama Clare, poprosiła Susan, żeby pozwoliła jej się przyłączyć. Uważała, że to jej dobrze zrobi. Jakby plasterk mógł zagoić wielką, otwartą ranę, pomyślał Elliot, który jednak dawno zaprzestał wygłaszania opinii. Przez lata on i Mary spotykali się na kawie raz w tygodniu. Początkowo martwili się o Clare i zastanawiali się, jak jej pomóc. Teraz jednak Mary martwiła się o nich oboje. Ostatnio Elliot zaczął podejrzewać, że ich małżeństwo może tego nie przetrwać. W ostatnim czasie Mary chyba spotykała się z nim, aby sprawdzić, czy nadal jest obecny. Jakby nad kawą z chudym mleczkiem albo angielską herbatą mogła przekazać mu swoją siłę i wolę utrzymania ich razem, aby został jeszcze sześć następnych dni, jeszcze tydzień. Powoli Mary sama stała się częścią choroby. Sprawiała, że się dusił.

Elliot podniósł się z łóżka. Poczucie ulgi natychmiast po tym, jak za Clare zamknęły się drzwi. Włączył muzykę, coś głośniego i bezmyślnego, należy sobie dużego drinka. I zadzwoni do kogoś, dzięki komu ma o sobie lepsze mniemanie.

Baw się dobrze, Clare.

Styczeń

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Zgaga Nora Ephron, 1983*

„Ciasto, którym rzuciłam w Marka, narobiło straszliwego bałaganu. Jednak placek z jagodami byłby o wiele lepszy, ponieważ nieodwracalnie zrujnowałby jego nowy blezer, który kupił razem z Thelmą”.

Rachel Samstat to inteligentna, odnosząca sukcesy kobieta, żona znanego waszyngtońskiego dziennikarza... i osoba okropnie nieszczęśliwa. Odkrywa, że jej mąż ma romans z patykowatą Thelmą.

Ta wspaniała powieść, pełna dowcipnych powiedzeń i przepisów kulinarnych, opowiada o miłości, stracie i - ostatecznie - zemście.

* Książka nie ukazała się w Polsce. Tytuł oryginału: *Heartburn* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Wybrałaś tę książkę, bo ma tylko sto siedemdziesiąt osiem stron, czy widziałaś film?

- To jest też film?

- Tak, genialny. Z Jackiem Nicholsonem i Meryl Streep. Strasznie smutny.

- To jeden z moich najukochańszych. Zabrałabym go na bezludną wyspę.

- Szczerze mówiąc, wzięłam ją z powodu przepisów. Są wszędzie. Ta kobieta, Rachel, gotuje najróżniejsze przysmaki, kiedy jej małżeństwo wali się w gruzy. Wypróbowałam nawet jeden w zeszłym tygodniu. Przepyszny. Ale myślę, że w jej gotowaniu jest coś symbolicznego. Chociaż ma własną karierę, chyba dzięki gotowaniu, dzięki żywieniu rodziny czuje, że sprawuje kontrolę nad życiem.

- Zależy jej na tym, prawda? Ten fragment o żartowaniu ze wszystkiego i pisaniu opowiadań, nad którymi ma władzę. Przypuszczam, że to ma na myśli, gdy pokazuje część swojego bólu.

- I rzuca ciastem, ćwicząc publicznie rodzaj kontroli.

- Tak, ale w gruncie rzeczy jest bezradna, prawda? Jej mąż przez cały czas spotyka się z inną kobietą, a ona nie może nic na to poradzić.

- Uważam, że jest zbyt miękka. Wszystkie te dowcipne i inteligentne uwagi nie zmieniają faktu, że nie zamierza go zostawić. Nawet kiedy odchodzi - ucieka do ojca, myślcie o tym, co chcecie - pozwala, żeby przyjechał i zabrał ją z powrotem, potulną jak jagnię. Nie podejrzewa niczego, nawet kiedy on nie płaci za bilet na promie. To przecież łobuz.

- Jest w ciąży i przez większość czasu siedzi w kuchni. Smutna jest chwila, kiedy rodzi dziecko, prawda?

- Mówi: „Opowiedz mi, jak urodziło się pierwsze dziecko”. A potem, kiedy zjawia się Nathaniel, ona wcale się nie dziwi, że urodził się za wcześnie.

- Mówi wtedy: „Coś we mnie umierało i musiał się wydostać na zewnątrz”.
- Ja płakałam.
- Ale ona go kocha i nie może nic na to poradzić.
- Oczywiście, że może. Może odejść. Pozwolić, żeby rany się zagoiły. Czyż zawsze nie powinno się najbardziej kochać samego siebie?
- Ona najbardziej kocha dzieci. Może dlatego zostaje.
- Nie wierzę. To Stany w latach siedemdziesiątych, na litość boską. Mnóstwo ludzi się rozwodziło. Dzieci nie byłyby napiętnowane.
- Może nie napiętnowane, ale to jednak traumatyczne doświadczenie.
- Nie sądzę, że ona zostaje przez wzgląd na dzieci. Chyba chce uratować małżeństwo.
- Dziwny paradoks, jak myślisz? Ona tak bardzo chce, żeby ją kochał, ale nie stara się zmienić, żeby ją bardziej kochał.
- Dopiero w scenie z ciastem zdaje sobie sprawę, że niezależnie co zrobi, on jej nie będzie kochał.
- Nie zgadzam się tylko z opisem na okładce. To nie jest opowieść o zemście. Rachel nie szuka zemsty i na pewno jej nie osiąga. Rzucanie ciastem to chyba raczej zakończenie symboliczne. Przekłuwa bańkę naiwności? To akt, działanie. Wreszcie przestaje być bierna. Chodzi o kontrolę, a nie o zemstę.
- Czy ta sama autorka nie napisała też *Bezsensowności w Seattle*?
- To niesamowite, że nadal wierzy w miłość do tego stopnia, żeby napisać coś tak głupiego i naiwnego.
- Nie sądzisz, że jej siłą jest wiara w miłość?
- Nie, jej prawdziwą siłą było zrozumienie, że Mark jej nie kocha. Mogła wtedy odejść, mimo że nadal go kochała.
- Tak, to takie pełne optymizmu. Jest okropnie smutna, upokorzona i tak dalej, ale wierzy w przyszłość. Naprawdę wierzy. Mówi: „A wtedy marzenie rozpada się na miliony kawałeczków. Marzenie umiera. Masz wybór: pogodzić się z rzeczywistością albo jak głupiec snuć kolejne marzenia”.

Nicole

Nicole nie dostrzegła posłańca zza ogromnego bukietu kwiatów. Na bileciku widniało tylko jedno słowo - tak duże, że widziała je już od progu - „Wybacz”. Spoczywał niewinnie pomiędzy pąkami róż *American Beauty*.

Gwałtownym ruchem odebrała różę Bogu ducha winnemu młodzieńcowi i zamknęła drzwi z krótkim, suchym „dziękuję”.

Chłopiec przestępował z nogi na nogę. Był nowy i nieprzygotowany na takie zachowanie. Przecież wszystkie kobiety uwielbiały kwiaty? Potrząsnął głową, zagwizdał i odszedł.

Nicole oparła się o drzwi. W gardle wzbierało zduszone łkanie bez łez. Zamknęła oczy i wdychała zapach kwiatów. Usiłowała zapomnieć o tym, że dostała je „na przebaczenie”. Udało jej się to tylko na krótką chwilę.

Przeszła do lśniącej, nieskazitelnie czystej kuchni i zaczęła sprawnie obcinać lodygi, zanurzać we wrzątku i dodawać aspiryny do wody w trzech wazonach, koniecznych do pomieszczenia takiego mnóstwa kwiatów. Robiła to świetnie, jak większość rzeczy w życiu. Ścinki zniknęły w niewidocznym koszu na śmieci, szklane podstawki chroniły wypolerowane do połysku drewniane powierzchnie przed wilgotnymi kręgami. Jeden wazon stanął na okrągłym stoliku w holu, drugi na stole w jadalni, ostatni w salonie, tuż obok rzędu fotografii w srebrnych ramkach, uwieczniających życie jej i Gavina. Czarno-białe zdjęcia jej rodziców, bliźnięta w słomkowych kapelusikach, liżące lody, Martha jako noworodek, leżąca na pulchnych kolanach chłopców, z buzią otwartą do krzyku. Ona i Gavin w dniu ślubu. Nicole ustawiła wazon obok tej fotografii. Drań.

Maj tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Malowniczy wiejski kościółek, girlandy kwiatów nad drzwiami. Przepiękna panna młoda w sukni od Amandy Wakely, pan młody, dumny i postawny w żakiecie, sztuczkowych spodniach i cylindrze. I jej oślepiająco jasne oczy. Głupio zakochane. Krowie spojrzenie księżnej Diany. Uśmiech, od którego bolą mięśnie twarzy.

Nicole zamarła na widok fotografii. Jak w tandetnym efekcie specjalnym, znajomy elegancki pokój zaczął wirować wokół niej i oddalił się, ustępując miejsca wspomnieniom tamtego dnia. Wszystkie wrażenia stały się ostre i realne. Czowała ich zapach, kiedy nagrzeni słońcem, zdenerwowani i wyperfumowani, stali przy tamtych kościelnych drzwiach. Tak bardzo była wtedy zakochana. W drodze do kościoła siedziała w daimlerze obok ojca, który ujął jej rękę, mówiąc z powagą: „Chcę, żebyś wiedziała, kochanie, że jeśli nie jesteś całkiem pewna, jeśli masz jakieś wątpliwości...”. Odwróciła się do niego z uśmiechem przez łzy, nie rozumiejąc. Nie może żyć bez Gavina. Wyjść za niego, być jego żoną, tego pragnęła najbardziej na świecie, tylko to mogła zrobić.

Był jej pierwszą wielką miłością. Dla Nicole okres dorastania stanowił początek nowego, zaczerpniętego życia. Z pewnością nie była największą piękną w okolicy. Miała jednak dobrą cerę, regularne rysy, falujące włosy i tę naturalną urodę, dzięki której wyglądała tak samo ładnie o każdej porze dnia. Cechował ją też lekki, swobodny sposób bycia - coś nieuchwytnego, co sprawiało, że nie mogła opędzić się od chłopców. W czasie studiów, na których nie poświęcała zbyt wiele uwagi nauce, co roku chodziła z innym chłopakiem. Poza tym różne znajomości wakacyjne i kilka burzliwych randek na jedną noc. Większość jej partnerów była bardziej zaangażowana niż sama Nicole. Nigdy jednak nie postępowała z rozmyślnym okrucieństwem. Sprawiała wrażenie osoby, która nie musi się martwić, z kim spędzić piątkowy wieczór.

W Londynie zjawiała się z odpowiednim stopniem naukowym, byстрым umysłem, wielkimi długami i świeżym postanowieniem zrobienia kariery. Było dosyć łatwo odnieść sukces na niższych szczeblach wydawnictwa, pomiędzy banalnymi, prowincjonalnymi dziewczynami z Surrey, zabijającymi czas w ocze-

kiwaniu na mężów (te ładne) lub lukratywne projekty wydawnicze. W ciągu następnych czterech - pięciu lat stała się menedżerem marketingu. Pensja pozwalała jej na utrzymanie przyjemnego mieszkania w Battersea do spółki z dwiema koleżankami, kupowanie eleganckich markowych kostiumów (choćby na wyprzedazy) i - z pomocą rodziców - pięknego citroena 2CV w kolorze lawendy. Praca dała jej satysfakcję niezaznaną na studiach i Nicole była w niej dobra. Szybko zauważona przez szefów firmy, którzy doceniali jej zdolności, ambicję i urok „cudownego dziecka”, radośnie podejmowała nowe obowiązki. Co ranka spoglądała na swoje odbicie w lustrzanych panelach schodów ruchomych w metrze i lubiła kobietę, która odwzajemniała jej spojrzenie.

A potem wpadła na Gavina Thomasa.

Nietknięta przez burze miłości, w wieku dwudziestu sześciu lat była z pewnością gotowa zakochać się szybko i mocno. Tak właśnie się stało. Gavin siedział w sali konferencyjnej między jej dwoma kolegami, kiedy pewnej środy Nicole wpadła ze stertą papierów w ramionach, otwierając drzwi biodrem. Jego agencja reklamowa miała prowadzić kampanię promocyjną najnowszej powieści doskonale sprzedającego się, popularnego pisarza; najważniejszą publikację Nicole w tym roku. Kiedy go dostrzegła, pokój nagle opustoszał, zupełnie jak jej głowa.

Bez wątpienia widziała już seksowniejszych mężczyzn. W tym samym czasie umawiała się niezobowiązująco z młodym, opalonym autorem książek podróżniczych, którym zachwycali się jej współlokalki. Analizowanie magii nie ma sensu. Tak, był przystojny i pięknie ubrany, włosy opadały mu na czoło we właściwy sposób. Może sprawę przesądził łobuzerski błysk w jego oku. Kto wie? Tak czy owak, wywarł na niej piorunujące wrażenie.

Nicole nie pamiętała, co wydarzyło się na spotkaniu. Nie pamiętała nawet, jak to się stało, że wieczorem tego samego dnia znaleźli się na jednej z wytartych, aksamitnych kanap na piętorku w Darcy's, pijąc czerwone wino z pękatych kieliszków i rozmawiając bez końca, coraz bliżej siebie. W pewnej chwili wstała i chwiejnie poszła do łazienki. Kobieta w lustrze wyglądała jakoś inaczej.

Pamiętała, jak zabrała go z powrotem do swojego biura, jak chichotali konspiracyjnie, gdy wciskała numer kodu do drzwi na zapleczu, jak nagle spowaźniała, gdy ją pocałował, przyciskając do ściany, a potem zrzucił z biurka szufladę na dokumenty (Nicole poczuła się jak bohaterka *9 i pół tygodnia*) i zaczął walczyć z jej rajstopami. Kochali się. Później odprowadził ją do taksówki, podał kierowcy dziesięciofuntowy banknot i pocałował ją w czubek nosa. Gest ten wydawał się wówczas nieskończenie czuły i romantyczny. Nicole Ellis była świadoma, że życie zmieniło się raz na zawsze.

W sypialni na górze Nicole zdjęła z drzwi szafy wiszącą tam od wczoraj sukienkę, przepiękną tunikę, włożyła ją do plastikowego pokrowca i umieściła wśród innych strojów, typowych dla żony biznesmena. Eleganckie kostiumy odeszły w przeszłość. Poza tym dzisiaj prawie każdy mógł sobie pozwolić na stroje od znanych projektantów. Szafa pełna była ubrań odpowiednich firm, doskonale dobranych akcesoriów, przepięknych butów, wszystko w rozmiarze dziesiątym (dzięki codziennemu wysiłkowi). Nieskazitelnie czyste, pachnące jej własnymi perfumami, wyglądały świetnie na tle nowoczesnego makijażu, deli-

katnych pasemek i skrupulatnie wypielęgnowanych paznokci. Marzenie każdej kobiety. Nicole przypomniała sobie widziany dawno temu czarno-biały film, w którym dziewczyna o złamanym sercu płakała razem z pokojówką, rzucając kosztowne futra na atlasową kanapę.

Dzwonek telefonu przywrócił ją do rzeczywistości. Zauważyła na wyświetlaczu numer Harriet i postanowiła odebrać. Komu innemu pozwoliłaby dzwonić w nieskończoność. W tym nastroju była w stanie rozmawiać tylko z najlepszą przyjaciółką.

- Hej.

- Co się stało?

Nicole była pewna, że Harriet ma w sobie radar. Wystarczyło jedno słowo - a raczej ton, jakim je wypowiedziała. A może, pomyślała z żalem, na ogół coś jest nie tak?

- Czy opera była aż tak beznadziejna? - zażartowała Harriet.

Przedwczoraj Gavin zadzwonił przed południem, „przypominając jej” - a w rzeczywistości informując po raz pierwszy - że ma się pojawić, elegancka i urocza, w firmowej łóż w Covent Garden o siódmej wieczorem i wysłuchać czegoś okropnie Wagnerowskiego w towarzystwie potwornie nudnych prawników. Oznaczało to szaleńcze poszukiwania opiekunki do dzieci - ponieważ Cecile miała lekcje angielskiego - i wyścig samochodowy w godzinach szczytu. Obie mogły udawać, że to właśnie dlatego przysłał jej dzisiaj róże „na przebaczenie”. Ileż dałaby za to, żeby naprawdę tak było: beznadziejny przypadek zapominałskiego męża, nagradzającego zawsze zorganizowaną żonę za jej wyrozumiałość. Naturalnie wiedziały, że dostała kwiaty z zupełnie innego powodu.

- Opera była w każdym szczególe tak straszna, jak się spodziewałam, łącznie z ponurą scenografią. Miałam ochotę położyć się na podłodze i umrzeć.

Roześmiały się. Miały zdecydowanie inne poglądy na temat dobrze spędzonego czasu, lecz łączyła je niechęć do żmudnych obowiązków żon biznesmenów.

- Daj spokój. Wagner to chyba nie jedyny facet, który zmarnował ci wieczór. O co poszło tym razem? Nie takie paznokcie?

Nikt inny nie mógł sobie pozwolić na krytykowanie Gavina. Znały się zaledwie od roku, gdy karty zostały wyłożone na stół. Harriet, pijana brakiem snu i nadmiarem Bacardi Breezers, wyznała, że nie znosi jej wysokiego, przystojnego męża. Nicole westchnęła ciężko i popatrzyła na przyjaciółkę, ale nie wściekła się i nie zamierzała się obrazić. To typowe dla Harriet. Znajomość z nią była czymś wspaniałym.

- Spotkałam tę drugą. Ostatnią drugą.

- Tam? Kto to taki?

- Charlotte Charles. Najnowszy nabytek. Widziałam ją na przyjęciu gwiazdkowym. Typowa zdobycz Gavina - wysoka, nogi po szyję, odrzuca włosy, wielkie cycki, wielkie zęby i dużo mówi.

Nicole weszła do łóż w samą porę - głęboki oddech, szeroki uśmiech - aby zastać Gavina pochylającego się nad opartą o ścianę Charlotte Charles. Charlotte, uśmiechając się do niego bezczelnie, z rozchyłonymi lekko wilgotnymi wargami, z falującym biustem. Poza miała zapewne głosić: „świetny żart, jak to

między kolegami". Dla Nicole oznaczała tylko „ostatnia laska Gavina”. Wszystkie były do siebie podobne: młode, pachnące *eau d'ambition*, sukcesem i zmysłem do interesów. To go zawsze pociągało. Tak jak w niej.

- Świnia. Jesteś pewna?

- Tak. Nie mam złudzeń. Poznaję od pierwszego wejrzenia. A potem przypominam sobie ostatnie dni, i wszystko się zgadza. Późne powroty, wyjazdy służbowe. Jeśli jeszcze miałam jakieś wątpliwości, rozwiały je róże, na które teraz patrzę.

- Chcesz uciec z domu? Mamy wolny pokój.

Był to ich wspólny żart, często powtarzany w ciągu ostatnich dwóch lat. Obie znały odpowiedź: Nicole nie chciała odejść. Pragnęła, aby wszystko się zmieniło. Do licha, nadal bardzo go kochała. Harriet właściwie przestała nawet prawić jej kazania. Zamiast tego słuchała i starała się okazywać współczucie.

- Nie, ale dobrze mi zrobi butelka wina i trochę plotek. Niech łobuz sam sobie zrobi kolację i posiedzi z dziećmi, jak myślisz? To wystarczająca kara.

- Otóż to! Spotkamy się o ósmej? Wyślę Tima do pubu, na rodeo albo gdziekolwiek.

- Dzięki.

- Nicole? Kocham cię.

Dobroć przyjaciółki sprawiła, że Nicole łzy napłynęły do oczu. Starła się rozgniewać, próbowała wzbudzić w sobie złość, bo miała już tak strasznie dosyć bycia żalonym podnóżkiem. Ale sama, w cichym domu, nie czuła nic takiego.

Harriet

Harriet odłożyła słuchawkę. Stała w holu swojego domu, patrząc na jeden z fotograficznych kolaży nad schodami. Znalazły się na nich zdjęcia obu rodzin, na letnich wakacjach po urodzeniu się pierwszych dzieci: Josha i bliźniaków, Williama i George'a. Wynajęli duży, pobielony dom nad morzem w Kornwalii i mieli ogromne szczęście do pogody (lato było wspaniałe, idealne do opieki nad noworodkami: poranne karmienie o szóstej rano przy otwartych oknach, gołe niemowlaki w kojcach). Wyglądali na dumnych i zmęczonych, otoczeni niezliczonymi akcesoriami dla niemowląt, jak wszyscy zamożni, młodzi rodzice.

To był wspaniały tydzień, pełen czerwonego wina, wspólnego gotowania i krótkich drzemek. Zdawało nam się, że tak świetnie się znamy, pomyślała Harriet. Przypomniała sobie, jak pewnego wieczoru przyglądała się Timowi, Gavinowi i Nicole, wyobrażając sobie, że będą spędzali tak razem czas w innych miejscach, z kolejnymi dziećmi, pozostając bliskimi przyjaciółmi na całe lata.

Zaprzyjaźniły się bardzo szybko. Tego rodzaju przyjaźnie zawiera się w czasie wojny lub w zaawansowanej ciąży, żartował Tim. Harriet polubiła Nicole, odkąd żałośnie uśmiechnięta opadła obok niej na ogromny worek z grochem w szkole rodzenia. Były niedobraną parą, którą zbliżył do siebie termin porodu. Razem wysłuchiwały wątpliwych mądrości z ust hipisowatej Eriki, która siedząc w pozycji lotosu („Wyłącznie dlatego, że tylko ona potrafi”, szepnęła Nicole), wygłaszała mądrości o zaletach suszonych

owoców i izotonicznych napojów („Proszę dżin z tonikiem”, szepnęła Harriet). Kiedy z zadowolonym uśmiechem zdradziła, że urodziła wszystkie dzieci w wodzie we własnej wannie, przy czym czworo starszych pomagało przy porodzie piątego, Nicole i Harriet zdrząły przerażone.

Tim i Gavin przebywali w sąsiednim pomieszczeniu z innymi mężami, rozmawiając o lękach związanych z pojawieniem się niemowląt. Zostali poproszeni o przedstawienie swoich najgorszych obaw. W przypadku Tima była to „zamiana sportowego wozu na rodzinne volvo”, a Gavina „wycieczka do Disneylandu”. Te wypowiedzi przyniosły im jak najgorszą reputację, lecz zapoczątkowały wspaniałą przyjaźń.

Po szkole rodzenia przysła kolej na puby, następnie wspólne kolacje, a potem codzienne rozmowy telefoniczne oraz długie zimowe popołudnia, spędzane na picciu gorącej czekolady (Harriet) i herbatki imbirowej (Nicole).

- Nie wiem, co się stanie, jeśli będziesz ciągle piła ten płyn i ignorowała podwójne ciasteczka z czekoladą. Moje dziecko składa się w dwóch trzecich z ciasta orzechowego, a został jeszcze cały miesiąc.

- Mimo wszystko nie zamierzam przytyć ani funta więcej. Nawet dla ciebie. Bliźniaki równie dobrze mogą odżywiać się moimi biodrami przez następne kilka tygodni. Wczoraj w wannie po prostu się rozplakałam. To nigdy nie wróci do poprzedniego stanu.

„To” w przypadku Nicole było ogromnym, niepokojąco wystającym brzuchem. Patrząc jednak na nią z tyłu, nikt by się nie domyślił, że w ogóle jest w ciąży. Prezentowała się bajecznie we francuskich sukienkach, zaprojektowanych tak, aby uwydatniały ciążę.

Harriet z kolei utyla równomiernie na całym ciele, od czubka głowy do kostek u nóg. Od pierwszego trymestru przestawiła się na swetry od Marksa i Spencera, za duże o kilka numerów, szlochając spazmatycznie i zajadając czekoladę Toblerone, ilekroć w piśmie dla kobiet w ciąży natrafiła na zdanie: „Pożycz koszulę od męża - nie będzie miał nic przeciwko temu - i ożyw ją barwną apaszką”. Harriet wyrosła z ubrań Tima, jeszcze zanim pokazała mu dumnie niebieską linię w prostokątnym okienku testu. Oczywiście, że nie miałby nic przeciwko temu. Był mężem z serialu telewizyjnego, od początku nalegającym, aby nie brała do ręki nic cięższego od filiżanki herbaty i nie zajmowała się niczym, poza przeglądaniem katalogów z przerażająco drogimi ubrankami dla dzieci. Im bardziej tyła, tym wspanialej się zachowywał, był dumny i przejęty.

Choć Harriet bardzo podziwiała piękną figurę Nicole, bynajmniej nie zazdrościła jej Gavina, który okazał się znacznie mniej opiekuńczy. On także z trudem ukrywał podniecenie, zwłaszcza odkąd dowiedział się, że bliźnięta to chłopcy. W widoczny sposób jednak o wiele mniej zachwycał się nowymi kształtami żony. Cała ciąża i wpływ, jaki wywierała na Nicole, trochę go niecierpliwił. Raz warknął na nią w restauracji, kiedy po raz trzeci z rzędu musiała pójść do łazienki. Harriet i Tim wymienili znaczące spojrzenia i Harriet po raz kolejny zrozumiała, jakie ma szczęście.

Łączyło je o wiele więcej niż dzieci mające niebawem przyjść na świat. Były jedynaczkami, wychowanymi w konwencjonalnych rodzinach klasy średniej. Ich rodzice trwali w swoich małżeństwach i obchodzili srebrne gody na rejsach po Morzu Śródziemnym. Obie miały wyższe wykształcenie i lubiły

swoją pracę - Harriet w agencji reklamowej, Nicole w wydawnictwie - którą postanowiły porzucić, aby urodzić dzieci. Ta decyzja zarówno je przerażała, jak i podniecała. Każda z nich pragnęła znaleźć w drugiej przyjaciółkę na pierwsze trudne lata wychowywania malutkich dzieci.

Nicole zadzwoniła do Harriet, kiedy późnym wieczorem na sześć tygodni przed terminem odeszły jej wody. Gavin znajdował się w podróży i choć przyleciał pierwszym porannym samolotem, wszystko go ominęło. W szpitalu tętno jednego z bliźniaków zaczęło słabnąć i trzeba było przeprowadzić cesarskie cięcie. Strata Gavina okazała się zyskiem dla ich przyjaźni. Nicole wpadła w przerażenie, lecz panika trwała krótko. W jednej chwili siedziały brzuch przy brzuchu na szpitalnej sali, czekając na werdykt specjalisty i żartując na temat lukozy. Zaraz potem rozpoczęto cichą, lecz szybką akcję. Harriet została sama przy pustym łóżku, z zaręczynowym pierścieniem Nicole w jednej ręce i szklami kontaktowymi w drugiej. Wpatrywała się z natężeniem w brylancik, tłumiąc łyż strachu o Nicole i o siebie, aż w drzwiach ukazała się głowa pielęgniarki, oznajmiającej, że chłopcy się urodzili i zarówno oni, jak i matka czują się świetnie. Harriet zyskała więc pewne doświadczenie dzięki George'owi i Williamowi.

Sześć tygodni później Nicole jako jedna z pierwszych osób odwiedziła maleńkiego Joshuę, pojawiając się w sypialni Harriet z bliźniakami pod pachą i butelką szampana w ręku. Trzy noworodki leżały obok siebie na wielkim łóżu, z Joshuą pośrodku, a Harriet i Nicole upiły się na sentymentalnie jednym kieliszkiem, prorokując, że dzieci za siedemdziesiąt pięć lat, już jako starcy, będą mogły naprawdę powiedzieć, że znają się przez całe życie. Boże. Co za łotr z tego Gavina.

Harriet nadal pamiętała, jaki szok wywołało pierwsze nie mile odkrycie na jego temat. Kiedy Joshua miał kilka miesięcy, a ona sama wystarczająco schudła, przyjęła od dawna przekładane zaproszenie na lunch z koleżanką z agencji reklamowej. Lisa Clements była niepoprawną, lecz bardzo sympatyczną plotkarą. Harriet uznała, że ze wszystkich znajomych osób Lisa przyda się najbardziej. Zawsze wiedziała, co przydarzało się innym - na ogół jeszcze zanim sami się o tym dowiedzieli, ponieważ jej najlepsza przyjaciółka była asystentką dyrektora kadr. Szczęśliwie samotna, zagłuszała swym donośnym śmiechem tykanie zegara biologicznego. Zdażyły zjeść sałatę à la Cezar i wypić po kieliszku Chenin Blanc, gdy Lisa zapytała Harriet o „jej cudownego męża i prześliczne dziecko - ile on ma, swoją drogą?”.

Płeć najwyraźniej udało jej się odgadnąć, ale przypomnienie sobie imion było już widać zbyt wielkim wysiłkiem. Harriet nie chciała być zbyt drobnomieszczańska i zaściankowa, opowiedziała więc Lisie kilka krótkich i - miała nadzieję - zabawnych historyjek, które wymyśliła w pociągu. Wspomniała przy tym o swoich dobrych znajomych, Nicole i Gavinie. Z radością napomknęła: „Być może znasz Gavina. Jest dyrektorem kreatywnym w agencji Clarke, Thomas i Keeble”.

- O Boże, znać go? Cała masa dziewczyn go „zna”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Zdezorientowana Harriet spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc.

- To notoryczny podrywacz. Sypia ze wszystkim, co przed nim nie ucieka. Słynie z tego. Znasz Annę Johnson, która dla nich pracowała? Blondynka, nigdy nie nosi stanika...

Mieli romans. Moja przyjaciółka Pam z agencji sprzedaży mediów... nieskończone mnóstwo stażystek... Tak przynajmniej słyszałam. Całe tłumy. Zawsze czułam się urażona, że nie próbował niczego ze mną...

Lisa najwyraźniej miała zamiar kontynuować, lecz dostrzegła minę Harriet, przeraziła się, że ta doświadczy ataku histerii, i umilkła.

- Przepraszam, kochana. Słuchaj, może teraz się zmienił. Ojcostwo i tak dalej, to wpływa na face-tów, no nie?

Nie dopiły kawy. Lisa zaczęła się niezwykle spieszyć na prezentację budżetu, a Harriet miała zbyt sucho w ustach, żeby powiedzieć cokolwiek.

Oczywiście od tej chwili wszystko wyglądało inaczej. Po powrocie do domu nie była w stanie zadzwonić do Nicole na ich zwyczajową pogawędkę. Wieczorem, leżąc w łóżku, wściekła, opowiedziała wszystko Timowi.

Był mniej zaszokowany.

- Co za kutas. Nigdy nie podobało mi się, jak gapi się na kobiety, kiedy wychodzimy gdzieś razem. Zagaduje je w barach, ale nie myślałem, że jest na tyle głupi, żeby coś zrobić.

Uściskał jej ramię, potem pogłaskał czubek głowy synka, leżącego w objęciach Harriet.

- Kto chciałby ryzykować coś takiego? I jeszcze:

- Myślisz, że Nicole wie? Powiesz jej?

Co do tego Harriet była absolutnie zdecydowana.

- Na pewno nie. Raczej nie wie, jest zbyt zajęta bliźniętami. A jeśli wie i mi nie powiedziała, to znaczy, że nie chce o tym mówić. Jeśli nie wie, nie ja powinnam ją informować. Kiedy nas będzie potrzebować, zawsze będziemy przy niej.

Położyła mu głowę na piersi.

- Prawda?

- Na pewno.

Zawsze. My. Nas. Kiedy to było? Zaledwie sześć lat temu. Sześć długich lat. Zamknęła oczy i starała się wyobrazić, jaki był wtedy. Wysoki, silny, przystojny, spokojny i miły. Ze śmiechem w oczach. Optymista, dżentelmen. Zamyślony, lecz nie zatroskany. Mąż idealny. Niezwykły ojciec, który wstawał w nocy do dzieci, jak tylko przestała karmić piersią, i kołysał je delikatnie w rytm piosenek Vana Morrisona w pokoju na dole. Który co wieczór, zaraz po powrocie z pracy, jeszcze w garniturze, klękał na ziemi, żeby chwycić Josha i Chloe w objęcia, i cierpliwie wysłuchiwał historii o ich nieszczęściach i tryumfach. Przyносił co roku frezje w rocznicę ich pierwszej wspólnej kolacji. Przez większość nocy ujmował jej twarz w dłonie, mówiąc, że nie wierzy swojemu szczęściu i że bardzo mocno ją kocha.

A teraz? W sprzyjających okolicznościach był dokładnie taki sam. Co ostatnio nie zdarzało się zbyt często. To ja jestem czarną owcą, pomyślała Harriet. Zmieniłam się. Popełniłam błąd. Jestem świnią. Ale świnią z mnóstwem roboty. Drugie ja Harriet postanowiło uciszyć demony i zabrać się do sprzątnięcia. Przez

trzy dni będzie obowiązywał znajomy wzór: nie myśl o tym, to może samo zniknie. A może dostanę wrzodu żołądka. Ale jeszcze nie teraz.

Dokonując przeglądu panującego w domu chaosu, uznała, że wyrzucenie piekielnej Tracey było chyba przedwczesne. Tracey co prawda nie mogła żyć bez porannej telewizji i wmiatała kurze pod meble, ale i tak była lepsza niż nikt. Zawartość pokoju dzieciennego spłynęła - jak zawsze - na podobieństwo lawy do innych pomieszczeń. Na każdym dywanie czyhały gołe lalki Barbie, pojedyncze fragmenty układanek i zabronione kule brązowej plasteliny. Schody zaściewały nieukończona praca domowa (należąca do Josha) i rozrzucone ubrania (własność Chloe). Odświętny charakter nadawały całości resztki srebrnego konfetti z poprzedniego tygodnia, w którym wytarzał się nawet kot. Harriet wzięła swoją prawie zupełnie zimną kawę i opadła na najbliższy fotel, usuwając z niego jednocześnie elementy klocków lego. Postanowiła zacząć od najbardziej atrakcyjnego zajęcia: przeglądania porannej poczty. Nie była zainteresowana rachunkami, ale może znajdzie się między nimi jakiś katalog.

Najpierw uznała, że zaadresowana obcym pismem biała koperta to spóźniona pocztówka świąteczna od jakichś nieznanych krewnych. Kiedy wyczuła charakterystyczny gruby kartonik, nadal pozostała obojętna. Interesujący ludzie nie urządzali przyjęć w styczniu - znajdowali się na Barbados lub na farmach piękności. To pewnie jakaś potwornie nudna impreza jednego z klientów Tima, niewarta pięciu funtów za godzinę dla opiekunki do dzieci. Nagle jak piegowaty huragan pojawił się przy niej Joshua, a zaraz za nim Chloe, dziewczynka młodsza o dwa lata, lecz bardziej rozwinięta intelektualnie. Teraz, kiedy prawie bezustannie ze sobą walczyli, nie rzucało się to w oczy.

- Mamooo!

Okrzyk trwał co najmniej dziesięć sekund.

- Mamo! - powtórzono, w razie gdyby postanowiła ich zignorować.

- Próbuję oglądać *Mrówkę Zet*, a Chloe mi ciągle wyłącza.

- On schował pilota, a ja chcę oglądać *Śpiącą królową*.

- Ale to jest taaaakie głupie. I widziałaś to już z milion razy.

Joshua wyrecytował irytująco piskliwym głosem:

- Znam cię, tańczyłem z tobą raz we śnie - i zaczął wirować po pokoju, trzymając siostrę za jeden z kucyków.

- Auu! - wrzasnęła Chloe.

- Słuchajcie no, wy dwoje - zaczęła Harriet swoim najbardziej groźnym tonem, lecz w tym samym momencie spojrzała na zaproszenie w dłoni. Musi zachować spokój.

- Joshua, włącz siostrze *Śpiącą królową* w waszym pokoju. Potem możesz obejrzeć *Mrówkę Zet* w naszej sypialni, o ile zdejmiesz buty. Zaraz przyniosę wam picie i coś słodkiego. Uciekajcie.

I faktycznie tak zrobili, nie wierząc własnemu szczęściu. Bardzo luksusowa, gruba, kremowa kartka eleganckim pismem zapraszała ich w imieniu kompletnie obcej pary...

...na ślub córki Imogeny Amelii z panem Charlesem Andrew Roebuckiem o 16.00 w sobotę, 8 marca 2002 w kościele parafialnym St Mary, Dinton, Salisbury, Wiltshire. oraz na przyjęcie w Chatterton House, Teffont Evias.

W dalszej części została poproszona o odpowiedź wyżej wymienionym osobom, zgodnie z ogólnie przyjętą etykietą, i nabycie praktycznego, a zarazem eleganckiego prezentu z listy w Conran Shop. Potem będzie musiała zrzucić ostatnie funty, za które obarczała winą swoje czteroletnie dziecko, kupić nowy kapelusz i torebkę do kompletu, odnaleźć drogi na malutkiej, dołączonej do zaproszenia mapce, przyjechać o czasie, śpiewać w kościele, nie fałszując lub bardzo cicho, nie upić się Laurent Perrier i uroczo uśmiechać się do osoby, którą nadal uważała za największą miłość swojego życia, podczas kiedy osoba ta przysięga wierność na wieki komuś innemu.

Do diabła! Serce Harriet upadło na dywanik pod jej stopami. On po prostu nie może być zakochany w innej. Nie kocha naprawdę tej całej Imogeny Amelii (co za absurdalne imię) i z całą pewnością nie żeni się z nią. W porządku, Harriet żyła dalej, znalazła sobie kogoś, wyszła za mąż. Ale czyż Charles nie był pewien, że to pomyłka? On nie powinien żyć dalej jak gdyby nigdy nic.

Nie widziała Charlesa, odkąd była w ciąży z Chloe. Tamten lunch okazał się błędem. Miała zamiar wyglądać jak tryskająca zdrowiem „matka ziemia” i pokazać mu, co stracił. Ale w drodze do restauracji dostrzegła swoje odbicie w wystawie sklepowej i zdała sobie sprawę, że wygląda raczej jak kandydat do roli Moby Dicka. Charles właśnie poznał Imogenę, ale nie martwiło jej to zbytnio. Od zerwania chodził z kilkoma dziewczynami, ale żadna z nich nie zagrzała przy nim miejsca zbyt długo. Charles utrzymywał, że cieszy się wolnością (po tylu latach razem), lecz Harriet rozumiała, że był to szyfr, mówiący naprawdę: „żadna nie może się z tobą równać”. Od wspólnego znajomego usłyszała, że Imogena odciąga go od starych przyjaciół, ale wiedziała, że Charles się z tym nie pogodzi. Dla kogoś takiego jak on najważniejsza była niezależność, nie dało się go usidlić. Jeśliby się z kimś związał na stałe, to tylko z nią. Ta cała Imogena nie miała najmniejszych szans. Potem Harriet straciła kontakt ze wspólnym znajomym i spekulowała czasami w samotności, najczęściej pocieszając się, że Charles zawsze będzie jej żałował, jak Willoughby w *Rozważnej i romantycznej*. Miało być zupełnie inaczej. Zupełnie nie tak.

Harriet pobiegła na górę do łazienki, zrzuciła buty, ściągnęła sweter i wskoczyła na wagę. Cholera. Faktycznie. Osiem tygodni. Dwa funty tygodniowo (Cztery, jeśli ugotuje sobie kapusty, którą Nicole czasami jadła przez cały tydzień). Z łatwością jej się uda. Najwyższy czas wybrać się na zakupy. Coś czerwonego, najlepiej z dużym dekoltem. I bardzo wysokie obcasy. Harriet drżącymi palcami wepchnęła zaproszenie pod stos wyszczuplających majtek w najwyższej szufladzie komody i zeszła na dół, aby przyrządzić sobie herbatkę imbirową, którą trzymała w domu dla Nicole.

Polly

Polly wpadła do Susan do pracy. Był to jeden z ich wieczorów w Cafe Uno. Cztery kieliszki czerwonego wina, dwa talerze spaghetti carbonara, sałata do spółki - i świat odzyskiwał właściwe proporcje.

Były przyjaciółkami spod szkolnej bramy. Po raz pierwszy spotkały się piętnaście lat temu, kiedy Cressida i Ed poszli do szkoły podstawowej. Susan miała już pewne doświadczenie, ponieważ Alex chodził o klasę wyżej. Była wtedy dużo szczuplejsza, ale poza tym się nie zmieniła. Uważała, że urodziła się, wyglądając na trzydzieści pięć lat. O jej urodzie nie decydowały ubrania ani kosmetyki, lecz promieniująca aura zdrowego szczęścia. Piaskowe włosy, krótko przycięte mimo protestów Polly, były gęste i błyszczące, policzki zawsze różowe, a oczy pełne blasku. Wyglądała na szczęśliwą, ponieważ nią była, nie licząc zwykłych zmartwień i napięć pracującej matki, od czasu do czasu zdręczanej przez synów. Zawsze zrównoważona, pedantycznie uporządkowana i absurdalnie szczęśliwa w małżeństwie.

Kiedys opowiedziała Polly, że zanim spotkała Rogera, nie mogła się odnaleźć. W ustach innej osoby brzmiałoby to żałośnie. Poznali się na przyjęciu tenisowym, kiedy Susan była śmiesznie młoda. Od pierwszych sekund, po podwieczorku, wiedziała, że to „ten jedyny” - mityczne stworzenie, o którym szczęśliwi małżonkowie mogą opowiadać do mdłości. Susan nigdy nie powiedziała by „odkąd nasze oczy się spotkały” - to brzmiało zbyt afektownie! Nie, Roger musiał przejść wszystkie zwykłe etapy obserwacji, łącznie ze sprawdzianem truskawek ze śmietaną, zanim zdał egzamin. Całował ją „jak należy” za szpalerem buków, podczas kiedy ktoś po drugiej stronie wołał „set i mecz”. I tak się to zaczęło. Od tamtej pory zawsze byli razem.

Polly, która zawsze wołała się całować „jak nie należy”, także wyszła za mąż bardzo młodo (i, niestety, mniej szczęśliwie). Nie była nigdy pewna, czemu się zaprzyjaźniły albo czemu Susan w ogóle wtedy do niej podeszła. Polly wyglądała ekscentrycznie. Jej wściekle kręcone włosy sterczały pionowo do góry (à la Crystal Tips i Alistair) i nosiła szalone koszulki od Katharine Hamnett. Gdyby nie kochała tak bardzo

Cressidy, chętnie dołączyłaby do protestu kobiet z Greenham Common. Susan pewnie myślała, że Greenham Common to nazwa centrum ogrodniczego. Mimo wszystko zostały przyjaciółkami, nad filiżanką herbaty, która w końcu przeciągnęła się aż do pory odebrania dzieci. Przyjaźniły się od tamtej chwili, choć w wieku jedenastu lat ich dzieci poszły do innych szkół. Wtedy więc między nimi była już bardzo silna, zacieśniona dzięki paluszkom rybnym, dyskotekom, przeżyciom związanym z pracą domową i wszystkim, o czym tylko można pomyśleć. Po odejściu Dana Susan okazała się cudowna. Zabierała Cressidę i Daniela co wieczór do domu na podwieczorek, podczas gdy Polly i Dan rozwiązywali swoje problemy. Pierwszego lata po rozwodzie Susan z mężem zaprosili ją na wakacje w Dordogne. Spędziła tam dziesięć cudownych dni. Dzieci opaliły się na karmelowo, budując zamki z piasku, pluskając się w wodzie i z obrzydzeniem wzdrygając się na widok niepasteryzowanego, ciepłego mleka prosto od krowy, które co rano kupowała na farmie. Polly czytała, pływała, gotowała w wielkiej, chłodnej kuchni. Rany zaczęły się zablizniać. Roger i Susan nadal byli w sobie bardzo zakochani, nie czuła się jednak przez to zazdrosna, a raczej nabierała wiary w przyszłość. Chodzili na długie spacerunki, zostawiając ją na straży domowego cha-

osu. Po kilku godzinach wracali spaleni słońcem i konspiracyjnie uśmiechnięci. Kiedyś, gdy razem przygotowywały kolację, Susan sięgnęła po coś ręką i z pleców spadło jej źdźbło trawy. Zarumieniła się.

- Znowu całowaliście się „jak należy”? - przekomarzała się Polly.

Lubiła ją. Wiedziała, że Susan odwzajemnia sympatię. Pokrewne dusze? Chyba nie. Na pewno wypróbowane towarzyski. Najlepsze przyjaciółki.

W oczach pracowników Smith, March i May Polly była zawsze zorganizowana i elegancka, lecz stary ford fiesta zdradzał jej prawdziwą naturę: gazety, dokumenty, papierki po słodyczach, niedojedzone owoce, i na koniec jako ironiczny szczegół - malutkie pachnące drzewko, wydzielające słabą woń nikotyny, wiszące na tylnej szybie co najmniej od czterech lat.

Teraz Susan ostrożnie oczyściła butem odrobinę przestrzeni pod nogami, strzepnęła na podłogę okruszki i usiadła.

Polly wskoczyła do środka z drugiej strony, zapięła pas, zapaliła silnik i włączyła radio.

- Zgadnij, co dostałam na Gwiazdkę?

- Brylanty, perły, zmywarę do naczyń?

- Ciepło. Jack poprosił, żebym za niego wyszła. Nawiasem mówiąc, to rubin. Oświadczył się, kiedy zmywałam po świątecznej kolacji, w różowej, papierowej czapeczce na głowie. To ostatecznie dowodzi, że miłość jest ślepa.

- Wielki Boże! Gratulacje! Naprawdę szczerze ci gratuluję! Zgodziłaś się?

- Jeszcze nie odpowiedziałam. Kiedy Dan mnie poprosił o rękę, powiedziałam „tak”, zanim skończył zadawać pytanie. Kto raz się sparzył, i tak dalej.

- Ale w końcu powiesz „tak”?

- Nie wiem, Suze.

Polly popatrzyła na przyjaciółkę.

- Kocham Jacka. Jest miły i zabawny, świetnie dogaduje się z dziećmi, umie gotować i tak dalej - w teorii mąż idealny. Ale także jest flejtuchowaty, niezdecydowany i ma zbyt niefrasobliwy stosunek do życia. A ja przez tyle lat byłam samodzielna. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby ktoś się przy mnie kręcił przez cały czas.

- Potrzebujesz związku w typie Woody'ego Allena i Mii Farrow. Jack powinien kupić dom po drugiej stronie ulicy i odwiedzać cię co drugą noc. Polly ryknęła śmiechem.

- To by było idealne, dopóki nie uciekłyby z Cress! Ale serio, dlaczego mam psuć to, co mam? Nie jestem zwariowaną dwudziestoparolatką, rozpaczliwie szukającą męża.

- Nie - odparła powoli Susan. - Taka byłaś, kiedy zgodziłaś się wyjść za Dana. Teraz jest na pewno inaczej.

- Tak, pod pewnymi względami. Ale małżeństwo oznacza to samo, prawda? Jestem niezależna, mam własne pieniądze, własny kredyt. Mogę pić likier Cointreau z kubka i oglądać w łóżku filmy z Carym Grantem przez całą noc, jeśli chcę.

- W porządku, jak długo masz wystarczający powód, żeby mu odmówić.

Obie wysiadły z samochodu przed restauracją i Polly ze śmiechem popchnęła drzwi, czując znajomy zapach bazylii w ciepłym powietrzu.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Chyba po prostu się boisz. Boisz się zmienić wygodne status quo. Masz bzika na punkcie kontroli, bo przez wszystkie te lata robiłaś wszystko sama. A co myślą Daniel i Cress?

- Jeszcze im nie powiedziałam. Myślę, że Daniel chciałby, żeby Jack z nami zamieszkał. Nie jestem pewna co do Cressidy. Szczerze mówiąc, trochę się oddaliśmy od siebie, odkąd zaczęła ten kurs przygotowawczy, który zresztą uwielbia. To cudowne, widzieć jej entuzjazm. Chyba naprawdę odnalazła swoje powołanie, wiesz?

- To wspaniale. Tak jak Alex. Roger jest zachwycony, że postanowił studiować medycynę. Ale znowu mówimy o nich, zamiast o tobie. Naczelny grzech rodziców.

- Są o tyle bardziej interesujący od nas... mają wszystko przed sobą.

- I kto to mówi. Dziewczyna, która będzie wiosenną panną młodą. Czy to nie świetne lekarstwo na syndrom opuszczonego gniazda? A ja tkwię z Rogerem przez wszystkie te lata.

- No cóż.

Roześmiały się. Polly wiedziała, że małżeństwo Susan i Rogera jest solidne jak skała, i zazdrościła im. Nie dlatego, że tak długo trwało - wiele par zostawało razem ze strachu albo przyzwyczajenia i obchodziło kolejne rocznice ze sztucznym uśmiechem i banalnymi mowami. Oni jednak sprawiali wrażenie, że zawsze dążą do tego samego. Nie było to nudne ani beznadziejne, jak pomyślałaby może kiedyś, lecz dobre, prawdziwe i rzadkie. I skrajnie różne od jej pierwszych małżeńskich doświadczeń.

Wyszła za Dana pod wpływem impulsu. Był prowokacyjnie przystojny w sposób charakteryzujący niektórych młodych mężczyzn. Jak Billy Bigelow w *Karuzeli*. Napuszony paw, mówiła jej matka. Wiecznie bez grosza przy duszy, lecz Polly była zbyt oszołomiona jego urokiem i cudownym seksem, aby dostrzec, że to ona stawia drinki. Spotkali się na uczelni w późnych latach siedemdziesiątych, przeszli razem przez epokę narkotyków i dyskotek, bajecznie się bawili. Polly zostawiła swoich raczej tradycyjnych rodziców w ich bezpiecznej wiosce i jako pierwsza osoba w rodzinie poszła na studia. Dan uosabiał wszystkie jej marzenia. Był przemiły, jak zresztą zawsze, pod warunkiem, że nie wymagało się od niego zbyt wiele - czasu, pieniędzy, odpowiedzialności. Kiedy brali ślub w osiemdziesiątym drugim roku, była w ciąży. „Jesteś niemądra - powiedziała jej matka. - Wszystko stracisz”. Wtedy oczywiście Polly myślała, że to matka jest głupia. Cóż takiego utraci? Cha, cha, cha. W zawstydzająco szybkim czasie stała się samotną matką dwojga dzieci, która dokładnie wie, co straciła. Dan nadal się wokół niej kręcił. Po rozwodzie w osiemdziesiątym szóstym ożenił się znowu, z naiwną dziewczyną. Tina do dzisiaj patrzyła w niego jak w obrazek, pracując na dwóch etatach, aby spłacić kredyt. Na szczęście nie mieli dzieci.

A jednak Dan był dobrym ojcem. Na początku doprowadzało to Polly do szału. Ona harowała na utrzymanie, a Dan pojawiał się w soboty i zabierał dzieci do kina, na hamburgery albo na spacer po deptaku w Brighton. Potem przywoził je do domu, do starej, nudnej mamy, chorej od nadmiaru waty cukrowej.

Ale okazało się, że to jednak ona, nie on, zbiera owoce swego wysiłku. Chociaż kochały ojca - uprzejmie wymigując się od spotkań z Tiną - to do niej przychodziły ze swymi zmartwieniami i tryumfami, dylematami i dziwactwami. Były jej dziećmi i walczyłyby o nie jak lwica. Dan musiał się zadowolić drugim miejscem i, co należy przyznać, zaakceptował to z pokorą.

A więc znowu zastanawiała się nad wyjściem za męża. Przeżyła samotnie piętnaście lat, czyli trzy razy tyle, ile trwało jej pierwsze małżeństwo. Jack oczywiście różnił się od Dana, choć mieli kilka cech wspólnych. Polly umiała rozpoznać swoje słabości, nawet kiedy im ulegała.

Susan uśmiechnęła się do niej życzliwie. Zupełnie jakbym była jej córką, pomyślała Polly. Cieszy się. Myśli, że się zgodzę, bo jest wieczną optymistką. Wierzy w miłość, małżeństwo i happy end, czyli w to, co według mnie w ogóle nie istnieje. Boże, to ślubny odpowiednik fanatyczki religijnej, która chce cię nawracać. Za chwilę powie, jaka będę szczęśliwa, jeśli otworzę serce i wpuszczę do niego Jacka.

- No dobrze, dobrze. A więc „być może”. Zostawmy to na razie. Chwilowo jedyne pytanie, na jakie odpowiem pozytywnie, to: „Czy chcesz jeszcze wina?”.

- To dobra rzecz. Naprawdę.

Polly prychnęła i wykrzywiła się przerażająco, a Susan przyznała się do (chwilowej) porażki.

- Tak, oczywiście, więcej wina.

Po następnym kieliszku i przy sałacie zaczęły rozmawiać o spotkaniu klubu.

- To było trochę dziwne za pierwszym razem, ale dobrze się bawiłam.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio znajdowałam się w pokoju, w którym nie znałabym wszystkich. Nie, to nieprawda. Są spotkania w pracy i miejsca, gdzie chodzę z Jackiem i z dziećmi. Ale wtedy nie rozmawia się z ludźmi, prawda?

Na ogół to pobieżne rozmówki, jak u fryzjera. To okropnie niebrytyjskie zaczynać od poważnych rzeczy.

- Na szczęście nie było to strasznie sentymentalne, bo rozmawialiśmy o książce. W ten sposób można bezpiecznie poruszać poważne sprawy, w odpowiednim kontekście.

- Możliwe. Martwiłam się tylko, czy jesteśmy wystarczająco inteligentne. Dziewczyna u mnie w pracy należy do klubu, który wydaje się strasznie intelektualny. Rozmawiają o intrydze, wątkach, ironii i środkach wyrazu. To brzmi bardzo ambitnie.

- Myślę, że rozwiniemy się z czasem. Na pewno musimy najpierw bliżej się poznać.

- Chyba tak. W każdym razie treść jest bardziej interesująca. Czy uważasz, że ktoś taki jak... och, nie wiem, D.H. Lawrence, zastanawiał się nad motywami i środkami, czy po prostu pisał cholernie dobre historie prosto z serca? Chociaż *Kochanek lady Chatterley* pochodzi chyba z zupełnie innej części ciała.

- Jeśli uraczysz nas inteligentnymi komentarzami na tym poziomie, Polly Bradford, chyba nigdy nie rozwiniemy skrzydeł.

- Podobały mi się te kobiety. Ciekawy zestaw. Co wiesz o Clare? Wydawała się bardzo speszona.

- Mary, jej mama, pracuje ze mną. Kiedyś ją u nas spotkałaś, jestem pewna. To był jej pomysł. Zaprosiłam ją, ale powiedziała, że to nie w jej stylu. Pomyślała jednak, że Clare mogłoby się spodobać. Martwi się o nią, i to bardzo.

- Dlaczego?

- Clare najwyraźniej nie może mieć dzieci. Próbują od lat. Chyba nie samo zajście w ciążę jest problemem, lecz utrzymanie jej. Jakby jej ciało reagowało alergicznie.

- Boże, to okropne. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Zaszłam w ciążę praktycznie w momencie, w którym poszłam z Danem do łóżka.

- Wiem. Jest taka smutna, nie uważasz? Nigdy nie spotkałam jej męża - chyba pracuje w administracji college'u. Mary mówi, że jest bardzo miły. Jednak chyba oboje zaczynają odczuwać napięcie.

- Nic dziwnego. Chryste, Clare powiedziała, że jest położną. Codziennie pracować z kobietami w ciąży - to jak perwersyjny żart. Dziwię się, że ona to znosi. Czy nie mogą nic zrobić?

W tej chwili zadzwonił telefon Susan. Zaczęła używać komórki dopiero w zeszłym roku - przydała się w pracy. Normalnie nie włączała jej wieczorami, lecz dzisiaj zapomniała wyłączyć. Odebrała, bezgłośnie mówiąc „przepraszam” w stronę Polly.

- Tak, kochanie? Wszystko w porządku?

- Tak, a przynajmniej mam taką nadzieję. Czy mama może jest z tobą?

- Nie. Zostawiłam ją po południu u Mabel i powiedziałam, że odbierzesz ją po dyżurze. Myślałam, że już jesteście w domu. Przypominałam ci o tym rano.

- Tak, ale kiedy przyjechałam do Mabel, powiedziała, że Alice wyszła. Miała zamiar przejść się spacerem do przychodni, zaczerpnąć świeżego powietrza. Pomyślałem, że może zmieniłaś zdanie i wzięłaś ją ze sobą.

- Nie. Gdzie jesteś teraz?

Susan poczuła narastającą panikę.

- Wróciłem do domu, bo pomyślałem sobie, że Mabel źle zrozumiała i Alice złapała powrotny autobus, ale nie ma jej.

- O Boże. Co zrobimy?

Susan zaczęła intensywnie myśleć. Alice miała na sobie grubą zimowy płaszcz w jodełkę, ale co z rękawiczkami, czapką, szalikiem? Nie pamiętała, czy sprawdziła to przed wyjściem. Pewnie uważała, że są niepotrzebne - Alice jechała tylko do Mabel, a potem prosto do domu w ciepłym samochodzie Rogera. A jeśli upadła i leży teraz gdzieś na zimnej i twardej ziemi?

Roger odgadł jej uczucia.

- Wróciłem i przeczesałem całą trasę od domu Mabel do przychodni - nie ma po niej śladu. Przychodzi ci do głowy ktoś, na kogo mogła wpaść przypadkiem i kto zaprosił ją do domu?

- Raczej nie, nie po ciemku. Boże, nie wiem, co zrobić.

- Lepiej zadzwonię na policję. Czy sądzisz... Poczekaj, ktoś dzwoni do drzwi. To na pewno ona, kochanie. Poczekaj chwilkę.

Przez kilka długich sekund Susan nasłuchiwała stłumionego głosu Rogera, starając się wychwycić wyższy ton Alice. Potem mąż odezwał się znowu.

- Suze? To był policjant. Nie martw się, znaleźli ją. Chyba się zgubiła. Wiesz co? Powinnaś zostać z Polly. Ułożę ją na kanapie i wszystkiego się dowiem. Jak wrócisz, sama z nią porozmawiasz. Nie będziesz zbyt późno, prawda?

- Zaraz wracam. Śmiertelnie się wystraszyłam. Nie uspokoję się, póki jej nie zobaczę.

Dała znak Polly, która uśmiechnęła się do niej i podniosła rękę, żeby przywołać kelnera.

Po odejściu przyjaciółki Polly wyjęła z portfela kartę kredytową i zaczęła oglądać serdeczny palec. Powróciła pamięcią do świątecznego poranka. W Wigilię Jack po raz pierwszy został na noc. Już wcześniej spali razem przez całą noc - Jack zabrał ją na weekend do Edynburga - ale jeszcze nigdy u niej w domu, z dziećmi. To był pomysł Cressidy.

- Daj spokój, mamó. W czym problem? Oboje wiemy, co jest grane. - I parodiując Polly: - Już wolę, żebyście spali razem w bezpiecznym miejscu, niż robili nie wiadomo co, nie wiadomo gdzie. Przynajmniej wiem, gdzie jesteście.

Daniel zarechotał.

- Poza tym lubimy Jacka, prawda, Danny? To fajny facet. Po co odsyłać go do domu na trzeźwo tylko po to, żeby rano wstał i tu wrócił?

Kilka tygodni wcześniej Polly ostrożnie poruszyła temat obecności Jacka u nich w domu. Po odejściu Dana zawsze spędzali Gwiazdkę tylko we troje. Według Polly szczęśliwe święta dowodzą, że jest dobrą samotną matką. Cressida i Daniel entuzjastycznie odnieśli się do tej propozycji - nieomal obraźliwie spragnieni nowego towarzystwa, pomyślała Polly.

- Nie jesteśmy już dziećmi, wiesz.

A któż o tym wiedział lepiej niż ona?

W końcu przekonali ją, aby pozwoliła Jackowi zostać na noc. Obudzili się razem w jej wąskim łóżku („przestań, ty draniu, bo dzieci usłyszą” - chichotała Polly), z twarzami tuż przy sobie na poduszce, i wyszeptali „wesołych świąt”, uśmiechając się konspiracyjnie. Spędzili cudowny dzień. Jack kupił szampa, którego wypili, stojąc wokół choinki i jedząc kanapki z łososiem, gdy Cressida i Daniel otwierali prezenty, oboje nagle znowu dziecinni wydając okrzyki entuzjazmu pośród stert papieru i rozdartych opakowań. Później wyszli z domu, dzięki Jackowi zwolnieni z obowiązku siedzenia z matką. Cressida ze swoją grupką znajomych i chłopakiem, Joem, do pubu, a Daniel, uzbrojony w najnowszą wersję Playstation, do

swojego przyjaciela, Petera, któremu rodzice nie zabraniali gier komputerowych w czasie świąt. Polly i Jack poszli do łóżka i kochali się, długo i delikatnie.

Dużo później, kiedy dzieci wylegiwały się na kanapie, oglądając obowiązkowe kino rodzinne, Jack powiedział:

- No chodź, kobieto, pozmywamy wreszcie. Nie cierpię wyciskaczy łez. Już raczej wolałbym Angeli Rippon w obcisłych siatkowych pończochach. To byłby właściwy prezent!

- Ty lubieżny staruszk! - Polly rzuciła w niego poduszką.

Jack objął ją w pasie, gdy stała przy zlewie i zmywała szklanki.

- Naprawdę cię kocham, Polly Bradford.

Nigdy dotąd tego nie powiedział. Polly zjeżyły się włoski na szyi.

- Wyjdiesz za mnie.

To nie brzmiało jak pytanie. Serce zaczęło walić jej dwa razy szybciej. Była zadowolona, że Jack nie może dostrzec jej twarzy. Czy mówił poważnie?

Musiał wyczuć, że zeszytniała z zaskoczenia, ponieważ puścił ją i podniósł jedną ze szklanek, którą następnie powoli i dokładnie wytarł. Polly obróciła się i trzepnęła go po rękę ścierką do naczyń.

- Wyjść za fetyszystę i wielbiciela Angeli Rippon? Chyba żartujesz. Musiałabym czytać wiadomości w czasie seksu.

Popatrzyła na niego z niemym błaganiem w oczach. Nie każ mi dzisiaj odpowiadać.

Jack zrozumiał. Przyciągnął ją do siebie za rękę i zaczął łaskotać.

- No już, uderz mnie jeszcze raz! Bądź dla mnie bardzo surowa, panno Rippon! Proszę!

W nocy, w łóżku, Polly prawie już zasnęła, kiedy Jack, przytulony do jej pleców, z jedną ręką ciężko przerzuconą przez piersi, odezwał się:

- Mówiłem serio. Wyjdź za mnie, Polly. Właśnie tego chcę. Będzie nam dobrze. Jestem szczęśliwy. Ty też.

- Oczywiście, że jestem. Tylko... Jack przycisnął ją ramieniem.

- Tss, nie żądam odpowiedzi natychmiast. Tylko pomyśl o tym. Proszę.

Polly wzięła go za rękę i mocno uścisnęła. Po kilku minutach jego oddech się zmienił: Jack usnął. Polly zajęło to trochę więcej czasu.

Osiem dni później, rankiem drugiego stycznia, Polly wbiegła do domu po odmrażacz, ponieważ jej samochód pokrył się w nocy grubą warstwą lodu. Obok szafki w przedpokoju leżało małe, błękitne, skórzane pudełeczko. Pod nim znajdowała się zwykła, brązowa nalepka na bagaż, na której Jack napisał „Włóż mnie”.

Kiedy wróciła do domu, Jack drzemał w fotelu. Pochyliła się nad oparciem i pocałowała go w czubek nosa. Obudził się gwałtownie, zrzucając z kolan gazetę. Okulary połówki zsunęły się z nosa.

- Chryste, Jack, do idealnego wcielenia podtatusiałego robotnika brakuje ci tylko słuchowiska radiowego, wełnianych rękawiczek bez palców i tabakierki.

- Czy mężczyzna nie może nawet się zdrzemnąć przy domowym ognisku po całym dniu ciężkiej pracy, żeby się z niego nie wyśmiewano?

- Po pierwsze, to moje ognisko domowe. Po drugie, jesteś prawnikiem, a nie górnikiem. Po trzecie, podobno miałaś zajmować się dziećmi. Gdzie one są?

- Nikt właściwie nie zajmuje się twoimi dziećmi, kochanie, od mniej więcej dziewięćdziesiątego trzeciego. Cressida chyba umówiła się z Joem, wspominała coś o koncercie nowego zespołu. Daniel natomiast, choć niewątpliwie zachwycony moim towarzystwem, poszedł do łóżka jakieś pół godziny temu. Ma jutro klasówkę z geografii.

- Wiem. Może i są to dzieci z kluczem na szyi, ale jestem dobrze poinformowaną matką. Powiedział mi dzisiaj rano. Dałeś im coś na kolację?

- Rybę i frytki. Szczerze mówiąc, miałem paskudny dzień. Jacyś chorzy ludzie bez końca procesują się o opiekę nad dziećmi.

- Kochanie, strasznie mi przykro. To brzmi raczej ponuro. Chcesz o tym opowiedzieć?

- Raczej nie. Nie chcę ich wpuszczać do domu. Mogliby wszystko zapeszyć.

Wstał i przytulił ją.

- Wolę już posłuchać, co wy dzisiaj robiłyście.

- Byłyśmy tylko z Susan w Cafe Uno, to nie impreza Ann Summers.

- Nie uwierzysz, jak bardzo mężczyźni fascynują damskie plotki, Pauline Bradford. Wszystkiego, co wiem o kobietach, nauczyłem się, podsłuchując.

- W takim razie szkoda, że nie nauczyłeś się więcej, prawda? - roześmiała się Polly. - Au! - Jack uszczypnął ją w pupę.

- Poczekaj, właściwie to powinnam zadzwonić do Susie. Musiała wyjść wcześniej. Coś z Alice... to potrwa chwilę. Czy kochasz mnie na tyle, żeby zrobić mi filiżankę herbaty?

- Susan? Tu Poll. Pomyślałam, że dowiem się, co z Alice. Czy wszystko w porządku?

- Sama chciałabym wiedzieć. Dziwnie się zachowywała.

- Jest teraz z tobą?

- Leży na kanapie z butelką gorącej wody, zastanawiając się, o co tyle krzyku. Wyszła sama od Mabel. Znalazła ją policja. Miała w torebce nasz adres, więc przywieźli ją do domu.

- Co robiła?

- Oświadczyła im, że idzie do domu. Zapytali, czy wie, dokąd. Podała adres Eaton Close 68. Dlatego to takie dziwne. Tam mieszkali z ojcem zaraz po wojnie, tam urodziłyśmy się ja i Margaret. Przeprowadziła się dawno temu, po śmierci taty.

- O rany.

- Kiedy otulałam ją kocem, powiedziała coś takiego... Powiedziała, że tata by się o nią martwił.

- O Boże, Susan. A co na to Roger?

- Mówi, że trzeba ją przebadać. To mogą być różne rzeczy, coś okropnego albo nic takiego. Uważa, że trochę się postarzała ostatnio. Ale, Polly, ona ma dopiero siedemdziesiąt jeden lat. W naszych czasach to nie jest specjalnie podeszły wiek.

Susan była na krawędzi płaczu. Polly pragnęła zapewnić ją, że to na pewno nic takiego, ale nie potrafiła. To brzmiało całkiem poważnie.

- Zadzwoń do mnie, kiedy pójdziesz z nią do lekarza, dobrze? Obiecujesz? I spróbuj się nie zamartwiać.

- Lepiej wrócę do niej. Zadzwonię. Dziękuję.

Polly opowiedziała o wszystkim Jackowi, kiedy kończył przyrządzać herbatę. Oparła się o blat, obserwując, jak wyciska torebkę, żeby herbata była mocniejsza, dolewa mleka.

- Może wpadniesz do niej jutro? - zapytał. - To brzmi dość niepokojąco, prawda?

- Rzeczywiście. Susan uwielbia Alice. Zawsze trochę im zazdrościłam - moja matka to prowincjonalne wcielenie Joan Crawford. Nie wiem, co Susan bez niej pocnie.

- Takie jest życie, prawda? Matka, córka, matka. Jest przecież Roger i chłopcy. I ty. Mam tylko nadzieję, że jeśli to coś poważnego, nie będzie się ciągnąć przez całe lata. To takie upokarzające i okrutne dla rodziny, która musi na to patrzeć. Jakie to dziwne, swoją drogą, że wróciła do lat sześćdziesiątych. To samo przytrafiło się mojemu ojcu. Był zdrowy i szczęśliwy w północnej Afryce ze Szczurami Pustyni. Tak naprawdę był rok osiemdziesiąty piąty, a ojciec od czterdziestu lat nie wybrał się dalej niż do Bretanii. Lekarz powiedział nam, że czasami wracamy do najszcześniejszego okresu w swoim życiu. To wielki komplement dla męża Alice. Mózg to niezwykła rzecz.

Wstawił mleko z powrotem do lodówki.

- A więc, pani Bradford, do jakich czasów pani najchętniej by wróciła?

Polly uśmiechnęła się. Przeżyła wiele szczęśliwych okresów. I kilka naprawdę okropnych. Zdała sobie sprawę, że nie liczy już na wielkie szczęście. Była zadowolona. To miłe uczucie. Swobodnie. Bezpiecznie. Kto by nie chciał tak się czuć? Oraz, pomyślała nagle, obserwując jego wysoką sylwetkę pochyloną nad zlewem, była trochę zakochana.

- Chyba dwa tysiące drugi. Na razie to świetny rok. Jack?

- Herbatnika?

Wyjdę za ciebie. Odpowiedź brzmi tak. Wyraz twarzy Jacka, gdy się do niej odwrócił, sprawił, że poczuła się fantastycznie. Pomyśleć, że uszczęśliwiła kogoś jednym słowem. Uderzył pięścią powietrze w geście tryumfu.

Cressida

- Co się dzieje, Cress? - krzyknął Joe ponad straszliwym hałasem dobiegającym ze sceny za nimi. Siedziała w łazience całe wieki, a gdy wróciła, wyglądała naprawdę bardzo dziwnie, jakby płakała albo się czegoś przestraszyła.

- Stało się coś?

Cressida potrząsnęła gwałtownie głową. Potem, pochylając się nad nim, krzyknęła mu prosto do ucha:

- Spadajmy.

Odwróciła się i pociągnęła go w stronę oświetlonego znaku z napisem „Wyjście”. Przepchnięcie się przez tłum zabrało im kilka minut, lecz cały czas trzymała go mocno za rękę. Na zewnątrz oparli się o ścianę, wdychając świeże powietrze, przyzwyczajając się do ciszy, która nagle zapanowała wokół.

- W porządku, Cress? Dziwnie wyglądasz.

- Nie czuję się dobrze w tłumie - koncert też nie bardzo mi się podoba. Lider uważa się za Kurta Cobaina, ale przypomina mojego brata w kąpieli. Właściwie to nawet Danny lepiej śpiewa. Co za ego!

- Ja też już miałem dosyć. Chodźmy się czegoś napić. Cressida spojrzała na niego.

- Nie bardzo mam ochotę.

- Wiem, na co ja mam ochotę. - Joe pochylił się nad nią i pocałował ją w ucho. Objął ją, przyciągając biodrami do siebie. Przysunął usta do jej ust. Cressida wyprostowała się i owinęła szczelnie kurtką, chowając dłonie głęboko w rękawach i przeskakując z nogi na nogę.

- Nie tutaj, Joe. Jest okropnie zimno.

- To chodźmy do mnie. Starzy wyszli. Chcesz obejrzeć moją kolekcję znaczków?

Przesunął dłonią po jej pośladkach.

- Joe, czy tylko o tym potrafisz myśleć? - warknęła ostrym, zniecierpliwionym tonem.

- Przepraszam! O co ci chodzi? Wiesz, że to nieprawda, Cress, ale w niedzielę wracam do Warwick i pomyślałem sobie, no wiesz... Po prostu odkąd przyjechałem, nie spędziliśmy razem zbyt wiele czasu. Czy coś się stało? Co zrobiłem źle?

Cressida spojrzała mu prosto w oczy. Wydawał się zraniony i jakby młodszy. Odezwała się ponownie, łagodniej.

- Nic, Joe. Przepraszam, to moja wina. Zachowuję się jak ostatnia świnia. Może to przez okres. Słuchaj, po prostu chcę już iść do domu, być sama i położyć się wcześniej spać. Rozumiesz?

Joe wyglądał na ułagodzonego. Uśmiechnął się i wziął za rękę dziewczynę, którą kochał, odkąd skończył czternaście lat.

- Nie ma sprawy. Do domu James, i nie oszczędzaj koni. Nie musimy rozmawiać po drodze, milady.

Później, kiedy grzebała w kieszonce dzinsów w poszukiwaniu klucza, obrócił ją ku sobie i przyjrzał jej się w świetle lampy nad drzwiami.

- Cress? Wszystko w porządku, prawda?

- Oczywiście. Po co mamy teraz o tym mówić? To do ciebie nie pasuje. Masz wyrzuty sumienia, czy co?

Joe ze złością potarł twarz rękawem swetra.

- Ja nie. A ty?

Pytanie, a właściwie oskarżenie, zawisło w zimnym powietrzu. Pierwszy semestr bez niej faktycznie nie był łatwy. Uniwersytet był taki nowy, przerażający, lecz zarazem wspaniały. Chodzili ze sobą od szóstej klasy, razem zdawali wszystkie egzaminy, razem wypełniali formularze na wyższe uczelnie, śmiali się ze swoich podań i marzyli. Joe uważał, że zwariowała, zostając w domu, aby na miejscu uczęszczać na kurs przygotowawczy. Pokłócili się wtedy i oskarżył ją o tchórzostwo. Pogodzili się, oczywiście, w czasie pełnego alkoholu lata tuż po maturze. Cressida obiecała, że przyjedzie do Warwick - jako smutna narzeczona z rodzinnej miejscowości - i zepsuje mu humor na zabawie pierwszego roku. Odparł, że będzie dumny i że każdy rozpozna ją z fotografii w jego pokoju. Joe wyobrażał sobie, jak siedzą w jego małej sypialni na wąskim łóżku i to, co mogłoby się tam wydarzyć daleko od domu. Może wreszcie pozwoliłaby mu się ze sobą kochać i byłiby tak blisko, jak zawsze tego pragnął. Ale nie przyjechała. Przez cały semestr obiecywała i odwoływała w ostatniej chwili - nie czuła się dobrze, miała we wtorek do oddania ogromną pracę, której nawet nie zaczęła pisać, mama chciała ją gdzieś zabrać. Sąsiad z pokoju obok żartował, że Joe ma wymyśloną dziewczynę.

Issie, ładna studentka ze śródownej grupy, z którą zawsze pił kawę po zajęciach, zasugerowała łagodnie, że może Cressida odkochała się w czasie rozstania. Kiedy jej siostra poszła na studia, była zaręczona z policjantem, lecz po dwóch tygodniach spotkała kapitana drużyny rugby i porzuciła narzeczonego. Cressida nie zerwała z nim. Zawsze była taka smutna, taka delikatna, kiedy nie mogła dotrzymać słowa. Powtarzała, jak bardzo czeka na jego przyjazd na święta. Jak przyjemnie będzie spotkać się znowu ze starą bandą, rozsianą teraz po całej Anglii. Powiedziała, że nadal go kocha. A może tylko pozwoliła, aby to on powiedział. Nie mógł sobie teraz przypomnieć. Ale martwił się. Gwiazdka przyszła i minęła, Nowy Rok także, i jutro miał wrócić na uniwersytet. Już cały semestr minął i całe ferie. Nie kochali się. Nawet nie spędzili jednego wieczoru sami. A teraz zapytał, czy ma coś do ukrycia. Patrzyła na niego ze łzami w oczach. I nie odpowiadała.

O Chryste.

- Boże, Cress, o co chodzi? Po prostu mi powiedz. Cressida potrząsnęła głową.

- Nie teraz. To nic takiego. Nie bądź głupi. Jutro wyjeżdżasz. Nie mówmy o tym teraz.

Joe poczuł ukłucie lęku, a potem ogromne zmęczenie. Wiedział, co się wydarzyło. Właściwie wiedział nawet dlaczego - nie był idiotą i rozumiał, że związek na odległość miał marne szanse. Mógł zmusić ją do wyznania, o co chodzi: że nie jest już tak samo jak kiedyś, że wszystko się skończyło, że najlepiej będzie skończyć to teraz, i że byli razem szczęśliwi... Chyba wiedział to już od kilku tygodni. Mogliby wejść do środka, zrobić sobie coś gorącego do picia, gadać godzinami, trzymać się w objęciach i opłakiwać spodziewany koniec swojej młodej miłości. Jakaś mała część w nim szeptała, że wszystko będzie dobrze. Wyobraził sobie, jak opowiada o wszystkim Issie, gdy piją razem kawę w Warwick. Teraz jednak nie miał energii na przechodzenie tego wszystkiego z Cressidą. Najbardziej na świecie chciał znaleźć się w domu,

sam i nie patrzeć na jej twarz. Ogromnym wysiłkiem woli pocałował ją w policzek, muskając kręcone włosy.

- Masz rację. Uważaj na siebie. Do zobaczenia, Cress. Na razie.

I odszedł.

- Cześć Joe.

Nie umówili się na rano i Cressida nie miała złudzeń: Joe nie przyjdzie. To koniec. Nie odczuła ulgi, kiedy odszedł, nie nalegając na wyjaśnienia. Czowała się podle. Ale nie miała siły, aby myśleć jeszcze i o nim.

Nicole

Druga trzydzieści nad ranem. Prześcieradło po stronie Gavina było chłodne. Nicole przekręciła się na nie z ulgą. Gorąca i rozdrażniona leżała bezsennie godzinami na swojej połowie łóżka. Przy telefonie znalazła wiadomość, zapisaną łamaną angielszczyzną Cecile: „Pan Thomas pracować późno. Może nie przychodzi do domu”. Gavin zadzwonił godzinę potem.

- Kochanie! Dostałaś kwiaty?

- Tak. Są przepiękne. Dziękuję.

- Nie bądź taka.

- Jaka?

- Zimna i wyniosła. Naprawdę mi przykro, sama wiesz. Z powodu opery.

- Tak. Gdzie jesteś?

- Nie dam rady wrócić, dziecinko. Ci z kreatywnego mają potworne kłopoty z prezentacją, którą trzeba oddać pod koniec tygodnia. Muszę zakasać rękawy i zabrać się do roboty. Właściwie to bardzo fajne.

- Z pewnością.

Gavin najwyraźniej postanowił ignorować sarkazm.

- Zamierzam się zaraz do tego zabrać, przerobić wszystko jeszcze raz, a potem pójdę się zdrzemnąć w klubie.

Nic dziwnego, że jest taki dobry w swoim zawodzie, pomyślała Nicole gorzko. Dwuznaczne wypowiedzi przychodziły mu bez wysiłku. Dawno przestała próbować dojść prawdy. Być może nawet nie kłamał. Z drugiej strony jednak zabieranie się do czegoś, przerabianie i drzemka w klubie wcale nie musiały oznaczać kampanii promocyjnej nowego detergentu. Kiedyś usiłowała go przyłapać, telefonując do klubu wcześniej rano z jakimś pilnym pytaniem o dom lub dzieci albo zadając drobiazgowo wyreżyserowane, banalne pytania podczas kolacji. Starła się kochać z nim zawsze w noc po powrocie. Czemu? Żeby zobaczyć, czy nadal był zainteresowany? Czy nauczył się nowych sztuczek, czy ma wystarczająco dużo energii? A może aby udowodnić swoją wyższość nad innymi kobietami? Że lepiej od kochanki na jedną noc czy biurowego podrywku wie, jak go dotykać? Jak długo jeszcze będzie się starać?

- Jak uważasz.

- Dzięki, kotku. Jesteś super. Wynagrodzę ci to w weekend. Obiecuję. Może zamówisz opiekunkę na sobotę? Zapraszam cię na kolację. Sama wybierz miejsce.

- Dobrze.

Nicole nienawidziła samej siebie za to, że się cieszy, ale nie umiała tego zmienić. Zobaczy, czy Cressida zechce posiedzieć z dziećmi. Może pójdzie do fryzjera i do kosmetyczki w piątek po południu. Włoży prześliczną sukienkę, wybierze romantyczną restaurację ze świecami i sprawi, że przyjmie ją z powrotem do serca i do łóżka. Jak zawsze.

- Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc.

Kilka dni później Nicole malowała usta ciemnoczerwoną szminką w miękko oświetlonej damskiej toalecie jednej ze swoich ulubionych restauracji.

Kiedy wróciła do stolika, Gavin napełnił jej kieliszek cudownym viognier - jej ulubionym winem. Pili je w czasie poślubnego śniadania. Musi przyznać, że dziś wieczorem Gavin dokładnie wie, co należy robić. Niestety, oceniała go tylko na etapie przystawek. Kiedy kelnerka podała im główne dania, Nicole znowu była całą duszą po stronie Gavina. Cień jej własnego ja stał obok, przyglądając się wydekoltowanej, jedwabnej sukience, i potrząsał z niesmakiem głową. *Encore une fois*, powtarzał. Już gdzieś widzieliśmy ten film. Ale nie mógł zepsuć jej nastroju.

- Czy próbujesz mnie upić? - zapytała.

- A skąd. Musisz się odprężyć, aby cieszyć się resztą wieczoru.

Pod stołem położył rękę na jej kolanie, wysyłając przyjemne drżenie w górę uda. Od dawna już jej tak nie dotykał. Nie śmiał.

- Całego wieczoru.

- Co masz na myśli?

Flirtowała z nim bezwstydnie. Przysunął usta do jej policzka.

- Cokolwiek zechcesz, Nicole. Wyprostował się nagle.

- Ale najpierw chcę ci przedstawić pewien plan. Zastanawiałem się, jak ci wynagrodzić wszystkie te wieczory i noce, które spędzam poza domem.

Typowy Gavin. Nicole zeszywniała, czując, jak niechęć podchodzi jej do gardła. Gavin wsunął rękę do wewnętrznej kieszonki marynarki, wyciągnął bilety lotnicze British Airways i położył je obok jej talerza. Nicole podniosła je chciwie i otworzyła pierwszy z wierzchu. Wenecja.

- Zaplanowałem wszystko na przyszły miesiąc. Twoja matka zgodziła się wziąć dzieci na weekend. Stawilem nawet czoło Harriet, która uważa, że nie ma najmniejszego problemu z podwożeniem ich do szkoły. - (Harriet w istocie wyraziła się następująco: „Ja myślę. Mam nadzieję, że to Danieli. I że zaplanowałeś długą wycieczkę do Gucciego”. A do Tima później: „Plasterek na otwartą ranę! Świnia!”).

- Au pair zostanie w domu. Chyba pomyślałem o wszystkim. Chcę ci zrobić przyjemność. Zatrzymamy się znowu u Danielego. Tym razem może będzie chłodniej.

Gavin uważał, że Wenecja, dokąd wybrali się w podróż poślubną, była śmierdząca, pełna pstrykających zdjęcia Japończyków i trochę nudnawa. Dla Nicole jednak symbolizowała baśniową epokę jej małżeństwa. Gorąco było z całą pewnością i odkrywając to cudowne miasto, musieli często robić przystanki na bellini i campari z wodą sodową. Popołudniami w ich apartamencie panowała tropikalna temperatura. Wieczorami było chłodniej, w trakcie długich, leniwych kolacji i spacerów oraz - na jej prośbę - przejażdżki gondolą. Leżeli oparci na czerwonych poduszkach w kształcie serc i całowali się do utraty tchu.

- Gavin! To wspaniale! Cudownie. Dziękuję.

Nagle spowaźniał.

- Wiesz, że cię kocham, Nicole. Prawda? Zarzuciła mu ręce na szyję i wyszeptała:

- Wiem. Wybaczam ci. Chodźmy do domu.

Następnego dnia rano, po odwiezieniu dzieci do szkoły, kiedy spotkała się z Harriet w kawiarni Starbucks, Nicole nadal mruzczała z przyjemności. Przy ladzie, słuchając paplaniny przyjaciółki o jakimś spotkaniu rodziców, zamówiła to, co zawsze: „Dużą kawę americano, bułeczkę z makiem, kawę latte z bitą śmietaną i ciastko czekoladowe”.

- Nie, nie - wtrąciła Harriet. - Dla mnie herbata bez mleka. I żadnego ciastka.

Nicole spojrzała na nią zdumiona.

- Masz dzień dobroci dla organizmu?

- Nie tylko dzisiaj, całą cholerną wiosnę - parsknęła Harriet, kiedy usadowiły się na aksamitnej kanapie.

- Opowiadaj, co się stało.

- Zaraz. Najpierw ty mi opowiedz. Jak tam Gburowaty Gavin? Roztoczył przed tobą wizję wielkiej, pełnej seksu wycieczki, którą dla ciebie zaplanował?

- Nie bądź okropna.

- Wybacz, ale gdy się dowiedziałam, że idziecie do Chez Gaston - zamawiając zapewne viognier - uznałam, że zachował sobie wyjazd na deser, żeby przypieczętować cały interes.

- Muszę chyba przestać ci o wszystkim opowiadać. I tak za dużo już o mnie wiesz - zaśmiała się Nicole żałośnie. - Jaki interes?

- No wiesz, powrót do małżeńskiego łóżka, umowę z najemcą, odzyskanie uwielbienia żony. Która bynajmniej nie jest wystarczająco wroga, jeśli mnie pytasz o zdanie.

- Wcale cię nie pytam.

- Nie obrażaj się, Nic. Nie próbuj zaprzeczać. Wyglądasz jak kobieta, która bzykała się do ostatnich minut przed budzikiem. I to jeszcze w dzień powszedni!

Nicole spojrzała na nią bezradnie.

- Słuchaj, wcale mnie to nie dziwi, to normalny cykl twojej choroby. Po prostu, jako twoja najlepsza przyjaciółka i mądrzejsza połowa w naszym duecie, rezerwuję sobie prawo przypominania, jaką jesteś idiotką.

- Posłuchaj, wcale nie mam zamiaru opowiadać, że tym razem będzie inaczej...

- To dobrze, bo mówisz jak jedna z tych zrozpaczonych kobiet w telewizji.

- Po prostu... no wiesz. On jest moją piętą achillesową. Kocham go.

Powiedziała to tonem Nancy z *Olivera Twista*.

- Nie przejmuj się. - Harriet ścisnęła ją za ramię. - Jesteś podobna do miliardów innych kobiet w historii. Wiem, że nic nie możesz poradzić. Mogę tego nie pochwalać, ale rozumiem. Szczerze. A więc... Wenecja. Tym razem musi być mu naprawdę przykro.

- Chyba tak.

Harriet rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Już dobrze, dobrze. Wszystko mi jedno. Ostatnim razem spędziliśmy tam niezwykle, orgazmiczne, bajecznie romantyczne dni.

- Nic, każdy tak ma w czasie miesiąca miodowego. Nawet ja i Tim mieliśmy swoje momenty na Santa Lucia.

- Tak, ale czy wróciliście tam kiedykolwiek? Czy spróbowaliście zastosować tę samą receptę?

- Wiesz, że nie. Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Chwilowo nie mam ochoty z nim pojechać nawet na pół dnia do Brighton - doprowadza mnie do szału.

- Cóż, ja zamierzam spróbować. Popatrz na nas - ja jestem żoną Don Juana, ale wbrew wszystkiemu trzymam się nadziei, ty wyszłaś za istnego pana Darcy, i też nie jesteś szczęśliwa. Co ten biedak znowu zrobił?

Nicole lubiła Tima prawie tak bardzo, jak Harriet nie cierpiała Gavina.

- Och, nic złego. Oczywiście, że nic nie zrobił. Jak mógłby? Chodzi o mnie. I o to.

Wyciągnęła z torebki zaproszenie i obserwowała Nicole, kiedy je czytała.

Nicole natychmiast pojęła przyczynę braku ciastka czekoladowego.

- O, kurczę.

Na sekundę chwyciły się za ręce.

Rzecz jasna Nicole wiedziała wszystko o Charlesie. W czasie długich popołudni w parku, dawno temu, kiedy dzieci spały przez trzy godziny po karmieniu, zwierzały się sobie z najgłębszych miłosnych sekretów. Nie było ich zbyt wiele. Nicole poślubiła miłość swego życia. Charles był pierwszą miłością Harriet. Kochała Tima, Nicole była tego pewna. Kiedy zostały przyjaciółkami i dowiedziała się o Charlesie, trzymała kciuki, żeby Harriet zakochała się w Timie. Aby dzieci - to, jaki był dla nich dobry - rodzina, jaką tworzyli, przeważyła szalę i zamieniła miłość w bycie „zakochanym”. Ale kiedy popatrzyła na siebie i na to, jak głupio, jak rozpaczliwie zależało jej na Gavinie, wiedziała, że Harriet nie odnajdzie tego uczucia w kuchni czy nad główką dziecka. Charles to było „to”, tak samo jak Gavin. Aczkolwiek w ciągu wszyst-

kich tych lat Nicole czasami żałowała, że wyszła za Gavina i nie spotkała swojego własnego Tima. Delikatna, spokojna miłość wydawała się kusząca, zwłaszcza w ciężkich chwilach.

Zaproszenie, deklaracja zamiarów Charlesa, tak dobitna na kremowym papierze, musiała Harriet strasznie zabołć.

Clare

Clare wyłączyła operę mydlaną, której tak naprawdę nie oglądała, i odłożyła niedojedzoną kanapkę z powrotem do lodówki. Potem zerknęła na zegar. Jeśli Elliot nie wrócił do tej pory, znaczy to, że nie przychodzi specjalnie, czekając, aż Clare zacznie nocny dyżur. Ani zadowolona, ani zła, wzięła torbę z komody w przedpokoju i wyszła z domu, gasząc za sobą ostatnie światło. Elliot wróci do pustego, ciemnego domu. Zostawiając światło w oknie frontowym, tak jak kiedyś, udawałaby, że go zaprasza.

Czuła się tak, jakby obecna w niej obserwatorka wyszła i usiadła obok, przyglądając się, jak Clare włącza ogrzewanie, odmraża szyby i wkłada kasetę do magnetofonu. Powiedziała jej, że obojętność to najgorsza rzecz, ostatni przystanek na drodze do klinicznej depresji, i zmusiła ją do odczuwania. Jadąc wiaduktem, na zakręcie Clare pomyślała jak zwykle: A gdybym tak nie skręciła, tylko pojechała prosto? Prosto na tę drogę pod spodem?

Clare jednak nie chciała umrzeć. Pragnęła tylko zmiany. Chciała czuć. Na oddziale położniczym znowu będzie sobą. To jej ulubione miejsce. Kiedy dobrzy ludzie, zadający niezliczone intymne pytania, odkrywali, że nie może mieć dzieci, nieodmiennie reagowali:

- I pani jest położną? To musi być bardzo trudne.

Ale nie zawsze takie było. W szpitalu znajdowała się staroświecka sala dla noworodków, gdzie kobiety po cesarskim cięciu lub mamy kolejnych dzieci, pragnące odrobiny odpoczynku, odstawiały plastikowe wózek z cenną zawartością.

Jeśli starczało jej czasu między przyjęciami nowych pacjentek i odpowiadaniem na dzwonki, Clare brała któregoś z noworodków i kąpała go, czasami przycinała ostre paznokietki i ubierała ostrożnie w białe śpioszki, rękawiczki i ręcznie robiony sweterek, które matka dziecka pakowała z taką nadzieją i przejęciem kilka tygodni wcześniej. Potem z zawiniętym w koczek dzieckiem siadała na bujanym fotelu w kącie nocnej dyżurki, zapominając o bożym świecie. To bolało, zwłaszcza gdy zaborcza, niespokojna młoda matka, z nabrzmiałymi piersiami i obolałymi mięśniami, przychodziła i odbierała maleństwo, uśmiechając się z wdzięcznością.

Inaczej było na oddziale porodowym. Tam czuła się potrzebna i doskonale umiała opiekować się pacjentkami.

Od razu rozpoznała Harriet, kiedy spotkały się w klubie czytelniczym. Zdarzało się to jej ciągle, kiedy chodziła po mieście - przyjmowała porody tylu dzieci. Harriet żartowała, że Clare pewnie nie pozna jej w majtkach, lecz Clare pamiętała wszystko - że był to długi, lecz raczej nieskomplikowany poród, że urodziła dziewczynkę, którą nazwali Chloe, ważącą prawie siedem funtów, z długimi stópkami, że stało się

to o wschodzie słońca. Harriet także ciepło ją wspominała. Pamiętała, że była delikatna, miła i silna. Ona sama zachowywała się okropnie, głośno, raczej histerycznie i czuła szczególną wdzięczność dla tej drobnej, ciemnowłosej dziewczyny, która została w pracy po godzinach, żeby przy niej być. W ich rodzinnym albumie widniało zdjęcie Clare, całej na białą, trzymającej umiejętnie maleńką, czerwoną na buzi Chloe, owiniętą w biały koczek. Na drugim zdjęciu stała przy łóżku Harriet.

- To dziwna znajomość - stwierdziła Harriet. - Przez sześć godzin byliśmy dla siebie wszystkim, a potem już nigdy zwyczajnie się nie spotkamy.

Clare to najczęściej odpowiadało.

Dzisiaj kobieta imieniem Maria rodziła swoje pierwsze dziecko. Clare widziała ją kilka razy w klinice i polubiła. Teraz zauważyła, że jest przerażona. Ian, mąż Marii, kurczowo trzymał torbę ze słodyczkami, którą wyjął z dużego plecaka, najwyraźniej zapakowanego ściśle według wskazań. Clare dostrzegła magnetofon i kasetę z odręcznymi notatkami na etykiecie - najwyraźniej muzyka, przy której chcieli rodzić. Na pewno mają także świece do aromaterapii i fiolkę z arniką. Jeden rzut oka na twarz Marii uzmysłowił Clare, że w tym stadium porodu dokładne przygotowania nie zdają się na wiele. Clare podeszła do łóżka i Maria pochwyciła ją za rękę.

- Chyba chcę znieczulenie. Naprawdę, proszę. Nie zniosę tego ani chwili dłużej.

W jej miłym głosie słychać było narastającą histerię.

- Witaj, Mario. Muszę cię najpierw zbadać, żeby zobaczyć, czy dziecko w ogóle ma zamiar się dzisiaj pojawić.

Pochyliła się nisko i położyła jej rękę na ramieniu.

- Bez paniki. Jestem tutaj i zostanę przy tobie, jak długo będziesz mnie potrzebować. Urodzisz piękne, zdrowe dziecko, kiedy tylko będzie na to gotowe. Uda ci się. Wiem, że mnie się uda - to mój sto pięćdziesiąty poród. Jestem w tym dobra.

Maria uśmiechnęła się słabo.

- Najpierw cię zbadam, a potem zastanowimy się, co zrobić. Dobrze?

Elliot

Elliot wyłączył komputer, zabrał kurtkę z oparcia krzesła, potarł oczy i przeciągnął się. Spędził długi dzień przed monitorem. Jego dni na ogół wypełniali ludzie - do biura napływał nieprzerwany strumień młodych i starszych studentów zasypujących go pytaniami, koledzy zabierający go na lunch, uczestnicy spotkań. Dzisiaj jednak opracowywał dane, które musiał przygotować do końca tygodnia, i siedział zamknięty za przepierzeniem od za piętnaście dziewiąta rano. Zjadł tylko jedną kanapkę z tuńczykiem w majonezie i odbył niemiłą rozmowę z miejscowym mechanikiem na temat przeglądu samochodu, aby przerwać monotonną pracę. Nienawidził takich dni. Zwłaszcza ostatnio, kiedy zauważył, że jego kontakty międzyludzkie ograniczały się do tych na uczelni. Clare okazywała mu tak mało sympatii i ciepła, nie mógł się do

niej zbliżyć. Spotkania z przyjaciółmi były coraz trudniejsze; ci z dziećmi odpadali, ci bez dzieci nie chcieli się z nimi spotykać. Chryste, on i Clare też już nie umieli ze sobą przebywać.

Na zewnątrz było mroźno. Szukając wzrokiem samochodu, Elliot postawił kołnierz i wtulił głowę w ramiona, żeby schować się przed wiatrem. Powinien był pójść do domu dużo wcześniej. Spotkałby Clare.

Na drugim końcu parkingu gromadka młodzieży otworzyła drzwi pubu: w czarną noc wylały się ciepłe, złociste światło, dźwięki muzyki i urywki głośnych rozmów. To było świetne miejsce. Mieszana klientela składała się ze studentów, pracowników pobliskich biur i anachronicznych stałych bywalców, którzy ostrożnie zajmowali miejsca z tyłu i traktowali młodych ludzi jako rodzaj kabaretu. Pili z własnych kufli, wiszących zawsze na kołkach na ścianie. Pełen krzykliwych Australijczyków i Nowozelandczyków lokal był zadymiony, hałaśliwy - i swojski.

Elliot otworzył samochód, rzucił teczkę na tylne siedzenie, zamknął go z powrotem i ruszył przed siebie z rękami głęboko w kieszeniach. Pozwolił sobie na odrobinę pociechy wśród obcych.

Jaskrawy, kolorowy napis na tablicy na drzwiach obwieszczał, że był to wieczór karaoke. Elliot już miał zamiar zawrócić, lecz wybuch entuzjastycznego wrzasku i przesywających gwizdów okazał się nie do odparcia. Na scenie pojawiły się trzy dziewczyny, słuchające wstępu do swojej piosenki z dłońmi na mikrofonach. Ona tam stała, przyglądając im się. Zapewne były to jej przyjaciółki. Po kompletnym zmasakrowaniu pierwszych taktów piosenki dziewczyny wciągnęły się w rolę i ich występ stał się główną atrakcją wieczoru. Elliot nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka... piękna. Taka swobodna i młodzieńcza. Jej biodra kołysały się w luźnych aksamitnych spodniach. Powyżej połyskiwał klejnocik w pępku. Kiedy jej koleżanki skończyły śpiewać, kłaniając się teatralnie i rzucając sobie w ramiona, dostrzegła go na krawędzi sceny i jej uśmiech się zmienił. To spojrzenie było przeznaczone tylko dla niego. Jego widok przyniósł jej radość, a nie ból.

Wskazała głową na drzwi i szepnęła coś koleżankom. Czekał na nią kawałek dalej, na chodniku. Wyszła owinięta w luźny sweter.

- Hej, ty - powiedziała i pocałowała go mocno, obejmując rękami za szyję, zanurzając palce we włosach.

Elliot przygarnął ją do siebie.

- Hej, ja.

Harriet

Harriet nie mogła usnąć. O trzeciej nad ranem poddała się, owinięta ogromnym białym szlafrokiem i poszła po cichu zajrzeć do dzieci. Joshua leżał na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami na kształt rozgwiazdy, z kołdrą zepchniętą na sam skraj łóżka, z otwartymi dłońmi. Wyglądał tak bezbrinnie, jak tylko dziecko potrafi. Harriet przykryła go delikatnie, lecz strząsnęła kołdrę z powrotem. Chloe leżała buzią do dołu na brzegu łóżeczka, z jedną ręką zwieszoną tuż nad podłogą. Uśmiechnęła się przez sen i chwyciła

Harriet za szyję, gdy ta przesuwiała ją bliżej ściany. Potem włożyła duży palec do ust i zwinęła się w kłębek. Pachniała jak aniołek.

Na dole Harriet włączyła czajnik, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty, walcząc z pokusą zjedzenia herbatnika. Już od tygodnia była na tej cholernej diecie. Dzisiaj rano waga nareszcie pokazała różnicę, co umocniło ją w postanowieniu. Zamiast ciasteczek czekoladowych pozwoli sobie na odrobinę nostalgii. Harriet często powracała myślami do lata osiemdziesiątego ósmego roku - kiedy nie mogła zasnąć, kiedy dzieci doprowadzały ją do obłędu, w ulicznym korku, na basenie. Zdarzało się to coraz częściej.

Miała dziewiętnaście lat i po raz pierwszy i ostatni w życiu nosiła numer dziesiąty, straciwszy szeniec sadełko po roku żywienia się w uniwersyteckich stołówkach. Była także opalona na brązowo i leżała pośrodku bardzo białego łóża, a bardzo białe, muślinowe zasłony powiewały w oknie balkonowym. Morze Śródziemne było intensywnie lazurowe. Właśnie dochodziła do siebie po szoku pierwszego w życiu orgazmu - cudownego i raczej niespodziewanego - i patrzyła w oczy mężczyzny, który był największą namiętnością jej życia. Charles Roebuck. Trzeci rok historii. Bardzo jasny blondyn, nieprawdopodobnie seksowny i piękny, aż zapierało dech w piersi. W czasie wakacji, po pierwszym roku studiów, grupka około dziesięciu osób z jej towarzystwa wykupiła tani przelot do Aten, a potem bilety na dziesięciogodzinny przejazd promem z Pireusu, aby rozbić namioty na plaży Ios, najmodniejszym w tym roku miejscu. Charles był znajomym czyjegoś znajomego. Podziwiała go jedynie z daleka, a czasami spotykała w studenckiej pralni. Pewnego wieczoru, po jednej tequili za dużo, jej przyjaciółka Amanda wylądowała w namiocie jego kolegi Roba. Charles i Harriet przesiedzieli nieśmiało całą noc w kawiarence na kempingu, rozmawiając przy wtórze dźwięków dobiegających z namiotów dokoła. Ósmej z rzędu nocy Charlesa ogarnął nastrój w rodzaju „jeśli wpadłeś między wrony”, poprowadził zdumioną Harriet do jej namiotu i całował, dopóki nie poczuła, że zaraz się rozpuści i popłynie po plaży. Następnego dnia, spoconych, w miłosnym gniazdku obudził upał, ponieważ temperatura na zewnątrz sięgała trzydziestu stopni. Charles uśmiechnął się na widok jej podrapanej od zarostu twarzy i powiedział:

- Jeśli mamy coś jeszcze zrobić, może lepiej wynajmiemy pokój w tym hotelu na skraju plaży? - Harriet patrzyła na niego jak na sir Galahada.

Podczas śniadania ogłosił decyzję zamiany lokum na lepsze i wśród chichotów i pohukiwań podrep-tali do raję, na który składały się prysznic z ciepłą wodą, ubikacja i obsługa. Ach, no i łóżko. Tam Charles w końcu pokazał jej, o co w tym wszystkim chodzi. Oczywiście, miała już wcześniej kochanków. Kilku chłopaków w szóstej klasie, jedno pechowe spotkanie z pijanym kapitanem drużyny krykieta i sentymentalny student, który przysłał jej kartkę walentynkową. Ale to Charles, w najmilszy z możliwych sposób, pokazał jej, jak się pieprzyć. Nogi trzęsły jej się tak, że myślała, że nie da rady już nigdy chodzić.

Wiedziona impulsem wyciągnęła z komody stary album ze zdjęciami ze studiów. Większość stron splądrowały dzieci, fotografie znikły albo zostały włożone nie po kolei i cała ich garść wypadła, kiedy Harriet zaniósła album na stół w kuchni. Na wierzchu znajdowało się zdjęcie jej i Charlesa, siedzących każde z butelką piwa w ręku, jego ręka niedbale wokół jej ramion. Kolejne zdjęcie przedstawiało letni bal w col-

lege'u następnego roku. Wtedy po raz pierwszy powiedział jej, że ją kocha, co przypieczętowało jej los. Miała na sobie jego marynarkę - było około trzeciej nad ranem, trawnik był zasłany pozostałościami po przyjęciu i zmęczonymi ciałami w wygniecionych sukniach i garniturach z wypożyczalni. Tej nocy dała się ponieść emocjom: Charles zrobił dyplom i udawał się do Londynu, aby objąć lukratywną posadę menedżera konsultanta. Harriet była wystraszona. Bała się, bo kochała go tak bardzo, że o mało nie pękła jej klatka piersiowa. Chociaż przeżyli razem wspaniały rok, pełen seksu, imprez i wspólnej nauki, nigdy nie powiedział, że ją kocha, i dlatego uznała, że tak nie jest. Tej nocy to zrobił. Powiedział, że ją kocha. I że chce, aby co tydzień przyjeżdżała do jego nowego mieszkania, żeby była obecna w jego życiu. Że mogą być razem na odległość. I że jest piękna. Potem poszli do jego pokoju i położyli się, nadzy, na wąskim łóżku, wsłuchując się w odgłosy zabawy dookoła. Wtedy jeszcze raz powiedział, że ją kocha. Mówił to, wchodząc w nią, z każdym powolnym pchnięciem, a kiedy wyszedł, miał oczy pełne łez. I powiedział to po raz ostatni, z ustami na jej ustach, tak że czuła w środku ciepło jego oddechu. Harriet wiedziała, że niezależnie od tego, co wydarzy się później, nawet na łożu śmierci będzie pamiętać ten moment.

Cha, cha. Harriet uśmiechnęła się na wspomnienie siebie jako dwudziestolatki. Oczywiście, to nieprawda. Kiedy trzyma się w ramionach własne dziecko, nic innego się nie liczy. Ale pomyśleć tylko, gdyby to były dzieci Charlesa, a nie Tima.

Nagle rozgniewała się na siebie, na Tima, a zwłaszcza na Charlesa. Zatrzasnęła album, wepchnęła go do szuflady i poszła zrobić prasowanie. Lepiej spożytkuje z sensem tę całą energię.

Uprasowała większą część zawartości kosza, kiedy pojawił się Tim.

- Chcesz herbaty?

Jego spokój zirytował ją na nowo. Czemu, u diabła, nie zapyta, dlaczego prasuję o czwartej rano? - pomyślała. To nie jest normalne.

- Dzięki. Zaraz przyjdę.

Tim włączył czajnik elektryczny. Wrzucił torebki herbaty do kubków i wyjął z lodówki mleko. Starzał się nie patrzeć na leżące na półce zaproszenie. Zauważył je kilka dni wcześniej po powrocie z pracy i poczuł przypływ dawnego lęku. Wrócił wcześniej do domu i przebrał się z ubrania, które Chloe nazywała „pracowym”, aby trochę dzieciom poczytać. Niedługo miał rozpocząć poważny projekt, wtedy na pewno będzie miał dla nich mniej czasu. Jednak premia - jeśli mu się uda - na kilka lat załatwi sprawę opłat za szkołę. Na razie cieszył się na myśl, że dzisiaj więcej czasu spędzi z całą trójką. Chloe wtuliła mu się pod ramię. Nie rozumiała do końca *Harry'ego Pottera*, bardziej lubiła *Milly-Molly-Mandy*, ale mamusia czytała jej to już wcześniej, powiedziała, kiedy Josh pełnił sekretną misję w łazience. Była bardzo szczęśliwa, przytulona do taty, wdychając jego znany zapach i wsłuchując się w łagodny ton głosu, podczas gdy Josh słuchał spod drugiego ramienia. Najbezpieczniej czuła się u boku ojca.

To było dziwne popołudnie, wyznała Chloe. Mamusia, która na ogół była w tych sprawach bardzo stanowcza, pozwoliła im bez końca opychać się słodyczami, oglądać filmy na wideo i zjeść na podwieczorek kanapki z nutellą. Joshua musiał sam jej przypomnieć, że nie przeczytał żądanego rozdziału. Na szczę-

ście zdążył w ciągu kwadransa przed pójściem spać, ale nawet za to nie dostał bury, jakiej normalnie mógłby się spodziewać. Mamusia zdecydowanie była w dziwnym humorze, powiedziała Chloe z powagą, gdy tatuś się przebierał.

- Ach, słoneczko, mamusia po prostu jest zajęta - stara się zrobić dla nas trochę miejsca na kanapie, po tym, jak rozrabialiście przez cały dzień. Jakie filmy oglądaliście, swoją drogą? I jakie jedliście słodycze? Mam nadzieję, że nie pierniczki w czekoladzie, które dostałem od Mikołaja, bo wtedy będę musiał cię polaskotać.

I zaczął zbliżać się do córki z groźnym wyrazem twarzy, wyciągając w jej stronę palce. Chloe krzyknęła w radosnym przerażeniu i zanurkowała pod kołdrę, a ojciec upadł na wierzch, warcząc jak niedźwiedź.

Tim jednak także to zauważył: mamusia naprawdę była w dziwnym humorze. Czy sprawiło to za-proszenie? Czy rozmowa, jaką odbyli w sylwestra? Albo raczej rozmowa, którą starał się rozpocząć. Był trochę wstawiony i dlatego przypuszczalnie odważniejszy. A Harriet wyglądała tak ślicznie. Nigdy nie miał dosyć patrzenia na jej twarz - ciepłą, miękką i ożywioną. I słuchania jej - uwielbiał jej słuchać, kiedy była w dobrej formie, tak jak tamtej nocy, kiedy rozśmieszała wszystkich. Był dumny i zadowolony, a także leciutko pijany i bardziej niż leciutko podniecony. Szepnął jej do ucha, że może w następnym roku powinni mieć jeszcze jedno dziecko, że ktoś w rodzinie powinien urodzić się w dwudziestym pierwszym wieku. Może trzeba zacząć już tej nocy. Harriet popatrzyła na niego beznamiętnie, potem odwróciła się i odeszła. Kiedy śpiewano *Auld Lang Syne*, stała po drugiej stronie pokoju, oddzielona od niego dziesięcioma osobami. Czy powinno się zapominać starych przyjaciół?

Susan

Susan zadrżała, siedząc w samochodzie. Przekręciła kluczyk w stacyjce, aby włączyć ogrzewanie, i siedziała opleciona ramionami, czekając, aż zrobi się ciepło i patrząc na budynek naprzeciwko. Dom nazywał się „Cedry”. Na siedzeniu obok leżała broszurka reklamowa. Pełna marketingowych sloganów, mówiących o nieprzekraczaniu cienkiej linii między troską a protekcjonalnością. Zapewne nie udawało im się to. Według ulotki w „Cedrach” zapewniano „pełną szacunku, sympatyczną atmosferę, którą otacza się waszych najbliższych, w miejscu zarazem stymulującym i odpężającym, co sprawia, że możecie pozostać wolni od wszelkich zmartwień”. Wolni od poczucia winy, pomyślała Susan. O to chodzi. Ogrodnik sadził piękne rabatki, na ścianach wieszano kilka reprodukcji, pozwalali na własny przenośny telewizor i dzięki temu dzieci mogły tu podrzucić swoich starych rodziców i zająć się z powrotem własnym życiem.

Nie mogę jej tego zrobić.

Roger powiedział, że stan matki się nie poprawi. Użył terminu TIA, przejściowe niedokrwienie mózgu. W głowie Alice nastąpił szereg krótkich wylewów, z których każdy zabił część jej osobowości. Nie-nawidziłaby tego. Na pewno wołałaby jeden wielki udar, który zakończyłby życie w ciągu minuty. Pierwszy zniszczył pamięć. Jej życie układało się w mózgu na nowo, lecz w złej kolejności. Przypominało to

oglądanie odcinków serialu na wrywki. Była młodsza, potem miała męża. Gdzie zniknął mąż i kim byli wszyscy ci obcy ludzie? Zaczęła odnosić się do Rogera, jakby był lekarzem, a nie zięciem od ćwierć wieku. Nazywała go „mój drogi”. Wędrowała po salonie, gapiąc się bezmyślnie na fotografie - wesele Susan, chłopcy jako niemowlęta, jako gwiazdy szkolnych zawodów sportowych, ona sama jako starsza pani. Susan uporczywie trzymała się faktu, że matka nadal ją rozpoznaje i zawsze bez zastanowienia nazywa ją „Suzie”.

Lecz kochający i pragmatyczny Roger powtarzał, że to także w końcu się zmieni i Susan musi się z tym pogodzić. Po raz pierwszy w czasie swojego małżeństwa Susan pragnęła, aby Alice wzięła jej stronę przeciwko mężowi, który niewątpliwie ma rację. Błagała Alice, spojrzeniem i głosem, aby udowodniła, że Roger się myli, że ona do nich wróci albo że przynajmniej jej się nie pogorszy.

A potem wydarzył się ten głupi wypadek z mlekiem. Była prawie zła na matkę. Alice upadła i poparzyła się wrzącym mlekiem, które zagotowała na kuchence, a potem wylała na wierzch dłoni. Pojawiła się tam brzydka czerwona blizna, przykrywająca zmarszczki i plamy wątrobowe. Oparzenie goiło się z trudem z powodu wieku.

Susan była zła także na siebie. Mam w końcu czterdzieści lat, powiedziała sobie. Mam dorosłe dzieci. Mam Rogera. Ojciec umarł dawno temu. Powinno być przygotowana na coś takiego. Nie powinno mi się to wydawać aż tak przerażające i ostateczne. Może to przez ten dom starców. Z tatą było inaczej. Po prostu nagle umarł. Jednego dnia żył, a następnego już nie. Susan pamiętała, jak płakała godzinami przy stole kuchennym, a potem poszła do łóżka i głęboko zasnęła. Był jej ojcem, cudownym ojcem, kochała go, a teraz nie żył. Ale w jakiś sposób nie było to aż tak trudne. Musiała zatroszczyć się o Alice, zorganizować pogrzeb (zdumiewająco podobny do wesela. Wybierała kwiaty, oglądała trumnę i decydowała, czy na lunch podać kanapki, czy ciepłe przystawki. Zamiast szampana pili sherry, whisky i herbatę. Goście uśmiechali się z zażenowaniem i cieszyli na widok starych znajomych. W gruncie rzeczy zasady były prawie identyczne. Tylko życie się kończyło, a nie zaczynało). Właściwie wszystkie te obowiązki organizacyjne, wszystkie wypowiedzi na temat długiego, dobrego życia i banalne pocieszenia sprawiały, że czuła się trochę lepiej. W jej pojęciu tata był cały czas staruszką, jak pod koniec życia. Tak go widziała: jako dziadka chłopców.

Z Alice było inaczej praktycznie pod każdym względem. Żadnego pogrzebu do urzędzenia. Zamiast tego musiała wybrać grobowiec w formie domu starców. Żadnego zdecydowanego zakończenia, raczej powolne odchodzenie. Najdziwniejsze jednak ze wszystkiego było coś, co sprawiało, że Susan miała łzy w oczach i ogromny kamień na piersi. Ile razy myślała o Alice, widziała ją jako młodą osobę. Alice miała ciemne włosy, nie siwe; była sprawna, nie krucha; roześmiana, a nie przygaszona. Jej oczy błyszczały łobuzersko, nieprzyćmione mleczną mgiełką. Była mamą Susan. Mamą, która potrafiła obudzić się pięknego czerwcowego poranka, oświadczyć, że jest zbyt ładnie na szkołę, i zabrać Margaret i Susan autobusem do Brighton, na plażę. Kobieta, której największym wyczynem było pokazanie majtek na głównej ulicy na oczach znajomych (zrobiła to raz, żeby udowodnić, że potrafi), która z szalików, srebrnej folii i papier m&

ché robiła przepiękne stroje na letnie przyjęcia i szkolne przedstawienia. Która zawsze powtarzała, że rzucałaby ojca dla Paula McCartneya, i czytała im przed zaśnięciem powieści Georgette Heyer.

Nie chciała żegnać się z taką matką. Nie teraz, jeszcze nie teraz i zdecydowanie nie tutaj.

Luty

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Zdobywam zamek Dodie Smith, 1949*

„Piszę to, siedząc na kuchennym zlewie”. Tak brzmi pierwsze zdanie powieści o miłości, rywalizacji między rodzeństwem i cygańskim życiu w zrujnowanym zamku na końcu świata. W swoim dzienniku Cassandra Mortmain opisuje piękną niegdyś macochę Topaz, urodziwą, melancholijną siostrę Rose i człowieka, za którego przyczyną znalazły się w biedzie i zapomnieniu: ojca. *Zdobywam zamek*, które zainspirowało tak różnych pisarzy jak Armistead Maupin i Joanna Trollope, to klasyczna opowieść o tryumfie młodszej naiwności nad cynizmem wieku średniego.

* Książka nie ukazała się w Polsce. Tytuł oryginału: *I Capture the Castle*.

Nicole i Harriet były w kuchni. Harriet kroić quiche, przyniesione przez przyjaciółkę. Nicole przyrządzała sos do sałaty, mieszając w dzbanuszkach ocet balsamiczny, gruboziarnistą musztardę, cukier i oliwę. Ożywione głosy pozostałych docierały do kuchni przez otwarte szeroko drzwi. Książka wybrana na ten miesiąc podobała się wszystkim i w rozmowie nie trafiały się niewygodne pauzy. Wszystkie egzemplarze wydawały się zaczytane, ulubione fragmenty pozaznaczane żółtymi karteczkami lub zagiętym rogiem. Postaci ożywały w dyskusji. Teraz nadszedł czas na coś do jedzenia.

- Poważnie o tym myślałam, wiesz? Może to dla nas odpowiedni moment. Przyszło mi do głowy, że może uda mi się przekonać ciebie i Tima, żeby zachować symetrię?

Próby Nicole, aby utrzymać lekki, żartobliwy ton, trafiły na twardy grunt. Harriet pociągnęła nosem.

- Po pierwsze, zapomnij o tym. Tu nie chodzi o mnie i Tima. Oszalałaś. „Jak nie poprawić żalostnego stanu swego małżeństwa”, rozdział trzeci, punkt ósmy. Jak mogłaś choćby przez chwilę o tym pomyśleć?

- Żałuję, że ci powiedziałam.

Harriet zauważyła, że Nicole zamyka się w sobie. Kontynuując temat, „wkroczyłyby do strefy zakłopotania”, jak nazywał to Tim. Ale jaka przyjaciółka by tego nie zrobiła? Całą sobą czuła, że pomysł Nicole oznacza katastrofę.

- Ale jednak powiedziałaś, prawda? Nie możesz zabronić mi własnego zdania. Przykro mi, jeśli spodziewałaś się czegoś innego.

- Nie spodziewałam się. Miałam nadzieję.

Nic nie wskóra tym swoim sarnim spojrzeniem.

- Nic, kolejne dziecko nie uczyni go wiernym. Nie sprawiły tego ani bliźnięta, ani Martha. Taka jest rzeczywistość. Wiem, że cię to rani. Czemu, na Boga, sądzisz, że tym razem będzie inaczej?

Rozmawiały scenicznym szeptem. Nie był to odpowiedni moment. Pewnie dlatego właśnie Nicole go wybrała, pomyślała Harriet.

W drzwiach pojawiła się Polly.

- Potrzebujecie pomocy?

- Nie, dzięki - uśmiechnęła się Nicole. - Wszystko gotowe.

Polly powędrowała z powrotem do salonu.

- Kolacja! - zawołała.

- Nie robię żadnych sztuczek. - Nicole przysunęła się bliżej. - W nic nie gram. To jego specjalność.

- Otóż to. Potrzebujesz planu gry, zupełnie innego niż to, co robisz teraz.

- Jako piętnastolatka uważałam, że to najlepsza książka na świecie. Romantyczna, osobista, całkiem jak prawdziwy dziennik. Te wszystkie nieodwzajemnione miłości...

- Czy kiedy dorostaś, odbierasz ją tak samo?

- W wypożyczalni bibliotekarka przyniosła ją z działu dla młodzieży.

- To pomyłka. Cóż, może być też dla młodzieży. Pamiętam, jak Cressida zaczytywała się w niej, gdy miała około czternastu lat, i uwielbiała ją. Powiedziała wtedy, że powinnam ją przeczytać, ale jakoś tego nie zrobiłam.

- Oczywiście, że to się przeniosło w dorosłość. Znowu absolutnie utożsamiam się z Cassandrą. Dorosłe kobiety, oprócz macochy, Topaz, są takie jałowe, zniechęcające i znużone życiem w porównaniu z nią. To eskapizm. Jej głos jest tak silny, że chcąc nie chcąc przejmujesz się jej entuzjazmem, pasją, jej dramatem.

- Tak jakbyś znowu w to wierzyła. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, czytając *Zgagę*? Jak marzenia bohaterki przetrwały nietknięte, mimo tych wszystkich potwornych przejść z mężem? Cassandra przypomina mi trochę Rachel - zanim miała złamane serce.

- Ale skoro jest taka młoda, naiwna i niedoświadczona, jak możemy nauczyć się od niej czegokolwiek? Nie widzi świata takim, jaki jest, prawda? Pisze, całkiem dosłownie, zamknięta w wieży z kości słoniowej.

- Nie ma tam zbyt wiele kości słoniowej. Żyje w biedzie, z siostrą i niezrównoważonym ojcem.

- A jednak jej przemyślenia należą do najlepszych. Pomyślcie, jak sobie radzi z ojcem, jak rozgrywa sytuację ze Stephenem. Z jakim zainteresowaniem spotyka się ze strony dorosłych - Simon, który przyłącza się do jej letniego rytuału i tak dalej. A rozmowy z panną Blossom, manekinem krawieckim...

- I ciągle myśli, że wystarczy bardzo mocno czegoś pragnąć, aby to się stało.

Nicole spojrzała Harriet prosto w oczy.

- Ale popatrzcie, że jednak przegrywa. Nie może sprawić, aby Rose pokochała Simona. Rose sama nie jest w stanie zmusić się do pokochania Simona, ponieważ kocha Neila. I żadne intrygi tego nie zmienią.

- Ona nie intryguje. Stara się doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania, którego, jak się jej wydaje, wszyscy pragną. Chce zadowolić wszystkich, czy nie tak?

- Ale to, co ma się zdarzyć, i tak się zdarza, prawda? I zawsze miało się zdarzyć. Uważam, że właśnie Rose jest najciekawsza - czuje się ograniczona własną płcią, sytuacją życiową, tym, że jedynym sposobem ucieczki od nudy i ubóstwa jest małżeństwo. Małżeństwo z kimś wystarczająco bogatym, aby odmienić jej życie.

- Tak bywało w tamtych czasach. Dziewczyna nie miała zbyt wielu możliwości.

- Czy teraz jest naprawdę inaczej?

- Nie bądź śmieszna. Oczywiście. Wszystkie mamy możliwości. Teraz już nie istnieją wymówki, aby się z czymś godzić.

Nicole poderwała się gwałtownie.

- Susan przyniosła coś nieprawdopodobnego na deser. Podam, jeśli ktoś mi pomoże pozierać talerze.

Usta miała zaciśnięte w wąską linię i nie patrzyła na Harriet. Clare wstała po cichu.

- Ja ci pomogę.

Harriet zamknęła swój egzemplarz *Zdobywam zamek* i położyła go na obrusie.

Polly i Cressida

Cressida nie zamykała się co rano w łazience, wstrząsana torsjami. Nie nosiła porozciąganych spodni. Nie obżerała się ani nie głodziła. Wszystko zaczęło się od przeczucia. Cressida zmieniła się od Bożego Narodzenia. Początkowo Polly, jak typowa matka, doszukiwała się winy w sobie. Może Cressida wcale nie była zadowolona, że Polly przyjęła oświadczyzny Jacka. Może wydawało się jej niewłaściwe, żenujące obserwowanie ich razem. Może okazało się dla niej trudne spotykać ciągle w domu mężczyznę, który nie był jej ojcem. Polly miała absolutną pewność - a przyszło jej to do głowy, przez co poczuła się obrzydliwie - że zachowanie Jacka w stosunku do Cressidy jest jak najodpowiedniejsze. Czy to Dan w jakiś sposób ją denerwował? Nie, to nieprawdopodobne, to nie w jego stylu. Być może związek z Joem dobiegał końca i Cressida nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć - Polly nie wyobrażała sobie, aby to Joe chciał rzucić Cressidę. Na pewno nie uczelnia ją martwiła... Cressida uwielbiała swój kurs.

Coś jednak było nie w porządku. I, szczerze mówiąc, Polly zaczynała mieć dosyć. Trochę za późno na humory dorastającej panienki. Jako piętnasto-, szesnasto-, siedemnastolatka Cressida była raczej łatwa we współżyciu, lecz Polly nie zamierzała teraz przechodzić jej spóźnionego okresu dojrzewania. Z natury

dążyła do konfrontacji w każdej sprawie: rosnące rozdrażnienie i dąsy przypominały jej raka, pożerającego harmonię w rodzinie.

Ostatnio Cressida wkładała wiele wysiłku w unikanie rozmowy na najwyraźniej trudny temat. Tego popołudnia, rozpakowując torby zakupów (chyba po raz milionowy, uznała, upychając puszkę z fasolką w przepełnionej spizarce), Polly czuła się sfrustrowana, a nawet trochę zraniona. Próbowała rano, naprawdę. Przy śniadaniu powiedziała:

- Mam dzisiaj wolne. Daniel jest u ojca, a Jack zajmuje się czymś u siebie. Może pojedziesz ze mną do Kingston na zakupy? Nie robiłyśmy tego od Gwiazdki. Tylko we dwie. Możemy nawet pójść się posmiać do sklepu z sukniami ślubnymi. Już cię widzę w błękitnej tafcie. Obiecuję, że przymierzę najobrzydliwszą sukienkę, jaką znajdziesz, tylko dla zabawy. Pewnie wszyscy pomyślą, że jestem matką panny młodej.

- Przepraszam, ale nie mogę, mamo. Umówiłam się już z kimś. Na razie. - I znikła.

Sklep z sukniami ślubnymi nie kusił w pojedynkę, a Susan była zajęta Alice, więc Polly wzięła głęboki oddech i zaatakowała supermarket. Najgorszą stroną pracy na pełnym etacie była konieczność przepychania się między półkami w sobotnie popołudnia razem z resztą świata. Nie, wróć. Najgorsze było późniejsze rozpakowywanie zakupów.

Polly wspięła się na piętro, uginając się pod ciężarem szamponów, dezodorantu dla Daniela, papieru toaletowego i miesięcznego zapasu tamponów. Otworzyła szafkę nad bojlerem i spróbowała wszystko to do niej wepchnąć. Przesuwając niepotrzebny krem do opalania z zeszłego roku, dostrzegła coś. Co miesiąc kupowała dwa pudełka tamponów, normalne dla Cressidy i superduże dla siebie. Jej pudełko z ostatniego miesiąca było prawie puste. Cressida miała jeszcze trzy nieotwarte. Polly kupowała je i odstawiała na miejsce, nie zauważając tego.

Otworzyła drzwi do sypialni Cressidy z dziwnymi wyrzutami sumienia. Często bywała w tym pokoju, siadywała na skraju łóżka, obserwując, jak jej córka szcztokuje przepiękne, odziedziczone po ojcu włosy, słuchając historyjek o innych studentach, zabierając do prania rzeczy, które jej dzieci zostawiały porozrzucone na podłodze. Istniała jednak niepisana zasada niewchodzenia do sypialni pod ich nieobecność, tak jak one nie wchodziły do jej pokoju.

Na pozór wszystko wyglądało jak zwykle: zabawna mieszanina upodobań młodej dziewczynki i atrakcyjnej młodej kobiety. W nogach łóżka piętrzyła się góra wymiętych pluszowych zabawek. Wszędzie poniewierały się płyty CD, przybory do makijażu i dziewczęca bielizna. Ramę lustra otaczały zdjęcia przyjaciół, uśmiechających się śmiało do obiektywu. Kartki walentynkowe, kartki na przeprosiny - stały na biurku wśród papierów. Dwie duże czarne teczki, które Polly podarowała jej na Gwiazdkę, stały oparte o komodę, z jednej z nich wysypywały się intensywnie kolorowe rysunki. Na toalecie znajdował się dezodorant w spreju, tubka żelu do włosów i buteleczka „dorosłych” perfum, które dostawała co roku od ojca na urodziny, odkąd skończyła trzynaście lat („Jesteś teraz młodą kobietą. Powinnaś przestać pachnieć starymi skarpetami i ogniskiem”). Żadnych tamponów.

Zaniepokojona nie na żarty Polly zrobiła coś, na co normalnie by się nie odważyła. Pochylając się nad biurkiem, otworzyła notes w czarnej plastikowej okładce. Różowa wstążka głosiła, że właścicielka jest znikowaną dziewczyną.

Rzuciło jej się to w oczy zaraz na pierwszej stronie: telefon do studenckiej poradni planowania rodziny, obrysowany na czerwono, z datą wskazującą na drugi tydzień stycznia.

Kiedy kilka godzin później Cressida przekręciła klucz w zamku, w domu panowała zupełna ciemność. Wcześniej Polly wykonała dwa telefony. Poprosiła Dana, żeby zatrzymał Daniela na noc:

- Coś się wydarzyło i potrzebuję trochę czasu... nie, dziękuję kochanie, wszystko będzie dobrze... po prostu zaopiekuj się Dannym.

Oraz do Jacka:

- Muszę, niestety, odwołać kino. Cressida chyba ma kłopoty i muszę z nią porozmawiać... Mogę powiedzieć ci później? Dzięki, najdroższy... tak, zadzwonię rano. Ja też cię Kocham. Dobranoc.

Potem usiadła i czekała.

- Mamo?

- Jestem tutaj.

Cressida podeszła prosto do lampy i zapaliła światło.

- Co robisz po ciemku? Gdzie Danny - i Jack?

Potem zauważyła twarz matki. Zaczęła coś mówić, przerwała i ciężko usiadła na brzegu kanapy, naprzeciwko Polly.

- Cress, czas chyba, żebyś mi powiedziała?

Polly zaszokowało skulenie ramion córki, szloch, który wyrwał się jej, zanim ukryła twarz w dłoniach, schowanych w powyciąganym swetrze. Dystans, który zamierzała utrzymać w trakcie tej rozmowy, nagle okazał się zbyt duży. Przeszła przez pokój i przytuliła śliczną głowę córki do piersi, mrucząc słowa pociechy, jakby Cress była malutkim dzieckiem.

- No już, już. Cii.

Upłynęło wiele minut ciszy. Potem Cressida zapytała:

- Jak się domyśliłaś?

- Och, kochanie. Od kilku tygodni widać, że coś jest nie w porządku. Dopiero dzisiaj postarałam się rozwiązać tę zagadkę. Przykro mi - pewnie za bardzo byłam zajęta własnym ślubem?

- Mamo, nie mów, że tobie jest przykro. Typowe! Ja narobiłam sobie kłopotów, a ty przepraszasz. Nie chciałam, żebyś się dowiedziała. Myślałam, że poradzę sobie sama, ale jakoś nie mogłam. To za dużo, wiesz?

Znowu łzy.

Polly przytuliła ją jeszcze raz, a potem wyprostowała się i założyła włosy za uszy.

- Zachowamy się jak prawdziwe brytyjskie damy i napijemy herbaty. To nam pomogło przetrwać wojnę, jak pamiętasz.

Cressida uśmiechnęła się blado.

W kuchni Polly uznała, że powinna być praktyczna.

- Kochanie, jak myślisz, jak długo...?

Boże, to pytanie było przerażające - wszystko stało się realne.

- Od jakichś trzech miesięcy. Musiałam już być - no wiesz - przed Gwiazdką, ale nie wiedziałam aż do stycznia. Wiesz, że zawsze trochę spóźniał mi się okres, i chyba nie bardzo o tym myślałam... - Głos się jej załamał. - I byliśmy ostrożni. Naprawdę, mamó.

- Kochanie, to się zdarza. Jestem pewna, że byliście.

Polly zrobiło się niedobrze i poczuła się głupio. Zawsze powtarzała do znudzenia: „Cressida i ja jesteśmy tak blisko. Jak siostry. Byłam taka młoda, kiedy ją urodziłam”. A nawet nie wiedziała, że Cressida i Joe zaczęli ze sobą sypiać. Nie na pewno. Właściwie była przekonana, że Cressida zwierzy się jej, jeśli będzie zamierzała to zrobić. Sądziła, że przynajmniej zauważy jakąś zmianę. Szczerze mówiąc, postrzegала związek z Joem jako tarczę, chroniącą Cressidę przed wielkim, złym światem pełnym seksu. Byli ze sobą od tak dawna. Sprawiali tak aseksualne wrażenie! Polly była przekonana, że Cressida pozostanie dziewicą jeszcze przez jakiś czas.

- Byłaś u kogoś? U lekarza? U kogoś w college'u?

- Nie. Nie mogłam się na to zdobyć. W przychodni mógłby zobaczyć mnie Roger, powiedziałby Susan, a ona tobie. Zdobyłam numer do poradni na uczelni, ale straciłam odwagę. Nie mogę uwierzyć, że byłam taka tępa. Teraz pewnie już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Czy tego właśnie chce? - pomyślała Polly. Dzięki Bogu. Aborcja to prawdopodobnie najlepszy sposób - Chryste, czy nie jest to jedyny sposób? Cressida ma całe życie przed sobą. Nie może teraz zrezygnować.

Nagle jednak Polly znowu miała dwadzieścia jeden lat i siedziała we frontowym pokoju, nerwowo skubiąc oliwkowozielone obicie i słuchając łajania matki:

- Polly, jak mogłaś być tak głupia! Czy nic do ciebie nie dociera? Twój ojciec i ja harowaliśmy całe lata jak niewolnicy, wszystkiego sobie odmawialiśmy, nigdy nie myśleliśmy o sobie, żeby umożliwić ci studia. Miałaś cały cholerny świat u swoich stóp - mogłaś być, kim tylko chciałaś. Czemu, na litość boską, wybierasz moje życie, wybierasz to wszystko zamiast czegoś lepszego? Nie to miało ci się przytrafić. - Matka gestykulowała wściekle w małym pokoiku.

Nigdy przedtem Polly nie słyszała takiego gniewu i goryczy w głosie matki. Wtedy po raz pierwszy dostrzegła, że matka jest nieszczęśliwa. Pogarda dla własnego życia była obezwładniająca, gdy wreszcie dała jej upust.

Cressida głośno wydmuchała nos. Wyglądała blado i bardzo młodo. Następne łzy wzbierały już w jej zaczerwienionych oczach i Polly zauważyła, że ma brzydko obgryzione paznokcie. Nie teraz, pomyślała. Na wszystko przyjdzie czas.

W myśli dokonała szybkich obliczeń. Jeśli Cress nie podejrzewała niczego aż do Nowego Roku, to pewnie jedenasty lub dwunasty tydzień. Jeszcze jest czas, żeby wszystko naprawić. Polly instynktownie czuła, że nie powinna na razie zmuszać Cressidy do stania się dorosłą, odpowiedzialną i racjonalną osobą. Musi pozwolić jej na bycie dzieckiem, podczas gdy ona, Polly, będzie matką. Tak jak zawsze, nawet gdy jej własna matka wylewała swoją pogardę na tę rolę dawno temu. Myśl, że jej córka borykała się sama z tym sekretem przez tyle tygodni, była nie do zniesienia. Biedna maleńka.

- A co na to Joe? - zaryzykowała. Trudno było wyobrazić sobie tego chłopaka jako uosobienie wsparcia i siły.

- Joe nic nie wie - Cressida wyprostowała się - i nie chcę, żeby wiedział.

- Ale, kochanie...

- Nie, mam. Obiecuj mi. Nie chcę mu mówić i nie chcę, żebyś ty to robiła. Obiecuj. Dobrze? Mam? Dobrze? - Kolejne głośnie szlochy.

- Już dobrze, dziecinko. - Polly kołysała ją delikatnie.

Kilka godzin później Cressida zasnęła na sofie zwinięta jak małe dziecko. Moja dziecinka, pomyślała Polly, nakrywając ją ostrożnie kraciatym kocem i odsuwając uparty kosmyk włosów z twarzy.

W kuchni nalała sobie szklankę wina, wypila wielki łyk i oparła się o zlew. Popatrzyła na aparat telefoniczny - nagle poczuła się samotna i przestraszona. Zaprażyła obecności Jacka.

Odebrał po czterech sygnałach. Miał zaspany głos.

- To ja. Obudziłam cię, najdroższy?

- Właściwie tak, ale to bez znaczenia. Jak zawsze drzemałem w fotelu, więc tym lepiej. Może jednak jestem smutnym starcem. Co się dzieje? Mówiłaś jakoś dziwnie, kiedy zadzwoniłaś wcześniej. Wiesz już, o co chodzi?

- Och, Jack. - Polly zaczęła cichutko płakać.

Przez kilka minut Jack pomrukiwał pocieszająco po drugiej stronie słuchawki swoim silnym, spokojnym głosem. Potem zapytał:

- Kochanie, czy chcesz, żebym przyszedł do ciebie? Mogę być za chwilę.

To właśnie w nim kochała. Żadnych wyjaśnień, tylko obietnica, że będzie przy niej. Ale to zły pomysł.

- Nie, Jack. Dziękuję. Chodzi o Cressidę. O Boże, Jack, ona jest w ciąży.

- O matko.

- Właśnie. Nie możesz być chyba w większym szoku niż ja. Wiedziałam, że coś się święci - oboje wiedzieliśmy - ale dopiero dzisiaj na to wpadłam. Opowiedziała mi wieczorem.

- Gdzie ona jest? - Jack był zatroskany.

- Tutaj. Wypłakała się i zasnęła. Chyba ulżyło jej, że się wreszcie dowiedziałam. Wie już od kilku tygodni i jest śmiertelnie przerażona. Jestem taka głupia, Jack. Nie miałam pojęcia.

- Nie jesteś głupia, kochanie. Skąd mogłaś wiedzieć? Ja nawet nie przypuszczałem, że Cressida i Joe to robią.

- Ja też nie.

Polly oparła głowę o ścianę, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Czowała się staro.

Susan

Roger miał dyżur w przychodni, więc Susan i Alice zjadły kolację same przy stole w kuchni. Teraz siedziały w salonie, każda na przeciwnym końcu głębokiej kanapy. Susan próbowała czytać *Pokutę*. Dotarła dopiero do połowy, a spotkanie miało się odbyć w przyszłym tygodniu. Nie potrafiła się jednak skoncentrować. Obserwowała matkę. Alice w teorii czytała kolorowy dodatek do jednej z niedzielnych gazet, na ogół ignorowany w niedziele, lecz spoczywający przez cały tydzień na stoliczku. Ten akurat zawierał artykuł o Robercie De Niro, promującym jakiś film. Nie było obaw, że przeczyta go Roger - chronicznie nie cierpiał aktorów i filmów. Susan nie wiedziała czemu - i podejrzewała, że on też nie wie. Alice trzymała pismo do góry nogami. Susan obróciła je.

- Och, dziękuję ci, kochanie.

Nadal jednak nie czytała, choć miała na nosie okulary. Przez dziesięć minut nie przewróciła ani jednej strony i Susan zauważyła, że matka spogląda w przestrzeń.

- Nie masz ochoty na czytanie, mamó?

- Tak, kochanie, to bardzo ciekawe.

- Ale nie czytasz tego, mamó.

- Nie? - Było to pytanie.

- Jesteś zmęczona?

- Ja? Nie, nie. Uciekaj do łóżka, jeśli chcesz. Ja zaczekam na tatę.

Roger powiedział jej, że poprawianie matki czy jakiegokolwiek dyskusje nie mają najmniejszego sensu. Pamięć krótkotrwała Alice nie utrzymywała żadnych informacji. Susan jednak nie mogła się opanować, nie chciała się poddać.

- Tata nie przyjdzie do domu, mamó. Roger przyjdzie. - Mówiła powoli, trzymając Alice za rękę, jakby miało to w czymś pomóc.

- Ach, oczywiście, Roger. Jaka ja jestem głupia. Przemiły chłopiec. Wspaniały chłopiec.

- To prawda, mamó. Chociaż nie jest już chłopcem. Pamiętasz? Jesteśmy od dawna małżeństwem - w kwietniu upłynie dwadzieścia pięć lat.

- Dwadzieścia pięć lat? - powtórzyła powoli Alice, starannie wymawiając każde słowo. Oczy miała puste. - Szczęśliwe małżeństwo to cudowna rzecz. - Jakby recytowała poezję lub kazanie. - Byliśmy bardzo szczęśliwi z twoim tatą.

- Wiem o tym, mamó. Podać ci album, żebyś obejrzała sobie zdjęcia taty?

Alice uśmiechnęła się ciepłym, macierzyńskim uśmiechem.

- Nie, kochanie, nie trzeba. Wszystko mam tutaj. - Wskazała na skroń, pokrytą rzędnącymi, biało-żółtawymi włosami. Potem kilkakrotnie postukała się mądrze w czoło. - Nie potrzebujesz zdjęć, jeśli masz dobrą pamięć.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, potem ponownie pokiwała głową, jakby zakończyła przegląd zawartości swego mózgu i była zadowolona.

Pochyliła się nagle i ucałowała Susan w policzek. Jej twarz była w dotyku chłodna i sucha.

- Jesteś dobrą dziewczynką, Susan. To wielkie szczęście, że cię mamy. Wielkie szczęście.

Przez to wszystko stało się jeszcze trudniejsze.

- Chciałam o czymś z tobą porozmawiać, mamó. Muszę oddać cię do domu opieki. Nie mogę dać sobie rady, wszyscy powtarzają, że nie powinnam nawet próbować. Więc zamierzam się ciebie pozbyć.

- Świetnie, kochanie. Napijmy się herbatki, dobrze? Ja zrobię.

Zaczęła się podnosić.

- Nie, mamó, usiądź. Ja pójdę.

- Jesteś aniołem. Zaparz herbatę i porozmawiamy.

Kiedy Susan wróciła do pokoju z dwoma kubkami, Alice siedziała przed telewizorem i patrzyła na program o owadach. Dźwięk był nastawiony na pełny regulator. Susan wzięła do ręki pilota i wyłączyła głos.

- Mamó, miałyśmy porozmawiać. Mogę to wyłączyć?

- Nie, nie, kochanie. Ojcu bardzo by się podobało - uwielbia takie rzeczy. Zaraz będzie w domu.

Wzięła kubek z herbatą i delikatnie, nieuważnie poklepała ją po ręku, nie odrywając oczu od ekranu.

Marzec

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Pokuta Ian McEwan, 2002*

Jednego z najgorętszych dni lata tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku trzynastoletnia Briony Tallis widzi, jak jej siostra Cecilia zrzuca ubranie i wskakuje do ogrodowej fontanny. Obserwuje ją Robbie Turner, przyjaciel z dzieciństwa, który, tak jak Cecilia, właśnie przyjechał do domu z Cambridge.

Po koniec dnia życie całej trójki odmieni się na zawsze. Robbie i Cecilia przekroczą granicę, której nawet sobie nie wyobrażali, i padną ofiarą wyobraźni młodszej dziewczynki. Briony zostanie świadkiem tajemnic i popełni przestępstwo, za które będzie się starała odpokutować przez resztę życia.

Pokuta to chyba najlepsza książka Iana McEwana. Inteligentna i absolutnie urzekająca w opisach dzieciństwa, miłości i wojny, Anglii i jej społeczeństwa. Jej oś stanowi dogłębna - i głęboko poruszająca - analiza wstydu i przebaczenia, pokuty i trudnego rozgrzeszenia.

* I. McEwan, *Pokuta*, przeł. Andrzej Szulc, Warszawa 2002.

- Czemu robisz taką minę?

- Jaką?

- Niechętną.

- Wcale nie, prawda?

W pokoju rozległ się przytakujący chór.

- Robiłaś tę minę przy każdej mojej propozycji!

- Po prostu nie podobały mi się. Przepraszam. - Harriet przybrała zawstydzony wyraz twarzy.

- Czy coś ci się ostatnio podobało?

- Pewnie. *Zgaga* bardzo mi się podobała. I *Zdobywam zamek*.

- A wiesz czemu?

- Właściwie... - Harriet przekartkowała książkę i notes, wyrównując strony jak profesjonalna sekretarka po spotkaniu - ... chyba wiem.

Clare cieszyła się, kiedy rozmowa przybierała taki obrót. Najczęściej rozpoczynała to Harriet. Clare nie umiała dyskutować nad poszczególnymi fragmentami książki - bała się, że powie coś głupiego albo po prostu niewłaściwego, albo że coś ominęła. Pozostałe panie wydawały się znać o tyle więcej książek. Nigdy nie czytała zbyt wiele. W dzieciństwie pochłonęła serię powieści Sue Barton o pielęgniarzach. Pamiętała też, że kiedyś koleżanka z klasy przyniosła egzemplarz *Koronki* Shirley Conran, należący do matki. Miały wtedy po dwanaście lat i przeczytały wszystkie „momenty”. Przy scenie ze złotą rybką Susie Atterbury

wybuchła płaczem i trzeba było odprowadzić ją do gabinetu lekarskiego. Clare całkiem się podobało. Kiedy uczyła się w St Thomas, mieszkanie było pełne pism (i policjantów z posterunku w Lambeth. Sue Barton udało się złapać lekarza, lecz większość pielęgniarek zadowalała się policjantami), stanowiących lekką odmianę po podręcznikach i salach chorych. Grube powieści w błyszczących okładkach były zarezerwowane na wakacje.

Elliot dużo czytał. Książki kupował u Waterstona, podczas gdy Clare wystarczało Tesco - wrzucała do wózka najnowszą powieść w ładnej, pastelowej okładce, tuż obok groszku konserwowego i twarożku. W ostatnich latach usiłowała przeczytać kilka książek Elliota. Nie była w stanie przebrnąć przez *Mandolinę kapitana Corellego*. Elliot twierdził, że przypomina mu powieści Dickensa, z różnorodnością charakterów i wątków ubocznych. Za każdym razem, kiedy ją brała do ręki, czuła, że coś jej umyka - tekst nie przemawiał do niej. Dzięki książce jednak wyglądała inteligentnie, trzymała więc ją w ręku, leżąc nad basenem w czasie wakacji na Cyprze w dziewięćdziesiątym szóstym. Ukryta za okularami słonecznymi zapadała w drzemkę. Elliot był na nią zły. Udawanie ignorancji jest afektowane, powiedział. Nazywał ją Uriaszem Heepem (kto to taki, u diabła?), ponieważ, jak twierdził, swoje opinie o polityce, literaturze i innych poważnych sprawach przedstawiała przepraszająco, jako niegodne uwagi. Podczas gdy była tak samo inteligentna jak on i większość osób.

Clare nie wierzyła w to do końca, ale na spotkaniach klubu czuła się odważniejsza. Wszystkie kobiety wzbudzały jej sympatię. Najbardziej chyba jednak lubiła Harriet, która była zabawna i bezczelna. Clare miała sekretną teorię, że jeśli Harriet nie przeczytała książki do końca, albo przeczytała ją zbyt szybko, aby dyskutować o szczegółach, wymyślała ogólną debatę na jakiś temat i kierowała rozmowę w tę stronę. To bardzo pomysłowe. Może teraz właśnie to robiła.

- No dalej, pani profesor, chcemy posłuchać. - Nicole uśmiechnęła się do Harriet.

- Chyba nie bardzo lubię książki pisane przez mężczyzn. Polly roześmiała się.

- Masz na myśli większość wielkiej literatury powstałej w ciągu dwóch tysięcy lat. Co my tu w takim razie robimy?

- Czekaj, czekaj. Mam coś jeszcze. - Harriet nie obraziła się i najwyraźniej nie była to jedna z jej zaplanowanych dywersji. Przeczytała każdą linijkę *Pokuty*, która sprawiła, że czuła się zrzędliva i niezadowolona.

- Chodzi o to, jak się czyta. I dlaczego. Wszystkie jesteśmy inne.

Nicole nalała sobie kolejny kieliszek wina.

- O matko, Harriet staje się głęboka. Ktoś chce? - Zamachała butelką.

Susan wyprostowała się.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Harriet?

- No dobra. Jest taka szczególna godzina - właściwie rano - kiedy mam czas tylko na czytanie.

Wokół stolika do kawy rozległy się pomruki powątpiewania.

- I jeśli mogę wybrać nową powieść Penny Vincenzi albo Iana McEwana, zawsze wybiorę Penny Vincenzi, wicie? Tak było nawet na studiach. Wydawało mi się, że to jest łatwiejsze. Nie wymaga myślenia. I w pewnym sensie zawsze zadowolalam się tą odpowiedzią - wolę przeczytać sagę napisaną przez kobietę niż męską powieść intelektualną, bo tak jest łatwiej. Ale teraz - powiedziała tonem panny Marple odkrywającej wielką tajemnicę - teraz zdałam sobie sprawę, że o wiele bardziej przejmuję się postaciami w książkach kobiet. A jeśli nie przejmuję się naprawdę na pięćdziesiątej stronie, to nie ma sensu. Mogę przeczytać, mogę zrozumieć, ale po co? Kogo to obchodzi? - zakonkludowała Harriet z teatralnym gestem.

Clare przytaknęła. Nicole potrząsnęła głową.

Pierwsza przemówiła Susan, ostrożnie dobierając słowa:

- Może masz trochę racji. Ale muszę powiedzieć, że zupełnie się mylisz w kwestii podziału na kobiety i mężczyzn. Popatrz choćby na... D.H. Lawrence'a, Thomasa Hardy'ego - może nawet Szekspira? Wprost ociekają emocjami. Wszyscy byli strasznie uczuciowi.

- Klasyka to zupełnie coś innego. Dlatego nie chciałam, żebyśmy ją czytały. Życie było kiedyś inne. Wszystko było inne. Mówię o współczesnych pisarzach.

- Ja lubię czytać klasyczne powieści z dokładnie tych samych powodów. Lubię się dowiadywać nowych rzeczy - lubię czuć, że nauczyłam się czegoś, czytając książkę, a nie przesłam przez emocjonalną wyzmaczkę. Do tego mam program Ophry w telewizji.

To powiedziała Nicole. Nic dziwnego, pomyślała Harriet. Zawsze lubiła się kontrolować.

- Zgadza się z Harriet - wtrąciła Polly. - Pomyślcie o swoich ukochanych książkach, niezależnie od tego, czy są wielką literaturą. *Jane Eyre*? *Rebeka*?

- *Kobieta majętna*. - Clare tak zapaliła się do zdania Harriet i Polly, że bez wstydu przytoczyła książkę Barbary Taylor Bradford.

Polly tryumfowała.

- No właśnie. Cudowne, grube książki. Nadal pamiętam imiona bohaterek. Emma, Paul, Blackie. A minęło już ze dwadzieścia lat. Marzyłam, żeby się nigdy nie skończyły.

- Ale nie nadają się zbyt dobrze do klubu, prawda? - zapytała Nicole. - Jakkolwiek bardzo je kochamy, o czym tu dyskutować? Potrzebujemy czegoś bardziej skomplikowanego, z „wątkami” i „problemami”.

Harriet nadal myślała o mężczyznach.

- Mężczyźni jako pisarze są upośledzeni emocjonalnie. Nie wszyscy, ale większość. Mają wystarczająco dużo wyobraźni i pomysłowości, aby wymyślić intrygę i tym podobne, ale brakuje im uczuć. Jak w *Pokucie*. Jest najzwyczajniej zimna.

- Czy nie sądzisz, że w całej literaturze emocje są ukryte pod powierzchnią, między wierszami, schowane w języku i akcji? Sama je tam umieszczasz, zgodnie ze swoim osobistym doświadczeniem. Jak uważacie? - Susan spojrzała na nie.

- Możliwe - zastanowiła się Harriet.

- Zgadzam się z Susan. Kłopot z wami - Nicole wskazała na Harriet, Polly i Clare - polega na tym, że chcecie wszystko dostać gotowe. Jakby istniał przepis na wzruszenie czytelnika, a każdy autor powinien się do niego stosować.

- To nie fair. Ja tylko chcę się przejmować losem bohaterów.

- Ja też.

- A nie przejmowałaś się? W tej powieści?

- Nie bardzo. - Harriet wzruszyła ramionami. - Drażnili mnie.

Polly roześmiała się.

- To przynajmniej jakaś emocjonalna reakcja.

- Bo co to za pokuta? To takie katolickie. Jeśli żałujesz i powiesz o tym Bogu, wszystko jest w porządku. Nie musisz niczego naprawiać w prawdziwym świecie. Ona wcale nie pokutuje. Nie przekonuje mnie to. - Harriet mówiła kłótlwym tonem. Szczęśliwa, zainteresowana i kłótlwa. Inne świetnie się bawiły. Nicole lubiła wypowiadać swoje zdanie - często nie zgadzała się z Harriet. Polly także nabrała odwagi. Susan czasami pozostawała z tyłu, zbyt uważnie zastanawiając się nad opiniami Harriet. A Clare chętniej niż dotychczas zabierała głos. Jej książki zawsze wyglądały na gruntownie przeczytane. Harriet, siedząc obok Clare, zauważyła notatki na marginesach, pozaginane rogi. Miała nadzieję, że z czasem Clare zyska więcej pewności siebie. Klub potrzebował wkładu wszystkich uczestników - milcząca osoba hamowała reakcje pozostałych. Wiedziała, że Clare ma wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia.

- Wydaje mi się, że twoje pojęcie na temat winy i żalu jest zbyt czarno-białe. Chcesz ją publicznie ukamienować, zanim przekonasz się, czy odczuwa żal - uznała Nicole.

- Nie wystarczy ci, że spędzi całe życie pełna wyrzutów sumienia i skruchy.

- Skrucha to jedno, wina coś innego. Mówię o tytule tej książki. Czy pokuta nie oznacza naprawienia czegoś?

- Oznacza. I bohaterka próbuje.

Harriet parsknęła. Nie była pewna, czy rozmawiały o Briony, czy o Gavinie. Może szybciej wybaczyłyby Briony.

Głośna, chaotyczna dyskusja szalała przez następną godzinę, w trakcie kolacji i deseru. Rozmowa krążyła, jak kulka w maszynie do gry, wśród tematów katolicyzmu, gniewnych diatryb Harriet przeciwko pisarzom mężczyznom, zapewnień Susan, że przejmuje się bardzo losem Briony i Cecylii, entuzjazmu Nicole dla socjologii historycznej McEwana i pochwał *tarte tatin*, przygotowanej przez Polly.

- Posłuchajcie, na stronie trzysta dwudziestej: „Tego wszystkiego, czemu nie chciała stawić czoła, brakowało również w powieści, choć było w niej niezbędne. Co teraz miała zrobić? To nie jej opowiadaniu brakowało kręgosłupa. Kręgosłupa brakowało jej samej”. Zamykam sprawę. - Harriet, naturalny, choć dosyć despotyczny przywódca, zatrzasnęła dramatycznie książkę. - Czyja kolej teraz?

- Chyba moja, prawda? - powiedziała Susan.

- Masz wolny wybór. Nie może to być tylko nic napisanego przez mężczyznę, nic katolickiego ani coś, co wprost nie ocieka sentymentalizmem!

- A może *Love story*? - zażartowała Susan.

- Ach! - wykrzyknęła teatralnie Polly. - To przecież napisał mężczyzna. Najbardziej łzawa książka na świecie.

Harriet roześmiała się.

- I tu mnie masz.

- Chyba już wybrałam. - Susan wyjęła tomik z torebki.

- Roddy Doyle - *Kobieta, która wpadała na drzwi*. Z wypożyczalni.

Harriet była pod wrażeniem, ponieważ sama zawsze utykała w dziale dziecięcym, wśród jaskrawych kanap i niezliczonych rozkładanych książeczek, w których brakowało rozmaitych elementów.

- Wysła kilka lat temu, więc na pewno można ją dostać w wersji kieszonkowej - kontynuowała Susan. - Zainteresował mnie temat - o znęcaniu się nad żoną.

- Chcesz nam coś wyznać? - żartowały.

Roger wydawał się mężem z marzeń, choć może odrobinę nudnym, pomyślała Nicole. Susan zachichotała.

- Nigdy wcześniej nie czytałam nic tego autora, a wy?

One też nie, ale widziały i lubiły film *The Commitments*. W drodze do domu, w samochodzie, Nicole zdała sobie sprawę, że nuci pod nosem *Try a Little Tenderness*.

Harriet

Harriet z niechęcią przejrzała się w lustrze. Toalety na stacjach benzynowych nie najlepiej nadawały się do oceniania wyglądu. Sinobiałe światło było o wiele za jaskrawe, a lustra zawsze oszukiwały na niekorzyść. Albo więc wiedziało się i tak, że w rzeczywistości wygląda się lepiej, albo cierpiała na tym samoocena. Harriet przypomniała sobie, że Liz Hurley zaleca podobno wyskubywanie brwi w samolotowych ubikacjach klasy biznesowej - tam oświetlenie jest najlepsze (czy w klasie ekonomicznej jest ciemniej?). Powinna wypróbować to na M3. Korektor pod oczy nie skrywał cieni, które zawdzięczała tygodniowi suchego kaszlu u Chloe i bezustannego zaspokajania żądań: „mama, daj pić, daj różowe lekarstwo, przytul”. Konturówka, która według poprzekłuwanego w wielu miejscach chłopaka w ekskluzywnym sklepie miała zmienić jej życie, faktycznie wytrzymała próbę czasu - czyli godzinę - ale szminka już nie. Jej usta wyglądały jak niedokończony rysunek z komiksu.

Majtki à la Bridget Jones podtrzymywały brzuch, ale sprawiały jednocześnie, że w połowie uda powstawał walek tłuszczu. Tak czy owak udało jej się odrobinę schudnąć dzięki diecie, która rozpoczęła się od umiarkowanego „odstawię chipsy i ciasteczka, zostało jeszcze osiem tygodni”, a skończyła na desperackim „jeśli nie zjem nic przez następne siedemdziesiąt dwie godziny i wypiję pięć litrów wody - uda mi się”. Metka wskazywała na numer dwunasty. Harriet była tak dumna, że zastanawiała się nad nosze-

niem jej na zewnątrz. Nie po raz pierwszy w życiu zapragnęła być podobna do Nicole, która zawsze wyglądała, jakby właśnie wyszła z salonu piękności; włosy, paznokcie, twarz, ciuchy, wszystko było perfekcyjne. Harriet z kolei zawsze sprawiała wrażenie, jakby właśnie się tam udawała: cienkie włosy, wystający brzuch, za mało szyku, za dużo świecidełek. Kostium co prawda był piękny. Harriet musiała przyznać, że nawet oświetlenie nie zepsuło koloru - idealny odcień dla jej cery i oczu. Oczywiście, wybrała go Nicole, która zdecydowanie odrzuciła wszystkie sugestie Harriet: „Zbyt wymyślne, pomyłają cię z tortem weselnym!"; „Tylko jeśli chcesz zaśpiewać: To powinnam być ja!”, „No nieee, chcesz być panną młodą?”. Czuli się... szykownie. Jak kobieta sukcesu. Na skraju łez.

Na zewnątrz Tim rzucał się w oczy, nawet w swoim uroczystym stroju. Dlaczego on musiał ze mną pojechać? Nie jestem Chloe, na litość boską, pomyślała zirytowana Harriet. Wygląda jak ostatni palant. Jeśli nie będzie uważał, kiedyś dostanie po głowie.

Najwyraźniej był to jeden z tych dni, kiedy Tim wszystko robił nie tak. Z samego rana odwiózł Josha i Chloe do swojej matki, pamiętając o kostiumach kąpielowych i rękawkach do pływania. Ominął z daleka łazienkę, w której się zamknęła, i pojechał do myjni. Wrócił do domu lśniąącym samochodem. Po drodze, u kwiaciarza na rogu, wybrał dla obojga kwiaty do butonierki: białą różę dla siebie, frezje dla niej.

Trochę zbyt oczywiste, pomyślała Harriet. Gdyby był psem, nasiusiałby na mnie, żeby zaznaczyć terytorium. Maleńka część jej umysłu starała się pamiętać, że ślub Charlesa to także dla niego trudna chwila. Spotkał go tylko raz, dawno temu. Ostatnio nigdy o nim nie wspominali, a już na pewno nie robiła tego Harriet. Nie trzymała jednak swoich uczuć w tajemnicy. Na litość boską, Tim był przecież obecny przy niej od samego początku - zgłosił się na ochotnika i doskonale wiedział, w co się pakuje, może nie?

Za pierwszym razem Harriet praktycznie rzuciła mu się w ramiona. Po potwornej kłótni z Charlesem leżała samotnie - było jej trochę chłodno - jak tragiczna heroina, na podłodze w holu mieszkania, które wynajmowały w Wimbledonie wspólnie z Amandą, szlochając i czekając na jego powrót, na nikczemne przeprosiny. Na dźwięk dzwonka do drzwi poderwała się i pobiegła do lustra, żeby sprawdzić, czy wystarczająco atrakcyjnie wygląda pogrążona w nieszczęściu. Potem otworzyła szeroko drzwi, aby stanąć twarzą w twarz z pełnym skruchy Charlesem. Zamiast niego jednak ujrzała Tima w ciemnym garniturze, o poważnej, przerażonej twarzy, który przyszedł po Amandę, aby zabrać ją na partię squasha. Tim natychmiast okazał współczucie na widok jej rozpacz, wprowadził nieco przesadzonej, jednak niewątpliwie szczerzej. Harriet, zbyt zawstydzona i dotknięta tym, że nie był Charlesem, nie zwróciła na niego uwagi.

Na tym polegało całe ich życie, uznała Harriet, obserwując, jak przegląda nagłówki gazet.

- Wyglądasz prześlicznie, Harry - powiedział Tim, kiedy podjęli dalszą drogę na zachód. - Niezwykle ładnie ci w tym kolorze. Jestem dumny, że mnie ze sobą zabrałaś. - Zdjął rękę z dźwigni biegów i położył ją przelotnie na dłoni Harriet, spoczywającej na kolanach. - Udało im się z pogodą, prawda?

Zeszły tydzień był nieszczególny; szary, z mżącym bezustannie deszczem. Ten ranek jednak wydawał się wymarzony dla marcowej panny młodej - jasnoniebieskie niebo, niezbyt chłodno.

Litości, my naprawdę rozmawiamy o pogodzie, pomyślała Harriet. Jakie to błyskotliwe. W odpowiedzi mruknęła, że istotnie, miły poranek, i włączyła radio. Whitney Houston na całe gardło wyśpiewywała *I Will Always Love You*. Niedobrze. Nawet wodoodporny tusz nie wytrzyma. Kiedyś Charles podarował jej na święta walkmana. I kasetę z „ich” piosenkami. Nie tak strasznie banalnymi i osłuchanymi jak Whitney, ale niektóre z nich dziś rano wywołałyby jeszcze większe potoki łez. Harriet przestawiła program na coś mniej emocjonalnego. Czeka ją długi dzień.

Straszne korki na szosie sprawiły, że Tim i Harriet przyjechali w ostatniej chwili (choć za wszelką cenę chciała tego uniknąć) - czując się jak Hugh Grant w *Czterech weselach i pogrzebie*. Ostatnią milę drogi do irytująco ślicznego kościółka w malowniczej jak z obrazka wiosce, gdzie niewątpliwie wychowała się uroczą Imogena, przebyli przed następującym im na pięty ślubnym rolls-royce'em. Ohyda.

Na palcach wsunęli się do kościoła i usiedli w jednej z tylnych ławek, kiedy rozległa się muzyka. Coś bardzo tradycyjnego, ale chwała Bogu nie marsz weselny. Wszyscy wstali i Harriet dostrzegła, jak Charles prostuje ramiona i wykonuje ćwierć obrotu, wypatrując narzeczonej. Poczula się, jakby ktoś ją uderzył. Serce waliło jej jak młotem, miała urywany oddech. Zwilgotniałe dłonie oparła o sąsiednią ławkę, aby się uspokoić. Charles. Charles.

Nie widział jej. Jego oczy przewiercały na wylot nadchodzącą Imogenę. Która nawet nie miała na tyle przyzwoitości, aby włożyć suknię w stylu bezy - i zapewnić zgorzkniałej eks okazję do złośliwości. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać panna młoda - czyli prześlizgnięta. Żadna z niej modelka, ale całkiem niezłe nogi, musiała przyznać Harriet. Wyglądała, cóż, miło. Uśmiechnięta. Ciepła. I zakochana po czubki uszu. Matka Harriet uwielbiała dwie rzeczy na świecie - poza swoją rodziną, miejmy nadzieję - musicale i Christophera Plummera. Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty był więc dla niej idealny, bo połączył Plummera z potwornym filmem, jakim okazały się *Dźwięki muzyki*. „Szarotka* - powtarzała zawsze Harriet. - Czy mam coś dodać?”.

* Szarotka alpejska to popularny symbol Austrii.

Matka Harriet zmuszała ich do oglądania *Dźwięków muzyki* za każdym razem, kiedy były wyświetlane. Kiedy nareszcie film ukazał się na wideo, uszczęśliwiona matka Harriet oglądała go bardzo często, w samotności. W końcu Julia Andrews tryumfowała nad sprytną intrygantką z wyższych sfer i zdobywała swego kapitana, a mama Harriet roniła podczas sceny ślubu najprawdziwsze łzy, powtarzając: „Wyobraź sobie, że ktoś taki czeka na ciebie przed ołtarzem!”. Tak właśnie wyglądała Imogena - tak jakby wyglądała matka Harriet, idąca kościelną nawą na spotkanie z Christopherem Plummerem. Harriet doskonale rozumiała dlaczego.

W czasie ceremonii uważnie przyglądała się swoim rękóm. Kiedy tylko podniosła wzrok, czuła na sobie oczy Tima, czuła jego namacalną troskę. To tylko pogarszało sprawę. Ceremonia zdawała się ciągnąć wieki. Nasz ślub trwał raptem dziesięć minut, pomyślała, nawet biorąc pod uwagę czas na wyspie. Nagle

wydało jej się, że wszystkie te słowa, hymny i mnóstwo znajomych w kapeluszach podnoszą prestiż samego ślubu. Jakby jej własne małżeństwo było podrabiane. Nic dziwnego, że nic im nie wychodzi.

Nie czuła się tak w dziewięćdziesiątym trzecim roku, kiedy wychodziła za Tima. Może jednak już wtedy podejrzewała, że to drugorzędne małżeństwo z drugorzędnym facetem, więc rozmyślnie przystała na drugorzędny ślub. Nie, to nie tak. Kochała Tima. Była pewna, że wtedy go kochała. Pojechali na Santa Lucia tylko we dwoje, zamierzając pobrać się w drugim tygodniu wakacji - to dawało im wystarczająco dużo czasu, żeby zdobyć pozwolenie i opalić się do fotografii, oraz na miesiąc miodowy potem. Matka była wściekła. Z drugiej strony ojciec z pewnością odetchnął z ulgą na wieść, że nie musi wyprawiać tradycyjnego, wystawnego wesela. Wtedy wydawało jej się to wielką przygodą, ślubem innym niż wszystkie.

Pewnego wieczoru, kilka dni przed wylotem, Harriet upiła się z Amandą i płakała trochę nad Charlesem, aby natychmiast zaprotestować niepewnym głosem, że: „kocha Tima, naprawdę”. Do dziś dnia Harriet pamiętała słowa Amandy:

- Brednie! Doskonale wiesz, co jest grane. Mamy dwie możliwości. Po pierwsze (wymachując kciukiem), próbujesz grać z Charlesem w „kto kogo przetrzyma”, którą to grę moim zdaniem i tak już przegrałaś. Dobrze wiesz, że nie kiwnie małym paluszkim, żeby zaprotestować. Albo - tu uniosła, jak jej się wydawało, dwa palce - grasz w „krzeselka”!

- Cóż to u diabła jest?

- No wiesz, boisz się, że muzyka przestanie grać, a ty zostaniesz na łodzi, więc biegniesz do najbliższego krzesła i siadasz na nim. To śmieszne, bo masz dopiero dwadzieścia, ile? - dwadzieścia pięć lat. Ale tak mi się wydaje.

- Wsadź sobie gdzieś tę tanią psychologię, idiotko - prychnęła Harriet na przyjaciółkę. - Wszystko będzie dobrze, sama zobaczysz.

Ale nigdy nie zapomniała. Może dlatego wybrała Santa Lucia. Jakby chciała coś ukryć. Branie ślubu na plaży było nawet zabawne. Przez cały czas tej najważniejszej w swoim życiu ceremonii Harriet miała przed oczami parę wyjątkowo jędrnych męskich pośladków, przedzielonych pojedynczym, czarnym paskiem majtek. Sprawilo to, że zaczęła niepohamowanie chichotać. Na dziesięciu luksusowych fotografiach, zamówionych przez hotel, wyglądała na roześmianą i zgrzaną w swojej niezbyt odpowiedniej sukience. Tim był niemożliwie dumny. Sam nie wybrałby Santa Lucia, lecz przytulił ją i oświadczył, że mogą pobrać się wszędzie, o ile ona tam będzie i powie „tak”...

I stało się. Padły wszystkie piękne słowa, przy dźwiękach stylowej muzyki złożono podpisy w księdze i Charles z Imogeną kierowali się ku niej, szeroko uśmiechnięci. Rodzina i przyjaciele sygnalizowali bezgłośnie: „wyglądasz przepięknie” i „gratulacje, kochanie”. Trzymała Charlesa pod rękę - lewą dłonią przykrywał jej palce, ściskając tak mocno, że aż pobielały mu kostki. Harriet zdała sobie sprawę, że musiał być bardzo zdenerwowany. Nienawidził publicznych wystąpień i znajdowania się w centrum uwagi. Przechodząc, odwrócił się i, uśmiechnięty, spojrzał prosto na nią. Harriet czekała na mrugnięcie, na zmianę w uśmiechu, na drgnienie mięśni, lecz szedł dalej, ukazując tę samą twarz owdowiałej ciotce w następnej

ławce, lekko zdezorientowane spojrzenie ślepej radości, którą przeżywali wszyscy dokoła. Nawet jej nie zauważył.

Przed kościołem Harriet nie chciała stać ze wszystkimi, udając, że wspólna fotografia to interesujący przerywnik, i przyglądając się młodej parze.

- Chodźmy poszukać hotelu. Muszę natychmiast zrobić siusiu. To pewnie przez te wszystkie kawy rano.

- Dobrze, kochanie. - Tim chciał zaprowadzić ją jak najszybciej w jakieś spokojne miejsce, aby mogła pozbierać się przed ciężką próbą, która czekała ją na przyjęciu.

To musi być dla niej cholernie dziwne, pomyślał. Byli z Charlesem parą dosyć długo - na pewno zna wszystkich krewnych i znajomych. Po raz kolejny pożałował, że zostali zaproszeni na ten przeklęty ślub. To tylko obudziło zastarzałe emocje. W niej i w nim. Dlaczego trzeba zawsze tak idiotycznie udawać przyjaźń i uprzejmość? Kiedyś Harriet naprawdę kochała Charlesa, a on, kretyn, nie zdawał sobie sprawy, co ma, i złamał jej serce. Pozostawił wrak człowieka, który znalazł Tim. Na szczęście dla siebie. Tim pomyślał, że chyba zakochał się w niej tego pierwszego dnia. Nigdy wcześniej nie wierzył, że to możliwe. A z pewnością idąc wtedy do Amandy, nie spodziewał się, że zaleje go burza uczuć na widok zbzikowanej dziewczyny o zapuchniętych oczach, która otworzyła mu drzwi. Zapragnął zabrać ją stamtąd i sprawić, żeby poczuła się bezpieczna i szczęśliwa, Nadal tego pragnął. Szczególnie dziś rano. Znał jednak Harriet dość dobrze, aby zrozumieć, że dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek powinien trzymać się na dystans.

Harriet wypła duszkiem pierwszy kieliszek szampana, jeszcze zanim zdążyła wziąć się w garść. Potem z przesuwającej się obok srebrnej tacy wzięła następny i stanęła w długiej kolejce do składania życzeń. Zanim dotarła do państwa młodych, była już w połowie trzeciego. Wypowiedziała kilka odpowiednio wylewnych słów do eleganckiej pary, najwyraźniej rodziców Imogeny (oczywiście pozostających małżeństwem), potem podeszła do ojca Charlesa, miłego pana z błyskiem w oku, którego zawsze bardzo lubiła. Kiedy zerwali z Charlesem po raz ostatni, posłał jej serdeczny liścik, w którym pisał, jak bardzo będzie mu brakowało ich rozmów i spacerów, że z pewnością zostanie wspaniałą, uroczą żoną jakiegoś szczęściarza i jaka szkoda, że nie będzie to ten głupi Charles. Ucałował ją w oba policzki, uchwycił za ramiona i oznajmił, że wygląda ślicznie, w sam raz do schrupania. Timowi powiedział po prostu „Ma pan szczęście”. Matka Charlesa była zdecydowanie mniej serdeczna - pewnie uważała udział byłej dziewczyny w imprezie za wysoce niewłaściwy, by nie powiedzieć nieprzyjemny. I to dziewczyny, która zareagowała tak... gwałtownie jak Harriet. „Jaka szkoda, że nie przywieźliście dzieci, moja droga. Bardzo chciałabym je zobaczyć”. Nie nabierzesz mnie, ty stara zasuszona małpo, pomyślała Harriet, przybierając swój najmilszy uśmiech. Tim delikatnie popchnął ją do przodu, kierując cały swój czar ku matce Charlesa. Imogena, pograżona w rozchichotanej konwersacji z kobietą przed nimi, unosiła skraj sukni, pokazując buty. Harriet nagle znalazła się twarzą w twarz z Charlesem.

- Hats! Cudownie cię widzieć. Wyglądasz doskonale. Macierzyństwo i wiejskie powietrze najwyraźniej ci służą. Dzięki, że przyjechałaś. Jesteśmy szczęśliwi, że ci się udało.

„My"! Czy przytrzymał chociaż trochę dłużej jej dłoń w swojej? Czy uśmiechał się z żalem? Pożądliwie? Intymnie? Niestety, zupełnie nie.

- Tim, staruszkule! Dobrze cię widzieć. Dzięki, że przyjechaliście.

I tak dalej.

Tim zauważył, że Charles rozpoznał tęsknotę w oczach Harriet. I trzy kieliszki szampana. Raz chociaż zgodził się z nim w myślach, że trzeba jej pilnować. Sięgnął poprzez swoją żonę, aby uściskać dłoń panu młodemu, nie pozwalając jej zatrzymać się na dłużej.

Pieprzyć go, pomyślała Harriet, przechodząc niechętnie pod namiot. Pieprzyć go. I Tima też. Dlaczego musiał z nią przyjeżdżać? Czy po to mnie zaprosili? Żeby Charles znowu poczuł satysfakcję? Czy nie wystarczył mu ostatni raz? Harriet gwałtownie zapragnęła znaleźć się gdzieś indziej. Czy wyobraziła sobie wszystko, co było między nimi? Stworzyła obraz, jaki nigdy nie istniał w rzeczywistości? Nie, do diabła. Obojętność Charlesa nie mogła zmienić przeszłości. Należała do nich, bez względu na to, jak postępował. Wiedziała o tym.

Harriet podeszła do kelnera po kolejny kieliszek szampana. Dopiero od dwudziestu minut znajdowali się w ogromnym holu domu Imogeny, z szerokimi schodami, pełnym dzieł sztuki nowoczesnej, i pierwsze trzy kieliszki nie zdążyły zadziałać, choć Harriet czuła już musujące banieczki w nogach i czubkach palców.

- Hats? Hats!

Znowu to stare, studenckie przewisko. Boże, jeśli jest tu pełno absolwentów ich uczelni, równie dobrze może od razu wyjść. Nie miała najmniejszej ochoty na wspominki w poufalej atmosferze. Odwróciła się na pięcie i jej wzrok padł na klatkę piersiową bardzo dużego mężczyzny.

- Pamiętasz mnie? Nick?

Czy go pamiętała? Tak, oczywiście... Nick był jednym z najbliższych przyjaciół Charlesa w czasach studenckich. Łączyła ich namiętność do piwa, rugby i ładnych dziewcząt oraz niechęć do wykładów z ekonomii. Harriet zawsze uważała go za przystojnego - był błękitnooki i jasnowłosa, w stylu rodziny von Trappów - lecz raczej tępawego i trochę łobuza. Jedną z koleżanek, której imienia nie mogła sobie przypomnieć, kochała się w nim beznadziejnie, a on potraktował ją podle, podrywając natarczywie, kiedy akurat nie miał nic lepszego do roboty, a następnego dnia odnosząc się do niej wyniośle i obojętnie. Głupia dziewczyna, pomyślała wtedy Harriet, zrobiła z siebie idiotkę, ale nawet ona musiała przyznać, że Nick coś w sobie miał. Tamtego lata pojechał na Ios z Charlesem, Robem, Amandą i innymi. Był bardzo miły, i świetnie się razem bawili. Harriet nie widziała go od wieków, ale wydawało jej się, że „jest w City". Ach tak, nadstawiła ucha, przysłuchując się uprzejmej rozmowie z Timem, jest brokerem - Tim najwyraźniej słyszał o jego firmie - i „właściwie całkiem nieźle sobie radzimy. Łatwo przyszło, łatwo poszło i tak dalej". I co dalej? Rozmowy o interesach śmiertelnie nudziły Harriet. Jej wiedza na temat finansów była szokująco skromna (nigdy nie naciskała guzika z napisem „Stan konta" w bankomacie - jak długo dawał pieniądze, wszystko było w porządku, jeśli nie - to nie było, i tyle). Jeszcze mniej wiedziała na temat zajęć osób ta-

kich jak Tim i Nick. Podczas gdy mężczyźni gawędzili, obejrzała Nicka od stóp do głów. Zapomniała, jaki jest wysoki i przystojny. Czy zawsze miał smugę piegów na nosie, przez co jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne? Czy w college'u nosił krótsze włosy? Pamiętała jego lekko odstające uszy, dzisiaj jednak nie było ich widać pod włosami, opadającymi w sposób, który bardzo jej się podobał. Wyglądał na zamożnego - rozpoznała krawat Hermesa i zegarek Jaeger LeCoultre. Brak obrączki. Duże dłonie. Opuszczając wzrok niżej, Harriet poczuła, że kręci jej się w głowie, i zanim skoncentrowała spojrzenie na czarnych, sznurowanych butach, opadła do przodu, opierając się głową o pierś Nicka. Tim objął ją za ramiona, podnosząc do pionu tak delikatnie, jak tylko potrafił. Mówił właśnie „dwoje, chłopca i dziewczynkę...”, ale Nick go nie słuchał. Uśmiechał się bezczelnie, patrząc prosto na nią. Świnia, pomyślała Harriet.

Susan

Dzwonek budzika rozległ się piętnaście po piątej. Roger przekreślił się na drugi bok i objął Susan.

- Dzień dobry, kochanie.

- O nie...

Susan z niechęcią otworzyła jedno oko i szybko zamknęła je z powrotem. Dzisiejszy dzień ją prze-
rażał. Wtuliła się w ciepłe ciało męża.

Roger przytulił ją, przekreślił się znowu i wstał z łóżka.

- Wskakuj na chwilę pod prysznic, a ja zrobię ci herbaty. Kiedy się ubierała, wrócił z herbatą dla nich obojga i kawałkiem tosta z masłem.

- Na pewno chcesz pojechać sama? Mógłbym ci towarzyszyć. Nawet nie spóźnię się na dyżur. Sprawdziłem w informacji, samolot ląduje o czasie. Jeśli nie będzie korków, wrócimy o ósmej trzydzieści.

- Usiadł przy niej.

- Nie, dzięki. To moja decyzja i sama muszę stawić czoło Maggie.

- Dobrze, kochanie. Jak uważasz. Ale ostrzegam, że jeśli będzie dla ciebie niemiła, ja się z nią roz-
prawię. Nie może tak po prostu przyjeżdżać po wszystkich tych latach i od razu się rządzić. Po prostu nie
może.

Susan spojrzała na swojego męża. Jego zazwyczaj łagodna twarz była teraz ściągnięta gniewem. Jej
bohater. Co by bez niego zrobiła? Podniosła torebkę z krzesła po swojej stronie łóżka i pochyliła się, żeby
pocałować go w czoło.

- Słuchaj, dla niej to też będzie trudne. Porozmawiamy w domu. Pewnie nie jest aż tak wściekła, jak
wydawało mi się przez telefon. Musi się przyzwyczaić do tej myśli - musi zrozumieć moje racje.

- Chyba bardziej wierzysz w jej dobrą naturę niż ja.

- To moja siostra.

- Wiem - zmarszczył czoło. - Po prostu nie pozwolę jej na ciebie napadać. To wszystko.

- To oczywiste, sir Galahadzie. Powinieneś zwinąć się w kłębek i jeszcze trochę pospać. Masz co
najmniej godzinę.

- Nie, już się rozbudziłem. Chyba wstanę - muszę zapłacić kilka rachunków.

- Dobrze. Do zobaczenia wieczorem. Zjemy kolację we troje. Lepiej trochę wcześniej - Maggie pewnie będzie zmęczona po locie.

Susan rozejrzała się dokoła, obserwując sceny jak żywcem wyjęte z opery mydlanej. Uwielbiała lotniska, ponieważ były pełne oczekiwania i radosnego podniecenia. Lubiła zwłaszcza dramatyczną atmosferę terminali międzynarodowych, jak tutaj. Lot British Airways z Sydney, lądujący na Heathrow o świcie, budził najwięcej emocji. Rodziny spotykały się po miesiącach czy latach rozłąki, niecierpliwi rodzice oczekiwali na obdartych nastolatków z plecakami, jak ona w zeszłym roku na Edwarda, który ku swemu żalowi został przywieziony na wózku przez obsługę naziemną, z grubo obandażowaną kostką u nogi. Żartował potem żałośnie, że udało mu się przeżyć całą tę daleką podróż bez jednego draśnięcia tylko po to, aby potknąć się idiotycznie o własne sznurowadło na ulicy w Melbourne dzień przed wylotem.

Susan stała wtedy na najwyższym schodku, jaki udało się jej znaleźć, ze łzami w oczach po sześciomiesięcznym rozstaniu z synem. Na widok wózka inwalidzkiego zamarło jej serce. Później dopiero zauważyła jego twarz i znajomy wesoły uśmiech. Z niebotyczną ulgą odetchnęła pełną piersią, po raz pierwszy - jak nagle sobie uświadomiła - od chwili jego wyjazdu.

Obok niej przy metalowej barierce stało starsze małżeństwo, czekając - jak opowiedzieli Susan - na niewidzianą od dziesięciu lat córkę i dwoje wnucząt, które mieli spotkać po raz pierwszy w życiu. Kobieta niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Susan rozrzewniła się do łez, kiedy dwie jasne głowy zanurkowały pod barierką w kierunku osób, które dotychczas znały tylko z fotografii. Ponad nimi ojciec chwycił w objęcia córkę. Przy jej opalonej, wysportowanej sylwetce wydawał się jeszcze drobniejszy. Weź się w garść, rozkazała sobie Susan. Ostatnio żyła w napięciu z powodu sytuacji z matką. Podobnie reagowała po urodzeniu chłopców: wszystko dotyczyło ją ze zdwojoną siłą - wiadomości, nawet reklamy wydawały się smutniejsze. Jakby odarto ją z niewidzialnej osłony, wszystkie nerwy i emocje znajdowały się tuż pod powierzchnią. Teraz było tak samo, za każdym razem, kiedy pomyślała o Alice w tamtym miejscu...

W tej chwili pojawiła się Margaret.

- Cześć, Maggie.

- Cześć, Suzie.

Żadnych uścisków nad barierką. Poszły wzdłuż niej, nie zwracając uwagi na wzruszające sceny dokoła, aby objąć się na chwilę niezgrabnie na końcu. Margaret przytuliła ją jednym ramieniem, na drugim cały czas trzymając torbę.

- Pomogę ci. - Susan wzięła jej bagaż. - Samochód stoi blisko. Jak lot?

- W tych okolicznościach? Nie najgorszy. - Głos Margaret był bezbarwny, praktycznie bez wyrazu. Susan poczuła się jeszcze gorzej. Nie będzie to łatwe. Idąc z Margaret na parking, pożałowała, że nie przyjęła propozycji Rogera.

Margaret nigdy nie wzbudzała łatwo miłości, a tym bardziej sympatii. Chociaż między nimi był tylko rok różnicy, nigdy nie doświadczyły takiej bliskości jak inne rodzeństwa, które Susan знаła i którym

zazdrościła. Ludzie na ogół nie domyślali się, że należą do tej samej rodziny. Fizycznie nie były do siebie podobne - Margaret wdała się w matkę. W domu znajdowała się staroświecka fotografia z czasów dzieciństwa Alice: siedziała w fotelu z wysokim oparciem, a jej brat Alexander stał sztywno za nią. Wyglądała wtedy zupełnie jak Margaret, z błękitnymi oczami wyraźnie widocznymi nawet na czarno-białym zdjęciu. Susan miała brązowe oczy. Mimo zewnętrznego podobieństwa Margaret i jej matka miały zupełnie inne charaktery. Alice łagodna i spokojna, Margaret nieokrzesana i energiczna. Susan i Alice lubiły siedzieć razem przy stole, snując skomplikowane, pełne fantazji historie, podczas gdy Margaret wolała wdrapywać się na drzewa i szaleć w ogrodzie, rzucać kasztanami w ptaki i kopać w błotnistych grządkach, które ojciec wydzielił dla nich w kącie ogrodu. Jeśli zazdrościła Susan związku z matką, w dzieciństwie nie dawała tego po sobie poznać, traktując je obojętnie, a nawet z lekceważeniem. Była zawsze niesamowicie samowystarczalna. Codziennie, kiedy Alice odbierała je z wiejskiej szkółki i szły pieszo do domu przez łąki, wyciągała do córek obie ręce, ale tylko jedna z nich pozostawała zajęta. Susan szła z matką, zasypując ją szczegółowymi opisami życia w szkole, podczas gdy Margaret biegała zygzakiem przed nimi, zatrzymując się dopiero przy przejściu przez szosę w połowie drogi. W nocy spały razem w jednym pokoju, w identycznych wąskich łóżeczkach, przedzielonych wysoką komodą, tak że mogły się słyszeć, lecz nie widzieć w wątłym świetle lampy na półpiętrze. Ale Susan wydawało się, że Margaret zasypia natychmiast po wysłuchaniu historii, które czytała im matka na dobranoc; nigdy nie miała ochoty rozmawiać.

Tak minął cały okres szkoły i później, aż pewnego dnia Margaret przyprowadziła do domu Grega, obcego młodego mężczyznę. Susan i Roger chodzili ze sobą już prawie od roku i Roger stanowił stały element niedzielnych obiadów. Razem z ojcem Susan udawał się na jedno piwo do pubu, podczas gdy ona z matką obierały marchewkę i nakrywały do stołu w jadalni. Margaret, która wynajmowała mieszkanie z koleżanką i pracowała jako recepcjonistka w jednym z nowych biurów na skraju miasta, rzadko pojawiała się na niegdyś uświęconych rodzinnych posiłkach. Pewnej niedzieli jednak zatelefonowała i powiedziała, że chciałaby przyprowadzić przyjaciela.

Greg wypełnił dom zwalistą, opaloną sylwetką i głębokim głosem z australijskim akcentem. Margaret opowiedziała, że spotkali się na jakimś przyjęciu kilka miesięcy wcześniej i Greg poprosił, żeby za niego wyszła. Zgodziła się. Chwilowo zawstydzony wyrazem twarzy jej ojca Greg szybko dodał: „Jeśli pan się zgodzi, sir?”, tonem podnoszącym się pytająco na końcu zdania. Chcieli się pobrać w Australii możliwie jak najszybciej. W Anglii zorganizowaliby ewentualnie przyjęcie dla rodziny i przyjaciół. Nic wielkiego. Pokazał im fotografie farmy, wielu akrów ziemi i wielu owiec. Przed domem stała grupka opalonych na brąz, ogorzałych ludzi - kilka kobiet z dziećmi i około dziesięciu mężczyzn, wszyscy wielcy i zwaliscy jak Greg.

- Popatrz mamó, ile przestrzeni - powiedziała Margaret z rozszerzonymi oczami. - Na pewno mnóstwo ciężkiej pracy, ale... po prostu wiem, że to dla mnie. A on jest tym właściwym mężczyzną.

Wyglądała na szczęśliwszą niż kiedykolwiek w życiu.

Kiedy odjechali, rodzice Susan usiedli obok siebie w dwóch bliźniaczych fotelach, patrząc na swój ukochany ogród, podczas gdy Susan i Roger zmywali po obiedzie.

- Chryste, Suzie, twoja siostra nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Roger i Margaret nie byli do siebie przyjaźnie nastawieni. Margaret albo go ignorowała, albo mu dokuczała, wyśmiewając się z jego powagi i solidności. Dawała do zrozumienia, że może i jest wystarczająco dobry dla Suzie, lecz dla niej zbyt przeciętny i nudny. Susan martwiła się, w jaki sposób bomba rzucona przez siostrę wpłynie na rodziców.

- Wiem, że Margaret odeszła z domu już jakiś czas temu i nie są ze sobą zbyt blisko, ale żeby do Australii? To na drugim końcu świata. I pomyśl ze ślubem - przecież wiedzą, że mama i ojciec tam nie pojadą. Tata nie powinien podróżować, nawet gdyby mieli pieniądze, a nie sądzę, żeby mieli, teraz, kiedy odszedł na emeryturę. Nigdy nie wyjeżdżali dalej niż na Malte.

- I o to właśnie chodzi. Ona nie chce ich na swoim ślubie. Margaret zawsze zachowywała się tak, jakby chciała ich ukarać. Bóg jeden wie za co. To po prostu kolejny punkt dla niej.

- Może trochę przesadzasz? To chyba po prostu egoizm - nie robi tego specjalnie. Greg zawrócił jej w głowie i zapomniała o rodzinie w podnieceniu wyjazdem. Na pewno zmieni zdanie i pobiorą się tutaj, żeby tata mógł ją poprowadzić do ołtarza, a mama wybrać suknię.

- Jestem pewny, że nie zmieni zdania. Pocałował ją w ucho.

- Na szczęście twoja mama ma ciebie. Niewykluczone, że jednak odbędzie się tu jakiś ślub, jak sądzisz?

Susan pokraśniała, w skupieniu przyglądając się szorowanej patelni, i uśmiechnęła się do siebie.

Pół godziny później, kiedy skończyli i przynieśli do pokoju imbryk świeżej herbaty, zastali Alice z oczami zapuchniętymi od płaczu. Oboje rodzice byli już spokojni i zrezygnowani. Susan zawsze zastanawiała się, o czym wtedy rozmawiali, co czuli, gdy usłyszeli wieści jej siostry, lecz zachowali to na zawsze dla siebie. Alice powiedziała tylko:

- Ta dziewczyna zawsze szukała przygód. Cieszę się, że w końcu je znalazła.

Margaret nie zmieniła zdania. Po trzech miesiącach już jej nie było. W tym samym miesiącu Roger poprosił ojca Susan o jej rękę, a potem z radością został przyjęty przez nią samą. Pobrali się pół roku później, wietrznego wiosennego dnia. Alice brała aktywny udział w wyborze sukni Susan, a ojciec dumnie poprowadził córkę do ołtarza. Margaret przysłała telegram, lecz miała zbyt wiele zajęć na farmie w czasie żniw, aby pozwolić sobie na przyjazd.

Clare i Elliot

Po powrocie do domu Elliot zastał wszystkie światła zgaszone. Nie było widać samochodu Clare. A drzwi frontowe zamknięte na podwójny zatrzask. Elliot nie zdawał sobie sprawy, że odeszła, dopóki nie wszedł na górę. Nie wyszła, lecz odeszła. Opuściła go. To naprawdę dziwne, że potrzebowała tak niewielu rzeczy. Jakby mieszkała w pensjonacie. Salon, kuchnia, przedpokój pozostały w nienaruszonym stanie.

Kiedy tak chodził oszołomiony od pokoju do pokoju, w głowie zawirowały mu słowa z przeczytanego dawno wiersza Philipa Larkina: „Dom jest tak smutny... zostaje niezmienny, dostosowany kształtem do ostatniego mieszkańca”. Tylko że ich dom nie był ukształtowany dla Clare. Nie pozostawiła na nim prawie żadnego odcisku. Z półki w łazience zabrała swoje kosmetyki i przybory toaletowe, szczoteczkę do zębów z kubka nad umywalką, ubrania ze swojej połowy szafy. Elliot zakładał, że opróżniła również szuflady, lecz nie sprawdzał tego. Znikła książka, którą czytała z myślą o następnym spotkaniu klubu, lecz fotografia ich obojga stojących w jaskrawym, śródziemnomorskim, słońcu została. To głupie, pomyślał, jak bardzo dom wydaje się cichy. Przecież nigdy nie była zbyt hałaśliwa. Ale miał wrażenie, jakby brak jej rzeczy wzmagał atmosferę ciszy i spokoju.

Elliot nie wiedział, co czuje. Jeżeli jednocześnie można doświadczać opuszczenia, lęku i samotności oraz - ulgi i jakby przejęcia, to właśnie czuł. Wiedział, że nie ma to najmniejszego sensu. Co zresztą miało sens? Gnębiły go wyrzuty sumienia, że to Clare pierwsza uczyniła ten dramatyczny krok. Clare, która podkreślała beznadziejność ich położenia i zdecydowała się działać. Był zły na siebie, że zachowywał się jak tchórz chowający głowę w piasek.

Oczywiście wiedział, gdzie ona jest. Teściowie mieszkali tuż obok, w rodzinnym domu Clare. Jej sypialnia pozostała do dzisiaj niezmienną.

Elliot podniósł słuchawkę telefonu, jednak zaraz odłożył ją z powrotem. Chciał sam to usłyszeć, obserwować jej twarz, a nie otrzymać wieści o swoim małżeństwie od jej rodziców.

Ojciec Clare otworzył przed nim drzwi na oścież. Na jego twarzy malowały się sprzeczne emocje. Tak wiele chciał powiedzieć i tak niewiele mógł.

Clare siedziała na kanapie obok matki, ze szklaneczką whisky w ręku. Mary podniosła się, uściśnęła jej ramię i podeszła do Elliota, uśmiechając się smutno.

- Wszystko w porządku?

- Tak, Mary.

Przytuliła go i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zostali sami. Clare odezwała się pierwsza, jakby rozmawiali już od pewnego czasu, a ona tylko podejmowała przerwany wątek. Oczywiście, że rozważali to od miesięcy. Nadal jednak wydawało się nierealne.

- Po prostu mam dosyć tego przekłętą smutku. Wszystko w domu... i ty - Elliot skrzywił się - sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Nie mogę dłużej wytrzymać.

W ostatnich słowach wychwycił odrobinę nadziei. Nie wiedział, czy chce o nich pamiętać, ale w obecnej chwili było mu lżej odejść. To nic ostatecznego.

- Wiem, ja też - powiedział. - Będę w domu, jeśli będziesz mnie potrzebowała, nieważne kiedy.

Clare uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Wiem.

Nie porozmawiał z Mary ani z ojcem Clare, chociaż wiedział, że może. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co robił, nie obwiniali go. Chcieli tylko pomóc. Niestety, nie byli w stanie.

I co dalej?

Harriet i Nicole

Nazywały to synchronicznymi zakupami. W prawie każdy poniedziałek, po odwiezieniu dzieci do szkoły, spotykały się w kawiarence supermarketu na poweekendową wymianę informacji. Potem z wózkami na zakupy udawały się w przeciwnych kierunkach, Nicole do pieczywa i ciast, Harriet do owoców i warzyw. Spotykały się pośrodku, krytykując nawzajem zawartość („To nie ser, to jakiś żółty plastik!”, „Natychmiast to odłóż!”, „Jak możesz karmić tym dzieci?”) i stawały w kolejce do kasy. Niekiedy czas spędzony w kawiarence przeciągał się w nieskończoność, i na zakupy zostawało piętnaście minut biegiem. Tak właśnie było tego ranka. Dopiero przy drugiej kawie Harriet zdążyła wyczerpująco opisać każdy koszmaryny szczegół wesela.

- To było straszne. Potworne. Zachowałam się jak debilka.

- Daj spokój, nie wydaje mi się, żebyś zrobiła coś naprawdę straszego. Z pewnością widywałam cię w gorszym stanie - a uroczystość szkolna w zeszłym roku?

- Nic, upadłam na kogoś. Upadłam. Na wybitnie seksownego faceta, nawiasem mówiąc.

- Wcale nie upadłaś, tylko się oparłaś. Poza tym mogłaś przecież zwymiotować mu na buty. To dopiero byłoby żenujące.

- No. To byłoby bardziej upokarzające. Trochę.

- Jestem pewna, że nikt niczego nie zauważył. Połowa gości była pewnie tak samo zalana jak ty. Zawsze wstawiam się na weselach - wszystko przez czekanie na wspólną fotografię, kiedy wokół leje się szampan.

- I to właśnie jest najstraszniejsze. Nikt nie zwrócił uwagi, poza tym całym Nickiem. A on po prostu uznał, że jestem dosyć zabawna.

- Po pierwsze, do diabła z nim. Pewnie nigdy go już nie zobaczysz. A jeśli chodzi o innych, to czego się spodziewałaś? Głównej roli w czasie przemówień? Że Charles poprosi cię do pierwszego tańca?

- Nie, nie! Ty też się ze mnie wyśmiewasz. A ja dzisiaj nie potrafię się odgryźć.

- Wcale nie, słowo. - Nicole uśmiechnęła się. - Słuchaj, wreszcie się to stało. Nie ma go, masz swoje „zakończenie”. Przecież wiedziałaś, że nie będziesz się dobrze bawić? Nie po to zaprasza się byle dziewczyny na wesela. Byłaś tam, żeby pokazać Charlesowi, jaki stał się dojrzały i przystosowany. Taki fajny facet, że nawet jego była dziewczyna jest z nim w dobrych stosunkach. A także aby pokazać Imogene, że nie ma się czego obawiać z twojej strony, i żebyś ty to zrozumiała. Teraz możesz po prostu dać już spokój. Nie myśl o tym więcej.

- Łatwo ci mówić. Żałuję, że w ogóle tam pojechałam, naprawdę.

- Wcale nie! Za dobrze cię znam. Musiałaś zobaczyć, jak to się skończy. Po prostu miałaś nadzieję na coś innego. Chociaż to zaproszenie powinno dać nam do myślenia... - I znowu uśmiechnęła się cierpko.

Harriet odpowiedziała jej uśmiechem.

- No dobrze. Ale nie umiem tego wytłumaczyć. Chciałam... chciałam jakiegoś znaku, chociażby najmniejszego, że to, co było między nami, było coś warte. Że on o tym pamięta, a nawet ceni. Tak jak ja.

- Na pewno pamięta. Ale to nie był odpowiedni czas ani miejsce. Daj spokój, czemu to nadal jest takie ważne? Po tylu latach?

Harriet zastanawiała się nad tym przez cały czas w trakcie zakupów. Dobre pytanie. Dlaczego nadal to tyle dla niej znaczyło?

Popychając machinalnie wózek wzdłuż półek z napojami, Nicole stwierdziła, że dobrze jest odzyskać Harriet. Tęskniła, jeśli coś się między nimi psuło. Wszystko było takie trudne od chwili, kiedy powiedziała o swoim... Wydawało się, że to wykalkulowany plan, ale naprawdę to tylko cudowne marzenie. Nicole była przekonana, że ona i Gavin powinni mieć kolejne dziecko, z jego oczami i jej włosami, z maleńkimi paluszkami. Harriet uważała, że jest idiotką, i powiedziała jej to. Kłopot z posiadaniem najlepszej przyjaciółki polega na tym, że szczerść czasami bywa trudna. Pragnęła usłyszeć, że ma rację. Harriet oświadczyła:

- Nie chcesz, żebym kłamała, prawda? Jeśli naprawdę uważam, że robisz błąd, muszę to powiedzieć. Rozumiesz?

Nicole nie chciała zrozumieć i nie chciała słuchać. Nie chciała, żeby jej bańka mydlana pękła. Dobrze się stało, że dla odmiany mogły rozmawiać o weselu i byłym facecie. Harriet pograżyła się w uzalaniu nad sobą i nie myślała o niczym innym. Pomagała jej tylko świadomość czarnego humoru, cechującego jej opowieść. Była tak zaabsorbowana sobą, że zapomniała zapytać: - A co u ciebie? - jak zrobiłaby normalnie. Może ona także nie chce o tym rozmawiać, pomyślała Nicole. Nierozmawianie jednak także nie mogło wpłynąć na zmianę jej zdania.

Poza tym Gavin zachowywał się wspaniale. Zawsze postępował według pewnego ustalonego wzoru: został przyłapany, więc czuł się podle (Nicole wierzyła, że autentycznie jest mu przykro, że nie może nic na to poradzić, bo jest uzależniony od cudzołóstwa) i zachowywał jak mąż idealny. Jakaś część Nicole pogardzała sobą za to, że miała wystarczająco dużo siły, aby rozpoznać ten wzór, lecz jednocześnie zbyt mało, aby mu się oprzeć. Teraz nie opierała się, lecz raczej rzucała głową naprzód. Po każdej zdradzie, a było ich kilka, myślała o tym, żeby nie przyjmować go z powrotem. Obmyślała różne scenariusze. Mogłaby spakować jego walizkę i wystawić na próg. Pójść do jego biura i opowiedzieć wszystkim, co z niego za numer. Zmienić zamki, rzucać słuchawką telefonu za każdym razem, spotkać się z prawnikiem i przedstawić dokumenty rozwodowe. Nie wierzyła jednak, że naprawdę potrafiłaby cokolwiek z tego uczynić. Nicole - gorąco i rozpaczliwie - pragnęła utrzymać swoje małżeństwo i rodzinę. Kochała Gavina tak, jak - wiedziała o tym - nigdy nie pokocha nikogo innego. W odróżnieniu od Harriet najwyraźniej była przekonana, że żadna inna miłość, ani teraz, ani nigdy, nie może się równać uczuciu do Gavina. Dlatego Wenecja była taka cudowna. Przedstawiała sobą najwyższe możliwe szczęście. Ich wspólny wyjazd przywróci wszystkie emocje przeżywane w czasie miesiąca miodowego, pogłębione przez to, co zyskali w ciągu tych lat: dom, dzieci, wspólne życie. Nawet wybaczenie Nicole powinno je wzmocnić. Szczególnie wyraźnie pamiętała

jedną noc z tamtego okresu. Pili czerwone wino z głębokich kieliszków i słuchali muzyki w pokoju oświetlonym tylko ogniem z kominka. Leżeli przytuleni do siebie - kochali się wcześniej rano i mieli kochać się znowu, później w nocy. Teraz było lepiej, bliżej. To znaczyło więcej. Leżeli przytuleni do siebie, oparci o poduszki, słuchając głębokiego, smutnego głosu piosenkarki, w ciszy przerywanej tylko szmerami wewnątrz swoich ciał. Nicole osiągnęła absolutne szczęście i zjednoczenie. Wiedziała, że on też to przeżywał. To, co czuł wtedy do niej, choć może tylko raz, przecież nie mogło zniknąć. Było na to zbyt intensywne. Nicole karmiła się podobnymi wspomnieniami jak lekarstwami. Oglądała je oczami wyobraźni jak film, przy którym inne obrazy pomału się zacierały.

Dlatego nie chciała słuchać Harriet, która by tę wizję rozwiązała. Obie znały pewną kobietę, której córka chodziła do szkoły z ich dziećmi. Była samotną matką, która urodziła dziecko w związku z żonatym mężczyzną, niezamierzającym najwyraźniej opuścić dla niej rodziny. Wyznała im to na pewnej imprezie kilka semestrów wcześniej. Była cichą osobą, zawsze spieszącą się do pracy, która nie marnowała czasu na plotki na parkingu. Wtedy, na przyjęciu, opowiedziała swoją historię, jakby pękły jakieś tamy, z miłością i nienawiścią, lękiem i sprzeciwem. Później Harriet uznała ją za wariatkę z punktu widzenia zdrowego rozsądku („W tej historii jest wiele ofiar, nie tylko ona jedna! Dziwię się, że właśnie ty jesteś po jej stronie“!). Nicole jednak wydawało się, że rozumie. Taka właśnie jest miłość, zakochujemy się w nieodpowiednich osobach. Panienci Gavina używały go tylko do łóżka, tak jak on ich. To było coś innego, smutnego. Nicole usiłowała zaprzyjaźnić się z tą kobietą, lecz tamta zamknęła się w sobie jak ostryga, przerażona własną niedyskrecją, i po zakończeniu roku przeniosła dziecko do innej szkoły.

W weekend Gavin zabrał dzieci do centrum zabaw w mieście (ogromne poświęcenie z jego strony, ponieważ nienawidził zapachu skarpetek, lepkich podłóg i ogłuszającego wrzasku). Przed wyjściem przyniósł jej do łóżka herbatę z tostem na tacy oraz poranną gazetę. Kiedy drzwi zamknęły się za roześmianą gromadką, Nicole sięgnęła do szuflady szafki nocnej i wyjęła przewodnik po Wenecji. W środku, w rozdziale o restauracjach (te, do których chodzili z Gavinem w czasie miodowego miesiąca, obrysowała kółkiem i zaznaczyła na czerwono, kiedy zrobiła już rezerwację), tkwił cienki notesik z listą rzeczy do spakowania. Na marginesie, obok słów „bluzka z koralikami“, znajdowały się nabazgrane daty i cyfry. Jej cykl. Nawet Gavin nie mógł tego lepiej zaplanować. Nicole nie do końca wierzyła, że może jednak zająć w ciążę. Ale warto spróbować...

Cressida

- Cressida Bradford.

Pielęgniarka miała bardzo miłą, macierzyńską twarz. Cressida poczuła ulgę, że nadeszła jej kolej. Fizyczną - ponieważ wypila sześć szklanek letniej wody i marzyła o tym, żeby zrobić siusiu. Poza tym nieprzyjemnie było siedzieć samej w poczekalni. Wszystkie inne kobiety przyszły z kimś. Nieśmiało wyglądająca para ze złotymi, lśniącymi obrączkami na palcach i hałaśliwa kobieta o gniewnym wyrazie twarzy, której mizernej postury mąż maszerował bez przerwy wzdłuż korytarza z dwojgiem dzieci.

Może jednak dobrze być samej. Mama suszyła jej bez końca głowę, żeby pozwoliła jej przyjść, lecz Cressida nie chciała zrobić wrażenia „głupiej młodej dziewczyny w ciąży”. Miała zamiar raczej wystąpić jako „niezależna młoda kobieta”. On nawet nie wiedział, że tu była, o niczym jeszcze nie wiedział. Polly martwiła się.

- Cressida. Jakie piękne imię.

- Dzięki.

- Wskakuj tutaj. Bluzka do góry, spodnie w dół. Włóż w majtki chusteczkę, żeby się potem nie lepiły od żelu. Doskonale. Lekarz zaraz do ciebie przyjdzie. To pierwszy raz?

Cressida potaknęła i pielęgniarka delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Nie martw się, to nic strasznego. I wybiegła.

Martwić się? Cressida zastanawiała się, jak wiele osób leżało na tej kozetce, czując to, co ona. Przypuszczalnie więcej, niż ci się wydaje, udzieliła sobie reprimendy, nie jesteś jedyną idiotką na świecie. Wiedziała jednak - naprawdę wiedziała - że nie była w stanie go „zabić”. Myśl o tym, że ktoś mógłby wy-skrobać z niej prawdziwe życie, była nie do przyjęcia, choć w teorii zgadzała się z tym, co robili inni. A poza tym, co począć? Zatrzymać je? Ale jak? Zamieszkać w domu z matką i Jackiem, zrezygnować z college'u? Zamieszkać z ojcem dziecka i bawić się w dom, stać się żoną i matką? W wieku dwudziestu lat? Próbować żyć samej?

Albo oddać je? Nagle Cressida zaczęła utożsamiać się z bohaterkami wszystkich filmów, jakie kiedykolwiek widziała na ten temat, udręczonymi kobietami w średnim wieku - Julie Walters albo Alison Steadman - i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. Nie wszystko naraz. Najpierw zobaczymy, jak to się odbędzie.

Przyszedł specjalista od USG. Rozsmarował żel na jej ciągle płaskim brzuchu („Potem chyba będziesz musiała wyjąć kolczyk z pępka. W późniejszym okresie ciąży będzie ci niewygodnie”. Dziwnie było przyglądać się wklęsłości swojego brzucha, przypominającego trochę hamak zawieszony między wystającymi kośćmi bioder, wyobrażając sobie, jak się zaokrągła. Dziwne i przerażające, a jednocześnie podniecające) i przycisnął do jej pełnego pęcherza coś, co wyglądało jak skaner do cen w supermarkecie. Kiedy szumiąca, szara masa odsłoniła małą fasolkę, będącą jej dzieckiem, z pikającym serduszkim, Cressida poczuła łzy w oczach. Od razu wiedziała, że patrzy na nowe życie. Była zdumiona i zafascynowana. To szaleństwo, że to - że ta osoba - znajduje się wewnątrz niej.

- Hej, mały - powiedziała. Zapragnęła potrzymać kogoś za rękę, kogoś, kto także by to zobaczył. Cressida zatęskniła za matką.

Polly

Polly wytrzepała poduszki tak mocno, że aż unosił się z nich kurz. Wyrównała książki i pisma, ułożyła obok siebie wszystkie piloty - łącznie z tym, który od tygodni tkwił w głębi kanapy - na telewizorze i

zmyła brzydko pachnące ślady pozostawione na półkach lodówki przez butelki z mlekiem. To dowodziło, jak bardzo była przejęta.

Może powinna była bardziej nalegać, kiedy Cressida nie zgodziła się na jej obecność w szpitalu. Albo po prostu pojawić się w poczekalni - przecież córka chybaby jej nie wyrzuciła? Cóż, kiedyś nie. No, wa, ciężarna Cressida stała się nieprzewidywalna - czasem jak małe dziecko zwijała się w kłębek obok Polly i domagała się przytulenia, czasem była tak twarda i kolczasta, że nie dało się do niej zbliżyć. Była zdecydowana poradzić sobie sama, a jednak najwyraźniej nie potrafiła. Polly napawało to bezbrzeżnym smutkiem. Cressida nie powinna przez to wszystko przechodzić. Powinna teraz zajmować się życiem towarzyskim i chłopakami. Mieć zwykłe dylematy młodej osoby, a nie roztrząsać kwestie życia i śmierci. Polly zapragnęła decydować o życiu córki bardziej niż kiedykolwiek. Chciała odpowiadać za jej decyzje. Na początku tygodnia doszło między nimi do dramatycznej kłótni. Polly usiłowała być stanowcza, nawet surowa. Nie życzyła sobie, aby Cressida szła na USG, chciała wezwać mamę Joego i przedyskutować to z nią. Życzyła sobie, tak powiedziała, żeby Cressida usunęła ciążę i zapomniała o wszystkim. Będzie kontynuowała naukę na kursie przygotowawczym, skończy studia, pocałuje całą masę żab i w końcu trafi na swego księcia. Będzie wolna.

- Ależ mam, jesteś chyba ostatnią osobą, która powinna mówić mi coś takiego. Jak możesz? Nie byłaś o wiele starsza, kiedy mnie urodziłaś. Aż tak nienawidzisz swojego życia? Było takie okropne?

- To prawda, byłam młoda, ale miałam męża. Miałam dom, oparcie.

Mówiąc te słowa, Polly zdała sobie sprawę, że są nieprawdziwe. Stanowisko jej matki „jak sobie posłałaś, tak się wyśpisz” było trudne do wytrzymania, a Dan także nie na wiele się przydał. Nie miała zbyt szczęśliwego domu i wiedziała już, że nie było to najszczęśliwsze małżeństwo. Rozgniewała się na siebie za posługiwanie się stereotypami, za wymyślanie na nowo swojego życia. Jednak warto było, jeśli w ten sposób zdoła wpłynąć na Cressidę.

Wtedy Cressidzie przyszło coś do głowy. Odezwała się cichym, wylęknionym tonem:

- To znaczy, żałujesz, że mnie masz? Wolałabyś się mnie pozbyć?

- Cressido, to nie fair. Mam ciebie, jesteś moją córką i cię kocham.

- Nie o to pytam. Wiem o tym i nie chowaj się za słowami. Proszę, żebyś powiedziała mi prawdę, jak na twoje życie wpłynęło to, że mnie urodziłaś.

Polly nie odpowiadała.

- No, mam - Cressida mówiła coraz głośniejszym tonem. Wyczuła lęk matki. Nie mówiły już o dziecku. - Żałujesz, że nie usunęłaś ciąży? Odpowiedz mi, mam?

Oczy Polly wypełniły się łzami.

- Nie. Ani przez sekundę. Za nic w świecie. Ty i Daniel jesteście i zawsze będziecie najlepszym, co mnie spotkało. Żałując tego, sprawiłabym, że całe moje życie wyglądałoby na oszustwo.

W myślach dodała jedno znaczące „ale”: - Pragnę dla ciebie więcej, niż sama miałam. Chcę cię ochronić przed niektórymi doświadczeniami, przez które przeszłam.

Nie powiedziała tego na głos.

Pokłóciły się także o Joego. Polly chciała z nim porozmawiać. Była zła, że wrócił do Warwick i zostawił Cressidę samą. Co myślał na ten temat?

W tej sprawie, jak w wielu innych, Cressida była stanowcza i zupełnie niepodatna na perswazję, przynajmniej z pozoru.

- Nie chcę, żeby wiedział. Nie masz najmniejszego prawa mu mówić, mamó.

Nic nie skutkowało. Polly usiłowała wytłumaczyć, że Joe musi poczuwać się do odpowiedzialności, że nie powinien wymigać się tak łatwo. Kiedy to nie dało efektu, zaapelowała do Cressidy:

- Czy on nie ma prawa wiedzieć? Czy sama będziesz decydować o dziecku, które należy do was obojga?

Była to pomyłka, która spowodowała nawrót gniewu.

- Ach, rozumiem. Pięć minut temu nawet nie byłeś w stanie się przemóc i nazwać tego dzieckiem, tak rozpaczliwie chciałaś, żebym się go pozbyła. Teraz to już dziecko. Jeśli ci odpowiada, owszem, to jest dziecko Joego. Chryste, mamó, to nie ma z nim nic wspólnego.

Powiedziała to już wcześniej.

- To moja sprawa i sama ze wszystkim sobie poradzę, dobra?

(Nie, wcale nie dobrze, pomyślała Polly). A potem:

- Jeśli mu powiesz, odejdę z domu. Po prostu wyjdę, nie powiem dokąd i nigdy mnie nie znajdziesz.

Ta groźba zmroziła Polly. Jack co prawda stwierdził, że Cressida nigdy by jej nie zrealizowała.

- Gdzie mogłaby pójść na litość boską? To typowy bunt okresu dojrzewania. Odrobina melodramatu. To wszystko. - Jack zresztą też uważał, że Polly nie powinna niczego mówić Joemu ani jego mamie. - Kochanie, to nie twoja sprawa.

Polly spojrzała na niego, jakby po raz pierwszy widziała go naprawdę, mężczyznę, który nie miał dzieci i dlatego nie potrafił jej zrozumieć. Powtarzając tę rozmowę Susan, płakała, siedząc przy kuchennym stole.

- To jest moja sprawa. To moja córeczka. Ona mnie odpycha, a Jack uważa, że to w porządku.

- Wcale tak nie uważa, próbuje cię tylko ochronić.

- Ale Suze, on po prostu nie pojmuje. Nie potrafi.

Wszyscy więc przechodzili przez to, jakby działo się na osobnych, nigdy niekrzyżujących się torach. Polly była wyczerpana, starając się być matką, jakiej Cressida potrzebowała. Odsunęła się od Jacka - karząc go przypuszczalnie za to, że nie był ojcem Cressidy ani niczym. Próbowała ochronić przed wszystkim Daniela. Susan pomagała, jak mogła, ale sama była zajęta Alice i Margaret.

Teraz Polly układała równo poduszki na i tak bardzo schludnej kanapie, czekając na powrót Cressidy ze szpitala. Powinna była tam pójść, to z całą pewnością decydujący moment. Przysięgli wyszli na radę. Czekanie na wyrok było nie do zniesienia.

Harriet

Zdecydowanie starał się dotknąć jej stopy pod stołem. Za pierwszym razem Harriet uznała to za przypadek. Teraz nabrała pewności, że nie. Nie miała zamiaru go powstrzymać. Stała się inną kobietą. Nie można jednak powiedzieć, że taką jak kiedyś - nie miała pewności, czy kiedykolwiek taka była.

Na pierwszym roku studiów w college'u poznała dziewczynę, Lucy. Lucy była bardzo piękna, miała długie, gęste, ciemne włosy i nosiła soczewki kontaktowe w kolorze malachitu. Zwykła przesiadywać w studenckim barku do późnych godzin wieczornych, ubrana w stary męski szlafrok z brokatu. Teraz Harriet upodobniła się do niej. Rozwiązała i wolna, amoralna, pożądana, *risqué* i... Coś wspaniałego. Nadęta i niegustownie ubrana dawna Harriet została w domu. Nowa istota złapała pociąg o dziesiątej siedemnaście na dworzec Waterloo i siedziała pogrążona w lubieżnej rozmowie, w eleganckiej hotelowej kawiarni. Sam fakt, że kilka jardów nad nią znajdowały się sypialnie, zdawał się sugerować nieskończone możliwości. (Chociaż, oczywiście, nie mogłaby przespać się z nim w świetle dnia. Spuszczone rolety, księżyc w nowiu, a najlepiej ogólne zaciemnienie decydowały o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Ale zastanawiała się nad tym. Bardzo często).

Zaczęło się kilka tygodni po ślubie Charlesa. Harriet uparcie starała się nie myśleć o tym przeklętym dniu: serdeczne, wzruszające, a zarazem zabawne przemówienia, eleganccy goście za stołami, cholerny tort weselny. Styłowy kwartet smyczkowy, który ustąpił miejsca nostalgicznym i cudownym piosenkom pop, przepiękny kostium od Armaniego panny młodej, aston martin odjeżdżający na miesiąc miodowy na safari... wirujący pokój hotelowy i milczący z naganą Tim. Ach, no i kac. Zbyt wiele. Stanowczo zbyt wiele. W następnym tygodniu jej straszliwe upokorzenie było pierwszą myślą po przebudzeniu i ostatnią przed zaśnięciem. Pod koniec drugiego tygodnia zdecydowała, że nie będzie więcej o tym myśleć. Nie ucieszyła się więc specjalnie, kiedy zadzwonił telefon i w słuchawce usłyszała głos Nicka.

- Hats?

Fuj, znowu to przezwisko.

- To ja, Nick. - A kiedy Harriet nie odpowiedziała: - Nick ze ślubu. Wiem, że byłaś wstawiona, ale nie łam mi serca, mówiąc, że nic nie pamiętasz.

- Nie byłam wstawiona, tylko zmęczona. Nie spałam przez całą noc, siedząc przy jednym z dzieci, które było okropnie chore, jeśli chcesz wiedzieć.

- Przepraszam. Sam nie mam dzieci. Nie powinienem był niczego zakładać z góry. Oczywiście, że byłaś zmęczona. Czy twoje maleństwo... ma się lepiej?

Słyszając rozbawiony głos, Harriet mogła wyobrazić sobie błysk w jego oku. Nick dokładnie wiedział, w jakim była stanie i dlaczego.

Zadzwonił, aby się dowiedzieć, czy przyjdzie na spotkanie absolwentów ich uczelni. Nie miała zamiaru. Nic o tym nie wiedziała. Nigdy nie odkryła, czy tego nie zmyślił.

Wtedy jednak było jej już zbyt przyjemnie, żeby się tym przejmować. Nick Mallory zadał sobie trud, żeby ją odnaleźć.

A potem Nick Mallory zaczął ją prześladować. Telefonicznie. Zapamiętał jej rozkład dnia - kiedy odwoziła dzieci do szkoły, kiedy ćwiczyła (powiedziała mu, że chodzi na siłownię. Jeśli wyobrażał ją sobie w skąpym trykocie na jakimś przyrządzie, a nie popijającą pełnotłustą kawę latte nad gazetą, nie będzie wyprowadzać go z błędu), i dzwonił do niej z pracy, początkowo raz albo dwa razy na tydzień, potem prawie codziennie.

Nie przejawiał najmniejszego zainteresowania Timem, ponieważ Harriet nie dała mu ku temu okazji. Właściwie zupełnie wykluczała męża, tak że wydawał się kimś niewiele ważniejszym od współlokatora. Co oczywiście nie usprawiedliwiała bezczelnego zachowania Nicka, myślała. Mimo wszystko to ona zachowywała się jak świnia. Wiedziała o tym. Szczególnie jasno, ponieważ nie opowiedziała o swoich poczynaniach Nicole. Nie odważyła się. Nicole ciążyła jej jak nieczyste sumienie. Dziwne, że nie był to raczej Tim, przypominający o zobowiązaniach, przysięgach, rodzinie. Udało jej się prawie całkiem wyrzucić go z myśli. Poza tym przecież nie robiła nic naprawdę złego, prawda? Po prostu lunch ze starym przyjacielem.

Kłamstwo. Straszliwie jej się podobał. Głównie dlatego, przyznała przed samą sobą, że ona straszliwie podoba się jemu. O kurczę! To niezły afrodyzjak.

- A więc, Harriet... - nawet gdy wymawiał jej imię, bo teraz tak się do niej zwracał, brzmiało to niezwykle seksownie - ... co powiesz? Kupiłem ci skandalicznie drogi lunch, którego, nawiasem mówiąc, prawie nie tknęłaś... - Hurra, brak apetytu. To coś nowego - ... i prawłem ci komplementy, kiedy ty grzebałaś w jedzeniu i obrażałaś mnie.

To była prawda. Harriet bezlitośnie dokuczała mu, przypominając dawne czasy, jego ówczesne podrywy, a nawet odstające uszy. Uwielbiała to robić. A jemu podobały się jej kpiny, może z wyjątkiem tego, co dotyczyło uszu. Ucho Achillesa, pomyślała.

- Stać cię na to - odparła. - Czy nie opowiadałeś mi przed chwileczką o ogromnej premii, garsonierze, samochodach i willi w Le Saint Geran? Wiem wszystko o chłopcach z City.

- Chyba zapominasz, że sama jesteś żoną jednego z nich.

Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, wspomniał Tima. Harriet miała przelotną wizję siebie jako Judasza. Spojrzała na zegarek - właśnie minęła dwunasta.

- Niezupełnie. Tim jest analitykiem, a nie brokerem.

- Ach tak, to ci poważniejsi. Ale oni też dostają niezgorszą działkę. Popytałem trochę - o rany, interesuje się jej życiem - i okazało się, że twój facet jest bardzo wysoko ceniony.

Naprawdę? Harriet nie miała o tym pojęcia.

- Słyszałem, że ma teraz coś poważniejszego w zanadrzu.

(Przestań mówić „poważny”. No dobrze, niech będzie).

Harriet wzruszyła ramionami. Nick pochylił się do przodu, wpatrując się w jakiś punkt kilka cali w dół od jej podbródka.

- Niezbyt to pociągające, prawda? Nie sprawia, że krew szybciej krąży ci w żyłach?

Harriet była pewna, że tematem ich dyskusji nie są zalety brokerów i analityków giełdowych.

Przyjemnie pachniał. Przy kołnierzyku nienagannie czystej i wykrochmalonej białej koszuli, rozpiętej pod szyją, kręciło się kilka brązowych włosów. Skóra była także brązowa - autentyczną zimową opalenizną.

- To, co ci duzi chłopcy wyprawiają w swoich dużych piaskownicach, zabawiając się swoimi zabawkami i przerośniętymi... ego, w ogóle nie sprawia, że krew mi szybciej krąży w żyłach.

Nick roześmiał się. Nagle, z głową przechyloną na bok, jakby podziwiał piękną rzeźbę, powiedział:

- Zapomniałem już, jaka potrafisz być fajna.

Harriet także zapomniała, ale miło było o tym się znowu dowiedzieć.

Nick przywołał kelnera. Kiedy podpisywał rachunek, Harriet zerknęła na zegarek. Trzecia. Obiecała, że wróci o czwartej. Teraz na pewno się spóźni. Miła, pulchna pani Cartwright prosiła, aby nie przejmowała się czasem.

- To nic, moja droga. Muszę tylko być w domu na siódmą, żeby dać mężowi kolację. Poradzę sobie, jeśli nie uda się pani wrócić na czas. Pociągi są takie niepewne.

Pani Cartwright pewnie zareagowałaby inaczej, gdyby wiedziała, że zamiast lunchu z koleżankami i zakupów u Johna Lewisa Harriet planowała romans z dawnym... no, może nie ukochanym, ale na pewno dawnym kolegą. Pani Cartwright nie aprobowała takiego postępowania, zwłaszcza w ukochanym serialu. Dlatego Harriet obiecała, że będzie z powrotem o czwartej. Powrót do pani Cartwright był odpowiednikiem zakradania się do college'u po zamknięciu drzwi i spotkania z przełożoną. Wolałaby mieć jeśli nie zupełnie czyste, to tylko odrobinę przybrudzone sumienie.

Stojąc na chodniku, rozglądała się za taksówką. Oczywiście, żadnej nie było. Spojrzała w przeciwną stronę. Znajdował się o wiele za blisko. Położył jej dłoń na szyi, pod włosami, i przyciągnął do siebie jej głowę. Harriet od lat nie całowała się z nikim poza Timem, a jego nie całowała naprawdę od wielu miesięcy. To był autentyczny pocałunek, jak na zakończenie szkolnej dyskoteki, kiedy puszczają piosenkę Spandau Ballet, a w samochodzie na parkingu czeka ojciec. Czy to nie śmieszne, jak dobrze można się całować, jeśli tylko to ma się w planach, pomyślała. Jeśli ma się w głowie drugą i trzecią bazę, pomija się pierwszą. Co, jak sobie właśnie uświadomiła, było błędem. Mniem. Reagowała na jego pocałunki w odpowiedni sposób, znany z powieści Barbary Cartland. Serce? Wali jak miotem. Kolana? Trzęsą się. Puls? Galopuje jak szalony. Plus inne elementy, o których Barbara nie wspominała. Wszystko działało jak należy. W końcu przerwał.

- Mmm... szkoda, że nie zrobiłem tego o wiele wcześniej.

Pocałował ją ponownie, przyciskając do siebie wolną ręką. Smakował tytoniem i czosnkiem. Wydawał się bardzo wygłodniały, jak na kogoś, kto właśnie zjadł lunch z trzech dań.

Kwiecień

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Kobieta, która wpadała na drzwi Roddy Doyle, 2002*

„Zrobiło mi się słabo, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Charla. Autentycznie. Nie zemdlałam ani nie przewróciłam się, ale nogi miałam jak z waty i zaczęłam chichotać. Nagle się dowiedziałam, że mam płuca, bo domagały się na gwałt powietrza”.

To najlepsza jak dotąd powieść Roddy'ego Doyle'a. Chyba żaden pisarz przed nim nie oddał lepiej odwagi i tragedii kobiety, uwięzionej w małżeństwie bez miłości.

* R. Doyle, *Kobieta, która wpadała na drzwi*, przeł. Tomasz Bieroń, Poznań 2002.

- Zadzwoń i odwołaj.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, lubię je. Z przyjemnością czekam na te spotkania. Dobrze się bawię.

- Lepiej niż ze mną? - ponownie trącił ją biodrem.

Nie, zdecydowanie nie, przyznała Polly. To było całkiem niezłe. Daniel wyszedł. W środy miał trening piłki nożnej, a rano krzyknął, że idzie potem do Bena. Nie wiedziała, co porabia Cressida. Była tak drażliwa, że Polly nie miała odwagi zapytać ją o plany. Jack i Susan tłumaczyli, że powinna być bardziej cierpliwa, dać jej więcej przestrzeni. Tak czy owak, brakowało jej energii na kolejne sprzeczki.

Wróciła z pracy do pustego, a nawet jakby opuszczonego domu, bez świateł, bez wrzasku radia. Dziesięć minut później przy drzwiach frontowych pojawił się Jack z butelką czerwonego wina, a po następnych dziesięciu minutach znaleźli się w łóżku. Dwa granatowe garnitury z białymi koszulami leżały zgodnie na podłodze obok siebie, zapomniane, jak biurowe zmartwienia.

- Zachowujemy się raczej jak para zdesperowanych nastolatków niż szanowani ludzie w średnim wieku, łapiąc drogocenne chwile czasu pod nieobecność twojej dwójki. - powiedział Jack tonem kpiącej skargi.

Polly uderzyła go ze śmiechem.

- Wcale nie jestem w średnim wieku.

Przytulił ją do siebie z całej siły, a potem chwycił kódrę i naciągnął po ramiona.

- Jak na staruszkę jesteś całkiem miła w dotyku.

Polly z czułością potarła policzkiem o jego klatkę piersiową. Uwielbiała to.

- Ty też, jak na starszego pana. - Przez chwilę leżeli cicho, rozleniwieni. - Poza tym, lubisz to robić po południu.

Zachichotał.

- To prawda. Czuję się wtedy niegrzecznie.

Było cudownie. Tak spokojnie. Wieczory stawały się jaśniejsze i cieplejsze. Przez odsłonięte okna sypialni widać było wspaniały kolor nieba. Polly czuła się kochana i pożądana. Czuła także, że Jack się o nią troszczy. A prawie udało jej się uwierzyć, że tego nie potrzebuje.

- No chodź, wstajemy. Zaraz tu będą. Danny i Cressida mogą się zjawić nawet przed nimi.

Jack poruszył się niechętnie, pocałował ją w czubek głowy i dał jej żartobliwego klapsa w pupę.

- Mam absolutne prawo tu być i napawać się własną narzeczoną.

- Ale nie w dzień spotkania klubu. Co będziesz robił wieczorem?

Jack zaczął się ubierać z wystudiowaną melancholią.

- Wrócę do pustego domu i zjem kolację przed telewizorem. Nawiasem mówiąc, zabieram wino z powrotem. Co to ma znaczyć, przychodzę z butelką wina i zostaję rozebrany, wykorzystany i wyrzucony na dwór, zanim zdążyłem wypić choć jeden kieliszek.

- Jakoś przeżyjesz. - Polly pogłaskała go po głowie, przechodząc obok łóżka.

Rozmawiali, ubierając się. Seks z Jackiem był fantastyczny, ale gadanie podczas wkładania ubrań, bez przejmowania się, jak wygląda, wciągając majtki czy szarpiąc suwak, nie mniej cudowne.

- Powiesz swoim przyjaciółkom?

- O Cress? Nie. Suze wie i tak, ale pozostałe nie. - Wyczytała z jego twarzy pytanie. - Nie wstydzę się. Po prostu nie ma jeszcze o czym mówić, prawda? Nie mogę stwierdzić tylko: „Moja córka jest w ciąży”, będą chciały usłyszeć szczegóły. Co zamierza zrobić i tak dalej. Sama nie wiem, rozumiesz? - skończyła ponuro. Jack pocałował ją delikatnie, zakładając jej za ucho kosmyk włosów.

- To im nie mów. Na razie nie ma potrzeby.

Polly stała bez ruchu z opuszczonymi rękami. W tym świetle wydawała się bardzo młoda. Przytulił ją ostrożnie.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Chciała mu uwierzyć.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Stali tak bardzo długo, oboje ubrani do połowy, obejmując się w gasnącym świetle.

- To chyba najbardziej niezwykła i przekonująca postać kobieca, o jakiej czytałam. Paula Spencer. Alkoholiczka, maltretowana żona, matka - coś niesamowitego.

- Dobre pytanie do ciebie, Harry... Jak wytłumaczysz fakt, że tę książkę napisał mężczyzna?

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Jak mężczyzna może zrozumieć te uczucia?

- I to tak bezgranicznie. To takie smutne. Przeczytałam całą książkę w jeden wieczór, z okropnym bólem w sercu. To najsmutniejsza historia, jaką znam.

- Mnie rozbolała także i głowa. Ona ciągle przeskakuje z tematu na temat - trudno odtworzyć chronologię - dialogi też są trudne do zrozumienia, cały czas się powtarza.

- Jest pewnie zdezorientowana. Jest pijana i zrozpaczona, i usiłuje jakoś opowiedzieć całą historię.

- Pomyślałam sobie, że narracja przypomina poemat epicki. Te wszystkie powtórzenia. To monolog. Złapałam się na tym, że recytuję do siebie na głos, tym szemranym dublińskim akcentem.

- Trochę za dużo tu przekleństw. W tych sprawach jestem purytańska. Nie mogę oglądać filmów, gdzie ciągle powtarzają się słowa na „p”. To mi przeszkadza.

- Ja po prostu po chwili zapomniałam. Taki ma już sposób mówienia.

- Wydaje mi się, że recenzent, ten, którego cytują na okładce, myli się. Pisze o „małżeństwie bez miłości”. Chyba jest zupełnie inaczej. Ona odeszłaby wieki wcześniej, gdyby go ciągle nie kochała. To w tym wszystkim najtragiczniejsze.

- Uważam, że to genialne. Autor sprawia, że najpierw rozumiemy jej miłość, a potem ukazuje ją na tle maltretowania. Ona kocha Charla miłością absolutną, także fizycznie.

- Mimo że nie jest nikim szczególnym w oczach reszty świata. A jego śmierć, jako pechowego porywacza, zamaskowanego bufona, podkreśla to jeszcze bardziej, prawda?

- Ale na tańcach, kiedy go obserwuje i opowiada, jak pali papierosa: „Wyjął peta z ust - prawie poczułam, jak jego warga się podnosi” - ta reakcja chemiczna. I to, jak odkrywa seks w czasie ich miesiąca miodowego, jak go pożąda. To pokazuje późniejsze znęcanie się w niezwykłym kontekście. Nigdy przedtem nie byłam bliższa zrozumienia, czemu bite kobiety nie odchodzą od swoich dręczycieli.

- Tak, ona ciągle to powtarza, zauważyłaś? Do samego końca powtarza, że on ją kocha naprawdę.

- Jak można kogoś kochać i jednocześnie dać mu wybór - który z palców u ręki chce mieć złamany?

- Najbardziej uderza mnie, że ona czuje się bezwartościowa. Nawet w pracy. Po sprząnięciu biur po całych nocach pękają jej plecy, a ona uważa, że jest „niezbędnym kółkiem w maszynie, i żadne z pozostałych kółek mnie nie widziało”.

- O alkoholizmie mówi: „Nigdy się do tego nikomu nie przyznałam. (Nikt nie miałby ochoty tego wiedzieć)”. To tragiczne, prawda?

- A bicie... kiedy chodzi do kościoła i po zakupy z tymi straszliwymi obrażeniami, „Złamany nos. Naruszone zęby. Pęknięte żebra. Zapytajcie mnie”. Zupełnie jakby była niewidzialna.

- Ciekawe, że nie wytrzymuje w chwili, kiedy myśli, że on zabierze się teraz do ich córki? Nie miała odwagi nic zrobić, kiedy chodziło tylko o nią samą. Dopiero gdy uznała, że jej dziecko jest w niebezpieczeństwie, postanowiła przerwać krąg, który zaczął się w jej własnym domu.

Susan pomagała Polly wstawić naczynia do zmywarki. Clare była w łazience. Harriet uśmiechnęła się do Nicole.

- Przy Charlu Gavin przedstawia się jak mąż idealny, prawda?

- Daj spokój. - Nicole nie rozzłościła się, ale nie była dzisiaj w nastroju do wysłuchiwania docinków. Dolała sobie wina. Harriet miała odwiedzić ją do domu, a Gavin nie wracał na noc. Niedługo na dziewięć miesięcy zostanie abstynentką. Trzeba się nacieszyć na zapas.

A jednak myślała o nim, czytając książkę. Oczywiście, nigdy jej nie tknął - w niczym nie przypominał męża Pauli. Chodziło o coś innego. Paula starała się wierzyć w najlepsze, że ją kochał, że żałował. Kiedy mówiła o tym, że stara się utrzymać w czystości dom i dzieci, kiedy opisywała, jak maluje usta, „żeby mu udowodnić. Jestem warta tego, żeby mnie kochać”. Czyż nie robiła tego samego? Patrzył na nią, po tym jak ją uderzył, jakby ją kochał i jakby było mu przykro - wierzyła i krąg się zamykał. To było to samo, nawet jeśli z całej siły starała się tak nie myśleć. I ból. Paula powiedziała, że ma „rany w sercu, które ją po kawałku zabijają”. Nicole też je miała.

A jednak dla niej wszystko skończy się inaczej. Nie wyrzuci Gavina. Nie będzie musiała. Nie dojdzie do tego.

- Podwieźć cię? - zaoferowała Susan. Samochód Clare stał w warsztacie.

Clare potrząsnęła głową.

- Nie, nie trzeba. Złapię autobus. Przystanek jest na końcu ulicy.

- Autobus?

Clare równie dobrze mogła powiedzieć „statek kosmiczny”. Harriet od wieków nie jechała autobusem. Miejsca, do których nie mogła dojechać samochodem w ciągu pięciu minut, nie interesowały jej.

- Nie wygłupiaj się. - Susan stała się apodyktyczna. - To żaden problem.

- Dziękuję - wymamrotała Clare w kołnierzu płaszcza.

Ona jest dziwna, pomyślała Harriet. Ożywia się w czasie dyskusji o książkach, nie wstydzi się wygłaszać opinii, ale potem znowu milknie. Woli słuchać.

Pożegnały się z pozostałymi i Clare skierowała się razem z Susan w stronę jej samochodu, zaparkowanego kawałek za domem.

Dopiero kiedy Susan zapaliła silnik, Clare odezwała się:

- Nie jadę do domu. Dzisiaj nocuję u mamy. Ojciec wyjechał i chcę dotrzymać jej towarzystwa. - Wszystko to wygłosiła jednym tchem.

Mary nie wspominała, że zostaje sama. Coś w sposobie, w jaki Clare trzymała głowę, powstrzymało Susan od zadawania pytań. Przez kilka minut prowadziła w milczeniu, lecz czuła się skrępowana. Co by tu powiedzieć?

- To było ciekawe, prawda? Chyba odnalazłyśmy swój rytm.

Clare skinęła potakująco.

- Podobała mi się ta powieść. Może to nie najwłaściwsze słowo, ale cieszę się, że ją przeczytałam.

- Ja też. Zupełnie inny świat. Daje człowiekowi do myślenia. - Susan zadrżała. - Kiedy Harriet zasugerowała klub czytelniczy, nie byłam wcale przekonana. Nie sądziłam, że dobrze wypadnę. Nigdy nie byłam zbyt dobrą uczennicą, na pewno nie z angielskiego.

- Ja też. Myślałam, że będziecie strasznie inteligentne i nie będę miała nic do powiedzenia. - Uśmiechnęła się do Susan. - Przyszłam tylko dlatego, że mama mnie zmusiła - wyznała. - Śmieszne, prawda? Dorosła kobieta robi coś, bo tak jej każe mama.

- Ja nadal mówię moim synom, co robić - przynajmniej próbuję.

Clare nie była pewna, ile Susan o niej wie, ile Mary jej opowiadała.

- Mama sporo mi pomaga... chciałam jej zrobić przyjemność. Myśli, że poczuję się lepiej, kiedy będę miała jakieś zainteresowania.

- Ma nadzieję. Chyba twoja mama po prostu chce, żebyś... - Susan nie wiedziała, jak zakończyć zdanie. Chce, żebyś miała dziecko, o którym marzysz. Tak bardzo, że sama podjęłaby się je urodzić, gdyby mogła.

- Wiem... chce, żebym się czymś zajęła. Jest cudowna. Dlatego przyszłam - tyle mogłam dla niej zrobić.

- Cieszę się, że przyszłaś.

- Ja też.

Clare wsunęła rękę do kieszeni i uśmiechnęła się szeroko.

Wydaje się taka młoda, pomyślała Susan. Młodsza nawet niż Alex i Ed. Najwidoczniej bezpłodność to jedna z tych rzeczy, o których nie mówi się na głos, jak rak, niewierny mąż czy alzheimer.

Pragnęła porozmawiać o tym z Clare, ale wiedziała, że nie ma prawa. Była matką dwóch dorodnych synów. Czemu Clare chciałaby z nią rozmawiać?

Cressida i Polly

Cressida nie pokazała nikomu zdjęcia, które dostała w szpitalu. Trzymała je w portfelu, pod legitymacją studencką. Nazwisko „Bradford”, wypisane czarnym drukiem wzdłuż marginesu, wystawało zza legitymacji. Patrząc na nie, Cressida czuła pewność. Bradford. Dziecko pani Bradford. Teraz należało porozmawiać z mamą. Była sobota. Jack zawiózł Daniela na mecz, więc zostały w domu same. Polly wstała jakiś czas wcześniej i bez wątpienia myślała, że Cressida jeszcze śpi głęboko przykryta na głowę kołdrą. Ona zaś całkiem ubrana siedziała na łóżku ze zdjęciem w ręku. Przesunęła po nim w zamyśleniu palcem, włożyła do tylnej kieszeni džinsów i poszła zmierzyć się z matką.

Polly usłyszała kroki piętro wyżej i naląła kawy z ekspresu do drugiego kubka. Rozpaczliwie pragnęła porozmawiać z córką, ale ze wszystkich sił starała się nie pokazać tego po sobie.

- Dzień dobry, kochanie. Wstałaś.

- Dzień dobry, mamó. - Cressida usiadła przy kubku, który Polly postawiła dla niej na stole. - Możemy porozmawiać?

- Jasne, serduszko.

- To znaczy, czy ja mogę coś powiedzieć? Dużo sobie przemyślałam, ułożyłam sobie różne rzeczy w głowie i chcę ci to powiedzieć. Nie chcę się kłócić, nie mogę już tego znieść. Możesz po prostu wysłuchać?

Polly była pod wrażeniem jej spokoju. Zauważyła też, że Cressida dokładnie zaplanowała, co powiedzieć.

- Dobrze.

I tak nie pozostał jej żaden wybór - jej córka miała wszystkie karty. Zrozumiała to dzięki Jackowi.

- Świetnie. Po pierwsze, jestem prawie pewna, że zerwałam z Joem.

Polly doznała szoku. Nie to spodziewała się usłyszeć.

- Między nami nie układało się zbyt dobrze przez cały ten czas, kiedy był w Warwick. Kiedy przyjechał na święta, okazało się po prostu, że wszystko jest inaczej. Pewnie tak musiało się stać, kiedy wyjechał i zaczął nowe życie.

Na twarzy Polly odczytała pytanie, ale nie mogła wytrzymać jej spojrzenia, kiedy odpowiedziała:

- Nie, to nie tak. Nie spotyka się z inną dziewczyną.

Mówiąc to, zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze nie była pewna, czy on się z kimś spotyka, czy nie. Po drugie miała nadzieję, że Joe naprawdę kogoś pozna. Jakaś miłą i zwyczajną osobę.

- Po prostu się wypaliło i tyle. Oboje chyba zdaliśmy sobie z tego sprawę ostatniej nocy przed jego wyjazdem. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy ze sobą.

Polly nie wiedziała, co myśleć. Czy dlatego Cressida tak rozpaczliwie upierała się, żeby mu nie mówić? Joe mógł pomyśleć, że chce go na siłę zatrzymać. Nie przypuszczała, że tak się sprawy mają, choć teraz wszystko pasowało - zdarzało się to większości dzieciaków w ich wieku, kiedy wyjeżdżały do college'u. Biedna Cress. Polly zastanawiała się, czy słusznie namawiała córkę do pozostania w domu, kiedy wszyscy jej koledzy wyjeżdżali, aby rozpocząć nowe życie. Czy nie postąpiła egoistycznie?

- Nie przejmuję się tym, naprawdę - ciągnęła Cressida.

- To dobrze. - Polly pochyliła się i dotknęła jej ramienia. - Bardzo mi przykro, kochanie.

- To nic. - Głęboki oddech. - A po drugie, postanowiłam je zatrzymać. Dziecko. Chcę urodzić to dziecko.

Mówiąc to, nie patrzyła na Polly, lecz na sosnowy stół. Jej głos był mocniejszy, niż jej się wydawało.

- Cokolwiek powiesz, mam, chcę mieć to dziecko. Nie pytaj dlaczego. Po prostu wydaje mi się, że to jedyna opcja. Uwierz mi, myślałam o innych rozwiązaniach, ale tylko to wydaje się właściwe. Byłoby mi łatwiej i przyjemniej, gdybyś była po mojej stronie. Więc proszę, bądź. Mam?

To było pytanie.

Co mogła powiedzieć? Polly popatrzyła na kobietę-dziewczynkę siedzącą naprzeciwko niej i przez głowę przesunął jej się ciąg obrazów. Zawsze starała się być po stronie Cressidy. Nieprzespane noce, kiedy jako niemowlę cierpiała na kolkę, pierwszy dzień w szkole, koncerty i zawody sportowe, kiedy koleżanki

pomijały ją przy zaproszeniach na przyjęcie albo kiedy miała pryszczę, a także kiedy przyjaźnie i klasówki kończyły się sukcesem. Przez cały ten czas. Jak mogłaby nie być po jej stronie? Skinęła głową i wstała. Miała ochotę dotknąć swojej córki. Matka i dziecko. I jeszcze jedno dziecko. Wzięła ją w objęcia i trzymała mocno, chyba przez całe wieki. Kiedy w końcu się rozdzieliły, obie z wilgotnymi oczami, Polly zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd usłyszała o ciąży, odczuwa niezwykle spokojny i wyciszenie. Tę fazę miały już za sobą.

Teraz Cressida wyciągnęła z kieszeni spodni zdjęcie USG i wręczyła je matce. Polly wzięła je do ręki i nagle dotarło do niej, że patrzy na swojego wnuka. Dziecko jej dziecka. Było to przerażające i nieoczekiwane, ale musiała zaakceptować rzeczywistość.

- Och - zdołała wykrztusić.

- Wiem - powiedziała Cressida. Tak rozpoczął się nowy etap.

Kochany Joe,

Bardzo mi przykro z powodu świąt. Wiem, że wszystko układało się beznadziejnie i jestem Ci winna wiele wyjaśnień. Byłam tchórzem, nie rozmawiając z Tobą wtedy. Może jestem też tchórzem teraz, pisząc do Ciebie. Nie mogę jednak przyjechać do Warwick - to byłoby zbyt dziwne. Jestem też pewna, że wcale byś tego nie chciał, albo nie będziesz chciał, kiedy przeczytasz ten list.

Nie piszę tego, żeby Cię zranić. Proszę, nie myśl tak. Chcę, żebyś dowiedział się ode mnie, a nie od innych, co się ze mną dzieje. Ale będzie Ci przykro. Wiem o tym i żałuję tego.

Jestem w ciąży, mniej więcej w czwartym miesiącu. Nie znasz ojca dziecka, przysięgam. Nie wiem, czy to coś zmienia. Spotykałam się z nim w ciągu ostatniego semestru, kiedy byłeś w Warwick. Dlatego nie przyjechałam. Nie powinnam była tak postępować, nie powinnam była tego robić za Twoimi plecami. Nie będę Cię winić, jeśli już nigdy się do mnie nie odezwiesz. Pewnie myślałam, że będąc w nowym miejscu z nowymi ludźmi, i tak zechcesz już zerwać. W pewnym sensie byłoby to łatwiejsze. Zawsze będę się wstydzić tego, co zrobiłam. Mam nadzieję, że nie świadczy to o moim charakterze. Niestety, stało się. Chyba kocham ojca dziecka. Kochałam Ciebie przez całe lata, odkąd byliśmy dziećmi. Może właśnie o to chodzi - może nasz związek nigdy nie miał być dorosły. Zawsze będę Cię kochać, chociaż to brzmi okropnie banalnie. Pewnie i tak myślisz, że to brednie. Ale będę. Sprawileś, że czułam się cudownie, będąc nastolatką. To pewnie zabrzmiało strasznie, ale cieszę cię, że nigdy nie spaliśmy ze sobą. To, co mieliśmy, było cudowne tak, jak było. Wiesz, o co mi chodzi? Nie wiem, co stanie się z tym facetem. Wiem tylko, że nie mogę pozbyć się dziecka, oddać go komuś ani nic podobnego. Mam zamiar je urodzić i opiekować się nim. Nie przypuszczam, żeby Cię to obchodziło, i to jest normalne.

Nie przejmuję się okropnymi rzeczami, które pewnie o mnie myślisz i mówisz. Po prostu chciałam Ci to sama powiedzieć. Bardzo przepraszam za wszystko.

Może zobaczymy się kiedyś, jak znowu przyjedziesz do domu. Mam taką nadzieję, ale rozumiem, jeśli nie będziesz chciał.

Całuję Cressida

Joe wepchnął list do kieszeni kurtki. Czynił sobie wyrzuty, że otworzył go natychmiast, na portierni. Po tym, co zaszło w czasie świąt, powinien był się domyślić jego treści, chociaż nigdy by nie zgadł, jak druzgocąca się okaże. Po prostu poczuł się taki szczęśliwy, widząc na kopercie jej pismo i ten głupi szmaragdowy atrament, którego uparcie używała.

Jasna cholera. Ogrom wieści był tak przytłaczający, że Joe nie wiedział, o którym fragmencie myśleć najpierw. Zawsze sądził, że to on będzie pierwszy, że przeżyją to razem. Spędzali całe godziny, całując się w poprzekrzywianych ubraniach, na kanapach w obu domach, na ławkach w parku, w kinie, za każdym razem zatrzymując się w ostatniej chwili, chociaż dla obojga było to nie do zniesienia. Cressida zawsze powtarzała, że chce, aby to było coś specjalnego i przemyślanego, a nie sekretny, szybki akt. W łóżku. „W łóżku, do którego mamy prawo, w odpowiednim miejscu i czasie”. Tak mówiła. Szanował to. Czekał. Znał wielu chłopaków, którzy by się wcale nie przejmowali. Joe mógł się przespać z inną dziewczyną. Ale nigdy tego nie zrobił. Chciał kochać się z Cressidą. Mógł zaczekać. Na myśl o tym, że ktoś inny był dla niej aż tak wyjątkowy, poczuł ostry ból. Ktoś inny okazał się odpowiedni i wybrała jego łóżko. Bezskutecznie usiłował odepchnąć wizję nagiej Cressidy przytulonej do obcego mężczyzny.

I w ciąży. O mój Boże. To niepojęte. Kilka minut temu Cressida była dziewczicą. Teraz miała urodzić czyjeś dziecko. Nie był w stanie tego ogarnąć.

Boże, żeby się tylko tu nie rozplakać. Kilka jardów od niego chłopcy z drużyny rugby przerzucali się piłką. Naprzeciw gawędziły dwie ładne studentki z drugiego roku. Nie na oczach wszystkich. Joe zarzucił plecak na ramię i zacisnął pobielające dłonie. Błagam, niech zdążę dojść do pokoju, modlił się w duchu. Przejdź tędy, przez te drzwi. Czemu był aż tak wstrząśnięty? Od dawna wiedział, że nie układa się dobrze. Nawet zaczął się zastanawiać, jak by to było spotykać się z inną dziewczyną, z kimś stąd. Wyobraził sobie, że miałby dziewczynę na uczelni i mógłby widywać ją codziennie - w kawiarni, na wykładach. Z opuszczoną głową wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i zatrzymał się dopiero na trzecim piętrze. Prawie na miejscu. Drzwi do pokojów były otwarte, podparte krzesłami, ktoś puścił radio. Kilka dziewczyn, z którymi dzielił kuchnię, tańczyło naprzeciw tostera. Jedną z nich była Issie.

- Cześć, Joe. Tosta?

- Nie, dzięki.

Podeszła blisko i przyjrzała mu się uważnie.

- Coś się stało, prawda?

Położyła mu dłoń na ramieniu. Poczuł się lepiej. Nie chciał być sam w pokoju. Chciał porozmawiać z Issie. Ale odważył się tylko potrząsnąć głową.

- Chodź tutaj - pociągnęła go do siebie i zamknęła za nimi drzwi.

Margaret i Alice

Broszury reklamujące „Cedry” leżały na stoliku do kawy. Susan pokazała je siostrze, opowiadając o innych domach, które odwiedziła, i co spodobało jej się akurat w tym. Robiła dobrą minę do złej gry. Pokoje w „Cedrach” były duże i wysokie, z okien roztaczał się przepiękny widok na zielone łąki, a u Alice słońce świeciło przez większość dnia. Nie powiedziała Margaret, jak strasznie płakała potem, w samochodzie. Jak się zastanawiała, czy nie lepiej przycisnąć Alice poduszkę do twarzy, niż zostawić ją w tym miejscu. Jak małe dziecko wydawała się matka w dniu, w którym ją tu przywiozła, zdeorientowana i zagubiona. I jak po powrocie do domu godzinami szlochała w objęciach Rogera, przekonując go, że jest beznadziejną córką, że powinna sama zaopiekować się Alice.

Roger, także zasmucony, powtarzał:

- Nie dałabyś rady. Choćby nie wiem co, nie potrafisz teraz zapewnić jej odpowiedniej opieki. Oni potrafią. Uwierz mi, błagam cię, kochanie. Tylko to mogłaś dla niej zrobić.

O tym także nie wspomniała Margaret.

- Pojadę tam jutro - stwierdziła siostra. - W końcu po to przyleciałam.

- Dobrze. Nie mam zbyt wiele pracy i mogę pojechać z tobą.

- Nie, wolę być sama, dziękuję. Roger mówił, że mogę pożyczyć jego samochód, prawda?

- Tak, oczywiście, ale...

- Żadnych ale, Susan. Słuchaj, to ty umieściłaś tam mamę. Możesz jedynie pozwolić, żebym samodzielnie wyrobiła sobie opinię o tym miejscu.

To była ostatnia kropla. Susan miała dość. Całymi tygodniami znosiła zachowanie siostry.

- Mam już tego dosyć.

Margaret wydawała się chwilowo kapitulować wobec jej postawy.

- Jak śmiesz zjawiać się tutaj i mnie oskarżać? Nie zrobiłam nic złego naszej matce, poza jedyną rzeczą, którą trzeba było zrobić. Nie mogę opiekować się nią w domu. Mam Rogera, synów i firmę. Mam swoje życie. Tak jak ty. Mama jest chora, Maggie. Nie jest osobą, którą pamiętasz. To strasznie boli i okropnie za nią tęsknię, chciałabym, żeby do nas wróciła. Ale muszę zaakceptować nową sytuację tak jak ty.

Margaret milczała. Susan zdała sobie sprawę, że nigdy jej takiej nie widziała. Kiedy Margaret wyjeżdżała do Australii, to ona, Susan, była tą pasywną i spokojną. Jednak praca, macierzyństwo i życie sprawiły, że stała się twardsza. Konfrontacja ze stanem Alice uczyniła ją jeszcze silniejszą - dopóki Margaret nie zaczęła zarzucać jej oskarżeniami.

Starła się załagodzić, wytłumaczyć wszystko, podobnie jak Roger wyjaśniał to jej samej.

- Słuchaj, Maggie, pierwsze wylewy kompletnie ją odmieniły. Zaczęła tracić pamięć i zapominała na przykład o tym, że zapaliła gaz, wychodziła bez płaszcza i tak dalej. Z tym moglibyśmy sobie jeszcze poradzić. Zawsze lubiłam, kiedy mama z nami mieszkała, i nie było to aż tak straszne. Chociaż pilnowanie jej przez cały czas nie należało do najłatwiejszych zadań. Ale robiłam to. Ostatni wylew, wtedy, kiedy nie

byliśmy pewni, czy przeżyje, i kiedy do ciebie zadzwoniłam, zmienił wszystko. Ona jest jak malutkie dziecko. Ta odrobina pamięci, jaka jej jeszcze pozostała, kompletnie się zniekształciła. Czasami żyje w latach czterdziestych, czasami ja jestem jej matką, czasami nie poznaje Rogera. Trzeba ją karmić, myć, pomagać w chodzeniu do ubikacji. Nie mogę tego wszystkiego robić i nie będę.

- Ona to dla nas robiła, prawda?

- Na litość boską, nie bądź obłudna. Myślisz, że ciebie to nie dotyczy? Że możesz tak zwyczajnie przylecieć, powiedzieć mi, jaka jestem beznadziejna, a potem wrócić sobie do swojego najdroższego męża i wspaniałego życia. Tak się nie da, Maggie.

Margaret wstała, sygnalizując koniec rozmowy. Susan miała ochotę ją uderzyć.

- Pojadę tam jutro. Ależ ona jest wkurzająca.

Przy drzwiach Margaret się odwróciła.

- Dla twojej wiadomości, rozstaliśmy się z Gregiem dziesięć lat temu. Zostawił mnie dla jednej z moich koleżanek. Wcześniej przez dwa lata mieli romans. Chyba niezbyt wiele wiesz o moim „wspaniałym życiu”.

Po czym odeszła.

I czyja to wina? - pomyślała Susan, opierając się o poduszkę na kanapie.

Pokój, do którego wprowadziła Margaret gruba i zaaferowana salowa, był przestronny i wysoki, z otwieranymi pionowo oknami. Zdecydowanie wymagał odmalowania. Wyposażenia także nie dobrano zbyt fortunnie - tanie sosnowe meble, jak te kupowane do mieszkań w bloku. Wierzch szafy na ubrania sięgał zaledwie listwy ściennej. Toaletka i komoda z tego samego kompletu zdawały się równie pozbawione proporcji. Całość sprawiała cokolwiek absurdalne wrażenie, jakby dziecięce mebelki wstawiono do pomieszczenia dla dorosłych. Tylko białe metalowe łóżko z poręczą było duże, szerokie i wysokie. Nad wezłowiec znajdował się czerwony przycisk alarmowy. Alice miała osobną łazienkę z białymi uchwytami umocowanymi przy toalecie i wannie. W pokoju wisiała duża korkowa tablica, na której Susan przypięła wesołe zdjęcia swoje i Rogera, chłopców, i jedno przedstawiające Margaret z Gregiem na farmie. Margaret była zaskoczona, jak młodo na nim wyglądała. Na komodzie stały kolejne fotografie: Susan w ślubnej sukni, chłopcy na traktorach-zabawkach, dawno temu na jarmarku. Nad łóżkiem wisiało zdjęcie rodziców, zrobione w czterdziestą rocznicę ślubu. Margaret nie lubiła fotografii nieżyjących ludzi, ale sądziła, że Alice nie ma nic przeciwko nim. Nie podobał jej się także zapach, wodnisto-kapuściany odór szkolnych posiłków, ostry smród moczu. Całe to miejsce przepełniało ją obrzydzeniem. Protekcyjny personel, mówiący nienaturalnie głośno, krótkimi zdaniem, sprawiał, że nastroszyła się w duchu. Jeśli zaś chodzi o bawialnię, którą minęła po drodze! W każdym pokrytym welurem fotelu z wysokim oparciem siedziała maleńka starszka lub staruszek, wpatrując się zamglonym wzrokiem w durny program o ogrodnictwie na ogromnym ekranie telewizora. Pewnie siedzieli tak we własnych odchodach, czekając na... Bóg jeden wie na co. Było tam także jedno z wnucząt albo nawet prawnucząt, wrzeszczące i przerażone widokiem starej kobiety o pergaminowej skórze, powykęcanych palcach i bezzębny uśmiechu.

We względnej normalności pokoju matka Margaret starała się opanować wstręt i chęć natychmiastowej ucieczki. Całe szczęście, że przyjechała sama. Przez sekundę poczuła współczucie - Susan bywała tu codziennie. Szybko jednak je stłumiła. To przecież siostra umieściła matkę w tym miejscu.

- Mamy dla ciebie niespodziankę, Alice. Twoja córka przyjechała aż z Australii. I co na to powiesz?

Zamknij się, pomyślała Margaret. Ta kobieta mówi, jakby pracowała w bibliotece dla dzieci i właśnie czytała maluchom bajeczkę.

A potem ujrzała Alice po raz pierwszy od dziesięciu lat. Poczowała wstrząs. Alice była starą kobietą. Margaret odniosła wrażenie, że matka zmalala o kilka cali. Miała zgięte ramiona i garb u nasady szyi. Jej przeredzone i rozczochrane włosy przedzielono po złej stronie. Pod spodem prześwitywała różowa skóra.

Margaret nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała matkę bez szminki - przez całe życie używała tego samego odcienia firmy Rimmel - lecz teraz jej wargi były cienkie, suche i blade. Miała na sobie krzywo zapięty sweter, cały zasypany okruchami.

- Susan?

- Nie, Alice. Pamiętasz, co ci mówiłyśmy? To nie Susan, to Margaret, przyjechała z Australii.

Margaret nie mogła dłużej znieść tego tonu.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Poradzę sobie. Może jednak napiłabym się herbaty, którą zaproponowała mi pani koleżanka. - Wszystko, byle tylko się jej pozbyć.

Jednak kiedy podeszła do matki, aby wziąć ją za rękę, Alice spojrzała tęsknie na gamoniowatą dziewczynę, zaniepokojona.

- W porządku, mamó. Jestem z tobą. Alice jednak wydawała się zagubiona.

- To ja, Margaret, mamó. Przyleciałam z Sydney, pamiętasz? Dziewczyna zbierała się do odejścia.

- Może nie pamiętać, mamy z nią dzisiaj trochę kłopotu - szepnęła nad głową Alice. Jakby mówiła o nieznośnym szczenięciu.

Margaret zacisnęła usta i skinęła głową. Pociągnęła Alice na środek pokoju i posadziła ją na fotelu, odsuwając na bok stolik na kółkach. Z korkowej tablicy odpięła zdjęcie swoje i Grega i podsunęła Alice pod oczy.

- Wiesz, mamó. Margaret. Wysłałam za Grega i pojechaliśmy do Australii. To było ponad dwadzieścia lat temu.

- Dwadzieścia lat? - Alice podniosła oczy. - Tak, Margaret. - Wymówiła jej imię powoli i z namysłem.

- Tak jest, Margaret. Jak się masz, mamó?

Objęła Alice ramieniem, zaniepokojona tym, że matka nie pachnie znajomo. Czy tylko z powodu wieku?

- Margaret - powtórzyła Alice. - Nareszcie do nas wróciłaś. Aż z Australii. Ojciec tak się ucieszy na twój widok. Kiedy wróci z golfa.

- Golfa?

- Tak, kochanie. Tylko tym się zajmuje, odkąd odszedł na emeryturę. Osiemnaście dołków, na ogół. Jestem słomianą wdową, jak widzisz. - I roześmiała się cicho.

Margaret nie czuła się na siłach, aby stawić temu czoło. Prawie zapragnęła powrotu niezgrabnej dziewczuchy.

- Mamo? Tata nie żyje. Umarł osiem lat temu. Tak mi przykro.

- Umarł, mówisz? Tata? Ach, nie! - i Alice rozplakała się na cały głos.

Susan tłumaczyła jej, że pamięć krótkotrwała Alice nie przyswaja świeżych informacji. Za każdym razem dowiaduje się wszystkiego od nowa.

- Już jej nic nie przypominam - powiedziała. - Po co ma cierpieć bez przerwy od początku? Niech sobie wierzy, że ojciec gra w golfa.

- To śmieszne - odparła Margaret. - Nie możesz tak jej traktować.

Teraz jednak, siedząc z drobną dłonią Alice w swojej dłoni, żałowała, że nie posłuchała siostry.

Cressida

Nigdy wcześniej tu nie była. Nigdy nie chciała - nie chciała przyznać, że jest ciekawa. Ale teraz się tu znalazła. I, jak często ostatnio, zareagowała zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Przyjechał po nią, a potem prowadził samochód, trzymając jej rękę pod swoją na dźwigni biegów. Milczał. Nie pytała, czemu tu przyjechali. Czasami był małomówny, a ona nauczyła się, mimo że znali się tak krótko, że pragnie pociechy, a nie wypytywania, dotyku, a nie rozmowy. Czuła niekiedy, że to ona jest starsza z nich dwojga - on przypominał dziecko ze swoimi prostymi potrzebami. Później, kiedy go przytulała, kiedy skończyli się kochać, był inny - szczęśliwy i spokojny. A także zabawny i interesujący.

Otwierał niezgrabnie drzwi, trzymając klucz nie w tej dłoni co trzeba, przeklinając pod nosem, przyciskając usta do jej szyi, przytulając ją do siebie wolną ręką. Był zawsze namiętny, zawsze jej pożądał, lecz dzisiaj czuła w nim jakąś specjalną, nagłą potrzebę. Pragnął jej niemal rozpaczliwie.

Kochali się w salonie, na kanapie, na podłodze, w mroku. Oświetlał ich tylko pomarańczowy blask ulicznych latarni, przenikający przez tiulowe firanki. Powiedział jej, że w tym świetle wygląda pięknie i różowo. Przeciągnął palcem po jej wargach. Poruszał jej częściami ciała, rękami, nogami, odwracając je i obserwując w świetle, a potem muskając ręką i ustami, jakby jej ciało było dla niego źródłem nieustannego zachwyty i podziwu. Miał teraz więcej czasu, aby napawać się jej widokiem. Seks z nim wydawał się ekstrawagancki i niezwykły. Czuła się jak boginka albo drogocenny klejnot. Przedtem także uwielbiała się z nim kochać, ale teraz czuła, jakby przeszła jakiś etap. Jakby wiedział.

Wcześniejsze obawy wydawały się teraz niemądre. Jego ciało wiedziało, co usłyszy, jeszcze zanim padły pierwsze słowa. Nagle poczuła się tak, jakby zamierzała go czymś obdarzyć.

Kiedy skończyli się kochać i ich oddechy się uspokoiły, kiedy naciągnął na nich koc, i tak leżeli na podłodze, a on dotykał szeroko rozpostartymi palcami jej gładkiego, nagiego brzucha, powiedziała:

- Elliot, jestem w ciąży.

Poznali się jej pierwszego dnia w college'u. Ich spotkaniu nie towarzyszyły gromy ani błyskawice, lecz przypadkowy akt życzliwości. Cressida zgubiła się i była już spóźniona. Przechodzący obok Elliot wskazał jej drogę. Tego samego popołudnia, ponownie znajdując się w odpowiednim miejscu i czasie, otworzył drzwi, kiedy przechodziła, uginając się pod brzemieniem teczek na rysunki, plecaka i kilku masywnych tomów wypożyczonych z biblioteki.

- Jak poszło?

Cressidę zdziwił poufały ton - rano była tak zdenerwowana i niespokojna, że nie zarejestrowała jego twarzy ani głosu.

- Spotkaliśmy się już - przypomniał jej.

- A tak, przepraszam, byłam trochę...

- Wiem. Ja też tak miałem pierwszego dnia.

- Ale przecież nie jesteś...

Elliot nie wyglądał na studenta. Był od niej starszy o jakieś dziesięć lat, jak jej się wydawało. Ubie-
rał się inaczej niż wszyscy inni mężczyźni w promieniu dwustu jardów. Ale wyglądał sympatycznie.

- Studentem? Nie, nie. Niestety! Pracuję w administracji. Jestem tu już od prawie ośmiu lat.

- Aha.

- Tak. Poradzisz sobie dalej?

- Tak, dzięki. I dziękuję za rano, nie byłam chyba zbyt dobrze zorganizowana. O wszystkim zapomniałam w czasie wakacji. To byłoby strasznie żenujące, gdybym się jeszcze bardziej spóźniła.

- Nie ma za co.

- Cześć.

- Na razie.

Pięć minut później podjechał do niej małą czerwoną mazdą, kiedy po raz kolejny zatrzymała się, przenosząc ciężar z jednego ramienia na drugie.

- Słuchaj, nie chcę się narzucać, ale to ci zajmie całą wieczność. Nie mogę znieść widoku twoich męczarni, podczas gdy ja rozkoszuję się samotnością. Mogę cię podrzucić? Jadę na drugi koniec miasta.

Miał miłą, przyjazną twarz. Nie wyglądał na psychopatę i pracował w college'u. A Cressidzie odpa-
dały już ręce.

- To byłoby cudownie. Mieszkam na Rosedale Road. Czy wiesz, gdzie to jest?

- No jasne. To żaden problem.

I Elliot wyskoczył z samochodu, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera, zabrać od niej rzeczy i włożyć je na tylne siedzenie. Wydawał się bardzo szczęśliwy, że się zgodziła. Zanim zamknął za nią drzwi, powiedział:

- Tak przy okazji, nazywam się Elliot. Elliot Thomas.

- Cressida Bradford. - I posłała mu promienny uśmiech.

Wtedy właśnie Elliot poczuł po raz pierwszy, nagle i z całą mocą, że od tej pory zawsze będzie pragnął przebywać w blasku jasnego, beztroskiego uśmiechu tej dziewczyny.

Oczywiście, Cressidzie zajęło to całe tygodnie. College, pełen nowych ludzi, tak bardzo różnił się od szkoły, a zajęcia były o niebo bardziej interesujące niż przygotowania do egzaminów końcowych. Kiedy zastanawiała się nad tym, niezbyt zresztą często, była przerażona, jak mało tęskni za Joem. Wytłumaczyła sobie, że on za nią na pewno też - a nawet jeszcze mniej, ponieważ wyprowadził się z domu.

Często widywała Elliota, gawędziła z nim na korytarzach albo na trawnikach przed budynkiem, w ciepłe jesienne słońca. Kilkakrotnie zaoferował, że podwiezie ją do domu. Raz czy dwa zgodziła się, kiedy nie szła do pubu z nowymi znajomymi ani nie była umówiona z matką. Jednego razu zabrał ją nawet z przystanku autobusowego.

Lubiła z nim rozmawiać. Był dowcipny i opowiadał komiczne historyjki o wykładowcach. Czasami miała wątpliwości, czy powinna spędzać z nim tyle czasu. Ale przecież nie jest nauczycielem, a ona nie jest dzieckiem, więc co to szkodziło? Przez pierwsze tygodnie jednak stanowił jedną z wielu nowych twarzy w tłumie, nic więcej.

Nie myślała o niczym, kiedy pewnego dnia, gdy korki były wyjątkowo uciążliwe, zaparkował obok miejscowego pubu.

- Do licha, skoro i tak już się spóźniliśmy, równie dobrze możemy się czegoś napić i ruszyć dalej, kiedy się trochę uspokoi. Jak myślisz?

Pub stanowił zasadniczą część studenckiego życia Cressidy. Prawie wszystkich swoich nowych przyjaciół poznała w zadymionych, pachnących piwem pomieszczeniach, gdzie trzeba było krzyczeć, aby zostać usłyszanym wśród dźwięków aparatów do gry, kolekcji muzyki właściciela i meczów piłkarskich.

Rozmawiali aż do zamknięcia. Cressida była uradowana. Nagle okazało się, że tyle mają sobie do powiedzenia. Rozmawiali o filmach, o aktualnych wydarzeniach, sztuce, ojcu Cressidy i rodzicach Elliota, o najszcześniejszych wakacjach, pierwszych płytach, przyjęciach... o wszystkim. Słuchali siebie nawzajem, wpadali sobie w słowo, śmiali się z własnych dowcipów. Lubili się.

Później tego wieczoru, kiedy Elliot odwiózł ją do domu i Cressida otworzyła drzwi własnym kluczem, spotkała na schodach Polly, zmierzającą do łóżka z kubkiem herbaty. Pod wpływem impulsu przytuliła matkę z całej siły. Kiedy Polly ze śmiechem uwolniła się z uścisku, powiedziała:

- Jak przyjemnie widzieć cię taką szczęśliwą, kochanie. Ten kurs to chyba najlepsza decyzja, jaką podjąłeś, prawda?

- Chyba tak, mamó. Masz rację. Tej nocy Cressida nie mogła zasnąć.

Następnego ranka prawie spodziewała się spotkać go na przystanku autobusowym, i nie rozczarowała się. Nachylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Cześć! - zawołała.

Ale on pozostał poważny.

- Co robisz rano? Może byśmy najpierw gdzieś poszli, na kawę albo na śniadanie? Chcę z tobą porozmawiać.

- Właściwie jestem wolna aż do wpół do jedenastej, chciałam najpierw posiedzieć w bibliotece. Jasne, czemu nie?

Nad kawałkiem tosta i mocną herbatą Elliot wziął głęboki oddech i zaczął:

- Słuchaj, świetnie się wczoraj bawiłem...

O matko, pomyślała Cressida, zaraz powie, że nie wolno mu spoufalać się ze studentami. Złamaliśmy zasady.

- Cudownie było wczoraj wieczorem w pubie. Chciałbym widywać cię częściej.

Cressida czekała na „ale”.

- Ale jest coś, co najpierw powinienem ci powiedzieć. A potem pewnie już nie będziesz chciała się ze mną spotykać.

Teraz ją przestraszył.

- Co to takiego?

- Jestem żonaty.

- Co?

Nie miał obrączki. Nie trzymał fotografii na biurku.

- Jestem żonaty od dziesięciu lat.

- Och.

Elliot kontynuował wyjaśnienia, pochylony nad talerzem. Drobiazgowo przekazał jej wszystkie fakty.

- Moja żona ma na imię Clare. Jest położną w jednym ze szpitali.

- Aha.

- Jesteśmy ze sobą właściwie od zawsze. Cressida odsunęła krzesło od stołu.

- W porządku. Dzięki, że mi powiedziałaś. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu nie zrobiłaś tego wcześniej. Albo czemu mówisz akurat teraz. Przecież nic takiego nie zrobiliśmy. Po prostu wypiliśmy kilka piw. I gadaliśmy.

A jednak było chyba inaczej. Jakby ją uderzył. I miała ochotę oddać. Wstała.

- Posłuchaj, nie odchodź, proszę cię. Chcę ci o tym opowiedzieć. My nie... nie udaje się nam... nie możemy...

- Elliot, daj spokój - syknęła jadownicie. - Nie odgrywaj przede mną męża, co to żona go nie rozumie i wcale ze sobą nie śpią. Wiesz, że jesteś inny, i ja też. Na razie. - Odwróciła się w stronę wyjścia.

- Cressida, czekaj! - Elliot wygrzebywał pieniądze z kieszeni. - Błagam, porozmawiajmy.

- Nie ma o czym rozmawiać. Do zobaczenia. - I odeszła.

Nie widziała go przez kilka tygodni, na tyle długo, aby przestać się za nim rozglądać. Prawie tak długo, żeby przestać o nim myśleć, kiedy ubierała się rano, zastanawiając, czy podobałby się mu jej sweter, jej uczesanie.

Pewnego wieczoru bawiła się w pubie w grupie znajomych. Trwała akurat impreza karaoke. Jeden z facetów, zarozumiały chłopak z Afryki Południowej, o imieniu Rowan, flirtował z nią i kupował jej drinki. Prawie udało mu się ją zdobyć. Pozwoliła, aby zamówił dla nich piosenkę, i śmiała się z histerycznej reakcji, kiedy wywołano ich imiona:

- Rany boskie, tylko posłuchajcie, Cressida i Rowan, eleganckie imiona, nie ma co. Zasłużyliście sobie na odlotowy numer z *Grease*. Pamiętajcie *You are the one that I want?* Olivia Newton John w obcisłych czarnych spodniach. Zapraszamy Cressidę i Rowana...

Rowan, który był przystojnym samcem, pociągnął ją na scenę tanecznym krokiem Travoltę i zaczął śpiewać.

Cressida oderwała wzrok od ekranu - i ujrzała Elliota. Stał z dala od ludzi i uśmiechał się do niej. Poczula nieopanowaną chęć, żeby do niego podejść.

Skończyła śpiewać, nie przyłączyła się do energicznych podrygiwań towarzysza i zsunęła się ze sceny, zostawiając Rowana-Travoltę na pastwę oklasków.

Potem rozmawiali w samochodzie. Na zewnątrz było coraz chłodniej i musieli włączyć ogrzewanie, więc zaparowały szyby. Elliot mówił. I płakał. Powiedział, że nienawidzi samego siebie, swego życia i swojej słabości. Ale ona musi uwierzyć, że nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Nie wie, czy stało się tak dlatego, że stracił nadzieję na przyszłość z Clare, że znajduje się na granicy wytrzymałości, czy też dlatego, że Cressida jest taka śliczna. Ale nie mógł nic na to poradzić. Nie zamierzał tu dzisiaj przychodzić, tak samo jak nie planował spotkań na przystanku i w kampusie. Starał się trzymać z daleka. Ale musiał być tam, gdzie ona. Boże, co za żalony argument. Choć nic między nimi nie zaszło, czy może go nie nienawidzić, nie osądzać, czy może go od siebie nie odpychać?

I tak się to zaczęło. Cressida sama nie mogła uwierzyć w swoje zachowanie. W głowie słyszała głos Polly: - Czy niczego cię nie nauczyłam? Widziała, jak rozpadło się małżeństwo rodziców. Częścią siebie nienawidziła tej słabości. Lecz dużo większa część przejęła kontrolę. Mówiła sobie rozmaite rzeczy. Niezwykle, jak wiele dało się usprawiedliwić, jak łatwo się przekonać. To nie ona oszukiwała Clare, tylko Elliot. Nie zdradzała Joego - kto wie, co on wyprawiał w Warwick? Elliot i Clare byli małżeństwem tylko nominalnie. Elliot nie mógł jej zostawić, kiedy była taka smutna. Wszystkie klisze, wszystkie kłamstwa nagle brzmiały przekonująco. Przez kilka dni po spotkaniu w pubie, za każdym razem, kiedy się widzieli, rozmawiali o Clare. Powiedział jej wszystko: o dzieciach, które stracili, o leczeniu i o tym, co było wcześniej, kiedy byli w wieku Cressidy, i jakie wszystko wtedy wydawało się proste. Widział w niej ludzi, którymi kiedyś byli, zanim życie tak strasznie się skomplikowało. Była jak białe płótno, zanim Jackson Pollock pokrył je wielobarwnymi plamami.

Po wysłuchaniu wszystkiego Cressida pewnego dnia wróciła do domu i podjęła decyzję. I tak miała zamiar to zrobić: zacznie umawiać się z Elliotem.

Następnym razem kochali się. Zostawili samochód na parkingu, wzięli z bagażnika koc i przez dwadzieścia minut szli przed siebie, nic nie mówiąc. Potem rozebrali się częściowo i położyli obok siebie. Ogrzewało ich blade słońce.

Cressida miała dziewiętnaście lat i to był jej pierwszy raz. Tego właśnie chciała. Pod wpływem milczącej umowy nigdy więcej nie wspomnieli o Clare.

A teraz mu powiedziała. Starła się nie myśleć, jak ogromną wagę ta informacja ma dla Elliota. W ten sposób uznawali obecność Clare i tragedię jej bezpłodności, a nie chciała jeszcze tego robić.

Jednak kiedy tylko wypowiedziała te słowa, leżąc w pustym domu Clare, uderzyło ją ich znaczenie. Elliot milczał. W pierwszym odruchu zabrał dłoń z jej brzucha, jakby się sparzył, i usiadł. Oparł łokcie na kolanach i schował twarz w rękach. Nagi, wydawał się bezbronny. Biała skóra po wewnętrznej stronie ramion była niemal przezroczysta i przeświecały przez nią błękitnawe żyłki. Nie wiedziała, o czym myśli. Na podłodze zrobiło jej się chłodno i trochę niewygodnie. Podniosła się i usiadła obok niego, uważając, aby go nie dotknąć, chociaż bardzo chciała.

Kiedy w końcu podniósł twarz, była mokra od łez. Śmiał się, płakał i kręcił głową jednocześnie. Nadal jeszcze nic nie powiedział, ale teraz przyciągnął ją do siebie i zamknął w objęciach.

Nicole i Gavin

Wenecja to chyba najbardziej niezwykle miasto na świecie. Widok, jaki wita przybysza, kiedy tak-sówka wodna mija ostatni zakręt laguny, jest piękniejszy od wszystkiego, co Nicole kiedykolwiek widziała. Wenecja latem była zatłoczona i śmierdząca. W zimie, kiedy Nicole pojechała tam w ramach wymiany studenckiej, wydawało się jej, że rozpadnie się z zimna na kawałki za każdym mocniejszym stąpieniem. Wiosna to zdecydowanie jej ulubiona pora roku. Tego ranka niebo miało idealny odcień błękitu, a woda docierała do poziomu nabrzeży. Nicole roześmiała się.

Pięć minut wcześniej leżeli w poprzek monstrualnego hotelowego łóżka zaplątani w białą, lnianą pościel. Przed chwilą sprawiła, że poczuł się jak w niebie, i teraz oparła się o poduszki, z rozrzuconymi włosami, przykryta prześcieradłem po piersi, z tryumfem na twarzy. Gavin przyjrzał się jej i wyskoczył z łóżka.

- Chcę cię natychmiast sfotografować, nie ruszaj się. Chwycił aparat.

Nicole zachichotała.

- Po co?

- Muszę cię uwiecznić z tą zadowoloną z siebie miną. Pstryknął aparatem. Zamrugła w błysku flesza.

- Myślę, że wszyscy artyści tak stworzyli swe najlepsze dzieła. Leonardo pewnie dostarczył Mona Lizie odpowiednich wrażeń, zanim ją zaczął malować.

- Ciekawa teoria... A co robił Munch twoim zdaniem?
- Doprowadzał swoje modelki do utraty zmysłów. Oboje się śmiali.
- Albo Picasso!
- Teraz jesteś obrzydliwa. Gavin nadal trzymał aparat.
- Nie, jeszcze nie tak... - Zaczął w pośpiechu nakładać spodnie, naciągać sweter przez głowę. - Muszę uchwycić to miejsce. Ty... - podniósł ją z łóżka - ... chodź i stań tutaj, właśnie tak, doskonale, i poczekaj chwileczkę, tak jak teraz. - Wybiegł z aparatem.

I tak została w oknie, zupełnie naga, nie licząc prześcieradła, z rozwianymi włosami, akurat nad literą A w słowie „Danieli”, wypisanym na ścianie wielkimi złotymi literami. Na dole na chodniku, również rozczochrany, wysoki, ginący w tłumie Japończyków, fotografował ją Gavin.

Ziściły się wszystkie jej marzenia. Gavin wrócił, oboje do siebie wrócili. Było tak zabawnie, tak intymnie i tak seksownie jak kiedyś.

Nicole wydawało się, że jej małżeństwo przypomina przejażdżkę kolejką górską w najbardziej przerażającej wersji. Na górze było tak absolutnie cudownie, że nigdy nie pamiętała, jak nieoczekiwane, gwałtowne i straszne okazywały się spadki. Nikt nigdy nie chciał przejechać się po raz drugi. Na górze mówiło się, że za ten widok oddałoby się wszystko, na dole serce podchodziło do gardła i człowiek żałował, że nie wybrał raczej karuzeli. Z pewnością zaczerpnęła to porównanie z jakiegoś filmu, ale pasowało idealnie. Mimo wszystko przejażdżka bardzo jej się podobała. Może tym razem nie czyha na nią kolejny spadek.

Położyła się do łóżka, czekając na powrót Gavina, przycisnęła obie dłonie do brzucha i zastanawiała się, czy zaszła w ciążę... zamknęła oczy, wypowiadając w duchu życzenie. Za pierwszym razem była pewna, że wyczuła minutę, w której się to stało. Gavin śmiał się, kiedy to usłyszał, i uznał, że zbyt wiele dobrego seksu pomieszało jej w głowie. Ale kilka tygodni później, zanim jeszcze miała powód do zrobienia testu, przyglądał jej się chodzącej nago po pokoju i także zauważył. - Jesteś w ciąży! - stwierdził. Była tego pewna. Starał się w ten sposób powiedzieć, że przytyła, zażartowała wtedy, lecz oboje wiedzieli.

Z Marthą nie miała pewności, wyczerpana zaspokajaniem niekończących się potrzeb dwóch małych chłopców (i jednego dużego). Była zbyt wykończona, żeby zaplanować uwiedzenie własnego męża, a co dopiero ciążę. Najwyraźniej nie pamiętała także o braniu minipigułki o tej samej porze. Bliźnięta nie miały jeszcze dwóch lat, kiedy ponownie zaszła w ciążę. Wolałyby zaczekać trochę dłużej.

Gavin, jak każdy przewodnik stada, był niezwykle dumny z jej płodności - a raczej ze swojej zdolności zapładniania, niezależnie od przeszkód. Odsunął na bok wszystkie obawy, czy da sobie radę.

- Posłuchaj, kochanie, po prostu weźmiemy kogoś do pomocy. Dobrze idzie mi w firmie, więc stać nas na to. Nie martw się i odpoczywaj.

Skłonił ją, żeby zatrudniła panią do sprzątanego i prasowania oraz opiekunkę do dzieci. Nicole nauczyła się odpoczywać. Zrozumiała, że Gavin oczekuje wdzięczności za to, że bez mrugnięcia okiem opłaca wszystkie te udogodnienia. Nadal jednak, patrząc na Marthę i chłopców, czuła się winna. Zwłaszcza

jeśli chodzi o Marthę. Bliźniacy mieli siebie nawzajem, ale martwiła się, że nie spędza dosyć czasu z córką.

Harriet zbywała jej obawy.

- Opuść sobie trochę, na litość boską. Dzieci cię wprost uwielbiają. Jesteś prawdziwą śliczną mamusią, zadbaną i szczupłą, i dbasz o jakość czasu spędzanego z dziećmi. Dlaczego masz czuć się winna, ponieważ ktoś inny lepi im figurki z plasteliny i wyciera nosy? Madonna nie zmieniła w swoim życiu ani jednej pieluchy, ale czy uważasz, że dzieci będą jej to wypominać? - Harriet była niewyczerpanym źródłem informacji na temat gwiazd i chętnie używała przykładów z ich życia dla zilustrowania postępów zwykłych osób.

Gavin traktował jej wyrzuty sumienia z mniejszą cierpliwością.

- Pod żadnym pozorem nie wolno ci przestać chodzić na siłownię, nawet jeśli wydaje ci się, że chłopcy cię potrzebują. Potrzebują matki, która będzie się podobać ich kolegom z liceum.

Na ostatnim spotkaniu klubu rozmowa zeszła na temat poczucia winy u matek oraz matek potępiających swoje dzieci za to, że powtarzają ich wybory życiowe. Wszystkie zgodziły się, że poczucie winy i zmartwienia wysysa się już z mlekiem matki. Patrząc na młode matki, Polly stwierdziła:

- I uwierzcie mi, im są starsze, tym gorzej.

Radosna myśl.

A jednak tym razem może będzie inaczej, pomyślała Nicole. Chłopcy i Martha chodzili już do szkoły. Miała więcej czasu i ufności we własne siły, nie była taka zmęczona. To dziecko urodzi się w idealnej chwili dla wszystkich. Martha na pewno je pokocha - uwielbiała Baby Annabelle, sfatygowaną plastikową laleczkę, obowiązkowo zabieraną wszędzie z całym miniaturowym wyposażeniem. Na pewno cieszyłaby się nieprzytomnie z prawdziwego niemowlaka. A Gavin bardzo kochał dzieci. Wiedziała o tym. Niezależnie od tego, co dawały mu inne kobiety, tylko ona dała mu dzieci. To wyłącznie jej przywilej.

Gavin wbiegł do pokoju, zdarł z siebie sweter i rzucił się na nią.

- To wszystko, o czym marzy mężczyzna. Gorąca kobieta w ciepłym łóżku! Masz energię na jeszcze raz przed lunchem?

- Lepiej się pospiesz - obiecałeś mi koktajl w Harry's Bar. Spojrzał na nią z udawaną złością.

- Ja, droga pani Thomas, nigdy się nie spieszę. Zależy mi i na ilości, i na jakości.

- No cóż... - całował ją w ucho, tak jak lubiła najbardziej. - Niewykluczone, że Harry może zaczekać.

Gavin jęknął.

- Nawet na pewno.

Po południu tego samego dnia zadzwonili do dzieci, stojąc na placu Świętego Marka. Martha chciała dowiedzieć się wszystkiego o gołębiach, George - czy znudziło im się oglądanie kościołów, a William - czy kupili mu prezent i czy mogą z bratem obejrzeć *Buffy postrach wampirów* przed pójściem spać.

- Nie, jeszcze nie kupiliśmy. I nie, nie możecie, ty mały diabełku. No dobrze, przez dziesięć minut. Ale potem prosto do łóżka. Obiecujesz? - Gavin roześmiał się. - Ja też was kocham. Ogromne buziaki dla każdego. Do zobaczenia w niedzielę. Pa, pa.

- Myślisz, że są szczęśliwi? - zapytała Nicole, kiedy objął ją ramieniem i poszli dalej.

- Tak, kwoczek. - Pocałował ją w policzek. - Jesteś wspaniałą mamą, wiesz o tym?

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek jej to powiedział. Skrzyżowała palce schowanej w kieszeni ręki, po raz kolejny powtarzając w kółko życzenie. Żeby tylko była w ciąży. Proszę.

Harriet i Tim

Harriet starała się to ukryć, chociaż i tak w końcu musiał zauważyć. Najczęściej brał prysznic, ubierał się i wychodził, kiedy jeszcze leżała oparta o poduszki, popijając herbatę, którą robił dla niej i dla dzieci. Chloe, ranny ptaszek, zawsze zrywała się pierwsza, potem poranny gwar budził Joshuę, i oboje zakradali się do sypialni rodziców, żeby razem oglądać kreskówki. Tego ranka było inaczej. Tim przed południem umówił się z księgowym w jakiejś sprawie związanej z emeryturami, mógł więc dłużej zostać w domu i odwiedzić Josha do szkoły. Harriet naturalnie o tym nie pamiętała.

Kiedy sobie przypominała, poczuła irytację, jak zawsze. Z łazienki dobiegało mruczenie porannej audycji radiowej, poważne dźwięki kłóciły się z głosami rysunkowych zwierzątek. Nawet drugi kubek z herbatą na szafce przy łóżku działał jej na nerwy; Tim na ogół kupował w pośpiechu kawę na stacji. Prawdę mówiąc, wołała, kiedy nie było go w pobliżu. Chętnie zajmowała się praniem i czyszczeniem ubrań, zanoszeniem butów do szewca, dokumentami, a nawet odbieraniem wiadomości telefonicznych w ciągu dnia. Po prostu nie mogła znieść jego fizycznej obecności w domu. Biedak. To straszne, ale nic nie mogła na to poradzić. A teraz w końcu wszystko zrozumie. Przez sześć kolejnych nocy kładła się spać w majtkach, co ostatnio zresztą nie było niczym wyjątkowym, więc nic nie zauważył.

Obecność tatusia w domu o tej porze podekscytowała Chloe i oderwała ją od telewizora. Dziewczynka zasiadła na szerokim parapecie okiennym i obserwowała, jak ojciec się goli, a teraz „pomagała mu” w ubieraniu się, upierając się z całym zapalem czterolatki, że różowy krawat pasuje najlepiej. Urosła jej grzywka i wcześniej rano, zanim splątane włosy zostały rozczesane i spięte gumką, musiała przechylać głowę do tyłu, żeby w ogóle coś zobaczyć. Tim znikł, wrócił po chwili z opaską do włosów, kucnął i delikatnie założył ją córce na głowę, całując ją przelotnie w nos. Potem objął ją swoim niedźwiedzim uściskiem.

- To co będziesz dzisiaj robić? - zapytał Harriet.

- To samo, co zawsze - mruknęła gburowato. - Odwożę dwoje dzieci do szkoły, potem lekcja baletu, zakupy, ach tak - jeszcze pranie, około pięciu razy, tak dla rozrywki.

Tim spojrział, jakby otrzymał policzek. Harriet jasno dawała mu do zrozumienia, że wszystkie domowe obowiązki to wyłącznie jego wina. Był wystarczająco mądry, aby nie sugerować przyjęcia kogoś do pomocy - Harriet nie zależało na rozwiązaniach. A przecież chętnie zatrudniłby całą armię, byle tylko jej

ulżyć. Gdyby mogło to przywrócić mu zabawną, pełną niespożytego humoru dziewczynę, z którą się kiedyś ożenił. Obawiał się - nie, właściwie wiedział na pewno - że zajmowanie się domem, opieka nad dziećmi i inne sprawy, na które się skarżyła, wcale jej nie przeszkadzają. Wolał nie zastanawiać się, co naprawdę chciałaby zmienić. Zamiast tego odpowiedział na milczące oskarżenie:

- Przykro mi, kochanie. Powinienem pamiętać. Odwrócił się do Chloe. - Masz dzisiaj balet, kotku?

Włóżysz różową czy niebieską sukienkę?

- Różową. Różową. Różową. - Chloe zakręciła pirueta, typową odpowiedź na każde pytanie.

- A ty, Josh? Trening po szkole?

Josh odparł, nie odrywając wzroku od telewizora:

- Tak. Pan Cuthbert mówi, że może w tym tygodniu będę mógł grać w pomocy.

- Super. Doskonale się składa, że przeciwczyliśmy to ostatnio w parku. Musisz mu pokazać, na co cię stać.

- Jasne. Dzięki, tato - uśmiechnął się Josh.

Tim odwrócił się, aby spojrzeć na Harriet idącą do łazienki. Uwielbiał obserwować jej chód. Dodatkowe funty czyniły ją jeszcze ponętniejszą, gdy kołysała pupą. Zawsze tak było.

Chloe miała tę samą figurę co matka, tylko w miniaturze. Podobało mu się to. Pupa Chloe dowodziła, że jest córką Harriet. Tim z przyjemnością dostrzegał w dzieciach samego siebie - cechy genetyczne, które raz na zawsze potwierdzały, że jest ich ojcem. Harriet jednak nie lubiła, kiedy ją obserwował. Już nie. Czasami sprawiała, że czuł się trochę jak zboczeniec.

- Masz fioła na punkcie seksu, ot co. - Mówiła to za każdym razem, kiedy usiłował doprowadzić do zbliżenia. Albo: - Ty chyba żartujesz. Po takim dniu? - Czasami ustępowała, ale zachowywała się tak, jakby nie sprawiało jej to prawdziwej przyjemności. Zawsze kazała mu gasić światła, twierdząc, że nie chce, aby widział wszystkie trzęsące się fałdy. Tim podejrzewał, że może nie chce, aby widział jej oczy. Kiedyś, kiedy się kochali, przeciągnął czule dłonią po jej twarzy i wyczuł, że z całej siły zacisnęła powieki.

Potem zauważył tatuaż. Na lewym pośladku, u dołu, gdzie zwykle zaczynała się bielizna. W miejscu, w którym zeszłego lata kończył się jej kostium kąpielowy, widniała jeszcze słaba jasna linia. Malutki, śliczny motylek, o czarnych konturach i błękitno-zielonych skrzydełkach. Był całkiem dobrze zagojony - musiała go zrobić ponad tydzień temu.

Nagle Tim poczuł mdłości. Zobaczył, że Harriet mu się przygląda. Zadarła wyzywająco podbródek, ale głos jej drżał, kiedy oznajmiła:

- Zrobiłam sobie w zeszłym tygodniu u pewnego faceta w Kingston. Koleżanka mi go poleciła. Czyste igły i tak dalej - te miejsca bardzo się zmieniły. Kontrola rządu i w ogóle. Tatuaże są bardzo popularne, wszyscy je sobie robią.

Właściwie najpierw wcale nie chciała tatuażu. Myślała raczej o kolczyku w pępku - uważała, że są bajeczne. Ale chwila uczciwego wpatrywania się w lustro przekonała ją, że biżuteria w jej pępku, dziwacznie porozciągany przez ciążę, otoczony srebrzystymi rozstępami i wgłębieniami, byłaby po pierwsze

niedostrzegalna, a po drugie nieestetyczna. Więc zdecydowała się na tatuaż, motylka. Czyż sama nie przypomina motyla - wydostając się z poczwarki, rozwijając swoje piękne skrzydła? Tak naprawdę był to najładniejszy wzór w katalogu. Nawet Harriet uznała, że diabełek jest zbyt prostacki. Nie chciała też żadnych fałszywych celtyckich czy orientalnych symboli, które miały oznaczać „miłość i wieczny pokój”, lecz równie dobrze mogły znaczyć „pocałuj mnie gdzieś”. Gołąbek był słodki, lecz dodatkowy funt z łatwością przemieniłby go w albatrosa albo pelikana. Problem rozwiązywało umieszczenie go na kostce lub ramieniu, ale nie mogła sobie wyobrazić, jak zakłada nogę na nogę u swoich rodziców albo siedzi w bluzce bez ramiączek na jednym z nadętych przyjęć charytatywnych Nicole. Pozostawały pośladki. Była bardzo zadowolona - dzięki temu czuła się niegrzeczna i silna - chociaż diabelnie bolało i na skali upokorzeń równało się pobieraniu wymazu z szyjki macicy. Chociaż wymazu nigdy nie pobierał jej wybitnie przystojny facet o wąskich biodrach imieniem Troy. Troy, artysta tatuażu, miał na sobie bardzo obcisły podkoszulek, obwieszający, że „nie zabawia się z innymi”, w co Harriet nie uwierzyła ani przez chwilę, i określił jej pośladki jako „wspaniałe płótno dla malarza”. To chyba najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała na temat swojej pupy.

Było warto. Chociaż patrząc na wyraz twarzy Tima, czuła się mniej jak jedna ze Spice Girls, a bardziej jak Dalila. Nie będzie jednak o tym myśleć. To w końcu była jej pupa i mogła na niej rysować, kiedy i co tylko chciała. W końcu to nic nie znaczyło?

Czy musiał nad nią stać ze zranionym spojrzeniem? Tim otrząsnął się, zerkając na dzieci, zaabsorbowane Naomi, Królową Origami.

- Bardzo ładne. - Podeszedł bliżej i schylił się. Harriet zmusiła się, żeby stać spokojnie. - Nawet mi się podoba. Pasuje do ciebie.

To było największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek jej powiedział.

Przez cały dzień, w trakcie spotkania w Baker Tilly, w przedziale pierwszej klasy, nad stronicami „Timesa”, w czasie statecznego lunchu w Corney i Barrow, naprzeciw monitora komputera, a nawet na tle rodzinnego zdjęcia na biurku, symbolu bezpieczeństwa, miał przed oczami uśmiechniętego drwiąco malutkiego motylka.

Harriet i Nick

Cieężko było przytrzymywać przy uchu telefon komórkowy za pomocą ramienia. Na zeszłoroczną Gwiazdkę Tim podarował jej zestaw głośnomówiący, żeby mogła „gadać z Nicole osiemnaście godzin dziennie zamiast szesnastu”. Zawsze rozmawiała w samochodzie, odwożąc dzieci do szkoły, i uznała, że pewnie Tim martwi się o ich bezpieczeństwo. Nie używała jednak swojego zestawu. Ludzie mówiący do siebie na ulicy przypominali jej kandydatów do wariatkova. Albo poświęcone karierze modliszki, zajęte rozmową z Wall Street. Oczywiście jej nikt nie pomyliłby z kobietą sukcesu, modliszką czy też nie, w płaszczu deszczowym z tłustym śladem rąk z jednej strony i czymś na ramieniu, co, niestety, wyglądało na gile. Młoda, udęczona matka w każdym calu.

Mimo że nie znajdowała się aktualnie w dziale mleczarskim supermarketu, lecz przy stoiskach z bielizną u Johna Lewisa, i szukała czegoś, co zatrze wrażenie płaszcza od deszczu. Nic z tych rozsądnych, miękkich, elastycznych rzeczy w tak zwanym „cielistym” kolorze, ani wielkich majtek, które podobno nie wystają nad pasek od spodni. Raczej coś markowego, o nazwie sugerującej seks - Appassionata, Silhouette, Fantasie, Rigby i Peller. No, może sama nazwa „Peller” nie przywołała na myśl seksu, ale majtki owszem, i to jeszcze jak. Ta konkretna para składała się z trzech kawałków koronki zszytych ze sobą i była w sam raz dla panienki z agencji towarzyskiej. O coś podobnego jej chodziło.

Podczas tych niemoralnych zakupów Harriet rozmawiała jednocześnie z Nickiem. Dialog ten odtworzyła później sama przed sobą, ponieważ intuicyjnie wiedziała, że pod żadnym pozorem nie powinna wtajemniczać Nicole w swoje przeżycia.

- Mmm - mówił Nick, tonem nieprzypominającym w niczym Johna Inmana. - Chcę usłyszeć coś więcej.

- Czarne?

- Mogą być czarne. Czarne i małe.

- Koronkowe.

- Mogą być koronkowe. Jeszcze lepiej zupełnie przezroczyste.

Był to zupełnie nowy świat. Chłopcy, z którymi spotykała się przed Timem, nie zwracali większej uwagi na bieliznę, ponieważ zazwyczaj zbyt się spieszyli, żeby ją z niej zdjąć. Poza jednym, który najwyraźniej obejrzał za wiele filmów z Sharon Stone i nalegał, aby zaczynała wieczór bez niczego pod spodem. Ach, i jeszcze ten, który prawdopodobnie także pod wpływem srebrnego ekranu zdarł z niej parę majtek. Ponieważ były całkiem nowe i dosyć drogie, poczuła się bardziej zirytowana niż podniecona. Charlie nie miał nic przeciwko odrobinie elegancji, ale równie dobrze mógł rzucić się na nią spocony po meczu hokeja. Tim zawsze lubił ją nago. Albo w białej bawełnie. Ale najlepiej nago. Nick najwyraźniej miał nieco inne upodobania. Harriet odnosiła wrażenie, że podobałby mu się biustonosz z odkrytymi sutkami, ale nie chciała posunąć się tak daleko. Bez przesady.

- Cicho bądź, zbereźniku. - Harriet zauważyła, że drobna ekspedientka przygląda jej się z niesmakiem. - Po co dzwonisz?

- Sama wiesz. Faktycznie, wiedziała.

- Już ci powiedziałam. Nic z tego.

- Usłyszałem słowa, ale nie wierzę w ani jedno. Tęsknota w twoim głosie mówi mi tak.

- Jesteś aroganckim draniem. Wiesz o tym?

- Oczywiście. Przypomnij mi, właściwie czemu nie?

- Nie mogę z tobą wyjechać. Jestem mężatką. Z dziećmi. I mam własne życie.

- Wspaniale! Mąż może zająć się dziećmi podczas twojej nieobecności. Twoje życie nie jest chyba zbyt ciekawe, skoro spotykasz się ze mną od tyłu tygodni.

- Spotykać się z tobą to jedno. Wyjazd na weekend to coś innego. - I rzeczywiście tak było. Na razie żartowali, całowali się, a ostatnio doszło do czegoś, co można określić mianem pieszczot. Weekend jednak oznaczał łóżko i seks. Straszne i podniecające... straszne i... podniecające.

- Właśnie dlatego chcę to zrobić. Daj spokój Hats, przecież masz ochotę.

Jego ton chłopca z City ani razu nie zazgrzytał fałszywie. Prawie przekonał Harriet.

- Znam cię. Pamiętam, jaka jesteś... pomysłowa. Dasz radę.

Naturalnie nie znał jej zbyt dobrze. Na tym polegał problem. Nigdy także nie uważała się za specjalnie pomysłową i nie była pewna, do jakich studenckich eskapad teraz nawiązuje. Ale mogła to przeprowadzić. Obmyśliła wszystko dawno temu. W Norfolk mieszkała jej koleżanka, Sally, która od wieków namawiała ją na przyjazd. Nie chcieli nigdy na to przystać, ponieważ dzieci Sally były dużo starsze od Josha i Chloe. I dosyć niesympatyczne. I ponieważ Sally miała meble w kremowym kolorze. A Tim nie cierpiał jej męża Iana, pompatycznego durnia zajmującego się handlem nieruchomościami, którego pierwsze zdanie w rozmowie nieodmiennie brzmiało: „To ile warta jest twoja chata?”. Mogła powiedzieć Timowi, że w końcu uległa Sally i umówiła się z nią gdzieś, może na farmie piękności. Tim z pewnością nie zadzwoni do Iana, żeby to sprawdzić. A dzięki telefonom komórkowym nie trzeba już dawać numerów kontaktowych - zawsze jest się u siebie. O tak, przemyślała to sobie.

- Czemu miałabym pojechać?

- Chcesz się przekonać, jak będzie. Masz dosyć całowania się ze mną po bramach. Marzysz, żeby pokazać mi tego motylka, o którym opowiadałaś. - I ostateczny cios. - Bo boisz się, że życie przechodzi ci koło nosa i od lat nie podjęłaś żadnego ryzyka. Jesteś znudzona. Ach, no i naturalnie dlatego, że jestem taki jurny.

Harriet musiała się roześmiać. Arogancki, ale rzeczowy.

- Zobaczą, co da się zrobić.

I rozłączyła się. Uważała, że to było raczej cool.

Polly i Jack

Jack zostawił wiadomość na sekretarce.

- Kochanie, nie mam czasu. Czy dasz radę dotrzeć sama do restauracji? Zabierz ze sobą książkę, którą właśnie czytacie, bo mogę się spóźnić pięć minut. Dopiero teraz wyszedłem ze spotkania, a mam do zrobienia coś pilnego. Zobaczymy się na miejscu. Bardzo na to czekam. Pa.

Polly nawet się ucieszyła. To będzie prawdziwa randka. Przeglądając się w lustrze w przedpokoju, dotknęła włosów. Musi zaraz doprowadzić się do porządku. A tego wieczoru tak bardzo chciała ślicznie wyglądać.

Od lutego nie byli razem na kolacji. Oczywiście umawiali się z innymi parami albo wychodzili na przyjęcia. Zjedli ponury lunch u Susan, z jej siostrą o kwaśnej minie, obejrzelili kilka głośnych i bezmyślnych filmów z Danem, ale od wieków nie byli na prawdziwej randce. Polly uważała obecność Jacka za

coś oczywistego. Paradoksalnie prowadzili życie młodej pary, uwięzionej w problemach wieku średniego, borykającej się z dorastającymi dziećmi jeszcze przed ślubem. Jej dorastającymi dziećmi. On nie podrzucił jej żadnego bagażu emocjonalnego, to było jednostronne. Radości nowoczesnej rodziny.

W czasie weekendu przeczytała w gazecie wywiad z zadowoloną z siebie gwiazdką telewizyjną, opowiadającą o swoim drugim małżeństwie i o wprowadzaniu dzieci w nowy związek. „Od początku wiedział, co na siebie bierze - mówiła. - To była sprzedaż wiązana”. Nowy mąż pospieszył z uwagą: „To nie było trudne. Pokochałem chłopców praktycznie od pierwszego wejrzenia”. Cóż, obrazek z idealnego życia w krainie telewizji. Dla zwykłych ludzi połączenie dwóch rodzin to zdecydowanie ciężki orzech do zgryzienia. Istnieją przecież różne rodzaje miłości: nigdy nie kocha się cudzego dziecka z tym biologicznym zapalem, jak swoje własne. Jeśli nie masz dzieci, jak ten pan z telewizji albo Jack, nie zrozumiesz tego. W najlepszym wypadku można liczyć na to, że druga strona pokocha pasierbów. To łatwe, jeśli mamy do czynienia z sobowtórem Marka Lestera z *Olivera*, ale dużo trudniejsze w przypadku pryszczatego wyrostka, a jeszcze trudniejsze - ślicznej młodej kobiety. Ślicznej ciężarnej młodej kobiety.

Ostatnio odpychała go trochę, wiedziała o tym. Częściowo dlatego, że przywykła radzić sobie w pojedynkę, co stało się jeśli nie odruchem, to punktem honoru. A częściowo, bo tak bardzo chciała ochronić Cressidę. Wydawało jej się także, że Jack nie całkiem pojmuje jej uczucia. Oczywiście próbował, bohaterko zajmował się Danielem - wożąc go na treningi piłki nożnej i niedzielne mecze. Do Cressidy odnosił się delikatnie i z czułością, nie starając się poruszać trudnych tematów. To z powodu Cressidy między Jackiem a Polly pojawiały się napięcia. Jack przez cały czas powtarzał, rozpoczynając tymi słowami każdą wypowiedź, że nie będąc ojcem Cressidy, nie do końca rozumie, co ona czuje. Potem powiedział Polly kilka obiektywnych, bezstronnych prawd, tak jak to, że nie ma prawa poinformować Joego ani jego matki. Szczerze mówiąc, rozgniewało ją to. Nie zawsze chciała słuchać głosu rozsądku. Czasami zwyczajnie potrzebowała wsparcia i pocieszenia. Mężczyźni pragnęli znajdować rozwiązania, naprawiać zepsute rzeczy. Jack wiedział, że jest silna, i zapewne uważał, że pocieszenie zabrzmiało protekcyjnie. Polly nie starczało energii, aby wytłumaczyć mu swoje potrzeby, ale miała pretensję, że nie zaspokaja ich automatycznie.

Nadal uważała, że jest fantastyczny. Najlepszy facet, jakiego w życiu spotkała. Reakcja Dana na położenie Cressidy ukazała Jacka w jeszcze wspanialszym świetle. Pewnego wieczoru Polly powiedziała mu, spełniając prośbę Cressidy, która twierdziła, że nie boi się, co Dan powie, lecz czuje się zażenowana.

Pierwszą odpowiedzią było wymachiwanie rękami i przekleństwa. Tina musiała go uspokajać za pomocą głaskania i delikatnych pomrukiwań. Polly obserwowała ich z pewną fascynacją - nadal oszałamiało ją, jak jeden mężczyzna mógł poślubić dwie tak zupełnie różne od siebie kobiety. Teraz dopiero jasno zrozumiała, że to właśnie Tiny zawsze potrzebował. Nic dziwnego, że ich małżeństwo się rozpadło. Nigdy nie mieli najmniejszej szansy!

Kiedy doszedł do siebie, Polly przejęła rolę Cressidy i powtórzyła wszystkie jej dotychczasowe argumenty. Potem Dan oświadczył, że Cressida powinna usunąć ciążę. Nie może urodzić dziecka. A co ze studiami? Czy Joe nie ma nic do powiedzenia? Obrona stanowiska Cressidy okazała się pożytecznym do-

świadczaniem: wszystko nabierało sensu, kiedy mówiła to na głos. Dan jak zawsze uciekł w uzalanie się nad sobą. Czemu Cressida nie przysłała i nie powiedziała mu sama? Przecież jest dobrym ojcem, czy nie tak? Zawsze się nią opiekował. W tym momencie wmieszała się Tina.

- Daj spokój, Dan, wyobraź sobie, jakie to dla niej trudne. Pewnie domyślała się, że stracisz głowę. Wiedziała, że cię to zrani, zmartwi. Myślę, że postąpiła słusznie, przysyłając Polly. To daje ci szansę, żebyś się uspokoił, zanim się spotkacie. Później zobaczysz wszystko w innej perspektywie. Minie pierwszy szok.

To chyba najdłuższa przemowa, jaką Tina wygłosiła kiedykolwiek. Polly była jej za to wdzięczna.

Jack nawet posunął się do tego, że sam powiadomił Danny'ego. Rzecz jasna, poprosiły go o to. Mały nigdy by się sam nie domyślił. Chwilowo uważał te sprawy za absolutnie obrzydliwe. Cięża Cressidy była nieodpartym dowodem na to, że siostra uprawiała seks. Nie dość, że Jack i mama to robili, to jeszcze Cressida? To za wiele. Uznali więc, że powinien usłyszeć o tym od Jacka. I najwyraźniej tak rzeczywiście było lepiej. Pewnego ranka, po tym jak Jack odebrał go z treningu, Danny wszedł do kuchni, głośno przełknął ślinę na widok siostry, a potem, po drodze do lodówki, obdarzył ją na poły uściskiem, a na poły ciosem boksem, na sekundę chowając twarz w jej szyi.

- Wszystko w porządku, brzydal? - zapytał i opróżnił jednym haustem butelkę mleka.

Kiedy później dzieci udały się na górę, każde do swojej jaskini, Jack uśmiechnął się do Polly.

- To było piękne, nie sądzisz?

- Tak, do zdjęć. - Polly odpowiedziała mu uśmiechem.

- On chyba myślał, że to ty jesteś w ciąży. Z ulgą przyjął wiadomość, że to jednak Cressida. Sądzę, że siostrzeniec lub siostrzenica wydają się cokolwiek łatwiejsi do zniesienia niż rodzeństwo.

Objęta go w pasie.

- Dzięki.

- Wszystko wliczone w cenę.

Był w tym świetny. Sprawiał, że czuła się bezpiecznie, czuła się częścią zespołu, tak jakby nie była sama odpowiedzialna za każdą najdrobniejszą rzecz.

W restauracji zamówiła dzin z tonikiem i wodę gazowaną i zasiadła do czytania kolejnych kilku stron *Gupików na podwieczorek*, ich ostatniej lektury. To była przepięknie napisana powieść - Polly z trudem mogła uwierzyć, że autorka, Marika Cobbold, tak dobrze pisze w swoim drugim języku - ale niezbyt pogodna. W każdym razie nie dla kogoś spoglądającego w otchłań starości, a zwłaszcza, uznała, nie dla Susan. Zastanawiała się, czy nie jest to nietaktowny wybór - Clare zasugerowała książkę kilka miesięcy temu, po rozmowie z kimś w szpitalu, i dopiero teraz przysłała na nią kolej. Susan była obecna na spotkaniu i nie wzdrygnęła się z niechęcią, ale z drugiej strony, myślała Polly, z pewnością nie pokazałaby nic po sobie. Susan to twardziel, człowiek czynu i stoik. Prawdopodobnie tylko Roger miał pełen ogląd sytuacji, choć ona sama również widziała więcej niż inni. Susan nie wspominała ostatnio zbyt często o Alice. Mar-

garet wyjechała kilka tygodni wcześniej. Zawsze udawało jej się skierować rozmowę na temat Cressidy i dziecka. Kiedy Polly starała się powrócić do Alice, Susan smutniała.

- Jest tyle tematów do rozmowy. Cressida przynajmniej ma jakiś wybór. Mama nie ma żadnego, tak jak my. Co można powiedzieć? - Wzruszała ramionami z nieobecnym wzrokiem.

Polly jeden raz pojechała z przyjaciółką do tego miejsca. Susan odwiedzała Alice codziennie, czasami po kilka razy. Dom nie wydawał się taki okropny - lepszy w każdym razie, niż chciała go widzieć Margaret. Czysty, z ładnymi reprodukcjami na ścianach i jedwabnymi kwiatami w bawialni.

Przyjechały w porze lunchu. Widok nie był miły - dziesiątki starych ludzi siedziały w milczeniu, siorbiąc zupę. Jakaś biedaczka opłakiwała Colina. Pacjenci prywatni siedzieli przy stole nakrytym obrusem. Absurdalne. Tak jakby wiek I choroby nie zrównały wszystkich.

Ona, Polly, widziała wszystko obiektywnie. Nowa, nieprzytomna Alice o pustych oczach była matką Susan, i to było straszne.

Oderwały ją od nieapetycznie wyglądającego talerza z nieokreśloną papką w sosie i zaprowadziły z powrotem do pokoju. Polly przeszła przez wszystkie etapy wizyty, zagadując nierozumiejącą niczego Alice i opowiadając jej o Cressidzie, Danielu i Jacku. Nie wspomniała o dziecku, ale opowiedziała o swoim ślubie.

- Wychodzisz za mąż? - zapytała Alice z niedowierzaniem, spoglądając na Polly, a potem ze zdumieniem na Susan.

Obie się zaśmiały.

- Chyba przyjęcie tej informacji okazało się dla mamy najtrudniejsze - parsknęła Susan.

- Czekaj, co w tym zabawnego? W końcu, na Boga, mam dopiero czterdzieści cztery lata.

Alice uśmiechnęła się do nich serdecznie, jakby były nastolatkami plotkującymi o chłopakach.

- Wy młodzi! Lepiej w takim razie zaczniecie oszczędzać. Strasznie zawsze się spieszyście.

Znowu zachichotały.

- Gdyby nasze dzieci mogły to usłyszeć! - powiedziała Susan. Podczas rozmowy delikatnie czesała włosy Alice. Matka siedziała spokojnie, z zamkniętymi oczami, ciesząc się dotykiem.

Później poszły do samochodu, trzymając się pod rękę, mijając po drodze wypielegnowane rabatki. Chichot, jak często się zdarza, przeszedł w zduszony szloch.

- Dzięki, że przyszaś, Poll. To cudowne z twojej strony. Jesteś dobra w takich sytuacjach. Aż do dzisiaj ani razu nie widziałam jej uśmiechniętej.

- Nie ma za co. Jestem na twoje usługi. Szczerze. - Polly wzięła głęboki oddech. - Suze?

- Tak?

- Kilka dni temu rozmawialiśmy z Rogerem. On się martwi o ciebie. Uważa, że za dużo na siebie bierzesz i jesteś wyczerpana.

Susan zeszywniała, ale nie cofnęła ręki.

- Polly, to moja mama.

- Wiem, wiem. Naprawdę, Roger też wie. Po prostu... - to nie było łatwe - skoro ona nie rozumie już tak dobrze upływu czasu i nie wie, czy byłaś u niej, czy nie, dlaczego musisz to znosić tak często? Nie możesz trochę odetchnąć?

Tym razem Susan cofnęła ramię.

- To moja matka, Poll. - Znowu. - Nie zdajesz sobie sprawy, że jeżdżę tam dla niej?

Jack zawsze był hałaśliwy, więc Polly rozpoznała go w chwili, w której otworzyły się drzwi. Głośne przeprosiny dla osoby, którą potrącił, pytanie o nią, tak mi przykro, że się spóźniłem, coś mi wypadło, i już był obok, lekko lśniący od potu, z teczką w rękę, marynarką przewieszoną przez ramię i zbędnym parasolem - kompletny uniform pracownika dużej korporacji.

Przystojny mężczyzna z szeroką, uśmiechniętą twarzą. Polly poczuła przypływ dumy.

- Witaj, kochanie. Przepraszam za spóźnienie. Dostałaś moją wiadomość?

- Tak, jasne. Czytałam sobie.

- Świetnie. Dobrze?

- Cóż, szczerze mówiąc, myślałam o Susan i Alice. To tego typu książka.

- Ach tak - Jack wykrzywił się. - Coś ciężkiego?

- Odrobinę.

Jack odebrał jej książkę, założył stronę wizytówką restauracji, zatrzasnął i wsunął do otwartej torebki na podłodze.

- W takim razie dosyć. Dzisiejszy wieczór, przyszła pani Summers, ma być pozbawiony wszelkich nieszczęść. Nareszcie mam cię tylko dla siebie i zakazuję wszelkich rozważań o Cressidzie i Danielu, a także Susan i Alice, chociaż bardzo ich kochamy. Marzę o niefrasobliwym, uroczym i nie do końca trzeźwym posiłku z moją przepiękną oraz niezwykle pociągającą narzeczoną. - W jego ustach to staroświeckie słowo zabrzmiało z odpowiednią powagą. Jak miała go nie kochać? Zaslugiwał na to. Ucałował jej dłoń z teatralnym gestem.

Pojawił się kelner.

- Co do picia, proszę pana? Polly uniosła szklankę.

- Ja zaczęłam od dżinu.

- Do diabła z tym specyfikiem. Nie pozwolę, abyś mi się rozszłochała nad deserem. Poprosimy butelkę szampana i dwa kieliszki. - Oddał jej drinka kelnerowi. - A to może pan zabrać.

- Tak jest - kelner uśmiechnął się, najwyraźniej rozbawiony stylem Jacka.

Jack sięgnął do teczki.

- Przyniosłem coś dla rozrywki.

Polly parsknęła śmiechem. W rękę trzymał stary, zaczytany egzemplarz „Twojego Ślubu”, który najwyraźniej zwędził z jakiejś poczekalni.

Trzy godziny i dwie butelki później, wśród nieopanowanych chichotów, kiedy Jack zabronił jej włożyć co najmniej trzy czwarte reklamowanych strojów, lecz zaznaczył długopisem swoją ulubioną bieli-

znę; po zażartej dyskusji na temat miesiąca miodowego i uzgodnieniu, że istotnie wyglądałby jak idiota w sztuczkowych spodniach i cylindrze, doszli do daty. Obserwował jej twarz, kiedy w myślach dokonywała obliczeń, i podniósł dłoń władczy gestem.

- Cóż, większość rzeczy ty i twoje koleżanki będziecie miały pod kontrolą. Jednak tę decyzję, podobnie jak wybór wina, chciałbym zachować dla siebie. - Sam już wszystko obliczył.

- Zawsze marzyłem o zimowej pannie młodej. Jak myślisz? Nigdy nie kochała go bardziej.

Susan i Mary

Rzymskie rolety były bardzo nudne. Wymagały starannego szycia i jardów. Nie przynosiły także zbyt wiele pieniędzy. Na zasłony z kolei zużywały więcej materiału, który kupowały w hurtowni i sprzedawały z niewielkim zyskiem - chyba że Susan polubiła klientkę, która nie mogła pozwolić sobie na wymarzoną rzecz. Czasami miło było obserwować zachwyty na twarzach, kiedy proponowała obniżkę. Materiałowy Święty Mikołaj.

Susan najbardziej lubiła upinać zasłony, całe jardy miękkiej tkaniny. Oczywiście nie miała ich w domu - tylko zbierały kurz! Z wyglądu najbardziej podobały jej się rolety - schludne i proste, bardzo dekoracyjne, jeśli zostały wykonane z odpowiedniego materiału, może z jedną małą falbanką, jeśli pasowało to do wystroju.

Dziękowała Bogu za Mary, która lubiła robić rzymskie rolety. Dlatego między innymi była świetną towarzyszką pracy. Piekla także doskonałe ciasteczka owsiane, które przynosiła w każdy poniedziałek, i podzielała pasję Susan dla radia, które rozbrzmiewało w tle przez okrągły dzień, o wiele bardziej interesujące niż zwykłe plotki. Pracowały razem od ponad piętnastu lat. Sześć miesięcy wcześniej Susan zmusiła Mary, aby dała się zaprosić na lunch, kiedy zdała sobie sprawę, że właśnie przypada rocznica. Tego ranka obie zajmowały się tym, co wychodziło im najlepiej. Susan spędziła kilka godzin, pomagając żonie młodego, bogatego bankiera przeglądać ogromny wybór próbek kremowego lnu po sto funtów za jard i starając się uzgodnić, który odcień będzie idealny do wielkich georgiańskich okien w ich nowym domu. Kiedy żona bankiera wyszła, roztaczając wokół siebie chmurę chanel, z kilkunastoma próbkami, które zamierzała pokazać dekoratorowi wewnątrz, Mary kończyła zszywanie trzech nowych rolet do kuchni.

- Wspaniale! Wyglądają genialnie. Odwiozę je po południu, po drodze do matki. Rano Henry pójdzie założyć karnisze. - Henry był ich jedynym mężczyzną, księgowym, który rzucił swój zawód, gdy jego najmłodsze dziecko się usamodzielniało. Teraz instalował karnisze dla ich klientów, czasami doradzając przy okazji udręczonym gospodyniom domowym, jak płacić podatki za nianie i jak dać sobie radę z ubezpieczeniem. - Ustaliłaś cokolwiek z lady Bountiful? - Tak Susan i Mary nazywały między sobą dziewczynę, która przed chwilą odeszła. Już wcześniej zajmowały się dekorowaniem okien w nowych siedzibach rodowych, śmiejąc się po cichu z przesadnych planów i fałszywych akcentów ich właścicieli. Susan wyobrażała sobie, że ich klientka zapewne realizuje marzenia z dzieciństwa, spędzonego w kawalerce w Balham.

- Kto to może wiedzieć? Nie mam pojęcia, czemu po prostu nie przyprowadzi tego piekielnego dekoratora - oszczędziłybyśmy fortunę na próbkach, a i tak pewnie to on ma decydujące zdanie.

Domyślała się, że wrodzony gust lady Bountiful skłaniał się raczej w stronę jasnych sznurek i aksamitów niż modnych obecnie kolorów ziemi. „Płynne kolory”, jak nazywała je Mary.

- Masz ochotę na kawę? Wyjdźmy na dwór, jest tak pięknie, to pierwszy naprawdę ciepły dzień w tym roku.

Warsztat Susan należał do większej grupy zakładów, zajmujących dwie lub trzy ogromne stodoły wokół starej farmy. Obecny właściciel zachował jedną na studio, w którym w lecie prowadził kursy malowania akwarelą. Mary i Susan dzieliły pozostałe z zakładem meblarskim i z tapicerem. Stodoły znajdowały się na końcu stromej dróżki kilka mil od głównej drogi i roztaczał się z nich przepiękny widok na dolinę poniżej. Samo przebywanie tam uspokajało Susan.

Usiadły na zewnątrz, popijając kawę i jedząc kanapki. Słońce grzało je w kark.

- Clare prosiła, abym ci przekazała, że nie przyjdzie w tym tygodniu na spotkanie. Przeprasza, ale nie może.

- Szkoda. Będzie nam jej brakowało. Wiesz, naprawdę nie jest już tak zamknięta w sobie. Ma zupełnie inny punkt widzenia niż my i mówi masę ciekawych rzeczy. Mam nadzieję, że nie jest chora?

- Nie, nic z tych rzeczy - westchnęła Mary. - Właściwie mogę ci powiedzieć. Zostawiła Elliota. Kilka tygodni temu przeprowadziła się z powrotem do nas.

- Och, Mary, tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

- Cóż, znasz mnie - nie lubię o tych rzeczach za dużo rozmawiać. Mnie też się wydawało, że dobrze się bawi na waszych spotkaniach. Zawsze lubiła siedzieć z nosem w książce. Kiedy była małą dziewczynką, wypożyczałam jej z biblioteki po trzy, cztery naraz, tak szybko je połykała. *Drzewo na Brooklynie* to była jedna z jej ulubionych. I *Rebeka*. Uwielbiała ją.

No tak, Clare zaproponowała tę książkę.

- Była bardzo inteligentna jako dziecko, nauczyciele twierdzili, że może pójść na uniwersytet, gdyby tylko zechciała. Ale nigdy nie chciała. Od zawsze postanowiła, że będzie pielęgniarką, a potem położną. To - i Elliot - to było jedyne, czego pragnęła.

Obie wiedziały, że to nieprawda. Clare pragnęła o wiele więcej. Jakby przyznając to, Mary ciągnęła:

- Czasami czytam w gazetach historie o matkach, które urodziły dziecko swoim bezpłodnym córkom. Też bym to zrobiła, ale jestem za stara. Sami zbyt długo czekaliśmy na dziecko. Minęło wiele lat, zanim udało mi się zająć w ciążę. Zrobiłabym cokolwiek innego, gdybym mogła. Oboje zrobilibyśmy wszystko. Reg powiedział, że sprzedałby dom, aby opłacić kurację, gdyby tylko istniał cień nadziei, ale nie istnieje. W dzisiejszych czasach wydaje się, że lekarze i pieniądze rozwiążą każdy problem, lecz niektórzy ludzie po prostu nie mogą mieć własnych dzieci, a moja córeczka do nich należy.

Mary była z natury pełna rezerwy i Susan nie wiedziała, jak zareagować. W końcu zapytała:

- Czy myślisz, że oni wrócą do siebie? Nie ma kogoś trzeciego, prawda?

- Nie, nie sędzę. Nie ma nikogo na poważnie. - Mary obróciła się, żeby na nią spojrzeć. - Ten dom chyba jest nawiedzony. Prześladowają ich duchy tych wszystkich dzieci, które stracili, życia, którego pragnęli. - Otrząsnęła się, jakby powiedziała coś głupiego. - Wydawało mi się, że powinnam utrzymać ich razem za wszelką cenę. Myślałam, że z czasem uleczą się nawzajem, że nauczą się żyć bez dzieci. Byli tacy szczęśliwi, pamiętasz?

Susan pamiętała jak przez mgłę. Był taki dzień, dawno temu, kiedy nastoletni Elliot i Clare kręcili się po warsztacie. Wyszli na zewnątrz i gonili się, zaśmiewając. Elliot w końcu złapał ją i przytrzymał za ramiona, potem podciął jej nogi i przewrócił na ziemię. Upadli jednocześnie. Założył jej włosy za uszy i pocałował ją, trzymając dłonie na jej policzkach. Później Mary pokazywała fotografie ze ślubu, zdawało się, że są ich całe setki. Clare promieniała szczęściem, wpatrzona w męża.

- Tak, pamiętam.

- Wszystko się zmieniło. Teraz Clare będzie najlepiej w domu. Chcę, żeby była przy mnie. Chcę się nią zająć.

O to zawsze chodziło, przypuszczała Susan. Wiązą nas stalowe liny - Mary i Clare, mamę i mnie, Polly i Cressidę, Cressidę i jej nienarodzone dziecko. Harriet i Nicole z ich dziećmi. Mnie i moich cudownych chłopców. Clare nigdy tego nie dostanie. Mary wzruszyła ramionami.

- Cóż, nic nie poradzę. Wracam do pracy. Dzięki za kawę i za wysłuchanie.

- W porządku. Strasznie mi przykro, Mary. Pozdrów od nas Clare. Powiedz jej, żeby przyszła do klubu, kiedy tylko będzie mogła. Dam ci znać, jaką wybrałyśmy książkę na następny raz, i sama zadecyduje.

- Dzięki. Na pewno będzie jej miło.

Susan obserwowała Mary przez resztę popołudnia, lecz ta znowu się zamknęła, tak raptownie, jak wcześniej się otworzyła.

Cressida

Co za niesprawiedliwość. Cztery miesiące wcześniej, idąc do łazienki, modliła się, żeby zobaczyć krew. Teraz, gdy przeszła przez cały ten koszmar, USG, kłótnie z mamą, zerwanie z Joem, rozmowę z Elliotem, w końcu ostatecznie się zdecydowała, prawie przekonała wszystkich innych, znowu poczuła się dobrze. A teraz ta krew.

Co to mogło oznaczać? Do tej pory wszystko szło jak należy. Cressida czuła, że jest w ciąży. Jej piersi wydawały się ogromne, a spodnie biodrówki zaczęły trochę obcisnąć - z tych czarnych musiała już nawet zrezygnować. Zgęstniały jej włosy, znikły ostatnie pryszcze i bez przerwy siusiała. Wszystko jak w podręczniku. Czytała książkę, którą kupiła jej matka - *W oczekiwaniu na dziecko* - sentymentalnie wyglądający tom z ciężarną kobietą w sukience Laury Ashley na okładce, który okazał się kompendium wiedzy. Cressida sprawdzała swoje „objawy” co tydzień, oglądając rysunki płodu. Strony traktujące o porodzie

spięła wielką klamrą. Jeszcze nie teraz, wielkie dzięki. Dziecko było w środku, a potem wyjdzie na zewnątrz, to wszystko, co chciała wiedzieć na tym etapie. Położna w szpitalu powiedziała jej, że młode mamy najczęściej przechodzą to łatwiej. „Jakbyś wyłuskała groszek”, wyraziła się. Nie pocieszyło jej to szczególnie. W mieście z nowym zainteresowaniem przyglądała się młodym matkom. Zrobiły to i mogą nadal chodzić. Niektóre nawet nosiły spodnie biodrówki. Jak to możliwe?

Godzinami przeglądała się w lustrze w sypialni, obracając się na wszystkie strony, obserwując subtelne, lecz nieubłagane zmiany w ciele. Czasami wpychała pod bluzkę poduszkę i łapała się teatralnie za krzyż, starając się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać pod koniec dziewiątego miesiąca. Przepisała kilka numerów telefonów z tablicy informacyjnej na oddziale położniczym. Spodobał jej się zwłaszcza pomysł zajęć z jogi. To brzmiało jak supersposób przygotowania się do porodu. „Pływanie dla przyszłych mam” na miejscowym basenie także zapowiadało się nie najgorzej, jeśli pogodzi się z wizją defilowania na oczach roślących, młodych ratowników jak wieloryb z żyłakami.

I na tym polegał problem. Po podjęciu decyzji o urodzeniu dziecka wybiegała myślą daleko do przodu, do okresu niemowlęctwa i jeszcze dalej. Marzyła o najdzikszych rzeczach: jak to będzie, co będą robić razem, co będzie lubił, a czego nie. Cressida była przekonana, że to chłopiec. Jej wyobraźnia, nie wiedzieć czemu, zawsze wybierała kolor szaroniebieski. Ostatnio na zajęciach bazgrała na kartce męskie imiona.

Nie mogę teraz go stracić. Błagam. Podniosła się, zapięła spodnie, spuściła wodę i wyszła na korytarz.

- Mamo!

Polly zbliżyła się do schodów, zaniepokojona rozpaczliwym tonem.

- O co chodzi, kochanie?

Cressida zaczęła płakać.

- Mamo, ja krwawię.

- Poczekaj. - Polly wbiegła na górę po dwa stopnie.

- Spokojnie. Połóż się. - Zaprowadziła Cressidę do łóżka.

- Ile było krwi, kochanie? Tylko kropelka czy strużka? Boli cię? Dobrze się czujesz?

- Tylko kilka kropel. Nic mnie nie boli. - Cressida uchwyciła jej ramię z całej siły, poszarzała na twarzy. - Mamo, co to znaczy? Straciłam dziecko?

Polly podeszła do telefonu i zaczęła wykręcać numer.

- Oczywiście, że nie. Leż spokojnie i postaraj się opanować. Dzwonię po Rogera.

Kiedy w mieszkaniu Susan dzwonił telefon, Polly usiadła obok Cressidy. Niedzielne popołudnie. Boże, żeby tylko był w domu.

Był. Zareagował ze swoją zwykłą, kompetentną życzliwością.

- Położyłaś ją, prawda? Dobrze, zrób jej posłodzoną herbatę, dla siebie też. Przyjadę natychmiast. Nie martw się, Polly, to się często zdarza. Przypuszczalnie nic jej nie jest.

Cressida nie chciała, żeby Polly odeszła do kuchni.

- Nie idź, mamó. Zostań ze mną, proszę.

O wiele bardziej potrzebowały własnej obecności niż osłodzonej herbaty. Polly trzymała córkę w objęciach i gładziła ją po włosach, mrucząc, że wszystko będzie dobrze, że Roger już jedzie, że nie powinna się przejmować. Przez cały ten czas różne myśli przebiegały jej przez głowę. Cressida przecież nie mogła teraz poronić, nie po tym wszystkim. Lęk córki przeniósł się na nią. Nie to dziecko. Nie teraz. Nie wiedziała, o kogo bardziej się niepokoi, o dziecko, Cressidę czy o siebie. Mogła dać sobie radę z podrapanymi kolanami, mogła spróbować naprawić złamane serce. Ale utrata dziecka, którego się pragnęło - na to Polly nie czuła się przygotowana. To nie fair, żeby Cressida doświadczyła tragedii, której Polly sama nigdy nie przeszła. Jak by ją pocieszała, zrozumiała, pomogła?

Obserwować własne dziecko z oczami pełnymi przerażenia i nie umieć pomóc, to potworne. Na dźwięk dzwonka do drzwi Polly zerwała się i pobiegła na dół. Roger uśmiechnął się do niej uspokajająco i skierował prosto na górę.

- Leży w moim pokoju.

Susan, która przyszła razem z nim, już w holu wzięła przyjaciółkę w objęcia.

- Dzięki, że przyjechaliście tak szybko - powiedziała Polly.

- Nie bądź głupia. Zostawmy Rogera z nią na chwilę i chodźmy zaparzyć herbatę.

Polly spojrzała niepewnie na schody.

- To pewnie nic takiego - Susan, jako żona lekarza rodzinnego, miała masę doświadczenia. - Na tym etapie kobiety krwawią z wielu powodów. Najczęściej dziecku nic się nie dzieje. - Uśmiechnęła się do niej.
- Ani matce.

Roger wyjaśnił to w ten sam sposób. Zapisał Cressidę na USG w szpitalu następnego ranka, lecz była to zwykła ostrożność. Nie sądził, żeby istniał jakikolwiek powód do zmartwienia, ale najlepiej, aby Cressida została do końca dnia w łóżku i odpoczęła po przeżytym strachu.

Polly była zdumiona ogromem swojej ulgi. Kiedy Susan z Rogerem wyszli, Cressida zasnęła. Polly wiedziała, że pokładanie zbyt wielkiej ufności w lekarzach to dziecinada. Mimo to wierzyła w zapewnienia Rogera. Przez dłuższą chwilę siedziała, obserwując córkę, aż sama całkiem się uspokoiła. Ani razu podczas całego dnia nie przyszło jej do głowy, że byłoby najlepiej, gdyby Cressida straciła dziecko. Ani razu o tym nie pomyślała. Chciała, żeby je urodziła.

Elliot

Elliot nie mógł się skoncentrować. Ani na monitorze komputera. Ani na poważnej studentce, pytającej o możliwości wynajęcia mieszkania w pobliżu kampusu. Najwyraźniej nie skupił się także na goleniu. Zaciął się dwukrotnie i przyjechał do pracy z idiotycznymi kawałkami papieru toaletowego przyklejonymi do podbródka i szyi. Za każdym razem, kiedy spoglądał w lustro, pamiętał o tym, co się stało. Przez to czuł

się jak beżużyteczny głupiec. Cressida była w ciąży. Zamierzała urodzić dziecko. Jego dziecko. Będzie miał dziecko.

To czysty surrealizm. Reagował na tę wiadomość na tak wielu różnych poziomach, oczywistych i kompletnie oderwanych od rzeczywistości.

Wiedział, że to głupie, ale był wstrząśnięty. Podczas gdy seks z Clare zawsze miał na celu spłodzenie dziecka - przynajmniej w ostatnich latach - nigdy nie przyszło mu to do głowy, kiedy kochał się z Cressidą. Nie rozmawiali o antykoncepcji. Ze wstydem przyznawał, że nawet o tym nie pomyślał. Zakładał, że bierze pigułkę albo coś podobnego. Ciąża, dzieci, nie przyszły mu nawet do głowy. Seks między nimi był czysty. Dwoje ludzi, szaleńczo podobających się sobie nawzajem, dawało sobie przyjemność, sprawiało, że czuli się pożądani i potrzebni. Była w tym jakaś niezwykła swoboda, brak obciążenia detalami wspólnego życia, smutkiem czy rutyną. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bardzo cieszył się seksem. Ekscytowało go, że Cressida była dziewicą, i chciał dać jej jak najwięcej rozkoszy. Po pierwszym razie powiedziała mu, zawstydzona, że jest zadowolona, iż na niego czekała.

Teraz wzbierała w nim duma z własnej męskości. Nagle uświadomił sobie jasno, jak niezwykle zniechęcający wpływ miała na niego niemożność wypełnienia tej jednej prostej funkcji. Od dawna wiedzieli z Clare, że problem fizyczny leży po jej stronie. A jednak musiało to osłabić jego wizerunek jako mężczyzny. Jakby uważał - bez sensu zresztą - że jego plemniki powinny pokonać wszelkie przeszkody postawione przez organizm Clare. Wiedział, że to idiotyczne, przyznawał się do tego sam przed sobą, lecz bez wątplenia czuł się teraz jak prawdziwy samiec.

Nagle w ciemnym korytarzu jego mózgu, który zamknął dawno temu, pojawiło się światelko - Elliot jako ojciec. Kiedyś musiał odepchnąć te tęsknoty, aby pomóc Clare pogodzić się z faktem, że nigdy nie będzie matką. Na pytania odpowiadał:

- Nie tyle chodzi o mnie, ile o Clare. Wszystkie dziewczyny chcą mieć dzieci, prawda? Zaczyna się od lalek... To najgorsze dla Clare. Ja sobie poradzę.

Tak działo się przez wiele lat, aż właściwie sam w to uwierzył. Ale nie było to prawdą. Od chwili, kiedy się dowiedział, wyobrażał sobie sceny z domowego życia: jak układa dziecko na ramieniu, jak pulchne rączki ciągną go za włosy, łaskotanie do nieprzytomnych chichotów, kopanie piłki, usypianie. Oczywiście, że pragnął tego wszystkiego. Był zły na Clare, nie dlatego, że nie mogła mu tego dać - ani przez sekundę - ale za to, że nigdy nie przejmowała się jego bólem, tak jak on jej. Żyli w związku pozbawionym równowagi.

Musi jej powiedzieć. Nie uważał, że jest jej to winien, po prostu nie chciał, żeby usłyszała podobną wiadomość od rodziców czy kogokolwiek innego. Jednak jeszcze poczeka. Nie chce mieć przed oczami twarzy Clare po tym, jak się dowie. Pragnął widzieć swoją własną, nową twarz i Cressidę, taką piękną, kiedy go informowała o ciąży. Nie był w stanie wykrztusić wtedy ani słowa, zbyt wstrząśnięty, szczęśliwy i poruszony. Cressida obejmowała go - była w tym dobra - i nie pytała o nic.

Maj

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Gupiki na podwieczorek Marika Cobbold, 1996*

Amelia Lindsay to wyjątkowa młoda kobieta. Swój czas dzieli między babcię, którą kocha, matkę, którą toleruje z cierpliwym hartem ducha, i Geralda. Zakochali się w sobie dwa lata wcześniej, kiedy przechodził etap artystyczny, i ubłagał ją, żeby się do niego przeprowadziła. Obecnie znajduje się w zupełnie innej fazie i zaczyna przejawiać oznaki zniecierpliwienia.

Nagle okazuje się, że Selma, utalentowana i ukochana babcia, zestarzała się. Kiedy życie - i związek z Geraldem - zaczyna walić się w gruzy, Amelia postanawia, że jedyną osobą, która wyjdzie z tego bez szwanku, będzie Selma. Walcząc samotnie z domem opieki Cherryfield, ucieczką Geralda i obsesją matki, Amelia okazuje się zdolna do snucia skomplikowanych planów i nawiązywania nieoczekiwanych przyjaźni.

* M. Cobbold, *Gupiki na podwieczorek*, przeł. Joanna Tyczyńska, Warszawa 1996.

Harriet zostawiła otwarte drzwi, więc Polly weszła sama i skierowała się tam, skąd dobiegał śmiech. Podobał jej się cały dom Harriet, ale najbardziej lubiła kuchnię, z ogromnym stołem z surowego drewna (który zapewne był jednak czymś zabezpieczony, ponieważ nigdzie nie nosił śladów gumowych rękawiczek ani szczotki do szorowania), obowiązkową kuchenką (krzykliwie różową, ohydną zbrodnią przeciwko wystrojowi w stylu wiejskim, lecz bardzo w stylu Harriet) i wielką, amerykańską lodówką, pokrytą jaskrawymi dziecięcymi rysunkami. Z lampy nad stołem złowrogo zwisała meduza z kartonu i folii bąbelkowej. Całość, jak sama Harriet, sprawiała wrażenie swojskiego bałaganu i stwarzała niezwykle przytulną i krzepiącą atmosferę.

Nicole, w odróżnieniu od reszty odziana w nieskazitelną sukienkę z kremowego lnu, stała przy oknie balkonowym z kieliszkiem szprycera w ręku. Susan przykucnęła pogrążona w konwersacji z Chloe, podczas gdy Harriet uśmiechała się do córki z dumą i czułością. Chloe, z włosami wilgotnymi na końcach, olśniewająca w piżamie Barbie, z powagą pokazywała Susan paluszki lewej stopy. Ostatnio zauważyła, że trzeci z nich jest zawinięty pod drugim.

- Po prostu tak zostałam stworzona, prawda? - Susan zniżyła konspiracyjnie głos.

- Tak mnie Bozia stworzyła - odparła Chloe tryumfalnie.

Harriet wywróciła oczami.

- Obawiam się, że przechodzimy teraz okres pobożności. Chloe wiedziała, kiedy traktowano ją protekcjonalnie.

Stojąc z rękami na biodrach, z udawanym gniewem odwróciła się do matki.

- A właśnie, że tak, mamó. Tak mówili w szkole. Harriet skinęła głową.

- Na pewno, kochanie. Masz rację. Jeśli wypiałś sok, uciekaj do łóżka.

Ale Chloe odwróciła się znowu do Susan.

- Czy Bóg ma palce u stóp? Myślisz, że też są zagięte, tak jak moje?

- Chloe! Wystarczy. Rano spytasz swoją nauczycielkę, ona się świetnie na tym zna. - Harriet wyprowadziła ją z pokoju za ramiona. - Powiedz wszystkim dobranoc. Hej, Polly, wino jest na stole. Chloe?

- Dobranoc wszystkim.

Odpowiedziały chórem i Chloe znikła za drzwiami.

- Ona jest cudowna. - Susan odwróciła się do Polly, która nalewała sobie białego wina. - W porządku?

- Tak. Przepraszam za spóźnienie. Widzę, że nie jestem ostatnia - nie ma jeszcze Clare?

- Muszę wam coś powiedzieć.

Harriet wróciła do kuchni. Chloe wsunęła się szybko do łóżka i zasnęła w chwili, kiedy położyła głowę na poduszce.

- Co takiego?

- Clare nie przyjdzie w tym tygodniu. Jej matka mi przekazała.

- Jest chora?

- Niezupełnie. Odeszła od męża i przeprowadziła się z powrotem do rodziców. Rozumiem, że to się stało całkiem niedawno.

- Biedna Clare.

- To okropne. Wiesz czemu?

- Chyba chodzi o to, że nie mogą mieć dzieci. Mary uważa, że to zniszczyło ich małżeństwo. Taka szkoda - są jeszcze młodzi.

Susan podniosła rękę do góry.

- Chyba żadna z nas nie wie, jak to jest.

Nicole machinalnie pogłaskała się po brzuchu, nadal jeszcze płaskim i napiętym pod lnianą sukienką. Piątek. W piątek zrobi test. Była jednak już pewna. Gdyby się wystarczająco skoncentrowała, mogła chyba zobaczyć dzielące się wewnątrz niej, tętniące życiem komórki.

- Zastanawiam się, czemu nie pomyśleli o adopcji, rodzinie zastępczej czy czymś podobnym? - zapytała Polly.

- Chyba dla niektórych ludzi to nie to samo. Poza tym, nie znamy jej męża. Nie wiemy, jaką wagę przywiązuje do posiadania własnego dziecka. To wszystko mogło być jednostronne. Przecież nie dla wszystkich dzieci są wszystkim?

- Dla mnie tak - Harriet obejrzała się na rozmaite przedmioty należące do jej maluchów. - Zawsze wiedziałam, że chcę mieć dzieci. Planowałam, że jeśli nie znajdę nikogo przed czterdziestką, po prostu zajdę w ciążę. Tego jednego byłam pewna.

- Ja nie. Zawsze byłam raczej w stylu Pauli Yates. Dzieci to dar, który mogłam ofiarować Gavinowi. Coś, co łączy nas w naszym wyjątkowym, prywatnym świecie. Jakby posiadanie potomstwa było błogosławieństwem naszego małżeństwa. Przedtem nigdy się nad tym zbyt wiele nie zastanawiałam. - Zauważyła, że Harriet przygląda się jej z namysłem, i dodała: - Oczywiście, od chwili, kiedy się urodziły, uwielbiam je ze względu na nie same.

- Wiem o tym - Harriet zwróciła się bezpośrednio do Nicole, po cichu i z rozbawieniem.

- Ja nigdy tego nie roztrząsałam - uśmiechnęła się Susan. - Wy, młode kobiety... - Harriet i Nicole uśmiechnęły się pod nosem - wszystko musicie analizować. Roger i ja postępowaliśmy tak samo, jak wszyscy. Spotkaliśmy się, zakochaliśmy, pobraliśmy i jak tylko zaoszczędziliśmy dosyć, abym mogła rzucić pracę, odstawiłam pigułkę i urodzili się chłopcy.

- U mnie tak samo. Mniej więcej. To znaczy spotkałam Dana i trafiliśmy do łóżka, bardziej chyba z pożądania niż z miłości. Oczywiście, pobraliśmy się dopiero później... ale właściwie było podobnie. Chyba kobiety za naszych czasów po prostu się na to nastawiały.

- Na pewno istniały takie, które cierpiały na bezpłodność. To nic nowego.

- Nie, jasne, że nie. Oczywiście, że istniały. Ale jakoś nie poświęcało się temu tyle uwagi. Nie znano sztucznego zapłodnienia - kiedy miałyśmy Cress i Eda, Louise Brown dopiero co się urodziła. Inna epoka.

- Czasami wydaje mi się, że najwięcej problemów u ludzi takich jak Clare i jej mąż powoduje samo staranie się. Wszystkie te zastrzyki, prześwietlenia i „szybko, szybko, teraz”. To musi być okropne. - Susan potrząsnęła głową.

- Ale ona wróci, prawda? - zapytała Harriet.

- Chyba tak. Po prostu jest jeszcze za wcześnie.

- Mam nadzieję. Lubię ją. Wszystkie przytaknęły.

Po *Pokucie* postanowiły, że każda powinna wyjaśnić swój wybór. Ponieważ nie było Clare, pierwsza zabrała głos Susan. Wszystkie spoglądały na nią wyczekująco: wybór Clare musiał wyrzeć na niej największe wrażenie.

- Jak pewnie wicie, ten temat jest mi teraz dość bliski. Książka mówi o młodej dziewczynie, której babcia znajduje się w domu starców, jak moja mama. Ale tak naprawdę jest też o wielu innych rzeczach. Jednocześnie rozpada się związek bohaterki z okropnie egocentrycznym facetem, a jej matka cierpi na nerwicę natręctw. Ale *Gupiki na podwieczorek* podobają mi się głównie ze względu na historię babci.

- Podobają ci się?

- Bardzo. Myślę, że książka jest wspaniała.

- Czy komuś się nie podobało? - przerwała Harriet. Zawsze chciała to wiedzieć. Potrząsnęły przecząco głowami.

- Było mi trudno ją czytać - kontynuowała Susan. - To, co dzieje się w domu opieki, przypomina mi sytuację mojej mamy. Dużo płakałam. Jak okropnie upokarzające są niektóre sprawy - na przykład zabierają ci wszystkie ładne ubrania, bo nie kontrolujesz potrzeb fizjologicznych. Bardzo utożsamiałam się z Amelią. Kiedy wraca do domu po szczególnie przygnębiającym dniu i chce przygotować Geraldowi wspaiałą kolację z szampanem i potem kochać się z nim - celebryje życie. Doskonale ją rozumiem. Dokładnie tak czuję się za każdym razem, kiedy wracam od mamy. Jakbym musiała wykorzystać do końca każdą minutę, póki jeszcze tu jestem. I mam jednocześnie wyrzuty sumienia, że dobrze się czuję.

- Gdzieś pod koniec bohaterka mówi, że zastanawia się, czemu „to, co uczciwe, i to, co przyjemne, zaskakująco często wydaje się chodzić całkiem odmiennymi drogami”?

- I ten nagły impuls, żeby ją stamtąd zabrać i pozwolić umrzeć w domu - co prawda nie jest to już jej dom. Nie, moja mama nie jest umierająca, ale mam takie przebłyski. Czasami kiedy przy niej jestem, nie wierzę, że ona nie wie, co się z nią dzieje. To najbardziej boli. Ja mam szczęście. Babcia w książce ciągle błaga, żeby zabrać ją do domu. Mama nigdy tego nie zrobiła. Chybabym tego nie zniosła i od razu tak jak Amelia zabrałabym ją stamtąd.

- Musiałabyś ukrywać ją przed Rogerem - uśmiechnęła się Polly. - To dosyć wygodne - prawda? - że umiera w domu akurat przed przyjazdem policji. Zakończenie jest wręcz farsowe.

- Tak - włączyła się Harriet - ale to w końcu powieść, prawda? Nie czytałaby się zbyt dobrze, gdyby babcia umierała stopniowo przez sześć rozdziałów i dopiero na samym końcu wydała ostatnie tchnienie. Podobało mi się, kiedy tuż przed śmiercią usiadła i powiedziała: „Do diabła z pigułkami”.

- Mnie zaciekawił jeden fragment - zauważyła Nicole.

- Kiedy Amelia mówi, że według niej „jak gdyby Pan Bóg odczytał jej pragnienia w krzywym zwierciadle i postanowił obdarować ją Selmą”. Twierdzi - trochę jak ty, Harry - że ma niezwykłą potrzebę opiekowania się kimś, ale coś się pokręciło i dostała stare dziecko. Na końcu to wszystko, co jej pozostało - porzuca ją chłopak, nowy także odchodzi w pewnym sensie, matka na nic się nie przydaje. Tak naprawdę pozostała jej tylko opieka nad Selmą.

- Moja sytuacja jest chyba inna - przyznała Susan.

- Mam Rogera, mam chłopców i swoją pracę. A jej prawie nic się nie udaje, prawda? To pewnie kwestia wieku. Selma jest jej babką, nie matką. Pewnie dlatego autorka dołożyła jeszcze jedno pokolenie.

- Wydawałoby się - powiedziała Harriet - że po trzydziestce, kiedy ma się własną rodzinę, w pewnym sensie jest się gotowym na odejście rodziców, na śmierć matki. A ja nie jestem. Moja mama nie mieszka blisko, widuję ją rzadko, i nie wie o wszystkim, co się ze mną dzieje, ale tak strasznie boję się zostać sama. Po prostu potrzebna mi jest świadomość, że istnieje. Kiedy o tym myślę, chce mi się płakać. - Popatrzyła na Susan, która z trudem powstrzymywała łzy. - Boże, przepraszam Susan. Ale ze mnie kretynka.

- Nie szkodzi. - Susan wytarła oczy, wydmuchała nos.

- Ja jestem po czterdziestce. Pewnie za kilka lat będę babcią. W pewnym sensie już ją straciłam. I też nie jestem na to przygotowana.

Harriet nachyliła się i położyła dłoń na dłoni Susan. Polly przekartkowała książkę.

- O, mam. Jedno z nich, chyba Henry, mówi tak: „Kiedy umiera ktoś, kogo się kocha, to jakby zostawiał cię tylko z połową waszego wspólnego życia. Osoba, którą jesteśmy w jego oczach, odchodzi razem z nim”. Prawda, że tak jest? Matka to chyba najważniejsza część naszej tożsamości i dlatego tak trudno jest pogodzić się z jej stratą.

- Moim zdaniem sceny z Geraldem są absolutnie, nadspodziewanie genialne.

- Cobbold wspaniale opisuje gniew, jak rodzaj lawy.

- I od razu rozumiesz cierpienie Amelii. To przejmujące, jak stara się dobrze dla niego wyglądać, bo wyczuwa, że wszystko się kończy, ale jeszcze nie zerwali ze sobą ostatecznie i oficjalnie. Wydaje jej się, że powinna dalej próbować.

- Mnóstwo szminki i perfum. Wszystkie kobiety używają tego jako osłony. I na pocieszenie.

- No pewnie.

- Strasznie mi się podoba, kiedy przyłapuje go na posuwaniu sekretarki. I opis Clarissy starającej się z godnością włożyć majtki!

- Wyobrażasz sobie!

- Nie wyobrażam sobie, żebym była na tyle spokojna, aby móc powiedzieć - co ona mówi, kiedy ich nakrywa? - „Nie wiedziałam że jesteście w domu”, czy coś podobnego?

- Prawda? Albo wjechać jego samochodem do pokoju.

- Ma sporo racji co do związków, nie sądzicie? - Harriet powoli układała talerze w stos. - Związek powinno oceniać się nie po tym, jak często się kochacie, lecz po tym, ile rozmawiacie ze sobą w restauracjach. To mi dało do myślenia.

- Mnie też. Nie mam ochoty na seks, jeśli nie było przedtem rozmowy w restauracji.

- Biedny Jack! Czy chcesz przez to powiedzieć, że musi ci postawić kolację za każdym razem, kiedy chce cię zaciągnąć do łóżka?

- Mówiłam oczywiście w przenośni. Kobiety powinno się uwodzić od głowy, nie sądzisz?

- Zdecydowanie!

- Ja już nie pamiętam. Przecież jestem mężatką od dwudziestu czterech lat - roześmiała się Susan.

Polly mrugnęła do niej.

- Nonsens. Jesteś chyba w lepszej sytuacji niż my wszystkie razem wzięte. Harriet i Nicole to umęczone młode matki. Ja mam kochanka z doskoku. Sądzę, że to ty i Roger macie najwięcej przyjemności.

Harriet była pewna, że się rumieni. Przypomniał jej się dotyk rąk i ust Nicka i pomyślała o przyszłym weekendzie. Właśnie przekonała Tima, że powinna wyjechać. Uśmiechnął się w odpowiedzi, kiedy zapytała, co o tym myśli. Oczywiście, że musi pojechać, to cudownie, że spotkają się z przyjaciółką we

dwie, bez niego i dzieci. Wolałaby, żeby się zmartwił. A jednak za każdym razem, kiedy była sama, widziała oczami wyobraźni, jak unosi się w muślinowej sukni nad skąpanym w słońcu trawnikiem, aby wpaść w ramiona przystojnego nieznajomego, który znowu pocałuje ją w ten sposób. I znowu. Jak Jane Seymour na zdjęciach w kolorowym piśmie. Podniosła się, zaniósła talerze do zlewu i opłukała je, stojąc plecami do Nicole. Potem zdjęła z kuchenki koszulkę Josha i postawiła na płycie masywny imbryk.

- Ktoś chce kawy, czy wszystkie pijemy dzisiaj herbatkę miętową?

- Jak sobie radzi Cressida? - Skończyły omawiać książkę. Piły herbatę. Harriet usłyszała kroki Tima pół godziny wcześniej i wyczuła, że pozostałe kobiety zaczną niedługo zbierać się do wyjścia. Chciała je zatrzymać.

Susan nastawiła uszu i odwróciła uwagę od Nicole, która pytała o roletę do okna o niecodziennym kształcie. Czuła się trochę jak lekarz, zmuszany do oglądania tajemniczych wysypek podczas proszonych kolacji. Nicole narysowała okno różową kredką na odwrotnej stronie jednego z obrazków Chloe, przedstawiających tęczę. Harriet nie znalazła żadnego innego papieru.

Polly zaczerpnęła powietrza i uchwyciła mocno kubek obiema dłońmi.

- Jest w ciąży.

- O matko.

- Skoro nie ma Clare, to chyba dobry moment, żebyście się dowiedziały. Susan już wie. Okropnie się bałam powiedzieć przy niej, wiecie?

Nicole dokładnie wiedziała.

- Jest mniej więcej w piątym miesiącu. Nic mi nie mówiła - Polly wybaczyła sobie to drobne kłamstewko - aż do lutego. Była przerażona - pewnie zapomniała, że grzesznicy nie mogą rzucać kamieniami. - Polly uśmiechnęła się cierpko. - Ja byłam niewiele starsza, kiedy zaszłam w ciążę.

Pięć miesięcy. Harriet myślała o wielu rzeczach. Biedna dziewczyna. Nadal pamiętała, jak najadła się strachu, mniej więcej w wieku Cressidy. Siedziała w uniwersyteckiej ubikacji, czekając w milczeniu na wynik, i czuła, jakby białe ściany i sufit z pustaków powoli się na nią waliły. W świetlicy młodszych roczników za ścianą ktoś oglądał *Sąsiadów* i słyszała przewodnią melodię serialu. Wszystkie idiotyczne fantazje o noszeniu dziecka Charlesa nagle wyparowały. Miała jednak szczęście. Była głupia, ale miała szczęście. Pięć miesięcy. Pewnie chce je urodzić.

- Co zamierza zrobić?

- Urodzić je.

Polly wydawała się taka spokojna. Jak jej się to udawało?

- W ciągu ostatnich tygodni omawialiśmy to milion razy. Podjęła decyzję. Jest wyjątkowo opanowana, odkąd wszystko wyszło na jaw. Sama poszła na USG i tak dalej.

- To musiało być dla ciebie okropne.

- Oczywiście. To moje dziecko. Nieważne, czy są dorosłe, zawsze myśli się o nich w ten sposób i chce się je ochronić, prawda, Suze?

- Absolutnie. I udusić!

- Ochronić i udusić. Brzmi znajomo - westchnęła Nicole.

- Cóż, to nie zmienia zbyt wiele, uwierzcie mi - uśmiechnęła się Polly. - Jest moim dzieckiem, ale ma dwadzieścia lat. Nie mam wyboru, muszę przystać na to, co postanowi. A postanowiła, że chce mieć to dziecko. Nie jestem przekonana, czy na początku jej uwierzyłam - bałam się, że ma zamęt w głowie, że nie myśli jasno, rozumiecie? Ale w zeszłym tygodniu najadła się nieźle strachu, troszeczkę krwawiła, nic poważnego - wszystko jest w porządku - ale przez kilka godzin nie miałyśmy pewności, i ona była przerażona, że może je stracić. Czytałam to z jej twarzy.

Susan pokiwała głową.

- A co z ojcem?

- Z Joem? Chyba w tym nie uczestniczy. Jest teraz w Warwick - prawie wcale się nie widywali, od-
kąd wyjechał. To był licealny romans, który według niej nie mógł przetrwać. Oddalili się od siebie.

- Ale wie?

- Nie mam pojęcia. Nie powiedziała mi.

- Ale chyba ma prawo wiedzieć? - zastanowiła się Nicole. W odruchu obronnym Polly odpowiedzia-
ła ostrzej, niż zamierzała.

- Nie wiem, czy ma, nie w tej sytuacji. To decyzja Cress. Jestem pewna, że postąpi właściwie. I tak
ma teraz zbyt wiele na głowie.

- Oczywiście. Nie chciałam... - Nicole wycofała się zmieszana.

- Przepraszam. W porządku. Nie zwracaj na mnie uwagi. Praktykuję asertywność. - Wymieniły
spojrzenia z Susan.

- A co myślisz o tym wszystkim?

Pytanie było życzliwe, ale Polly nie potrafiła udzielić prostej odpowiedzi: oszołomiona, przerażona,
podekscytowana, rozczarowana, bezsilna, dumna?

Wzruszyła wymijająco ramionami.

- Jestem jej mamą. Kocham ją.

Susan

- Margaret? To ja, Susan.

- Susan? Co się stało?

- Ach, nic takiego - przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. Wszystko w porządku.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

- Po prostu... no wiesz. Byłam dzisiaj u mamy, i chciałam ci o tym opowiedzieć.

- Cóż takiego?

Może nie był to aż tak dobry pomysł. Zadzwoiła powodowana nagłym impulsem - Alice sprawiła, że poczuła się tak blisko dzieciństwa i zatęskniła za siostrą. Chciała wciągnąć ją z powrotem w orbitę wspomnień, które dzieliła z matką.

- Była niezwykle przytomna, dawno jej takiej nie widziałam. Naprawdę doskonale się czuła. Wiedziała dokładnie, kim jestem, gdzie ty jesteś. To było cudowne. Rozmawialiśmy o czasach, kiedy ja i ty byliśmy małymi dziewczynkami.

- O czym właściwie? Nie rozumiem, o czym mówisz, Susan.

Daj spokój, Maggie. Nie odpychaj mnie.

- No wiesz, mama snuła wspomnienia. Przypomniała mi, jak bawiłyśmy się przy tym niskim murku od frontu - w lekarzy i pielęgniarki, w sklep. Kiedyś podobno zatrudniłyśmy wszystkie dzieci z sąsiedztwa jako pacjentów. Pamiętasz? Chciałam ci to opowiedzieć.

- Susan. - Margaret nie rozgniewała się. Była stanowcza, rozsądna i trochę protekcyjna. - Najwyraźniej twoja pamięć szwankuje tak samo jak jej. Nigdy nie byliśmy idealną rodziną. Cały czas się kłóciłyśmy i lubiłyśmy robić inne rzeczy.

- Tak, wiem. Ona też to pamięta. Ale byłyśmy siostrami. Wszystkie siostry są takie, prawda?

Margaret nie odpowiedziała i Susan poczuła się głupio.

- Po prostu cudownie było usłyszeć ją znowu taką jak dawniej. To wszystko. Myślałam, że może będziesz chciała się o tym dowiedzieć.

- To chyba bez znaczenia? Ona nie jest taka jak kiedyś, prawda? Mogłabyś wrócić tam dzisiaj i okazałoby się, że uważa cię za członka personelu.

Szlachetny eksperyment nie powiódł się. Margaret była zazdrosna o jedną miłą godzinę, którą Alice i Susan przeżyły w tygodniu pełnym nieszczęścia.

Susan postanowiła wycofać się, póki nie było za późno.

- Masz rację. To głupie. - Zastanowiła się nad rozsądnym powodem telefonu. - Myślałam też, że chciałabyś wiedzieć, że mamy przyjaciółka, Mabel, umarła kilka tygodni temu.

- Nigdy nie poznałam żadnej Mabel.

- Wiem. Po prostu wydawało mi się, że może mama ci kiedyś o niej pisała. Bardzo się do siebie ostatnio zbliżyły - obie owdowiały mniej więcej w tym samym czasie. W każdym razie biedaczka nie żyje.

- Przykro mi. - Ton Margaret nie mógł być bardziej obojętny.

Susan nie zniósłaby tej rozmowy ani sekundę dłużej.

- To będę już kończyć. Mam masę pracy. U ciebie wszystko dobrze?

- Tak. Dzięki, że zadzwoniłaś.

- Pozdrowić od ciebie mamę, kiedy pójde do niej jutro?

- Jak chcesz. Jeśli sądzisz, że będzie wiedziała, o kogo chodzi.

Susan nie zamierzała reagować. Nie dzisiaj. Dzisiaj czuła się szczęśliwa - uratowała odrobinę Alice z otchłani i nawet Margaret jej tego nie odbierze.

- Pozdrowię. Na wszelki wypadek. Na razie.

- Do widzenia, Susan.

Clare

Kiedy umierało dziecko, na oddziale panowała cisza. Inne, szczęśliwsze pacjentki w jakiś sposób dowiadywały się albo odgadywały cień informacji z twarzy położnych. Szybko odsyłały do domu swoich gości, patrząc z poczuciem winy na kwiaty i baloniki. Staraly się uciszyć noworodki, ocierając łzy okrywającymi je kocykami, jakby nawet głosy ich dzieci były obrażą. Clare tak nie uważała. Obserwując rodziców przeżywających tragedię, czuła, że na jakiś czas stają się oddzieleni od reszty świata. Jedna kobieta powiedziała: „To, co się dzieje dookoła, nie ma dla mnie znaczenia. Dlaczego nie miałabym się cieszyć, że one mają swoje dzieci? Dla nas to już nic nie zmienia”. Clare świetnie ją rozumiała. Na szczęście nie zdarzało się to zbyt często. W większości przypadków dramatyczne wydarzenia żyły w pamięci i historiach opowiadanych przez rodziców, lecz nie powodowały najmniejszego zakłócenia pracy oddziału położniczego. Czasami Clare rozwiązywała problemy, spokojnie i skutecznie. Niekiedy dziecko przestawało oddychać na minutę i potrzebowało sztucznego oddychania, po czym krztusiło się z oburzenia. Albo było żółte i spędzało kilka dni pod kwarcówką; mogło mieć zaropiałe oczka albo mało punktów w skali APGAR i trzeba je było obserwować przez kilka dni. Clare stosowała sztuczne oddychanie, robiła zastrzyki, oczyszczała ostrożnie oczy patyczkami z wacikiem i pocieszała przerażone matki. Na koniec machała na pożegnanie maleństwu, spoczywającym w nowiutkich, pospiesznie zainstalowanych fotelikach samochodowych. Kiedy jednak umierało dziecko, nie miała zbyt wiele do zrobienia. Dlatego było jej tak ciężko. Trzeba było posprzątać po porodzie, ubrać dziecko, sfotografować, jeśli ktoś sobie tego życzył - w tym celu posiadały na oddziale aparat fotograficzny. (Nie był używany do robienia zdjęć żywym dzieciom, których ojcowie kupowali filmy lub jednorazowe aparaty w kiosku na dole, razem z różowymi lub błękitnymi bukietami, czekoladkami Milk Tray i kartami do telefonu). Trzeba było chronić uporczywie prywatność rodziców i parzyć nieskończone filiżanki herbaty. To wszystko.

Ale nie dzisiaj. Zmarłe dziecko miało niezwykle żywotnego brata bliźniaka oraz rozdartych sprzecznymi emocjami rodziców. Dwóch chłopców, z których jeden był o tyle większy i silniejszy. Trzymany na rękach przez ojca płakał razem z nim, lecz pociecha nie nadchodziła. Mniejszego miała przy sobie matka, która ubrała go w śnieżnobiałe śpioszki z wyhaftowanymi z przodu niebieskimi niedźwiadkami, identyczne jak u brata, oraz czapeczkę. „Żeby ci było ciepło w główkę”, powiedziała. Kołysała go teraz, starając się przelać na małe ciało miłość i czułość całego życia, choć nie mógł już nic poczuć.

Podniosła wzrok na Clare. Miała suche i puste oczy. Clare wiedziała, że teraz, znieczulona szokiem i bólem czuje się silniejsza. Najgorsze przyjdzie później.

- Wybraliśmy imiona - od dawna wiedzieliśmy, że to chłopcy. James i Matthew. Dobre, solidne imiona. Jamie i Matt. Jak świetni koledzy, prawda? - Popatrzyła na nieruchome ciało w ramionach. - Nigdy się nie zastanawiałam, w jaki sposób zdecydujemy, który jest który.

Popatrzyła na zalanego łzami męża.

- Pewnie po prostu byśmy trochę zaczekali i zobaczyli, który wygląda bardziej na Jamesa albo na Matthew. - Uśmiechnęła się ponurym, ironicznym uśmiechem, lecz głos jej się załamał. - Chyba nazwiemy go James. Wolałam to imię. Tak chyba będzie najlepiej.

Clare uścisnęła jej rękę.

- Dobrze. - Ktoś ją zawołał. Skinęła na pielęgniarkę, aby ją zastąpiła, i powiedziała: - Zaraz wrócę. Muszę tylko zajrzeć do lekarza.

Na korytarzu rozpląkała się. Na szczęście, niektórych rzeczy nigdy nie będzie musiała przeżywać.

Harriet

W *Bridget Jones* (filmie, nie książce) jest cudowny fragment, kiedy Renee Zellweger jedzie z Hugh Grantem sportowym wozem niewiarygodnie prostą drogą prowadzącą do wiejskiej rezydencji i weekendu pełnego wiosłowania i seksu (zapewne analnego - odkąd to zwykły, porządny seks stał się taki nudny?). Harriet gratulowała sobie, że nareszcie stanie się kobietą ze swoich fantazji. Uwielbiała *Bridget Jones*, a zwłaszcza ten epizod - bohaterka nareszcie wyzwolona ze staropanieństwa.

Jej wypad z Nickiem zaczął się inaczej. Cholerna Bridget - która nigdy nie robiła nic poza narzekaniem na brak faceta - nie musiała dźwigać wążącego tonę poczucia winy, z którym borykała się nieszczęsna cudzołżnica. Tim z radosną skwapliwością przystał na wyjazd z dawno niewidzianą Sally (świetny pomysł, powinnaś odpocząć od dzieci) i w doskonałym nastroju zaczął planować rozrywki na dwa dni jej nieobecności. - Będziemy się świetnie bawić, prawda? - Cała trójka, skulona jak więdźmy z *Makbeta*, siedziała przy kuchennym stole, snując wizje wypraw do Muzeum Nauki, kina i omijanego dotąd z daleka Parku Wodnego (trzydzieści centymetrów wody o temperaturze - i z grubsza rzecz biorąc składzie - moczu, pełne grubych rodziców i ich piszczącego potomstwa, otoczone wodospadami i przerażającymi zjeżdżalniami, okupowanymi przez wychudłych, bezwłosych wyrostków, rechoczących na widok grubasów i ignorujących zakaz „zaawansowanych pieszczot”). Nie po raz pierwszy Harriet poczuła, że być może dzieci wolałyby każdy dzień spędzać z ojcem.

W sobotni rano wsiadła do samochodu w kiepskim nastroju - nie było im przykro, że wyjeżdża, żadne z dzieci nie płakało i nie przywierało do niej rozpaczliwie. Przez co była jeszcze bardziej wściekła na samą siebie. Chloe miała niedobłą noc, z moczeniem łóżka o północy i wołaniem pić o drugiej nad ranem oraz ostatecznym ciosem - koszmarem sennym o czwartej. Wtedy, ostatecznie, pozwolono jej przyjść do łóżka rodziców, gdzie przyjęła swoją zwykłą pozycję niespokojnej rozgwiadzy i zapadła w głęboki, choć ruchliwy sen. Zazwyczaj Harriet bardzo lubiła, kiedy dzieci przychodziły do niej do łóżka - tak ładnie pachniały, tak spokojny miały oddech, mogła gładzić ich buzie albo miękkie włoski bez obawy, że odepchną jej rękę. Mogła przyglądać im się w świetle lampy na korytarzu i próbować wyobrazić sobie ich dorosłe twarze, za kogo wyjdą i kim zostaną. Zdarzało się, że trzymały ją za rękę i odwzajemniały uścisk albo

kiwały głowami z oddali, kiedy pytała, czy ją kochają. Czasami jednak lepiej było zaznać ośmiu godzin nieprzerwanego snu.

Był jeden z tych przypadków. W łazience, zostawiwszy nieprzytomną Chloe w łóżku, Harriet przyjrzała się ciemnym kręgom pod oczami. Odwiedziła ostatnio salon piękności Clinic, którego idiotyczna nazwa przywodziła jej na myśl gabinet chorób wenerycznych. Znajdował się jednak blisko domu i personel ją znał, a przecież liczba osób, którym można pokazać włosy w pachwinach i stwardniałe pięty, była ograniczona. A więc poszła do salonu, aby wydepilować woskiem nogi i strefę bikini - po co kupować drogie majtki, jeśli wygląda się w nich jak brakujące ogniwo? Zgodziła się także na pedikiur, ale nie przystała na sztuczną opaleniznę. Tim z pewnością uznałby to za przesadne przygotowania przed weekendowym spotkaniem z dawną koleżanką. Kiedy jednak teraz spojrzała w lustro, uznała, że popełniła błąd - była blada i wcale nie seksowna. I chyba nieco wystraszona.

Trzy godziny, sto mil i kilka cali samoopalającego kremu później czuła się trochę lepiej, a nawet odrobinę jak Renee Zellweger. Obiecała sobie, że nie będzie myśleć o Timie, Joshu i Chloe od chwili, w której opuści podjazd, do momentu kiedy z powrotem się na nim pojawi. Mimo wszystko przysięgła także, że zadzwoni do nich w sobotę wieczorem przed pójściem spać, co może okazać się trudne. Kierując się mniej więcej w stronę, o której mówiła Timowi - jakby w ogóle mógł ją przyłapać - wybrała, a Nick zarezerwował, pokój w przyjemnym georgiańskim hotelu z czerwonej cegły, otoczonym kilkoma akrami staroświeckiego parku (dobrego do flirtu w stylu Jane Austen, pomyślała) i terenów zielonych (na chwile bardziej przypominające D.H. Lawrence'a). Słońce świeciło jasno na bardzo błękitnym niebie. Gdyby szukała usprawiedliwienia, mogłaby uznać, że sami bogowie im sprzyjają. Z daleka rozpoznała indywidualne tablice rejestracyjne należące do Nicka audi i serce zabiło jej mocniej. Przyjechał pierwszy. To bardzo pochlebające.

Wbrew jej oczekiwaniom Nick nie przestępował jednak z nogi na nogę w recepcji, z kraciastym kocem przewieszonym przez jedną rękę i koszem piknikowym z butelką szampana w drugiej. Nie ukrywał się też za płachtą gazety w holu, próbując uspokoić rozszalały puls przeglądaniem wyników krykieta. „Pan Mallory...” - czy była to znacząca pauza? Nie bądź idiotką, powiedziała sobie. Ci ludzie zostali nauczeni nie mrugnąć powieką, nawet gdybym chciała zrobić to w recepcji z nieznanym. Dyskrekcja kosztuje, a Nick płaci. „... poszedł do pokoju, proszę pani. Numer pięć, u szczytu tych schodów, pierwszy po lewej. Jeśli zostawi pani kluczyki, pošlę kogoś, aby natychmiast przyniósł bagaże”. Harriet miała nadzieję, że ten ktoś nie dostrzeże wyschniętych skórek od mandarynek i papierków po słodyczach, zaściełających wnętrze samochodu.

Naliczyła piętnaście stopni, szerokich i pokrytych kosztownym dywanem, takich jak te, z których Vivien Leigh spada w *Przeminęło z wiatrem*. Nie denerwowałaby się chyba bardziej, idąc na szafot. Czuła jednak, albo tak sobie w końcu wmówiła, że nie idzie na spotkanie śmierci, lecz życia.

Nie życia z Nickiem - nawet Harriet nie była tak naiwna - lecz życia przez duże „Ż”, pełnego doświadczeń, emocji, zabawy i... wszystkiego tego, czego według niej nie zapewniało jej życie z Timem.

Wspinała się po stopniach jak najwolniej, na oczach personelu recepcji, aby się ani trochę nie zadyścić. Cichutko zapukała do drzwi. Nick otworzył natychmiast. Od czasu studiów pierwszy raz widziała go bez krawata. Na weselu i ich cotygodniowych spotkaniach był zawsze elegancko ubrany. Zapięty na ostatni guzik wydawał się chyba przystojniejszy.

Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi kopniakiem.

- Witaj! Co taka niegrzeczna dziewczynka robi w takim przyzwoitym miejscu?

Nie zdążyła nawet odpowiedzieć. Jego cudowne usta znalazły się na jej wargach i zaczął ją całować namiętnie, jak zawsze, obejmując ją za pośladki. Najwyraźniej rzeczywiście nie mógł się doczekać.

Odepchnęła go. Chyba trzeba było coś powiedzieć.

- Wcześniej przyjechałeś. - Ach, jak błyskotliwie.

- Tak, udało mi się wyrwać. Nie mogłem spać, myśląc o tobie. - Pocałował ją znowu.

- Poczekaj. Zaraz przyniosą moje rzeczy.

- Wcale nie. - Nick oderwał się od niej. Zdjął z kołka plakietkę „Nie przeszkadzać” i zawiesił ją po zewnętrznej stronie drzwi. - To powinno wiele wyjaśnić. - Uśmiechnął się.

Nagle Harriet poczuła się zdenerwowana. Było dopiero za piętnaście dwunasta. Wywieszka ją zawstydziła. Nie była pewna, czy zdoła spojrzeć w oczy obsłudze w czasie lunchu. Zauważyła, że na stole w kubelku z lodem spoczywa butelka szampana, a obok stoją dwa wysmukłe kieliszki.

- Nick, szampan. Jak miło. Otwórzmy go.

- Za chwileczkę. Nie chce mi się pić. - Był z powrotem przy niej. - Popatrzmy - powiedział. - Przepiękna sukienka, kochanie.

Popychał ją w stronę łóżka.

- Wyglądasz tak, że mógłbym cię schrupać. I wiesz co...

- Teraz siedziała na satynowej narzucie, a on położył ją delikatnie, lecz zdecydowanie. - ... Chyba właśnie zaraz to zrobię...

Ukląkł między jej nogami i jego wielkie ręce zadarły jej sukienkę, i błądziły po odsłoniętych biodrach. Przyglądał się. W pokoju było bardzo jasno. Jęknął z zachwytu.

- Widzę, że posłuchałaś mojej rady co do bielizny. Prześliczne. - A potem nic już nie mówił, tylko pojękiwał.

Harriet zamknęła oczy, lecz pozostała sztywna i spięta, więc otworzyła je z powrotem i spojrzała na ozdobną rozetę na suficie. Nick ujął ją pod kolanami, starając się szerzej rozsunąć nogi. Najwyraźniej poczuł, jak bardzo była napięta, bo podniósł głowę.

- Odpręż się, Hats. Pozwól mi. Uwierz, jestem w tym niezły.

I to był koniec. Być może Nick miał szóstkę na swoim seksualnym świadectwie w tym konkretnym przedmiocie i potrafił robić to w nieskończoność, ale z nią daleko w ten sposób nie zajdzie. A co z pocałunkami? Cudownymi, głębokimi, zakazanymi pocałunkami w bramach, taksówkach i na peronach. Wyobrażała sobie, że będzie ją kochał czule i powoli, bez ubrań, zobowiązań i publiczności, z całym mnó-

stwem pocałunków. Marzyła o powolnym narastaniu - długi, leniwy posiłek, spacer po parku w tym pięknym słońcu. Mogliby rozmawiać, trzymać się za ręce i śmiać się, a potem wrócić tutaj, zedrzeć z siebie ubrania (w ciemnościach, co stanowiło nieodzowny warunek wielkiego planu Harriet) i doprowadzić się nawzajem do całej serii majestatycznych orgazmów (oczywiście jednocześnie), z których każdy przypominałby fale rozbijające się o brzeg lub orkiestrę w crescendo i sprawiłby, że szlochaliby w spełnieniu.

Nie, nie, nie. Podejście „tak strasznie cię pragnę, że muszę zadrzeć ci sukienkę w trzy minuty i przerobić całą Kamasutrę w godzinę”, mogło zostać odegrane, aby jej pochlebić, ale nie odniosło pożądanego skutku.

Odsunęła jego głowę i usiadła, wygładzając sukienkę obiema rękami, wierząc się w miejscu, ponieważ gumka od majtek wpijała jej się w ciało. Starła się roześmiać.

- Hej, nie tak szybko. Nie liczę sobie za godzinę. Nick nadał się.

- Ty nie, ale oni jak najbardziej.

Przeciągnął dłonią po włosach i poszedł po szampana. Harriet została na łóżku, czując się zbędna. Podał jej kieliszek, wypijając zawartość swojego jednym, pełnym irytacji haustem. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do odmowy. Przez kilka minut sączyła szampana, speszona, i patrzyła na jego rozzłoszczone plecy. Wyglądał przez okno. Było bardzo cicho.

- Idę rzucić okiem na siłownię. Na razie.

I wyszedł, zanim zdążyła pomyśleć, co by tu powiedzieć.

Nie chciała zostać w pokoju - jeśli tylko przeżyje ponowne przejście przez recepcję. Boże, czuła się jak kretyńka, jak przedwcześnie rozwinięta dziewczynka, której brawura na podwórku sprawiła, że posunęła się za daleko w zabawie z dużymi chłopakami. Nick najwyraźniej nie był zainteresowany jej uczuciami. Czemu kiedykolwiek zdawało jej się, że tak jest? Był zainteresowany przeleceniem jej. Gdyby chciał przeżyć przygodę psychologicznej natury, szukałby zapewne kogoś mniej skomplikowanego i bardziej zrównoważonego.

Zsunęła się na dół po schodach, obdarzając promiennym uśmiechem obojętne dziewczyny w recepcji, i wyszła do ogrodu, bardzo malowniczego i kompletnie pozbawionego dzieci (witamy nawet w chwili wielkiego wzburzenia), choć brakowało mu tego pulsującego erotyzmu, który wyobrażała sobie wcześniej. Usiadła na ławeczce z pięknym widokiem, starając się wyglądać na uroczą i szczęśliwą, niezależną, lecz swobodną, aby sprawdzić, czy poczuje się lepiej. Nic z tego. Godzinę później odnalazł ją tam Nick, który odzyskał panowanie nad sobą.

- Przepraszam. Chyba zachowałem się jak słoń w składzie porcelany. Nie chciałem. Co na to poradzę, że doprowadzasz mnie do szaleństwa? - Uśmiechnął się łobuzerskim uśmiechem chłopca z City.

Wybaczyła mu.

- I do szału?

- I do szału. Wybacz mi.

- Trochę wyszłam z wprawy - wyznała - to wszystko. Nie byłam uwodzona w hotelu od... właściwie jeszcze nigdy.

- To czyste marnotrawstwo.

Był słodki. Bezczelny, oportunistyczny i lekko amoralny, ale słodki. Nie pomyliła się co do niego tak zupełnie.

- Chyba po prostu spodziewałam się...

- Romansu?

- Tak. Troszkę. - Harriet zmieszała się. - Jestem żalosna, prawda? Żalosna gospodyni domowa, usiłująca wlać w swoje życie odrobinę romansu.

- Wcale nie. Jesteś cudowna. - Nick ujął jej dłoń i uściskał ją.

- Szczerze mówiąc, dziewczyny, które zazwyczaj zabieram w takie miejsca, aż trzęsą się do tego. Barowy typ. Widzą, że mam trochę forsy, że jestem dosyć przystojny. Najczęściej sięgają mi do rozporoka, zanim portier zdąży odebrać napiwek.

A ona obawiała się, co sobie o niej pomyśla.

- Chyba wydałam ci się nieprawdopodobnie pruderyjna. Nick spojrzał na nią.

- Wydajesz się nieprawdopodobnie miła. Zawsze byłaś. To ja jestem łobuzem. Nie wiem, co mnie napadło.

- Miła? Buee. Słyszałeś o przyganianiu komuś przez zbyt skąpe pochwały?

- Nie - odparł, odwracając delikatnie jej brodę jednym palcem. - Zbyt miła na to wszystko i zdecydowanie zbyt miła dla mnie. Ale dość tych bzdur. Jeśli świat się dowie, że mam swój czuły punkt i że jakaś kobieta nie uległa mojemu męskiemu czarowi, będę wyśmiewany w całym mieście.

- Podniósł się. - Chciałaś ogrodów, będziesz miała ogrody.

- I skłonił się nisko gestem godnym Waltera Raleigha.

Nic jednak nie mogło już poprawić sytuacji. Ogrody były przepiękne, słońce ciepłe, lunch wyśmienity, a Nick czarujący. Późnym popołudniem leżeli przytuleni do siebie na trawie, lecz pocałunki nie wydawały się już Harriet tak podniecające i nie pragnęła ich więcej. Starła się odzyskać dawne uczucie, ale ta chwila przeminęła na górze w sypialni, kiedy podniósł jej sukienkę. Wszystko przestało być zabawą, a Nick jednowymiarową postacią z gry. Harriet nie należała do kobiet, które okłamują i zdradzają własnego męża, obojętnie czy kochają go, czy nie. Czowała się jak idiotka i miała ochotę się rozplakać.

- Nie mogę tego zrobić - wyznała.

- Wiem - objął ją ramieniem.

- Przepraszam, Nick. Okropnie się zachowałam, tak cię podpuszczając.

- Jakoś to przeżyjemy - sami jesteśmy sobie winni.

Uśmiechnął się i westchnął głęboko, unosząc jej głowę, która spoczywała na jego piersi.

- To chyba ja powinienem się wstydić. Kiedy się spotkaliśmy, zauważyłem, w jakim jesteś stanie, i postanowiłem to wykorzystać.

Harriet uniosła się na łokciu, żeby na niego popatrzeć.

- Od kiedy to stałeś się taki subtelny? Nie byłeś taki w college'u.

- Chyba od kilku godzin, szczerze mówiąc. Boże, przez ciebie nigdy już nie będę sypiał z dziewczynami na jedną noc. Pewnie ożenię się przed końcem roku. Czy przyjdiesz na moje wesele w bardzo krótkiej spódniczce i upijesz się?

- Błysk w oku wrócił.

Harriet tym razem szturchnęła go łokciem pod żebro.

- Z całą pewnością nie! Przez to znalazłam się w tej żalosalnej sytuacji. Zostanę w bezpiecznej odległości. Pójdę do domu i tam się schowam.

- Nie powinnaś tego robić - nie powinnaś zostawać z nim, jeśli nie jesteś szczęśliwa. Nie dla dzieci, stylu życia ani podobnych bredni. Zmieniłaś się, Hats - straciłaś swoją radość życia. Zauważyłem to, kiedy zobaczyłem cię u Charliego. Wszystkie jesteście takie same. Zamartwiacie się zmarszczkami, tuszą i opadającymi cyckami, ale nie przejmujecie się tym czymś. A to jest przecież najważniejsze - nawet dla takiego maniaka seksualnego jak ja. Nie powinnaś tego tracić. Zawsze wspominałem to z czułością.

Ja też, pomyślała Harriet i posmutniała. Nick wyjechał pierwszy.

- Powiedziałaś mu, że wrócisz dopiero jutro, prawda? Lepiej trzymaj się tego. Zostań, wyśpij się, idź na masaż. Ja jadę do domu. Tyle kobiet i tak mało czasu - nie mogę pozwolić sobie na marnowanie sobotniego wieczoru z jakąś smętną mężatką.

- Prawie ci się udało, Mallory. - Harriet pocałowała go na pożegnanie. - Nie zdradzę twych straszliwych sekretów. Jeśli spotkam jedną z dziewczyn, o których wspominałeś, będę pamiętać, że twoje zdolności łóżkowe są legendarne, masz taaakiego długiego i jadasz wyłącznie krwiste mięso.

Objęli się, stojąc przy samochodzie.

- Dzięki, Nick. Jestem ci wdzięczna.

- Jak jesteś taka wdzięczna, to co powiesz na szybciutki numerki? Nikt nie patrzy...

Harriet wymierzyła mu cios boksinerski. Nick odjechał, śmiejąc się.

Nicole i Harriet

Kiedy zadzwonił dzwonek, Nicole biegała po mieszkaniu z białym paskiem testu ciążowego w ręku, zastanawiając się, jak ma powiedzieć o tym Harriet. Wiedziała od zeszłego wieczoru, na dwanaście godzin przed dniem, w którym powinna wykonać test. Tak naprawdę wiedziała już od czasu Wenecji, jeśli wierzyć instynktowi. A jednak ucieszyła się na widok potwierdzenia. Była pewna, że zobaczy znajomą niebieską linię, i siedząc w łazience, na chwilę objęła się sama w zwycięskim uścisku. Nowe dziecko, nowa więź, nowy początek (tym razem inny). Nie zamierzała jeszcze mówić Gavinowi. Odkąd wrócili z Wenecji, wszystko układało się jak najlepiej. Nie zostawał do późna w pracy i Nicole wydawało się, że ich nowo odnaleziona bliskość trwa. Chciała poczekać na najlepszą chwilę. Za pierwszym razem, kiedy była w ciąży z bliźniakami, wizyta u lekarza potwierdzająca jej przypuszczenia tak ją wystraszyła, że zadzwoniła do

Gavina do biura i wyrzuciła z siebie wieści przez telefon, a potem musiała czekać pięć godzin, aż będzie mógł ją przytulić. W następnej ciąży pewnego ranka po przyjęciu zwymiotowała tak gwałtownie, że Gavin słysząc ją, zawołał:

- Niemożliwe, żebyś się aż tak zaprawiła Nic. Zakład, że znowu jesteś w ciąży.

Na stole kuchennym rozłożyła stertę wakacyjnych prospektów. Jeden z nich był otwarty. Szczupła, opalona na kolor kawy z mlekiem para na fotografii patrzyła sobie miłośnie w oczy nad szklanką zimnego napoju, podczas gdy ich małe i równie piękne dzieci baraszkowały w basenie. Tego ranka Nicole zarezerwowała wakacyjną willę na dwa tygodnie w sierpniu. Powie mu o dziecku, gdy będą wyglądać jak rodzina z obrazka.

Chciała jednak powiedzieć Harriet już dzisiaj i była bardziej podenerwowana niż podekscytowana. Nie poruszały tego tematu od dawna. Harriet okazała się taka nieubłagana, taka pewna, że to tragiczny pomysł. Nicole chciała, żeby przyjaciółka potraktowała ją trochę łagodniej teraz, kiedy było już za późno. Skoro nie pochwała ciąży, nie będzie też pochwałała dziecka. Nicole nie wyobrażała sobie, jak w tej sytuacji będą mogły pozostać w serdecznych, niewymuszonych stosunkach. Ich przyjaźń była dla niej jednym z najbardziej stabilnych i najgoręcej pielęgnowanych związków w życiu. Nie może sobie pozwolić na jej utratę.

W końcu położyła test przy zlewie i pobięła otworzyć drzwi.

Harriet uściśnęła ją i weszła do kuchni. Test był pierwszą rzeczą, na jaką spojrzała.

- No i...? - zapytała.

- I... tak.

- Coś musi być w wodzie w Wenecji, prawda? - Harriet uśmiechnęła się. Co mogła zrobić innego? Znała plany Nicole od miesięcy. To czysta głupota, lecz czy naprawdę większa niż przejechanie połowy kraju, aby w końcu nie przeżyć taniego romansu? Przynajmniej Nicole była na tyle odważna, aby jej się zwierzyć. Ona sama nie wyjawiała prawdy o tym weekendzie nawet swojej najlepszej przyjaciółce.

- Gratulacje. - Wyciągnęła do niej ramiona. Nicole z przyjemnością dała się objąć.

- Na serio?

- Oczywiście.

- Strasznie ci dziękuję. Chyba nie zniosłabym, gdybyś była na mnie zła.

- Dlaczego miałabym być? To twoja decyzja. Nie powinnam chyba cię oceniać? Ty przynajmniej się starasz ocalić małżeństwo.

To coś nowego, pomyślała Nicole. Harriet raczej pomogłaby jej spakować rzeczy, zmienić zamki i wezwać prawnika, gdyby obwieściła, że porzuca Gavina. Czemu więc nagle pochwała jej przywiązanie do małżeństwa? Zdała sobie sprawę, że Harriet wygląda na bladą i zmęczoną. Coś było nie tak.

- Co się stało? - zapytała.

Harriet westchnęła. Na to pytanie mogła odpowiedzieć na dwa sposoby - krótko, kłamiąc, albo mówiąc prawdę, z płaczem. Nie chciała już więcej kłamać, zwłaszcza Nicole. Usiadła ciężko na najbliższym krześle i ukryła twarz w dłoniach. Wstrzymywane miesiącami łzy popłynęły szybko i gwałtownie.

Nicole siedziała bez słowa przez kilka minut, trzymając jej rękę na ramieniu. Kiedy wydawało jej się, że Harriet się odrobinę uspokoiła, odezwała się tonem normalnie zarezerwowanym dla dzieci, łagodnym i pocieszającym:

- Opowiedz mi, co się wydarzyło. Proszę.

- Wszystko. - Harriet westchnęła melodramatycznie. - Cholera, wszystko.

Podniosła głowę.

- Chyba go nie kocham, Nicole. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek go kochałam. Nie jestem w nim zakochana. Nie chcę się z nim kochać, ani z nim przebywać, ani robić z nim różnych rzeczy. Wydawało mi się, że mogę o tym zapomnieć i udawać, że wcale tak nie jest, ale już nie potrafię. Naprawdę.

- Czy coś się stało?

- Tak i nie. Nic znaczącego. Nie mam romansu, chociaż spotykałam się z kimś. Ale nie chodzi o niego, tylko o mnie. I Tima.

Nicole nie rozumiała, ale nie chciała przerywać potoku emocji, wylewającego się z Harriet.

- W pewnym wieku wybierasz osobę, za którą chcesz wyjść, i wychodzisz za nią. To jakbyś zapisała się do klubu. To miły klub, lubisz wszystkich pozostałych członków, masz ładny dom, ubrania, wakacje i tak dalej, masz cudownych przyjaciół, rodzisz dzieci, które są czymś najwspanialszym na świecie, i kochasz je nad życie. Ale pod koniec dnia, kiedy dzieci leżą w łóżkach, a twoi przyjaciele wrócili do siebie, siedzisz w swoim pięknym domu i nagle nie chodzi już o wszystkie te rzeczy, tylko o osobę, którą wybrałaś.

Musi to być odpowiednia osoba, ponieważ w przeciwnym razie wszystko inne nie ma znaczenia. A on nie jest tą osobą. Jest przemiły, dobry i życzliwy. Ale nie jest tą właściwą osobą.

- A kim powinien być? - zapytała Nicole.

- Łatwo na to odpowiedzieć. Chciałabym, żeby był kimś, kogo kochałabym najbardziej na świecie - żebym wolała umrzeć, niż żyć bez niego. Kto sprawiałby, że ściska mnie w dołku. Jak Gavin dla ciebie.

- Nie chciałabyś być żoną Gavina.

- Oczywiście że nie. Ale chciałabym czuć to, co ty do Gavina. A do Tima nie czuję. Myślałam, że spotkałam kogoś innego, ale to też nie była ta właściwa osoba. Nie chodziło o niego samego, tylko raczej o sam pomysł, wiesz. Wyszłam na idiotkę.

- Nie do końca za tobą nadążam - powiedziała Nicole. Trochę się obawiała takiej Harriet. Przyjaciółka, mówiła teraz, krztusząc się od gwałtownego płaczu. Nicole nie miała pojęcia, o kim mówi - Harriet miała przed nią sekrety. Usiłowała zignorować ukłucie - tu nie chodzi o nią. Co do tego doprowadziło? Harriet narzekała na Tima od miesięcy, ale Nicole nigdy przedtem nie traktowała tego poważnie. Tim był

wspaniałym facetem, i tak bardzo kochał Harriet i dzieci. Nicole lepiej niż większość osób wiedziała, że w miłości nie ma reguł, ale Tim był idealny, przynajmniej w teorii.

Nie idealny dla każdego, lecz dla Harriet. Nicole jasno to widziała - obserwowała ich razem latami. Tim „pasował” do Harriet tak, jak - miała nadzieję - ona i Gavin „pasowali” do siebie w oczach reszty świata (albo chociaż Harriet). Harriet była chaotyczna i nieprzytomna, Tim spokojny i rozsądny. Harriet była zabawna i nonszalancka, Tim przydawał jej powagi. Naturalnie różnili się między sobą, lecz także bardzo wiele ich łączyło, gdy chodziło o rzeczy zasadnicze - ciepło, uczuciowość, podobne podejście do dzieci. Pasowali do siebie nawet fizycznie. Tim długi i chudy, Harriet mniejsza i okrągłutka, idealnie sięgająca mu pod ramię.

Nicole przypomniała sobie, jak Tim opowiadał jej o ich pierwszym spotkaniu. Był trochę pijany i oczy błyszczały mu na to wspomnienie. Powiedział:

- Uważałem zawsze, że miłość od pierwszego spojrzenia to nonsens. Może to zresztą nie była miłość, ale z pewnością nie pożądanie, ponieważ wyglądała okropnie - cała zapłakana i rozczochrana. A jednak po prostu wiedziałem - jakby żarówka eksplodowała mi nad głową, jak w filmie rysunkowym - że to moja druga połowa. Urodziłem się, żeby ją kochać - dlatego jestem tutaj. To jest odpowiedź na wielkie pytanie. Oni są odpowiedzią, Harriet i Josh.

Nicole wiedziała, jak to jest, tak było z nią i Gavinem, ale poczuła się... niezupełnie zazdrosna, lecz świadoma, że uczucia Tima były szlachetniejsze, subtelniejsze niż Gavina, o ile nie brzmi to zbyt pompacyjnie. Uważała Harriet za najszcześniejszą osobę, jaką знаła. Tim zawsze śledził ją wzrokiem, nie zaborczo ani nieufnie, lecz z dumą. Nigdy nie zauważyła go flirtującego z inną - wydawało się, że jest do tego niezdolny. Nawet nie zauważał innych kobiet. Przepadł na amen w chwili, kiedy ujrzał Harriet po raz pierwszy.

Teraz Harriet wyrzucała z siebie historię spotkań, posiłków i na koniec tragicznego weekendu z Nickiem. Opowieść nie była zabarwiona zwykłym humorem czy ironią, lecz wstydem, żalem, upokorzeniem i następnymi łzami.

- Tak strasznie żałuję, że nie powiedziałam ci wcześniej. Bałam się, że będziesz się starała mnie powstrzymać. Bałam się, że będziesz po stronie Tima.

Nicole podniosła do góry głowę Harriet i spojrzała jej w oczy.

- Zawsze będę po twojej stronie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nigdy nie wystąpiłaś przeciwko mnie. Tak po prostu jest.

- Nawet jeśli rozumiesz sytuację Tima? To chyba przez to ci nie powiedziałam.

Nicole wyobraziła sobie twarz Tima i jego ból.

- Tak, starałabym się ciebie powstrzymać. Ale nie dlatego, że prowadzę jakąś krucjatę na rzecz wierności małżeńskiej, tylko żeby uchronić was przed cierpieniem. Ten cały Nick być może nie jest łotrem z pantomimy, ale chyba nie ma zbyt wiele względów ani dla ciebie, ani dla twojego małżeństwa.

Harriet uśmiechnęła się żałośnie.

- Myślę, że w środku jest tak samo porąbany jak my wszyscy.

- Być może - zgodziła się Nicole. - Chociaż akurat nie nim przejmuję się w tej chwili. Chcę ci coś powiedzieć o Timie - wcale nie to, że jest idealnym mężem i że zwariowałaś, chcąc go zostawić. To nie moja sprawa - tylko dwoje ludzi tak naprawdę wie, jakie jest ich małżeństwo.

Harriet popatrzyła na przyjaciółkę i zrozumiała przytyk.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że przyjaźnię się z tobą, z wami, od siedmiu lat i myślę, że nie masz racji co do waszego związku. Z pewnością kochałaś go wtedy, kiedy cię poznałam. Kochałaś go, kiedy urodzili się Josh i Chloe. Naprawdę go kochałaś, tak jak mówisz. Tego nie można udawać. Widziałam cię. A on z całą pewnością kocha cię w każdej minucie tych siedmiu lat, wiem o tym na pewno.

Harriet słuchała, pociągając nosem. Nicole wiedziała, że jest bliska przekroczenia granicy niebezpiecznej strefy w ich przyjaźni, ale tak bardzo zależało jej na nich obojgu, że odrzuciła wszelkie opory i rzuciła się w przepaść. Słowa popłynęły same. Nie patrzyła na Harriet, ale wiedziała, że przyjaciółka słucha jej w napięciu.

- Wydaje mi się, że wmówiłaś sobie z czasem, że to Charles jest jedyną prawdziwą miłością w twoim życiu, ponieważ ta historia nie zakończyła się ostatecznie, kiedy poznałaś Tima. Wmówiłaś sobie, że poślubiłaś jakiś drugorzędny substytut i że dlatego nie możesz naprawdę go pokochać. Nienawidzisz się za „stabilizację” i czujesz się winna, bo myślisz, że go wykorzystujesz. Teraz usiłujesz przekonać samą siebie, że powinnaś od niego odejść, bo uważasz, że to najlepsze rozwiązanie. Harriet nadal milczała.

- I myślę, że ta historia z Charlesem - to stek bzdur. Byłaś taka młoda, to była pierwsza miłość - nigdy nie przeszła życiowych sprawdzianów. Upadłaś przed pierwszą przeszkodą. To samo z Nickiem. To tylko gra. Nie odrzucaj tego, co prawdziwe. Wierzę w ciebie i Tima - naprawdę mocno wierzę.

Harriet musiała przyznać Nicole rację co do niektórych rzeczy. Co do Charlesa i Nicka.

- Dlaczego w takim razie tak się czuję? Skoro wszystko jest tak wspaniałe?

Na to Nicole nie miała gotowej odpowiedzi.

- Nie wiem. Nazwij to syndromem siedmiu lat. - Harriet niecierpliwie odrzuciła głowę. - Nie, nie żartuję. Mam na myśli raczej to, że zażyłość rodzi lekceważenie. Boisz się, że może tracisz coś wspaniałego. Chyba to właśnie czasami czuje Gavin.

Harriet spojrzała ze złością.

Nicole wprawnie odwróciła rozmowę od krytycznego punktu.

- To chyba to wesele na wiosnę i fakt, że mamy po trzydziestce - może to okres przełomowy. Coś w tym stylu. A jakbyście się tak na chwilę rozstali z dziećmi i codziennością? Jak myślisz?

Albo rozstać się na chwilę ze sobą, pomyślała Harriet. Nicole być może przejrzała całą sytuację jak profesjonalistka, lecz nie umiała zaoferować żadnego rozwiązania.

Czerwiec

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Moja Antonia Willa Cather, 1992*

Moja Antonia unieśmertelnia postać pięknej imigrantki o wielkich oczach, która prześladowuje Jima Burdena przez całe życie. W jego mniemaniu Antonia Shiberdas uosabia niezwykle sprzeczności amerykańskiego Zachodu: surowość i dzikie piękno, nieskończone możliwości i rozległe horyzonty.

* W. Cather, *Moja Antonia*, przeł. Ryszarda Grzybowska, Warszawa 1992.

Gotowa?

Susan zgarnęła torebkę ze stolika w przedpokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Czy jestem gotowa?! - W podskokach znalazła się na ścieżce, wyprzedzając przyjaciółkę.

- Czy dobrze zgaduję, że książka ci się podobała?

- Książka? Nie bardzo! Nie do końca ją zrozumiałam. Nic nie szkodzi, chociaż oczywiście nie zamierzam się do tego przyznawać, zwłaszcza wobec Harriet, i mam nadzieję, że mnie nie wydasz. Nie to ładne, co ładne... i tak dalej. Po prostu mam ochotę na odrobinę rozrywki. Chcę usiąść na nieskazitelnie białej sofie Nicole, wypić lampkę cudownie białego wina i zapomnieć o nich wszystkich.

- Kim są oni? Chyba nie Roger?

- Och, nie. On jest cudowny. Oczywiście. Ale na przykład moi klienci, ze swoim odrażającym gustem i niezrozumiałymi żądaniami.

- Miałaś dobry dzień w pracy?

- Bynajmniej. Jeden z tych okropnych, szczerze mówiąc. Mary jest w strasznym nastroju od tygodni. Chyba martwi się Clare, ale to przecież nie moja wina?

- Przyznam się wam, że już ją kiedyś czytałam. Wokół rozległy się dobroduszne okrzyki niezadowolonia.

Harriet uniosła rękę, prosząc o ciszę.

- Ale dawno temu, na studiach. Jak wiadomo, macierzyństwo przyćmiewa umysł, więc przeczytałam ją teraz od nowa. Uważnie i tak dalej. W razie gdybym się zmieniła i gdyby mi się już nie podobała. Ale podoba mi się. Właściwie trochę się nawet denerwuję. Jeśli wybiera się ukochaną książkę i chce się, żeby inni też ją polubili, to trochę ryzykowne. Kiedyś strasznie mi się podobała. Chciałam, żebyśmy się wysiliły i przeczytały coś dawniejszego. Coś, co wybrałyśmy nie dlatego, że jest na liście bestsellerów, leży na każdej wystawie albo wszyscy to czytają. Chyba jesteśmy gotowe na klasykę.

- Jane Austen - czemu nie, choć nigdy nie proście, żeby przeczytać ją w klubie. Karol Dickens - owszem, choć szczerze mówiąc, serial BBC jest jeszcze lepszy. D.H. Lawrence - hmm, tak. Ale chyba nie to. Facet w księgarni musiał mi przypomnieć, jak się to wymawia. Okropnie żenujące. A potem specjalnie zamówić. Jak może być klasyką coś, o czym nigdy nie słyszałyśmy?

- Nie zmuszajcie mnie do odpowiedzi - mrugnęła Harriet. - Po prostu uwierzcie na słowo. To amerykańska klasyka. Zajmowałam się tym w college'u. Walt Whitman, Flannery O'Connor, Stephen Crane. I tym podobni.

- Teraz naprawdę za tobą nie nadążamy.

- Chyba znalazłam się w niewłaściwym klubie.

- Nie, to chyba Harriet trafiła do niewłaściwego klubu. Wszystkie jesteśmy mniej więcej na jednym poziomie. To ona jest tą jedyną intelektualistką.

- Mogłybyśmy czytać „Hello!”, Jane Green i Wendy Holden.

- Jaki Flannery?

- Poczekajcie. - Nicole przypomniała sobie coś i pochyliła się do przodu z przejęciem. - Przecież Chloe miała się nazywać Flannery? To dlatego?

- Tak! - odparła z ożywieniem Harriet. Pozostałe wykrzywiły się.

- Dzięki Bogu za Tima.

- Zdecydowanie. To okrucieństwo. Flannery. Możecie sobie wyobrazić, jak wołałaby ją na placu zabaw? Flannery! - teraz wszystkie się śmiały.

- No już dobrze. Faktycznie, na pewno jestem w niewłaściwym klubie, ale postanowiłam was tolerować, oczywiście z altruistycznych pobudek. - Harriet śmiała się z siebie samej jeszcze serdeczniej niż z nich, i to ją uratowało. - Ale czy wam się podoba? - Rozejrzała się po pokoju, z wyciągniętymi rękami, dłońmi do góry. Co za despotka. Nicole już spodziewała się prośby o podniesienie rąk, a potem zatrzymania po lekcji tych, które odpowiedziały przecząco.

Polly wyrwała się pierwsza.

- Mnie tak. Nie pokochałam tej książki, ale spodobała mi się. Najbardziej opisy przyrody.

- Zdecydowanie. To niezwykle wycucie pór. roku, bogactwa kolorów, na przemian z ludzkim ubóstwem.

- Daj spokój, Harriet. To ty zawsze opowiadasz o dramacie, uczuciach, namiętności. Czy naprawdę znajdujesz to w tej książce, czy czytasz ją na jakimś innym poziomie?

- Ależ jest w niej wszystko - niespełniona miłość, samobójstwo, uwiedzenie, opuszczenie, stracona młodość, duch pionierstwa, rozczarowanie.

Następna odezwała się Clare:

- Rozumiem, ale styl jest dosyć dziwny. Wszystko się dzieje jakby poza głównym nurtem akcji.

Ona opisuje ogromnie ważne wydarzenia jakby mimochodem.

- Jakby rozgrywały się na tle czegoś. Chyba nie chciała napisać kolejnego kobiecego romansu. Wszystko jest takie wielkie.

- Ależ, Harriet, ty podobno najbardziej lubisz kobiece romanse.

Harriet była prawie w rozpacz. Uznała, że powieść nie spodobała się nikomu, pewnie dlatego, że w ogóle jej nie zrozumiały. Czemu ciągle jej to wypominają?

Clare pospieszyła z pomocą.

- Uwielbiam stoicyzm Antonii. Przytrafiają się jej wszystkie te okropieństwa - jej życie to właściwie koszmar. Ojciec popełnia samobójstwo, mężczyzna, którego kocha, zrobił jej dziecko i opuścił ją, ale nigdy nie straciła ducha, nigdy się nie poddała. I w końcu znajduje szczęście, prawda? Nie wiem, czy to prawdziwy happy end. Nie jestem pewna, czy tak jest dla Jima, dla narratora. Ale dla niej chyba tak. Wychodzi za męża za kogoś, kto ją kocha i porzuca swoje życie, żeby razem z nią uprawiać ziemię, nie przeszkadza mu, że ma nieślubne dziecko. Potem rodzi kolejne dzieci - które najwyraźniej uwielbia. Najstarsza córka jest już dorosła i ma własne dziecko, ale matka nie może znieść jej odejścia.

Harriet spojrzała na nią. Wszystkie wiedziały, że Clare odeszła od Elliota i zamieszkała z matką, ale nie mogły nic powiedzieć, dopóki sama ich nie poinformowała. Harriet nie spodziewała się, że zrobi to niebawem. Jest taka ładna i miła, ale jej życie to tragedia. Chce tego, co ja mam, pomyślała nagle. Kochającego męża i dzieci, zdrowych i bezpiecznych. Myśli pewnie, że w moim życiu nie ma miejsca na nie-szczęście. A gdybym jej opowiedziała, na czym polega mój dramat, pomyślałaby, że jestem wariatką. Niewdzięczną i żalną. To jak skarżyć się głodującemu, że nie możesz dokonać wyboru między restauracją chińską a hinduską. Poczła lekkie drgnienie wstydu. Gdyby Clare wiedziała, czego o mały włos nie zrobiła z Nickiem... Może powinna porozmawiać z Clare, a nie z Nicole. Nabrałaby innej perspektywy i wzięła się w garść.

Clare zauważyła, że Harriet się jej przygląda. Nie wiedziała, o czym myśli, ale dostrzegła na jej twarzy przelotny wyraz litości. Chciała z nią porozmawiać. Chciała, żeby Harriet spytała ją, jak to jest, nie móc mieć dziecka. Stracić noszone dziecko i bać się okropnie za każdym razem, że to się stanie znowu, tak że w końcu czekało się już tylko na to i nie było miejsca na radość i podniecenie. Mogła opisać, co czuła, kiedy nadchodził skurcz albo kiedy widziała krew w toalecie - dziwną ulgę, bo najgorsze jest oczekiwanie. Chciała, aby Harriet zapytała, jak to jest, kiedy rozpada się małżeństwo, ponieważ nie może się mieć dzieci i nie wiadomo jak pomóc sobie nawzajem to zaakceptować. Chciała opowiedzieć Harriet o wszystkim, ale nie były same. Ją samą to zdumiało; nigdy przedtem nie miała ochoty o tym z nikim rozmawiać, nawet z matką. Nie mogła znieść smutku na twarzy Mary. Ale z Harriet to zupełnie coś innego. Pewnego dnia jej opowie, była tego pewna. Kiedy poznają się trochę lepiej, kiedy nadarzy się okazja. Uśmiechnęła się do niej wśród gwaru rozmów.

Elliot

Mary powiedziała mu, dokąd poszła Clare. Nie wyjaśnił, czemu jej szuka, a Mary nie pytała. Ostatni raz odwiedził dom teściów tego kwietniowego wieczoru, kiedy Clare się wyprowadziła. Widział Mary tylko raz, przelotnie. Przyszła do niego w sobotni ranek i wypili razem herbatę w krępującym milczeniu. Bez Clare obecność jej matki w domu sprawiała dziwne i smutne wrażenie. Oboje odczuli ulgę, kiedy podniosła się do wyjścia. Reg odwiózł córkę do jednej z koleżanek, Mary nie wiedziała dokładnie, której. Na ogół kończyły spotkanie około wpół do jedenastej i Reg miał ją odebrać. Nie pytała, czemu Elliot chciał sam po nią pojechać, tak jak nigdy nie pytała go, co zamierza zrobić. Od tak dawna byli po jednej stronie. Zawołała Rega, aby wytłumaczył, jak dojechać do domu Harriet. Zaproponowali mu drinka dla zabicia czasu, jak powiedzieli, ale Elliot podziękował i odmówił. Gdyby został dłużej w salonie, w którym spędził dziesiątki świątecznych poranków i setki niedzielnych obiadów, musiałby opowiedzieć im o dziecku i o Cressidzie. Czy z tchórzostwa, czy dlatego, że powinien, sam już nie wiedział. Znienawidziliby go, był tego pewien. Lata przyjaźni zmiotłaby fala opiekuńczej miłości do Clare. Będzie za nimi tęsknił.

Popołudnie spędził sam nad rzeką, obserwując świat nowymi oczami. Nagle stary świat okazał się pełen nieskończonych możliwości. Przygniatała go tylko wizja twarzy Clare i dlatego podjął decyzję, że musi powiedzieć jej dzisiaj. Rzeczywistość nie może być o wiele gorsza od wyobrażeń. Chciał się od tego nareszcie uwolnić.

Wstąpił do pubu na szklaneczkę brandy. To tu przyszedł z Cressidą na swojego pierwszego drinka wiele miesięcy temu. Przyjemnie było znaleźć się wśród rozbawionych, wakacyjnych gości i powiedzieć, choćby tylko do siebie: „To tutaj zesłaliśmy się z moją dziewczyną. Jest w ciąży, tak, pierwsze dziecko. Jesteśmy bardzo szczęśliwi”. Jak inni ludzie. Pewnie tak czuje się więzień, który właśnie wyszedł na wolność, albo chory na raka w remisji. On także wydostał się z więzienia nieszczęśliwego małżeństwa. Bo przecież takie było ostatnio, niezależnie od początków. Małżeństwo, w którym dwoje ludzi cierpi, nie ma szans, choćbyś strasznie pragnął, aby stało się z powrotem takie jak kiedyś, albo nawet inne, ale mniej nieszczęśliwe. Nie mogli nic na to poradzić. Ale uwolnił się z niego. To przyjemne uczucie. Mrużył oczy w słońcu po latach spędzonych pod ziemią. Bardziej niż cegokolwiek innego pragnął, aby Clare poczuła się podobnie. Może dzisiejszy dzień będzie oznaczał dwa kroki w tył, lecz wierzył, że w końcu także pójdzie naprzód... Nie potrafił jej jednak w tym pomóc.

Później, czekając pod domem Harriet, obserwował wychodzące kobiety. Rozmawiały głośno, chichocząc, zarumienione od wina i podniecenia. Clare wyszła ostatnia, między Susan a jakąś nieznaną kobietą. Miała zaróżowione policzki, uśmiechnięta wyglądała tak ładnie i młodo. Zatrzymała się gwałtownie i jej uśmiech znikł, kiedy zobaczyła go za szybą samochodu. Podeszła ostrożnie i syknęła prawie ze złością:

- Elliot, co ty tu robisz?

- Byłem u ciebie w domu. Chciałem się z tobą zobaczyć - twój tata powiedział, gdzie cię znaję. Przyjechałem zamiast niego.

Clare w widoczny sposób była skrepowana. Odrobinę głośniej, najwyraźniej na użytek innych, oznajmiła:

- A ja właśnie zaproponowałam Polly, że ją podwieziemy do domu - obie jedziemy w innym kierunku niż pozostałe.

Polly zaczęła zaprzeczać, a Susan wtrącała:

- Ja cię podrzucę, Polly. To żaden problem.

Polly przyjęła z wdzięcznością propozycję, pocałowała Clare w policzek i odeszła w kierunku samochodu Susan. Elliot odprowadził ją wzrokiem.

W samochodzie panowała cisza. Elliota korciło, aby włączyć radio.

Clare siedziała w milczeniu, odsunięta od niego jak tylko mogła najdalej, wciskając się nieomal w tapicerkę. Patrzyła sztywno przed siebie. Co on tu w ogóle robił? Co do cholery chciał osiągnąć?

Ten niemy wyrzut go przerażał. Nie mógł przeprowadzić zaplanowanej rozmowy wśród gęstego ruchu ulicznego, ale też nie chciał wracać do jej rodziców ani zabierać jej do miejsca, które teraz było tylko jego domem. Pub również nie wydawał się odpowiedni. Skręcił w spokojną boczną uliczkę i zgasił silnik. Znajdowali się w odległości kilku minut spacerem od domu Mary i Rega.

- Co ty robisz? - Zirytowane westchnienie. - Elliot, już późno i jestem zmęczona, naprawdę nie mam ochoty tu siedzieć.

- Po prostu mnie wysłuchaj, dobrze? Chcę ci coś powiedzieć.

Ton głosu sprawił, że zaczęła słuchać. Nie miała pojęcia, do czego zmierzał. Przez krótką chwilę zastanowiła się, co zrobić, jeśli poprosi ją, jeśli będzie ją błagał, żeby wróciła. Nie wróci. Po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę. Nie czuła, że spogląda na człowieka, którego kocha, choć tępy ból w żołądku przypominał jej codziennie, że chyba jednak tak. To dziwne, przecież kochała go tak długo. Skoncentrowała wzrok na jego ustach i obserwowała poruszające się wargi.

Teraz Elliot spoglądał na nią i mówił. Brzmiało to tak, jakby przepowiadał sobie tę rozmowę tysiące razy, trochę zbyt szybko, ponieważ bał się, że mu przerwie, trochę zbyt chaotycznie, z obawy przez wybuchem.

- Wiem, jak cię to zaboli. Żałuję, bardziej niż przypuszczasz, że tak się ułożyło nasze życie. Powinniśmy byli rozstać się dawno temu. Tak by było najlepiej dla nas obojga. Nie możemy nic poradzić na swoje problemy. Nie potrafiliśmy już od dawna. Zrobiłem okropną rzecz i tak strasznie mi przykro.

Clare przez cały ten czas patrzyła wprost na niego, bez jednego mrugnięcia, nie reagując. Jeszcze nic nie powiedział.

- Poznałem kogoś. - Cios w splot słoneczny.

- Spotykamy się od kilku miesięcy. - Kopniak w krocze.

- Jest w ciąży. To moje dziecko. - Strzał w skroń. Głos dobiegał jak z wielkiej odległości. Elliot mówił dalej, o wiele mil stąd. Starał się zatrzeć pierwsze wrażenie.

- Nie planowaliśmy tego z Cressidą. - Miała więc imię i Clare wiedziała, kim jest. Nie poznała jej, ale wiedziała.

- To się zwyczajnie stało.

Clare wciąż się nie odzywała. Elliot zaczynał się więc pod jej baczny wzrokiem.

- Myślę... że ją kocham. Ona chyba mnie też...

W końcu Clare przemówiła, ponieważ chciała zagłuszyć te słowa. W środku wszystko w niej krzyczało, ale odezwała się opanowanym tonem.

- Dziękuję ci. Bardzo ci dziękuję. Nie tylko za to, że pieprzyłeś kogoś całymi miesiącami pod moim nosem. Ale też to, że mówisz mi o tym w samochodzie. Za przypadkowe zrobienie jej dziecka. Za to wyznanie, że się kochacie. Wielkie dzięki. Jesteś prawdziwym geniuszem.

Na widok jej wściekłości Elliot nieomal poczuł ulgę. To było o tyle łatwiejsze.

Chciała go uderzyć, z całej siły, w usta, które powiedziały wszystkie te rzeczy. I uderzyła go. W jednym ciosie zawarła lata bólu i złości. Aż mu głowa odskoczyła. Nigdy przedtem Clare w gniewie nie podniosła nawet palca. Był zadowolony, że zrobiła to teraz.

Wysiadła, trzaskając drzwiami. Elliot opuścił szybę.

- Clare, poczekaj. Pozwól, żebym cię odwiózł. Musimy porozmawiać.

- Tego akurat nie musimy wcale robić. To nie ma nic wspólnego ze mną. Już nie. Zostaw mnie w spokoju.

I odeszła w kierunku domu Mary.

Elliot otworzył drzwi, aby pójść za nią. Ale zmienił zdanie i został w samochodzie. Nie powinien jej gonić. Po co? Nie było nic do powiedzenia. Popatrzył na jej plecy. Szła ze zwieszoną nisko głową, z rękami głęboko w kieszeniach. Prawdopodobnie płakała. Nie potrzebowała go. Potrzebowała swojej matki. Siedział nieruchomo w zaparkowanym samochodzie, obserwując, jak się oddala.

Ogarnął go lęk. Co on najlepszego zrobił? Powiedział Clare, a przecież Cressida prosiła go specjalnie, aby tego nie robił. Czy nie było to słuszne? Nie miał do tego prawa?

Nie myślał przecież o swoich prawach. Po prostu głęboko pragnął, aby wszyscy się dowiedzieli. Cressida nie zdradziła Polly, kto jest ojcem dziecka, ponieważ Clare nic nie wiedziała. Był pewien, że to dlatego. Nie mógł znieść myśli, że ich dziecko jest sekretem. Teraz przeraził się reakcji Cressidy, tak jak później będzie się bał Polly, Mary i Rega. Ale jednocześnie czuł się wolny i szczęśliwy.

Clare powiedziała swojej matce tego samego wieczoru, Mary opowiedziała Susan następnego ranka, a Susan poinformowała Polly natychmiast potem. Zadzwoiła do niej do biura, poprosiła, żeby wyszła na kawę i przyjechała prosto ze swego pięknego, sielankowego wzgórza, aby powiedzieć najukochańszej przyjaciółce, że jej córka jest w ciąży nie ze szkolną miłością, nieomal nastolatkiem, którego Polly znała przez całe życie, lecz z obcym mężczyzną, starszym od Cressidy o dwanaście lat. Żonatym z ich koleżanką. To była najtrudniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyły. A może w ogóle najtrudniejsza w życiu.

Polly nie wierzyła własnym uszom. Czemu Cressida jej nie powiedziała? Teraz, kiedy ich stosunki wreszcie się unormowały, myślała, że już nic jej nie zaskoczy ani nie zaszokuje. O dziecku wiedzieli wszyscy, zarówno w college'u, jak i w szerokim świecie. Nie mogło być dłużej tajemnicą, ponieważ brzuch Cressidy zaczął w znaczący sposób wystawać do przodu. Na jej szczupłej sylwetce było to jeszcze bardziej widoczne. Cressida uwielbiała swoje nowe kształty (Polly była ciekawa, jak długo to potrwa, zanim zaczną się spuchnięte kostki, ból w plecach i niestrawność) i nosiła te same podkoszulki co zawsze. Pasek ciała pomiędzy skrajem bluzki a talią spodni powiększał się co tydzień. Niedawno Polly obserwowała córkę, stojąc w drzwiach do salonu: Cressida machinalnie głaskała się po brzuchu, oglądając telewizję, w pozie przypominającej żywo Polly ją samą sprzed dwudziestu lat.

Co u diabła ma jednak zrobić teraz?

Poczuła przyływ bezbrzeżnej wściekłości na tego Elliota. Jak śmiał? W co on się bawi? Starszy, żonaty mężczyzna, zajmujący odpowiedzialne stanowisko na uczelni. To nie w porządku. Natychmiast po wyjściu Susan, zanim zdała sobie sprawę, co zamierza, zadzwoniła ze swojej komórki do informacji telefonicznej, uzyskała numer biura college'u i wykrciła go. Poprosiła Elliota do telefonu. Spokojny dziewczęcy głos poinformował ją, że Elliot jest na zebraniu. Polly zostawiła swoje nazwisko i numer.

Pół godziny później, po powrocie do domu, natychmiast pożałowała swojego czynu. Powinna była najpierw porozmawiać z Cressidą. Większość wściekłości wyparowała z niej wraz z energią. Polly osunęła się bezwładnie na kuchenne krzesło. Daniel miał trening piłki nożnej i zamierzał wrócić do domu z jednym z chłopców ze swojej drużyny. Cressidy także nie było - na stole leżała kartka, na której napisała, że idzie się z kimś spotkać, a potem może wpadnie do Dana i Tiny na kolację. Podpisała się imieniem z dwoma krzyżykami i kółkiem, co oznaczało uściski. Polly nie sięgnęła po telefon, chciała przez chwilę posiedzieć sama z nowymi informacjami. Chciała także porozmawiać z Jackiem, ale nie odważyła się zadzwonić w takim stanie.

Prawie udało jej się zasnąć na kanapie, po opróżnieniu dużej szklanki whisky, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

To był Elliot. Podał jej grzecznie rękę i przedstawił się.

- Dostałem pani wiadomość. Pomyślałem, że lepiej spotkać się osobiście. Czy Cressida jest w domu?

- Nie, jestem sama. Proszę w takim razie wejść do środka.

Przysunęła się do ściany, żeby go przepuścić. Mężczyzna, który uczynił ją babcią, przynajmniej nie jest tchórzem.

- Cressida zapewne nie wie, że pan tu jest?

- Nie.

- Czy miała jakiegokolwiek pojęcie, że zaplanował pan rzucić swoją małą bombę wczoraj wieczorem?

- Nie - przyznał.

Polly poczuła złość w imieniu Cressidy. Elliot postąpił w najgłupszy możliwy sposób. Była przekonana, że Cressida się wścieknie.

Jej milczenie go ośmieliło.

- Nie chcę dłużej trzymać istnienia dziecka w tajemnicy. Nie chcę, żebyśmy musieli się ukrywać.

- Cressida się nie ukrywa. Jestem niezwykle dumna z jej zachowania. Nie mam tylko pewności, jaką rolę pan odgrywa w tym wszystkim, poza jedną, najbardziej oczywistą...

To było podłe i oboje o tym wiedzieli.

- Proszę tak nie mówić. To wcale nie tak.

- Jak?

- Pani uważa, że dla mnie to tylko przygoda. Mówi pani, jakbym był jakimś uniwersyteckim donżuanem, który ją uwiódł i wykorzystał.

- Skąd mam wiedzieć, jak było? - zapytała Polly. - Wczoraj był pan facetem, którego Cressida spotkała raz czy dwa na uczelni, żonatym z moją znajomą. Teraz nagle mówi mi pan, że moja córka jest z panem w ciąży. Jak do cholery to brzmi? Z mojego punktu widzenia, niezbyt dobrze.

Elliot ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że jest zły. Oceniała go, nic o nim nie wiedząc. Nagle rozpaczliwie zapragnął udowodnić jej, a pośrednio także i Cressidzie, jakim jest człowiekiem. Wyrzucał z siebie gwałtownie zdania, których nigdy wcześniej świadomie nie sformułował.

- Kocham pani córkę. - Wymawiał każde słowo powoli i dobitnie. To było cudowne, móc to powiedzieć. - Kocham Cressidę. Naprawdę. Przykro mi, że wszystko tak się potoczyło, i przykro mi, że nie załatwiliśmy wszystkiego we właściwej kolejności, ale kocham ją i oboje chcemy tego dziecka. Postąpię tak jak trzeba nie dlatego, że tak się postępuje, ale dlatego, że tego chcę. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Wszyscy troje.

Polly nie wątpiła w szczerść jego uczuć. Żarliwość i przejęcie dało się łatwo wyczytać w każdym rysie jego twarzy, na której, jak u dziecka, każda emocja odbijała się otwarcie. Wyglądał tak bezbrinnie. Teraz wydał się Polly przystojniejszy niż przed kilkoma minutami - miał piękny uśmiech i duże, żywe oczy.

- A co na to Cressida? Czego ona chce?

Elliot zbyt późno zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma pojęcia. Wiedział, że chce urodzić dziecko, ale nie zapytał, czy pragnie także i jego. Powiedziała, że go kocha - okazała to także wiele razy. I nosiła jego dziecko. Z pewnością czuła to samo, co on. Nie mogło być inaczej.

Polly natychmiast dostrzegła jego konsternację i panikę. Złość zastąpiło coś w rodzaju współczucia. Ten facet wpadł w prawdziwe tarapaty. Jak tonący, który kurczowo się czegoś chwytą - i co może pociągnąć za sobą pod wodę. Cressidę. Poczowała się zmęczona. Kolejna macierzyńska bitwa do stoczenia. Najpierw dziecko i jego los, a teraz przyszłość Cressidy z tym człowiekiem. Sześć miesięcy wcześniej pomyślałaby, że ciąża dwudziestoletniej, studiującej Cressidy to najgorszy możliwy scenariusz. Teraz nie była już taka pewna.

- Nie wiem. - Nie mógł odpowiedzieć inaczej. Uszła z niego cała pewność siebie.

Nagle stracił odwagę, która towarzyszyła mu w ciągu ostatniej doby. Żadnych konfrontacji więcej. Nie tego wieczoru.

- Zaczeka pan na nią? Wróci później.

- Lepiej przyjdę kiedy indziej.

- Chyba tak. - Polly chciała przespać się z problemem (a raczej spędzić bezsenność) sama. - Może jutro? Muszę z nią jutro porozmawiać. Teraz, kiedy ludzie wiedzą.

- Dobrze. Niech pani z nią porozmawia. Będę u siebie.

- Nic podobnego - położyła mu rękę na ramieniu. - Proszę przyjść tutaj. Jeśli naprawdę kocha pan moją córkę, będzie pan tu jutro rano, aby wytłumaczyć swoje postępowanie i uczucia. Tyle przynajmniej może pan zrobić.

Cressida

Cressida i Polly siedziały przy stole, jedząc płatki, pijąc herbatę i rozmawiając o formularzach, które Cressida musiała wypełnić w opiece społecznej - zasiłek dla samotnej matki, dodatek na dziecko - a także o tym, że będzie potrzebować kilku „ogromnych” kosztów na następne kilka miesięcy. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, Polly poszła otworzyć, wprowadziła Elliota do kuchni i stanęła obok niego. Na widok gościa Cressida poczuła się ogłuszona. Spodziewała się Susan albo jednego z kolegów Daniela.

- Co ty tu robisz?

Polly zauważyła, że córka jest zbyt zaszokowana, aby wybuchnąć wściekłością albo próbować kłamstw.

- Twoja mama wie o nas, Cress. Powiedziałem Clare, która powiedziała swojej matce, jej matka swojej szefowej, a ona twojej mamie. Wiem, że to brzmi jak jakiś cholerny głuchy telefon. Wczoraj wieczorem przyszedłem tu porozmawiać z twoją mamą, jak tylko dowiedziałem się, że ona wie.

- Co takiego? Przecież obiecałeś! - krzyknęła Cressida, patrząc na Polly. - Co on ci takiego naopowiadał, mamó?

- Że spotykacie się od kilku miesięcy i sypialiście ze sobą. Cressida poczerwieniała.

- I że to dziecko jest jego.

- Cressido, kiedyś musiałam się dowiedzieć.

- To nie była twoja sprawa. Nie ty miałeś to załatwić.

- Nie ja jej powiedziałem. Powiedziałem mojej żonie.

- To słowo było bolesne. - Musiałem. Byłem jej to winien, przynajmniej tyle.

Cressida milczała.

- Wcale nie żałuję, że wszyscy wiedzą. Oczywiście, to jest dla ciebie trudne...

- Wynoś się stąd.

- Cressido... - zaczęli Polly i Elliot jednocześnie. Roztrzęsiona Cressida wstała, opierając się o krzesło. Dygotała cała, drżał jej też głos.

- Elliot, nie miałeś prawa tego robić. Nie miałeś najmniejszego prawa. Wynoś się.

- Tu nie chodzi o prawa, Cress - szepnął błagalnie Elliot.

- Chodzi o to, żebyśmy nie musieli się już ukrywać. Miałem tego dosyć. A ty nie? Nie rozumiesz? Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli.

- Ale to moja mama. - Cressida rozplakała się. - Przepraszam, mamó.

Polly otworzyła ramiona, ale Cressida otrząsnęła się, potarła gniewnie twarz ręką i odwróciła się do Elliota.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Elliot spuścił głowę.

- Kocham cię, Cressido. I kocham to dziecko.

Mówił stłumionym głosem, z głową opuszczoną na piersi. Słowa te miały tyle znaczyć, ale teraz, pośród gniewu i strachu, wydawały się niewystarczające.

Nie mogła tego przyjąć, nie wobec Polly, nie teraz. To nie miłość.

- Jeśli ty nie wyjdiesz, ja to zrobię. - Wyminęła ich, nie zwracając uwagi na błagania, zerwała sweter z wieszaka w przedpokoju i wybiegła, trzaskając drzwiami. Elliot także zapragnął uciec, a Polly go nie zatrzymywała.

Kilka godzin później Polly nadal siedziała w kuchni i czekała, kiedy Cressida - już spokojna - wróciła do domu. Powiedziała, że spacerowała po okolicy. Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie własnej głupoty. Zapomniała zabrać portmonetkę, więc musiała wrócić na herbatę.

- Chyba po prostu nie jestem dobra w gwałtownym wybieganiu z mieszkania.

- Dziwne, zważywszy, że to popisowy numer twojego ojca. - Polly przytuliła ją.

- Przepraszam, mamó. Jeszcze raz. Czy kiedykolwiek przestanę to mówić?

- Mam wielką nadzieję. Cressida uśmiechnęła się ponownie.

- To był jednak trochę szok, Cress. - Cóż za niezwykła powściągliwość.

- Wiem, że powinnam była ci powiedzieć. Ale rozumiesz, czemu tego nie zrobiłam?

- Problem jednak nie zniknąłby sam, kochanie, tak jak dziecko. Chyba nie zamierzałaś bez końca udawać, że to Joe?

- Nigdy nie twierdziłam, że to on. Po prostu pozwoliłam ci w to wierzyć. Wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

- Nie dla Joego.

- Joe wie o wszystkim - napisałam do niego. Wie, że jestem w ciąży, i że dziecko nie jest jego. Nigdy nie sypiałam z Joem, mamó.

Polly roześmiała się słabo. Przynajmniej w tym się nie pomyliła.

- Słuchaj, kochanie, nie zamierzam prawić ci morałów z powodu Elliota.

- Mamo, wiem, że on jest żonaty i że to źle. Nigdy, nawet za milion lat, nie pomyślałabym, że jestem zdolna sypiać z czyimś mężem, ale... - urwała. Nawet w wieku dwudziestu lat znała już wszystkie oklepane argumenty. Clare go nie rozumiała. Został z nią z litości. Nie godzi się opowiadać w ten sposób o niej i Eliocie. Wszystko brzmiało trywialnie i obrzydliwie. Było inaczej: oboje o tym wiedzieli. I chyba nawet nie chciała tłumaczyć tego matce. To należało do nich.

- Daj spokój, wszystko w porządku, naprawdę. Po prostu... - Polly wzięła dłoń Cressidy i przycisnęła ją do serca - ... nie możesz wymagać, żeby zataił coś takiego przed Clare. Cokolwiek by się między nimi działo, nadal jest jego żoną. Musiał jej powiedzieć. Nie powinnaś być na niego zła.

Cressida była zdumiona. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć od matki.

- Czy ty chcesz go bronić?

- On nie potrzebuje mojej obrony ani mojego ataku. To dorosły człowiek, w bardzo trudnym położeniu. I uważam, że uczciwie stara się znaleźć najlepsze wyjście. Myślę, że powinnaś to zrozumieć.

Cressida przytaknęła.

- Cięża oznacza, że będziesz musiała dorosnąć na wiele sposobów, kochanie. Czy wiesz, co mam na myśli?

Cressida pomyślała, że chyba wie.

Elliot

Na progu ujrzał Cressidę. Miał nadzieję, że to ona. Otworzył drzwi na oścież i stanął z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Podeszła bliżej i objął ją. Nie mówili ani słowa. Podniosła głowę, spojrzała mu w twarz i powiedziała:

- Przepraszam.

- Ja też przepraszam.

Nie wiedzieli, co mówić dalej. Oboje odezwali się jednocześnie:

- Miałem już dosyć...

- Miałeś rację, ona musiała się dowiedzieć... Roześmiali się nerwowo. Cressida machnęła ręką.

- Wystarczy. Stało się. Nie ma sensu bez końca się o to wyklócać.

Elliotowi ulżyło.

- Chcesz herbaty?

- Jasne.

Usiadła przy stole w kuchni, zakładając ramiona na brzuchu. Elliot uznał, że wygląda oszałamiająco. Dziwiło go, że niektórym mężczyznom nie podobały się ich żony w ciąży. Postrzegał ją teraz nowymi oczami. Pozostała pociągająca i ciepła, zachowała wszystkie swoje dawne cechy, ale coś przybyło. Teraz przybrała zatroskany wyraz twarzy.

- Jak ci poszło? - zapytała.

- Niezbyt dobrze. Ale tego się spodziewałem.

- Tu musi być dla niej okropne.

- Tak, ale chyba nie chciałyby mnie z powrotem. Dla niej to też się skończyło.

- Naprawdę? - Cressida zastanowiła się przez chwilę, czy przypadkiem nie próbuje chronić.

- Tak sądzę.

- A jednak, nawet jeśli postanowiła, że powinniście się rozstać, to chyba ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

- Prawdopodobnie. - Elliot czuł się skrepowany, mówiąc o Clare. Nie był w stanie teraz o niej myśleć. Wiedział, że to egoistyczne, ale mówiąc jej o dziecku, zamknął jakieś drzwi. Zawsze będzie mu bliska - tak się chyba mówiło? - wierzył w to szczerze, ale zakończył pewien etap i chciał pójść naprzód. Chciał rozmawiać o przyszłości z tą piękną dziewczyną przy kuchennym stole, noszącą jego dziecko.

Nigdy nie rozmawiali o wspólnych planach, odkąd mu powiedziała. Może zawsze była między nimi Clare, a może obawiał się tej rozmowy.

- Czy możemy porozmawiać o nas? - zapytał.

- O czym konkretnie?

- Czy to nie oczywiste? Za kilka miesięcy urodzisz nasze dziecko, a właściwie w ogóle nie poruszaliśmy tego tematu. W porządku, przez pewien czas trzymaliśmy to w tajemnicy, może przez to było to takie trudne, ale teraz wszystko się zmieniło. Nie sądzisz, że powinniśmy się zastanowić, co zrobimy?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Zdenerwowanie Elliota rosło. Czy specjalnie udaje bezmyślność?

- To nasze dziecko.

- Oczywiście - skinęła Cressida.

Nie pozostało mu nic innego, jak bezpośredni atak.

- Chciałbym, żebyśmy wychowywali je razem. Żebyśmy byli rodziną. Wiem, że nadal jestem mężem Clare, a dziecko się jeszcze nawet nie urodziło, ale chciałbym myśleć, że kiedyś, w przyszłości, będziemy razem i może się pobierzemy.

Chryste. Poszło gładko. Przed oczami miał sugestywne wspomnienie pierwszych oświadczeń. Miał dwadzieścia jeden lat i pożyczył pieniądze od swojej mamy, żeby zaprosić

Clare do wykwintnej restauracji. Większość limitu na koncie wydał na pierścionek: dziewięciokaratowe złoto z prostokątnym szmaragdem, otoczonym dwoma małymi brylancikami. Powiedział jej, że powinni uczcić dyplomy. Zamierzał oświadczyć się zaraz po kolacji, lecz nerwy miał napięte do ostateczności i bał się, że zwymiotuje, jeśli tego z siebie nie wyrzuci. Zapytał ją, jeszcze zanim pojawiły się przystawki. Ukląkł na jedno kolano obok stołu i tak dalej. Clare błyszczały oczy i musiała zasłonić twarz, żeby powstrzymać łzy. Powiedziała „tak”, przerywając mu w pół słowa, i kucnęła obok na podłodze, żeby go objąć. Okazało się, że było to mądre posunięcie, ponieważ dostali od restauracji butelkę szampana gratis. Rzecz w tym, że nie brał pod uwagę odmowy. Nie pytałby, gdyby nie miał absolutnej pewności.

Z Cressidą było zupełnie inaczej. Bez pierścionka ani restauracji, bez klękania. Także był absolutnie pewien, czego chce, ale co z nią?

- Elliot... jesteś cudowny. - Otoczyła go ramionami, tak że nie mógł zobaczyć jej twarzy. Z pewnością jednak nie zamierzała się rozplakać.

Cressida puściła go i zaczęła oglądać dłonie. Zastanawiała się, jak mu wszystko wyjaśnić. Elliot postanowił dać spokój.

- Poczekaj. Nie wiesz teraz, jak się będziesz czuła, prawda? A ja nie jestem wolny. Nie chcę nalegać, kiedy masz tyle innych problemów.

Pogłaskała go po policzku. Nie podobał mu się ten gest: zarazem macierzyński i pełen współczucia.

- Posłuchaj, Elliot. Kocham cię. I obiecuję... - ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na brzuchu - ... że dziecko jest twoje. I zawsze będzie. Dobrze?

Wstał z krzesła i przytulił policzek obok ręki. Obok dziecka. A jednak skończył na klęczkach.

Susan

- Czy pani...?

- Tak?

- Tu Giles Higson. Jestem dyrektorem „Cedrów”, spotkaliśmy się już kiedyś.

- Tak, słucham.

Wysoki i trochę przygarbiony, z bezwładnym uściskiem wilgotnych rąk.

- Czy coś się stało? - Ciągle żyła w szponach paraliżującego lęku.

- Nic takiego. Wszystko już w porządku. Po prostu uznałem, że powinna pani się dowiedzieć. Mieliśmy dzisiaj rano mały problem z Alice.

Susan nie lubiła, kiedy mówili o jej matce per „Alice”, jakby była małym dzieckiem.

- Co się stało?

Oparła się o biurko naprzeciw okna i skupiła spojrzenie na drzewach. Kiedy zadzwonił telefon, Mary podniosła wzrok, spojrzała jeszcze raz, słysząc jej pytanie. Potem zostawiła swoją robotę na szerokim stole i wyszła po cichu z pokoju, niosąc dwa puste kubki po kawie, którą skończyły kilka minut wcześniej. W palcach trzymała haczyk do zasłon, którym bawiła się nerwowo.

- Jeden z naszych pracowników znalazł ją na parkingu. Miała spakowaną torbę i powiedziała, że jedzie do domu. Bardzo się zdenerwowała, kiedy staraliśmy się ją zawrócić.

- O Boże.

- Był tam kierowca taksówki, który przywiózł jednego z gości. Pani matka starała się przekonać go, aby zawiózł ją pod adres, którego nie znał. Naturalnie nabrał podejrzeń i zawiadomił kogoś z personelu.

Dyrektor przemawiał jak ożywiona broszura, obiecująca dom z dala od domu. Nic dziwnego, że matka starała się uciec.

- Teraz ma się dobrze. Po obiedzie zdrzemnęła się i obecnie znajduje się w bawialni z innymi mieszkańcami.

Bez wątplenia oglądając w telewizji programy dla dzieci. Znowu ten protekcjonalny ton. Czemu mi pan to mówi? - chciała zapytać. Po co mi ta informacja?

Odpowiedział na niezadane pytanie.

- Mam obowiązek powiadomić o tym naszego lekarza. Jeśli zdarzy się to znowu, będziemy zmuszeni zadbać o jej bezpieczeństwo - dla jej własnego dobra.

Czyli ją zamknąć. Susan przez cały czas dokonywała symultanicznego tłumaczenia jego słów.

- Czy drzwi frontowe nie wystarczą?

Ton dyrektora stał się jeszcze bardziej pouczający.

- Oczywiście, lecz pani matka niekiedy wykazuje niezwykłą jasność umysłu.

Wiem, pomyślała, w tych momentach przychodzi mi do głowy, że ją dożywotnio skazałam.

- Przypuszczalnie zaczekała, aż przez drzwi będzie wchodził ktoś, kto nie zna jej... kłopotów.

- Zaraz przyjadę.

- Proszę bardzo, jeśli pani chce.

Mogła wychwycić ukryte znaczenie: nie ma sensu, Alice nawet nie zauważy jej obecności.

- Kolacja jest o piątej.

Był to raczej podwieczorek, podawany na stołach nakrytych ceratą. Jedli go starzy ludzie, którym jedzenie wypadało z ust. Lepiej w tym nie uczestniczyć. Niech to się odbywa za zamkniętymi drzwiami.

- Przyjadę, jak tylko będę mogła. - Susan odłożyła słuchawkę, lecz nie ruszyła się z miejsca, obserwując drzewa za oknem.

Dokąd chciała uciec Alice? Na pewno nie do Maple Cottage, swojego ostatniego domu. Może do tego, w którym dorastały razem z Margaret? Albo jeszcze dawniejszego, domu, w którym sama dorastała. Susan nigdy tam nie była, lecz dom ten istniał zawsze - w głowie Alice.

Z ciężkim westchnieniem Susan włożyła do torebki telefon komórkowy.

- Mary? - Przyjaciółka pojawiła się w drzwiach. - Muszę pojechać do mamy. Dasz radę sama utrzymać twierdzę?

- Oczywiście. Wszystko w porządku?

- Muszę sprawdzić. Mama najwyraźniej usiłowała uciec. - Jej zawsze silny głos załamał się i za-drżał. Przycisnęła powieki palcami. - Znaleźli ją na dworze.

- Bogu dzięki.

Mary nie robiła ceregieli. Dobrze знаła Susan i wiedziała, że nie oczekuje ona przyjaznego uścisku ani matczynych pocieszeń.

Podeszła do wycinanych właśnie zasłon i ujęła nożyce.

- Dam sobie radę. Zamknę drzwi, wychodząc.

- Dzięki, Mary. Na razie.

Powoli pojechała w kierunku „Cedrów”. Każdy kolejny raz wydawał się coraz trudniejszy. Była coraz mniej pewna, kogo tam spotka. Prawie pożegnała się z nadzieją, że odnajdzie matkę.

Nicole

Nicole spojrzała na Gavina. Dziesięć punktów na dziesięć za wysiłek. Tylko sześć za wygląd. Mimo to był bardzo przystojny. Zastanawiała się, czy inni postrzegali go tak jak ona.

W tej chwili znajdował się na drugim końcu boiska, pokrytego świeżo namalowanymi, niezbyt prostymi liniami. W tiulowej spódniczce baletnicy założonej na spodnie i szkolnym berecie czekał, aby wystartować w dorocznym wyścigu ojców z okazji szkolnego dnia sportu, pierwszego w życiu. Do tej pory Nicole samotnie uczestniczyła w podobnych imprezach - machała chorągiewką, obserwując wydarzenia przez kamerę wideo, ocierając łzy śmiechu i dumy, nagrywając wszystko dla Gavina. Brała udział w każdym wyścigu matek, odkąd bliźnięta poszły do przedszkola, nawet tuż po urodzeniu Marthy, kiedy jej miednica nie nadawała się do takiego wysiłku. Lecz tego ranka przy śniadaniu Gavin oznajmił, że odwołał lunch, przesunął spotkanie i zamierza pojawić się we własnej osobie.

Chłopcy byli tak zachwyceni, że wśród entuzjastycznych okrzyków zapluli kuchenny stół ryżowymi płatkami, a Martha pogalopowała na górę, aby włożyć swoje „najlepsze szorty” i w ten sposób uczcić okazję. To chyba nie fair, że ojcowie zdobywają uwielbienie dzieci tak małym wysiłkiem? Dzisiaj jednak Nicole nie miała nic przeciwko temu. Zamiast praktycznych spodni sportowych i butów włożyła lekką letnią sukienkę, absolutnie nieodpowiednią do biegania bieliznę oraz śliczne buty na obcasie. Przynajmniej nie musi obawiać się o swoje i tak bolesne piersi. Czuła się cudownie. Jeśli to jest jego pokuta, to niech trwa jak najdłużej. Nicole wiele o tym myślała od czasu, kiedy przeczytały powieść McEwana. W ostatni weekend Gavin zajmował się grillem na szkolnym pikniku, przywdziawszy na tę okazję wielki fartuch, i spędził kilka miłych godzin, pożerając hamburgery i popijając piwo z rodzicami kolegów i koleżanek Marthy. W przerwach zabierał córkę na przejażdżkę na kucyku, który człapał z jednego końca boiska na drugi za cenę funta, albo obserwował chłopców rzucających kaloszem.

Tim i Harriet, którzy gawędzili z jednym z nauczycieli, dostrzegli ich z daleka, pomachali i podeszli.

- Cześć!

Nicole serdecznie ucałowała Tima. Nie widziała go od czasów zwierzeń Harriet.

- To epokowe wydarzenie. - Tim spoglądał na Gavina.

- Wiem - zaśmiała się Nicole. - Nie mam pojęcia, co go napadło.

- Czy ty przypadkiem też nie biegniesz? - zwróciła się Harriet do Tima. - Lepiej się pośpiesz - chyba zaraz zaczną - powiedziała zirytowanym tonem.

- No dobrze, придержи to. - Tim podał jej marynarkę i buty z tkwiącymi w środku skarpetkami.

Harriet spojrzała na nie z odrazą i postawiła na trawie.

- Powodzenia, Tim - krzyknęła Nicole, ponieważ przyjaciółka najwidoczniej nie miała takiego zamiaru.

Głos Josha dobiegał wyraźnie z grupki dzieci.

- Dalej, tato, dalej!

Tim pozdrowił syna gestem Rocky'ego i pokłusował, aby dołączyć do Gavina. Harriet odwróciła się do Nicole.

- Wyglądasz prześlicznie. Nowa sukienka?

- Tak - Nicole zniżyła głos. - Kupiłam rozmiar dwanaście, więc nic nie widać.

Również po cichu Harriet odparła:

- No dobrze, to już oficjalnie. Nie cierpię cię. Ile tygodni?

- W piątek będzie osiem.

- A niech cię лихо! Ja wtedy nosiłam co najmniej szesnasty. On się nie domyślił?

- Nic a nic. Nie mogę się doczekać, kiedy mu powiem. Ale będzie przejęty. Popatrz - to zupełnie inny facet.

Chyba nie całkiem, pomyślała Harriet, widząc, jak Gavin stara się wygrać za wszelką cenę.

- A co u ciebie? - zapytała Nicole.

- Jakoś egzystuję. - Harriet skinęła głową z determinacją. - W porządku.

- A co z wakacjami?

Harriet uśmiechnęła się przez zaciśnięte wargi.

- Portugalia. Znowu willa rodziców Tima. Nie nastawiam się specjalnie. Dzieci będą zachwycone.

- Ty też byłabyś, gdybyś tylko spróbowała.

- Wiem, postaram się. Tylko popatrz. - I zrobiła jedną ze swoich zabawnych min.

Nicole roześmiała się.

- Powinniście pojechać z nami.

- O, tak. Doskonały pomysł. Moje marzenie. Nie miałabym ani chwili spokoju, gdyby Tim odkrył, że będziecie mieć kolejne dziecko.

- To może nie być taki zły pomysł.

- Po prostu chcesz, żebym razem z tobą biegała co minutę do toalety i pilnowała raczkującego niemowlęcia.

- Owszem - Nicole znowu zaczęła chichotać.

- Poza tym - ciągnęła Harriet - chyba nie zniosę widoku Gavina w stringach, nie tym razem. - Gavin z upodobaniem nosił niezwykle skąpe kąpielówki, które wchodziły mu w rowek między pośladkami, kiedy się opalał. Na tę myśl obie zaniósł się perlistym śmiechem.

- Z czego się śmiejecie? - Tim i Gavin podeszli do nich, zadyszani po biegu.

- Tak, wyglądacie jak para nieznośnych uczennic. Co mnie ominęło? - zapytał Gavin.

- Jeszcze nic... - rzuciła Harriet, kiedy ponownie zaczęły się śmiać jak szalone.

Mężczyźni wzruszyli ramionami. Zdążyli przywyknąć. Harriet i Nicole zachowywały się tak nieomal od chwili, kiedy się poznały.

- Świeże powietrze uderzyło im do głów - uznał Gavin.

- Albo nadmiar kofeiny od tych wszystkich latte - zgodził się Tim.

Susan

Susan obserwowała Alice oglądającą kreskówkę. Matka uśmiechała się błogo. Alice z ostatnich miesięcy - ta, która pamiętała ich dzieciństwo - znowu odeszła, a na jej miejscu została skurczona kobieta o pergaminowej skórze, patrząca poprzez ekran gdzieś w dal.

Przez szklane drzwi przeciwpożarowe Susan widziała sylwetkę Rogera, pogrążonego w rozmowie z Sandym, kolegą po fachu i etatowym lekarzem domu starców. Roger kiwał głową. Susan domyślała się, że rozmawiają zniżonymi głosami, poufnie. Zastanawiała się, co mówił Sandy.

Przebywali tu już od co najmniej godziny. Susan poprzestawiała fotografie na komodzie w pokoju matki, przejrzała jej ubrania. Zabrali ją na spacer. Było ciepło i pola golfowe położone za ośrodkiem wypełniły się mężczyznami w średnim wieku z wielkimi torbami na kije. Alice sądziła, że ojciec tam był. Usiedli we troje na ławeczce z mosiężną tabliczką, upamiętniającą życie niejakiej Doris Johnson, która urodziła się gdzieś indziej, lecz zmarła tutaj, przed trzema laty, miesiąc przed swymi setnymi urodzinami, i która najwyraźniej lubiła ten widok. Alice rozglądała się wokół siebie jak dziecko, z mieszaniną konsternacji i przejęcia. Trzeba było prowadzić ją z obu stron pod rękę. Nie dosięgała do ramienia Rogerowi, który musiał się nachylić. Wydawało się, że kurczy się coraz bardziej.

Po powrocie do pokoju Alice się zmoczyła, brudząc specjalną podkładkę na fotelu, więc przeszli do bawialni. Susan otworzyła okno tak szeroko, jak tylko pozwalały na to blokady, żeby przewietrzyć.

Zanim odjechali, zaprowadziła matkę na kolację, posadziła między dwiema innymi starszymi paniami, które uśmiechały się i kiwały głowami, i pozostawiła ją w ciszy, przerywanej tylko odgłosem siorbania. Po takim dniu zawsze czuła się jak żołnierz po bitwie, nawet gdy matka była bardziej przytomna. Wtedy nawet było jeszcze gorzej. Susan zadrezczała się myślami, że może Alice zdaje sobie sprawę, gdzie jest i co się z nią dzieje. Roger twierdził, że to niemożliwe. Ale skąd on mógł wiedzieć?

Na szczęście miała w domu Eda. Sam kilkakrotnie poszedł odwiedzić Alice. Był dobrym chłopcem i kochał babkę (Susan zaczynała myśleć o niej w czasie przeszłym). Z wdzięcznością, ale i zdumieniem przyjęła fakt, że udało mu się to przeżyć więcej niż raz. Ostatnio zapytała go, co o tym sądzi.

- To łatwe, mamó. Po prostu udaję, że to sitcom. Może to i niezły sposób.

W samochodzie zapytała Rogera, o czym rozmawiał z Sandym. Czy są jakieś zmiany?

- Nie, kochanie. Po prostu pytałem, co sądzi o jej stanie.

- No i?

Roger zwolnił, tak że przez krótką chwilę mógł spojrzeć jej w oczy.

- On uważa, że mama się starzeje. - Susan dostrzegła to sama. - Stopniowo się oddala.

- Czy to wpływ domu opieki? Wieczne poczucie winy.

- Nie - odparł zdecydowanie Roger. - To przez chorobę. Ciało zaczyna doganiać mózg. Tak najlepiej potrafię ci to wyjaśnić.

- Ale może to by się nie stało, gdyby była w domu z nami?

Szczerą odpowiedź na pytanie Susan brzmiała: owszem, ten proces zachodził szybciej w domu starców, przyspieszony brakiem miłości i opieki. Roger widywał to często. Ale był przekonany, że Susan nie powinna dźwigać tego ogromnego ciężaru, prawdziwego czy wymyślnego. W żaden sposób nie mogłaby opiekować się Alice w domu.

- Tego nie wie nikt. - Poprzestał na tym. - Pomyśl, czego chciałaby twoja mama. Na pewno nie egzystować w ten sposób, zależna, bezsilna, przez całe lata, prawda?

- To prawda - odparła cichutko Susan. Wiedziała, że miał rację. Alice wolałaby umrzeć.

Zjedli cudowną kolację we trójkę. Roger zabrał ich do hinduskiej restauracji w centrum miasta, a Ed opowiadał o nowo poznanej dziewczynie. Miał przy sobie zdjęcie, zrobione w jednym z automatów na stacji: śmiali się, ściśnięci razem na małym, obrotowym stołeczku. Na jednym ze zdjęć całowali się. Dziewczyna przypominała odrobinę Julię Roberts, bez loków i z mniejszą liczbą zębów. Ed najwyraźniej stracił głowę, choć dzielnie odpierał ojcowskie docinki.

Był wspaniały, jej wysoki, przystojny syn. Jak zawsze, spoglądając na niego, Susan czuła przypływ miłości i dumy. Dawno temu brała go w ramiona i przytulała, przyciskając nos do szyi, żeby poczuć zapach małego dziecka. Teraz był na to o wiele za duży i pachniał wodą po goleniu, a czasami papierosem. Wszystko inne także mogło się zmienić, lecz niezwykle silna miłość pozostawała dokładnie taka sama.

Tej nocy Susan nie mogła usnąć. Leżała zwinięta na boku, obserwując, jak ramię śpiącego obok Rogera podnosi się i opada delikatnie. Zastanawiała się, czy Alice także leży bezsennie, pragnąc śmierci.

Lipiec

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

*Skrzyneczka wspomnień Margaret Forster, 1999**

Przed śmiercią matka pozostawia swojej małej córce tajemnicze, zapieczętowane pudełko. Wiele lat później dorosła Catherine znajduje w nim mnóstwo dziwnych przedmiotów niewiadomego pochodzenia, starannie zawiniętych i ponumerowanych, jak elementy układanki. Catherine nie poznała matki, lecz wyidealizowany wizerunek kobiety pięknej i utalentowanej, utrzymywany przez resztę rodziny, rzuca cień na jej życie. Starając się rozwiązać zagadkę, sięga w przeszłość i poznaje dzieje kobiety o wiele bardziej skomplikowanej, zaskakującej i niebezpiecznej, niż głosi rodzinna legenda. Jednocześnie Catherine, dotychczas bezwzględnie samowystarczalna i skupiona na sobie, odkrywa niespodziewane prawdy na swój temat.

* Książka nie ukazała się w Polsce. Tytuł oryginału: *The Memory Box*.

Nieży facet, Suze.

- Gdybym tak była z dziesięć lat młodsza...

- Piętnaście, chciałaś powiedzieć?

- No dobrze, nie musisz tego aż tak podkreślać.

Harriet i Nicole znajdowały się w przejściowej gorączce końca roku szkolnego. Przed najbliższe dziewięć tygodni nie będą musiały wstawać o szóstej i wykrzykiwać rozkazów jak sierżant na musztrze, ani pakować ogromnych ilości ekwipunku do tornistrów, worków na buty i toreb na balet. Tego dnia „zaliczyły” przemówienia końcowe, pojawiły się w swoich pastelowych, lnianych sukienkach na lunchu matek (mocno wstawiona Harriet mrugała konspiracyjnie za każdym razem, kiedy Nicole odmawiała kieliszka białego wina) w ogródku miejscowego pubu. Po południu biegały po mieście i chichocząc, przymierzały niezliczone kostiumy kąpielowe - podczas gdy ich potomstwo zaliczało rozmaite szkolne imprezy. Potem przekazały dzieci pod opiekę Cecile i padły bez tchu na rozłożystą kanapę Susan, czyniąc delikatnie nieprzyzwoite uwagi na temat Eda, który uciekł z pokoju tak szybko, jak pozwoliło mu na to dobre wychowanie. Chociaż skrycie uważał, że z Nicole też była niezła babka (albo uważałby, gdyby to słowo figurowało w jego słowniku). Może „laska”? Naturalnie, jak na starszą kobietę.

Harriet spojrzała na przyjaciółkę. Spędziły dzień w dokładnie ten sam sposób - nie licząc trzech czy czterech kieliszków chablis - a Nicole prezentowała się schludnie i świeżo, jakby właśnie zstąpiła z reklamy proszku do prania. Lustro w przedpokoju powiedziało Harriet, że sama wygląda jak wyjęta z wyży-

maczki: zgrzana, wymiętoszona i spocona. Materiał sukienki podwijał się na brzegach jak stara kanapka. Harriet klepnęła się lekko w czoło. Następnym razem musi zaprzyjaźnić się z kimś brzydkim.

Susan wspominała zakończenia roku szkolnego z mieszaniną nostalgii i zazdrości. Na uniwersytecie było inaczej. Znikali na cały semestr, a potem przyjeżdżali ze stertą brudnych rzeczy do prania i niepohamowaną chęcią pójścia na imprezę następnego dnia. Zabawa na trawie w długie letnie dni, pikniki i lizaki o smaku pomarańczowym należały do odległej przeszłości.

Ponieważ Harriet i Nicole niepoohamowanie chichotały, Susan nie żywiła wielkich nadziei związanych z Margaret Forster. Ale były bardzo zabawne i stanowiły idealny duet; Harriet jako autoironiczny clown, Nicole - elegancka postać na serio. Takie były ona i Polly przed dziesięciu laty. Ich młode koleżanki może i miały więcej pieniędzy, ale także, paradoksalnie, więcej stresu. Życie się zmieniło, niekoniecznie na lepsze. Harriet i Nicole mogły pozwolić sobie na duże samochody i piękne ciuchy, nie musiały pracować, lecz ich mężowie nigdy nie wracali do domu przed wieczorem, jak Roger. Taki sposób życia wydawał się Susan ryzykowny. Przepaść między małżonkami z czasem stawała się zbyt głęboka. Towarzyszki spod szkolnej bramy spędzały praktycznie cały czas razem - w pewnym sensie obecnie kobiety czuły się bardziej związane z najlepszą przyjaciółką niż z mężem. Susan cieszyła się jednak, że przyszły, nawet jeśli nie poświęcą należytej uwagi książce. Miło usłyszeć w domu trochę śmiechu i plotek - odkąd Alice odeszła, było tu tak cicho. Ale gdzie właściwie podziewa się Polly?

- Myślałam, że jej się podoba. Czy coś się stało?

- To przez Elliota? Potrzebujemy jej. Teraz zostałyśmy tylko we cztery. Czy może będziemy mini-klubem? - Pierwsze myśli Harriet pobiegły do działalności klubu.

Nicole była bardziej zainteresowana samą Clare.

Polly postanowiła im powiedzieć. Naturalnie, zechcą usłyszeć, czemu Clare odeszła. Uważała, że równie dobrze mogą poznać całą prawdę. Teraz, siedząc wśród nich, nie wiedziała, jak zacząć. Może powinna pozwolić Susan wszystko opowiedzieć. Susan naląła jej wina i Polly wypila głęboki łyk. Spojrzała w dół na sznurkowe podeszwy swoich espadryli, przyglądając się przylepionemu źdźbłu trawy, które opało na dywan, kiedy założyła nogę na nogę.

- Clare nie przyjdzie, bo dowiedziała się o czymś, co sprawia, że woli tu nie być.

Harriet zarumieniła się, a Nicole popatrzyła na trzymaną w rękę szklankę wody mineralnej. Czy to przez nią? Domyśliła się ciąży? Jak to możliwe? Nie widziała jej od czasu spotkania w zeszłym miesiącu, a wtedy nic zupełnie nie było widać. Harriet była jedyną osobą, która wiedziała, i bez wątplenia dochowała tajemnicy. Nicole była pewna.

- Dowiedziała się, że ojcem dziecka Cressidy jest... jej mąż Elliot - ciągnęła Polly.

Grom z jasnego nieba. W milczeniu starały się wyobrazić sobie szczegółowo okoliczności, które sprawiły, że córka Polly urodzi dziecko męża Clare. Całkiem jak w serialu telewizyjnym. Polly usiłowała odpowiedzieć na niezadane pytania.

- Prawdopodobnie spotkali się w college'u, on tam pracuje. Zeszłej jesieni. I, najwyraźniej, zaczęli się... spotykać - nie wiedziała, jak inaczej to ująć - niedługo później.

Zrozumiałam, że Clare odeszła od niego, zanim dowiedziała się o dziecku. Nie żebym starała się usprawiedliwiać Cressidę - ani przez chwilę nie ukrywał, że jest żonaty. - Polly przerwała. - A teraz Clare już wie... i dlatego nie będzie przychodzić. Trudno się jej dziwić, prawda?

- Cóż, tak, to byłoby dosyć trudne - Harriet wyglądała na wstrząśniętą.

- Myślałam, że to chłopak Cressidy - Joe, prawda? - jest ojcem.

- Ja też tak myślałam. - Polly uśmiechnęła się cierpko. - Okazuje się, że nawet nie sypiali ze sobą. Zerwała z nim z powodu ciąży.

- Biedna Clare - mruknęła Nicole. Gavin miał swoje drobne grzeszki, ale żeby dziecko? To jedno stawiało ją ponad wszystkimi rywalkami i wysoko to ceniła: była matką dzieci Gavina. Clare nigdy tego nie miała. Dowiedzieć się, że Elliot ma dziecko z inną kobietą - to musiało być miażdżące. Poczula wielką litość. Spotkała Elliota tylko raz, w domu Clare, w marcu. Zajrzał nieśmiało i pomachał im. Przystojny na swój sposób. Przepraszający wygląd. Z całą pewnością to nie ten typ faceta. Nie to co Gavin.

- Biedna Cressida - Harriet wydawało się, że natychmiast pochwyciła znaczenie sytuacji. Zawsze była gotowa ubarwiać suche fakty historiami zaczerpniętymi z tysięcy filmów telewizyjnych i tanich powieści w różowych okładkach, wzmocnionymi dodatkowo romantycznym usposobieniem i żywą wyobraźnią. Dziewczyna nie odpowiada za to, w kim się zakochuje. To nie Cressida popełniła zdradę, lecz Elliot. Mężczyzna ze złamanym sercem - każda by się na to nabrała.

- Co ona ma zamiar zrobić?

- Masz na myśli Clare czy Cressidę?

- Chyba obie.

- Clare mieszka z rodzicami - wtrąciła Susan. - Wydaje mi się, że między nią a Elliotem wszystko skończone. Nie wiem, co w końcu postanowi - pewnie będzie chciała uciec od wszystkiego. Kto wie? To nie może być miłe, przebywać w tej samej okolicy.

- A Cressida? Czy ona i Elliot...?

- Nie wiem. Chyba najpierw powinna urodzić.

- Ale co z Elliotem? Czy on chce tego dziecka?

- Myślę, że bardziej niż czeokolwiek na świecie. Chyba tak jak Clare był załamany tym, że nie mogą mieć dzieci.

- Myślisz, że on i Cressida będą razem?

- Naprawdę nie wiem.

- A co o tym sądzisz?

Polly miała ochotę się roześmiać. Moja dwudziestoletnia córka sypiała z żonatym mężczyzną, teraz jest w ciąży i chce zrezygnować ze studiów, żeby urodzić dziecko. Ten mężczyzna, który moim zdaniem

absolutnie nie jest w stanie jej uszczęśliwić, pragnie związać się z nią na zawsze. Co powinna sądzić? Wzruszyła ramionami.

- Nie tego na ogół życzy matka swojej małej córce. Cokolwiek się stanie, będzie trudne dla nas obu. Ale stało się. Jest dorosła i nie mam wpływu na jej decyzje. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Muszę tylko zająć się ich skutkami.

Nicole pokiwała głową. Znała uczucie utraty kontroli nad biegiem wydarzeń.

- Wszystko się ułoży. Jestem pewna.

Pozostałe wymruczały potwierdzenia. Co innego mogły powiedzieć?

Nie poświęciły zbyt wiele uwagi książce. Harriet i Nicole już wcześniej nie były w nastroju, a teraz interesowały je bardziej wypadki z prawdziwego życia. Próbowaly rozpocząć dyskusję, ale żadnej się nie udało. Polly przeczytała kiedyś z upodobaniem *Georgy Girl*, ale reszta nigdy nie zetknęła się z autorką. Ta akurat powieść trochę ją rozczarowała. Uważała, że jest doskonale napisana, lecz nie wywołała w niej żadnej reakcji emocjonalnej. Nie poruszyła jej.

Nie odczuła żadnego zrozumienia ani bliskości. Może dlatego, że nie skoncentrowała się wystarczająco, a treść wydawała się bardzo poważna. Ostatnie tygodnie nie były dla niej łatwe. Samotne noce nie oznaczały już, jak dawniej, czasu na czytanie, lecz nasłuchiwanie, martwienie się i rozmyślanie. Pozostałe członkinie klubu także nie były zachwycone.

- To akurat napisała kobieta, ale gdybym miała zgadywać, dałabym głowę, że autorem jest mężczyzna. Zataja różne rzeczy.

Tym razem Nicole zgodziła się z nią.

- Liczyłam na prawdziwe emocje, ale na próżno.

- Czekałam na wielką tajemnicę, ale jej także nie było. Na końcu jakby wyczerpuje się energia.

- Mnie też się tak wydaje. A przecież to wspaniały pomysł. Pudełko pełne tajemniczych przedmiotów, każdy ze swoją własną historią. Jak chorągiewki na mapie przeszłości matki, pozostawione po śmierci dwudziestojednoletniej córce, która postanawia odgadnąć ich znaczenie. Niestety, wszystkie są dosyć dziwaczne, i kiedy córka w końcu odkrywa powód, dla którego się tam znalazły - nawiasem mówiąc, dzięki ciągłemu nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności - nie czuje się satysfakcji, prawda?

- Wiem, że to ostatnio moja obsesja, ale pomyślałam sobie, że można tu znaleźć ciekawe rzeczy o matkach i córkach. O tym, jakie były matki, zanim urodziły dzieci, i jak córka odkrywa to, kiedy dorasta - powiedziała Susan.

- Od razu polubiłam Catherine. Kiedy nie może się zgodzić, że jej matka była absolutnie szczęśliwa, chociaż to właśnie wszyscy starają się jej wmówić.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się okropnie rozpieszczona. Niezbyt interesowały mnie jej odkrycia.

- Żadna z nas nie straciła matki w młodym wieku - upierała się Susan. - Przecież byłybyście ciekawe, zwłaszcza gdyby ktoś przedstawiał wam jej wyidealizowaną wersję?

- Chyba tak. Wydaje mi się, że kiedy dorastamy i mamy własne już dzieci, zaczynamy postrzegać swoich rodziców w całkiem innym świetle. Wyobrażamy ich sobie w tych samych sytuacjach. I nagle rozpoznajesz w sobie własną matkę.

- Zdecydowanie. Pamiętam, jak matka krzyczała na nas i jak pomyślałam sobie wtedy, że nigdy nie krzyknę na własne dzieci - roześmiała się Harriet.

- Właśnie! A obiecywanie, że nigdy nie będziemy wygłaszały głupich kwestii typu: „Chcesz kłapsa?”. Teraz mówię to do Marthy co najmniej raz dziennie. - Nicole zastanowiła się i uśmiechnęła. - Ale nigdy bym tego nie zrobiła. Po jednym spojrzeniu na jej główkę ręka zatrzymuje mi się w powietrzu. Dlatego jest takim potworkiem. Wie, że nie mówię poważnie. Moja mama przeciwnie. W górną część uda, gołą ręką. Piekło jak diabli.

- Jak sobie radzisz? - Susan przed chwilą pożegnała odchodzące kobiety. Polly została w kuchni.

- Żałuję, że już nie palę. Przydałby mi się dymek.

- Możemy przejść się do sklepu i kupić paczkę.

- Nie, dzięki. To kiepski pomysł. Po co mi jeszcze rak płuc na dodatek do wszystkiego innego?

- Rzeczywiście. To ci nie pomoże.

- Dziękuję, pani doktor. Sama wiem - uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Chyba poszło nie najgorzej?

- A czego się spodziewałaś?

- Myślałam, że będą bardziej...

- Krytyczne? - Susan potrząsnęła głową. - Nicole i Harriet były po prostu trochę wstrząśnięte. Musisz przyznać, że to niezła historia - to znaczy, jeśli ją słyszysz z zewnątrz. - Polly przytaknęła. - Nie spodziewałam się, że będą specjalnie krytyczne. Należą do innego pokolenia.

- Mówisz, jakbyśmy były wioskowymi starcami. Mają zaledwie jakieś dziesięć lat mniej niż my.

- To znaczące dziesięć lat. Chyba inaczej postrzegają świat. Na przykład małżeństwo.

- Zapominasz, że jestem rozwiedziona.

- Wiem, ale nie brałaś tego pod uwagę, prawda? Brałaś ślub na zawsze. Tak jak my wszystkie. Teraz chyba dziewczyny wychodzą za mąż z myślą o teraźniejszości, oczywiście z jak najlepszymi planami, lecz biorąc pod uwagę najgorsze. Po prostu próbują i nie można ich za to winić. W radiu i telewizji ciągle słyszymy, że małżeństwo przeżywa kryzys. Chyba jedno na trzy nie kończy się rozwodem.

- No dobrze, więc nie dziwię się, że Clare i Elliot się rozstali. Ale to nie oznacza, że nie osądzają krytycznie Cressidy za romansowanie z nim. Albo za to, że była tak głupia i zaszła w ciążę. Czasami sama mam ochotę nią potrząsnąć, kiedy o tym myślę. Przecież nie mogła nie wiedzieć, prawda?

- Wszystko się zdarza, Poll. Daj spokój. To już się stało, więc po co masz to od nowa przeżywać? Nie była wystarczająco uważna. Albo coś się nie udało. Stało się. Przed chwilą mówiłaś, że musisz się nauczyć z tym żyć. Nie sądzę, żeby one widziały to w taki sposób. Wymyślasz rzeczy, których w ogóle nie ma.

- A ty, Suze? Jako przedstawicielka „starszego pokolenia”? Nie osądzasz jej krytycznie?

Susan nie odpowiedziała od razu. Po namyśle odparła:

- Znam Cressidę przez większość jej życia - piętnaście lat, w każdym razie. Wiem, jaką była dziewczynką, i chyba dosyć dobrze rozumiem, jaką stała się kobietą. Nie, nie osądzam jej. Wolałabym, żeby się jej to nie przytrafiło. Myślę, że przez to okres, który powinien być beztroski i szczęśliwy, stanie się dla niej skomplikowany i ciężki. Myślę, że związek z Elliotem może się okazać katastrofą. Ale nie oceniam jej. Ani ciebie. Ani nawet jego. - Spojrzała Polly prosto w oczy. - Przysięgam ci. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a ona jest twoim dzieckiem. Chcę pomóc wam obu, w miarę swoich możliwości. Przysięgam - powtórzyła, kładąc rękę na sercu dla większej powagi.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę.

Harriet

Harriet leżała na kanapie, jednym okiem obserwując ekranizację powieści Danielle Steel, drugim - Josha i Chloe uganiających się po ogrodzie. Wygnała ich tam pół godziny wcześniej. Było dopiero wpół do trzeciej po południu, drugi tydzień wakacji, lecz czuła się wykończona. Szczerze mówiąc, przez cały czas się tak czuła. Żalotne, ale prawdziwe. Wakacje rozpoczęła pełna dobrych intencji - zapisała dzieci na rozmaite zajęcia (Josha na kurs na kartę rowerową, Chloe - jazdę na kucyku), zapraszała gromady znajomych dzieci na niekończące się dni wspólnej zabawy i wybrała się do Centrum Nauki i Rozrywki po zapasy farb, papieru do wycinania i zdradzieckiej plasteliny, którą dzieci zwykły rozsmarowywać w najdziwniejszych miejscach, kiedy tylko odwróciła oczy. Byli w bibliotece, parku, na basenie, w McDonalddie. Jeszcze sześć tygodni. Na jeden tydzień pojedą do Portugalii - tylko na jeden. Powiedziała Timowi, że dzieci potrzebują więcej atrakcji, niż może zapewnić im willa dziadków, i że są bardzo przejęte swoimi zajęciami i spotkaniami z innymi dziećmi.

Skłamała, naturalnie. Dzieci najchętniej przebywałyby w tonącym w słońcu domu rodziców Tima przez okrągły rok, kopiąc w piasku, jedząc lody i pływając się godzinami w turkusowej wodzie. To ona nie potrafiła się przemóc. Tydzień wakacji oznaczał siedem wieczorów z Timem, sam na sam, kiedy przedzielające ich ludzkie tarcze usną głębokim snem po męczącym dniu. Bez telewizji, bez żadnej czynności domowej, mogącej posłużyć jej za wymówkę i wytłumaczenie nagłego zmęczenia. Sama z Timem. W filmie odziana w czarny szyfon idealna piękność właśnie owdowiała i ronila idealnie okrągłe łzy - po których wcale nie wyglądała, jakby dostała ataku alergii - do otwartego grobu. W pewnym oddaleniu stał kolejny mężczyzna jej życia, wpatrując się w nią z miłością i pożądaniem. Bohaterkom Danielle Steel życie układało się cudownie gładko. Wyszłaś za nie tego faceta? Nie przejmuj się - za kilka minut padnie martwy i będziesz mogła znów się zakochać, tym razem naprawdę. Żadnego piętna nierządniczy. Nic tak wulgarnego jak zdrada lub - o zgrozo - porzucenie męża i dzieci.

Czy przypadkiem wyobrażała sobie śmierć Tima? Chyba tak. Oczy Harriet wypełniły się łzami. Nie była pewna, czy to próba spektaklu, czy prawdziwe łzy rozpacz nad własną podłością. Może jedno i drugie.

Przecież starała się, powiedziała sobie, naprawdę się starała. Od czasu katastrofalnych wypadków z Nickiem stała się żoną idealną. Tamtej niedzieli, kiedy wróciła do domu, dzieci ozdobiły dom balonami i powitalnymi transparentami. „Tęskniliśmy, mamo” - głosił koślawy napis wyrysowany przez Josha. Chloe otoczyła każde słowo wianuszkami tęczowymi, ze wszystkimi kolorami ze znanego wierszyka. Harriet przyszła na myśl bajka o garncu ze złotem. Nie było go tam, ale także nie tutaj. Tylko w dzieciach.

Wyłączyła telewizor i stanęła przy oknie balkonowym, obserwując ich. Josh, zawsze nieporządny, z włosami opadającymi na czoło. Schludna Chloe, paplając sama do siebie, wydała podwieczorek dla lalek na kocu, który Harriet rozłożyła dla niej na trawie. Unieszczęśliwiłaby ich, gdyby odeszła od Tima albo zmusiła go do odejścia. Uwielbiały go. „Przytulić razem” mówiła Chloe, przyciągając Tima i Harriet do siebie, podczas gdy Josh wkręcał się pod ich ramiona.

Nadal miała te przeklęte łzy w oczach. Czowała się jak w pułapce.

Po ostatnim ataku płaczu za radą Nicole poszła do lekarza. Tam także się rozplakała, pragnąc, żeby ziemia rozstała się i ją pochłonęła. Lekarka zachowała się wspaniale. Nie klepała jej po ramieniu, nie gapiła się ani nie wygłaszała pocieszających komunałów. Po prostu podała jej pudełko chusteczek i powiedziała zwyczajnie, jakby Harriet pokazała jej bolesny wrzód: - To często się zdarza. - Potem zapytała, o co chodzi, i Harriet skłamała. Jak można usiąść naprzeciw kompletnie obcej osoby i powiedzieć, że nie kocha się męża? Że zaraz się udusi? Że czuła się, jakby jej życie się skończyło? Powiedziała, że nie wie, co się stało. Kocha swego męża, dzieci i lubi swoje życie. Nie ma zmartwień finansowych, zdrowotnych ani żadnych innych i sama siebie nie rozumie.

Lekarka opowiedziała jej o depresji, która jest chorobą. Brakiem chemicznej równowagi w mózgu. Wyrzuty sumienia nie mają sensu, ponieważ Harriet nic nie może na to poradzić, tak samo, jak nie mogłaby poradzić na stwardnienie rozsiane albo półpasiec. Powinna brać leki. Wypisała receptę i poprosiła, żeby wróciła za miesiąc.

Harriet schowała tabletki do szuflady z bielizną. Nie wzięła ani jednej i wiedziała, że na pewno nie pójdzie drugi raz do przychodni. Nie miała depresji, gdyż istniał konkretny powód jej samopoczucia. Powód, o którym nie wspomniała w gabinecie. W przeciwnym razie na pewno nie dostałaby prozacu. Lekarka wysłałaby ją na terapię rodzinną lub do prawnika. Jakaś jej część nie chciała poczuć się lepiej - z powodu wyrzutów sumienia.

Dzieci ją zauważyły.

- Mamo, chodź się pobawić - zawołała Chloe. - Czy to łzy szczęścia? - zapytała, kiedy Harriet usiadła na kocu.

Harriet wytarła szybko oczy.

- Oczywiście.

Chloe naląła do filiżanki ciepłego soku pomarańczowego, nie żądając dalszych wyjaśnień. To było miłe w dzieciach. Podała filiżankę Harriet.

- Opowiadam im wszystko o wakacjach, mamoo. - Przybrała nauczycielski ton, którym nieodmiennie zwracała się do lalek. - W Portugalii tata lubi jeść włochate ryby. Czy to nie obrzydliwe? Ja lubię różowe lody - truskawkowe.

- Albo malinowe - wtrącił Josh, który wyczerpany strzelaniem goli w pełnym słońcu rzucił się na trawę obok nich.

Chloe wbiła w niego wzrok.

- A potem tata zawsze zakopuje nas w piasku...

- Albo wiśniowe.

Kolejne spojrzenie.

- I wiecie, piasek pod spodem jest bardzo zimny. Tata mówi, że to dlatego, że jest mokry i słońce nie...

- Albo o smaku gumy do żucia.

- Mamooo!

Harriet zatęskniła za Nicole.

Polly i Jack

- To chyba coś poważnego.

- Owszem. Możemy się spotkać o ósmej?

- Przyniosę wino. Kocham cię.

To będzie ciężka sprawa, Polly wiedziała o tym. Modliła się tylko, żeby zrozumiał. W ciągu tych ostatnich miesięcy zrobił dla niej więcej, niż kiedykolwiek śmiała oczekiwać. Tak bardzo miała nadzieję, że zrobi dla niej także i to.

Przyszło jej to na myśl dzięki Susan. Kiedy obserwowała ją z Alice. Jak zmieniły się ich role. Było to niełatwe, lecz w pewnym sensie nieuchronne. Susan najwyraźniej należała do „pokolenia kanapek”. Ze śmiechem opowiadała o tym na jednym ze spotkań, kiedy skończyły już omawiać książkę i zajęły się resztą świata. Usłyszała to określenie w audycji dla kobiet w radiu. Opieka nad własnymi dziećmi i starzejącymi się rodzicami sprawiała, że kobieta w jej wieku czuła się jak nadzienie kanapki. Ona sama była przypuszczalnie szynką z puszki.

Po zastanowieniu się nad własną sytuacją Nicole i Harriet uznały, że je także to czeka.

Polly nie musiała martwić się o rodziców, lecz rozmowa sprawiła, że zaczęła myśleć o Cressidzie i jej dziecku w nowy sposób. Naturalnie, wolałaby przypominać roztopiony żółty ser na francuskiej grzance niż nadzienie kanapki, tkwiące pomiędzy szynką i chlebem. Podczas gdy Jack powinien pełnić rolę musztardy. Teraz uznała, że lepiej na jakiś czas porzucić skojarzenia jedzeniowe: kolacja wyglądałaby na próbę

przekupstwa w stylu żony z lat pięćdziesiątych, a wyłożenie różnych drobnych przekąsek - jakby przygotowała przyjęcie. Będą musieli poprzestać na samym winie. Wstawiła butelkę do lodówki.

Jack ucałował ją przeciągle na powitanie i Polly zatoneła bez reszty w cudownym uczuciu, które ogarniało ją zawsze w jego objęciach. Był dużym mężczyzną, pięknie pachniał, kochał ją i wszystko było dobrze.

- A więc - zaczął, kiedy już jednym zręcznym ruchem odkorkował wino i wlał je do dwóch kieliszków - widzę, że nie ma dzieci w pobliżu. Chcesz pogadać?

Polly wzięła łyk wina.

- Tak. Usiądźmy. - Najlepiej chyba to po prostu powiedzieć otwarcie. Przedstawić fakty, a potem pozwolić, żeby je sobie przemyślał. Tak będzie najuczciwiej. - Chcę wychować dziecko Cressidy. Nie oficjalnie adoptować ani nic takiego - ono zawsze pozostanie jej dzieckiem - po prostu chcę się nim z początku zaopiekować. Pewnego dnia, kiedy Cressida skończy studia i przeżyje wszystkie przygody, znajdzie pracę, wtedy je do siebie zabierze. Chcę być matką dla nich obojga, tylko przez pierwsze kilka lat, to wszystko. Mam dopiero czterdzieści cztery lata. Dam sobie radę, z odrobiną pomocy.

Jack bez słowa wypił łyk wina. Polly kontynuowała:

- Łatwo to powiedzieć, prawda? Rodzice bezustannie powtarzają: „zrobiłbym wszystko dla moich dzieci”. I ja bym zrobiła dla niej wszystko, żeby tylko miała szansę w życiu. Chce tego dziecka, i ja to nawet rozumiem, ale pragnę dla niej o wiele więcej...

- Rozmawialiście o tym?

- Jeszcze nie. Najpierw chciałam powiedzieć tobie. To dotyczy ciebie tak samo jak nas wszystkich.

- Odrobinę. - Jack roześmiał się z wysiłkiem.

- Ale to się może nam udać, jestem przekonana. Cressida będzie tu mieszkać w weekendy i na święta. Dan też pomoże. I moi przyjaciele. Nie zostaniemy całkiem sami. To jeszcze dziewczynka, Jack, ma dopiero dwadzieścia lat. Pomyśl o wszystkim, co widzieliśmy i przeżyliśmy - jej to jeszcze nie spotkało.

- Mówisz, jakby nasze życie się już skończyło.

- Nie, wcale nie. Nie to miałam na myśli. Mamy przed sobą długie lata. Ale ona dopiero co skończyła szkołę. Nie mogę znieść myśli, że nie pozna tego wszystkiego.

- Czasy się zmieniają, prawda? Może zabrać dziecko ze sobą. Są żłobki, dodatki macierzyńskie i inne rzeczy dla dziewczyn w podobnej sytuacji.

Polly nie podobały się te słowa.

- Ale nie będzie musiała tego robić, jeśli zostawi dziecko mnie. Mogłaby przeżyć wszystko tak, jak powinna.

Jack popatrzył na nią.

- Czy tu chodzi o Cressidę, czy o ciebie? Polly powoli traciła cierpliwość.

- O nas obie. Naturalnie wolałabym, żeby życie inaczej mi się ułożyło, ale kiedy zostaje się matką, to reszta nie jest już taka ważna. Najważniejsze są dzieci. Nie zamierzam naprawiać win mojej matki ani nic podobnego, jeśli to masz na myśli.

Była zła. Nie rozumiał jej. Postrzegał coś wspaniałego, rozsądnego i czystego jako dziwne i pokręcone. Spróbowała zacząć inaczej:

- A jeśli zostanie z tym całym Elliotem i za niego wyjdzie?

- Tak jak ty?

Znowu odrzucił piłeczkę. Słowny pojedynek. To niepodobne do Jacka.

- Tak, właśnie. Jak ja. Nawet gdyby im się udało, w co bardzo wątpię, byłoby jej bardzo ciężko - musiałaby porzucić wszystkie marzenia i całkowicie odmienić swoje życie.

- Ale ona chce tego dziecka, Poll. Może nawet chce być z Elliotem. Czemu jesteś taka pewna, że to się nie uda?

Bo ja na to nie pozwolę, krzyknęła w duchu.

- Bo to widać. On do niej nie pasuje - wyczułam to od razu. Ich związek nie ma szans na przetrwanie i w rezultacie skończyłaby bez męża, za to z dzieckiem i bez żadnego wykształcenia.

Jack przykrył jej dłoń ręką.

- Czy nie sądzisz, że podchodzisz do tej sprawy odrobinę zbyt melodramatycznie? Cressida nie jest bohaterką powieści Thomasa Hardy'ego.

Polly wyrwała rękę.

- Nie żartuj sobie z tego, Jack.

- Wcale sobie nie żartuję, kochanie. Po prostu uważam, że przesadzasz. Wydaje ci się, że musisz „uratować” Cressidę, a nie jej pomóc. Zachowujesz się, jakbyś prowadziła krucjatę.

Ton głosu i spojrzenie miał czułe i kochające. Starał się zrozumieć, ale nie potrafił.

Nie tego chciała. Pragnęła - czekała - aby Jack wziął ją w ramiona i wyszeptał, że tak, oczywiście, dadzą sobie radę z dzieckiem i będzie zawsze przy niej i może nawet będzie ją dzięki temu bardziej kochał. Nie powiedział nic takiego, ale także się z nią nie sprzeczał. Był spokojny i łagodny.

Wstał i przeszedł przez pokój, aby wyrzeć na ogród za domem, zalany jasnopomarańczowym wieczornym światłem.

- Nie opowiadałem ci o moim pierwszym małżeństwie, prawda? - Nigdy nie wspominał o tym pierwszym, a ona nie pytała. Polly wierzyła w drugą szansę. I nowe życie. Wiedziała, że rozwiódł się przed wielu laty i że potem - oprócz niej - w jego życiu nie było nikogo ważnego. Powiedział, że nie chodziło o zdradę. - O tym, dlaczego się rozstaliśmy?

- Mówiłeś, że oddaliliście się od siebie.

- To prawda. Tylko że „oddaliliście” to może zbyt łagodne określenie. Anna ode mnie odeszła.

- Nie wiedziałam. - Nie miała nawet pojęcia, że na imię jej było Anna.

- Skąd miałybyś wiedzieć? To było wiele lat temu i dawno przestałem to przeżywać. Oczywiście nigdy się z tego nie cieszyłem - dopóki nie poznałem ciebie.

Polly uśmiechnęła się. Podobało jej się, że być może odmieniła jego życie.

- Czy chodziło o kogoś innego? - Nie rozumiała, czemu miałyby to przed nią taić.

- Nie - uśmiechnął się Jack. - Kiedy się poznaliśmy, byliśmy bardzo młodzi. Mieliśmy wspaniałe pomysły, wielkie plany - chcieliśmy zwiedzać świat, żyć inaczej. Ja zamierzałem wykorzystywać swój dyplom prawnika w słusznej sprawie. - Skrzywił się. - Typowe odpowiedzi miss piękności, tak się teraz wydaje. Ale były lata siedemdziesiąte, a my byliśmy młodzi.

Ona i Dan też tacy byli, pomyślała Polly. Przed urodzeniem Cressidy.

- Zmieniła się. Oboje chyba się zmieniliśmy. Ale najpierw ona. Pewnego dnia zrozumiała, że pragnie tego wszystkiego, czego według mnie nienawidziliśmy. Dużego domu, dwóch samochodów i dzieci. Naprawdę pragnęła dzieci, choć zawsze mówiliśmy, że nigdy nie będziemy ich mieć. I ja uparłem się przy tym postanowieniu. Dlatego w końcu odeszła. Podałem się w kwestii domu i kariery. Mieliśmy nawet dwa cholerne samochody i raz do roku tydzień na południu Francji. Ale nigdy nie chciałem mieć dzieci.

- Ależ dlaczego? Byłbyś cudownym ojcem. Jack zbył tę banalną uwagę machnięciem ręki.

- Wcale nie. W gruncie rzeczy jestem egoistą. - Polly potrząsnęła głową, starając się mu przerwać. Nie takim go znała. - Naprawdę, uwierz mi. Nigdy nie chciałem się nią dzielić. Nie chciałem, żeby coś się zmieniło. Nie chcę się dzielić tobą.

- Jack, to było dawno temu.

- Ja się nie zmieniłem.

- A co z Cressidą i Danielem?

- Kiedy cię poznałem, wpadłem na całego. Nawet nie zdążyłem o nich pomyśleć, a potem było już za późno.

Polly roześmiała się nerwowo.

- Czy to znaczy, że nie związałybyś się ze mną, gdybyś wiedział o dzieciach?

Odwrócił się w jej stronę, choć nie miał odwagi przejść przez pokój i dotknąć jej.

- Przypuszczalnie liczyłem, że twoje dzieci są już duże i niedługo się usamodzielnią. Wiedziałem, że będę miał cię tylko dla siebie.

Polly była wstrząśnięta. Teraz Jack podszedł do niej.

- Nie zrozum mnie źle. - Nie chciał być fałszywie rozumiany, tak bardzo jak ona wcześniej. - Kocham ich, naprawdę. A przynajmniej zaczynam kochać, nawet wbrew sobie. Są wspaniali. Chyba nawet przywykłem do myśli, że zostanę ojczymem, kimś ważnym w ich życiu. Lubię być z wami razem. Jak z rodziną.

- Ale nie chcesz się aż tak angażować. - Polly wiedziała, że to brzmi niewdzięcznie, ale nie mogła się powstrzymać.

Jack podrapał się po głowie.

- To nie fair. Mówisz o czymś innym. W gruncie rzeczy prosisz, abym został ojcem. - Polly potrząsnęła głową. - Tak, właśnie tak. - Jack był stanowczy. - Nie wiem, czy mogę to zrobić.

Polly spojrzała mu prosto w oczy. Zrozumiał znaczenie swoich słów.

- Tak, nawet dla ciebie.

- A ja wiem, że muszę to zrobić, jeśli ona mi pozwoli. Szach i mat.

Nie będzie go błagała. Nie powie, że jeśli ją kocha, powinien to dla niej zrobić. Wiedziała, że to nie takie proste. Na pewno ją kochał. Ale to nie wystarczało. Nagle przestraszyła się. Co się stało z „chłopiec spotyka dziewczynę i żyli długo i szczęśliwie”?

Wychodząc, Jack pocałował ją, pełen smutku i czułości. Objęła go, nic nie mówiąc. Nie wiedziała nawet, na czym stało.

Ale teraz, siedząc po ciemku, zrozumiała, że znowu została sama.

Polly i Susan

- Nie rozumiem - powiedziała Susan. Wszystko tak bardzo się zmieniło od ostatniego spotkania klubu. To był niezwykle udany wieczór. Miały jedną z najlepszych dyskusji, a poza tym przyjemnie spędziły czas.

Polly była wtedy w dobrym nastroju i chyba wszystko z Cressidą układało się dobrze. Wydawała się nawet przejęta, rozmawiając o dzieciach z Harriet i Nicole, śmiejąc się, że będzie babcią. Ustalili z Jackiem datę ślubu na Gwiazdkę. Umawiały się z Susan na wspólne wyjście po zakupy, w poszukiwaniu czegoś do ubrania. Od tamtej pory Susan była zajęta codziennymi wizytami u Alice i chłopcami, wpadającymi do domu z nienasyconym apetytem i ogromnymi górami brudnych rzeczy do prania. Dlatego dzwoniła do Polly rzadziej, niż miała to w zwyczaju. Teraz była zbita z tropu. W czerwcu Polly jeszcze nie wiedziała o Elliocie. To zapewne wiele zmieniało. Może czuła się spokojniejsza, kiedy myślała, że to Joe jest ojcem. Teraz przypuszczalnie obawiała się utraty Cressidy. Ale co to miało wspólnego z Jackiem?

Jak ich związek mógł się tak nagle skończyć? Jej pierwszą, instynktowną reakcją było poczucie winy - czy aby na pewno okazała się dobrą przyjaciółką? Wiedziała jednak, że słusznie postąpiła, opowiadając Polly o Elliocie. Co innego jej pozostało? Zauważyła, że Polly także do niej ani razu nie zadzwoniła.

Tego dnia przypadało im stałe spotkanie we włoskiej restauracji. Był spokojny, ciepły lipcowy wieczór. Przy stolikach rozstawionych na małym tarasie tłoczyli się letni goście w bluzkach na ramiączkach i rozpiętych koszulach, wokół migotały płomyki świec w lampkach. Susan zadzwoniła zbyt późno, aby zdobyć stolik na zewnątrz - o dacie ich spotkania przypomniawszy sobie dopiero dziś rano - dlatego znalazły miejsce na końcu sali. W długich lustrach, za pomocą których właściciele starali się uzyskać efekt większej przestrzeni, widziała odbicia ich obu. Wyglądały na blade i zmęczone, pomimo letniej pory, a także jakies dziesięć lat starszej niż poprzednio. Susan poczuła przypływ przygnębienia, zabarwiony niepokojem o Polly. Czasami życie było tak zapełnione, że nie poświęcało się uwagi ludziom i sprawom naprawdę ważnym. Traktowało się ich jak rzucone w powietrze piłeczki, którym nie trzeba się cały czas

przyglądać, wiedząc, że tam są. Sprawy, którymi nie chciała się przejmować w tej chwili. Aleksa miała z głowy. Przebywał na wakacjach ze swoją paczką ze studiów medycznych. Eda także, ponieważ właśnie pojawił się w domu na przegląd, jak to określał Roger. Także Polly została czasowo wykreślona z listy obowiązków. Teraz Susan uznała, że powinna była wcześniej zainteresować się przyjaciółką.

Na pewno rozstanie nie było jej inicjatywą, stwierdziła Susan. Wyglądała na zrozpaczoną. Polly opowiedziała całą historię nad butelką chianti i talerzem kulek chlebowych. Przerywały ją powstrzymywane łzy, wybuchy złości i zapytania: „rozumiesz, prawda?”.

Polly zdecydowała, że zaopiekuje się dzieckiem Cressidy, aby córka mogła wieść zwykłe życie dwudziestoletniej studentki. Chciała, aby Jack jej w tym pomógł, ale on nie był w stanie się zgodzić. Rozumiała go. I nie rozumiała. Susan nie wiedziała, co powiedzieć przyjaciółce, która - najwyraźniej - nie poinformowała jeszcze o całym planie głównej zainteresowanej.

- Myślę, że powinnam poczekać do narodzin dziecka.

- Czy to na pewno dobry pomysł? Nie byłoby łatwiej Cressidzie - i tobie - podjąć poważną decyzję, co będzie dla was najlepsze, gdybyście przedtem o tym porozmawiały?

- Może. - Susan zauważyła, że Polly rozważa jej słowa. - Ale przed urodzeniem ona nie ma najmniejszego pojęcia, na czym polega opieka nad niemowlęciem, jak dziecko wszystko sobie podporządkowuje.

- A ty uważasz, że kiedy to zrozumie, łatwiej przekonasz ją do oddania ci go?

- Nie wiem. Mówisz jak Jack. Nie chcę, żeby mi je „oddawała”. Tu nie chodzi o władzę, Suze. Przysięgam. Nie robię tego dla siebie - ty jedna powinnaś to zrozumieć. Czy nie zrobiłabyś tego samego dla chłopców?

Susan zastanowiła się. Oczywiście, wiedziała, co czuje Polly. Nie znała chyba matki, która przez chwilę nie odczuwałaby tego samego. Zrobiłaby to dla Alice, a co dopiero dla chłopców. O wszystko za dbać, wszystkim się zająć, wszystko naprawić. Ale Roger miał rację. Nie dałaby rady.

- Pewnie chciałabym to zrobić, oczywiście, ale to nie znaczy, że miałabym słuszość. W każdym razie nie wyobrażam sobie, żeby Cress się na to zgodziła. To po prostu do niej niepodobne.

- Sprawię, że zrozumie. Ona będzie matką, zawsze nią będzie. Po prostu chcę jej pomóc uporać się z tym, zanim będzie gotowa sama się wszystkim zająć.

- A poradzisz sobie ze stroną finansową? - Czy to nie zabrzmiało protekcjonalnie? Susan wiedziała, że Polly nie brakuje pieniędzy. Dan spełniał bez zarzutu ojcowskie obowiązki, a Polly miała doskonałą reputację w swoim zawodzie.

- Oczywiście. - Twarz Polly zdradziła, że jednak była protekcjonalna. - Pracuję u Smitha, Marcha i Maya całe wieki. Mogą chyba mi dać wreszcie trochę urlopu. Wiem, że Dan pomoże - on także chce dla Cress jak najlepiej.

- W porządku, a więc masz jeszcze przed sobą kilka miesięcy i pomysły na rozwiązanie niektórych problemów. O co więc chodzi?

- Nie spodziewałam się, że Jack się wycofa, jeśli to masz na myśli. - Polly przestraszyła się, że mówi bardziej agresywnie, niż wynika to z jej rzeczywistych uczuć. Nie mogła znieść myśli, że Susan również nie zrozumie jej intencji.

Susan nie chwyciła przynęty.

- Wiem, Polly. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Ale czy masz jakiś plan?

- Tak, oczywiście. W ciągu dnia będę musiała oddać go do żłobka. Znam jeden, niedaleko mojego biura. Moja koleżanka z pracy ma tam córkę. Będziemy jak każda inna rodzina.

- Ale czy tego samego nie mogłaby robić Cressida?

- Nie. - Polly gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie chodzi tylko o czas między dziewiątą a piątą, dobrze o tym wiesz. Wiesz o tym tak samo jak ja. To są noce i wieczory, ranki i weekendy, i wszystkie inne chwile, kiedy dzieci nie są w żłobku, najważniejsza część ich życia.

- To prawda - ustąpiła Susan.

- A ja chcę, żeby Cress była wtedy swobodna. Nie tylko w czasie wykładów i zajęć - na studiach robi się tyle innych rzeczy. Popatrz na Eda i Aleksa... Tego jej będzie brakować. Znasz Cress.

Susan zważyła, czy tak naprawdę знаła Cressidę. Znała dziewczynę, która chodziła z chłopakiem o imieniu Joe. Wydawał się przemiły i był jej oddany od niepamiętnych czasów. Siadywali po szkole na kanapie Polly, trzymając się za ręce i oglądając *Grange Hill*, cudownie dziecinni i niewinni.

Wiedziała, że Cressida jest trochę zbzikowana, czasami zachowywała się dziwnie, ale żeby aż romans z żonatym mężczyzną? Mężczyzną, którego znały wszystkie, choć pośrednio. I to, że zaszła w ciążę. To nadal wydawało się Susan losem głupich dziewcząt, często z rozbitych rodzin, albo bezgranicznie tępych, albo źle pokierowanych. Polly była wprawdzie samotną matką, ale nikt nie uznałby jej rodziny za rozbity ani dysfunkcyjną. A Cressida była mądra - zbyt mądra na całą tę idiotyczną sytuację.

Susan chciała być dobrą przyjaciółką dla Polly i dla Cressidy, ale nie godziła się wewnętrznie na niewierność. Wyszła za Rogera, aby być z nim przez całe życie, i spodziewała się, że on myśli tak samo. Byłaby wściekła, gdyby jej synowie zdradzali swoje dziewczyny lub żony. Nie tolerowała nawet najbardziej niewinnych przejawów nieuczciwości i oszustwa. Nie była jednak naiwna i wiele w życiu widziała. Sukces jej małżeństwa tylko częściowo zależał od ich starań. Reszta to kwestia szczęścia, którego im nie brakowało. Najważniejsze, że podobał się sobie nadal po tylu latach. Wydawało jej się to cudem, zwłaszcza w przypadku Rogera. Przecież fizycznie, emocjonalnie i pod każdym innym względem różniła się od dziewczyny, w której zakochał się tyle lat temu. Poza tym - co może o wiele ważniejsze - nie spotkała ich w życiu żadna tragedia. Kto może powiedzieć bez wahania, że każde szczęśliwe małżeństwo przetrwa prawdziwą tragedię? A Susan z pewnością uznawała bezdzietność za tragedię. Chłopcy byli dla niej wszystkim, tak jak Dan i Cressida dla Polly. Nie obarczała w całości winą za to, co się stało, ani Cressidy, ani Elliota. Może Elliot chciał być z Cressidą? Susan obawiała się, że Polly nadal traktuje Cressidę jak dziecko, nie przyjmując do wiadomości olbrzymiego skoku w dorosłość, jaki miała za chwilę wykonać, i nie obchodziło jej, z kim ma zamiar to zrobić.

- Czy wszyscy już wiedzą, że dziecko jest Elliota? Polly najeżyła się na dźwięk jego imienia.

- Chyba tak.

- A Jack?

- Jack też. Widziałam się z nim następnego dnia po tym, jak mi powiedziałaś.

- Zanim go zapytałaś, czy pomoże ci z dzieckiem? Polly drażniło takie postawienie sytuacji, ale w końcu dokładnie o to Jacka zapytała.

- No.

- I przez to Jack się wycofał?

- Chyba tak. To nie było dla niego łatwe. Wydaje mi się, że do tej pory bardzo się starał ze wszystkim sobie poradzić - z dzieckiem, Danem i tak dalej - a to jest ostatnia kropla. Chyba mój bagaż za bardzo mu zaciążył.

Nie złościła się, nie próbowała nawet go obwiniać - była tylko smutna. Susan ujrzała na jej twarzy wypisaną ogromną miłość.

- Na czym w końcu stało? - zapytała Susan.

- Nie wiem. Powiedział, że nie poradzi sobie z tym, i wyszedł. Od tamtej pory się nie odezwał.

- Chcesz, żebym do niego zadzwoniła i pogadała?

Polly uśmiechnęła się do przyjaciółki. To typowe dla Susan.

- Nie, dziękuję. Chyba lepiej nie. Wolę dowiedzieć się prawdy teraz niż później. Nigdy nie powinienam się była w to pakować. To twoja sprawa. - Roześmiała się. - To ty namówiłaś mnie do przyjęcia oświadczeń!

Susan nie dała się nabrać. Wiedziała, że Polly kocha Jacka, i była przekonana, że Jack także ją kocha. To, że sprawa z Cressidą stała się między nimi i mogła zrujnować ich związek, wydawało jej się kolejną tragedią.

Objęła Polly ramieniem.

- Tak mi przykro.

- Mnie także - westchnęła Polly.

Susan postanowiła zaryzykować.

- Nie sądzisz, że Cressidę i Elliota czeka jakaś wspólna przyszłość?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Po prostu wiem, że on nie jest dla niej odpowiedni. Wiem to. Dlatego nie mogę jej zapytać, dopóki dziecko się nie urodzi. Nie mogę im przeszkadzać, jeśli ona tego chce. Jeśli ona pragnie z nim być. Muszę poczekać, aż sama mi powie, co czuje. Chwilowo chyba nie ma pojęcia.

Później, kiedy udało im się uratować zaczęty w ten sposób wieczór za pomocą tiramisu i kawy z likierem Amaretto oraz rozmowy o wszystkim, poza Cressidą, Elliotem i Jackiem, i szły pod rękę ulicą w kierunku postoju taksówek, Susan powiedziała:

- Naprawdę uważam, że powinnaś porozmawiać z Cressidą, zanim dziecko się urodzi, jeśli masz poważne zamiary.

- Niezwykle poważne, Suze. To się uda. Kiedy podjęłam decyzję, poczułam się, jakby rozstały się nade mną chmury - wszystko mówiło mi, że postępuję słusznie.

- Nawet jeśli stracisz Jacka.

- Nawet jeśli stracę Jacka. Sama jesteś matką. Czy nie wepchnęłabyś Rogera pod pociąg, aby uratować Eda i Aleksa?

Susan roześmiała się. Sama ujęłaby to inaczej, ale wiedziała, co Polly chce powiedzieć.

- Ja bym wepchnęła Dana bez wahania.

- Dana wepchnęłabyś pod pociąg dla przyjemności, a nie dla dzieci! Sama przyznaj.

Teraz Polly się śmiała, choć na granicy łez.

- No dobrze, masz rację. Wepchnęłabym Jacka. Dla Cressidy. I tyle.

Wszystko już sobie przemyślała. Susan zastanawiała się, co powie Cressida, i miała nadzieję, że Polly nie straci czegoś także i w relacjach z córką.

Zanim się rozstały, Polly odwróciła się do niej.

- Przepraszam, przez cały wieczór ani razu nie zapytałam o Alice. Ale ze mnie egoistyczna małpa. Jak ona się ma?

- Nie bardzo. Ale nie dzieje się nic dramatycznego. Po prostu powoli i nieodwracalnie odchodzi. Nic nie można zrobić.

- Och, Suze.

- Przyzwyczajam się. Wszystko jest w porządku. Ostatnio nawet trochę rzadziej ją odwiedzam. Mielicieście rację - ona tego nie zauważa, a mnie to potwornie przygnębia.

- Cieszę się, że się aż tak nie dręczysz. Wiem, że to banał, ale Alice pewnie tego by chciała.

- Na pewno. Byłaby wściekła, gdyby wiedziała, co się dzieje.

Uśmiechnęły się do siebie. Wspólny wieczór dobrze im zrobił.

Wysiadając przy swoim domu, Susan ucałowała Polly w oba policzki.

- Daj mi znać, co słyszeć, dobrze?

- Obiecuję. Skończyłaś czytać *Eden Close*?

- Nawet nie zaczęłam. Znasz mnie! Ale zdążę do spotkania klubu.

Susan po raz kolejny w życiu poczuła wdzięczność, że wraca do domu, do Rogera. Usłyszał ją wysiadającą z taksówki i otworzył drzwi, zanim zdążyła rozpocząć poszukiwanie kluczy. Cały on.

Harriet

Zadziałał chyba czynnik Wenecji, ponieważ w Portugalii Harriet czuła się lepiej. W tym nieprawdopodobnym słońcu nic nie wydawało się okropne. Nawet jej ogromne, słoniowate uda prezentowały się całkiem nieźle, opalone na brąz. Ostatniej nocy przelotnie ujrzała swoje odbicie w dużym lustrze w sypial-

ni i uznała, że się sobie podoba. Czy można opisać ją jako typ Junony? Albo kobietę o rubensowskich kształtach? Oba określenia brzmiały dość przyjemnie.

Musiała jednak nieźle się napracować, aby osiągnąć pożądany efekt. Rozsądne ilości kremu z faktorem numer piętnaście i mnóstwo balsamu po opalaniu. Inaczej niż Tim i dzieci, którzy w chwili wyjścia za próg przybierali kolor mahoni i z każdym dniem po prostu ciemnieli coraz bardziej. Poprzedniego dnia Tim obserwował ją pod prysznicem, oparty o drzwi łazienki. Tym razem wyjątkowo jej to nie przeszkadzało.

- Ślicznie wyglądasz, kiedy się kąpiesz - powiedział, kiedy wyszła. - Podoba mi się sposób, w jaki wyginasz plecy, kiedy spłukujesz włosy.

Zrobiło się jej bardzo miło. To pewnie wpływ pogody.

W tym roku w willi nastąpiła nowa pomoc domowa, która zastąpiła starszą, wyschniętą wdowę, pracującą dla rodziców Tima od lat. Była młoda, ładna i w widoczny sposób zakochana w czyścicielu basenu. Każdego ranka, po zasłaniu łóżek i zmianie ręczników, proponowała, że za kilka dodatkowych euro może popilnować dzieci bawiących się przy basenie, aby Tim i Harriet mogli wymknąć się na chwilę do miasteczka.

Początkowo Harriet oznajmiła, że nie będzie płacić za to, aby jakaś dziewczucha wysiadywała w stringach przy ich basenie, oraz że nie wierzy, aby umiała upilnować dzieci przed utonięciem, flirtując za wzięciem po portugalsku. Tim odparł, że dziewczyna jest córką przyjaciół jego rodziców, dzieciom nie zagraża absolutnie żadne niebezpieczeństwo i wszyscy na tym skorzystają. Dzieci zmusiły Harriet, aby zgodziła się pójść razem z nim: człowiek od basenu obiecał Joshowi, że nauczy go pływać stylem grzbietowym, a Chloe zakochała się w nim z żarliwością czterolatki.

Harriet musiała więc ustąpić. W końcu jej się to nawet spodobało i wkrótce nabrali nowych przyzwyczajęń. Szli spacerem do miasteczka położonego za stromym wzgórzem, zatrzymując się na przestronnym targowisku, aby kupić pomarańcze, pomidory albo chleb, potem, zawsze w tej samej knajpce, Tim zamawiał sardynki i piwo, a ona kurczaka i białe wino. Obserwowali mieszkańców palących papierosy na szerokiej plaży, gestykulujących dziko w czasie rozmowy. Czują się... swobodnie. Pewnego razu Tim spróbował wziąć ją za rękę w czasie powrotnego spaceru, kiedy skarżyła się na upał i strome podejście, i pozwoliła mu na to.

Tego samego ranka kochali się. Była tylko połowicznie przebudzona i zapragnęła go wbrew sobie. Przesunęła się na środek łóżka ze skraj, który normalnie zajmowała, i zaczęła rytmicznie przyciskać pupę do jego podbrzusza aż zareagował, sam na wpół uśpiony. Natychmiast potem zasnęła na powrót, zdziwiona i zaspokojona. Zdążyła jeszcze usłyszeć Tima szepczącego w jej włosy, że ją kocha.

Susan

Roger, który właśnie zakończył spokojny poranny dyżur, delektował się w samotności kawą w pokoju lekarzy. W lecie przychodnia zawsze była wyludniona. Tyle osób wyjeżdżało. Pozostali najwyraźniej

byli zdrowsi dzięki świeżemu powietrzu i odrobinie surowych warzyw - a na pewno mniej zakatarzeni. Roger przekazał kierownictwo kliniki położniczej jednej z nowych partnerek. Większość rutynowych zabiegów medycznych przejęły pielęgniarki. Za kilka lat pomyśli o zmniejszeniu godzin pracy. Może kiedy obaj synowie pójdą na studia.

Odczuwał ogromną dumę z tego, że Alexander postanowił pójść w jego ślady i studiować medycynę, lecz zdawał sobie jednocześnie sprawę, że chłopiec jeszcze przez kilka lat pozostanie zależny finansowo. Kolejny rok w Edynburgu, potem trzy lata studiów klinicznych i dodatkowy rok specjalizacji, zanim zostanie w pełni wykwalifikowanym, wypłacalnym i świadomym lekarzem.

Własne studia w latach sześćdziesiątych wspominał jako zarazem najlepszy i najgorszy okres w życiu. W sensie osiągnąć naukowych zawsze znajdował się mniej więcej pośrodku grupy. Ale był dobry w pracy z ludźmi. Sprawiał, że czuli się odprężeni, chętnie zwierzali mu się z najgłębszych, najtrudniejszych sekretów, od pierwszego razu, kiedy pojawił się na sali w krótkim, białym kitlu. Interna idealnie mu odpowiadała. Zmieniał czyjeś życie. Alexander oczywiście był przepełniony ambicją i wielkimi dążeniami, z całą arogancją dwudziestojednolatka. Posprzeczali się o to w czasie świąt. Niezbyt poważnie, ponieważ Susan nie pozwoliłaby na to. Alex uważał, że interna to nuda, coś gorszego od innych specjalizacji. To go zakłuło, tylko trochę, ale jednak. To przykre, kiedy syn uważa pracę ojca za bezwartościową. Z czasem jednak nauczy się, że bohaterowie to nie tylko ludzie w zielonych fartuchach, dzierżący skalpele. I tak był zadowolony, niezależnie od tego, kim Alex zostanie. Roger pragnął, aby synowie byli szczęśliwi.

Susan cieszyła się, mając ich obu w domu latem - żałowała tylko, że nie przyjechali w tym samym czasie. Na szczęście, nie ośmieliliby się nie pojawić na Boże Narodzenie, jak zwykle. Zawsze zgadzali się zostać co najmniej kilka dni. Roger obawiał się, że tego roku żona będzie potrzebowała ich bardziej niż kiedykolwiek.

Jeden z lekarzy, Sandy Kershaw, wszedł do pokoju i z teatralnym westchnieniem rzucił się na zapadniętą kanapę.

- Wszystko w porządku? - zapytał Roger. Sandy uśmiechnął się szeroko.

- Tak. Właśnie wróciłem z cotygodniowej wizyty w uroczych „Cedrach”. Jest za gorąco, żeby tak się kręcić.

Sandy ważył ponad dwieście osiemdziesiąt funtów, na co - jak twierdził żartem - składał się głównie haggis i whisky, pamiątka dzieciństwa i młodości spędzonych w górach Szkocji. Jego szeroka twarz przybrała jaskraworóżowy odcień, nad górną wargą zbierały się kropelki potu. Wstał i poczłapał niepewnie w kierunku butli z zimną wodą.

- Potrzebuję łyżeczka wody i kilku minut odpoczynku przed popołudniowym dyżurem.

Nowa recepcjonistka Sacha otworzyła drzwi.

- Zgadnij, co takiego? - zwróciła się do Sandy'ego.

- No co?

- Dzwonili z „Cedrow”. Chcą, żebyś przyjechał z powrotem.

- Słodki Jezu!

- Wiem. Ktoś umarł. - Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o najsłabszym szczeniaku w miocie.

- Nie mógł tego zrobić dziesięć minut wcześniej? - Sandy uśmiechnął się żałośnie. - Kto to taki?

Sacha zerknęła na żółtą karteczkę.

- Niejaka pani Barnes. Alice Barnes.

Zachowanie Sandy'ego zmieniło się w okamgnieniu. Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, potem zwrócił się do Rogera.

- To mama Susan, prawda? - Roger skinął głową. - Tak mi przykro. Szybciej, niż się spodziewaliście.

- Kto to może wiedzieć? - odparł Roger. - Po wylewie na wiosnę szybko opadła z sił. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że doczeka Nowego Roku - westchnął.

- Czy zawiadomili krewnych? - Sandy zapytał Sachę.

- Nie wiem.

- Susan nie było przed południem w domu - głośno myślał Roger. Jego żona wiecznie zapomniała zabrać ze sobą telefon komórkowy. Kiedy go miała, na ogół pozostawał wyłączony. Jak twierdziła, miał służyć jej w szczególnych wypadkach, a nie innym ludziom. Wolał powiedzieć jej sam. - Oddzwoń i przekaz, że sam zawiadomię córkę pani Barnes, dobrze?

Sacha zawahała się.

- To jego żona - wtrącił Sandy.

- O Boże, tak mi przykro. Nie wiedziałam. - Sacha wycofała się z pokoju.

Roger uśmiechnął się do niej pocieszająco. Nie chciał, żeby czuła się nieswojo. Wszyscy wyrażali się nonszalancko o śmierci. Tak się przyjęło.

- Nie przejmuj się - skąd niby miałaś wiedzieć? Wszystko w porządku. - Roger chciał, żeby tylko zadzwoniła. - Zadzwoń tam, dobrze?

- Już się robi.

- Jak Susan to przyjmie? - zapytał Sandy.

- Spodziewała się tego. Nic jej nie będzie. To zawsze jest smutne, ale nie tragiczne, zważywszy na wiek Alice i jej stan.

- Pewnie masz rację. Pojadę i podpiszę świadectwo zgonu. Badałem ją w zeszłym tygodniu, więc nie ma problemu. Myślisz, że Susan zechce ją zobaczyć?

- Tak przypuszczam.

- Wszystko załatwię. Nie martw się. - Przechodząc, poklepał go po ramieniu.

W drodze do warsztatu Roger zastanawiał się, jak jej to powiedzieć. Po dwudziestu paru latach małżeństwa można pomyśleć, że umie się powiedzieć wszystko. Była przy nim, kiedy odbierał telefony zawiadamiające o śmierci rodziców, za każdym razem późno w nocy. Jego matka umarła niedługo po narodzinach Aleksa. Miała raka w obu piersiach, potem raka płuc. Skończyła dopiero pięćdziesiąt osiem lat.

Leżała w hospicjum, całymi tygodniami unosząc się na granicy życia i śmierci, poruszając tylko gałkami ocznymi, z powiekami drżącymi od snów, jakie śniła pod wpływem morfiny. Stał przy łóżku i pragnął, aby jej serce w końcu się zatrzymało.

Kiedy się dowiedział, Susan wzięła na ręce śpiącego Aleksa, który miał wtedy dopiero kilka tygodni, i podała go Rogerowi. Małe pulsujące życie w jego ramionach walczyło ze świadomością śmierci.

Ojciec umarł pięć lat temu - jeden silny udar. Zmarł, zanim Roger zdążył przyjechać do szpitala.

Nawet w wieku czterdziestu pięciu lat czuł się jak sierota.

Susan rzecz jasna kochała swego ojca, ale to będzie dla niej o wiele gorsze. To, co czuła do Alice, było inne. Cieszył się, że dowie się od niego.

Susan jednak domyśliła się, że coś się stało, kiedy tylko go ujrzała. Jadąc z powrotem do warsztatu, zauważyła volvo zaparkowane u stóp wzgórza. Roger siedział na ławeczce z drzewa tekowego, na której ona i Mary jadały w lecie lunch.

Nie przywitała się.

- Czy chłopcom nic się nie stało? - Zawsze ten lęk.

- Nic im nie jest, kochanie.

A więc to matka. To musi być Alice. Twarz jej się skurczyła. Roger powiedział szybko:

- To twoja mama, Suze. Umarła dzisiaj rano. Myśleli, że śpi, więc jej nie przeszkadzali. Kiedy w końcu przyszli sprawdzić, okazało się, że nie oddycha. Sandy teraz do niej pojechał.

- Czy to kolejny wylew?

- Nie wiadomo. Możliwe. Może miała atak serca. A może po prostu przestała oddychać.

Objął ją ramionami. Susan oparła się o niego tak silnie, że o mało nie wywrócił się do tyłu. Przez kilka minut nic nie mówiła, wstrząsana suchym szlochem. Roger przytulał ją bez słowa.

To było dziwne. Widywał w tym stanie swoich pacjentów. Rozsądny, energiczny dorosły człowiek zamieniał się na powrót w małe dziecko. Susan nie oplakiwała zgarbionej staruszki, która osunęła się w chorobę w pobliskim domu opieki, lecz pełną życia młodą kobietę, która brała ją na kolana i laskotała, kładła do łóżka i obiecywała odegnąć złe czarownice. Teraz cierpiąca córka wzięła górę nad matką i żoną.

W końcu Susan wyprostowała się i z potężnym pociągnięciem nosa otarła oczy rękawem lnianej bluzki. Założyła włosy za uszy i usiadła na ławce z rękami założonymi na piersi, spoglądając na dolinę przed sobą.

- Tak się cieszę, że to ty mi powiedziałaś.

- Ja także.

- Biedna mama. - Samotna łąza stoczyła się jej po policzku. - Myślę, że chętnie by odeszła. Nie zniosłaby widoku siebie w tym miejscu. Tak... bez godności.

- Na pewno.

- Dobrze, że nigdy się nie dowiedziała.

- Tak. - Roger pogładził ją po głowie. - Czy mam powiedzieć chłopcom?

- Mógłbyś? Ja bym cały czas płakała w słuchawkę, a to nie ma sensu. Całe szczęście, że Alex wrócił z Ibizy. Obaj przyjadą na pogrzeb, jak myślisz?

Roger wiedział, że synowie będą na miejscu, bez względu na wszystko. Kochali swoją matkę.

- Oczywiście. Nie martw się. Wszystko załatwimy.

- Chciała zostać skremowana. Zawsze powtarzała, że nie chce leżeć w zimnej ziemi ani tego, żebyśmy musieli wiecznie przychodzić z kwiatami.

Roger wyczuł, że Susan pogrąża się w chaosie myśli i chciał ją zatrzymać.

- Jest jeszcze mnóstwo czasu, Suze. Potem przyszło najtrudniejsze.

- A co z Margaret? Zadzwoń do niej? Susan potrząsnęła głową.

- Nie, ja powinnam. Mama by sobie tego życzyła. Potem roześmiała się przez łzy.

- Wścieknie się, że musi przylecieć dwa razy w ciągu roku. Przez dziesięć lat nic, a potem dwa razy.

Roger zastanowił się, czy Margaret istotnie zechce przylecieć, ale nie była to dobra chwila na pytanie. Musi dopilnować, aby być przy Susan, kiedy będzie dzwonić do siostry. Z pewnością wtedy także się przyda.

Susan znowu umilkła. Dolina była bardzo spokojna. Wiatr leciutko poruszał liśćmi, łagodząc nieznośny upał.

- Czy mogę ją zobaczyć? - zapytała.

- Oczywiście. Sandy poszedł to załatwić. Możemy pojechać od razu, jeśli chcesz.

Susan pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

- Czy możemy tu jeszcze przez chwilę posiedzieć?

- Jasne. Nigdzie się nie wybieram.

Nicole

Nicole była zła i było jej za gorąco. Nie tak to sobie wyobrażała. Przez ostatnie dwie godziny po cichu stawała się coraz bardziej rozzłoszczona i rozgrzana, leżąc obok cholernego Tony'ego Brooksa, który potrzebował pełnego słońca, aby przysmażyć sobie plecy na ten sam jaskrawy odcień brązu co brzuch (tłuste ślady palców pochodziły od jego koszmarnej żony Phil, wklepującej w skórę krem do opalania z delikatnością zapaśnika). Leżał z twarzą schowaną w ręczniku i Nicole musiała prosić go o powtórzenie każdej uwagi, jaką raczył wygłosić. Było to o tyle bardziej męczące, że żadna z nich nie była warta wysłuchania. Nie mogła poskarżyć się na skutki upału, nie wspominając jednocześnie o ciąży, a nie miała zamiaru tego robić, dopóki nie powie Gavinowi. Który chyba także nie trafił najlepiej. W tym koszmarnym doświadczeniu połączenia dwóch rodzin na Gavina i Phil wypadło zabrać starsze dzieci na tenisa, podczas gdy ona i Tony mieli pilnować malutkiej, jak Phil zawsze wyrażała się o Marcie, bawiącej się nad ogromnym basenem.

Nawet w najlepszych chwilach nie było to jej wymarzone miejsce - nie lubiła pokazywać się obok piętnastoletnich dziewczyn o wąskich biodrach i nieprawdopodobnie sterczących piersiach. Wiedziała, że

wygląda dobrze jak na swój wiek, nawet w potajemnej ciąży, ale nie łudziła się. To miejsce przypominało gwarny, wielojęzyczny szwedzki stół, pełen zapachów nie bugenwilli i cytryny, lecz baru z hamburgerami. Było też o wiele za gorąco - martwiła się, że Martha spali sobie ramiona. Zaczynała boleć ją głowa.

Już po raz piąty odczytywała jedną i tę samą stronę powieści Michaela Ondaatje i nadal nie rozumiała akcji. Szczerze mówiąc, ten konkretny basen nie sprzyjał za bardzo czytaniu Michaela Ondaatje. Panowała tu raczej atmosfera taniego seksu i seryjnych morderstw. Ty snobko, pomyślała Nicole. Tak nazwałaby ją Harriet, i zapewne miałyby wiele racji. Zapagnęła, aby Harriet zjawiała się i ją uratowała.

Mój kłopot polega na tym, pomyślała żałośnie, że jestem zbyt uprzejma. Wolę znieść tego potworzonego człowieka, jego paskudnego dzieciaka i wstrętną żonę - nawet za cenę zrujnowanych wakacji - i mnóstwa wspaniałych okazji - niż powiedzieć, żeby poszli do diabła. Uroczą rodziną na okładce broszury nie miała przy sobie innej rodziny, w odrażających kostiumach kąpielowych, wyskakującej zniecka zza doniczek z roślinami, wymachującej przez okrągły dzień dzbankiem z sangrią. Nie przyciągała obcych - bezpiecznie schowana w kokonie swojej urody.

Harriet by tego nie zniosła. Nicole wyobrażała sobie przyjaciółkę, żelazną pięść w aksamitnej rękawiczce, jak wynajduje nieskończenie uprzejme, a zarazem bezpośrednie sposoby, aby powiedzieć: wynocha, wy żałośni frajerzy - to nie wasza wina, że nie mamy sobie absolutnie nic do powiedzenia - nie myślcie nawet o tym, abyśmy wnieśli trochę koloru do waszego nędznego, szarego żywota. Nigdy by się nie domyślili, że to zrobiła. No cóż, może by się jednak domyślili. Tak czy owak - nie byłoby ich. Ona po prostu nie umiała się na to zdobyć. Uprzejmość albo śmierć. Co za los.

Gdyby Phil Brooks należała do grupki matek ze szkolnego parkingu, mogłaby przynajmniej pochotać z niej razem z Harriet. Była typem osoby, których zawsze starały się unikać: zbyt szczupła i wysportowana na gust Harriet, zbyt agresywna dla Nicole. Bez ustanku porównywała umiejętności pływackie dzieci, ich zdolności do gry w tenisa, wypytywała o bekhendy bliźniąt i czy Nicole myśli o szkole z internatem. W rezultacie tej nieubłaganej hodowli Crispin, ich drobny synek o mysich włosach, przypominał przerażonego królika zastygłego w świetle reflektorów i zapewne nie był zbyt popularny wśród swoich kolegów. Z drugiej strony i tak nie starczyłoby mu czasu na zabawy z rówieśnikami, po zajęciach z łaciny lub historii sztuki. Poza tym miał alergię na prawie wszystko. Biedak nie miał nawet rodzeństwa, z którym mógłby dzielić swój ciężki los.

Spotkali ich w poczekalni na lotnisku. A właściwie zostali schwytani w pułapkę. W czasie lotu Tony i Phil machali szaleńczo ze swoich miejsc, cztery rzędy dalej. Kiedy tylko wózek z napojami potoczył się wzdłuż przejścia, zjawiała się przy nich Phil, aby zacząć niekończącą się pogawędkę, tarasując tym samym przejście do ubikacji matkom z dziećmi.

Kiedy odebrali swoje wynajęte samochody z dwóch różnych agencji i ruszyli do upatrzonej miejscowości, Nicole wydawało się, że nareszcie ich zgubili. Ku swemu przerażeniu po przybyciu na miejsce odkryła, że Phil i Tony odbierają klucze do willi znajdującej się na tym samym odcinku La Manga. Od

tamtej pory wielokrotnie „po prostu przechodzili obok”, „zastanawiali się, czy nie potrzeba czegoś ze sklepu” i generalnie atakowali ich jak pszczoły ze wszystkich stron.

- Musicie koniecznie przyjść do nas na barbecue! - wykrzykiwała Phil od chwili spotkania na lotnisku. - Tak się cieszę, że Crispin będzie miał kolegów do zabawy. To takie trudne być jedynakiem. Tony robi precudowne steki!

Tony nie wyglądał na kogoś, kto robi cudownie cokolwiek, a chłopcy szybko zniecierpliwili się zabawą ze swoim wątlm cieniem. Na razie udawało im się uniknąć zaproszenia na barbecue, lecz w ciągu pierwszego tygodnia nie zdarzyło się jeszcze ani razu, aby nie spędzili jakiejś części dnia z rodziną Brooksów. Nicole marzyła, żeby zirytowany Gavin obraził ich w poważny sposób.

Zacząła wypatrywać ukochanej głowy Marthy, wyróżniającej się spomiędzy ludzkiego tłumu w baseniku dla najmłodszych dzieci, słuchając jednocześnie - miała nadzieję, że z uwagą - kolejnej anegdoty z życia księgowych, kiedy zobaczyła zdążających ku nim trzech naburmuszonych małych chłopców.

- Mama pomyliła godzinę - wyjęczał Crispin, kiedy podeszli bliżej.

Bliźniaki przewróciły oczami z odrazą.

- Greg miał dwie lekcje zajęte - potwierdziły. Tony podniósł się.

- To straszne, smarkacze. Ale kaszana.

Bliźnięta i Nicole skrzywiły się na dźwięk tych słów.

Wcześniej Nicole przy jakiejś okazji musiała ostro upomnieć Willa, słysząc, jak szepcze do Crispina: „Twój tata to straszny debil”.

- Ale on naprawdę nim jest, mamó - powiedział później Will, kiedy znaleźli się wreszcie sami.

- To prawda, mamó - dodał Gavin i wszyscy zaczęli chichotać, nawet Martha, która już w wieku czterech lat skrycie zgadzała się z tą diagnozą. Faktycznie, straszny był z niego debil.

- A gdzie tata, chłopcy? Miał iść z wami.

Bliźnięta, które właśnie zauważyły, że w basenie rozpoczyna się mecz piłki wodnej, nie odpowiedziały. Zrzuciły koszulki i tenisówki.

- Możemy iść do wody, mamó?

To czysto retoryczne pytanie wykrzyczeli przez ramię w biegu jakieś dwie sekundy przed wskoczeniem do basenu. Crispin schludnie związał swoje sportowe skarpetki.

Ach, do diabła. Bez ręczników, bez suchych spodenek, bez drobnych na napoje i lody, których zażądają natychmiast po wyjściu. Bez Gavina, którego mogłaby po nie posłać. Gdzie on się podziewa? Przy najmniej miała samochód, i była to świetna wymówka, aby uciec od Tony'ego i od słońca. Musi tylko wyciągnąć Marthę z wody.

Dziesięć minut później delectowała się klimatyzacją. Oba nawiewy w samochodzie pracowały na pełnych obrotach. Martha odmówiła wyjścia z basenu.

- Mama, bawię.

A Tony zapewnił ją, że będzie miał oko, „a właściwie dwoje oczu, naturalnie” na nią i na chłopców, podczas kiedy ona skoczy do domu. W tym celu nawet zgodził się usiąść w pozycji wyprostowanej, poświęcając cenne minuty przeznaczone na brązowienie. Z przodu był nieprzyjemnie mokry od potu. Nicole jednak nie zamierzała zostawić z nim swojego dziecka. Być może później uda jej się odciągnąć także chłopców i wszyscy pojedą na szeroką, białą plażę, dzieląc ją jedynie z Hiszpanami, wynajmującymi okoliczne domki na lipiec i sierpień. Martha wrzasnęła gniewnie, wrywając się i kopiąc, lecz po kilku minutach włożyła do buzi kciuk i zapadła w głęboki sen. Nicole postanowiła, że zostawi ją w samochodzie przed domem - wyglądała tak słodko, a przy tym było tam miło i chłodno. Nie zajmie jej to nawet minuty. Być może Gavin już był w domu, choć sądząc z doświadczenia, pewnie będzie wolał napić się czegoś na tarasie, niż szukać suchych ręczników.

Rzeczywiście, był w środku. W sypialni. I w Phil Brooks.

Wszyscy powtarzają, że nie powinno się otwierać drzwi, za którymi może być pożar. Dopływ tlenu sprawia, że ogień bucha z nową siłą i człowiek staje twarzą w twarz z istną ścianą płomieni i gorąca.

Dokładnie tak się czuła. Właśnie tak. Wielka ściana czegoś tak potężnego, że o mało nie roztopiła się na miejscu lub nie wyparowała pod wpływem szoku.

Widziała to jak w zwolnionym tempie, tak że pierwszy przeszywający ból wydawał się trwać w nieskończoność.

Usłyszeli ją. Albo zobaczyli. Nie była pewna, co najpierw. Napięte pośladki Gavina, białe na tle opalenizny, otoczone chudymi nogami Phil. Musiała go drapać popękana skórą na piętach. Łóżko stało bokiem do drzwi, więc widziała, jak stykają się ze sobą całą długością ciał. Widziała cienkie, wydłużone piersi Phil ze sterczącymi na boki sutkami, jeszcze drżące od ruchu; wystające kości biodrowe. Gavin przytrzymał jej ręce za głowę. Znajdował się za daleko, aby mogli się całować, choć ssła jego szyję i pierś, powtarzając - „pieprz mnie, pieprz mnie”. Nagle przerwała. Szybko odwróciła głowę w kierunku drzwi i ujrzała Nicole. Gavin obrócił się w tę samą stronę. Zeskoczył z Phil, opierając się groteskowo na jednej nodze, kiedy dosięgnął podłogi. Jego jasnoróżowy członek zabawnie podskakiwał, objając się o brzuch. Nicole spostrzegła, że przerwała im w kluczowym momencie, lecz nie poczuła żadnej satysfakcji.

Nagle stali się bardzo ruchliwi. Nicole stała spokojnie. Miotali się po pokoju, chwytając fragmenty pościeli i ubrań. Nicole tylko zacisnęła dłoń na klamce i gapiła się na ich nagość, która wydawała jej się absurdalna. Nigdy wcześniej nie widziała kochających się ludzi, poza filmami, na których wszystko było mniej realne, i nigdy nie słyszała, chyba że przez ścianę w tanich hotelach, dawno temu. Filmy i obcy ludzie wydawali się bardziej podniecający. Przypomniała sobie, jak pewnego razu przeżywała orgazm w tej samej chwili co para za ścianą, nie wiedząc już, komu stara się dotrzymać kroku - swojemu partnerowi (którym nie był Gavin) czy anonimowym kochankom w pokoju obok. Widziała także Gavina kochającego się z nią samą, od dołu, z góry lub z boku. Wtedy zawsze wydawał jej się strasznie seksowny. Teraz wyglądał nieco śmiesznie. Tylko że sytuacja nie była wcale zabawna.

Nie mogła się poruszyć, nie mogła się odezwać. Phil powtarzała bez przerwy - „O Chryste, o Chryste”, patrząc na Gavina, lecz omijając wzrokiem Nicole. Gavin milczał i nie patrzył na żadną z nich.

Ta chwila wydawała się znacząca. Drobne grzeszki Gavina, nocne nieobecności i romanse biurowe zostawiły blizny na jej psychice, lecz nigdy nie sięgnęły samego dna. Teraz czuła się tak, jakby została rozkrojona na pół. Ta nagła zmiana, tak przytłaczająco fizyczna, sprawiła, że stała jak wryta.

Powinna zamknąć drzwi. Duma powinna nakazać jej zatrzaskać drzwi i wyjść z domu. Wściekłość podszeptowała, aby oblać ich kwasem solnym. To uczucie było jednak najsilniejsze.

Spojrzała na niego, czekając, co powie. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że nie chce usłyszeć nic pojednawczego. Nie chciała, żeby ją błagał, przepędzał Phil, przepraszał ani przemawiał do rozsądku. Nagle zrozumiała, że nie musi tu zostawać ani chwili dłużej. W tym pokoju, w tym domu, w tym momencie. Poruszyła się z wysiłkiem.

Nie zamknęła drzwi. Niech się ubierają na widoku, pospiesznie, śmiesznie i żałośnie wciągając ubrania.

Z białej kuchni w willi Nicole wykonała dwa telefony. Pierwszy do menedżera biura turystycznego, wyjaśniając, że musi wrócić z dziećmi do domu - nagła choroba w rodzinie - z prośbą o zarezerwowanie biletów na wieczór oraz taksówki na lotnisko. Potem zadzwoniła do Harriet.

- Tim?

- To ty, Nicole?

- Tak. Co robisz w domu?

- Spotkałem się rano z klientem i wróciłem wcześniej do domu. Pewnie szukasz Harry?

- Tak. Gdzie ona może być?

- Nie mam pojęcia. Jestem ostatnią osobą, której się zwierza. - Tim roześmiał się krótkim, smutnym śmiechem.

- Mogę ci jakoś pomóc? - Nagle zdał sobie sprawę z sytuacji. - Nie miałaś być przypadkiem w Hiszpanii?

- Jestem, ale już niedługo. Potrzebuję przysługi.

- Co mogę zrobić? - To było typowe dla Tima, nagle spokojnego i praktycznego, który sprawiał wrażenie, jakby umiał rozwiązać każdy problem. Nicole prawie rozplakała się z ulgi.

Nie waż się ryczeć, powiedziała sobie. Nie tutaj, nie teraz. Zaczęła mówić skrótami, przyjętymi między długoletnimi przyjaciółmi.

- Odebrać z lotniska. Gatwick. Dzisiaj wieczorem.

- Nie ma sprawy. O której godzinie, który terminal?

- Dziękuję. Północny. Około wpół do dziewiątej.

- Będziecie wszyscy? - To pytanie pociągało za sobą tuzin innych.

- Tylko ja i dzieci.

W tych czterech słowach zawarła większość odpowiedzi. Podziękowała mu ponownie, łamiącym się głosem.

- Nicole, wszystko będzie dobrze. Wytrzymaj jeszcze kilka godzin. Ktoś z nas będzie na ciebie czekał. Dobrze?

- Dobrze. Tim?

- Słucham?

- Powiedz Harriet, że mi przykro.

- Każe ci być cicho. Ja zresztą też. Wsiadaj do samolotu i nie martw się resztą. Do zobaczenia.

Odwracając się, zobaczyła gapiącego się na nią Gavina. Phil nie było. Może później, kiedy Nicole sama wszystko przemyśli, wyjaśni, co zrobił jej, co zrobił im wszystkim. Teraz nie była niczego pewna. Okazało się, że nie ma mu nic do powiedzenia.

Ze stosu pozostawionego rano przez pokojówkę wzięła trzy czyste ręczniki.

- Przyszłam po to. Dzieci są na dużym basenie, razem z Tonym Brooksem. - Wręczyła ręczniki Gavinowi. Musiała w tym celu przejść przez kuchnię, lecz natychmiast wycofała się z powrotem na drugą stronę. Nie chciała poczuć jego zapachu ani pozwolić mu się dotknąć. - Zajmij się nimi przez kilka godzin, kiedy będę się pakować. Daj im coś na obiad. - To były instrukcje, nie prośby. Dziwnie było tak się do niego zwracać. Gavin chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Dopilnuj, żeby Martha się nie spaliła od słońca.

- Nicole, co twoim zdaniem mam tu robić bez ciebie? W duchu, swoim najlepszym południowym akcentem,

Nicole zacytowała Rhetta Butlera. Na głos powiedziała spokojnie:

- Masz cztery dni. Zapłać za willę, potrenuj tenisa, dopracuj opaleniznę. Nic mnie to nie obchodzi.

Po prostu nie chcę znajdować się z tobą pod jednym dachem.

Gavin odwrócił się i odszedł, jak uczeń, który właśnie wysłuchał nagany z ust dyrektora szkoły.

On jeszcze nie wie, co zrobił, pomyślała Nicole. Nie ma najmniejszego pojęcia.

Cressida

Skurcze przypominają bóle miesiączkowe, tylko trochę mocniejsze... Kontrolowanie oddechu pomoże ci zachować spokój i opanować sytuację... Tak, boli, ale czujesz się, jakbyś do czegoś dążyła - techniki wizualizacji mogą być tu bardzo pomocne.

Akurat. Stek kłamstw. Propaganda, pisana zapewne przez mężczyzn, chcących powstrzymać spadek urodzeń. To będzie bolało jak wszyscy diabli. Mogę sobie jedynie zwizualizować śmierć.

Cressida była w rozpacz. Niedawno przeczytała rozdział poświęcony temu, co się stanie, kiedy nadejdzie pora. Tylko że pora jeszcze nie nadeszła. I wszystko wyglądało całkiem inaczej. To dopiero trzydziesty piąty tydzień. Nie była gotowa. Nie spakowała torby z pieluszkami (dla siebie i dziecka) i maleńkimi kaftanikami wiązanymi z boku na tasiemki, niewiarygodnie maleńkich buciczków, kapci i

wkładek do biustonosza. Nawet nie ogoliła nóg. Ostatnio stawało się to coraz trudniejsze. Kilka tygodni wcześniej poddała się, obiecując sobie zrobić pedikiur i ogolić się, kiedy zbliży się termin. Myśl o przystojnych, zadbanych położnikach oglądających jej owłosione jak u małpy nogi przyprawiała ją o dreszcze. Ale nie było na to czasu. Przypominała sobie wszystkie komedie telewizyjne, w których mężowie bohaterek biegali w kółko jak bezgłowe kurczaki, podczas gdy skurcze nadchodziły co dziesięć minut i spokojne pielęgniarki radziły, żeby się nie przejmować, że dziecko urodzi się dopiero za kilka godzin, jeśli nie dni. Jej skurcze były bolesne, wyczerpujące i mocne od samego początku. Następowaly co trzy, cztery minuty. Wystarczająco długo, aby zwalczyć mdłości, złapać oddech i usadowić się wygodnie. Wtedy przychodził następny. Według książki: „w fazie pierwszych skurczów możesz odpocząć, a nawet zdrzemnąć się na chwilę pomiędzy nimi. Ważne jest skupienie energii”. Cha, cha, cha.

Czuła się zagubiona w bólu. W pewnym sensie to był ciężki wysiłek. W czasie przerw dostrzegała pewien wzór: jej ciało otwierało się stopniowo i rytmicznie. Za każdym razem obiecywała sobie, że da się unieść temu rytmowi i będzie myśleć o otwieraniu się, aby dziecko mogło wyjść, że pozwoli działać naturze. Potem jednak znowu przychodził ból i wszystko wymykało się spod kontroli, pozostawiając ją zdezorientowaną i nieszczęśliwą.

- Musisz się odprężyć, kochanie - mówiła Polly. - Będziesz całkiem wyczerpana, jeśli nie spróbujesz.

Polly miała rację, ale ona nie potrafiła tego zrobić.

- Nie mogę, mam. Potwornie boli. - Chciała, aby Polly coś na to poradziła. Wzięła matkę za rękę i ścisnęła ją kurczowo.

- Wiem, kochanie, wiem. To nie potrwa długo. Jestem przy tobie.

Jej dłoń była dla Cressidy jak kotwica. Trzymała się jej, kiedy ból usiłował porwać ją za sobą.

- Ja też. Jestem przy tobie. - To był Elliot, bezradny i nieszczęśliwy.

Tak bardzo pragnął być obecny przy narodzinach dziecka. Cressida wiedziała, że Polly uważa to za zły pomysł. Sama nie pragnęła obecności Dana, kiedy rodziła swoje dzieci. Były co prawda lata siedemdziesiąte, Polly jednak czuła, że przyszła na świat o pół wieku za późno - wolałaby rodzić sama, podczas gdy Dan czekałby na korytarzu z cygarem zatkniętym za uchem. Przyszedłby do niej dopiero, kiedy siedziała w łóżku w nieskazitelnej koszuli nocnej, z czyściutkim dzieckiem w objęciach.

Dan zapewne także by tak wolał, gdyby nie ogromna presja społeczna na oddziale położniczym, na którym Cressida przyszła na świat. Po prostu z trudem znosił krew i inne gwałtowne widoki. Nie była pewna, czy kiedykolwiek potem postrzegał ją tak samo - nie dotykał jej całymi miesiącami po porodzie i przejmował się bardziej niż ona, gdy w końcu „podjęli na nowo współżycie” (określenie położnej). Oboje odczuli wielką ulgę, kiedy okazało się, że Dan utknął w jakimś pociągu i nie zdąży na poród Daniela.

Cressida jednak nie była pewna. Przejmowała się swoim zachowaniem i wyglądem, ale nie mogła odepchnąć Elliota. Na to przecież się decydowała, kiedy postanowiła, że zatrzyma dziecko. Niezależnie od okoliczności czuła, że należy ono do nich obojga. Zostało poczęte w miłości, choć brzmiało to jak

oklepany banał. Powinno urodzić się wśród miłości. A przecież najbardziej na świecie będą je kochać ona i Elliot. Ta więź między nimi powstała raz na zawsze w chwili, kiedy leżała w jego ramionach i w jej ciele nastąpiła pierwsza magiczna eksplozja. To gwarantowało mu miejsce przy jej łóżku.

Polly nie zamierzała dyskutować. Przez krótką chwilę zastanowiła się, jak by się czuła, gdyby Jack był z nią tutaj, w innym, alternatywnym świecie, w którym mogliby mieć razem dziecko. Myśl jednak była bolesna i Polly odepchnęła ją. Jacka nie było.

Elliot wydawał się dziwnie oderwany od Cressidy. Chodziło tylko o nią, o Polly i o dziecko. To wszystko.

Polly trzymała maskę z gazem i tlenem. Ani na sekundę nie odwracała oczu od twarzy Cressidy. Za każdym razem kiedy odbijało się na niej wznoszące crescendo bólu, przytykała maskę do ust córki. Były związane rękami i plastikową rurką, i tym nieprzerwanym kontaktem wzrokowym, dzięki któremu Polly mówiła jej bez słów, że jest przy niej, że rozumie, że wszystko będzie dobrze.

Cressidę bolały kolana. W domu klęczała przez ponad godzinę w poprzek łóżka, zgięta wpół, kiedy czekały, aż Elliot zawiezie je do szpitala. Na miejscu trzeba było podłączyć ją do monitora i musiała usiąść, z elastycznym pasem owiniętym wokół brzucha pod koszulą nocną. Polly widziała zaczerwienioną skórę kolan. Elliot głaskał Cress po głowie, ale nie chciała tego - chciała tylko trzymać Polly za rękę.

- Zobaczmy, co u ciebie, dobrze? - Twarz położnej Alison była łagodna i miła, lecz ręce sprawiały wrażenie ostrych jak brzytwa. Zbadała Cressidę, wpatrując się w skupieniu w ścianę za łóżkiem. - O kurczę, wspaniale sobie radzisz. Kiedy tu przyjechałaś, miałaś rozwarcie na dwa cale, a teraz jest około czterech, co oznacza, że bardzo szybko ci idzie. - Zniżyła głos. - Jest tu pewna pani, która męczy się przez całą noc, biedaczka, a wcale nie zbliżyła się jeszcze do czterech cali. - Cressida poczuła się bardzo dzielna. - W tym tempie urodzisz w przeciągu godziny, najwyżej dwóch. Zuch dziewczyna. Jak się czujesz? Wytrzymasz ból?

- To raczej ból wytrzymuje ze mną. Alison roześmiała się.

- Cieszę się, że zachowałaś poczucie humoru. Trochę za późno na pethidinę albo znieczulenie zewnątrzoponowe. Wytrzymasz bez tego? Przyznajemy tu medale!

Raczej nie miała wyboru, ale była przerażona tym, co nadejdzie potem. Przypomniała sobie historyjkę, którą ojciec opowiadał o matce. Jak to w połowie porodu odwróciła się do niego i zaczęła błagać: „Nie dzisiaj, proszę. Zrobię to jutro, ale nie każ mi dzisiaj”. Jako dziecko Cressida uważała tę historyjkę za wyjątkowo zabawną, Polly także się śmiała. Teraz jednak nie było to takie śmieszne. Doskonale wiedziała, co matka miała wtedy na myśli.

- Spróbuję.

- Wspaniale. Jesteś moim ulubionym rodzajem pacjentki. - Alison zerknęła na monitor. - Dziecko ma się dobrze. Wróć za kilka minut - zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Kiedy wyszła energicznym krokiem, Cressida spojrzała na Elliota.

- Może zorganizujesz mamie filiżankę herbaty?

Troska na jego twarzy i potrzeba dotyku zaczynały ją drażnić - chciała, żeby odszedł choć na kilka chwil, i zostawił ją z Polly i z aparaturą medyczną.

- Jasne. Z cukrem?

Polly uśmiechnęła się do niego.

- Nie, dziękuję. Ale mam ochotę na herbatnika, gdybyś coś znalazł. Nie jadłam śniadania.

- Już się robi - Elliot pocałował Cressidę w policzek. - Poczekaj, aż wrócę, dobrze?

- Postaram się - odparła.

Elliot zamknął za sobą drzwi i skierował się do wind. Stała tam Clare, odwrócona do niego plecami. Strzałka wskazująca w dół była wciśnięta. Nie przyszło mu do głowy, że coś podobnego może się zdarzyć. Jego dziewczyna rodziła dziecko na oddziale, na którym pracowała żona, a on nie pomyślał nawet, co powie, jeśli na nią wpadnie. Idiota. Kiedy jednak Polly zadzwoniła do niego rano, był przejęty jak jeszcze nigdy w życiu. Odłożył słuchawkę i objął się ramionami, starając się zachować spokój. Dzisiaj wezmę na ręce swoje dziecko, pomyślał. Był strasznie szczęśliwy i podekscytowany.

Poczucie winy spadło na niego jak cegła. Wyglądało na to, że Clare właśnie kończy dyżur. Zerknął na zegarek. Za piętnaście dziesiąta. Powinna była skończyć o ósmej - ale często zostawała dłużej, jeśli poród się przeciągał i chciała zostać z rodzącą. To dla niej typowe. Poczul coś na kształt ulgi, że nadal to robi, nadal pracuje po godzinach, teraz, kiedy nie musi już go unikać. Nawet z tyłu wyglądała na zmęczoną.

Chciał odejść ukradkiem, żeby ta scena nie zepsuła jego wspomnień i żeby nie zasmucić jej jeszcze bardziej. Ale było za późno. Clare odwróciła się, czując za plecami czyjąś obecność.

Przez sekundę była zaskoczona - czy przyszedł jej szukać? Potem zrozumiała. Spodziewała się tej chwili i jak żołnierz okopała się na pozycji obronnej. W bezsenne noce zastanawiała się, co powie głównej pielęgniarki, jeśli ta poprosi ją o zajęcie się Cressidą. Nie mogła tego zrobić, ale nie miała również gotowej odpowiedzi. Jego widok zaskoczył ją, ale w gruncie rzeczy na to przecież czekała. Poczula ulgę, że wychodzi ze szpitala. Nie przyjdzie do pracy jutro ani pojutrze. Znajdzie jakąś wymówkę, zatrucie pokarmowe albo wysoka gorączka. Nie wróci, dopóki Elliot, Cressida i ich dziecko nie znikną.

Nie wiedziała, czy będzie obecny w czasie porodu. Nie rozmawiała z nim ani razu od tej letniej nocy w samochodzie. Jej mama rozsądnie nie przekazywała jej żadnych wiadomości od Susan. Nie wiedziała, czy Elliot jest z Cressidą. Prawie każdego ranka spodziewała się listu od prawnika, ale nigdy się nie pojawił. On jednak przyszedł. Miał patrzeć, jak rodzi się jego dziecko. Clare widziała w życiu setki ojców przyglądających się setkom dzieci, mokrych i czerwonych, rodzonych przez setki wyczerpanych, jęczących matek. Pamiętała uśmiechy przez łzy, szeroko rozwarte ze zdziwienia oczy, radosne oszołomienie - byli zafascynowani, przerażeni, wzruszeni. Słyszała, jak płakali, śmiali się, przeklinali i wyrażali swoją miłość. Nie chce widzieć jego twarzy ani słyszeć jego głosu. Nie chce wiedzieć, jakim będzie ojcem. Elliot zrobił krok naprzód.

- Cześć, Clare.

- Cześć.
- Skończyłaś?
- Tak. Mam teraz nocne dyżury.
- Tak sądziłem.
- Oczywiście.

Wydawało się, że upłynęło wiele czasu od dni, w których przychodziła do domu po dyżurze, a on czekał na nią już ubrany do pracy, robił jej herbatę i tosta, i wygładzał pościel, aby mogła się zaraz położyć.

- To dzisiaj, tak?
- Tak. - Nie odważył się powiedzieć nic więcej.
- Czy ona już...?
- Jeszcze nie. Ale świetnie sobie radzi.

Clare nie chciała nic wiedzieć. Odwróciła się ponownie w stronę windy. Na szczęście rozległ się litościwy dzwonek i drzwi się otworzyły. Zaraz pochłonęła ją tłum obcych ludzi.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze - powiedziała i odeszła.

Na parterze Clare wydostała się na dwór przez szerokie drzwi, wymijając wózki inwalidzkie, i skierowała się na parking, jednocześnie gorączkowo szukając kluczyków. Wreszcie dobiegła do swojego samochodu, otworzyła drzwi, zatrzasnęła je za sobą i położyła głowę na kierownicy, ciężko dysząc. Kiedy tylko odzyskała oddech i serce przestało bić w panice, ruszyła tyłem i tak szybko, jak tylko się odważyła, odjechała w kierunku ronda, a potem do domu.

Na górze Elliot szukał po kieszeniach drobnych, próbując pojąć tajemnicze znaki prowadzące go po korytarzach szpitalnego labiryntu do kawiarenki. Cieszył się, że Clare poszła. Lepiej dla wszystkich, żeby jej tu nie było.

Kiedy wrócił na oddział z herbatą i kilkoma przywiedłymi rogalikami, zastał w pokoju Alison. Cressida zmieniła pozycję. Wcześniej leżała na boku, twarzą w stronę Polly i błogosławionej maski z tlenem. Teraz siedziała, obejmując kolana rękami, z pobielającymi kostkami palców. Miała czerwone, wydęte policzki i na jego widok gwałtownie wypuściła powietrze.

- Najwyższy czas. Czy pojechałeś na Cejlon po tę herbatę? Alison twierdzi, że to już.

Uśmiechała się, ale miała przerażenie w oczach. Polly stała, obejmując ramiona Cressidy, z wyrazem determinacji na twarzy. To działo się naprawdę teraz.

O, Boże. Elliot modlił się w myślach. Niech wszystko będzie dobrze, niech nic im się nie stanie. Wszystko było zbyt realne. Mogła umrzeć, oboje mogli umrzeć, i to z jego winy. Widocznie niepokój odbił się na jego twarzy, bo Polly powiedziała:

- Nie martw się, wszystko idzie doskonale.
- Cressido, widzę główkę. Ma twoje włosy, dużo włosów. Chcę, żebyś następnym razem parła bardzo mocno. Twoje dziecko prawie wyszło.

Parli wszyscy razem. Usta Polly były blade i zaciśnięte. Cressida rozszerzyła oczy, kiedy pojawiła się połyskująca główka.

- Au! Au! Ale boli. Jak okropnie piecze.

- Jesteś mistrzynią - mówiła Alison. - Chyba w ogóle nic nie pękło. Nie przyj teraz, kochanie. Oddychaj przez chwilkę. Zrób to dla mnie.

Była bardzo spokojna, trzymając główkę.

- Teraz tylko ramionka, i maleństwo zaraz wyskoczy na zewnątrz i będziesz mogła je zobaczyć.

- Muszę przeć. Muszę je wydostać. Proszę. To zabrzmiało jak krzyk rozpacz.

- Dobrze. No to zacznaj. Raz, z całej siły. Dzielna dziewczyna.

Cressida przycisnęła brodę do piersi, zacisnęła szczęki i dziecko wysunęło się gwałtownie na prześcieradło. Opadła na poduszki, płacząc ze szczęścia, ulgi i bólu.

Alison odwróciła dziecko i otarła mu buzię rogiem czystego ręcznika. Wydało krótki, wilgotny okrzyk. Nadal przemawiając, owinęła je w inny ręcznik i podała Cressidzie.

- Urodziłaś chłopca. Całkiem dużego, biorąc pod uwagę termin. Wygląda nieźle.

Polly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła. Łzy ciekły jej po policzkach. To nieopisane uczucie, obserwować, jak twoje dziecko rodzi dziecko.

Zalała ją miłość, duma i ulga, a także wspomnienia własnego porodu. Położyła dłoń na policzku Cressidy.

- Wiem, mamó. - Cressida uśmiechnęła się do niej. - Popatrz na niego. Jest piękny. Cześć, młody człowieku.

Mówiła już tym miękkim, mrużącym tonem, który przybiera każda matka. Zmiana nastąpiła niewiarygodnie szybko.

Elliot wyciągnął palec i przesunął nim powoli po mokrej główce. Była taka ciepła i miękka. Przytulił twarz do ciemnych włosów Cressidy. Mocno ścisnęła jego dłoń.

- Dziękuję - wyszeptał.

- Cii. - Pociągnęła go za rękę tak, że podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie ma za co. Elliot roześmiał się.

- O Chryste. To najniezwyklejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Alison uśmiechnęła się, obserwując całą scenę.

- Wiem. Dlatego kocham tę pracę. Za każdym razem jest jak za pierwszym. Codziennie nowy cud.

Tego dnia po powrocie do domu Jack zauważył pulsujące światelko automatycznej sekretarki. Wcisnął guzik i podszedł do stolika w przedpokoju, aby przejrzeć schludny stosik korespondencji, ułożony przez sprzątaczkę. Na dźwięk głosu Polly zastygł w miejscu.

- Jack, to ja. Przepraszam. Tu Polly. Jest wtorek w południe. Wiem, że jesteś w pracy. Nie chciałam dzwonić do biura. Po... po prostu myślałam, że chciałbyś wiedzieć. Chciałam ci powiedzieć, że Cressida rano urodziła dziecko. To chłopczyk. Trochę za wcześnie, ale twierdzą, że nic mu nie jest. Waży jakies

pięć i pół funta. Ona też czuje się dobrze. Poród był na szczęście nieskomplikowany. Świetnie się spisała - byłam z niej dumna. Byłam tam przez cały czas. Jack, to coś niesamowitego. Przepraszam, że ta wiadomość jest taka chaotyczna. Ona chce go nazwać Spencer. Myślę, że się jakoś przyzwyczaimy. To znaczy ja i Dan. Elliot też tam był. Co za dzień. Kończę teraz. Po prostu myślałam, że chciałbyś wiedzieć. Aha, mówi Polly. Czy już wspominałam?

Potem minęło kilka sekund ciszy, zanim słuchawka została odłożona, tak jakby Polly chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Oczywiście, że były jeszcze inne rzeczy do powiedzenia. Jack wiedział jakie i chciałby je usłyszeć. Korciło go, żeby sięgnąć po kluczyki od samochodu. Chciał pojechać do szpitala i ją zobaczyć. Ale nie potrafił.

Posłał ogromny bukiet jaskrawych gerber, ulubionych kwiatów Cressidy, butelkę dobrego szampana i niebieską kartkę, na której napisał, jak bardzo się cieszy. Ale nie był w stanie pojechać ani zadzwonić.

Sierpień

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Eden Close Anita Shreve, 1989*

Andrew przyjeżdża do swojego rodzinnego miasteczka w stanie Nowy Jork tylko na pogrzeb matki i nie zamierza zostawać dłużej. Lecz wspomnienia wydarzeń sprzed siedemnastu lat nie zatarły się w jego pamięci. W ponurym wiejskim domu przeżywa ponownie wieczór, kiedy ta sama strzelba, z której zginął jego ojciec, oślepiła Eden Close. Andrew i Eden byli przyjaciółmi z dzieciństwa. Razem jeździli na łyżwach, łowili ryby, bili się i palili papierosy, aż z chłopczycy przeistoczyła się w piękną, zmysłową kobietę. Teraz Andrew znowu czuje, że pociąga go ta nieszczęśliwa, niewidoma dziewczyna, i chce ocalić ją od okrutnego zaniedbania, które znosiła przez siedemnaście lat. Najpierw jednak musi odkryć, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru...

* Książka nie ukazała się w Polsce. Tytuł oryginału: *Eden Close*.

Susan?

- To ty, Poll?

- Tak. Kiepsko słysząc.

- Wszystko w porządku? Masz dziwny głos.

- Suze... Cress urodziła dziecko. Ma synka.

- O mój Boże. To chyba za wcześnie.

- Tak, wiem.

- To fantastycznie! Nie mogę uwierzyć. Jestem w szoku. Kiedy? Gdzie?

- Jakieś pięć godzin temu. Właśnie wyszłam ze szpitala. Jestem teraz w samochodzie.

- Czują się dobrze?

- Bajecznie. Oboje. On jest wspaniały, Suze. Absolutnie przepiękny. Pięć i pół funta. Gdyby się urodził w terminie, byłby kolosem. Ma wszystko na miejscu. W życiu nie widziałam większych jąder. - Polly płakała i śmiała się jednocześnie.

Susan chciała ją porwać w objęcia.

- Polly, taka jestem szczęśliwa. Czy ma już imię?

- Chcą go nazwać Spencer.

- Aha.

- Wiesz, jak to jest. Kiedy słyszysz imię po raz pierwszy, myślisz „o rany!”, ale zaraz później okazuje się, że to jest Spencer. Jakby urodził się z identyfikatorem.

- Wiem. A jak Cress? Jak przebiegał poród?

- Bardzo szybko jak na pierwszy raz. Cudownie się spisała. Nigdy chyba nie czułam się bardziej dumna. Zrobiła wszystko sama. Byłam przy niej całutki czas.

- A Elliot?

- On też. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Chyba nadal jest w szoku. Został teraz z nimi. Muszę wrócić do domu, do Daniela, ale później pojedę tam znowu. Chcą ją chyba zatrzymać na kilka dni, ponieważ urodził się za wcześnie. Ale już go karmiła po raz pierwszy, więc to nic poważnego. Suze, on jest taki śliczny.

- Wydajesz się bardzo szczęśliwa.

- Czuję się tak, jakbym wzięła jakieś prochy. Jestem w euforii.

- W takim razie pewnie nie przyjdiesz dzisiaj wieczorem?

- Wyjaśnisz im?

- Z pewnością nie musisz się tłumaczyć - będą w siódmym niebie.

- Muszę lecieć.

- Pozdrów ich, dobrze?

- Oczywiście. Przyjdź do nas, jak tylko wrócą do domu.

- Nic mnie nie powstrzyma. Gratuluję wam wszystkim.

- Dzięki, Suze. Całuję.

- Pa.

Harriet zjawiała się pierwsza. Niezależnie od tego, jak wcześnie przyjeżdżała do Nicole, nigdy nie zdołała podejrzeć najlżejszych śladów domowego chaosu, choć często próbowała. Na kremowych dywanach nie było śladów stóp (jak u baptystów; najwyraźniej Martha i chłopcy złożyli specjalne ślubowanie, jak tylko zaczęli mówić). Na bladobeżowych ścianach nikt nie znalazłby odcisków rąk, a na

wypolerowanych kuchennych blatach ani jednej smugi pozostawionej przez lepkie palce. Nie wspominając o braku zacieków z keczupu na ścierkach do naczyń. Poza domem William i George bałaganili tak samo jak Josh, a flamastry w ręku Marthy stawały się równie niebezpieczną bronią jak u Chloe. Tutaj było to po prostu niedozwolone i nietolerowane. Sposób, w jaki Nicole podporządkowała sobie otoczenie, wprawiał Harriet w podziw, ale i lęk.

Nieobecność Gavina niczego nie zmieniała. Czy jej własne gospodarstwo prezentowałyby się inaczej bez Tima? Stos rzeczy do prania być może nie sięgałby tak wysoko bez jego koszul, liczba samotnych czarnych skarpetek także zmniejszyłaby się znacząco. Czy to wszystko?

Nicole jednak była inna. Harriet martwiła się o nią. Wydawała się szorstka i ironiczna, wyczerpana wysiłkiem zachowywania pozorów. Nie powiedziała niczego dzieciom, które uznały, że tata wyjechał do pracy, co nieraz się zdarzało. Wyraźnie schudła. Cięża nadal nie była widoczna. W obcisłych spodniach jej brzuch nieomal się zapadał.

- Jak sobie radzisz? - zapytała Harriet.

- Jak widać. Harriet nie widziała.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem zmęczona. Nie śpiam zbyt dobrze. Mam dużo do przemyślenia.

- Jasne. Widziałaś się z Gavinem?

- Nie. Nie martw się. Nie zamierzam się z nim spotykać, dopóki wszystkiego sobie nie poukładam.

Obiecuję.

- Niczego mi nie obiecuj. To nie ma nic wspólnego ze mną. Jak tam dzieci?

- Prawie nie zauważyły, że go nie ma. To tylko dowodzi, jak mało był wcześniej obecny w ich życiu. - Roześmiała się gorzko i zmieniła temat. Nie była jeszcze gotowa na rozmowę o swoich planach. Nawet z Harriet. - Przeczytałaś książkę?

- Tak - w Portugalii. Mnóstwo czytałam. Muszę przyznać, że Tim wspaniale zajmuje się dziećmi na wakacjach. Jakby chciał nadrobić te wszystkie chwile, kiedy go z nimi nie ma. Po prostu zabiera je rano i wraca dopiero w czasie podwieczorku. Przynajmniej oszczędza mi okropności w rodzaju parków wodnych. To moja wizja piekła. Chodzić cały dzień w kostiumie kąpielowym i zjeżdżać z pionowych zjeżdżalni z szybkością trzydziestu mil na godzinę, zaciskając uda, żeby woda nie wlała ci się do środka.

Nicole skrzywiła się na tę myśl.

- Nie spytałam, jak ci minęły wakacje. Przepraszam.

- Nie były najgorsze. Wszystko wydaje się łatwiejsze i przyjemniejsze w nowym miejscu, pełnym słońca. - Zauważyła spojrzenie Nicole. - Jeśli nie ma się takich rozrywek jak ty. - Uśmiechnęły się do siebie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Tim tak postąpił - powiedziała Nicole.

- Ani ja - zgodziła się Harriet. - Kiedy wyjechaliśmy, myślałam przez chwilę, że coś można jeszcze naprawić. Ale szybko zdałam sobie sprawę, że nic się nie zmieniło.

- Och, Harry, przecież wiesz sama, że to wszystko istnieje wyłącznie w twojej głowie.
- Naprawdę? - Harriet popatrzyła smutno. Rozległ się dzwonek do drzwi.
- Uratowana! - Harriet poszła otworzyć, otrząsając się z melancholii. Odwróciła się do Nicole. -

Przypuszczam, że nie chcesz im powiedzieć o Gavinie?

- Jeszcze nie.
- Dobrze.
- Ale nie dlatego, że chcę go przyjąć z powrotem. - Nicole rozpaczliwie pragnęła jej aprobaty.
- Nic! Przestań. Nie mów im. Zgadzam się. Przestań się usprawiedliwiać. Naprawdę nie musisz.

Rozumiesz?

- Tak. - Nicole uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Polly zatelefonowała do każdej z nich z informacją, że kilka tygodni wcześniej zmarła matka Susan. Bardzo je to poruszyło, być może dlatego, że rozmawiały o tym tego lata. Żadna nie знаła Alice i żadna nie straciła jeszcze matki, lecz pamiętały, jak Susan, bliska łez, opowiadała, jakie to uczucie. Musiała to bardzo przeżyć. Nicole posłała kartkę. Harriet pewnego dnia poszła do domu Susan i zostawiła na progu ogromne pudło czekoladek. W liściku napisała, że myśli o niej i że produkty z zawartością ziarna kakaowego poprawiają nastrój. Nie widziały się jednak aż do dzisiejszego wieczoru.

Harriet objęła ją.

- Cześć. Jak się czujesz?
- Grubsza o dwa funty. Dzięki za czekoladki.
- To lepsze niż prozac. Strasznie mi przykro z powodu twojej mamy.
- Dziękuję.

Nicole weszła do holu i Susan ponownie pozwoliła się objąć. Nigdy nie umiała naturalnie przyjmować współczucia. Rozmawiały z nią z uprzejmości, a ona musiała odpowiadać. I ponieważ zmarła jej matka, a nie mąż czy dziecko, ponieważ Alice była starszą panią oraz - bądźmy szczerzy - miała bzika, ludzie spodziewali się, że podejdzie do tego filozoficznie. Będzie zasmucona, przygnębiona, ale nie w rozpacz. Susan jednak czuła się rozpaczliwie opuszczona. Na zwykłe pytanie o samopoczucie miała ochotę odpowiedzieć: Czuję się jak sierota. Albo: Zostałam całkiem sama, albo: Tęsknię za nią, czy też: Nie byłam na to gotowa. Takich rzeczy jednak się nie mówiło. Ludzie nie spodziewali się tego usłyszeć, ale każdy miał dobre chęci. Susan ciągle to sobie powtarzała.

Nicole o nic nie zapytała. Jej uścisk był jednak wystarczająco wymowny. Susan pomyślała, że Nicole jest niezwykle wrażliwa jak na osobę tak opanowaną. Cieszyła się, że przyszła, chociaż kusiło ją, aby zostać w domu. - Nie możesz zapaść w śpiączkę - powiedział jej Roger, i miał rację. Poza tym dzisiaj mogła schronić się za zasłoną dobrych wieści.

- Boże, to cudownie! - pisnęła Harriet. - Uwielbiam, kiedy rodzą się dzieci.
- Podoba mi się imię. Spencer Bradford. - Nicole wymówiła to z namysłem. - Brzmi jak ktoś znajomy. Spence. Fajne.

- Widziałas go, Susan?

- Idę jutro rano - wyjaśniła Susan. - Polly przywiozła ich do domu dzisiaj po południu.

- Ucałuj ich od nas, dobrze? Nie mam nawet prezentu ani kartki. Myślałam, że zostało jeszcze kilka tygodni.

- Polly też tak myślała. Zaskoczył wszystkich. Nicole otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę szampana.

- Myślę, że wypada to oblać, co wy na to?

- To wspaniale, że tak po prostu trzymasz pod ręką szampana. Ja bym pewnie zdobyła się najwyżej na lemoniadę. - zaśmiała się Harriet.

- To dawny nawyk wydawcy. Nigdy nic nie wiadomo...

Umiejętnie odkorkowała butelkę. Harriet wyjęła z szafki trzy wysmukłe kieliszki do szampana i Nicole nalała. Do pełna dla Harriet i Susan, połowę dla siebie. Obejmowała kieliszek dłonią, aby Susan nic nie zauważyła. Harriet wzniosła toast:

- Za Polly, Cressidę i Spencera.

Trzy kobiety wzniosły kieliszki i wypily.

- Za Elliota chyba też - dodała Harriet po chwili namysłu. - Nie jestem pewna, jaka jest jego rola, ale wypijmy też jego zdrowie.

- Otóż to. - Susan nie wiedziała także. Wszystko zależało od Cressidy. A ona sama też pewnie jeszcze nie wie.

- A więc nie ma Polly, i Clare, oczywiście. - Wymieniły spojrzenia.

Harriet umierała z ciekawości, ale nie zapytała o nic.

- Zostałyśmy we trzy. To chyba nie ma sensu.

- Nie mów tak! Czytałam tę książkę przez pół nocy.

- My na wakacjach, prawda, Harry?

- Tak. Cudownie się ją czytało w pełnym słońcu.

- Właśnie. Wspaniałe opisy upału, prawda? Taki przytłaczający i wyjaławiający. Mogę użyć tego słowa?

- Chyba tak.

- Nie ma Polly, więc nie możemy zapytać, czemu ją wybrała.

- Czy nie wspominała, że Cressida musiała przeczytać coś Anity Shreve do egzaminu i że na obu zrobiło to duże wrażenie?

- Tak, *Żonę pilota*, prawda?

- A to jest jej pierwsza powieść.

- O rany. Egzaminy się trochę zmieniły od naszych czasów. Czy oni nie muszą czytać Chaucera?

- Daj spokój! Mnie się bardzo podobała. Domyśliłam się zakończenia, ale nic nie szkodzi.

- Naprawdę? Ja nie. To prawda, oczywiście, że wydarzyło się coś dziwnego i że morderstwo nie było przypadkowe, ale nie odgadłam, że to matka. Ani dlaczego to zrobiła.

- Byłby z tego wspaniały film.

- Zawsze tak mówisz. Ja najczęściej nie cierpię filmów opartych na książkach, które lubię. Zawsze rozczarowują, nie sądzisz?

- Przecież najlepsze filmy to ekranizacje klasyki. Jak Jane Austen. Czytałam ją na uniwersytecie i nie mogłam się wciągnąć - nie rozumiałam, co w tym jest takiego wielkiego. Ale dodaj Hugh Granta albo Grega Wise'a, trochę muzyki, ładną scenerię i stałam się jej największą fanką.

- Harry, jesteś barbarzyńcą.

- Być może, ale przynajmniej wiem, co mi się podoba! To było szalenie seksowne, nie myślicie? Cała ta miłość al fresco! Bycie niewidomym wydaje się całkiem podniecające. Jakby wszystkie inne zmysły musiały to wynagrodzić.

- Owszem, to było seksowne, ale także wyjątkowo poruszające. Jaki on był opiekuńczy wobec niej, ta niezwykła czułość.

- I szczęśliwe zakończenie. Uwielbiam szczęśliwe zakończenia. Myślałam już, że się nie doczekam. To kolejna rzecz, którą zauważam w książkach. Czasami wydaje mi się, że według autorów szczęśliwe zakończenia nie są wystarczająco wyrafinowane. Przez cały czas myślałam, że jednak przeszłość zwycięży, że nie będą mieli siły jej zwalczyć. Ale na szczęście im się udało. Prawda wychodzi na jaw, ona jest w ciąży. Wyjeżdżają, zostawiając za sobą wspomnienia. Ona mówi, chyba na samym końcu - „Skłoniłeś mnie, abym wyrzekła się wszystkich tajemnic, i teraz czuję się lżejsza... wyjedziemy stąd i nigdy nie wrócimy, a w naszych snach to miejsce obróci się w proch”. Harriet zwróciła się do milczącej dotąd Susan. Obawiała się, że ona i Nicole zmonopolizowały rozmowę. - A co ty myślisz, Suze?

- Nie wiem. - Susan westchnęła. - Jakoś na razie nie mogę nic czytać, nie odnosząc tego natychmiast do siebie. Nie umiem się skoncentrować na książkach, bo natychmiast porównuję je z własnym życiem. Jak *Gupiki na podwieczorek* i *Skrzyneczka wspomnień*. Z tą było tak samo. Wiem, co miałaś na myśli, Harry, kiedy po *Pokucie* powiedziałaś, że powinnyśmy czytać mniej książek napisanych przez mężczyzn, ale nie sądziłam, że wszystkie będą mnie wyciskać emocjonalnie, miesiąc po miesiącu. Z niecierpliwością czekam na wybór Nic. Nie obraż się, ale myślę, że może wybierzesz coś, co mi pozwoli odpocząć po całej tej *Angst**.

* *Die Angst* (niem.) - strach, trwoga, lęk, obawa, niepokój.

Nicole skinęła potakująco. Swoją propozycję na następny miesiąc trzymała już na biurku i była prawie pewna, że spełni ona kryteria Susan, choć raczej nie Harriet.

- Polly nie wiedziała, że moja matka umrze, kiedy ją wybierała - ciągnęła Susan - ale same widzicie. On wraca do swego dawnego domu, ponieważ matka umarła. Fragmenty, kiedy przygotowuje dom do

sprzedaży, pozbywa się okruchów wspomnień ze swojego dzieciństwa, przemawiają do mnie najbardziej. Chociaż jego związek z matką był kompletnie inny, pełen sekretów. Albo chwila, kiedy stara się wyobrazić ją leżącą pod ziemią, aby obudzić w sobie żal. Ze mną oczywiście jest inaczej. Staram się nie myśleć o matce, aby uczucia całkiem mnie nie zatopiły. Ale w gruncie rzeczy cała ta książka mówi o matkach i naturze miłości macierzyńskiej.

- On w ogóle nie ma satysfakcjonujących relacji z kobietami, poza Eden. Ani z własną matką, ani z matką Eden, ani ze swoją byłą żoną. Wszystkie są opisane raczej zdawkowo. Jakby nie żył naprawdę, dopóki nie spotkał ponownie Eden.

- I to imię! Wszystkie skojarzenia: pokusa, zakazany owoc. Raj. Eden Close.

- Faktycznie, właśnie zdałam sobie z tego sprawę!

- Żartujesz? - Susan była rozbawiona. Nawet ona to zauważyła.

- Nie, naprawdę.

- To straszne.

- Cicho. Nie możemy wszystkie być geniuszami - Harriet śmiała się z siebie samej. Teraz wydawało się to oczywiste. Musiała za długo siedzieć na słońcu.

- Nie mogę się doczekać, co powiesz o mojej książce. Chyba wiem, co powiem o twojej książce,

Nic, pomyślała Harriet.

Nicole

Łyżeczkowanie i wysysanie brzmiały jak nazwy luksusowych zabiegów w klinice piękności. Wspaniale niezrozumiałe określenia pewnej konkretnej czynności. Słowo „aborcja” nasuwało Nicole skojarzenia z pilotami myśliwców w II wojnie światowej*, uchodzącymi cało z beznadziejnych misji. „Przerwanie ciąży” - to chyba najlepsze określenie, jeśli takowe w ogóle istniało. Ostatnio sprawdziła to hasło w encyklopedii, lecz encyklopedia nie wspominała nic o dzieciach, morderstwie, niegodziwości albo skrajnym egoizmie, o lęku przed Bogiem.

* Gra słów - *abortion* (ang.) oznacza także misję skazaną na niepowodzenie.

„Przerwanie”.

Nicole siedziała w samochodzie przed przychodnią, do której chodziła od siedmiu lat, odkąd przeprowadzili się z Gavinem w tę okolicę. Tutaj za każdym razem pojawiała się na testy ciążowe, na wizyty kontrolne, tutaj przychodziła nieprzytomna z niewyspania na kolejne ważenie dzieci, którego wyniki skrupulatnie zapisywano w czerwonych książeczkach. Kilkanaście szczepień, niezliczone recepty na antybiotyki i tabletki na pasożyty. Karty zdrowia jej dzieci na szczęście zawierały dość typowe informacje, bez przerażających chorób ani traumatycznych wypadków.

Jej własna karta odzwierciedlała fizyczną stronę jej małżeństwa: rutynowe wizyty i badania, wirus, kiedy była w ciąży z bliźniętami, potem gorączkowe działania, przypadające na okres tuż po porodzie. Wizyta co sześć tygodni i pogawędka o antykoncepcji - minipigułka po urodzeniu chłopców, spirala, którą założyła sobie po urodzeniu Marthy i którą usunęła po kilku miesiącach, ponieważ nie lubiła objawów ubocznych. Potem znowu pigułka. Wszystko to wskazywało na szczęśliwe życie erotyczne w bezpiecznym, płodnym związku. Niewierność Gavina także się tam zapisała, między wierszami, w postaci recept na leki antydepresyjne (dziewczyna w biurze, kiedy bliźnięta miały kilka miesięcy), chroniczne migreny, podobno wywołane przez stres (klientka z dużej firmy farmaceutycznej, w lecie tuż przed ciążą z Martha), tabletki nasenne (kiedy jego samochód skradziono z parkingu wiele setek mil od miejsca, w którym powinien był się znajdować. Nigdy nie dowiedziała się, kim ona była).

Teraz ta rzecz zostanie zapisana raz na zawsze w jej karcie: prośba o skierowanie na przerwanie ciąży. Bez względu na ostateczną decyzję, to będzie tam zawsze - fakt, że się nad tym zastanawiała. Nie wiedziała, że nadal trzeba przedstawić zaświadczenie od dwóch lekarzy, którzy potwierdzą, że jest to konieczne dla zdrowia psychicznego. Wydawało się to należeć do innego świata, choć jej lekarz stwierdził, że obecnie jest to wyłącznie formalność. Bała się tej wizyty. Doktor Simons była sympatyczna, umiała okazywać współczucie bez roztkliwiania się i zadawała właściwie pytania, nie sprawiając, że Nicole czuła się upokorzona. Nicole oczywiście nie wspomniała o Gavinie. Nie powiedziała nikomu poza Harriet. Nawet jeśli doktor Simons odgadła, co się dzieje, nie zmuszała jej do wyznań i Nicole była jej za to wdzięczna. Nie chciała nic wyjaśniać przedtem ani tym bardziej teraz.

Doktor Simons nie starała się również wyperswadować jej aborcji, ani nie mówiła, że popełnia błąd. Być może zrobiłaby to, gdyby Nicole była młodą dziewczyną, a nawet gdyby wydawała się mniej opanowana, mniej pewna siebie. Ale Nicole przed wejściem do gabinetu wzięła się w garść tak mocno, że ani kropelka emocji nie miała prawa przedostać się na zewnątrz.

- Jestem w ciąży i nie mogę urodzić tego dziecka.

To zabrzmiało rozpaczliwie.

- Nie chcę - poprawiła się.

Doktor Simons odłożyła pióro i odchyliła się na oparcie krzesła. Przyjrzała się uważnie Nicole, rejestrując nienaganną fryzurę i makijaż, eleganckie ubranie, kosztowną torebkę, przypuszczalnie przypominając sobie także Williama, George'a i Marthę. Kto wie, o czym myślała?

- Czy jest pani tego absolutnie pewna? - zapytała.

- Tak, jestem. Proszę mi uwierzyć. Przemyślałam to dokładnie i jestem całkowicie zdecydowana.

- A co na to pani mąż?

Oczywiście, musiała spytać i Nicole musiała skłamać.

- Chce, żebym zrobiła to, co uważam za najlepsze dla nas wszystkich. - Coś w jej postawie mówiło także: Poza tym, to moje ciało i moja decyzja.

Z tym akurat doktor Simons w pełni się zgadzała. Nicole była nieprzenikniona, a na twarzy miała wyraz pełnej determinacji.

- Czy chce pani porozmawiać trochę o przyczynach swojej decyzji?
- Raczej nie. Czy to w porządku? To znaczy, czy muszę wyjaśnić powody?
- Nie, nie trzeba.

Doktor Simons nie chciała naciskać. Było jeszcze wcześniej. Wiedziała, że kobiety zmieniają zdanie na każdym etapie. Czasami nie wiadomo, co się myśli, dopóki nie zaczęło się czegoś robić. Podniosła pióro.

- No dobrze. Jak długo jest pani w ciąży, pani zdaniem?

- Dokładnie dwanaście tygodni. - Podała datę ostatniej miesiączki, obserwując, jak doktor Simons manipuluje dwoma plastikowymi krążkami, aby upewnić się, czy Nicole się nie myli. Najwyraźniej pacjentka wiedziała prawie co do minuty, kiedy nastąpiło poczęcie. Co mogło oznaczać różne rzeczy. Nie była to jednak jej sprawa. Lekarka rzuciła okiem na kartę pacjentki. Niedługo skończy trzydzieści pięć lat.

- Czy była pani już u lekarza w sprawie ciąży?

- Nie.

- Więc nie robiła pani badań krwi, nie jest pani zapisana na USG? - Starła się, aby w jej głosie nie było wyrzutu.

- Nie. - Nicole nie umiała wytłumaczyć, że przed wyjazdem do Hiszpanii, wiedząc z całkowitą pewnością, że jest, w ciąży, cieszyła się, ukrywając swój sekret przed wszystkimi, i że od powrotu z wakacji borykała się z podjęciem decyzji, która po raz pierwszy przyszła jej do głowy w samolocie, w drodze do domu.

- Ale to pewne, że jest pani w ciąży? Przepraszam, że pytam, wiem, że ma pani troje dzieci. Jednak muszę zapytać.

- Jestem pewna. Zrobiłam dwukrotnie test. Nie miałam już trzech miesiączek. I czuję objawy, tak jak kiedyś. Przybrałam na wadze, mam bolesne piersi i tym podobne.

- Mimo wszystko chcę pobrać trochę krwi, jeśli pani pozwoli.

Zaciskając czerwoną gumową rurkę wokół ramienia Nicole i klepiąc wewnątrz łokcia, żeby żyła wyszła na wierzch, doktor Simons popatrzyła na swoją pacjentkę i zamyśliła się. W gabinecie jednak nie było miejsca na ciekawość. Większość kobiet, które kierowała do kliniki, to zameżne trzydziestoparolatki z dziećmi. Wyobrażenie, że większość aborcji dokonują piętnastoletnie panienki, traktujące zabieg jako rodzaj środka antykoncepcyjnego, to jeden wielki mit. Sama miała czworo dzieci, z których najmłodsze było jeszcze niemowlęciem. Generalnie wolałyby raczej odciąć sobie rękę tępym nożem, niż zająć ponownie w ciążę. Jeśli jednak by się to stało, wiedziała - albo miała taką nadzieję - że poczułaby na nowo przyływ odwagi i siły konieczny do przeżycia. Z drugiej strony spotkała wiele kobiet, które czuły inaczej. Kobiety, dla których zmartwienia finansowe, problemy małżeńskie lub lęk przed utraceniem na nowo swoich umysłów i ciał były zbyt trudne. Podejmowały decyzję z wysiłkiem, czasami przy udziale

partnerów, ale częściej same. Dorosłe, silne, inteligentne, kochające kobiety, które nie chciały, aby na nowo otwierała ich serca, próbując uratować życie dziecka, które nosiły. To matki były pacjentkami, powiedziała sobie. Zajmowała się nimi, tak jak teraz zajmie się Nicole. Mogła mieć nadzieję, że Nicole zmieni zdanie pomiędzy drzwiami jej gabinetu a drzwiami kliniki - wierzyła, że na dłuższą metę uczyniłoby to ją szczęśliwszą. Z doświadczeń kobiet, które przerwały ciążę, wnioskowała, że smutek i poczucie winy prześladowają je do końca życia. Teraz jednak przede wszystkim powinna zatroszczyć się o Nicole.

Położyła na biurku wypełnione ciemnym płynem fiołki, nalepkami do dołu.

- Chcę się tylko upewnić.

- Dziękuję.

- Co pani wie o całej procedurze? Domyślam się, że nigdy pani tego nie robiła.

- Nie, i nie wiem zbyt wiele.

- Na tym etapie to dosyć proste. Dam pani skierowanie po upewnieniu się, że istotnie jest pani w ciąży i że stan pani zdrowia jest dobry. To nie potrwa długo. Myślę, że panią uspią i zrobią łyżeczkowanie, to znaczy usuną nabłonek pokrywający macicę z płodem i wszystkim innym. Będzie mogła pani wyjść do domu tego samego dnia. Lepiej, żeby ktoś pani odebrał, bo może się pani kręcić w głowie. Potem to będzie wyglądało trochę jak w czasie miesiączki - skurcze i krwawienie przez kilka dni, może przez tydzień. To wszystko.

Wydawało się to śmiesznie proste.

- Czy będą się starali ze mną rozmawiać? - Nicole obawiała się, że na każdym etapie drogę zagrozi jej moralny sędzia.

- Nie, to moja rola. Muszę przekonać się, czy jest pani pewna. Kiedy dam pani skierowanie, nikt nie będzie już zadawał żadnych pytań. Proszę jednak pamiętać, że wolno pani zmienić zdanie w każdej chwili. Może pani o tym z nimi porozmawiać.

- Nie zrobię tego.

Doktor Simons uznała, że pewnie nie. Poczwała żal. Widywała Nicole z dziećmi. Zaledwie kilka miesięcy temu widziała tu Marthę, pewnie na badaniach kontrolnych przed pójściem do szkoły. Nicole wydawała się wspaniałą matką. Było to takie dziwne: nieskazitelne matki (słodkie mamusie, jak określali je w przychodni) zawsze trzymały swoje dzieci na odległość wyciągniętego ramienia, dosłownie i w przenośni. Nicole była jednak łagodna, ciepła i bardzo zaangażowana uczuciowo.

Po wyjściu Nicole doktor Simons zrobiła notatki w ciągu trzydziestosekundowej przerwy, jaka została jej do następnego pacjenta. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała przez coś takiego przechodzić.

Nicole wsiadła do samochodu i odjechała. Umówiła się z Harriet na lunch. Postanowiła, że powie jej dzisiaj, kiedy po wizycie u lekarza zostało jej jeszcze trochę siły. Chciała, żeby Harriet poszła razem z nią. I żeby jej nie osądzała.

Był piękny dzień, gorący i jasny, z jaskrawoniebieskim niebem. Dzieci wróciły do szkoły w letnich mundurkach, jęcząc, że muszą siedzieć w budynku w taką pogodę.

Jadły kanapki na ławce naprzeciw ogrodu różanego. W parku było bardzo spokojnie - kilka matek z wózkami i maluchami w chodzikach, trochę emerytów pijących herbatę z termosów. Nicole żuła powoli kanapkę, przysłuchując się radosnemu, choć bezmyślnemu monologowi Harriet, paplającej na temat początku roku szkolnego. Odkąd Martha i Chloe zostały bezpiecznie ulokowane w obszernych ramionach pani Allington, nauczycielki klasy wstępnej, przed obiema matkami otwierały się nowe możliwości.

- I pomyślałam sobie, że możemy wybrać się gdzieś dalej na świąteczne zakupy, jak sądzisz?

- Na przykład do Bath?

- Nie, na przykład do Paryża. Nicole roześmiała się.

- Nie, na serio. Dostałam różne ulotki i w ogóle. To się da łatwo zrobić w jeden dzień. Galerie Lafayette, Hale, szybki talerz ślimaków na obiad i jesteśmy z powrotem na wieczór. No, prawie.

Harriet była cudowna w takim nastroju. Cała uśmiechnięta i rozentuzjasmowana. Źle znosiła uwięzienie w domu. Nicole miała nadzieję, że to początek szczęśliwszych czasów dla niej i Tima. Jak tylko będzie miała więcej przestrzeni dla siebie, może wreszcie poczuje się lepiej w małżeństwie. Nie chciała psuć jej nastroju, ale przyrzekła sobie, że zapyta ją dzisiaj.

- Harry?

- Tak?

- Podjęłam pewną decyzję. Już wiem, co zrobię.

- Z Gavinem?

- I z dzieckiem.

- Z dzieckiem?

- Nie chcę go urodzić. Nie potrafię. Byłam dzisiaj u lekarza po skierowanie na przerwanie ciąży. - Powiedziała to na głos, aby wydało się bardziej realne.

Harriet była wstrząśnięta. Nie brała tego pod uwagę. Miała nadzieję usłyszeć, że Nicole wyrzuca Gavina na dobre. O dziecku myślała tylko w kategorii pomocy i wsparcia dla przyjaciółki. Obiecowała sobie, że będzie przy niej. Jak dziwnie, że była przy niej, kiedy urodziły się bliźnięta, i teraz znowu. Harriet lubiła dzieci.

- Dlaczego?

Nicole wzięła głęboki oddech. Harriet to nie doktor Simons. Ma prawo do odpowiedzi. Były przyjaciółkami i Nicole zwracała się do niej ze wszystkimi problemami przez wszystkie te lata.

- Po prostu nie mogę. Nie powinnam była pod żadnym pozorem zachodzić w ciążę. To było okropne z mojej strony. Głupie. Miałaś zupełną rację. To nigdy nie naprawiłoby mojego małżeństwa, ponieważ zostało ono zniszczone bezpowrotnie już dawno temu. Po prostu byłam zbyt uparta i zdeterminowana, aby to dostrzec. Nigdy nie widziałam go takim, jakim jest naprawdę. Nigdy nie brałam pod uwagę, że mogę żyć bez niego. Bez względu na to, jak postępował.

Harriet wiedziała, że to prawda.

- Wiem, że to brzmi głupio, ale kiedy nakryłam go w łóżku z tą kobietą w Hiszpanii - wiele rzeczy się zmieniło. Chyba ja też się zmieniłam. Nagle zaczęłam widzieć wszystko bardzo wyraźnie. Jakbym w tamtej chwili nagle zdała sobie sprawę, że nie ponoszę winy za jego zachowanie. Nie robi tego, dlatego, że ja się zmieniłam ani dlatego, że czegoś mi brakuje - nigdy nie chodziło o mnie. To on nie miał śladu siły woli ani moralności, a przede wszystkim, Harry, nie miał dla mnie ani odrobiny miłości czy szacunku.

Harriet pogładziła ją po ramieniu.

- To zawsze mi się najbardziej nie podobało.

- Wiem. Wszystko widziałaś. Musicie z Timem myśleć, że jestem kompletnie głupia.

- Nigdy tak nie myśleliśmy.

- A jednak byłam. Byłam całkiem głupia. Jak daltonista - wszyscy dookoła widzą zielone, a ty się upierasz, że to czerwone. Ponieważ głęboko wierzysz, że to jest czerwone.

Święta racja, pomyślała Harriet.

- W jakiś przewrotny sposób cieszę się, że zobaczyłam w Hiszpanii to, co zobaczyłam. To mi otworzyło oczy. Widzę teraz z absolutną jasnością, kim on jest. I oczywiście muszę od niego uciec, bo jakkolwiek bardzo bym chciała się wyleczyć, daleko mi do tego. Czuję się lepiej, ale nie jestem dość silna, aby uznać, że się wyleczyłam.

Harriet zrozumiała, do czego zmierza Nicole.

- Zawsze będziemy mieć Marthę i bliźniaki i one zawsze będą nas łączyć. On je kocha, a one kochają jego. Z tym sobie poradzę. Ale nie z nowym dzieckiem, którego on jest ojcem. Nie z tymi wszystkimi uczuciami i hormonami. Odzyskałby mnie wtedy, jestem tego pewna, bez trudu.

Przez chwilę Harriet ujrzała w jej oczach prawdziwy strach i udrękę.

- Muszę zacząć życie od nowa i dowiedzieć się, jak to jest bez wszystkich tych okropnych doznań. Lęku, poczucia niższości, gniewu. Przeżyłam z nim najszcześniejsze chwile w życiu, ale także najgorsze, kiedy byłam najbardziej nieszczęśliwa - przez niego. Za każdą z cudownych chwil płaciłam latami straszego samopoczucia. I w końcu zdałam sobie sprawę, że nie warto. Muszę wykorzystać to przekonanie, dopóki jest mocne, i zmienić się.

- A nie możesz tego zrobić, będąc w ciąży z jego dzieckiem. - Harriet nie zadała pytania, lecz podsumowała fakty.

Nicole wpadła niemal w entuzjizm, widząc, że Harriet ją rozumie. Chciała ją objąć, ale jeszcze nie skończyła.

- Potrzebuję twojej pomocy. - Ujęła ją za rękę. - Nie potrafię zrobić tego sama. Proszę cię, żebyś poszła ze mną. Proszę. Na zabieg. Wiem, że to duża rzecz.

- Wcale nie. - Harriet nie musiała się długo zastanawiać. To oczywiste, że powinna z nią tam być. - Nie musisz prosić. To jasne.

- Dziękuję.

- Ale czy jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? Czy wierzysz, że to, o czym mówisz, jest niemożliwe z tym dzieckiem?

- A ty? - Nicole odwzajemniła pytanie przyjaciółki.

- Wiem, że nie będzie łatwo.

- Ja też. Po powrocie z Hiszpanii myślałam o tym każdej nocy.

- No tak. Ale myśleć to jedno, a wykonać to drugie.

- Z kolei zrobienie na pewno będzie łatwiejsze niż to, co nastąpi potem. To także wiem. Przysięgam, nie traktuję tego zbyt lekko. Po prostu uważam, że to najlepsze wyjście.

Harriet nie była pewna. Nie myślała, że Nicole robi coś złego, nie w sensie moralnym. Zdecydowanie popierała prawo do wyboru i uważała papieża za osobę nieodpowiedzialną, mogła wymyślić tysiące sytuacji usprawiedliwiających aborcję - dla dobra kobiety, rodziny, a nawet samego dziecka. Ale tu chodziło o Nicole. To działo się bardzo blisko niej. Nie była pewna. Czy ona by to zrobiła? Chyba nie. Cokolwiek czuła do Tima - a Tim z pewnością nie był Gavinem - poczęte przez nich dziecko byłoby kolejnym Joshem czy Chloe. To by ją z pewnością powstrzymało, była tego pewna. Czy powinna mówić Nicole coś takiego? Poprosić ją, żeby jeszcze raz wszystko przemyślała? Powiedzieć, że może robi błąd, z którym będzie musiała żyć na zawsze?

Nicole zaniepokoiła się, że Harriet jej nie rozumie. Nie chodziło o wsparcie. Czuła instynktownie, że Harriet będzie ją wspierać w każdych okolicznościach, lecz pragnęła zrozumienia dla swojej decyzji.

- Jak ty byś postąpiła na moim miejscu?

Harriet nie chciała kłamać, więc uciekła się do przyjacielskiej półprawdy.

- Nie wiem, Nic. Naprawdę nie wiem. Ale nie jestem tobą. Nie siedzę w twojej skórze, czy jak to nazwiesz. Nie zamierzam ci mówić, że postępujesz niewłaściwie.

- Dziękuję - odparła Nicole z wdzięcznością, cichutkim głosem.

- Ile masz czasu?

- Powinni mnie zapisać na koniec tego tygodnia, najwyżej początek następnego. Nie sądzę, żeby zwlekali z czymś takim.

- Nie, pewnie nie. Po prostu przeczekajmy te kilka dni. Nie musisz przecież podejmować ostatecznej decyzji w tej sekundzie?

A więc także Harriet myślała, że jeszcze zmieni zdanie. Nie zmieni.

- Dobrze, masz rację. Sama się przekona.

Harriet nie opowiedziała Timowi o planach Nicole. Nie zrozumiałby tego. Sama chyba nie do końca rozumiała.

Sądziła, że wyjaśnienia Nicole, w które ona sama z pewnością wierzy, to tylko część prawdy. Wydawało jej się, że przyjaciółka chce się ukarać za domniemaną głupotę miłości do Gavina, upieranie się przy tym uczuciu, tolerowanie wszystkiego i celowe zajęcie w ciąży.

Nie była pewna, czy Nicole sobie z tym poradzi. To do niej nie pasowało. Harriet obawiała się, że nie powstrzyma się od osądzania: jej najlepsza przyjaciółka, jej pokrewna dusza miała zamiar zrobić coś, czego ona sama nigdy by nie zrobiła. To zupełnie jak odkrycie, że Nicole popiera karę śmierci albo kradnie po sklepach. Podejrzała, że ich zasady moralne się różnią. Bała się, że może to zagrozić ich przyjaźni. Próbowwała przełożyć tę sytuację na realia własnego życia. A gdyby poszła do łóżka z Nickiem i zaszła w ciążę? Co wtedy? Nie mogła sobie wyobrazić aborcji, nawet jeśli miałyby to oznaczać okłamanie Tima.

Nie chciała krytykować przyjaciółki. Nicole nigdy nie była niewierna, ani w małżeństwie, ani w przyjaźni. Starła się uratować swój związek przed katastrofą. Harriet zastanawiała się, co by pomyślała, gdyby się dowiedziała, że Nicole przeszła kiedyś aborcję, dawno temu. Czy traktowałaby ją inaczej? Chyba nie. Ale kiedy mijały dni i zbliżał się termin, Harriet złapała się na nadziei, że Nicole zmieni zdanie, i dzięki temu ona nie będzie musiała się zastanawiać nad swoimi reakcjami.

Timowi powiedziały, że wybierają się na wypad do miasta dla przyjemności. Zorganizowały transport dzieci ze szkoły, tak że nie musiały wracać przed trzecią. Harriet zaproponowała, że weźmie Williama, George'a i Marthę do siebie na noc, ale Nicole się nie zgodziła. Miała do pomocy Cecile i nie chciała, żeby dzieci się niepokoiły. Z pewnością by się nie niepokoiły - dla dzieci Nicole nocowanie w domu Harriet było wielką atrakcją, wręcz ucieczką od rzeczywistości. Było tam tak ciepło i nieporządnie, pełno hałasu, dziecięcych rysunków i niezdrowego jedzenia. Czasami czuły się tam lepiej niż we własnym nieskazitelnym domu, jak żywcem wyjętym z czasopisma „Dom i Ogród”. Prawda była taka, że Nicole chciała zastać je w domu po powrocie. Chciała stanąć przy ich łóżeczkach i obserwować, jak śpią. Miała nadzieję, że po tym wszystkim będzie miała nadal prawo do odczuwania pełni macierzyńskiej miłości i troski.

Nie musiała o niczym mówić Gavinowi, który zatrzymał się w hotelu w mieście. Przyjechał do domu prosto z lotniska, ale Nicole ukryła się u Harriet. Wcześniej zapakowała kilka garniturów, koszul i krawatów, i wystawiła walizkę do przedpokoju. To chyba nie wymagało wyjaśnień. Gavin pojął aluzję. Prawdopodobnie także poczuł ulgę, że nie czeka go nic gorszego. Z pewnością zakładał, że kolejne wybaczenie i powrót do domu to tylko kwestia czasu. Codziennie dzwonił do dzieci. Kiedy kończył rozmawiać z Marthą, zawsze prosił ją do telefonu, wiedząc, że Nicole będzie musiała wziąć słuchawkę, aby nie sprawiać małej przykrości. Nienawidziła go za to. Kolejna drobna manipulacja w życiu, które wydawało się jej jedną wielką grą. Za każdym razem pytał, czy zgodzi się z nim spotkać i porozmawiać. Niezmiennie odpowiadała, że nie jest jeszcze gotowa i że tym razem to ona zadecyduje, gdzie i kiedy ta rozmowa będzie miała miejsce. Nie tylko gniew umożliwiał jej zachowanie dystansu. Odczuwała również lęk. Bardzo realny lęk o to, co się stanie, kiedy znowu go zobaczy. To będzie prawdziwy egzamin dla jej obecnych uczuć. Bała się, że go obleje.

Później pozostało już tylko oczekiwanie. Nicole skręcała się z niepokojem. Była namacalnie wręcz świadoma upływu czasu, wyobrażając sobie, że dziecko w niej rośnie nie z tygodnia na tydzień, lecz z godziny na godzinę, a nawet minutę. Nie mogła usiedzieć spokojnie, ponieważ wydawało jej się, że coś

wyczuje, że dostrzeże, jak powiększa się jej brzuch. Przerazała ją możliwość, że poczuje ruchy, choć wiedziała, że jest na to o wiele za wcześnie. Nie zniosłaby tego - to przypominałoby kontakt, a ona skupiała się na tym, aby nie przywiązać się do dziecka, którego nie zamierzała urodzić. Bez przerwy dotykała swoich dzieci, kiedy były w domu, brała je w ramiona i obsypywała rozpaczliwymi pocałunkami. - Mama, puszczaj - jęczeli chłopcy, ocierając policzki za długimi rękawami bluz. Martha jednak była zadowolona. Nabrała zwyczaju przychodzenia do łóżka matki około drugiej nad ranem. Mama wydawała się nigdy nie spać i uśmiechała się na widok córki w świetle lampki na korytarzu, podnosząc zapraszająco róg kołdry. Nicole zwolniła Cecile ze wszystkich obowiązków w czasie podwieczorku i przyrządziła dzieciom spaghetti bolognese, wymyślne desery owocowe i koktajle mleczne. Na dobranoc czytała im teraz trzy różne historyjki. Nie rozmawiały o tym zbyt wiele z Harriet, lecz Nicole wiedziała, że przyjaciółka czeka, aż zmieni zdanie.

W końcu spakowała małą torbę, odwozła dzieci, próbując się nie rozplakać, słysząc „baw się dobrze, mamó” Marthy, i wróciła do domu, czekać na Harriet.

Harriet przyniosła ze sobą czekoladę. Jej zdaniem większość problemów życiowych dało się w ten sposób choć częściowo złagodzić. Poza nadwagą, rzecz jasna. Ponieważ Harriet przypisywała właśnie nadwadze większość swoich zmartwień - poza biednym Timem - z punktu widzenia Nicole było to dość zaskakujące remedium. Nie sądziła, że dzisiaj pomoże im kilka batoników Mars. Ale Harriet się starała.

Harriet była zdenerwowana. Skupiła się na prowadzeniu samochodu, siedząc sztywno wyprostowana, za blisko kierownicy, jak starsza pani. Chciała zapytać, czy Nicole jest absolutnie pewna, ale uznała, że to oczywiste, więc rozmawiała o pogodzie, komitecie rodzicielskim i wszystkim, co tylko jej przyszło do głowy.

Tego ranka Nicole czuła się spokojniejsza niż w ciągu poprzednich tygodni. To już zaraz. Wieczorem będzie po wszystkim. Będzie to miała za sobą. W tej chwili wydawało jej się, że przejście przez to jest trudniejsze niż radzenie sobie z następstwami. W głowie miała wyimaginowaną wagę. Na obu szalkach stały odważniki: za i przeciw. Kiedy myślała o tym, odważniki pojawiały się i znikwały, przeważając szale coraz to w inną stronę. Teraz były prawie idealnie wyrównane i Nicole wiedziała, że lepiej już nie będzie. Taka decyzja nigdy nie może być bezwzględnie jednoznaczna. Ta waga pozostanie w niej na zawsze.

Na parkingu Harriet wyłączyła silnik i odwróciła się do przyjaciółki.

- No dobra, nie wściekaj się, ale muszę zapytać. Jesteś pewna?

- Nie wściekam się. Ale tak.

- W porządku. Jeśli jesteś pewna na sto procent, nie będę więcej pytać. - Co, oczywiście, było kolejnym pytaniem.

- Harry, jestem pewna.

Harriet zacisnęła usta i zdecydowanie skinęła głową.

- A ty możesz być ze mną?

- Powiedziałam, że tak, więc będę.

- Nie o to pytam. Zrozumiem, jeśli mimo wszystko nie zechcesz wejść. - Proszę, wejdź ze mną.

- Nie bądź głupia. Oczywiście, że idę. - Harriet otworzyła drzwi. - Miejmy to wreszcie za sobą.

Naturalnie, nie musiała nic robić. Kiedy Nicole położyła się do łóżka w pokoju zadziwiająco w stylu Laury Ashley z lat osiemdziesiątych, z tabletkami w małej szklaneczce, pojawiła się pielęgniarka z kartą choroby i Harriet musiała wyjść na zewnątrz. Przedtem pocałowała Nicole i wzięła ją za rękę. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć, więc szepnęła: „Pa, skarbie”. Poczula, jak przyjaciółka mocno ściska jej dłoń w odpowiedzi, i prawie wybiegła, tłumiąc łzy.

Nicole zachowywała się jak automat. Posiadała umiejętność wyłączania się w nieprzyjemnych okolicznościach. Harriet przypomniała sobie, że po stoicku znosiła porody. Była też taka za każdym razem, kiedy zranił ją Gavin. Jakby organizm stosował jakieś własne znieczulenie. Potrzebowała tego teraz.

Harriet wypila dwa kubki wodnistego cappuccino z automatu i usiłowała skupić się na starych numerach „Country Life”, które znalazła w poczekalni. Jej wzrok jednak co minutę wędrował w kierunku tarczy wielkiego białego zegara. Wyobrażała sobie, że Nicole wyjdzie i poprosi, żeby zabrać ją do domu. Ale minęło dwadzieścia minut, potem pół godziny. Musiała pogodzić się z sytuacją.

W końcu podeszła do niej młoda pielęgniarka.

- Pani przyjaciółka wróciła do swojego pokoju. Może pani z nią teraz posiedzieć.

- Dziękuję.

Harriet podniosła kurtkę i torbę i poszła do pomieszczenia, w którym zostawiła Nicole godzinę wcześniej.

Nicole wyglądała, jakby nadal spała. Jej twarz na białej poduszce była bardzo blada. Włosy miała gładko ułożone. Harriet poczuła ulgę, widząc, jaka jest spokojna, że narkoza nie pozostawiła jej z wyrazem bólu lub wyrzutu. Usiadła na krześle przy łóżku i czekała. Było jej nieopisanie smutno. Jakaś jej część chciała, żeby Nicole obudziła się i powiedziała, że nic jej nie jest. Inna część życzyła przyjaciółce jak najdłuższego zapomnienia. Wiedziała, że od tej pory Nicole codziennie będzie się budzić świadoma tego, co zrobiła sobie i dziecku, które nie istniało już nigdzie poza jej wyobraźnią i pamięcią.

Minęło kolejne dziesięć minut i Nicole otworzyła oczy. Uśmiechnęła się słabo do Harriet.

- Podaż mi trochę wody?

Harriet naląła wody do kubeczka i Nicole ostrożnie podniosła głowę, najwyraźniej bojąc się gwałtowniej poruszyć.

- Lepiej?

- Dużo lepiej. Dzięki. - Potem twarz jej się wykrzywiła. Rysy rozpadły się, jak wosk topniejący w ogniu. Harriet nigdy nie widziała jej w takim stanie. Nagle cała zalała się łzami.

- Kochanie, błagam, nie płacz. - Harriet nie wiedziała, jak ją powstrzymać, i nie była pewna, czy w ogóle powinna. Ona sama przecież płakałaby na pewno. Pozostały tak przez całe wieki, Harriet na krześle, Nicole w łóżku, nie zamieniając ani słowa, ponieważ nie było nic do powiedzenia. Harriet trzymała ją za

rękę, czasami płacząc sama. Nicole płakała, aż jej oczy nie były w stanie wyprodukować ani jednej łzy więcej.

Kiedy powiedziano im, że Nicole może już pojechać do domu, Harriet pomogła jej się ubrać i odwiozła ją. Siedziały razem w kuchni, pijąc herbatę. Potem Nicole powiedziała, że spróbuje zasnąć. Harriet zaprowadziła ją do sypialni i otuliła, jakby była Joshem albo Chloe. Nicole poprosiła ją, aby jednak zabrała dzieci na noc do siebie.

- Okazuje się, że nie jestem w stanie się nimi zająć. Nie dzisiaj.

- Jasne, nie martw się. Wezmę je, jeśli chcesz.

- Nie chodzi o to, czego chcę. Po prostu nie dam rady ich widzieć, rozmawiać z nimi. Nie teraz.

- Nie musisz. Zaopiekuję się nimi.

- Wiem. - Nicole ujęła jej dłoń i popatrzyła w oczy. - Byłaś wspaniała. Strasznie ci dziękuję za wszystko.

Harriet nie była pewna, co takiego właściwie zrobiła, ale czuła się dosyć okropnie, kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni i pojechała do domu.

Nicole obróciła się na łóżku, aby widzieć gałęzie drzew za oknem. Liście właśnie zaczynały zmieniać kolor. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła się ramionami. Trzęsła się z zimna, chociaż dzień był ciepły, a ona leżała pod kołdrą. To nieprawda, że wyczerpała już wszystkie łzy. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestanie płakać.

Cressida

Zmiana pieluszki nadal zajmowała Cressidzie około dziesięciu minut, chociaż właściwe przykrycie kikuta pępowiny nie sprawiało jej już aż takich trudności. Opanowała także sztukę ustawiania jego maleńkiego siusiaka w dół, aby nie sikał radośnie w powietrze ponad jej ramieniem, kiedy manipulowała przy zapięciu. Teraz zabierało jej to tak wiele czasu, ponieważ nie mogła przestać mu się przyglądać i całować go po brzuszku, podczas gdy wplątywał paluszki w jej włosy, nucić mu piosenek i przytulać nosa do zagłębienia szyi, wdychając zapach małego dziecka. Był jak narkotyk - Cressida czuła się całkowicie uzależniona, w nieprzemijającej euforii. Były też ciemne strony. Chwile, kiedy przytulała go zbyt mocno, uderzona absurdalnym lękiem, że może go stracić. Kiedy obudziła się nieprzytomna i okazało się, że przespał godzinę dłużej, niż powinien. Podeszła do łóżeczka, trzęsąc się z przerażenia, co może zastać. Słuchając w wiadomościach zwykłego zalewu historii o głodzie, przemocy i ofiarach, czuła przeszywający ból, zupełnie inny niż dotychczas. Przez większość czasu jednak przepełniała ją ta niezwykła, choć zaspiana, radość, duma i podniecenie. Boże, jaki był śliczny. Odziedziczył po niej ciemne włosy, jedwabiste i lśniące. Po urodzeniu dostał żółtaczkę, lecz teraz wyglądał, jakby przyszedł na świat na wyspach Morza Karaibskiego, opalony i kwitnący.

Miał równie cudowny charakter. Polly potrząsała głową z udawanym niezadowoleniem nad niesprawiedliwością życia. Jako niemowlę Cressida płakała przez cały czas, twierdziła, miała kolkę przez

całe miesiące. To dziecko było jednak tak spokojne i zadowolone, że prawie nie zauważało się jego obecności. Przypominały o niej jedynie różnorodne przybory zapełniające cały dom. Oraz pranie - niekończący się pochód maleńkich białych ubranek i parujący sterylizator w kuchni, bez chwili przerwy zajęty przygotowaniem butelek.

Polly była zachwycona. Dom wydawał się taki pełen. Rutynowe zajęcia opieki nad maleńkim dzieckiem nadawały dniom kształt i rytm. Brakowało jej tego. Nowy mieszkaniec skupiał na sobie całą uwagę.

Jej ulubioną porą było nocne karmienie. Cressida, jak każda młoda osoba, nienawidziła wstawać i żeby nie zasnąć w czasie karmienia o drugiej nad ranem, włączała sobie MTV. Pewnej nocy Polly, obudzona dźwiękami Nirvany, zakradła się na dół i ujrzała córkę głęboko uspioną na kanapie. Zupełnie rozbudzone niemowlę w jej ramionach obserwowało z wielkim zainteresowaniem wirującego Kurta Cobaina.

Po tym wypadku na mocy cichego porozumienia Polly przejęła nocne karmienie. Spencer sypiał w starym koszu wiklinowym, obok łóżka Cressidy. Kiedy Polly słyszała, że dziecko się porusza, wchodziła na palcach do ich sypialni. To był czas tylko dla nich, dla niej i Spencera. Kołysała go, podgrzewając mieszankę w butelce z gorącą wodą. Potem zabierała go do swojego szerokiego, pustego łóżka, i tam karmiła, przemawiając przez cały czas. Opowiadała mu szeptem o sobie, Danie i o jego matce, o wujku Danielu, o domu i o świecie. Co noc powtarzała mu, jak bardzo jest kochany i jaki wyjątkowy. Jak bardzo kocha jego matkę i jak przepelnia ją radość na widok dziecka swego dziecka. Potem, kiedy wypił już całe mleko i przyglądał jej się uważnie wielkimi oczami, powoli przybierającymi brązowy kolor, przytulała go i kołysała delikatnie, dopóki nie opuścił powiek, długo po tym, jak powinna go odłożyć z powrotem. Ta nowa miłość, do wnuka, z jednej strony zaskoczyła ją, a z drugiej spełniła jej wszystkie oczekiwania. Było to niezwykle złożone i bogate uczucie. Koleżanka z pracy kupiła jej magnes na lodówkę z napisem: „Gdybym wiedziała, że tak fajnie jest być babcią, najpierw miałabym wnuki”. Ludzie powtarzali na ogół: „Najlepsze jest to, że możesz oddać je rodzicom, kiedy masz już dosyć”. Nie wiedzieli, o czym mówią. To było po prostu cudowne. Susan świetnie ją rozumiała.

- Wiem, sama nie mogę się doczekać - powiedziała. - Mam nadzieję, że matki moich synowych będą mieszkały za granicą.

Część przyjemności płynęła także z obserwowania Cressidy ze Spencerem. Córka przypominała Polly ją samą. Nie była typem naturalnej „matki ziemi”, działającej instynktownie. Była uważna, entuzjastyczna i przerażona możliwością popełnienia błędu, ale jednocześnie tak przepelniona miłością i czułością, że zawsze robiła wszystko jak należy. Pewnego dnia, niedługo po tym jak Polly przywiozła ich do domu, zastała swoją córkę, układającą dziecko w wiklinowym koszu. Polly objęła ją ramieniem i przyglądały mu się przez długi czas, obserwując, jak we śnie wygina maleńkie usteczka. Cressida zerknęła na Polly z oczami pełnymi łez. Była to chwila doskonałego porozumienia. Cressida zdawała się pojmuwać,

co czuła do niej matka. To wszystko, co wydarzyło się w ciągu dwudziestu lat i ostatnich ośmiu miesięcy, zyskało nagle nowy wymiar.

Kiedy Cressida po raz pierwszy wyszła sama na spacer, Polly spotkała ją na parkowej ścieżce z wózkiem i Spencerem, ubranym w czapkę, kaftanik, śpioszki, rękawiczki, ręcznie robiony wełniany sweterek oraz kurtkę, przykrytym flanelką i dwoma kocykami.

Elliot odwiedzał je prawie codziennie. Wkrótce przestał pytać o pozwolenie. Teraz po prostu wpadał bez zapowiedzi, najczęściej w czasie kąpieli lub karmienia. Polly przyzwyczaiła się do jego obecności. Szczerze mówiąc, często okazywał się bardzo przydatny. Z pomocą Daniela zainstalował łóżeczko, niezwykle skomplikowane urządzenie, będące jednocześnie wózkiem, leżaczkiem i fotelikiem samochodowym, oraz nosidełko, którego Cressida chętnie używała.

Zajmował się Spencerem, jakby robił to od zawsze, z pewnością charakterystyczną dla lekarzy i pielęgniarek. Zawsze umiał odwrócić uwagę małego sposobiącego się do płaczu, i to go najwyraźniej uszczęśliwiało. Nazywał go „Spence”, a raz usłyszały, jak zwraca się do niego per „synu”. Był dobrym człowiekiem i kochał Spencera. Polly jednak nadal nie wierzyła w ich związek. Elliot najwyraźniej starał się zapewnić Cressidzie jak najwięcej przestrzeni. Od porodu nie zadawał jej żadnych poważnych pytań, lecz chwilowo zaakceptował istniejącą sytuację. Nie byli teraz „ze sobą” w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Elliot nie zostawał na noc, a jedyne poufałości, jakie Polly zauważyła, dotyczyły Spencera. Czasami spoglądali na siebie ponad jego głową i uśmiechali się typowym uśmiechem młodych rodziców. Obejmował ją i całował, lecz jako para znajdowali się w stanie dziwnego zawieszenia. Polly siłą powstrzymywała się od zadawania pytań. Nie chciała wywierać presji. W takich okolicznościach rzeczy muszą toczyć się własnym rytmem i musi zrobić wszystko, aby umożliwić córce wybór. Teraz, kiedy poznała Elliota lepiej, nie czuła już aż takiego lęku przed ich związkiem, nadal jednak wierzyła, że Cressida powinna prowadzić własne życie i dowiedzieć się więcej o sobie i o świecie, zanim stanie się gotowa do podobnych zobowiązań.

Harriet

- Chloe, Martha, przestańcie, proszę. Możecie się bawić, ale uważajcie. - Za pierwszym razem Harriet powiedziała to łagodniej niż normalnie. Trudno krzyczeć na cudze dzieci. Za drugim razem nie opanowała się: - Przestańcie obie natychmiast! Mówię serio. Zamoczyć całą podłogę. - Nie miała jednak wystarczająco dużo energii na groźby. Nie była w dobrym nastroju. Czuła się raczej paskudnie, tak jak w ciągu minionych tygodni. Albo miesięcy, ale na pewno od aborcji Nicole. Nic jej nie cieszyło. Gdyby Nicole choć trochę zwróciła na to uwagę, powiedziałaaby jej, że brak energii i nieustannie obniżony nastrój to klasyczne objawy depresji. Ale najwyraźniej kwestia samopoczucia Harriet została chwilowo odsunięta na dalszy plan. Pewnie jej problemy wydawały się zbyt trywialne w porównaniu z innymi sprawami.

Życie z Timem było po prostu koegzystencją. Wakacyjne odprężenie i zbliżenie, które odczuli, pomagając razem Nicole, znikły wraz z początkiem roku szkolnego i powrotem do codziennej rutyny.

Myślała, że nieobecność Chloe w domu przez kilka godzin pozwoli jej poczuć się swobodniejszą - będzie mogła zmienić coś w swoim życiu - nauczy się grać w golfa, malować na porcelanie albo coś innego - ale to były bzdury. Wychodzenie z domu nie zmieniało faktu, że pozostawało pełno rzeczy do zrobienia. Tim codziennie wieczorem wracał w poczuciu winy, że nie spełnia jej oczekiwań. Straciła też swoją powiernicę, ponieważ Nicole znajdowała się w strasznym stanie. Harriet wiedziała, że musi minąć więcej czasu, i czuła się egoistką, nawet myśląc o tym, ale tęskniła za przyjaciółką. Nicole nie chciała nigdzie wychodzić ani snuć żadnych planów. Nie pozwalała sobie na żadne przyjemności. Powiedziała nawet, że nie przyjdzie na spotkanie klubu - nie miała czasu otworzyć książki. Co było oczywistym kłamstwem, ponieważ poza siedzeniem w domu nic nie robiła. Przy dzieciach zachowywała się jak automat - rozpaczliwie pragnąc zachować pozory normalności życia. Harriet jednak wiedziała, że padała jak szmaciana lalka w chwili, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Tego dnia przywiozła je Cecile, którą Harriet zatrzymała na filiżankę kawy. Dziewczyna była na skraju łez. Nie wiedziała o aborcji, więc przypuszczała, że sprawcą stanu Nicole jest Gavin.

- Kiedy nie ma dzieci, ona tylko płacze. Tak mi smutno. Nie wiem, jak pomóc.

Była bardzo młodziutka i Harriet zrobiło się jej żal.

- Ależ pomagasz, Cecile. Opiekujesz się dziećmi i dbasz o dom, więc nie musi się tym martwić.

- To łatwe. Chciałabym zrobić coś więcej.

Harriet także chciałaby móc coś zrobić. Razem z Cecile przejęły opiekę nad dziećmi Nicole i Harriet była zmęczona. Wydawało się, że William i George wyszli z całej sytuacji bez najmniejszego szwanku, bezpieczni w sekretnym, samowystarczalnym świecie bliźniąt. Byli dziesięcioletnimi chłopcami, co samo w sobie stanowiło świetną barierę, chroniącą ich przed przeżyciami z zewnątrz. Martha jednak była mniej ożywiona niż zazwyczaj i bardziej przejmowała się codziennymi utarczkami z Chloe, szybciej wybuchała płaczem i z trudem dawała się pocieszyć. Zeszłego wieczoru, kiedy Harriet wykapała obie dziewczynki (i dwa plastikowe kucyki) i ubierała Marthę w piżamę Chloe, ta przytrzymała rękami jej twarz i zapytała.

- Czy mama umrze, Harry?

Harriet objęła ją i posadziła sobie na kolanach.

- Jasne, że nie, skarbie. Skąd ten pomysł?

- Bo chyba jest bardzo chora. Czasami chodzi w piżamce cały dzień, a ja robię to tylko, kiedy jestem bardzo chora i nie idę do szkoły.

O matko.

- I ma dziwne oczy. Takie czerwone.

- Mama troszkę się źle czuje ostatnio, kochanie, ale niedługo jej się poprawi. Obiecuję. Po prostu jest bardzo zmęczona i musi mieć dużo odpoczynku i dużo przytulania, żeby wyzdrowieć. To wszystko.

Czy opiekujecie się nią?

- Ja tak, ale George i William nie.

- Dobra dziewczynka. Co za szczęście, że mama ma taką wspaniałą pielęgniarkę, prawda?

- Tak. - Martha uśmiechnęła się z dumą.

- Obiecuję ci, że mamusia nie umrze. Niedługo będzie zupełnie zdrowa.

Wkładając spodnie od piżamy, dziewczynka oparła się o ramiona Harriet. Jej buzia ponownie się zachmurzyła.

- Mogę zadzwonić do taty, żeby przyjechał nam pomóc?

- Raczej nie, kochanie. Tata jest zajęty w Londynie. Zamiast tego ja ci pomogę, dobrze? Ja i Chloe?

- Trzeba odwrócić uwagę. - Może upieczemy mamie jutro ciasto? To ją pocieszy.

- Różowe?

- No jasne, że różowe!

Oczywiście dziewczynki nie zapomniały o obietnicy i następnego dnia musiały upiec ciasto, pozostawiając straszliwy bałagan w kuchni, ściany spryskane mieszaniną cukru z masłem i ścieżkę z lukru na podłodze ciągnącą się między kuchnią a ubikacją.

Tim uznał, że Harriet robi zbyt wiele. Nie wiedział o aborcji i przypuszczał, że Gavin po raz kolejny wkupi się w łaski Nicole, za pomocą róż, kolacji i butelki wina, że powróci status quo, tak jak zawsze.

Harriet nie miała pojęcia, co jeszcze zrobić. Zajmowanie się dziećmi sprawiało, że czuła się pomocna. Nie potrafiła powiedzieć Nicole nic pocieszającego.

- Nie mogłaś mnie powstrzymać? - pytała Nicole.

- Próbowałam. Nie chciałaś, żeby cię powstrzymywać.

- Nie miałam pojęcia.

- Wydawałaś się taka pewna.

- Bo byłam pewna. Ale nie wiedziałam, o czym mówię. Po prostu odłożyłam to do pudełka i zatrasnęłam wieczko. Zamknęłam tę sprawę.

- Wiem.

- Ale tego nie da się zakończyć. Nie możesz zamknąć wieczka i odłożyć pudełka. To jest tutaj, za każdym razem kiedy otwieram oczy. Albo zamykam. Albo robię cokolwiek innego. I zawsze będzie.

- Nie zawsze będziesz to tak odczuwała, Nic. Nigdy tak nie jest. Kiedy ktoś umiera, nie przeżywamy tego bez końca tak samo. Uczucia się stępią. Poczujesz się lepiej. Świćcie w to wierzę.

- Ono nie umarło. Zabiłam je.

- Och, przestań - Harriet się rozzłościła. - Nie mów w ten sposób. Torturujesz się tym emocjonalnym językiem.

- A jakiego języka mam używać? Gdybym umiała sobie wybaczyć, na pewno bym to zrobiła. Znasz mnie. Jestem tchórzem. Nie mogłam znieść myśli o byciu samotną matką, więc się go pozbyłam.

Harriet znalazła się twarzą w twarz z nieprzekraczalnym murem samooskarżenia i żalu. Nicole obwiniała się na nowe, ulepszone sposoby.

- Jak pomyślę, ilu ludziom nie będę mogła spojrzeć w oczy. Gavin to tylko czubek góry lodowej. Nikomu, kto ma dziecko. Córce Polly - jej dziecko jest tylko o kilka miesięcy starsze, niż byłoby moje. Będę o tym myśleć za każdym razem, kiedy ją zobaczę. A co z Clare? Ona przypuszczalnie nigdy nie urodzi dziecka. Co ona o mnie może pomyśleć?

Harriet podniosła się.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim stanie, Nicole. Odmawiasz przyjęcia do wiadomości czegokolwiek. Nie mogę do ciebie dotrzeć, i to jest zbyt trudne.

Teraz Nicole się rozpląkała.

- Proszę, nie idź. Przepraszam. Harriet uknęła obok jej krzesła.

- Posłuchaj. Musiałaś zrobić coś, co było chyba najtrudniejszą rzeczą w twoim życiu - w czymkolwiek życiu. Podjęłaś decyzję dotyczącą swego ciała i przyszłości. Instynktownie czułaś, że będzie to najlepsze dla ciebie i dzieci. Wybrałaś. Nigdy nie zaczniesz o tym myśleć z przyjemnością. Ale zrobiłaś to. Już po wszystkim i nie da się tego odkręcić. Nie mogłabym się przyjaźnić z osobą, która lekko podejmuje podobną decyzję i nie odczuwa żalu. Spodziewałam się, że będziesz tak właśnie się czuć. Ale musisz przestać myśleć o sobie jako o potworze, powodowanym przez egoizm i tchórzostwo. Byłaś odważna i silna. Osoba, którą pozwalasz sobie być teraz, nie jest silna. Clare nigdy się nie dowie. Ani Polly. Nikt się nie dowie, chyba że komuś powiesz. Jesteśmy tylko ja i ty.

Harriet chciała powiedzieć więcej. Chciała powiedzieć, że Nicole ma dzieci, które żyją i potrzebują jej, że powinna zrobić coś w sprawie Gavina - spotkać się z prawnikiem albo chociaż zdecydować, co mu powie. Ale na razie wystarczy. Niech Nicole to przetrawi. Wydawało jej się nieprawdopodobne, że jej najukochańsza przyjaciółka, która wybaczała Gavinowi tak wiele razy i siebie obarczała winą za niedobre małżeństwo ze złym człowiekiem, która właśnie przeżyła dwa koszarne wstrząsy, była tak surowa wobec siebie. Kiedy wreszcie poczuje gniew?

To wydarzyło się kilka dni wcześniej. W tej chwili Harriet spoglądała na spustoszenia, które poczynili Will, George i Josh w bawialni. Każdy cal kwadratowy powierzchni zaścielały kasety wideo, gry komputerowe i małe plastikowe ludziki w wojowniczych pozach. Przypuszczała, że chłopcy są na dworze, ponieważ jej uszu nie dobiegała kakofonia tupotu nóg w tenisówkach i przedrzeźniania. Chloe i Martha kąpały lalki Barbie w płynie do mycia naczyń, stojąc na krzesłach przy zlewie i gawędząc pogodnie o tym, która lalka wyjdzie za którego chłopca-lalkę (nieszczęsne figury, posiadające klasyczne wymiary Barbie, lecz z fryzurą na jeża i szorstkim głosem), szczęśliwie nieświadome rosnącej kałuży na podłodze.

Harriet poddała się, jeszcze zanim podjęła walkę z bałaganem. Rzuciła się teatralnie na kanapę, kompletnie wykończona. To naturalnie zapoczątkowało serię żądań.

- Mamo! Chcemy coś do picia.

- Nie słyszałam „proszę”. - I tak nie miało to sensu, ponieważ nie zamierzała się podnosić przed upływem dziesięciu minut.

- Proszę! - rozległo się chórem.

- Za minutkę. - Usłyszała, jak zeskakują z krzesel. - Zakręciłyście kran, dziewczynki?

- Tak, mammo.

- Możemy obejrzeć *Roszpunkę*?

- Tak. W moim pokoju, dobrze?

- Nie umiemy włączyć twojego wideo.

Zawsze był powód, żeby zmusić ją do wstania. Zawsze!

- No dobrze, zostańcie tutaj.

Dwie drobne postacie zwinęły się obok niej na kanapie. Zrzuciła je z siebie i podniosła się.

- O nie, nie ma mowy. Nie powiedziałam, że ja też będę oglądać. Pierwsze siedemdziesiąt trzy razy absolutnie mi wystarczą. Przyniosę wam trochę soku.

Zawsze w końcu wygrywały. Zastanawiała się, czy płakać, czy się roześmiać, kiedy usłyszała krzyk George'a. Jako matka doskonale umiała rozróżniać krzyki. Było wiele rodzajów - krzyk „nie oddam”, wrzask frustracji, skaleczone kolano, koszmar senny. Tego jednak nie słyszała wcześniej i zamarła. Sekundę potem usłyszała także głos Willa. Nie było tylko Josha. Josh nie krzyczał.

Pobiegła do drzwi.

- Dziewczynki, zostańcie tu. - Oczywiście, nie usłuchały. Umiały rozróżnić równie wiele niuansów co Harriet i wyczuły w jej tonie czyste przerażenie. Płakały ze zdenerwowania, jeszcze zanim dobiegły do drzwi, trzymając się za ręce, same nie wiedząc czemu.

Chłopcy jeździli na deskorolce. Musieli się zamieniać - bliźniacy nie przynieśli swoich. Zbudowali sobie tor przeszkód z kilku desek i zielonej skrzynki po butelkach mleka.

Właśnie przy niej na ziemi leżał nieprzytomny Josh. Obok stali Will i George, opowiadając chaotycznie tę samą historię. On spadł, krzyczeli. Chyba uderzył się w głowę. O skrzynkę.

O róg skrzynki. Albo o asfalt. Nie mogą go obudzić. Ale nie ma krwi.

- Spadł z deskorolki? - zapytała z niedowierzaniem, ponieważ spadał z niej setki razy dziennie. I od razu wstawał.

- Z dachu - poinformował George. Z dachu.

- Tak się bawiliśmy.

Harriet poczuła, jak zatrzymuje się świat. Pozostało tylko bicie serca, szybsze i silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Z dachu.

Przypuszczalnie zadzwoniła wtedy po karetkę i po Nicole. Nie mogła sobie później przypomnieć.

Potem, kiedy przyszedł na to czas, zadawała sobie pytanie, czemu w ogóle znaleźli się na dachu. Jak się tam dostali? Czemu spadł? Wtedy jednak nie miało to najmniejszego znaczenia.

Nie mogła do niego podejść - za bardzo się bała. Nogi jednak same pobiegły. Od razu poznała, że jest nieprzytomny. Wrzasnęła, głośniejsze niż William i George. Zaczęła wykrzykiwać polecenia. Dookoła tłoczyły się dziewczynki. Chloe wpadła w panikę. Martha rozplakała się chwilę po niej.

- Josh, Josh, Josh.

Harriet nie mogła zebrać myśli.

- Will, George, zabierzcie je do domu. Natychmiast.

Nie było śladu krwi. Jego ręce i nogi nie były nienaturalnie powykręcane. Harriet pomyślała to, co setki razy słyszała na kiepskich filmach i w operach mydlanych: wyglądał, jakby spał. Spokojny. Gdyby była krew, mogłaby coś zrobić. Mogłaby wejść do płonącego budynku, żeby go uratować, mogłaby go trzymać podczas zszywania ran. Zrobiłaby wszystko, co tylko możliwe. Było za późno na to, co powinna była zrobić: trzymać go z dala od dachu, ochronić go. Teraz nie mogła już nic poradzić.

Oddychał. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie chciała podnosić mu głowy, klepać w policzki ani ugniatać piersi. Bała się, że dotykając go, może zrobić coś złego. Chciała go podnieść i wnieść do środka. Ale także tego bała się zrobić.

Nigdy w życiu się tak nie bała, nawet w wyobraźni. Strach płynął z okolic żołądka i rozlewał się po całym ciele - ciemnoczerwony jak krew, przysłaniający wszystko wokół. Nie mogła wydobyć głosu, poza wydawaniem dzieciom poleceń, a jednak w głowie miała istną wieżę Babel. Wszystkie głosy należały do niej. Obudź się, Joshie. Obudź się dla mnie. Błagam, żeby tylko nie umarł. Dlaczego nie miał kasku? Zawsze mu kazałam nosić kask. Nie pilnowałam go. Co u diabła robił na tym dachu? Gdzie jest karetka? Gdzie Tim? Nie ma żadnego śladu. Tim, przyjedź. Błagam.

Karetka przyjechała po ośmiu minutach, Nicole po dziewięciu. Te minuty wydawały jej się godzinami. Harriet nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała przyjaciółkę bez makijażu. Wiedziała, że na pewno przyjedzie. Karetka zastawiła podjazd, więc Nicole zaparkowała trochę dalej i pobiegła w stronę domu. George i William rzucili się do niej ze schodków przed wejściem, Martha i Chloe deptały im po piętach. Nicole przytuliła całą czwórkę mocno i niezgrabnie. Potem ustawiła ich z powrotem na stopniach i obróciła się do Harriet.

- Co się stało?

- Chłopcy weszli na dach. Nie mam pojęcia, po co. Josh spadł. Uderzył się w głowę. Nicole - on jest nieprzytomny.

Harriet kucnęła na trawie, obejmując się ramionami i kiwając w przód i w tył. Nicole przysiadła obok niej i Harriet położyła jej głowę na ramieniu. Josh był zasłonięty przez sanitariuszy, rozmawiających spokojnie między sobą. Pytali, co się dokładnie stało, jak dawno temu. Wypytywali także Williama i George'a, chcąc ustalić, czy chłopiec stracił przytomność jeszcze przed upadkiem. Bliźniacy starali się odpowiadać najlepiej, jak umieli, spoglądając nerwowo to na Harriet, to na matkę. Na dachu czuł się dobrze, mówili. Poślizgnął się. Potem cały czas był nieprzytomny.

William zadał pytanie, którego Harriet nie odważyła się dotąd wymówić:

- Czy on wyzdrowieje?

Dziecięca wiara w magię fartucha i karetki sprawiła, że miał twarz pełną nadziei.

Sanitariusz odpowiedział mu, kierując się w stronę Harriet i Nicole:

- Musimy go przewieźć do szpitala. Tam się okaże, czemu jest nieprzytomny. Oddycha i jego stan jest stabilny, więc nie trzeba się martwić. Musimy ułożyć go na twardej powierzchni, w razie gdyby miał jeszcze inne obrażenia. To rutynowe przy tego typu upadkach.

Komórka Nicole rozdzwoniła się. Wstała i odeszła na bok.

- Tim? Tak, jestem z nimi... Nie wiem. Jest nieprzytomny. Upadł z wysokości... Tak, już są. Właśnie zabierają go do karetki... Tak, tak. Oczywiście. Pojedź od razu... Tak. Poczekaj, dam ci ją. - Wyciągnęła telefon do Harriet. - Właśnie wsiada do pociągu. Chce z tobą mówić.

Harriet wzięła telefon i zaczęła wyrzucać z siebie samooskarżenia:

- Spadł z dachu... Z dachu garażu. Nie dopilnowałam ich. Nie wiedziałam, że tam są... Dobrze... Tak... Tim?... Błagam, pospiesz się.

Sanitariusze pomogli jej wsiąść do karetki. Nicole prosiła, żeby się nie martwiła, ona zajmie się dziećmi. Była pewna, że Joshowi nic nie będzie. Tim spotka się z nią w szpitalu. Chloe wołała matkę i Nicole wzięła ją na ręce. Podwójne drzwi zatrzasnęły się i Harriet z ulgą znalazła się w ciszy, obserwując, jak pierś Josha delikatnie wznosi się i opada. Starła się nie przyglądać zbyt uważnie sprzętowi medycznemu i skupić na własnym oddechu.

Josh został wniesiony do szpitala od strony podjazdu dla ambulansów, lecz potem znaleźli się w zatłoczonej izbie przyjęć. Harriet przypomniały się poprzednie wizyty w szpitalu: w ciąży z Joshem, kiedy była przekonana, że przestał się poruszać; kiedy Tim zaciął się sekatorem i trzeba było zszywać mu kciuk. Za każdym razem narzekała, że musi czekać, i razem z innymi z irytacją obserwowała czerwony, mrugający ekran, ogłaszający, ile minut pozostało do wejścia do gabinetu. Jakże marzyła, żeby teraz znaleźć się w tym miejscu i stać w kolejce do gburowatej pielęgniarki w recepcji razem z innymi lżej chorymi. Najbardziej przerażał ją pośpiech, jaki panował wokół Josha. A także zasunięte parawany i ściszone głosy.

Wszyscy chcieli wiedzieć, jak to się stało. Każde pytanie brzmiało oskarżycielsko. Tak, chciała krzyknąć na cały głos. Tak, mój siedmioletni syn był na dachu garażu. Nie, nie wiem dlaczego.

Sanitariusze, którzy ich przywieźli, zbierali się do odejścia.

- Niech się pani nie martwi, jest w dobrych rękach.

Harriet poczuła, że robi jej się słabo. Była oszołomiona różnymi napisami, obcymi zapachami i tempem. Młoda pielęgniarka położyła jej delikatnie dłoń na ramieniu:

- Proszę pani...? Niech pani na chwilę usiądzie na korytarzu.

Nie chciała go zostawiać, ale dała się podprowadzić do krzesła. Pielęgniarka posadziła ją, obiecała przynieść kubek herbaty i zapewniła, że lekarze za kilka minut do niej przyjdą, żeby się nie martwiła. Wszyscy to powtarzali. Co za hipokryzja. Powinni ich uczyć, aby nigdy nie mówili czegoś podobnego, nawet z dobrego serca.

Harriet nie mogła usiedzieć spokojnie. Wstała i zaczęła przemierzać krótki korytarzyk, odczytując tabliczki informujące o oddziale patologii, prześwietleniach, ubikacji. Obserwowała małego chłopca z nogą

w gipsie bawiącego się w kąciu dziecięcym. Jego matka zauważyła spojrzenie i uśmiechnęła się nerwowo, ale Harriet nie była w stanie odwzajemnić uśmiechu.

Przecież nie mógł umrzeć? Być może wypowiedziała już ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek miał usłyszeć. Ostatni uścisk, ostatni całus, ostatnia bura. Ta myśl wydała jej się zbyt przytłaczająca, miała wrażenie, że zaraz eksploduje. Być może tam, za parawanem, wszystko już się skończyło. Nagle poczuła, że nie chce, żeby został odsunięty, nie chciała ujrzyć ich twarzy, nie chciała zobaczyć, jak potrzęsają głowami. Jak długo znajdował się za parawanem, mogła udawać, że go leczą, że starają się zwrócić jej dziecko. Nie mogła głębiej odetchnąć. Miała zaciśnięte płuca.

Potrzebowała świeżego powietrza. Bała się, że zaraz zemdleje, choć nigdy jeszcze jej się to nie przytrafiło. Nie chciała, żeby stało się to teraz, na oczach wszystkich. Powiedziała pielęgniarce, że za sekundę wróci, i przeszła do głównego holu. Wszystko wydawało się zarazem normalne i surrealistyczne. Dwóch robotników naprawiało świetlówki, stojąc na drabinie. Słuchali radia i młodszy z nich nucił w rytm najnowszego przeboju. To może być ścieżka dźwiękowa śmierci Josha.

Przez drzwi wejściowe właśnie wchodził Tim. Na jego widok poczuła nieprawdopodobną ulgę. Otworzył ramiona i Harriet osunęła się w nie bezwładnie.

- Już dobrze, dobrze. Jestem tutaj.

Przytulał ją długo bez słowa. Potem obrócił ją dookoła i ruszyli razem w kierunku oddziału dziecięcego.

- Co z nim?

- Nie wiem. Jeszcze nic mi nie powiedzieli.

- Odzyskał przytomność?

- Nie. Tim, to moja wina. Nie dopilnowałam ich. Tak mi przykro.

Obecność Tima sprawiła, że nareszcie mogła się rozplakać. Po raz pierwszy, odkąd usłyszała krzyk George'a.

Jej łzy zawsze doprowadzały go do desperacji. Wyglądała znów jak tamta dziewczyna sprzed wielu lat. Zapuchnięta, żałosna i ukochana.

- Nie bądź głupia, kochanie. Nie możesz pilnować ich bez chwili przerwy. Byłaś zmęczona. To chłopcy. Nikt cię nie obwinia, a już na pewno nie ja.

- Tak się cieszę, że jesteś.

- Oczywiście, że jestem. To nasz syn.

Wszystkie inne banalne zmartwienia po prostu znikły. Czowała to. To było takie proste, czarno-białe w świecie pełnym odcieni szarości. On był ich synem, nie chcieli bez niego żyć. Proszę, niech on wróci. Niech wróci.

Tim przyjechał do domu około północy. O ósmej lekarze powiedzieli, że Josh został skierowany na tomografię komputerową mózgu, która powinna coś wykazać. Martha i Chloe poszły spać o mniej więcej zwykłej porze, przytulone do siebie pod jedną kołdrą. Po telefonie od Tima Nicole odesłała chłopców do

pokoju gościnnego, ale nie zasnęli jeszcze przez kilka godzin. Nicole usiłowała oglądać telewizję, kartkowała czasopisma, lecz nie była w stanie się skoncentrować. Zamiast tego postanowiła umyć podłogę w kuchni, wytarła do sucha lalki, uporządkowała bawialnię, podnosząc wszystkie przedmioty i pedantycznie układając je w odpowiednich pudełkach. Harriet nie uwierzy własnym oczom, kiedy to zobaczy - w jej domu nigdy jeszcze nie panował taki ład. Zabierała się właśnie za lodówkę, w której Harriet najwyraźniej hodowała nową szczepionkę na trąd na kawałku parmezanu, kiedy dostrzegła światła samochodu i wyszła na dwór powitać Tima.

- Co z nim? - otoczyła go ramionami.

- Bez zmian, cały czas w śpiączce. Mówią, że to może potrwać nawet kilka dni.

- A co wykazała tomografia?

- Jego mózg jest obtłuczony i spuchnięty, ale nie ma żadnych zakrzepów.

- To chyba dobrze, prawda?

Tim wzruszył ramionami i otarł czoło. Był spocony i wyglądał na wyczerpanego.

- Pewnie tak.

- Zrobię ci herbaty. Głodny?

- Nie. Ale herbatę chętnie. - Usiadł przy stole kuchennym i ukrył twarz w dłoniach. Potem odezwał się stłumionym głosem: - Muszę zaraz wracać. Dali Harry łóżko. Chce przy nim zostać na noc i muszę jej zawieźć kilka rzeczy.

- Chcesz, żebym coś znalazła?

- Mogłabyś?

- Jak ona się czuje?

- Znasz Harriet. Kompletnie się załamała, myśli, że to jej wina.

- To szaleństwo. - Nicole prawie ją słyszała.

- Ja też to powtarzam. - Z wdzięcznością przyjął kubek herbaty i wypił jeszcze gorącą. - A jak Chloe? I reszta?

- Śpią. Niedługo zabiorę moich do domu. Chcesz, żebym wzięła też Chloe?

- Nie trzeba. Niech chłopcy się tu prześpią. Przeżyli szok. Dlaczego wszyscy nie mielibyście zostać na noc? Rano zobaczymy. - Tim nie chciał być sam. Nicole także nie.

Nicole wyszukała kilka rzeczy dla Harriet - jedną z jej obszernych, wiktoriańskich bawełnianych koszul nocnych, skarpetki z bieźnikiem, z których zaśmiewały się tysiące razy, czyste majtki, szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów. Dołożyła także do połowy przeczytaną książkę, choć nie sądziła, że Harriet da radę czytać w tych okolicznościach, i kilka czekoladek. Po południu Harriet nie zabrała ze sobą nawet torebki, więc Nicole spakowała ją także i po namyśle włożyła świeże ubranie na rano. Zastanawiała się, czy Josh będzie czegoś potrzebował. Potem przypomniała sobie otwartą na plecach szpitalną piżamę i trykoty, podobne bandaży mumii. Nie wyobrażała go sobie w czymś takim.

Nigdy nie mógł usiedzieć na miejscu. Nawet jako bardzo małe dziecko wiecznie podskakiwał, przestępował z nogi na nogę i kręcił się w kółko. Najwcześniej ze wszystkich zaczął raczkować, chodzić i biegać. Zawsze ostatni wspinał się na kolana rodziców, żeby przytulić się i odpocząć. Błagam, żeby tylko nie umarł ani nie był sparaliżowany. Prosiła o to nie tylko ze względu na jego rodzinę, ale także siebie i chłopców, którzy go uwielbiali. Ze względu na ich przyjaźń, na to, że obie rodziny były tak do siebie podobne i wiele innych rzeczy. Proszę, niech Josh wyzdrowieje, modliła się do kogoś. Modlitwa niewierzącego, kierowana po cichu w przestrzeń.

- Powiedz, że ją kocham - poprosiła Tima, wręczając mu torbę.
- Oczywiście. Dziękuję. - Podniósł torbę wysoko do góry. - Za wszystko.
- Na razie. - Objęła go na chwilę.
- Do zobaczenia.

Poza tym krótkim podziękowaniem nie miał dla niej czasu ani miejsca. Wydawał się mniejszy niż zwykle i postarzały. Cały jego świat skurczył się do rozmiarów małego pokoju, pełnego urządzeń medycznych i nadziei.

Susan

Na pogrzebie pojawiło się niespodziewanie wiele osób. W przypadku niektórych trudno było zgadnąć, w jaki sposób dowiedzieli się o śmierci Alice. Czy codziennie przeglądali nekrologi, szukając znajomych nazwisk? Susan przypuszczała, że właśnie tak robili, zwłaszcza ci starsi. Kilka tygodni wcześniej oglądała w telewizji amerykańskiego komika żartującego z brytyjskich nekrologów. To dziwny kraj - stwierdził - w którym ludzie umierają albo „nagle”, albo „w pokoju”, nigdy nie czyta się o kimś, kto umarł wściekły albo z poczuciem krzywdy. Pewnie nikt się nad tym nie zastanawia. Pragnęła wierzyć, że Alice odeszła spokojnie. Roger powiedział, że na pewno tak było. I tak napisano w gazecie: „Alice, 71 lat, odeszła w pokoju w «Cedrach». Wdowa po Jonathanie, matka Susan i Margaret, babcia Edwarda i Alexandra. Zamiast kwiatów prosimy o datki na...”. Pomyślała o wszystkich brakujących przymiotnikach - najpierw napisała nekrolog pełen słów takich jak „ukochana” i „nieodżałowana”, ale później wydało jej się to niewłaściwe. Każdy, kto ją znał, i tak wiedział. Nikt inny nie musiał tego wiedzieć.

Naturalnie przyszli chłopcy, nagle absurdalnie dorośli. Sandy, kolega z przychodni, kilka osób personelu domu opieki, które zapewne otrzymały polecenie służbowe, kilkoro starych przyjaciół. Roger i Margaret. Były także osoby, których nie spodziewała się zobaczyć: farmaceuta z miejscowej apteki, bibliotekarka Louise, córka Mabel, która wchodząc, poklepała ją po ramieniu, choć prawie się nie znały. Przyszli również ludzie, którzy z całą pewnością nie mieli nic wspólnego z Alice, zawodowi żałobnicy. W dzieciństwie widywała ich zawsze w niedzielne poranki kręcących się pod kościołem i wypatrujących młodych par. Tym razem czekali na coś innego. Miała nadzieję, że się nie rozczarują.

W kwestii kwiatów na trumnie zrezygnowała z lilii na rzecz róż. Alice uwielbiała róże, zwłaszcza różowe. Zdawała sobie sprawę, że matka nie życzyłaby sobie wielu kwiatów - uważałaby to za

marnotrawstwo dla osoby dorosłej. Susan wiedziała jednak, jak to wygląda w krematoriach. Po ceremonii zostaną poprowadzeni do gołego skrawka trawy z tabliczką z nazwiskiem, prawdopodobnie otoczonego ogromnymi wieńcami z goździków, pozostałymi po pogrzebie sprzed pół godziny. Nie zniosłaby tego. Alice na pewno miałyby jej za złe podobne zmartwienia. Nazywała to „szorowaniem schodków”. Dawno temu знаła pewną kobietę, która utrzymywała w domu straszny bałagan, ale schodki przed domem szorowała tak, że można było się w nich przejrzeć - bardziej zależało jej na zdaniu nieznanym przechodniów niż na wygodzie własnej rodziny. Alice jednak już nie było. Susan poprosiła kwiaciarkę, aby dała możliwie jak najwięcej róż.

Mieli zamiar zaśpiewać *All things Bright and Beautiful* i *The Day Thou Gavest*. Pomyślała o jednej z ukochanych pieśni Alice - *Pie Jesu* w wykonaniu Barbry Streisand albo Charlotte Church - lecz dobry gust zwyciężył nad sentymentalizmem.

Ona i chłopcy śmiali się z tego zeszłego wieczoru. Alex opowiadał o filmie, na którym kremacja odbywała się przy dźwiękach *You Can't Always Get What You Want* Rolling Stonesów. Chichotali jak szaleni, kiedy Ed, odśpiewując *Burn baby burn, disco inferno*, podrygiwał jako pastor nad trumną.

Alex opanował się pierwszy.

- Przepraszam, mamó. To chore.

Susan, która bawiła się tak samo dobrze, objęła go ramieniem i przytuliła jego głowę do siebie.

- Nie masz za co przepraszać.

Ed także podszedł i przyłączył się do wspólnego uścisku nad fotelem.

- Wszystko w porządku. Śmierć babci nie była tragedią. Miała wspaniałe życie, a ostatnio bardzo cierpiała. Wiem, że cierpiała psychicznie, jestem tego pewna. Przyszedł jej czas. To smutne, ale nie tragiczne. Nie była dzieckiem - jak synek mojej koleżanki Harriet, który leży w śpiączce - ani młodym ojcem rodziny. Była starą kobietą, która żyła długo i widziała swoje dzieci i wnuki szczęśliwe.

Alex ścisnął jej rękę.

- Najgorsze jest to czekanie. Moim zdaniem żydzi i muzułmanie dobrze robią, grzebiąc zmarłych jak najszybciej. Żeby mieć to za sobą. To tylko ciało. Wiem o tym, ale póki jeszcze jest, nie można wrócić do życia.

Czekali na Margaret. Bardzo źle przyjęła wiadomość, wybuchła płaczem, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Odłożyła słuchawkę, potem zadzwoniła znowu, aby ponownie zalać się łzami. Godzinę później zatelefonowała jej przyjaciółka, Lindy, która powiedziała, że Margaret nie jest w stanie rozmawiać, ale przyleci na pogrzeb.

Postanowiła, że przyjedzie na kilka tygodni. Przygotowania zajęły jej trochę czasu - podczas gdy Susan leżała bezsennie, wyobrażając sobie Alice w łódce w domu pogrzebowym, i marzyła, aby było już po wszystkim.

Margaret nie zatrzymała się u nich. Jak zwykle mgliście napomknęła coś o zamianie mieszkań z angielskimi krewnymi jednej ze znajomych jej znajomych. Nie miała ich adresu, tylko numer telefonu

komórkowego. Jak zawsze. Susan zastanowiła się przez chwilę, czy jest jej przykro, że siostra w takim momencie nie chce być razem z nią i jej synami, czy może czuje ulgę, nie musząc znosić tej pełnej niechęci i stresującej obecności w swoim domu przez cały czas. Ulga zwyciężyła.

Ujrzała ją dopiero następnego dnia rano. Margaret znowu płakała rozdzierająco, w rzędzie przed nimi. Sama. Susan przywołała ją do siebie, delikatnie popychając Aleksa i Eda, żeby zrobili miejsce, lecz Margaret uśmiechnęła się słabo, potrząsnęła głową i wsunęła się do pustej ławki.

Susan nie mogła na nią patrzeć. Przyłożyła opuszkę kciuka do palca wskazującego i ścisnęła z całej siły. To powstrzymało ją od płaczu, choć nie miała pojęcia dlaczego. Z jednej strony ocierało się o nią ramię Rogera w czarnym płaszczu, z drugiej - Aleksa, trochę wyżej. Obaj byli gotowi okazać wsparcie, lecz Susan już się z powrotem wyprostowała.

Polly pierwsza przyjechała do domu. Wyglądała kwitnąco, z porządnie upiętymi lokami, w eleganckiej czarnej sukience. Przytuliła Susan, która na chwilę odtajała w jej ramionach, a potem rozejrzała się wokół.

- To miło, że przyszło tyle ludzi.

- Była wspaniałą kobietą - odparła Polly, wzruszając ramionami. Zauważyła Margaret, pogrążoną w rozmowie, na jej twarzy widniały ciągle ślady łez. - Dziwna osoba z tej twojej siostry, co? Myślisz, że się przejmuje, że nie było jej tutaj, kiedy to się zdarzyło?

- Nie było jej tutaj od lat. Przestałam już nawet próbować zrozumieć motywy postępowania Maggie. Zachowywała się tak dziwnie od samego początku, kiedy mama zachorowała, jakby mnie obwiniała. Swoją drogą ona zawsze była dziwaczna.

- Nie wygląda na pogodną osobę.

- Chyba nie jest. To typ człowieka, który nigdy nie jest szczęśliwy. To chyba zazdrość. Zawsze wypatruje, kto ma lepiej.

- Przez co skrajnie różni się od ciebie, moja droga.

- Kto wie? Nie chce mi się dzisiaj nad tym zastanawiać. Polly na powrót skupiła się na swojej przyjaciółce.

- A jak ty sobie radzisz?

- Teraz lepiej. Nie mogłam znieść czekania. Bóg jeden wie, jak czują się ludzie, którzy nie mogą pochować swoich bliskich przez całe miesiące, jak rodziny zamordowanych i tym podobni. To po prostu cały czas cię prześladowe, jak czyjaś przemożna obecność. - Zacisnęła powieki, potem otworzyła je znowu.

- Ale już po wszystkim.

- Cudownie wszystko zorganizowałaś. - Polly starała się zachować taktownie.

Popatrzyły na siebie i roześmiały się cicho.

- Tak, to najładniejszy pogrzeb, na jakim byłam!

W tej chwili pojawiła się przy nich Margaret. Twarz miała jak z kamienia.

- Co was tak śmieszy? - Niewinna uwaga zabrzmiała groźnie, wygłoszona ponurym głosem z silnym australijskim akcentem.

- Nic takiego.

- Jestem Polly, przyjaciółka Susan.

- Miło mi. - Margaret obdarzyła ją tym samym nikłym, niesięgającym oczu uśmiechem, który posłała Susan w krematorium. - Dobrze się bawicie?

O Boże, ona znów szuka zwady, pomyślała Susan. Poczła przyplw lku oraz odrobinę złości.

- Nie, Margaret, wcale się dobrze nie bawię. To pogrzeb naszej matki.

- Jesteś jednak w swoim żywiole, prawda? Organizowanie wszystkiego dokoła. Zwłaszcza dla mamy. Całkiem często się tym ostatnio zajmowałaś.

Polly nie wierzyła własnym uszom. To jak kiepska scena z opery mydlanej. Na miejscu Susan zaswędziałyby ją ręka. Jednak przyjaciółka wyglądała, jakby miała za chwilę się rozplakać. Polly rozejrzała się po salonie, jednak nie dostrzegła Rogera ani chłopców.

- Maggie, nie zaczynaj, proszę. Nie dzisiaj. Jeśli jesteś zła - a Bóg jeden wie dlaczego - możemy porozmawiać, ale nie dzisiaj, przy wszystkich tych ludziach. - Mówiła proszącym tonem.

Margaret jakby się wycofała. Nachyliła się do Susan i wyszeptwała:

- W porządku, nie tutaj. Ale ja nie wyjeżdżam od razu. Zostanę, kiedy będziesz likwidowała dom. Byłam jej córką, czy ci się podoba, czy nie, i nie zamierzam być pomijana.

Susan poczuła rosnącą irytację. O czym ona u diabła mówi? Ignorować ją? Kto tyle razy dzwonił, kto starał się namówić ją do wspólnych decyzji, poprosić o wspólne dźwiganie ciężaru choroby matki? Za każdym razem spotykała się z niechęcią. Poprzednia wizyta okazała się totalną klęską. Susan miała nadzieję, że siostra zrozumie wszystko, kiedy zobaczy Alice, pojmie, że miała powody, że nie było żadnego wyboru. Sądziła, że może to wiele naprawić - lecz okazało się, że Margaret stała się jeszcze bardziej wroga. Co miała znaczyć uwaga o pozostaniu w pobliżu, kiedy Susan będzie likwidowała dom? Czy chciała się upewnić, że Susan nie oskubie jej z należnej części skromnego spadku po Alice? To coś nowego, nawet jak na Margaret.

- Dobrze, Maggie. Jak uważasz. Możesz sama to zrobić, jeśli masz ochotę. Najwyższy czas, do cholery, żebyś ruszyła palcem.

Polly nie pamiętała, żeby Susan kiedykolwiek przeklinała. I dobrze ci tak, pomyślała. Ty złośliwa małpo. Margaret również chwilowo zamilkła.

Polly postanowiła wybawić przyjaciółkę.

- Suze, zapomniałam ci powiedzieć, coś wspaniałego! Nicole zadzwoniła wczoraj wieczorem i mówiła, że Josh wyzdrowieje. Zostanie w szpitalu jeszcze kilka dni, a Harriet razem z nim, ale już niedługo wróci do domu, nic mu nie jest.

Polly wzięła Susan pod rękę i odciągnęła od siostry.

- To fantastyczne wieści. Cudowne. - Po raz pierwszy tego dnia Susan poczuła wzbierające w oczach łzy. Za Harriet, Tima i Josha. A także za Alice.

- Nie wiem, o co jej chodzi - powiedziała później do Rogera.

Ostatni goście wyszli pół godziny wcześniej. Ona i Roger załadowali brudne naczynia do zmywarki, odkurzyli podłogę w holu i w salonie oraz strzepnęli poduszki na kanapach. Susan zdjęła czarną sukienkę i buty i usiadła z filiżanką herbaty w ręku, oparta plecami o ramię męża.

- Nie marnuj energii na zastanawianie się nad tym, kochanie. To zgorzkniała, złośliwa, mściwa osoba. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie wiem, jak ułożyło się jej życie w Australii, ale chyba w niczym nie przypomina wymarzonego raj. Tak czy owak, moim zdaniem Maggie jest w stanie zatruć każde źródło, przy którym się znajdzie. Pewnie doprowadziła tego nieszczęsnego Grega do szaleństwa. Dziwię się, że tak długo wytrzymał. Nie myśl o niej.

- Nie mogę o niej nie myśleć, nie rozumiesz? To moja siostra. Tylko ona mi teraz została. Jest tutaj. Obok mnie. Pewnie w domu mamy.

- Możesz o niej nie myśleć. I to nieprawda, że tylko ona ci została - a co ze mną i chłopcami? Skreślasz nas?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, co chciałam powiedzieć.

- Właśnie, że nie wiem. Naprawdę. No dobrze, niech będzie, że ona zawsze pozostanie twoją siostrą. Więzy krwi i tak dalej. No i co z tego? Złośliwa, niemila, przypuszczalnie również chciwa i cholernie dziwna siostra to żaden skarb. A być może nawet krzyż na plecach. A wcale nie musisz go nieść. Załatw z nią sprawę domu - daj jej, co zechce - i na tym koniec. Do diabła z nią.

Susan odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dla ciebie wszystko jest takie jednoznaczne. Roger pocałował ją w czoło.

- Dla ciebie także, na ogół. To twoja pięta achillesowa, i tyle.

- Masz rację - westchnęła.

- Kocham cię.

- A ja ciebie.

Polly i Cressida

Nastała prawdziwa złota jesień. Było jeszcze goręcej niż w lipcu. Upał migotał nad szosami, jak na amerykańskich filmach, a powietrze stało nieruchome i ciężkie. Jak w *Eden Close*. Spencer leżał na kocyku pod drzewem, bez pieluszki, z kaftanikiem podciągniętym do góry. Jego nóżki bezustannie się poruszały, pedałując na niewidzialnym rowerze, rączki rozłożył szeroko, jakby pragnął objąć całe niebo. Zasłonięty gałęziami przed spiekotą wykonywał swój mały taniec słońca, rozgrzany, szczęśliwy i nieco zadyszany.

Polly zapomniała, jak bardzo niegdyś lubiła to miejsce. Domek należał do rodziców Dana i nie odwiedziła go ani razu od czasów rozwodu. Teraz przypominała sobie, jak zwykła przyjeżdżać późno w piątkowe wieczory, wydostając się z trudnością z zakorkowanego Londynu, z marudnymi dziećmi i

ogromną ilością zakupów, jakby w Norfolk nie istniały sklepy. Zawsze jednak czuła się lepiej, gdy tylko wysiadła z samochodu i przeciągnęła się, wdychając słone morskie powietrze. Była pewna, że poczęli Daniela właśnie jednego z takich piątkowych wieczorów. Cressida zasnęła pod koniec podróży i zanieśli ją prosto do łóżka, obserwując, jak zmienia pozycję i wyciąga się pod biało-różową kołderką. Potem wzięli butelkę wina i poszli do ogrodu, gdzie trawa była jeszcze nagrzana całodziennym słońcem. Kochali się pod drzewem, pod którym leżał teraz Spencer, słuchając morza, stapiając swój rytm z rytmem fal. Prawie całkiem o tym zapomniała.

O domku przypomniał jej Dan, który uznał, że powinna zabrać tam Cressidę na kilka dni. On w tym czasie zajmie się Danielem. Nie mogła chyba zupełnie się mylić, kochając go kiedyś tak bardzo - czasami łatwiej było o tym nie myśleć.

Domek nie zmienił się nic a nic. Te same kanapy, poplamione przez dziesiątki słonych, opalonych, posmarowanych kremem nóg, i zachęcająco zapadnięte łóżka, w których spoczywało się jak w chmurach. Po przyjeździe Cressida zachowywała się jak mała dziewczynka. Nie była tu od bardzo dawna, ale powitała dom i miasteczko jak utracone skarby dzieciństwa. Poprosiła, aby Polly zatrzymała się przy małej dróżce wiodącej do bramy, chcąc nazbierać trochę kopru morskiego, i ubłagała ją, żeby kupiła kraby na obiad. Kiedy poszły na spacer nad morze, zostawiła matce Spencera w nosidełku, a sama pobiegła kamienistą plażą, rozbryzgując stopami żwir na boki, tak jak kiedyś.

Może właśnie tutaj powinny wreszcie porozmawiać.

Polly była zdenerwowana, co wcale jej się nie podobało - niemożliwe, aby aż tak się niepokoić rozmową z własnym dzieckiem. Potrzebowała czasu, aby przywyknąć do nowej pozycji Cressidy, która nadal była jej córką, ale także matką Spencera. Polly nie była już za nią odpowiedzialna, Cressida była teraz matką, tak jak ona sama kiedyś. Młoda i przerażona. Nie wszystko jednak musi się powtórzyć - jeśli pozwoli sobie pomóc.

Polly weszła do chłodnej, ciemnej kuchni i naląła wody do dwóch wysokich szklanek, potem wyszła z powrotem na dwór. Cressida siedziała na leżaku z książką, lecz nie czytała, przyglądając się z uwagą Spencerowi.

- Cress, chcę z tobą pogadać. - Usiadła na trawie między córką a wnukiem, lecz potem przesunęła się, aby ich nie odgradzać od siebie.

- O co chodzi? - Cressida od lipca dużo przebywała na powietrzu i opaliła się na piękny, złocisty odcień. Wyglądała prześlicznie i śmiesznie młodo, ponownie szczupła i wypoczęta.

- Chodzi o Spencera. O ciebie. I o mnie, ale przede wszystkim o ciebie.

Cressida zaniepokoiła się odrobinę, więc Polly wzięła głęboki oddech i postanowiła powiedzieć to wprost:

- Chciałabym, żebyś miała szansę, której ja nie miałam. Dlatego na początku nie byłam pewna, czy powinnaś urodzić Spencera. - Teraz ten pomysł wydał jej się niegodziwy, gdy tak obserwowała jego niemowlęcy balet na trawie. - I myliłam się co do tego, nawet bardzo. Kocham go i cieszę się, że jest z

nami. Ale jako twoja matka chciałabym, abyś miała wszystkie możliwe szanse. Żebyś sama odkrywała świat. Wszyscy rodzice pragną tego dla swoich dzieci. A lepiej niż ktokolwiek wiem, że nie będziesz miała pełnych możliwości bez dyplomu.

- Tak, mam - odparła Cressida cierpliwie. - Mam zamiar wrócić na studia. Przecież bezustannie to powtarzam.

- Powiedziałaś, że wrócisz, ale to nie będzie twój pierwszy wybór, nie to, czego naprawdę chciałaś.

- To już przeszłość. To jego naprawdę chciałam - bardzo. Jest tutaj i stał się moim pierwszym wyborem. Reszta życia będzie musiała się dopasować, jak u innych ludzi.

Polly potrząsnęła głową. Słowa Cressidy wywołały ostry ból w klatce piersiowej - częściowo z dumy, częściowo z rozpaczy, że jej córka rezygnuje ze wszystkiego z takim spokojem i najwyraźniej z zadowoleniem.

- Nie, jeśli pozwolisz, żebym się nim zajęła, kiedy będziesz na uniwersytecie.

Cressida milczała dłuższą chwilę. Spencer posapywał.

- Myślałam o tym wiele od wiosny, słowo - to nie jest kaprys. Nie staram się zdobyć władzy. Mogę go wziąć do siebie na czas, kiedy będziesz studiować. Będzie twoim synem, który tylko ze mną mieszka. Będziesz wracać do domu na wakacje, nawet na weekendy, jeśli zechcesz. Ale będziesz miała czas, żeby się uczyć, bawić, pomyśleć jasno o swoim dalszym życiu.

Nie była pewna reakcji Cressidy. Siłą woli powstrzymywała się od odwrócenia wzroku. Cressida wreszcie się odezwała:

- Nie bądź głupia, mam. Masz Daniela i pracę. Masz także Jacka, jeśli się wreszcie pogodzicie. - Na jej twarzy z wolna pojawiło się zrozumienie. - To o mnie poszło, prawda? Powiedziałaś mu, a on nie chce się zgodzić. - W jej oczach zabłyśły łzy paniki. Zsunęła się z leżaka na trawę i ujęła Polly za rękę. - Mam, nie zrywaj z Jackiem przeze mnie. Nie możesz. Byłabyś z nim szczęśliwa.

- Niestety, nie, jeśli nie potrafi zrozumieć, co muszę zrobić.

- Ależ wcale nie musisz.

- Muszę, Cressido. Tu nie chodzi o Jacka. Jego odejście potrafię znieść. - Czy na pewno? - Ale nie to, że zniszczysz sobie życie. Tego nie wytrzymam. Pomyśl o nim - wskazała na Spencera. - Pomyśl o nim, kiedy będzie w twoim wieku. Postaraj się pomyśleć o nim, tak jak ja o tobie. Patrząc na ciebie, nie pojmuję, jakim cudem udało mi się wychować osobę tak wspaniałą jak ty, piękną i mądrą, pełną życia, miłości i ciepła. Spójrz na niego. Już przecież wiesz, że umarłabyś za niego, prawda?

Cressida patrzyła na dziecko. Łzy spływały jej po policzkach. Skinęła głową. Polly położyła jej dłoń na ramionach.

- Teraz rozumiesz, co czuję do ciebie. - Także ona płakała.

Polly przypomniała sobie dzień, w którym Cressida po raz pierwszy dostała miesiączki. Miała trzynaście lat. Była wyniosła, speszona i wściekła, nieśmiała i zirytowana. Polly dała za wygraną. Wieczo-

rem znalazła córkę płaczącą w łazience, ponieważ zauważyła krew na ręczniku. Rozszlochana Cressida usiadła jej na kolanach. Cała jej dorosłość znikła w jednej chwili, jak teraz. Polly kołysała ją lekko.

- Przecież nie mogę go zostawić. - To było pytanie. Napięcie Polly częściowo zelżało. Udało jej się coś osiągnąć.

- Ależ możesz. Nie zostawiasz go, tylko pożyczasz mi na trochę. To wszystko.

Wieczorem podekscytowana Polly stała z kieliszkiem wina przy drzwiach do ogrodu. To jeden z tych dni, kiedy szło się do łóżka w całkiem nowym świecie. Po długiej rozmowie Cressida stopniowo się rozpogodziła na myśl o wszystkich możliwościach, które uznała za stracone. W czasie kolacji stała się znowu prawie nastolatką i Polly poczuła, jak spada z niej ogromny ciężar, który dźwigała od marca. Może im się udać. Musi im się udać. Zaryglowała drzwi i wspięła się na górę wąskimi schodkami, gasząc po drodze światła.

Cressida leżała w łóżku w blasku lampki nocnej, odwrócona w stronę swojego dziecka, z jedną ręką wyciągniętą. Spencer spał w nosidełku, z rączkami nad głową, pijany słońcem i mlekiem. Polly pochyliła się nad nimi, żeby wyłączyć lampkę, i Cressida otworzyła oczy. Zanim zapanowała ciemność, matka i córka popatrzyły na siebie długą chwilę, uśmiechając się z miłością i zrozumieniem.

Elliot

Cressida opaliła się w Norfolk. Miała złocistą twarz i smugę piegów na nosie i policzkach. Oczy wydawały się błękitne w jasnym słońcu, a kręcone włosy jak muśnięte złotem. Była piękna. Pragnął ścisnąć jej z ramion białą bluzkę, aby zobaczyć, gdzie brąz graniczy z białą skórą, poczuć zapach jej nasłonecznionego ciała.

Poszli na spacer do parku niedaleko jej domu. Spencer spał w wózku, ale właśnie się obudził. Przystanęli przy ławce i Elliot usiadł, a Cressida podniosła dziecko i podała mu je. Spencer miał na sobie białą czapkę od słońca, za dużą na jego maleńką, pokrytą meszkiem głowę, i Elliot podniósł ją do góry, żeby zobaczyć buzię synka. Wzrok Spencera natychmiast skupił się na jego twarzy.

Cressida podeszła i Elliot objął ją ramieniem. Siedzieli przez kilka minut w milczeniu. Elliot odchylił się na oparcie ławki i usiłował wyobrazić sobie, że to właśnie to, że ich troje pozostanie tak na zawsze. Wzruszeni przechodnie przyglądali się rodzinnej scenie. Te pary w średnim wieku zawsze będą wracać pamięcią do wspólnej przeszłości. Ale wiedział już, że z nimi będzie inaczej. Słońce paliło go w oczy, jakby pragnęło odsłonić wreszcie prawdę. W końcu cofnął ramię, żeby mogła zacząć mówić, żeby mogła powiedzieć mu to, co musiała. Spencer przeciągnął się i przymknął oczy. Elliot nie chciał odkładać go do wózka. Potrzebował go.

- Zamierzam wyjechać.

Elliot skoncentrował się na buzi dziecka. Zastygł bez ruchu, tylko serce waliło mu jak młotem. Mówiąc te słowa, Cressida poczuła się strasznie.

- Wyjeżdżam do college'u i zostawiam tu Spencera. Elliot nie był w stanie pochwycić sensu drugiej części zdania. Co miała na myśli?

Poczuł rodzącą się nadzieję.

- Mama będzie się nim w tym czasie opiekować. Potem, kiedy już wszystko sobie ułożę, zamieszka ze mną. Ale nie zabiorę go ze sobą na uczelnię. Będę do niego przyjeżdżać na weekendy, na święta i tak dalej, ale poza tym mam zamiar normalnie studiować.

Elliot nadal się nie odzywał.

- To pomysł mamy. Najpierw nie chciałam się zgodzić, ale kiedy dłużej o tym porozmawialiśmy, dałam się w końcu przekonać. Mama bierze roczny urlop z kancelarii, a potem damy go do żłobka. Niedaleko jej biura jest jeden naprawdę świetny. Mama wszystko załatwiła, zasiłek i resztę. Będzie dobrze. Kocham go bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczałam, że to możliwe, i będę okropnie tęsknić, ale w ten sposób zostanę potem lepszą matką, będziemy mieli lepsze życie. Nie mówię o pieniądzach, tylko o tym, że będę szczęśliwa i spełniona. Wiem, że dla ciebie to brzmi egoistycznie, ale to chyba dobra decyzja. Mam niesamowite szczęście, że mama chce dla mnie zrobić coś takiego. Elliot, powiedz coś, proszę.

- Ja się nie liczę, prawda? - zapytał głucho.

- Ależ liczysz się. - Cressida położyła mu dłoń na ramieniu. - Jesteś tatą Spencera. Mama wie o tym tak samo jak ja. Chce, żebyś go widywał i spędzał z nim czas. Będziesz mógł to robić o wiele częściej, niż gdybym go ze sobą zabrała, prawda? - Jej ton był proszący.

- Nie miałem na myśli Spencera. Chciałem powiedzieć, że nie figuruję w twoich planach. - Jak mogła zignorować jego intencje? Wiedziała, czego pragnął, na co miał nadzieję. Nie wolno jej tego pomijać.

Cressida zabrała rękę i westchnęła.

- Elliot, nie możemy być razem. Wydaje ci się, że tego chcesz, ale to nie wyjdzie.

- Skąd możesz wiedzieć? Nawet nie próbowałam.

- Tego nie można wypróbować. Musisz to czuć.

- Kochałam mnie.

- Oczywiście, że cię kochałam. Nie w czasie przeszłym. Teraz cię kocham. Wiem, że ty też mnie kochasz. Ale są różne rodzaje miłości. To nie ja powinnam o tym mówić, jesteś starszy ode mnie. Wiesz, o co mi chodzi. Kochasz wyobrażenie o mnie, a nie osobę.

Elliot odwrócił się do niej z gniewem.

- Nie mów tak. Nie kocham pojęcia. Kocham twój wygląd, zapach, głos i dotyk. Kocham to, jak pasujesz do mojej piersi, kiedy cię przytulam, i jak pociągasz za włosy nad czołem, kiedy myślisz. Kocham to, że nie umiesz zrobić nawet herbaty. To nie są wyobrażenia. To rzeczywistość.

Cressida potrząsnęła głową.

- Potrzebowałam mnie. Potrzeba to nie miłość. Musiałeś zobaczyć, że istnieje inne życie poza twoim związkiem z Clare. Potrzebowałam uczucia. Ja przyszedłam i dałam ci to wszystko.

- Może zamiast próbować mi wmówić, że cię nie kocham, powiesz, że ty mnie nie kochasz? Bo o to przecież chodzi. Gdyby to tylko ode mnie zależało, byłibyśmy razem. Pobralibyśmy się i stalibyśmy się rodziną, nasza trójka. Chodzi o to, czego ty chcesz i czego nie chcesz.

- No dobrze, nie chcę tego.

Nie zraniłaby go bardziej, gdyby dźgnęła go rozbitą butelką, leżącą na trawie obok ławki. Elliot zapragnął uciec. Ale przez cały czas trzymał Spencera. Potem znowu poczuł na sobie jej rękę, drobną i ciepłą.

- Nie chcę, żebyśmy zostali razem ze względu na niego. Nie chcę, żeby mój jedyny dorosły związek rozpoczął się z takiego powodu, wśród kłamstw, oszukiwania, i niszcząc przy okazji kogoś innego. Kocham cię. Jesteś ojcem mojego dziecka. To się nie zmieni, prawda? I chyba Spencer nie mógłby mieć lepszego ojca. Zawsze będziemy go mieli przy sobie. Ale to nie jest czas dla nas.

- Nie mów tak. Nie dawaj mi nadziei. Nie prosź, żebym na ciebie czekał.

- Wcale nie proszę. Mówię, że zawsze będziemy związani i że życie jest dziwne. To wszystko.

Elliot wstał, odłożył Spencera do wózka i przykrył. Obserwował go przez chwilę i położył mu delikatnie rękę na policzku. Potem odwrócił się.

Nie mógł dłużej dyskutować. Wiedział, że Cressida ma rację - jakkolwiek bardzo pragnął, aby było inaczej. Na niczym chyba nie zależało mu bardziej. Chociaż nie: równie gorąco pragnął, aby jego życie z Clare ułożyło się inaczej. Nagle poczuł dojmujący smutek. Nic nigdy mu się nie udawało, ani z Clare, ani z Cressidą. Poza Spencerem. Ale teraz nie był w stanie o nim myśleć. W ogóle nie był w stanie myśleć. Chciał uciec. Zrobił kilka kroków do tyłu.

- Elliot? - Cressida pochyliła się na ławce.

- Nie mogę zostać. Przepraszam. - Odwrócił się i zaczął biec. Biegł niezręcznie, zbyt szybko, aż znalazł się w dużej odległości. Wtedy oparł się ciężko o drzewo i osunął na trawę, zdyszany. Łzy popłynęły mu bezsilnie po policzkach. Młoda matka, spacerująca z córeczką i psem labradorem, podniosła rowerek małej i oddaliła się szybkim krokiem, trzymając mocno dziecko za rękę.

Wrzesień

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Którędy droga? Ian Pears, 2000*

Ta niezwykła powieść, osadzona w realiach Oksfordu drugiej połowy siedemnastego wieku, epoki fermentu intelektualnego, naukowego, religijnego i politycznego, skupia się wokół postaci młodej kobiety, Sarah Blundy, oskarżonej o zamordowanie Roberta Grove'a, członka kolegium New College. Okoliczności jego śmierci relacjonują cztery osoby: Marco da Cola, wenecki katolik, przypisujący sobie odkrycie metody przetaczania krwi; Jack Prescott, syn domniemanego zdrajcy rojalistów, zdecydowany pomścić swego ojca; John Wallis, główny kryptograf zarówno Cromwella, jak i Karola II, matematyk, teolog i zatwardziały intrygant; oraz Anthony Wood, słynny oksfordzki antykwariusz.

Każdy z nich przedstawia własną wersję wydarzeń, lecz tylko jeden odsłania zaskakującą prawdę. Wspaniale napisana, absolutnie przekonująca, porywająca od pierwszej do ostatniej strony powieść.

* I. Pears, *Którędy droga?*, przeł. Katarzyna Petecka-Jurek, Poznań 2000.

W tym miesiącu spotkanie klubu się nie odbyło. Któż dałby radę się skoncentrować? Zamiast tego pewnego sobotniego ranka spotkały się w kawiarni Starbucks. Zmęczone i wyblakłe, przypominały trochę rozbitków z Omaha Beach, zbierających siły po wylądowaniu.

- Witaj, babciu! - Harriet uściskała Polly. - Stęskniłyśmy się za tobą. Mam nadzieję, że przyniosłaś zdjęcia.

Polly skinęła głową.

- Obejrzysz je pod jednym warunkiem. Nigdy, ale to nigdy więcej nie nazwiesz mnie publicznie babcią.

- Dobrze, babuniu - dawaj je.

- U ciebie wszystko w porządku? - Polly wiedziała, że żadne słowa nie opiszą ostatnich przeżyć Harriet.

- Teraz tak. Dzięki. - Uściskały się ponownie. Pozostałe siadały przy stoliku, stawiając przed sobą parujące filiżanki.

Nicole przypuszczała, że żadna nie przeczytała książki. Jej wyboru. *Którędy droga?* Iana Pearsa.

Harriet kupiła ją dopiero na tydzień przed wypadkiem Josha. Ach, cudownie, pomyślała ironicznie. Wszystkie moje ulubione elementy: historia, religia, polityka, nauka, opisane przez mężczyznę, a wszystko to na zaledwie sześciuset dziewięćdziesięciu ośmiu stronach. Zastanawiała się, czy Nicole przypadkiem nie dokonała wyboru jej na złość, choć była to akurat książka w jej typie. Tego ranka, kiedy Josh spadł z

dachu, czytała ponownie pierwszy rozdział i odrzuciła tom w zniecierpliwieniu na kanapę, przekonana, że rozumiała jeszcze mniej niż za pierwszym razem. Nicole żartowała, że Harriet zaplanowała wypadek Josha tuż przed spotkaniem klubu, aby wymigać się od przeczytania czegoś, co jej się nie podobało. Teraz już mogły o tym żartować. Ogromna ulga sprawiała, że nagle wszystko wydawało się zabawne - spanie na materacu na podłodze na oddziale intensywnej terapii, okropne jedzenie w szpitalnej stołówce oraz niekończące się jednotematyczne konwersacje o drużynie Arsenal. Już raczej wolałaby biedzić się nad skomplikowaną intrygą i wielowarstwową narracją Iana Pearsa, niż czytać na głos *Harry'ego Pottera* chłopcu pogrążonemu w śpiączce, siląc się na tyle wyobraźni i entuzjazmu, ile tylko mogła z siebie wykrzesać. Wypadki te stały się kolejnym rozdziałem w legendzie rodziny Harriet, jej stałym repertuarem, opowiadanych przez kolejne lata w dokładnie ten sam sposób, jak wszystkie inne historyjki zaczynające się na przykład słowami: „Był słoneczny majowy ranek, kiedy uznałam, że jesteś gotowa, aby przyjść na świat”, „Dowiedzieliśmy się, że masz pierwszy ząb, dopiero kiedy ugryzłaś mnie przy karmieniu cię twaróżkiem” oraz „Pierwszego dnia w szkole powiedziałeś nauczycielowi, że chcesz być doktorem od dinozaurów”. Ta zaczynała się następująco: „Tego dnia, kiedy Josh spadł z dachu...”. Za każdym razem Harriet miała nadzieję, że pozostanie to najbardziej przerażającą opowieścią w ich życiu.

Zrelacjonowała wszystko ze szczegółami swoim przyjaciółkom. Nicole co jakiś czas wtrącała na przykład: „Kiedy przyjechałam, Josh leżał na ziemi, a inne dzieci stały w drzwiach, płacząc”. Teraz powiedziała:

- Tim był wspaniały.

- To prawda - Harriet wiedziała, że nie przeszłaby tego wszystkiego sama. Przejął odpowiedzialność od pierwszej chwili. Spokojnie, metodycznie i z wielką pewnością siebie, choć miał łzy w oczach na widok Josha, drobniutkiego w wielkim, białym łóżku. Codziennie rano przynosił jej kawę, mocną i pienistą, z kawiarenki obok szpitala, a nie wodnistą lurę ze stołówki, i ciastko z jabłkiem (pamiętał, że nie cierpi rodzynek). Przynosił jej ulubione plotkarskie pisma, których nie znosił, i nie zapominał, że musiała wytuszczać sobie rzęsy, żeby czuć się jak człowiek. Siedział przy Joshu, kiedy tylko mógł, rozmawiając z nim o tym, co robili w czasie wakacji, o tym, co będą robić, kiedy wyzdrowieje. Nie mógł zachować się lepiej. Jak zawsze.

- Był fantastyczny. Nie poradziłabym sobie bez niego.

Jej ton położył kres rozmowie o Joshu. Harriet nie chciała rozwodzić się dalej nad cudownością Tima. Nicole popatrzyła na nią ciekawie. Od czasu historii z Gavinem w Hiszpanii i od wypadku z coraz większym niedowierzaniem obserwowała mieszane uczucia przyjaciółki do męża. Im gorszy był Gavin, tym lepszy wydawał się Tim. Harriet sądziła, że o to chodzi. Czuła się trochę speszona. Ich małżeństwa ja-skrawo różniły się od siebie. Było to widoczne, nawet kiedy spotykały się trochę rzadziej, jak w czasie ostatnich kilku tygodni. Zwróciła się do Susan:

- Jak minął pogrzeb?

- Nie tak źle. Przyszło nawet sporo osób. Ulżyło mi, że mam to już za sobą. Muszę jeszcze uprządkować dom mamy, ale moja siostra Margaret pomoże mi przy tym.

Polly pociągnęła nosem. Spojrzały na nią.

- Margaret ma... powiedzmy, że ma problemy.

- Co masz na myśli? - zapytała Nicole.

- Śmierć mamy wpłynęła chyba na nią bardziej, niż przypuszczałam. Jest w okropnym stanie.

- I wyżywa się na tobie!

Polly kochała Susan za jej zdrowy rozsądek i delikatność, ale nie mogła pozwolić, aby przyjaciółka usprawiedliwiała skandaliczne zachowanie Margaret szokiem i żałobą. Co za bzdury! Jeśli o nią chodzi, Margaret była potworem i nie zasługiwała ze strony Susan na nic nawet zbliżonego do współczucia. Susan, która sama dźwigała ciężar opieki nad Alice.

Susan nie starała się dalej bronić siostry. Wykrzywiła się żałością.

- Tak, to prawda. A jednak domek mamy jest pełen papierzyśk, Bóg jeden wie jakich - mama wszystko chomikowała - i dwie dodatkowe ręce, nawet należące do kapryśnej i sarkastycznej siostry, są lepsze niż nic.

- Pomóc ci? - zapytała Harriet.

- Skądże! I tak jesteście wystarczająco zajęte. Nie, poradzimy sobie. Roger na pewno użyczy męskiego ramienia. Polly zaoferowała, że poświęci weekend na porządkowanie ubrań, prawda? - Polly skinęła głową.

- Nie ma sensu popadać w sentymentalizm. To tylko „rzeczy”. Sprzedamy to, co da się jeszcze sprzedać, resztę oddamy. Meble zabierze sprzątaczką. Najwięcej czasu wymaga przejrzanie papierów. Mama należała do osób, które przechowują rachunki sprzed trzydziestu lat. Chyba całe jej pokolenie jest takie. Może to ma jakiś związek z wojną. Ale trzeba przejrzeć wszystko, żeby przypadkiem niczego nie przeoczyć, prawda?

- Na przykład numeru konta w szwajcarskim banku - uśmiechnęła się Harriet.

- Chyba nic z tego. Myślałam raczej o ubezpieczeniach, listach, tym podobnych.

- To okropne, prawda? - Nicole przypominała sobie śmierć swojego ojca, który umarł kilka lat wcześniej. Pozostawił wszystko w idealnym porządku. W szufladzie po lewej stronie biurka znalazły teczkę z zielonym napisem: „Po mojej śmierci”. Pozostawił matce dokładny opis wszystkiego, co powinna zrobić, z praktycznego punktu widzenia. Wybrał nawet hymny do śpiewania na pogrzebie. Nicole nie zdziwiłaby się specjalnie, widząc narysowane schematy objaśniające, „jak wymienić korki”, „jak wymienić końcówkę odkurzacza”. Zapamiętała matkę, która siedziała w fotelu z otwartą teczką na kolanach, płacząc: „On mnie kochał”, jakby do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Okropne. - Susan wzruszyła ramionami. Nie chciała się nad tym zastanawiać. - Porozmawiajmy o czymś pogodniejszym, skoro i tak nie mówimy o książce. Nicole?

- Cóż... nie wiem, czy to specjalnie pogodna wiadomość. - westchnęła. Na razie nie powiedziała nikomu poza Harriet. Miała tremę. - Wyrzuciłam Gavina.

- Boże, tak mi przykro - Susan natychmiast pożałowała swojego pytania.

- Mnie nie. W każdym razie przez jakiś czas nie będzie mi przykro.

Susan zauważyła nagle, że Nicole była bardzo blada i zmęczona.

Harriet obserwowała przyjaciółkę z uwagą. Wiedziała, jak poważny był to krok. Im więcej osób się dowie, tym bardziej rzeczywiste wszystko staje się dla Nicole i tym mniej prawdopodobne, że przyjmie go z powrotem. Z każdym dzwonkiem telefonu Harriet obawiała się wiadomości, że Nicole zamierza dać mu jeszcze jedną, ostatnią szansę.

Susan i Polly przyglądały się Nicole z pełną współczucia ciekawością. Przez wiele miesięcy nie wspominała zbyt często o swoim mężu. Było oczywiste, że Harriet za nim nie przepada. Polly wydawało się, że Nicole nigdy nie miała ochoty mówić o nim zbyt otwarcie. Nie była także sentymentalna, przynajmniej w kwestii książek, raczej twarda. Ale to pewnie tylko pozory. Teraz wyglądała jak ktoś, kto spędza całe dnie na płaczu.

- Notorycznie mnie zdradzał. Trwało to przez cały okres naszego małżeństwa. Na wakacjach nakryłam go z inną kobietą. W łóżku. - Przerwała. Rewelacja zawisła w powietrzu, niepodważalna i oczywista.

Susan spojrzała na swoje dłonie. Mężczyźni czasami byli takimi świniami. Czego mu brakowało? Nicole była piękna, inteligentna, i była przecież matką jego dzieci.

- A to stało się ostatnią kroplą, która przepełniła czarę? - Polly właściwie nie zadała pytania. Jej małżeństwo przecież także się rozpadło.

- Tak.

- To już koniec, prawda? Nie będzie powrotu? Nicole powoli potrząsnęła głową i upiła kawę.

- Nie. Wszystko się zmieniło, wiesz? Nie chcę go ukarać ani sprawić, żeby się zmienił. Nie chcę już nigdy tego robić.

Polly przytaknęła.

- Tak samo było ze mną i Danem. O ile wiem, nie zdradzał mnie. Po prostu był bezużyteczny jako mąż. Walczyłam długie lata, starając się go zmienić. Aż pewnego ranka pomyślałam po obudzeniu: słuchaj, on się już nie zmieni, żeby nie wiem co. Kiedy wreszcie to widzisz, zaczynasz uważać cały czas, który spędziłaś z tą osobą, za stracony. Musisz to przerwać i żyć dalej. Chciałam po prostu spróbować czegoś innego, zanim będzie za późno.

Polly trafiła w samo sedno. Nicole uśmiechnęła się do niej.

- Jak długo byłaś sama, zanim spotkałaś Jacka?

- Dziesięć lat. Ale przecież nie byłam sama, miałam dzieci. A nawet okazjonalnych „przyjaciół”.

Susan roześmiała się.

- Jeśli cię to interesuje, mogę ci o nich opowiedzieć następnym razem, kiedy Polly nie będzie.

Polly szturchnęła ją żartobliwie.

- Niektórzy byli całkiem fajni. Jesteś zwyczajnie zazdrosna. Susan roześmiała się jeszcze serdeczniej.

- Jasne, okropnie zazdrosna! Zwłaszcza o tego - jak mu tam było? - z owłosioną szyją.

- Masz na myśli tego z owłosioną szyją i jachtem w Cowes?

Polly zaczęła chichotać.

- Szkoda, że nie widziałas jego brzucha.

- Ależ prawie widziałam. Nie wiem, czy pamiętasz, że nigdy nie zapinał guzików od koszuli. Przy nim Tom Jones wydawał się wcieleniem poprawności.

- Fuj!

- Bądź fair. To było dawno temu. Pewnie wtedy była taka moda.

- Nie było.

Kiedy już się wyśmiały, Polly oznajmiła:

- Cóż, skoro nie jesteśmy już klubem książkowym, a raczej konfesjonalem, ja też lepiej wyznam wam swoje sprawy.

Nicole i Harriet spojrzały na nią wyczekująco.

- Susan już wie, więc musi znieść wszystko jeszcze raz. Jack i ja chyba ze sobą zerwaliśmy. Możecie to nazwać obustronnym porozumieniem. Postanowiłam coś zrobić, a on sądzi, że nie da sobie z tym rady, więc poszliśmy każde swoją drogą. - Starła się, żeby zabrzmiało to lekko. - Mam nadzieję, że nie kupiliście jeszcze kapeluszy na wesele.

- Boże, co się z nami wszystkimi dzieje. - Nicole była zaskoczona. Polly wydawała się taka zakochana. W przypadku niektórych par po prostu chciało się wierzyć w ich miłość i wspólną przyszłość. Myślała, że tylko ona, no i Clare, nie były „pewniakami”. A tu nawet Harriet i Tim mieli problemy. Kiedy związki dookoła rozpadały się, kruszyła się jej wiara w szczęśliwe zakończenia.

- Co chcesz takiego zrobić? - zapytała Harriet.

- Postanowiłam, za zgodą Cressidy, zaopiekować się Spencerem, podczas gdy ona wyjedzie na studia. Biorę bezpłatny urlop na kilka miesięcy. Potem wrócę do kancelarii, a on pójdzie do żłobka. Znalazłam jeden bardzo dobry niedaleko pracy. Cressida będzie przyjeżdżać i spędzać z nim wakacje i tak dalej.

- O rany - Nicole była wstrząśnięta.

- Zrozumcie, ja takiej szansy nie miałam - ciągnęła Polly.

- Urodziłam ją bardzo młodo i za nic na świecie nie zrezygnowałabym z niej ani jej brata, ale wiem, że nie zrobiłam przez to wielu rzeczy. Cressida nie powinna powtarzać tego wzorca, ponieważ jestem przy niej i mogę pomóc.

- Jesteś niesamowita! - uznała Harriet.

- Wcale nie. Po prostu jestem matką.

- Chyba wszystkie jesteście niesamowite jako matki. - powiedziała Susan.

- To prawda. Za matki. - Polly wzniosła kubek. Inne dołączyły z uśmiechem.

Harriet rzuciła Nicole szybkie spojrzenie. Co teraz czuje? Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpłakać. Harriet odszukała jej dłoń pod stołem i ścisnęła z całej siły.

Nicole odwzajemniła uścisk. Musi nauczyć się wytrzymywać podobne rozmowy. Będzie najlepszą na świecie matką dla chłopców i Marthy. Nigdy jednak nie wynagrodzi tego dziecku, któremu nie pozwoliła się urodzić, i ta myśl zawsze będzie przysłańiała jej życie.

- I to popsulo wszystko między tobą a Jackiem?

- Tak. Nie chce być zastępczym ojcem, przynajmniej nie dla niemowlęcia. Nie mogę go winić. Kobieta z dorosłymi dziećmi to jedno. Ale babcia z niemowlęciem w domu? Dlaczego miałby się na to godzić?

Ponieważ mnie kocha, krzychało coś w niej.

- Musi ci być ciężko?

- Nie bardzo. Nie było awantury, nie pokłóciliśmy się. Po prostu oddaliliśmy się od siebie, jak to się mówi, od chwili, kiedy mu powiedziałam. Bez wielkich scen pożegnalnych.

Harriet rozpoczęła typową dla młodych matek wymianę informacji, przyrzekając nazwiska opiekunek, wymieniając znajome dzieci w żłobku, o którym wspominała. Polly nie powinna się dziwić, że wszystkie przyjęły jej wieści z takim spokojem, uznała Susan. W końcu wszystkie były matkami.

Inne etapy życiowe, inne problemy, ale miłość zawsze pozostaje taka sama. Gotowość do poświęceń także.

Polly

Polly odłożyła słuchawkę telefoniczną na widełki i oparła o nie czoło. Nie była pewna, czy zostało jej choć odrobinę siły. Naturalnie, zmęczenie wszystko wyolbrzymiało, ale poza tym była smutna, a nawet trochę zła, a to już nie miało nic wspólnego ze zmęczeniem.

Telefonował niezdecydowany Jack. Albo Jack, który podjął decyzję, ale nie potrafił przekonać serca, aby jej się podporządkowało. Albo Jack, który był kimś nieco innym, niż myślała, i wierzył, że może mieć ciastko (bezdietne, wolne od chaosu życia) i zjadać je, czyli ją, kiedy tylko zgłodnieje.

Myślała stereotypami i także za to była na siebie zła. Powiedział jej, czego chce - lub raczej czego nie chce. Ale dzwonił, starając się z nią spotkać, a ona nie była w stanie odmówić.

Po raz pierwszy widzieli się kilka tygodni po urodzeniu Spencera. Jack posłał Cressidzie przepiękne kwiaty, ale nie odezwał się do Polly, zawstydzonej z powodu wiadomości nagranej na sekretarce. Była jednak tak podekscytowana narodzinami dziecka i tak bardzo chciała mu o tym opowiedzieć. Potem zadzwonił ni stąd, ni zowąd, kiedy czuła się całkiem bezbronna (jak zawsze w jego przypadku), i zaprosił ją na drinka. Była wtedy idiotycznie pełna nadziei. Kupiła nawet nową sukienkę, choć było to tylko

wyjście do pubu, i dokładnie zaplanowała makijaż i fryzurę. Włożyła nowy komplet bielizny, uśmiechając się do siebie. „Ubranie z nadzieją na coś więcej”, jak nazwałaby to Harriet.

Było cudownie. Poszli do pubu, do którego kiedyś zaglądali bardzo często, siedzieli na swoim stałym miejscu i rozmawiali godzinami. O wszystkim, oprócz tego jednego. Zapytał o Spencera, ale niezbyt szczegółowo, a ona nie naciskała. Trzymali się za ręce.

Zapomniała już, jakie to podniecające. Miał duże, chłodne dłonie, przy których jej wydawały się takie drobne i kruche. Mógłby ją poprowadzić wszędzie, bez najmniejszego sprzeciwu.

W jego oczach widziała miłość. Dostrzegała, jak rozbłyskują w nich iskierki, kiedy mówiła coś w swoim stylu. Słuchał jej uważnie i śmiał się z jej dowcipów. Wspaniale i podniecająco było znaleźć się znów w jasnym promieniu jego uwagi.

Nie mogła uwierzyć, że wieczór dobiegł końca i znaleźli się na zewnątrz, stojąc przy swoich samochodach, skierowanych każdy w inną stronę. Czy to jakiś symbol? On zaraz wsiądzie do swojego auta i odjedzie do życia, jakie sobie wybrał, nie mówiąc nic, co chciała usłyszeć.

Ich uprzejme, przyjacielskie pożegnanie rozpoczęło się pocałunkiem w policzek, który przedłużał się w nieskończoność, aż w końcu ich nosy otarły się o siebie, a usta spotkały. Co ona najlepszego wyprawia? Gdyby na jej miejscu znalazła się Cressida, któraś z jej koleżanek albo bohaterka *EastEnders*, Polly krzyknęłaby, żeby nie była głupia. Na litość boską, miała czterdzieści parę lat i obcałowywała się z facetem przed pubem. Facetem, który jej nie pragnął. Cóż, przynajmniej to było najwyraźniej kompletną nieprawdą. Pocieszała się tą myślą, choć nie wystarczyło jej na zbyt długo. Facetem, który nie pragnął jej wystarczająco mocno. Jak narkoman, który przysięga, że już nigdy nie pójdzie do dilerki heroiny, albo alkoholik, przyrzekający, że ten drink to już ostatni, Polly obiecała sobie (a, co ważniejsze, także Susan), że już tego nie robi. Masochizm uczuciowy, jak nazywała to Susan. „Skoro wiesz, że cię to rani, nie rób tego”.

W następny piątek znowu się z nim spotkała. Siedząc przy restauracyjnym stoliku, Polly czuła na całej długości nogi dotyk jego łydki, a po zetknięciu z jego ramieniem wszystkie włoski na jej ciele stawały na baczność. Ciało głośno żądało czegoś, co miało kiedyś i co mu odebrano. Tak łatwo mogło pokonać sprzeciw rozumu.

Jack przyjechał po nią - Cressida, która siedziała w kuchni ze Spencerem, nie zauważyła go. Kiedy przywiózł ją z powrotem, całowali się w samochodzie, do chwili aż zaparowały szyby. Najbardziej na świecie pragnęła teraz zaprowadzić go do domu i do sypialni. Z pewnością zrobiłaby to, gdyby nie Cressida i Daniel. Nie wiedziała, czy ich obecność przynosi jej ulgę, czy frustrację. Co za idiotka, pomyślała.

Odepchnęła go, unieruchamiając mu ręce w łokciach, żeby utrzymać go na odległość.

- Jack, co my robimy?

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Potarł oczy, dotknął czoła koniuszkami palców, a potem lekko uderzył dłonią w środek kierownicy.

- Nie mam pojęcia, Poll.

- To nie ma sensu, prawda?

- Nie ma? - Nie pomagał jej zbyt.

- Moglibyśmy co prawda dalej tak się spotykać. To byłoby łatwe - powiedziała.

Niezwykle łatwe. Z nim czuła się tak pełna życia, że prawie było warto.

- Ale prosisz mnie, żebym była z tobą tak jak kiedyś, a potem wracała do swojego życia i została tam do kolejnego telefonu.

- O nic cię nie proszę, Polly.

- Ależ tak. Sam nawet tego nie widzisz. A poza tym, co z tego, nawet jeśli nie? O nic mnie nie prosisz, ponieważ wiesz, że nie masz prawa. Ja cię o nic nie proszę, ponieważ już raz to zrobiłam i mi odmówiłeś. Teraz boję się nawet do ciebie zadzwonić. Po co to wszystko? To przecież nie jest związek. Najwyżej miło spędzony wieczór. Seks zapewne także, choć wszystko inne nam nie wychodzi.

Jack wzdrygnął się i spuścił głowę. To nie było tak.

Polly zrozumiała, co myśli.

- Właśnie, że tak! Nie oszukuj się. W chwili kiedy mówisz: „Chcę z tobą być, ale na moich warunkach, i urywam się, kiedy tylko zaczną się kłopoty”, właśnie tak jest. A mnie się wydaje, że właśnie o to chodzi.

- Robisz ze mnie jakiegoś potwora.

- Wcale nie. - Poglądziła go po policzku. - Kocham cię. Kocham cię, pragnę i chciałam za ciebie wyjść. Nie mogę tego uczucia odciąć, tak jak zakręca się wodę w kranie. Chyba zawsze będę cię kochać. - Jack nakrył jej dłoń swoją. - Ale jestem zbyt doświadczona - trudno się dziwić - żeby nie widzieć, że w ten sposób tylko się unieszczęśliwiamy. Wiesz, że mam rację, prawda?

- Ja też cię kocham.

- Wiem o tym. Ale to nie wystarczy.

Jack roześmiał się gorzkim, głuchym śmiechem. Polly mówiła dalej. Kto tu kogo pocieszał?

- Czy pamiętasz, jak to było, kiedy byłeś na tyle młody i głupi, żeby myśleć, że to wystarczy? Zanim zdałeś sobie sprawę, że miłość to dopiero początek?

Skinął głową. Polly marzyła, aby rzucić mu się w ramiona i dać się przytulić. Pozwolić na wszystko. Nadludzki wysiłkiem opanowała się i otworzyła drzwi samochodu.

- Musimy przestać, Jack. Musisz dać mi spokój. W porządku?

Jack przytaknął w milczeniu, nie patrząc na nią. Nic nie było do powiedzenia. Polly zatrzasnęła drzwi i weszła do domu, nie oglądając się za siebie, choć nie usłyszała odgłosu zapalającego silnika.

W środku zamknęła drzwi na łańcuch i oparła się o nie ciężko.

Z kuchni wyszła Cressida z butelką w ręku. Z góry dobiegało żalosne kwilenie.

- Jak poszło?

- Potwornie.

Cressida popatrzyła na nią z troską.

- Co powiedział?

- On nic nie może powiedzieć, kochanie. To ja powinnam coś zrobić. Powinnam powiedzieć „nie”.

Właśnie przed chwilą to zrobiłam. Nie ma sensu, żebym się z nim spotykała. Tylko teraz czuję się jak przepuszczona przez wyżymaczkę.

- Tak mi przykro, mamó. - Cressida była przybita. - To wszystko moja wina.

- Nie wygłupiaj się. Jasne, że nie.

- Właśnie, że tak. Nie udawaj. Nic podobnego by się nie stało, gdybyś nie postanowiła zająć się Spencerem. Planowałybyś wesele, Jack zamieszkałby tutaj i byłibyście tak szczęśliwi, jak przedtem.

- Być może, kochanie, ale wyszłabym wtedy za faceta, który kocha mnie tylko na swoich warunkach, prawda? Takiego, który dałby nogę, gdyby wszystko nie układało się gładko. Lepiej, że odkryłam to przed ślubem, nie sądzisz? Uwierz mi, są miliony rzeczy, które mogą się popsuć w małżeństwie. - Uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że dzielnie. Nagle zapragnęła zostać sama. Cressida nie powinna widzieć jej łez.

Cressida nie wydawała się przekonana, ale w tej samej chwili Spencer wydał z siebie krótki, oburzony okrzyk. Cressida zawahała się, patrząc na schody i znowu na matkę.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Wracaj do swojego synka. Ucałuj go ode mnie.

- Masz na razie całusa od niego. - Cressida pocałowała ją w policzek i pobiegła na górę.

Nicole

Nicole zaplanowała wszystko bardzo rozważnie. Spotkanie powinno odbyć się w miejscu publicznym, żeby nie ugięła się w ostatniej chwili. Jej starannie opracowane przedstawienie musi mieć odpowiednio elegancką oprawę. Tylko wtedy ma szanse powodzenia.

Przypuszczała, że to sztuczne, małostkowe i próżne, lecz i tak z wielką uwagą wybrała swój „kostium”: czarny, obcisły, miękki. Sądząc po odbiciu w lustrze i reakcji Harriet, do której odwiozła dzieci, wyglądała pięknie. Ze spojrzeń mężczyzn, obracających się za nią, kiedy szła wzdłuż baru, zorientowała się, że wygląda seksownie.

Zawsze do tej pory starała się podjąć ten wysiłek - podobać się Gavinowi bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Chciała udowodnić, że małżeństwo, wspólne życie i macierzyństwo nie zmieniły niczego, że nadal jest tą samą dziewczyną, której zapragnął gwałtownie wiele lat temu w sali konferencyjnej. Dzisiaj chciała, aby miał ochotę palnąć sobie w łeb na myśl o tym, co utracił.

Nadal nie miała pojęcia, jak poważnie traktuje całą sprawę. Nigdy do tej pory nie wyrzuciła go z domu. Czasami była chłodna, nie odzywała się, wyprowadzała się do matki, wychodziła na długo, zostawiając dzieci pod opieką au pair. Jeszcze częściej była przygnębiona, wściekła, odwracała się od niego w nocy, lecz nigdy dotąd nie spakowała mu walizki. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby zrobiła

to za pierwszym razem, kiedy dał jej wystarczający powód. Teraz już za późno. Może jednak w ten sposób zobaczyłby, co ryzykuje.

Za pierwszym razem (pamiętała datę, imię, wszystkie szczegóły) zabrała bliźnięta do swojej matki do St Albans. Były jeszcze całkiem małe. Ogłosiła, że potrzebuje odpoczynku, choć matka nie należała do osób, które w nocy po cichutku zabierają płaczące dziecko do siebie. Była raczej zwolenniczką zatyczek do uszu i współczującego uśmiechu rano. Nicole pożałowała, że nie żyje jej ojciec. Z dwojga rodziców to on był zawsze ciepły i serdeczny. Nie wyjawiała powodu przyjazdu. Paradoksalnie, z poczucia lojalności wobec Gavina. Matka była wojowniczą, bezlitosną osobą, która nigdy by mu tego nie zapomniała i zatrąła swoją niechęcią rodzinne uroczystości raz na zawsze. Wtedy, kiedy zdarzyło się to dopiero raz, Nicole wierzyła, że ona i Gavin mają przed sobą wspólną przyszłość. Otumaniona zmęczeniem i nieszczęściem, łatwo uwierzyła, że to ona ponosi winę. Po cesarskim cięciu długo nie mogła dojść do siebie i przez wiele miesięcy nie miała ochoty na seks. Była na to zbyt zmęczona i nie umiała oddzielić Nicole-kochanki od Nicole-matki. Poza tym martwiła się, że wygląda i przeżywa inaczej. Oczywiście zawsze pozwalała mu na zbliżenie - nie pamiętała, aby choć raz go odepchnęła - ale nie inicjowała niczego sama i nie było jej przyjemnie. Była świadoma, że to zauważał i nie był zadowolony. Boże! Co za kretyńka.

W myślach wybaczyła mu, jeszcze zanim dojechała na miejsce - starała się go wytłumaczyć, oskarżała się, tęskniła za nim. U matki zmuszała się do wesołości i uśmiechała się serdecznie do nieustającego pochodłu sąsiadów i znajomych, napływających do domu, aby podziwiać chłopców. Wieczorami płakała przed zaśnięciem w kwiecistym łóżku gościnnego pokoju.

Matka rzuciła okiem na prezent, który Gavin dał Nicole po porodzie (diamentowe kolczyki w pudełeczku od Tiffany'ego schowane w bukietcie dwóch tuzinów róż - tuzin za każdego syna, mrugnął do położnej), i po raz tysięczny powiedziała córce, jakie ma szczęście. W końcu Nicole sama w to uwierzyła. Po dwóch dniach odjechała do domu, obiecując sobie, że będzie lepszą żoną. W następnych dniach, kiedy kończyła się zajmować którymś z bliźniąt, rzucała się na śpiącego Gavina i kochała się z nim głośno i namiętnie. Tak mniej więcej wyglądało ich życie od tamtej pory.

Dzięki Harriet mogła na nie spojrzeć innymi oczami. Harriet nie uważała, że Nicole spotkało wielkie szczęście. Nie lubiła Gavina i nie robiła z tego tajemnicy. Przyjaźń z Harriet dała Nicole niezwykłą wolność - nareszcie nie musiała niczego udawać. Nawet jeśli Harriet sądziła, że postępuje jak wariatka, i tak była po jej stronie. Zachowywała się cudownie od chwili, kiedy przyjechała na lotnisko, tego straszego dnia po zejściu z Phil Brooks. Nicole poczekała, aż zmęczone podróżą dzieci zasną, a potem powiedziała:

- Nie zniosę tego dłużej. To koniec.

Harriet podała jej paczkę chusteczek higienicznych ze słowami:

- Nie martw się. Poradzimy sobie.

Harriet pojechała do kliniki, chociaż nie popierała jej decyzji, i dała jej odczuć, że rozumie. Nicole w pełni to doceniała. Harriet pomogła jej skupić się na myśleniu o przyszłości bez Gavina. Może bez

przyjaciółki znalazłaby siłę, żeby odejść na dobre, lecz jej obecność sprawiła, że było to po stokroć łatwiejsze. Pomogły także spotkania klubu. Kobiety umiały słuchać inaczej niż mężczyźni i w lot chwyciły ukryte znaczenia, których nawet nie musiała wypowiadać na głos. Jeszcze przed rokiem taka zażyłość by ją odstraszyła - umiała się na nią zdobyć wyłącznie z Harriet - teraz jednak znajdowała w niej pociechę i wsparcie. Wszystkie zareagowały wspaniale na wieść, że chce pójść do pracy. Polly zatelefonowała wieczorem przed rozmową kwalifikacyjną, a Susan po południu następnego dnia, żeby zapytać, jak jej poszło. Nicole wydawało się, że opatula ją miękkim kokon kobiecości. Było to nowym i cudownym uczuciem. Nagle zdała sobie sprawę, że wcześniej zawsze przebywała w towarzystwie mężczyzn. Z okresu szkoły czy studiów nie pozostała jej ani jedna przyjaciółka, poza żonami kolegów. Porządkując ostatnio pudła na poddaszu, w ramach pozbywania się ostatnich śladów po Gavinie, znalazła trzy czy cztery długie, wąskie fotografie, zrolowane w kartonowych tubach. Zniosła je na dół i wzięła ze sobą do sypialni, razem ze szklaneczką whisky. Pamiętała, że była kiedyś popularna. Przypomniała sobie, jaka była szczupła i ładna, jaka ożywiona i wesoła, ale zawsze znajdowała się między mężczyznami.

Trudniej było jej przywołać imiona dziewcząt. Teraz na zdjęciach odnajdywała twarze osób, które mogłyby zostać jej przyjaciółkami. Śmiała się i żartowała, tańczyła i piła razem z nimi, a potem odchodziła gdzie indziej, nie ceniąc tego, co wniosłyby w jej życie poza szkołą i college'em. Teraz wokół siebie dostrzegała kobiety, które stały się dla niej ważne. Dzięki nim czuła się silniejsza.

A oto i on, mężczyzna, którego tak bardzo kochała przez tak długi czas. Szedł w jej stronę, ze swymi pięknymi rękami i żywymi oczami, w nienagannym czarnym garniturze, przy którym jedyną plamę koloru stanowił turkusowo-kobaltowy krawat od Duchampa. Czy to dla niej ubrał się z taką starannością? Pochylił się, aby ją pocałować, obejmując dłonią tył jej głowy. Odsunęła się tak, że jego wargi natrafiły na policzek, i musiał wycofać rękę.

- Wyglądasz oszałamiająco.

O Boże. Czy rzeczywiście zawsze była frajerką, której do szczęścia wystarczyło kilka komplementów? Ujrzała obok siebie Harriet, wywracającą oczami i szepczącą melodramatycznie: „Tak!”. Właśnie tak! Uśmiechnęła się do niej.

- Co cię rozbawiło?

- Nic takiego.

- Czy chcesz przesiąść się do boksu?

- Nie, dziękuję, tu jest dobrze.

Gavin zajął sąsiedni stółek. Skinął władczy gestem na kelnera i zamówił piwo dla siebie, a dzin z tonikiem dla niej.

- Dziękuję za dzin.

- Nie pijesz?

- Przyjechałam samochodem.

Z Gavina powoli uchodziło powietrze. Najwidoczniej Nicole nie miała zamiaru poddać się od razu. Wypił długi łyk piwa.

- Gavin, nie chcę cię z powrotem. - Podniosła rękę, kiedy chciał coś powiedzieć. - Pozwól mi skończyć.

Zamilkł, wznosząc rękę w komicznym geście kapitulacji.

- Musisz zrozumieć dlaczego. I musisz pojąć, że mówię to bardzo poważnie. To nie dlatego, że przespałeś się z tą kobietą w Hiszpanii. To nie kara. Po prostu nie chcę być dłużej twoją żoną. To wszystko. Skończyło się.

- Nadal mnie kochasz. - W zetknięciu z taką arogancją miała ochotę go uderzyć.

- Mam zamiar przestać.

- Ale jednak mnie kochasz.

- Gavin, kochałam cię bardzo długo. Wiele lat żyłam w przeświadczeniu, że spotkało mnie ogromne szczęście. Nie myślę tak już. Nie zasługujesz na moją miłość i dlatego mam zamiar ci ją odebrać. Moje uczucia to wyłącznie moja sprawa. Uwierź mi, ten proces już się rozpoczął.

- To nie twoje słowa. Ty tak nie mówisz. To Harriet albo jedna z tych kobiet, z którymi się ostatnio spotykasz. To czyjeś słowa.

- Bynajmniej. Jeśli nawet teraz w to nie wierzysz, w końcu się przekonasz. To ja, ale nie ta sama osoba, którą oczarowałeś. Osoba, która nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się, co się dzieje, sparaliżowana dumą i strachem. To osoba, którą byłam, zanim cię poznałam, i którą mam zamiar znowu się stać.

Wreszcie stracił trochę pewności siebie. Upił łyk piwa i odezwał się miękko, łagodnym głosem:

- Jesteśmy rodziną. Ja, ty, dzieci.

Dzięki Bogu. Teraz nareszcie mogła się rozgniewać.

- Jak śmiesz używać dzieci do swoich celów? Nie myślałeś o nich, pieprząc tamtą babę. Nigdy nie były dla ciebie ważne. A ja już na pewno nie. Ani przez sekundę nie uwierzę, że myślałeś o dzieciach, kiedy umawiałeś się z kobietami na prawo i lewo. Zawsze myślałeś tylko o sobie. Więc nie waż się tykać moich dzieci.

- Ja je kocham.

- Tak, wiem. Kochasz je w jakiś dziwny, egocentryczny sposób, kompletnie bez zainteresowania, ponieważ poprawiają twój wizerunek. Powiedz mi coś. Którego misia Martha lubi najbardziej? Jakiego koloru jest jej kostium baletowy? Kto jest jej najlepszą przyjaciółką? Kim są jej koleżanki, poza Chloe? Jaki przedmiot w szkole William lubi najbardziej? W jakiej drużynie George gra w piłkę?

Gavin miał twarz bez wyrazu.

- Nie wiesz, prawda? - Nie odpowiadał. - Więc nie mów mi, że nie mogę tego zrobić ze względu na dzieci. - Wypełniała ją wściekłość. Czuła się, jakby wyrzucała z siebie słowa wśród fal mdłości.

- Nie miałaś nawet pojęcia, że było następne dziecko, prawda?

Aż do tej chwili nie wiedziała, że zamierza mu o tym powiedzieć. Nagle zapragnęła go zranić - tak bardzo, jak on ją. Świadomość, że może to zrobić, przeraziła ją. Prawie ucieszyła się na widok jego konsternacji. Gavin, zawsze na szczycie, zawsze u władzy.

- Co masz na myśli, następne dziecko?

- Byłam w ciąży. Wtedy, kiedy pieprzyłeś się z inną w naszym łóżku.

- Nie rozumiem. - Nadal rozmawiali po cichu. - Co chcesz mi powiedzieć?

- W ciąży. Z tobą. Zaszłam w ciążę w Wenecji. Byłam głupia, wydawało mi się, że kolejne dziecko uczyni cię wiernym. Jak dalece można stracić rozum? Chciałam ci o tym powiedzieć na wakacjach.

- Co, jak... - Mówił teraz z trudem, poblady. - Ale nie jesteś...?

- Już nie. - Nicole spuściła wzrok i spojrzała na swoje dłonie. Odwaga, którą czuła przez cały czas, znikła. Opuściła ją, kiedy tylko przypomniała sobie o dziecku. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Gavin potrząsnął głową, pogrążony w myślach. Doszedł do własnych wniosków. Musiała stracić dziecko. Z powodu szoku, kiedy zobaczyła go z tamtą kobietą. Przez niego poroniła: to była jego wina. Strata tego, o czym nawet nie wiedział, odbiła się na jego twarzy, która skurczyła się w nieudawanym smutku.

- Straciłaś dziecko. Tak mi okropnie przykro.

Nicole nie zaprzeczyła. Później nie wiedziała już, czy nie zrobiła tego, bo Gavin po raz pierwszy w życiu szczerze za coś przeprosił, czy bała się jego reakcji na prawdę. Może po prostu nie umiała tego wymówić na głos.

Może nie zasłużył sobie. Nicole nie opowie o tym nawet Harriet, choć była pewna jej reakcji. Harriet odparłaby, że Gavin jest odpowiedzialny za stratę dziecka tak czy owak. Nie potrzebowała takiego ukojenia. Jak Briony z powieści musi odpokutować za oba te grzechy, w milczeniu, na wieki. Może to wystarczy.

Harriet

Josh grał na komputerze i Harriet przyglądała się z podziwem jego umiejętnościom. W wieku siedmiu lat potrafił robić rzeczy całkowicie niezrozumiałe dla swojej matki. Tak samo Chloe, która miała dopiero cztery lata. Oto efekty prywatnej edukacji. Ludzie płacą tysiące funtów po to, aby w wieku ośmiu lat dzieci uważały ich za idiotów. Znajomość obsługi komputera u Harriet ograniczała się do włączenia go i otworzenia poczty elektronicznej, którą uwielbiała. Mogła plotkować po całych nocach bez przeszkód. Kiedy występował jakikolwiek problem, zaczynała walić w biurko, naciskać wszystkie guziki po kolei i wzywać na pomoc Tima.

- Josh - wyłącz na razie komputer. Jemy śniadanie. - Zero reakcji.

Kilka tygodni wcześniej wrzasnęłyby na niego. Przed wyjściem do szkoły wszystkie matki zachowywały się jak rozwrzeszczane przekupki. Nawet najłagodniejsze istoty o anielskiej cierpliwości, prawie nieotwierające ust na szkolnych spotkaniach, co rano między siódmą a piętnaście po ósmej

zamieniały się w rozszalały tajfun. Od czasu wypadku jednak Harriet nie umiała gniewać się na Josha. Pozwalała dzieciom na tak wiele, że oboje z Chloe co rano praktycznie rządzą w domu. Codziennie w tym tygodniu spóźniali się do szkoły.

Dzisiaj także Tim był spóźniony. Dodatkowy kłopot. Normalnie wychodził z domu na długo, zanim dzieci się obudziły, lecz tym razem jeszcze kursował po schodach w dół i w górę. On także bardzo to przeżywał. Od wypadku ich życie wyglądało inaczej. Trochę jak w Biblii - przed i po Chrystusie. Harriet doszła do wniosku, że rodzice, którzy nigdy nie siedzieli przy łóżku na oddziale nagłych wypadków, mają klapki na oczach. Uważają zdrowie i bezpieczeństwo swojego potomstwa za coś oczywistego. Myśli, które przebiegały jej przez głowę, kiedy tkwiła tam, usiłując zabić czas, były histeryczne, złe, głupie, a nawet zabawne. Czemu właśnie moje dziecko, a nie to inne, nie tak mądre, miłe, kochane czy uważne? Były także chaotyczne, praktyczne myśli o sypialniach i samochodach, wakacjach i następnym weekendzie, o wszystkich następstwach życia bez niego. Chwila, w której Josh się obudził, otworzył oczy i rozpoznał ją, była najpiękniejsza w jej życiu, lecz nic nie wyglądało już tak jak dawniej. Cień jego śmiertelności przesłonił jej świat, a z nim świadomość, że śmierć synka zniszczyłaby ją, Tima, a zapewne i Chloe. To wrażenie nie minie już nigdy. Z nikim nie rozmawiała o tym uczuciu, o obecności czegoś, czego nie było przedtem. Nie mogła tego opowiedzieć nawet Nicole, nie był to odpowiedni moment. Nicole miała teraz swoje własne upiory. Nie chciała rozmawiać z Timem. Łatwo było nie poruszać tego tematu. Ludzie chętnie słuchali historii o wypadku Josha i gratulowali powrotu do zdrowia, ale woleliby nie wiedzieć o tym cieniu. Ci, którzy przez to przeszli, i tak wiedzieli. Inni nie zrozumieliby.

Jednocześnie w zmęczonym mózgu Harriet kołatała się myśl, że rozluźniła reżim, co było naczelnym grzechem rodzicielstwa. Przez ostatnie tygodnie, spoglądając na Josha i Chloe, czuła tylko przyływ wszechogarniającej, bezradnej miłości. Niedługo trzeba coś na to poradzić.

Znowu się spóźniła. Co gorsza Josh zapomniał butów do piłki nożnej, a Chloe pracy domowej. Podwójna porażka. Chloe pojękiwała, Josh pomstował wściekle. Harriet musiała obiecać, że wróci jak najszybciej do szkoły z powyższymi przedmiotami. Dzieci w wojowniczym nastroju powlokły się każde do swojej klasy.

Matki na parkingu wydały z siebie zbiorowe westchnienie ulgi. Naturalnie poza tymi, którym pozostało jeszcze jedno dziecko, na ręku lub w wózku, do zabrania z powrotem. Pozostałe wyruszyły w kierunku domów, kawy i gazet, albo biur, oficjalnych kostiumów, dorosłych rozmów i automatów z chłodzoną wodą. Szły lekkim krokiem, wyzwolone od toreb z przyborami sportowymi, pudełek na kanapki, czapek i rękawiczek oraz niekończących się pytań.

Po powrocie do domu okazało się, że Tim nadal tam jest. Do licha.

Miała swoje własne plany, które obejmowały między innymi pójście do łóżka na kilka godzin. Czasami fundowała sobie taki relaks, ale potem musiała to odpracować forsownymi ćwiczeniami na siłowni.

Tim już od kilku dni dziwnie się zachowywał. Potrzebowała go w szpitalu i w ciągu kilku dni po powrocie Josha do domu. To ich do siebie zbliżyło - nikt przecież nie kocha dziecka bardziej niż matka i ojciec. Kiedy to dziecko leżało chore, więź między nimi była mocna jak lina okrętowa. Wszystko jednak wróciło do normy, kiedy tylko Josh poczuł się lepiej. Wypadek nie zmienił tak naprawdę niczego. To pewnie głupie, mieć nadzieję, że będzie inaczej.

Tim siedział przy kuchennym stole, w pełni ubrany. Telewizor, który Harriet włączała co rano, słuchając informacji o pogodzie i ciśnieniu, milczał.

- Co robisz? Myślałam, że wyszedłeś.

- Wyjdę za kilka minut. Pojadę o dziewiątej pięćdziesiąt dwie. - Tim zawsze miał w głowie dokładny rozkład pociągów. Nigdy nie mówił „za dziesięć dziesiąta”. Twierdził, że dla niewolników linii południowo-zachodniej liczy się każda minuta.

- Co się dzieje? - Harriet usiadła na krześle naprzeciwko.

- Muszę pobyć sam. Mam zamiar trochę pomieszkać w klubie. - Obserwował ją w napięciu.

- Jak długo? Co masz na myśli?

- Nie wiem. Po prostu coś musi się zmienić. Tego się nie spodziewała. Poczula lekkie mdłości.

- Nie rozumiem.

- Wiem. I o to właśnie chodzi. - Mówił niskim, smutnym głosem.

Harriet odezwała się głośniejszym głosem, przestraszona:

- To spraw, żebym zrozumiała. Powiedz mi, o co chodzi. Nie możesz po prostu oznajmić mi, że odchodzisz, bez słowa wyjaśnienia.

Tim najwyraźniej zastanawiał się, jak powiedzieć jej coś naprawdę ważnego. Drżał lekko. Harriet poczuła nieznane chłodne ukłucie lęku.

- Masz kogoś? Zostawiasz mnie dla innej kobiety? - Kiedy nie zaprzeczył od razu, prawie wrzasnęła: - Masz czy nie?

Tim wyciągnął do niej rękę.

- Nie. Nie mam. Odkąd cię poznałem, nigdy nie myślałem o nikim innym. Jesteś jedyną kobietą, którą naprawdę kocham. To moje przekleństwo. Chyba wierzyłem, że w końcu pokochasz mnie tak, jak ja ciebie. A może sądziłem, że nie ma to większego znaczenia. Ale teraz okazuje się, że to ma znaczenie. Nie układało się między nami całe wieki, dłużej niż chciałbym to przyznać. Nie kochasz mnie tak, jak tego potrzebuję. Jak na to zasługuję, do licha. Wiem, że na początku roku coś się działo. Nie wiem co ani z kim - i wcale nie chcę wiedzieć. - Na myśl o tym aż zzieleniał. - Ale zauważyłem, że byłaś wtedy inna. Ożywiona. Ktoś inny tak na ciebie wpłynął. Całe tygodnie i miesiące wstrzymywałem oddech, modląc się, żebyś mnie nie opuściła. Kiedy tego nie zrobiłaś, uznałem, że wszystko się jeszcze ułoży. Wierzyłem, że zostajesz ze mną z wyboru. To wydawało się dobrym początkiem. Ale nic się nie zmieniło. Czuję, że nie chcesz, żebym tu był. Jakbym był irytującym dodatkiem, kłopotem. Jeśli mam być szczery, nigdy nie czułem, żebyś mnie kochała.

Kiedy Josh miał wypadek i tak bardzo mnie potrzebowałaś, myślałam, że może wtedy zaczniesz rozumieć. Ale nie. Wiem, że nie mogę cię do tego zmusić. I nie mogę czekać następne dziesięć lat na chwilę, kiedy mnie zostawisz. Wiem, że jakoś tam mnie kochasz, po prostu nie jesteś we mnie zakochana. I dlatego w twoim sercu jest puste miejsce, które wcześniej czy później wypełni ktoś inny, i wtedy odejdziesz. Nie mogę codziennie, przez całe życie wstrzymywać oddechu w oczekiwaniu na tę chwilę. Już raczej wolę rozstać się z tobą teraz, żeby mieć to za sobą. Harry, jestem między młotem a kowadłem. Nie chcę dłużej tak żyć. Strasznie się z tym czuję i nie umiem wyobrazić sobie życia bez ciebie. Jestem straszliwie roztrzęsiony. Jakbym tonął. Dlatego muszę odejść. Potrzebuję przestrzeni. Przy tobie nie potrafię jasno myśleć - nigdy nie potrafiłem.

Mówiąc to wszystko, Tim nie patrzył jej w oczy. Nie widział wyrazu jej twarzy. Marzył, żeby wstała od stołu i podeszła do niego. Bardziej niż czegokolwiek pragnął poczuć jej ramiona, usłyszeć głos mówiący, że jest idiotą, że jest w nim zakochana, że świat bez niego byłby nie do zniesienia.

Pod wpływem szoku Harriet nie mogła wykrztusić ani słowa. Aż tak cierpiał, a ona była tego kompletnie nieświadoma? Siedziała jak sparaliżowana. Nienawidziła samej siebie.

Tim przesunął w jej stronę skrawek papieru. Był na nim zanotowany adres i numer telefonu.

- Tu mnie znajdziesz, w razie potrzeby. Powiedz dzieciom, że je kocham. Nie mów im, że... - Nie mógł dokończyć. To ona musi zdecydować, co im powiedzieć. Nie wiedział, jak rozumieć jej milczenie. Pragnął już odejść. Przechodząc obok krzesła, musnął czubek jej głowy.

Kiedy znalazł się przy drzwiach, Harriet wymówiła jego imię, tylko raz i po cichu. Nie usłyszał.

Wsiadając do samochodu, przeświadczony, że nic nie powiedziała, bał się, że to milczenie jest najbardziej wymowną odpowiedzią Harriet.

Susan

Susan zdziwiła się, że Margaret nie chce pójść z nią do notariusza. Sądziła, że siostra jej nie ufa. Kiedy do niej zadzwoniła, Margaret powiedziała, że nie jest w stanie tego znieść, ale mogą spotkać się potem, na przykład na kawę.

Roger oświadczył, że pójdzie z nią na to spotkanie. Od pogrzebu był wobec niej bardzo opiekuńczy, szczególnie jeśli sprawa dotyczyła Margaret. Polly poradziła, aby wybrała neutralne, publiczne miejsce, aby mieć pewność, że Margaret zachowa się właściwie. Susan wiedziała, co oboje o niej myślą. Uważają, że zwariowała, traktując dobrze swoją siostrę po wszystkim, co zaszło. Susan jednak nie mogła jej skreślić.

Przede wszystkim zwyciężyła ciekawość. Alice nie żyła, a między nimi nie istniała żadna więź. Bała się, że siostra wróci do Australii i nigdy już się nie zobaczą. To było dla niej ważne. Susan miała szczęśliwą rodzinę, ale nie chciała zrywać dawnych więzów.

Teraz milcząca, wychudzona Margaret siedziała na kanapie z kubkiem herbaty.

- Chciałam ci powiedzieć, że... przepraszam za to, co wydarzyło się na pogrzebie.

- W porządku. To zawsze bywa trudne.

- Wcale nie. Nie miałam prawa.
- To nie było łatwe dla żadnej z nas.
- Nie. Ale dla ciebie przede wszystkim. Nie powinnam była się na tobie wyżywać.
- Zapomnij o tym. Już wszystko dobrze, Maggie.

Siostra wyglądała żałośnie i nieszczęśliwie. Susan poczuła się poruszona. W jej dotychczasowym przekonaniu ludzie nieszczęśliwi sami byli przyczyną swoich kłopotów. Szczęśliwi byli zbyt zajęci swoim życiem.

Margaret najwyraźniej nie miała pojęcia, jak podjąć rozmowę, kiedy przeprosiny zostały przyjęte. Jakie to dziwne, że wychowałyśmy się razem, pomyślała Susan, wyszłyśmy z tego samego łona i żyłyśmy latami w tym samym domu. Teraz nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Kiedy wracasz do Australii?
- Jeszcze nie wiem. To otwarty bilet. Nie mam się tak znowu do czego spieszyć.
- Myślałam, że masz pracę i przyjaciółkę - Lindy, tak?

- Rzuciłam pracę, kiedy dowiedziałam się o mamie. To zresztą nie była dobra praca, bez przyszłości. Wymówiłam mieszkanie - wynajmowałam je. Lindy jest wspaniałą koleżanką. Zostawałam u niej część moich rzeczy. Zatrzymam się tam, jak wrócę, żeby się zastanowić, co dalej. Ale ona ma własną rodzinę - pięcioro dzieci.

- Całkiem sporo.
- Tak.

- Chyba nie tęsknisz za bardzo? - Susan zadała to pytanie lekkim tonem. Bała się, że Margaret ucieknie, jeśli zacznie za bardzo naciskać.

Siostra odpowiedziała, nie patrząc jej w oczy. Przyglądała się swoim dłoniom zaciśniętym na podolku, odwracając je od czasu do czasu.

- Bardzo dziwnie było tu przyjechać. Nie spodziewałam się, że poczuję się jak w domu. I słusznie. Z trudem przychodziło jej wyrazić swoje uczucia. Najwidoczniej nieczęsto jej się to zdarzało.

- Czuję się wykorzeniona. Jakbym nie należała ani tu, ani tam. - Odnalazła właściwy wątek i pochyliła się do przodu. W odpowiedzi na milczące pytanie Susan wyjaśniła: - Jestem kobietą w średnim wieku, i nic nie mam. Rodzice nie żyją - oboje umarli daleko ode mnie, nie rozumiejąc mnie tak naprawdę. Schrząniłam relacje z siostrą i jej rodziną, rozwaliłam swoje małżeństwo. Nie mam dzieci ani dobrej pracy. Nie mam nawet własnego domu, ani, do diabła, swojego kraju.

- Mama i tata cię kochali.

- To łatwe, prawda? Ja także ich kochałam. Ale chciałam, żeby mnie rozumieli, lubili. Miłość matki do dziecka jest bezwarunkowa i odruchowa. Na sympatię trzeba sobie zasłużyć.

- Tłumaczyli sobie, że będziesz szczęśliwsza w Australii.

- Ja także - roześmiała się Margaret. - Dwanaście tysięcy mil wydawało się wystarczającą odległością. Niestety, zabrałam ze sobą samą siebie.

Teraz roześmiała się także Susan.

- Czemu tak się dręczysz?

- Bo jestem beznadziejna, Suze.

- Nie bądź głupia.

- Nie jestem głupia, tylko cierpię na tę samą przypadłość co Midas. Wszystko, czego dotknę, zamienia się w gówno.

- A co stało się z Gregiem - jeśli mogę zapytać?

- Proszę bardzo. Chyba go wykorzystałam jako bilet do Australii.

- To nieprawda. Kochałaś go. Pamiętam. Po raz pierwszy widziałam cię taką z jakimś mężczyzną.

- Naprawdę? - Margaret wydawała się zdziwiona. - Cóż, być może. On chyba mnie nie kochał. W każdym razie przestał, kiedy już się tam znalazłam i zobaczył mnie na tle swojego życia.

- Nie byliście w ogóle szczęśliwi?

- Jasne, na początku to było proste. Mieliśmy dom. Pamiętam dzień, w którym się wprowadziliśmy. Kochaliśmy się w każdym pomieszczeniu.

- Jednego dnia? Margaret zachichotała.

- Nie był bardzo duży. - Popatrzyła w przestrzeń, wspominając. - Ale szybko wszystko się popsuło. Tęskniłam za domem - wyobrażasz sobie? Poza tym nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy, i nie mogłam znaleźć przyzwoitej pracy. Potem zaszłam w ciążę, choć byliśmy bardzo ostrożni.

- Miałaś dziecko? - Susan nie wierzyła własnym uszom.

- Nie, poroniłam. Wcześniej, nic takiego się nie stało.

- Przykro mi.

- Suze, to było tak dawno temu.

- Mimo wszystko.

- Cóż, w każdym razie Greg, który wściekł się na początku, kompletnie zwariował, kiedy poroniłam. Rozpaczliwie chciał, żebyśmy spróbowali znowu. W pewnym sensie znenawidził mnie, że nie przejęłam się tak bardzo jak on. Mówił, że jestem egoistką.

- Co takiego?

- Może byłam. Po prostu uważałam, że nie powinniśmy się spieszyć. Chciałam mieć dzieci, ale także trochę czasu dla siebie po tym pierwszym razie.

- To całkiem zrozumiałe.

- No tak. Greg uważał, że zrozumiałe jest szukanie pocieszenia w ramionach recepcjonistki z jego biura.

- Och, Maggie.

- To trwało jakieś dwa lata, zanim się domyśliłam. Dasz wiarę?

- Chyba tak. Jeśli ignorowałaś sygnały. Jak się w końcu dowiedziałaś?

- Przyłapałam ich razem.

- O matko.

- Nie, nic z tych rzeczy. Nie w łóżku, ani nic podobnego. Pewnego dnia poszłam do niego do pracy - nie pamiętam już, po co. Byli tam. Nie całowali się, ale od razu poznałam, wiesz? Może stali za blisko siebie. Nie wiem. Tego wieczoru w domu spytałam go o to, i przyznał się. Nie przeprosił mnie. Ucieszył się, że sama odkryłam, bo trzymanie tego w tajemnicy było dla niego bardzo trudne.

- Co zrobiłaś?

- Powiedziałam, że też się cieszę, skoro mu wreszcie ulżyło, uderzyłam go w twarz i wyszłam. Zostawiłam dom, ulicę, Melbourne.

- Byłaś bardzo dzielna.

- Myślisz? A ja sądzę, że to było strasznie głupie. Zostawiłam mu dom z prawie wszystkim w środku i recepcjonistkę, a sobie dosłownie nic.

- To wtedy przeniosłaś się do Sydney?

Margaret skinęła głową. Susan pamiętała tę chwilę. Nie wiedziała tylko, że siostra przeprowadziła się bez Grega.

- Czemu nam nie powiedziałaś?

- Chyba z dumy. I ze wstydu. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale wtedy jeszcze byłam taka młoda i naiwna. Miałam nadzieję, że po rozwodzie szybko znajdę sobie kogoś innego. Uznałam, że jeśli wyjdę za mąż ponownie, nie będę się martwić moją porażką.

- Ale to się nigdy nie stało?

- Chyba historia z Gregiem dokopała mi bardziej, niż mi się wydawało.

- Tak mi przykro, Maggie.

- Widzisz? Dlatego nigdy ci nie powiedziałam. Ta twarz. Nie chcę litości ani współczucia.

- Czemu nie? Są częścią miłości, troski o kogoś. Co w tym złego? Czy sądzisz, że nie okazuję współczucia moim synom, kiedy się skaleczą, kiedy nie zdali egzaminu albo rzuciły ich dziewczyny, albo kiedy wylecieli z drużyny piłkarskiej? Maggie wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że tak. Nie dlatego, że uważam ich za słabeuszy i nieudaczników, lecz dlatego, że ich kocham.

Jej siostra uśmiechnęła się swoim połowicznym uśmiechem, który nie odbijał się w oczach.

- Widzisz, Suze? Jestem beznadziejnym przypadkiem.

- Wcale nie, Maggie. - Susan usiadła obok niej. Margaret się najeżyła.

- Ani żadnym twoim zobowiązaniem.

- Na litość boską, wcale cię tak nie traktuję. Staram się traktować cię jak siostrę.

Tym razem Margaret uśmiechnęła się szczerze.

- Możemy chyba spróbować.

Susan trąciła ją delikatnie ramieniem. A Margaret odwzajemniła ten gest.

Październik

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Rebeka Daphne du Maurier, 2002*

„Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley...”.

Bohaterka *Rebeki*, zarabiająca na utrzymanie jako dama do towarzystwa, zna swoje miejsce w świecie, a jej przyszłość rysuje się w ponurych barwach. Wszystko jednak się zmienia, kiedy podczas podróży na południe Francji poznaje Maksa de Wintera, przystojnego wdowca, który zaskakuje ją propozycją małżeństwa. Dziewczyna przyjmuje go, lecz kiedy z wytwornego Monte Carlo młoda para przenosi się do złowieszczego, melancholijnego Manderley, Max okazuje się całkiem innym człowiekiem. Pamięć jego zmarłej żony, Rebeki, czci groźna gospodyni, pani Danvers...

Od czasów *Jane Eyre* żadna bohaterka nie musiała z takim trudem walczyć z tą inną. *Rebeka*, międzynarodowy bestseller, to niepokojąca opowieść o młodej dziewczynie opętanej miłością i starającej się odnaleźć własną tożsamość.

* D. du Maurier, *Rebeka*, przeł. Eleonora Romanowicz-Podoska, Warszawa 2002.

Słuchajcie, mam wieści o Clare - powiedziała Susan. - Postanowiła już, co zrobi. Mary opowiedziała mi wczoraj. Clare poprosiła ją, żeby nas powiadomić. Mary chyba miała nadzieję, że Clare sama przyjdzie na spotkanie, ale ona pewnie nie mogła się na to zdobyć. Polly spojrzała na rozłożoną na kolanach książkę.

- No i co? - zapytała Nicole.

- Odeszła ze szpitala, zamierza wyjechać do Rumunii z jedną z organizacji charytatywnych - Na Ratunek Dzieciom, chyba - i chce pracować w sierocińcu. Zanim została położną, studiowała oczywiście pielęgniarstwo, a tam cierpią na straszny brak personelu. Według Mary te problemy nie znikają, choć niewiele się o nich teraz słyszy. Mary sądzi, że Clare zostanie tam co najmniej kilka lat.

No tak, wszystkie oglądały swego czasu wiadomości - obrazy trudne do zapomnienia dla każdego, a co dopiero dla matek. Rzędy siatkowych łódeczek z wystrzępioną pościelą, zajętych przez chude, wystraszone dzieci o pustych oczach, których nikt nie chciał i nikt nie kochał. Wielkoduszność decyzji Clare była dla nich oczywista, choć zdawały sobie doskonale sprawę, co to dla niej oznacza. W ten sposób akceptowała fakt, że nigdy nie będzie miała własnych dzieci. Otrząsnęła się na tyle, aby dostrzec świat poza własnym nieszczęściem, i chciała działać. To był ogromny krok, i wszystkie poczuły pokorę.

- To wspaniale - Harriet przemówiła pierwsza. - Będzie w tym świetna.

- To prawda. Jej rodzice muszą być okropnie dumni.

- Są dumni - poinformowała Susan. - Ale poza tym wiedzą, że będą za nią strasznie tęsknić, i ciągle się o nią martwić.

- Poradzi sobie. Zawsze była dużo silniejsza, niż wydawało się z pozoru - uznała Nicole. - To znaczy wewnętrznie. Ta decyzja pewnie ją uratuje.

- Mam nadzieję.

- Cieszę się ze względu na nią.

Harriet przypominała sobie pewne popołudnie, trzy dni wcześniej. Siedziała w kawiarni, zostawiwszy dzieci pod opieką sprzątaczk. Rozpaczliwie pragnęła chwili wytchnienia. Miała dosyć duży brzusek, który został jej jeszcze po urodzeniu Chloe, ani śladu makijażu. W rękę trzymała egzemplarz „Daily Mail”, który ktoś zostawił na siedzeniu obok. Nagle usłyszała swoje nazwisko i zobaczyła dziewczynę, którą kiedyś poznała na studiach. Sarah. Zawsze ją lubiła, lecz ich światy się nie stykały i nie utrzymywały kontaktów po dyplomie. Sarah wyglądała bajecznie, smukła, egzotyczna i stylowa. Harriet zapragnęła schować się za poradnikiem diety bikini i umrzeć.

Sarah jednak nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej jej wyglądem lub doborem lektury, zamówiła ziołową herbatkę i przysiadła się. Okazało się, że pracuje w Afryce dla Organizacji Narodów Zjednoczonych, koordynując przekazywanie darów. Przez ostatnie sześć lat mieszkała w Mombasie i Nairobi i właśnie przyjechała do domu z doroczną wizytą, zamierzając między innymi uzupełnić zapasy marmite i tamponów.

- A co u ciebie? - zapytała z ożywieniem. - Co ostatnio porabiasz?

Harriet wyciągnęła portfel z torebki od Louisa Vuittona i pokazała jej fotografie Josha i Chloe. I tyle. Harriet starała się sobie wmówić, że Sarah zapewne w jednej chwili zamieniłaby swoje życie na męża, dwoje maluchów i kuchenkę gazową. To ona jest Judaszem, wyrzekając się swoich dzieci, radości i spełnienia, które odczuwała jako ich matka. Ale nie przekonała nawet siebie. Przez ostatnie siedem lat borykała się niezdarnie z wychowaniem Josha i Chloe, to wszystko. Tamtego ranka nie wydawało jej się to zbyt cenne. Ani teraz. Bez Tima. Kiedy Clare podjęła tę niezwykłą, odważną, altruistyczną decyzję. Nigdy chyba Harriet nie czuła się bardziej nieszczęśliwa.

Czerwone światełka na monitorze interkomu rozbłysły i w tej samej sekundzie usłyszały przeciągły krzyk.

- Ktoś chyba chce się przyłączyć. Tylko czy przeczytał książkę? - powiedziała Susan.

Polly była zadowolona. Miała nadzieję, że Spencer zaznaczy swoją obecność i będzie mogła się nim pochwalić. Harriet i Nicole jeszcze go nie widziały. Był bardzo towarzyskim malcem. Prawdopodobnie obudził się, pragnąc przytulenia i pociechy. Polly przeprosiła i poszła na górę.

Kiedy Spencer usłyszał otwierające się drzwi, obrócił główkę i przestał płakać. Polly nie mogła doczekać się chwili, kiedy podrośnie i będzie stał w łóżeczku, wyciągając rączki, aby go podnieść. Przytuliła go do ramienia i pogłaskała po główce z łysą tonsurą jak u braciszka Tucka.

- Chcesz zejść na dół, mały człowieczku? Chcesz poznać koleżanki babci? No dobrze, to chodźmy.

Na dole Susan właśnie nalewała wino. Zegar piecyka zapiszczał. Polly podała Spencera Nicole, która siedziała w fotelu najbliżej drzwi.

- Proszę. Możesz go potrzymać? Harriet wskoczyła pomiędzy nie.

- Ja, ja! Ja go chcę potrzymać.

Nicole uśmiechnęła się do niej i zaprotestowała:

- Poczekaj na swoją kolej, Harry. Daj mi go, Polly.

- Dzięki.

Spencer wydał się Nicole mały, ciepły i ciężki. Nie pamiętała już, co czuła do własnych dzieci, kiedy były takie małe. Przytuliła go do szyi, żeby poczuć zapach niemowlęcia. To pamiętała. Harriet, która przysiadła na poręczy fotela, obserwowała ją.

- Śliczny, prawda?

- Tak. Absolutnie przepiękny. - Nicole nie chciała go dłużej trzymać. Przekazała go Harriet. - Teraz ty.

- Dobrze - Harriet stanęła za nią, kołysząc małego. Coś wspaniałego. Jej starsza siostra, Charlotte, która mieszkała w Kanadzie, urodziła swoje pierwsze dziecko, Fergus, kiedy Harriet miała około dwudziestu lat. Została wtedy zaproszona na dwudzieste pierwsze urodziny swojej koleżanki ze studiów, Natalie, do domu jej rodziców w Shropshire. Szczęśliwa i podekscytowana opowiadała matce Natalie wszystkie szczegóły - datę, imię, wzrost, wagę. - To pierwsze dziecko w rodzinie - oznajmiła jej. - Nie potrafię wyobrazić sobie, co to za uczucie. Matka Natalie owinęła nagrzaną w piecyku staroświecki odważnik w kilka frotowych ściereczek po siedem funtów każda, i wręczyła jej tobolek. - To coś podobnego - powiedziała. Harriet siedziała z zawiniątkiem na kolanach, starając się wyobrazić sobie nowe życie.

Kiedyś Tim wspominał coś o następnym dziecku, a ona z miejsca odrzuciła ten pomysł. Po pierwsze, oznaczałoby to regularne kochanie się z nim przez kilka miesięcy z rzędu. Poza tym była całkiem pewna, że nie chce przechodzić tego po raz kolejny. Ogromny wystający brzuch. Ból i brak godności w czasie porodu, potem szwy i mleko ciekące z piersi. Chroniczne niewyspanie. Cały cykl rozwoju niemowlęcia: najpierw leżenie na plecach, potem przekręcanie się - najczęściej z łóżka na podłogę. W ten sposób właśnie Harriet poznawała stopień rozwoju swoich dzieci. Raczkowanie. Okropny etap prawie chodzenia. A to były jeszcze najłatwiejsze problemy. Ataki hysterii w wózku, dąsy w czasie zakupów.

Trzymając Spencera, pomyślała, że oddałaby wszystko, aby móc teraz kołysać dziecko Tima, z nim u boku.

- Któraś z was czytała ją wcześniej? Pozostałe potrząsnęły głowami.

- Tylko ja? - ze zdumieniem zapytała Nicole. - Clare była jej wielką fanką, o ile pamiętam. Założyłam po prostu, że wszystkie to przeczytałyśmy w pewnym wieku. Ja miałam piętnaście lat. Ciekawiło mnie, jak ją odbierzemy teraz, kiedy jesteśmy starsze.

- Zawsze miałam zamiar, ale jakoś nigdy nie mogłam się do niej zabrać. Jak do *Wojny i pokoju* - powiedziała Harriet.

Harriet jest nieswoja, pomyślała Susan. Zbyt cicha. I wygląda okropnie, poszarzała na twarzy. Może dopiero teraz dopadł ją szok po wypadku Josha. Od Rogera wiedziała, że często tak się dzieje. Musi pogadać z nią później, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Ja czekałam na ekranizację - roześmiała się Polly. Zważywszy na okoliczności, Polly wyglądała doskonale.

Brak snu, były narzeczeni, który nie był jeszcze wystarczająco były. Susan wydawało się, że przyjaciółka przeżywa charakterystyczny dla młodych matek nagły rozkwit hormonalny, choć bez ich obwisłego brzucha. Nie widziało się też po niej krzty zmęczenia.

- No i jaki jest wasz werdykt?

- Bardzo mi się podobało. Piękna książka. Niczego nie brak. Dramat, napięcie, tajemnica, szorstki mężczyzna, złoczyńca...

- W twoich ustach jedna z największych gotyckich powieści naszych czasów brzmi jak odcinek Jamesa Bonda.

- Przepraszam, ale lubię wciągającą akcję. Wcale się nie domyśliłam, że to on ją zabił. Nawet kiedy znaleźli ciało w łodzi. Spodziewałam się, że miała kochanka albo jakąś tajemnicę.

- Nie rozumiem, czemu w ogóle się z nią ożenił. Może się mylę, ale na ogół nie poślubia się ludzi, których nie można znieść, a potem się ich nie zabija.

- Suze, to licentia poetica!

- Uważam, że Max jest okrutny. W tym małżeństwie jest szokująco mało porozumienia. W rzeczywistości wyglądałoby to zupełnie inaczej. Wiem, że była szarą myszką, że bała się jego, a potem jego domu, stylu życia i tego wszystkiego, ale nie mogę pojąć, że nigdy nie zadała mu najdrobniejszego pytania o Rebeke. Trudno mi uwierzyć, że był tak okrutny i nigdy nic jej nie wyjaśnił, nawet kiedy było oczywiste, jak bardzo cierpi i nie wie, co ma myśleć...

- Wiem. To powinna być lektura obowiązkowa dla związków. „Katastrofalne skutki braku porozumienia”. Gdyby omówili to jeszcze na południu Francji, wszystko byłoby o wiele prostsze. Nie rozmawiają ze sobą nawet wtedy, kiedy ona się wszystkiego dowiaduje, prawda?

- Nie zauważyłam.

- Ja też. Chyba po prostu tego nie zrobili.

- Inaczej nie byłoby książki. To chyba mało porywająca intryga: mąż, który po śmierci żony pociesza się w związku z drugą? Wydaje mi się, że nie powinnyśmy przykładać do tej książki współczesnej miary. Dobrze, że jest, jaka jest. Wspaniała, przyprawiająca o gęsią skórę historia. De Winter to kolejna postać w galerii wielu bohaterów emocjonalnie niedorozwiniętych, tajemniczych i trochę okrutnych - jak pan Rochester w *Jane Eyre*, Hamlet...

- No proszę... - Nicole wywróciła oczami i wskazała głową na Harriet.

- Ale szczerze mówiąc, tak zwana klasyka powinna chyba być wiecznie młoda? Tak, aby można było do niej zastosować współczesne wartości i nadal znaleźć coś odpowiadającego twojemu życiu? Na przykład Szekspir - kiedy odejmie się pludry i niezrozumiały język - pisze o rzeczach, które nadal istnieją: miłości, zazdrości, ambicji...

- To jest też prawdziwe tutaj. Wszystkich przepelnia zazdrość. Nową żonę, samego de Wintera, pokręconą panią Denvers...

- Jakby zazdrość była silniejszą motywacją od miłości.

- Aha. Ale czy można być zazdrosnym o kogoś, kogo się nie kocha?

- Nie. Zawsze w końcu chodzi o miłość, prawda?

- Zatrzymaj się!

Harriet nacisnęła na hamulec.

- Po co?

- Nie mogę już tego znieść. Nie wytrzymam. Ani minuty dłużej.

- O co ci chodzi?

- Jestem wykończona. Czy ciebie to nie męczy?

- Jeszcze jak. I nie wiem, co robić. Najprostszym rozwiązaniem wydawały się łzy.

- Ani się waż rozplakać!

Harriet pociągnęła melodramatycznie nosem.

- Powiem ci, co teraz zrobimy. Wejdziemy tam i napijemy się. - Nicole wskazała na pobliską winiarnię.

Modnie urządzone wnętrze było zadymione. W lokalu kręcił się tłum młodych, rozbawionych ludzi, wśród których dało się rozpoznać kilka pomniejszych gwiazdek telewizji dziecięcej. Harriet uznała, że Nicole zwariowała. Było wpół do jedenastej.

- Po co?

- Po pierwsze, wcale mi nie spieszno znaleźć się w domu. Na ciebie też chyba nic tam nie czeka, poza naburmuszoną opiekunką, która rozpogodzi się na myśl o dodatkowym piątku.

- Nie jestem pewna, czy alkohol coś pomoże.

- Tak? Zamierzam spróbować, jako że nie masz żadnego innego pomysłu. W końcu nie jestem w ciąży i mogę pić, ile chcę. Ty też. Możemy tu zostać do zamknięcia i upić się do nieprzytomności, jeśli zechcemy. Nikt nas nie powstrzyma.

Harriet rozejrzała się niepewnie. Nicole nalegała:

- Kiedyś świetnie się razem bawiliśmy. Cały czas się śmiałyśmy. Teraz przeżywamy koszmarną jesień i już mam tego dosyć. Chcę się znowu trochę zabawić.

- Wypiłam już dwa kieliszki u Polly.

- Wrócimy taksówką.

- Jutro szkoła.

- Nie chodzisz do szkoły.

- Bardzo zabawne. Moje dzieci chodzą. Jadą moim samochodem.

- Ja je zabiorę.

Harriet wiedziała, kiedy ustąpić.

- No dobrze, skoro nalegasz. Ale śmiechu nie obiecuję - odparła z ponurym, zaciętym wyrazem twarzy.

Nicole wymierzyła jej cios w ramię, całkiem mocny.

- Musisz spróbować.

Harriet żałośnie pomasowała rękę i roześmiała się wbrew sobie.

- No dobra, ty faszystko. Spróbuję.

W środku było głośno. Gwar głosów mieszał się z muzyką, którą Nicole pamiętała z radia Cecile. Popchnęła Harriet w kierunku pustego stolika i podeszła do baru. Wysoki, szczupły chłopak z blond grzywką opadającą na oczy i zwojem rzemyków wokół szyi przyjrzał jej się z drapieżnym zainteresowaniem.

- Proszę butelkę szampana i dwa kieliszki. - Wyjęła portmonetkę i położyła na blacie trzydzieści funtów.

Chłopak spojrzał ponad jej ramieniem na Harriet, która siedziała skulona i nieszczęśliwa, nie zdjawszy nawet kurtki.

- Panie świętują? - Był Australijczykiem.

Nicole wzięła butelkę i obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Do cholery, mam nadzieję, że tak! Reszty nie trzeba.

- Szampan? - sądząc z tonu, Harriet napiłaby się raczej terpentyny. - Co to za okazja?

- Chcę oblać wiele rzeczy. - Nicole umiejętnie napełniła dwa kieliszki. Nabrała doświadczenia przez te wszystkie lata z Gavinem. Szkoda tylko, że zawsze świętowali jego wymiganie się od kłopotów. Podała jeden z kieliszków Harriet i stuknęła w niego swoim. - Za koniec epoki Gavina. Za moją nową pracę. Za to, że podobam się temu barmanowi, choć jestem wystarczająco stara, aby... cóż, nie jestem chyba wystarczająco stara, aby być jego matką, co? - Zastanowiła się chwilę. - Jestem wystarczająco stara, żeby nauczyć go kilku rzeczy, i wystarczająco młoda, żeby nadal tego chciał. Wypijmy więc za to.

Harriet uniosła bez przekonania kieliszek.

- Jest coś jeszcze! - Nicole popatrzyła jej prosto w oczy. - Za powrót Tima!

Tego ranka, kiedy odszedł, Harriet siedziała w samochodzie pod domem Nicole, czekając, aż przyjaciółka wróci z siłowni, i płakała, słuchając *I Want You* Elvisa Costello. Harriet z całą pewnością umiała urządzić przedstawienie, ale tym razem cierpiała naprawdę. Świadomość, że w kwestii Tima przez cały czas zachowywała się jak idiotka, wcale jej nie pocieszała.

- Czuję się, jakbym przebudziła się ze stanu katatonii w chwili, kiedy odszedł. Ponieważ odszedł. O sekundę za późno - powiedziała Harriet, szlochając i pociągając nosem.

Nicole wiedziała, że przyjaciółka źle sypia i ma koszmary. Realne, plastyczne, kolorowe koszmary. Tim w łóżku z inną kobietą. Kobieta bez twarzy. Albo cellulitis. Harriet czuła się tak straszliwie, fizycznie zazdrosna, że aż ją mdliło. Dom bez niego także wydawał się straszny. Wysprzątała każdy kąt. Przestała oglądać telewizję i zamiast tego słuchała starych nagrań. Tyle piosenek go przypominało.

Wieczorami oglądała fotografie, schludnie poukładane w albumach, i podpisane - naturalnie przez Tima. Rzecz jasna zawsze narzekała, że pedantyczne porządkowanie zdradza kompleks analny i że jego komentarze na marginesach są obciachowe. Teraz wpatrywała się bez końca w każde zdjęcie, przyglądając się uważnie twarzom. Szukała śladów.

Nicole cały czas miała nadzieję, że Tim nie zrobił tego na poważnie. Z pewnością chciał tylko nastraszyć Harriet, aby zdała sobie sprawę z tego, co on i Nicole wiedzieli przez cały czas: że są sobie przeznaczeni i muszą być razem. Nie brała pod uwagę innej możliwości. Nicole kochała Harriet, ale wiedziała, że jej przyjaciółka traktowała Tima okropnie, nie tylko w kwestii Nicka. Nick tak naprawdę niewiele się liczył. W końcu do niczego nie doszło, prawda? Krzywda wyrządzona Timowi była dużo subtelniejsza od zwykłej zdrady. Wieczny chłód, wystudiowana obojętność, ignorowanie go, jeśli znajdowali się w grupie. To było o wiele gorsze. A jednak na pewno nie spotykał się z nikim innym. Nie wątpiła, że nadal bardzo kocha Harriet. To tylko wybieg. W odpowiedniej chwili powinna przekonać Harriet do wykonania jakiegoś ruchu.

Spoglądając na bezwładną kukłę po drugiej stronie stolika, Nicole zastanawiała się, jak na Boga ma popchnąć ją do działania.

- Za późno. Inaczej by nie odszedł. Wszystko schrząniłam. Jeśli ma kogoś, to przecież natychmiast zrozumie, że każda inna kobieta jest dla niego lepsza?

- Nie wierzę własnym uszom - powiedziała Nicole z irytacją.

- Ale to prawda. Byłam skończoną świnią. Mam, na co zasłużyłam. Jestem cholernym geniuszem. Udało mi się sprawić, że najcudowniejszy facet na świecie odkochał się we mnie. I tyle. To koniec, Nic.

- Bynajmniej.

Teraz Harriet straciła cierpliwość. Czy Nicole w ogóle nie rozumie, co się stało?

- Większość facetów odeszłaby wieki temu. On wytrzymał tak długo. Pierwszej nocy, kiedy już wiedzieliśmy, że Josh będzie żyć, i wreszcie przyszedłam na noc do domu, po tym jak byliśmy tak blisko ze sobą w szpitalu, chciał się ze mną kochać. Objął mnie, kiedy leżeliśmy w łóżku, i poczułam, że mnie pragnie, chciał być blisko, tak jak w szpitalu. Nie pozwoliłam nawet, żeby mnie pocałował. Udawałam, że jestem śpiąca, i odwróciłam się jak najszybciej. Właśnie tej nocy. Nie wiem dlaczego. Nic dziwnego, że odszedł. Nie dawałam mu nic ponad to, co mógłby znaleźć u obsługi hotelowej i dobrej sekretarki. Nie byłam jego żoną. Przez całe lata. Może nigdy.

- A chcesz nią być?

- Oczywiście. Ale odszedł, prawda? Zrezygnował. Nie mogę z tym walczyć.

- A właśnie, że możesz, do diabła. Czy to mówi moja przyjaciółka? Nie wierzę! Walcz o niego, na litość boską. Jeśli mówisz prawdę i rzeczywiście chcesz z nim być, a nie tylko boisz się samotności, to walcz o niego. Czemu teraz cię z nim nie ma?

- To nic nie da. Mężczyźni tacy jak Tim nie odchodzą, jeśli nie chcą tego naprawę.

- I tu się mylisz. Myślę, że to klasyczne wołanie o pomoc. Pewnie tylko to mu przyszło do głowy, żebyś wreszcie zwróciła uwagę na niego i jego uczucia. Możesz go odzyskać w jednej chwili, jeśli dasz mu poznać, że naprawę ci zależy.

- Tak sądzisz? - Harriet wyprostowała się odrobinę. Nicole sięgnęła poprzez stół i ujęła jej dłoń.

- Jestem przekonana. - Ucisnęła jej rękę. - Harriet, ja sama nie wiem wiele. Moje małżeństwo okazało się katastrofą i pewnie jestem ostatnią osobą, która powinna ci radzić. Ale wiem, że Tim cię kocha. Kiedyś powiedział mi, że urodził się, aby cię kochać. Jest ci całkowicie oddany. Jestem tego bardziej pewna niż czegokolwiek innego w życiu. Nigdy nie widziałam, żeby jakiś mężczyzna bardziej kochał kobietę. Wygrałaś los na loterii. Pragnie cię, uwielbia wasze dzieci i wasze życie. Musisz mu tylko powiedzieć, że też tego chcesz. Musisz sprawić, żeby w to uwierzył. Powiedz mu, że byłaś głupią świnią, uganiającą się za jakąś nieistniejącą, głupią tęczą, i że wreszcie się otrząsnęłaś. To wystarczy, mówię ci.

- Myślisz? - Harriet przypominała teraz Dorotę z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, kiedy dobra wróżka mówi jej, że będzie mogła wrócić do Kansas. Zupełnie jakby słowa Nicole miały magiczną moc. Ta dziecinna ufność to jej wielki urok, stwierdziła Nicole.

- Właśnie tak myślę.

- W takim razie zrobię to. Postaram się, żeby wrócił.

Nicole ogarnęła bezbrzeżna ulga. W jakiś dziwny sposób małżeństwo Harriet znaczyło dla niej więcej niż jej własne, ponieważ jej było złe, a Harriet dobre. Jeśli przetrwa, coś zostanie udowodnione. Bardzo tego teraz chciała.

- Dobrze. A więc koniec ze snuciem się, rozczulaniem nad fotografiami i słuchaniem tragicznych przebojów z lat osiemdziesiątych. Obiecujesz?

Harriet zachichotała. W czasie przemowy Nicole opróżniła pierwszy kieliszek, a teraz była w połowie drugiego.

- Jeśli mi się uda, nie będę się rozpaczliwie snuć. Ale nigdy nie porzucę Elvise Costello. Bruce też musi zostać.

Nicole dołała sobie szampana i stuknęła kieliszkiem w kieliszek Harriet.

- No dobrze, nie od razu Rzym zbudowano. Popracujemy nad tym.

- Nicole?

- No?

- Jak najszybciej mogę zrzucić sześć funtów?

Tim

Tim się upił. Jego przyjaciel Rob nigdy nie widział go aż tak pijanego - albo raczej w ten sposób. W czasie studiów dzielili pokój i od zawsze byli najlepszymi kumplami. W ciągu wszystkich tych lat z pewnością udało im się wlać w siebie kilka tysięcy piw, ale teraz było inaczej.

W college'u Tim upijał się na cudownie wesoło. Ponieważ był wysoki, mógł przyswoić bardzo dużo alkoholu bez widocznego efektu. Jedyne w tańcu zaczynał się coraz bardziej plątać, zagrażając bezpośredniemu otoczeniu. Ale zawsze odwoził dziewczynę do domu. Można było na nim polegać, nawet w stanie kompletnego upojenia. Pod wpływem alkoholu nigdy nie usiłował poderwać pierwszej lepszej kobiety w swoim otoczeniu ani takiej, która nie chciałaby nawet wiedzieć, jak mu na imię. Tim nigdy nie zabierał do pokoju przypadkowych dziewczyn. Przez pierwsze dwa lata chodził ze śliczną, drobną studentką, a na trzecim roku pilnie pracował nad dyplomem. Było ich w grupie osiemdziesięciu sześciu. Absolwenci ekonomii ze świetną pracą w kieszeni i bogactwem w zasięgu ręki. Tim odniósł większy sukces od Roba. Przeszedł cały utarty szlak, rozpoczynając jako analityk, gdyż wolał nie stawiać wszystkiego na jedną kartę. Cierpliwie zdobył uprawnienia, w wieku trzydziestu trzech lat stał się specjalistą od rynku i obecnie był uznanym ekspertem w sektorze mediów. Jego notowania w City były niezwykle wysokie. Rob ze swoim chłopięcym, żądnym przygód podejściem do interesów także sporo zarabiał, lecz wiedział, że w prawdziwej finansowej wojnie stanowi zaledwie zwykłe mięso armatnie.

Także po dyplomie pozostali świetnymi kompanami. Objechali razem świat, śladem wielu innych chłopców ze środkowych hrabstw Anglii, po czym osiedlili się w dwupokojowym mieszkaniu niedaleko Clapham Common i rozpoczęli dorosłe życie. Rob uwielbiał Harriet, ponieważ była zabawna, seksowna i zanim urodziły się dzieci, wypuszczała męża spod kurateli raz na jakiś czas. Jego żona, Paula, którą poznał kilka lat później, została matką chrzestną Chloe. Rob uważał Tima i Harriet za swoją prawdziwą rodzinę. Ostatnio rzadziej ich widywał. Spotkali się kilka razy na pospieszny lunch u Corneya i Barrowa, ale od paru miesięcy nie spędzili ze sobą więcej czasu. Teraz Tim pił w samotności przy narożnym stoliku w Pavilionie. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zaniedbanego, i Rob bardzo się zmartwił.

Był nieźle wstawiony, choć dochodziła dopiero siódma wieczorem. Rob spóźnił się zaledwie dwadzieścia minut - w chwili, kiedy już miał wychodzić, odebrał ważny telefon ze Stanów - lecz Tim najwyraźniej spędził tu wiele czasu.

- Nie rozumiem, odszedłeś?

- Co tu jest do rozumienia? Odszedłem, wyprowadziłem się. - Tim przemawiał agresywnie, lecz wyglądał jak uosobienie nieszczęścia.

- Dokąd?

Tim o mało się nie roześmiał. To takie typowe dla Roba, zapytać „dokąd” zamiast „dlaczego”. Uwielbiał swojego przyjaciela, lecz uważał, że Rob posiada głębię emocjonalną kałuży. Może powinien był przyprowadzić ze sobą Paulę. Lepiej by sobie poradziła. Potem przypomniał sobie, że Paula jest w

cięży. To był chłopiec. W zeszłym miesiącu robiła USG. Rob poprosił go wcześniej, aby został ojcem chrzestnym. Chyba nie mógłby teraz znieść widoku szczęśliwej rodziny.

- Zatrzymałem się w RAC.

- Matko, to musi być okropne. - Nocować w klubie? To smutne. Można wytrzymać, kiedy się człowiek zaleje albo jest zapracowany, choć Tim nawet w podobnych sytuacjach nieodmiennie wracał do domu. W klubie jednak trudno mieszkać na stałe. Tim gapił się w swoją szklanę. - Chciałbyś zamieszkać u nas? Mówię poważnie, bardzo byśmy się ucieszyli.

- Dzięki, ale nie. Akurat teraz nie jest wam potrzebny nieszczęśliwy idiota, snujący się po domu.

- W każdym razie czuj się zaproszony.

- Tim skinął potwierdzająco, ale się nie odezwał.

- Opowiesz mi, co się stało, czy będziemy siedzieć i zalewać się w pestkę? Jedno i drugie mi odpowiada.

Tim roześmiał się ponuro. Najwyraźniej był już na najlepszej drodze do upicia się na smutno.

- Czy poznała kogoś innego?

- Chyba nie, chociaż kilka miesięcy temu wydawało mi się, że chyba ktoś był. Ale chodzi raczej o samą ideę.

- Nie łapie.

- Ona też nie. Zachowuje się, jakby mnie nienawidziła, jakbym doprowadzał ją do szału, ponieważ nie jestem kimś innym, czymś innym.

Rob miał opracowaną gotową strategię na przypadek drugiego faceta - mieściła się ona w jego arsenale rozwiązań „zwykłych” męskich problemów, jak nieudana transakcja, rozrzutna żona i tym podobne. Był jednak zbyt mądry, żeby nie dostrzec, że w tym przypadku nie potrafi pomóc. Jeśli chodziło o psychologa, prozac czy prawników, lepsza byłaby Paula. Pożałował, że nie ma jej z nimi.

Postanowił, że musi chwycić problem za rogi i zdecydowanie zaprzeczyć.

- Słuchaj, stary. Ona cię kocha. Jestem pewien.

- Myślisz?

- Jasne. Pasujecie do siebie idealnie. Popatrz na inne małżeństwa, które się rozpadły. Wy jesteście inni. Macie życie super - dzieciaki, dom, przyszłość.

Tim potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Tak, cholernie super. Poza tym, że ona przez cały czas zastanawia się, czego jej brakuje - czy nie byłaby szczęśliwsza, gdyby robiła coś innego.

Potaął ręką czoło ze znużeniem. Nie sypiał dobrze. Brakowało mu znanego kształtu w łóżku, zapachu i odgłosów drugiego ciała. Za każdym razem budząc się w nocy, wyciągał rękę, żeby ją objąć.

- Nawet nie chce, żebym jej dotykał. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wykonała pierwszy gest. - Mówił to z widocznym bólem.

Za dużo informacji naraz, uznał Rob. Może kobiety umiały rozmawiać o podobnych rzeczach, ale on nie gustował już w szczegółowych opisach zbliżeń i męskich osiągnięć. Z całą pewnością na widok Harriet nie życzył sobie myśleć, że jest oziębła, ani nic w tym sensie.

- Czuję się zagubiony, stary. Nie wiem, co ci powiedzieć. - Poklepał niezdarnie przyjaciela po ramieniu. - Wiem tylko, że oddzielne sypianie nie przyniesie wam nic dobrego, jak myślisz?

- Właśnie o to chodzi. - Głowa Tima zataczała nieregularne ósemki. - Dokładnie o to. Albo wóz, albo przewóz, stary. - Na trzeźwo nigdy się tak do Roba nie zwracał. - Wyprowadziłem się, no nie? - Zaczynał bredzić bez sensu.

- Ile wypileś, Tim?

Koło kufla z piwem stały jeszcze dwie szklanki.

- Za mało. Kocham Harriet. Odkąd ją poznałem, nie spojrzałem nawet na inną kobietę. Sam dobrze wiesz. - Rob pokiwał głową. - Chcę o nią walczyć. Naprawdę. Ale nie mogę tego robić otwarcie, to nic nie da. Muszę zaryzykować. Muszę dać jej to, czego podobno pragnie - więcej przestrzeni, życie beze mnie, wolność. Mam nadzieję, że to się opłaci, rozumiesz?

Prawie, pomyślał Rob. Zastanawiał się przy tym, czy na dworze są jakieś taksówki i czy zdoła utrzymać Tima w pionie.

- A jeśli się nie uda, odejdę. Stracę wszystko. Zostawię ich. Dzieci i Harriet.

Rob obawiał się, że przyjaciel zaraz wybuchnie płaczem.

- Muszę wiedzieć, i tyle. Nie mogę dłużej tak żyć. To mnie zabija.

- Chodź, zabiorę cię dzisiaj do domu. Tim energicznie potrząsnął głową.

- Bez dyskusji. Idziemy.

Tim oparł się o niego ciężko. Nie miał siły dyskutować. Zimne powietrze na zewnątrz uderzyło go w twarz, ale nie otrzeźwiło. Wypił o wiele za dużo i za szybko.

- To wyjdzie, Tim, jestem tego pewien. O tej samej porze za tydzień będziesz w domu i cała ta absurdalna sprawa się wyjaśni.

- Naprawdę? - Tim zareagował jak dziecko, które święcie wierzy w obietnice dorosłych.

- Na pewno. Wtedy pójdziemy się napić jak należy, dobra?

- Oblać to?

- Tak jest.

- To jak w tej piosence, prawda? Kto to był? Chyba Sting. No wiesz... - I zaczął śpiewać piskliwym głosem, okropnie fałszując: „*If you love someone, set them free. Free, free, set them free*”.

Nawet pijany i ogłuszony własnym donośnym śpiewem, Tim odczuwał dreszcz lęku. Jediną przyszłością, jaką mógł sobie wyobrazić, pijany czy trzeźwy, było szczęśliwe życie z Harriet, która znowu go kochała.

Rano uznał, że umiera. To było nie do wytrzymania. Jego ciało siedziało za biurkiem, jak zawsze za kwadrans siódma, lecz głowa i żołądek przebywały w jakimś innym miejscu. Wyglądał potwornie, co bez

zdziwienia zarejestrował, kiedy poszedł do łazienki spryskać twarz zimną wodą. Przy nieskazitelnie białej koszuli (o wiele bielszej, mówiąc szczerze, niż kiedy była prana razem z granatowym kostiumem kąpielowym Chloe i niedbale prasowana przed telewizorem we wtorkowy wieczór) jego twarz wydawała się szara i poryta zmarszczkami. Oczy nabiegły krwią, a język przy bliższych oględzinach okazał się porośnięty mchem nie gorzej niż niejeden kamienny dziedziniec. Podejrzywał także, że śmierdzi alkoholem.

Tego ranka nie zabawił długo u Roba. Aby nie zionąć na ciężarną Paulę swoim przepitym oddechem, ucałował ją w brzuch, co najwyraźniej uznała za niezwykle wzruszający gest. Macierzyńskim gestem rozczochrała mu włosy.

- Wszystko będzie dobrze. Rob mi opowiedział. Uda się. - Mrugnęła porozumiewawczo i zabrała się do talerza pełnego tostów z marmite i miodem, które przygotował jej mąż.

W biurze Tim wyrzucił na zewnątrz zawartość szuflady biurka w poszukiwaniu proszków przeciwbólowych. Nie znalazł ich i właśnie z irytacją rozglądał się za swoją sekretarką, kiedy ta wkroczyła do pokoju. W jednej ręce trzymała parujący kubek kawy i dwie tabletki, w drugiej - poranną pocztę. Właśnie dlatego Tim ją uwielbiał, nazywał swoją panną Moneypenny i wydawał setki funtów na flakony chanel za każdym razem, kiedy wyjeżdżał za granicę. Była lepsza od jego matki.

Sylvia złożyła swoje dary na biurku i obserwowała ze współczuciem, jak zażywa tabletki, parząc się wrzącą kawą i krzywiąc. Z wyglądu przypominała Julie Andrews w roli Mary Poppins, tylko o jakieś dwadzieścia pięć funtów cięższą. Któregoś dnia Harriet przyszła do jego biura, żeby ją obejrzyć i upewnić się, czy „nie zatrudnił jakiejś laseczki”. Została natychmiast usatysfakcjonowana widokiem Sylvii pochylającej się nad kartoteką i zasłaniającej swoją sylwetką ogromne okno. Cieszył się, że tak się przejmuje.

- Będę odbierać telefony przez pół godziny, niech inni też popracują - powiedziała. Przy samych drzwiach, nie odwracając się nawet, dodała: - Ten na samej górze jest od Harriet.

Poniedziałek. Kochanie,

Piszę, zamiast mówić, ponieważ po pierwsze, nie jestem pewna, czy masz teraz ochotę mnie widzieć, po drugie, chociaż nie wyrażam się zbyt inteligentnie na papierze, lepsze to niż jąkanie się i powtarzanie, a i tak nie mogę w tej chwili powiedzieć zbyt wiele bez płaczu. Oboje wiemy, że to uważa się za manipulację, i nie chcę, żebyś tak o mnie myślał. Więc spróbuję napisać. Chcę powiedzieć, co następuje. Musisz mi wybaczyć i wrócić do domu, żebyśmy znowu byli rodziną, ponieważ bez ciebie nic nie jest takie, jak powinno.

Wiem, że byłam beznadziejną żoną. Zwłaszcza ostatnio, ale pewnie dawniej też. Przyjmowałam twoją obecność za coś oczywistego i byłam obsesyjnie przekonana, że inni mają lepiej. Byłam głupia i egoistyczna. Może to wczesny kryzys wieku średniego. Albo opóźnione dojrzewanie. Nie wiem.

Ale odszedłeś, i nie mogę tego znieść.

Chyba zakładałam po prostu, że zawsze ze mną będziesz, rozwiązując moje kłopoty i godząc się z moimi szaleństwami, jak przez całe nasze życie. Teraz okropnie się boję, że masz już dosyć i że postanowiłeś umyć ręce.

Zrobię wszystko. Zrobiłabym to już wcześniej, gdybym wiedziała co. Kocham cię tak, jak powinnam. Obiecuję, że jeśli wrócisz do domu, wszystko będzie dobrze. A nawet lepiej. Tylko proszę, wróć do mnie.

Kocham cię. Harriet

Tim odczekał dziesięć minut i podniósł słuchawkę. Wystarczająco długo, aby się uspokoić, choć w pierwszym odruchu zerwał się, aby pobiec do drzwi. Nie chciał, żeby cierpiała. Choć był idiotą, dziesięciokrotnie silniej odczuł ból, jaki jej sprawił.

- Halo?

- Harriet?

- Tim. Cześć. - Tyle nadziei w głosie. Nadziei i lęku. - Co słychać?

- Mam potwornego kaca. To po nocnym posiedzeniu z Robem. A co u ciebie?

- Mniej więcej to samo, tyle że bez alkoholu.

- Dostałem list. - Harriet nie zareagowała. - Musimy porozmawiać. - Czy specjalnie wyrażał się dwuznacznie? Nie wiedział. Nie chciał tego załatwiać przez telefon. Chciał ją zobaczyć i przytulić.

- Wiem. Mam przyjechać?

- Nie. Ja przyjadę do domu. - Powiedział to. Brzmiało cudownie.

- Wracasz do domu?

Słyszając jej głos, miał się ochotę rozplakać. Chciała, żeby wrócił.

- Przyjadę, żeby porozmawiać. Zgodziła się pospiesznie.

- Dobrze - dziś wieczorem?

- Właściwie nie mam zbyt wiele do roboty, więc mogę przyjechać już po południu.

- Super. To do zobaczenia. - Pauza. - Chcesz zobaczyć dzieci?

- Na razie tylko ciebie. Czy Nicole mogłaby je zabrać? Ich obecność w niczym nie pomoże, prawda?

- Oczywiście. Porozmawiam z nią, na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

- Dobrze. To na razie.

- Do zobaczenia. Dzięki... za telefon. - Dziwnie oficjalnie.

Dwoje ludzi odłożyło słuchawki i usiadło, aby poczekać, aż serca przestaną im walić szaleńczo w piersi.

Harriet

Nie widziała go wiele dni, a właściwie tygodni. Wiedziała dokładnie jak długo: dwadzieścia trzy dni. Słyszała tylko jego głos w telefonie. Dwadzieścia trzy dni. Pięćset pięćdziesiąt dwie godziny. Nigdy

przedtem nie szalała tak na jego punkcie, nie liczyła. Nie przejeżdżała „przypadkiem” koło jego domu. Nie bazgrała na kartkach swojego imienia z jego nazwiskiem: pan i pani Fraser, Harriet Fraser. Nie przechowywała jego listów ani małych karteczek mówiących „kocham cię”. Teraz, po głupich dwudziestu trzech dniach bez niego, nie pamiętała nawet czemu. Nigdy nie pragnęła nikogo tak bardzo. Fizycznie. Mocno aż do bólu.

Czy przywiezie walizkę? Czy ma uwierzyć, że da jej jeszcze jedną szansę? Czy też przyjeżdża oznajmić wprost, że nie zostanie? Wiedziała, że nie ma nikogo innego, że nigdy nie było. Ale może z dala od niej dostrzegł możliwość życia z kimś innym. Była przerażona. Scarlett O'Hara znowu przeżywała swój sen - biegnie do Rhetta po śmierci Melanie i dowiaduje się, że on jej już nie chce. Ale to nie film, tylko jej własne życie.

Nicole zabrała dzieci. Harriet nic im nie powiedziała, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Dom bez nich wydawał się nienaturalnie cichy i porządny. Pół godziny wcześniej wzięła prysznic. Przez cały dzień sprzątała, ubrana tylko w piżamę, z włosami związanymi różową gumką z królikiem, należąca do Chloe. Zmieniła pościel (nadal całkiem świeżą) i wyprasowała komplet ze stuprocentowej bawełny, który dostali w prezencie ślubnym i którego użyli do tej pory tylko raz, zamiast tego sypiając w niegniotącej, sztucznej tkaninie, elektryzującej się przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu. Wytarła lepkie półki w lodówce, a nawet ośmieliła się wstawić butelkę szampana do schłodzenia. Czy jak idiotka szykuje się na najlepszy scenariusz? Odkurzała i ścierała, ułożyła świeże kwiaty w szklanej wazie, mając nadzieję, że chociaż trochę przypominają kompozycje Nicole. Wysprzątała kominek i starannie ułożyła drewno, zamiast - jak zawsze - wepchnąć zgnieciony dodatek kulturalny do „Sunday Timesa” pod wielką kłodę i modlić się, aby wszystko poszło dobrze po przyłożeniu zapalniczki. W rezultacie ogień płonął już od godziny, czyli pięćdziesiąt minut dłużej niż zazwyczaj. Wszystko wyglądało bardzo nienaturalnie.

Usłyszała samochód na podjeździe i pobiegła na półpiętro, aby wyrzeć na dwór przez szparę w roletcie. Wydawał się spięty. Żadnej walizki. Odeszła od okna i oparła się bezwładnie o ścianę. Serce zjechało jej do żołądka. Potem usłyszała dzwonek do drzwi. Nie użył własnego klucza. Nie traktował tego miejsca jak swojego domu, a tym bardziej nie planował powrotu. Miała ochotę schować się pod łóżkiem, jak Chloe. Jak przez to przejść? Siedzieć na kanapie, kiedy on mówi, że wszystko skończone, że odchodzi na zawsze. Nie chciała tego słyszeć.

Zeszła ciężko po schodach. Stała za drzwiami, otwierając je, nagle onieśmielona. Pusto. Wyrzała na zewnątrz, ale na schodkach nikogo nie było.

Usłyszała trzask bagażnika i nagle pojawił się, niosąc w jednym ręku walizkę, a w drugim przepiękną wiązaną róż, przybraną liśćmi eukaliptusa i rafią. Żółte róże.

Potem nie musiała niczego słuchać. Ani mówić. Oboje dosyć już powiedzieli - sobie nawzajem, Robowi i Nicole. Teraz zadziałał instynkt i pewność. Huśtawka ich życia znalazła się w równowadze. Odłożył walizkę i kwiaty, zamknął drzwi kopnięciem i w mgnieniu oka znalazł się przy niej. Całował jej usta, szyję i twarz, przeciągał palcami przez włosy, rozpinając drugą ręką guziki jej bluzki i stanik. Cofnęli

się w stronę kanapy i w końcu na nią upadli. Harriet podciągnęła do góry sweter, czując ciepło jego skóry. Podniósł jej spódnicę, ona pomogła mu ściągnąć spodnie. W jednej chwili znalazł się w niej, jedną ręką przytrzymując biodra, drugą piersi.

A ponieważ Harriet nie myślała wtedy o niczym ani nikim innym, ponieważ nie miała ochoty zamknąć oczu, mogła obserwować, jak Tim ją kocha, jak czuje i jak przeżywa. Wiedziała też, że mógł ujrzeć w jej oczach wszystkie te rzeczy. To było najwspanialsze.

- O mój Boże! - Była to pierwsza rzecz, jaką zdołali oboje wykrztusić. I zrobili to równocześnie.

- Właśnie chciałam to samo powiedzieć.

- Czemu nie było tak zawsze?

- Sądzisz, że to ta kanapa? - Tim nadal znajdował się na niej i wewnątrz niej.

- Cóż, jeśli tak, to już nigdy nie zamierzam tego robić w łóżku! - Oboje się roześmiali.

- Au, musisz ze mnie zejść. Jesteś za ciężki, żeby się śmiać w tej pozycji. - Harriet nie mogła złapać oddechu.

Tim przekręcił się zrecznie, nie odsuwając się, tak że leżała teraz wygodnie, bezpiecznie w niego wtulona.

- Tak lepiej?

- Tak. - Pocałowała go delikatnie w górną wargę. - Cudownie.

Leżeli przy kominku bardzo długo. To było jak na filmie. Harriet nie pamiętała, żeby kiedykolwiek się tak czuła. Zaczęło się ściemniać i Tim narzucił na nich koc.

- Myślałam, że nigdy nie byłam w tobie zakochana. To chyba o to chodziło.

- Dzięki. Teraz mi to mówisz. Pociągnęła go lekko za włosy na piersi.

- Usiłuję ci wyjaśnić. Cicho. Po prostu znalazłam się w tej sytuacji i już tak zostało...

Teraz śmiał się z niej bezgłośnie.

- I chyba szukałam...

- Harry?

- Tak?

- Bądź cicho. - Ich twarze znalazły się teraz na jednym poziomie.

Na sekundę przybrała minę pełną godności.

- Właściwie - pocałował ją i przesunął ręką w dół jej pleców - chyba będziesz musiała być teraz cicho...

Susan

- Chryste, co za ziąb.

- Poczekaj, włączę piecyk gazowy.

- Zaciągnę zasłony. I tak jest już prawie zupełnie ciemno. Margaret i Susan musiały przede wszystkim ogrzać dom.

Alice nie mieszkała w nim od wiosny i jego wnętrze się wyziębiło.

Dziesięć minut później dookoła paliły się światła i błyszcząły sztuczne, pomarańczowoczerwone płomyki. Było jasno, lecz czekające ich zadanie nadal wydawało się ponad siły, a towarzyska Susan lodowato chłodna.

- Nie trzeba było zrobić tego częściowo w lecie, kiedy się wyprowadziła?

- Nie chciałam, póki jeszcze żyła. Grzebanie w jej rzeczach byłoby wtedy jak pogwałcenie prywatności. Miałam ją zapytać, co zrobić z rzeczami, ale to było zbyt trudne. A może wydawało mi się, że kiedyś wróci.

- To będzie koszmar - przyznała niechętnie Margaret.

Susan postanowiła za wszelką cenę zachować pogodę ducha.

- Nie będzie tak źle. Mama nie miała znowu aż tylu rzeczy.

Rozejrzały się wokół. Na widok niektórych mebli Susan poczuła ból w sercu. Wypolerowany na wysoki połysk rozkładany stół, przy którym zjadła tysiące obiadów; wesołe figurki w strojach wieczorowych, które od zawsze zajmowały półeczkę nad kominkiem; brązowa kanapa, na której siedzieli z Rogerem, trzymając się za ręce. Wszystkie wspomnienia.

- Cóż, może niektóre są coś warte. Bóg jeden wie, dla kogo. Co za koszmarki.

Susan cieszyła się z obecności Margaret. Nie chciała pograżać się w rozczuleniu i sądziła, że będzie to łatwiejsze z cyniczną, twardą siostrą u boku. Uśmiechnęła się w duchu. Margaret miała rację. Wystrój domu Alice pochodził mniej więcej z połowy lat sześćdziesiątych.

- No dobrze, meble oddamy sprzątacze, tak samo większość wyposażenia kuchni, chociaż chętnie je najpierw przejrzę. Ty też powinnaś, może będziesz chciała coś sobie wybrać.

Margaret prychnęła, ale uśmiechnęła się jednocześnie.

- Mama nie miała żadnej biżuterii wartej uwagi, poza zegarkiem i obrączką ślubną, ale musimy ją przejrzeć. Ubrania pewnie oddamy do sklepu z używaną odzieżą?

- Cóż, ty jesteś na nie za gruba, a ja za elegancka. Więc pewnie to jedyne rozwiązanie.

Czy to możliwe, żeby Margaret starała się być żartobliwa? Susan zamyśliła się. Płacząca Margaret to coś zdecydowanie nowego. Ale dowcipkująca?

- Jesteś bezczelna.

- Zaprzeczasz?

- Nie - roześmiała się Susan, wskazując na swoją talię. - Ale jednak jesteś bezczelna.

- My, Australijczycy, już tacy jesteśmy.

- Najgorsze będą papierzyska. Mama nigdy niczego nie wyrzucała. Wydaje mi się, że odczuwała zabobonny lęk przed wszelkimi urzędami i sądziła, że trzymając wszystko w domu, jest bezpieczniejsza.

- To pewnie w większości śmiecie. Nie zajmą nam dużo czasu.

Ale zabrało im całe wieki. Jak przewidywała Margaret, większość była już nieaktualna i przestarzała. Wszystko to Alice przechowywała w kartonowych pudłach w garderobie w pokoju

gościnnym. Siedziały na podłodze oparte plecami o łóżko, każda z wielkim, czarnym workiem na śmieci obok siebie. Najwięcej czasu zajęły im miłe rzeczy, które na krótką chwilę przywróciły matkę do życia.

Margaret znalazła rachunek za miesiąc miodowy rodziców. Dwa dni w małym hoteliku w Bornemouth. Tylko na tyle było ich stać. Z rachunku wynikało, że wieczorem zamówili do pokoju gorące mleko i ciasteczka.

- A szampan? Albo chociaż porto z cytryną?

- To chyba najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Czy możesz ich sobie wyobrazić, jak siedzą razem, spłoszeni - pewnie oboje mieszkali w hotelu po raz pierwszy w życiu - i mają ochotę na gorące mleko?

- Z taty chyba nie był gorący kochanek. Jak im się udało począć dziecko podczas miodowego miesiąca?

- Maggie! Do tego nie trzeba być pijanym!

- Ale to pomaga! - Margaret klepnęła się lekko w udo. Znalazły także trzy czy cztery fotografie z tamtego okresu.

Ich ojciec na ręczniku na plaży, wyjadający z zadowoleniem cukierki z papierowej torebki.

- Faktycznie, ojciec zawsze przepadał za słodyczami. Mama opowiadała, że kiedy się pobrali, właśnie zniesiono kartki. Pamiętasz? Tata zawsze twierdził, że to ślubny prezent od rządu.

- Jasne! - Margaret pokiwała głową z uśmiechem. Alice zachowała także wszystkie ich świadectwa szkolne.

Świadectwo Susan z końca szkoły mówiło, że posiada ona „wielkie zdolności gospodarskie” (Czarujące! Teraz można nieźle wpaść w kłopoty, mówiąc coś podobnego o dziewczynie! Co za bezczelność), a Margaret, że „u kogoś o tak niewielkich ambicjach nie dziwią tak słabe wyniki”. (To prawda. Kompletnie olewałam szkołę).

- Muszę się czegoś napić. - Margaret wstała i przeciągnęła się z rękami nad głową. - Sądzisz, że mama trzymała tu cokolwiek, czy pójdziemy do pubu? Szczerze mówiąc, nawet zgłodniałam. Masz ochotę coś przekąsić?

- Już się zmęczyłaś?

- Już? Siedzimy tu od wielu godzin!

Susan spojrzała na zegarek. Margaret miała rację: było wpół do ósmej. Kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że także jest głodna.

- No dobrze. Nie zauważyłam, że zrobiło się tak późno.

- Ale w pewnym sensie było fajnie, prawda?

Susan spojrzała na siostrę.

- Tak. Prawdziwa mama stała się znowu realna. - Wstała, opierając się o jedno z pudeł. Stos papierzysek wyslizgnął jej się spod ręki i straciła równowagę. Jeden z listów wypadł na podłogę i Susan

pochyliła się, żeby go podnieść. Na kopercie swoim staroświeckim, równym pismem Alice zanotowała „Dla Margaret i Susan, po mojej śmierci” i oficjalnie się podpisała.

- Maggie, poczekaj. Popatrz na to. - Susan podała kopertę siostrze. - To chyba polecenia, co zrobić z tym wszystkim.

Koperta była gruba. Usiadły obok siebie na krawędzi łóżka i wyciągnęły ze środka gruby plik kartek, zapisanych pismem matki. Susan nigdy nie widziała tylu stron jej pisma naraz. Czytały razem, choć Margaret była szybsza. Susan odczytywała każde słowo powoli, nieomal sylabizując.

15 marca 1986 r. Kochane córeczki,

Jeśli macie przed sobą ten list, to znaczy, że odeszłam. Może coś tak ważnego powinnam była zostawić u notariusza, zamiast chować to tutaj, lecz chowałam ten sekret od tak dawna, że nie umiem się teraz z nim rozstać. Mam nadzieję, że czytacie to razem, ale nie wiem, czy to jest bardzo prawdopodobne, zważywszy, jak się potoczyły wasze losy. Często zastanawiałam się, czy powinnam wam w ogóle powiedzieć. Wasz ojciec twierdził, że nie, że nic na tym nie zyskacie. Ja jednak na waszym miejscu chciałabym wiedzieć. Wiele razy w życiu gorąco pragnęłam wam powiedzieć, lecz coś - nie wiem co - zawsze mnie powstrzymywało. Wiem, że jestem tchórzem, zostawiając to w ten sposób.

Dzisiaj wypada trzydziesta rocznica śmierci mojej siostry Dorothy. Zginęła w wypadku samochodowym. Najdziwniejsze jest to, że nie miała żadnych widocznych obrażeń. Ale i tak umarła. Wyglądała, jakby była uśpiona, a nie martwa. Kiedy byliście małe, nigdy o niej nie mówiłam, ale kochałam ją najmocniej na świecie. Była kilka lat starsza ode mnie i bardzo piękna, zawsze roześmiana i wesola. Miała wielu przyjaciół, ale zawsze wybierała mnie, mimo że byłam młodsza i bardziej spokojna. Tęsknię za nią codziennie, lecz szczególnie w rocznicę jej śmierci.

Susan, Dorothy była twoją matką. Tylko tak, wprost, można to przekazać. Przykro mi, że jej nie znałaś. Powinnam wytłumaczyć ci, jak to się stało. Przepraszam, że nie będzie mnie przy tobie, aby odpowiedzieć ci na wszystkie pytania.

Dorothy zaszła w ciążę, nie będąc mężatką. Wtedy wszystko wyglądało inaczej. Na filmach wydaje się to romantyczne, ale w rzeczywistości wcale takie nie było. Nie mogła powiedzieć rodzicom, bo nie chcieliby już jej nigdy widzieć. Chyba żeby natychmiast wyszła za mąż za ojca dziecka i trochę przesunęła daty. Istniały wtedy domy dla takich dziewcząt. Odesłaliby ją tam i odebrali jej dziecko. Nigdy nie dowiedziałam się, kto był twoim ojcem, Susan. Nie chciała powiedzieć nawet mnie. Przypuszczam, że musiała go kochać i że on jej nie kochał. Pewnie nie chciał się z nią ożenić i uciekł, kiedy okazało się, że jest w ciąży. Niestety, nie wiem nic na pewno. Może w końcu by mi powiedziała, gdyby żyła dłużej.

Tak czy owak, praktycznie uciekła. Pojechała na północ, do Manchesteru, i znalazła pracę na dworcu autobusowym. Powiedziała im, że jej mąż zginął. Miała jakieś oszczędności. Nie było tego zbyt wiele i nie jestem pewna, jak sobie radziła. Posyłałam jej drobne sumy, kiedy tylko mogłam. Tylko ja wiedziałam, dokąd pojechała. Przed wyjazdem poszłam z nią do Woolwortha kupić obrączkę. Pisywała do

mnie, opowiadała, jak sobie radzi. Widziałam ją tylko raz, po twoim urodzeniu, Susan. Wtedy już miałam Margaret, oczywiście. Jest od ciebie starsza tylko o jednaście miesięcy. Miałam straszne wyrzuty sumienia. Byłam we własnym domu, szczęśliwa i podekscytowana, z mężem, który był dobrym człowiekiem. A Dorothy musiała przez to przejść całkiem sama. Przywiozła cię, Susan, żeby mi cię pokazać. Tak bardzo cię kochała. Nie miała w ogóle pieniędzy, ale byłaś taka zadbana i taka śliczna. Myślę, że była wspaniałą matką. Poszliśmy z wami na podwieczorek do Lyonsa. Margaret właśnie zaczynała stawać na nóżki. Wtedy Dorothy mnie o to poprosiła. Chwyciła z całej siły moją rękę i mówiła: „Obiecuj mi, że jeśli cokolwiek się stanie, zaopiekujesz się Susan. Poza mną ma tylko ciebie”. Powiedziałam, że oczywiście, zrobię to. Ale błagała, żebym jej to przyrzekła. Nie myślałam o tym wtedy. Nie myśli się o takich rzeczach, będąc młodą, prawda? Uważamy, że my i wszyscy, których kochamy, będziemy żyli wiecznie.

Umarła trzy tygodnie później. Dostałam wiadomość od jej gospodyni. Nie mogłam uwierzyć, że Dorothy, najbardziej żywa osoba, jaką znałam, może być martwa.

Wasz ojciec zachował się wspaniale. Nie skarżył się nigdy, chociaż byłaś kolejną osobą do utrzymania i musieliśmy także naopowiadać tyle kłamstw. Ani razu nie próbował mi tego wyperswadować. Wiedział, jak bardzo ją kochałam. Wiedział, że nie miałam wyboru.

Kiedy przybyłaś, aby z nami zamieszkać, Susan, miałaś dopiero pięć tygodni. Dorothy nawet cię nie zarejestrowała. Dlatego na twoim świadectwie urodzenia są nazwiska moje i ojca. Tak jakby wiedziała, że nie będziesz z nią zbyt długo. Nie widywaliśmy wtedy za często moich rodziców, a rodzice Jonathana nie żyli, więc opowiadaliśmy, że urodziłaś się za wcześnie. Nie sądzę, żeby coś takiego udało się w dzisiejszych czasach - nie z opieką społeczną i policją. Ale nam się udało. Od tego dnia stałaś się naszą córką, nie tylko dla świata zewnętrznego, ale dla nas obojga. Kochaliśmy cię tak bardzo, jakbyś naprawdę była naszym dzieckiem. Tak mocno jak Margaret. Może dlatego nigdy nie opowiedziałam ci o twojej matce biologicznej, ponieważ tak bardzo cię kochałam.

Przepraszam, jeśli narobiłam wam kłopotów. Nie uważam, żebym zawsze postępowała słusznie, ale starałam się najlepiej, jak umiałam. Dla Dorothy i dla was, dziewczynki. Jestem z was taka dumna. Mam nadzieję, że nie robię nic złego, mówiąc wam teraz. Kocham was i mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy.

Wasza mama

Margaret mocno ścisnęła dłoń Susan. Obie milczały. Po ukończeniu każdej strony Susan układała ją porządnie na kolanach. Kiedy skończyła czytać wszystkie, siedziała dalej nieruchomo.

- Chryste! - powiedziała Margaret. Susan nie odezwała się. Kiedy siostra wstała, Susan pozwoliła, aby list zsunął się z jej kolan na podłogę, i zwinęła się w kłębek na brzoskwińowej, satynowej narzucie. Leżała tak, patrząc w przestrzeń, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Margaret przeraziła się.

- Susan? Siostrzyczko? Powiedz coś! - Lecz Susan tylko potrząsnęła głową. Margaret, nie doczekawszy się żadnej innej reakcji, zdecydowała: - Dzwonię po Rogera.

Susan usłyszała głos siostry dobiegający z dołu. Nie rozróżniała słów, ale mogła wyczuć niepokój.

- Powiedziałas mu? - zapytała, kiedy Margaret wróciła do pokoju.

- Oczywiście, że nie. To twoja historia. - Usiadła obok na łóżku, opierając się plecami o wezglowie, z jedną ręką na jej ramieniu. Czekają na Rogera. Susan nie była w stanie wykrztusić ani słowa, a Margaret o dziwo wczuła się w sytuację i także siedziała w milczeniu.

Po przybyciu Rogera Susan nadal nie umiała sformułować tego, co chciała powiedzieć, więc Margaret bez słowa wręczyła mu list.

- Och, kochanie - powiedział, kiedy skończył czytać. Wtedy się rozplakała. Wziął ją w ramiona i kołysał jak małe dziecko, powtarzając: - Kochanie. Kochanie.

Margaret nie chciała przy tym być.

- Poczekam na dole, zacznę przeglądać porcelanę - oznajmiła.

Susan nie zwróciła na nią uwagi, lecz Roger uśmiechnął się i skinął głową nad ramieniem żony. Kiedy uspokoiła się trochę, usiłowała wyjaśnić, czemu płacze. Okropnie się bała, żeby jej źle nie zrozumiał. Nie płakała za Dorothy, matką, której nigdy nie знаła.

- Nie gniewam się na mamę. To straszne, jeśli umarła, myśląc, że mogę się na nią gniewać. Jak można się gniewać za coś podobnego? Zrobiła coś niezwykłego - wzięła cudze dziecko i kochała je, kochała mnie tak, jakbym była jej własna. Ja bym chyba nie umiała. Jestem zła, że nigdy nie poznałam Dorothy. Mam tyle pytań - krążą mi bez przerwy po głowie - i nikt nie może na nie odpowiedzieć. Najbardziej boli mnie to - głos jej się załamał - że mama nie ufała mi na tyle, żeby mi powiedzieć.

- Co to znaczy „nie ufała”?

- Kochałam moją mamę bardziej niż kogokolwiek, bardziej niż ktokolwiek mi znany kocha swoją matkę, bardziej niż Maggie, bardziej niż Alex i Ed kochają mnie. Uwielbiałam ją. Nie mogła tego wiedzieć. Przez wszystkie te lata, kiedy byłam dziewczynką, nie wiedziała, jak bardzo ją kocham. Co jeszcze powinnam była zrobić, żeby jej to okazać?

- Nie rozumiem, czemu tak uważasz? Susan zirytowała się.

- Ponieważ - ponieważ gdyby wiedziała, nie obawiałaby się mi powiedzieć. To nie zrobiłoby żadnej różnicy. Ceniłabym ją jeszcze bardziej, jeśli to tylko możliwe. To dlatego jestem smutna i zła. Mogłyśmy o tym porozmawiać. Zadałabym wszystkie pytania i otrzymałabym odpowiedzi. A teraz bezustannie będę je sobie zadawać i nikt mi już nie odpowie.

- Wiem, wiem. - Roger gładził ją po plecach. - To nie do wiary. - Mówił częściowo do siebie. - To takie nieprawdopodobne. Nigdy bym nie pomyślał, że byłoby ich na coś takiego stać. Zrobić to wszystko dla ciebie. Zawsze uważałem, że byłaś ulubienicą swojej mamy. Każdy to widział. Najdziwniejsze jest to, że byliście tak do siebie podobne. Można by pomyśleć, że to Maggie została adoptowana.

- Biedna Maggie.

- Dlaczego? - Roger poczuł zamęt w głowie od tej gwałtownej zmiany punktu widzenia.

- Bo ona też wiedziała, że mama woli mnie. Ale teraz to całkiem zrozumiałe. Nie widzisz? - Z każdą chwilą coraz mniej rozumiejący Roger wcale tego nie widział. - To prawda, byliśmy podobne,

miałyśmy wiele wspólnego, ale dlatego, że mama bardziej się starała. Starła się kochać mnie także za Dorothy, starała mi się wszystko wynagrodzić, tata pewnie też. Myślała chyba, że nie musi się aż tak troszczyć o Maggie, która w końcu żyła ze swoimi prawdziwymi rodzicami, prawda?

Susan znowu się rozplakała, tym razem bezgłośnymi łzami frustracji. Wydawało jej się, że rozplątuje wielki supel swojego dzieciństwa, lecz kiedy wyodrębniła wreszcie wszystkie nitki i starała się dojść do ich początku, nie było go tam, ponieważ nie było już Alice. Czuła się tak, jakby straciła ją na nowo.

- Gdzie jest Maggie?

- Chyba ciągle na dole.

Susan wstała i otarła oczy rękawem. Kiedy Roger wstał także, dała mu znak ręką, żeby został jeszcze przez chwilę w pokoju.

- Poczekaj sekundę, dobrze?

Skinął głową i posłał jej w powietrzu całusa.

Margaret znajdowała się na dole w salonie. Siedziała na podłodze przed fornirowym regałem z lat sześćdziesiątych z brązowymi, plastikowymi gałkami, w którym Alice trzymała wszystkie swoje zdekompletowane serwisy obiadowe. Margaret starała się posegregować naczynia, ale nie zaszła zbyt daleko. Kiedy Susan weszła, podniosła na nią wzrok z niepokojem. Widać było, że także płakała.

- W porządku?

- Chyba tak. A ty?

- Tak sobie. Szczerze mówiąc, jestem w szoku.

- Tak. Jak jej się udało utrzymać to w tajemnicy przez wszystkie te lata?

- Czemu w ogóle chciała zachować tajemnicę?

- Chyba chciała mnie ochronić.

- Pewnie tak. - Twarz Margaret prawie wykrzywiła się w grymasie. - Z całą pewnością nie próbowała ochronić mnie, prawda?

- Och, Mags, nie gniewaj się za to na nią.

- Gniewać się? Nie gniewam się. - Margaret potrząsnęła głową. - Ja też ją kochałam. Może nie tak jak ty, Suze, ale ją kochałam. Po prostu wiecznie zżerała mnie zazdrość i poczucie krzywdy, ponieważ wy dwie byłyście tak cholernie blisko. A przez cały ten czas ona była moją matką, a nie twoją. Miałyśmy coś, czego ty nigdy mieć nie mogłaś. A ja to odrzuciłam. Oboje przez to cierpieli - wiem o tym. A potem uciekłam, stroiłam fochy przez dwadzieścia lat, zrujnowałam sobie życie i wróciłam za późno. To siebie nienawidzę, nie jej. A teraz jest już za późno.

Margaret szturchnęła stos filiżanek, ułożonych na bocznym stoliku. Spadły na podłogę i roztrzaskały się. Schowała głowę w ramionach i wybuchnęła płaczem. Susan uklękła przy niej. Tak znalazł je Roger, kiedy zszedł na dół dziesięć minut później.

Polly

Jack pojawił się bez uprzedzenia i Polly zupełnie nie była na to przygotowana. Bez makijażu, w workowatym ubraniu, które - jak sobie nagle uświadomiła - nie było ani zbyt czyste, ani pięknie pachnące. Nikogo się dzisiaj nie spodziewała. Zamierzała spędzić cudownie leniwy dzień ze Spencerem. Spencer jednak miał inne plany. Od południa zdążył zwymiotować na dwie pary śpioszków, i to akurat przecierem z marchewki. Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, miał na sobie nadal drugą parę i Polly poszła otworzyć, trzymając go brudną stroną na zewnątrz.

Nie widziała Jacka od kilku tygodni i jej ciało zareagowało w znany sposób. Wyglądał świetnie. Nosił nowe okulary w metalowej oprawce, zamiast dawnych, plastikowych. Skręcała się z zazdrości na myśl, że być może inna kobieta pomagała mu je wybrać. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Przecież prosiła, żeby się do niej nie zbliżał, żeby dał jej szansę zapomnieć. A jednak znowu tu był, znowu zaczynał się wygłupiać. Nie chciała go wpuścić do środka. Cressidy nie było, Daniel poszedł na trening. Jack nie powinien się tu pojawiać. Jack odezwał się pierwszy.

- Cześć, Poll.

Nie mów do mnie „Poll”. Nie jestem już dla ciebie żadną „Poll”.

Na widok jej wrogiej twarzy Jack powiedział pospiesznie:

- Wiem, że prosiłaś, abym zostawił cię w spokoju. Nie chcę cię drażnić. - Uniósł dłonie w geście kapitulacji. - Przyszedłem ci powiedzieć, że nie mogę. Uwierz mi, starałem się pozostać w moim uporządkowanym, schludnym, samotnym życiu. I nie potrafię. - Położył rękę na sercu teatralnym gestem. - Piękna pani, jestem cały twój.

Teraz Polly się wkurzyła. Co, u diabła, to ma oznaczać? Przychodzi niezapowiedziany w środku dnia i cytuje Szekspira?

- Nie możesz wejść - stwierdziła, świadoma, że jej głos brzmi nienaturalnie wysoko. - Po co przyszedłeś, Jack? Na chwilę popołudniowej przyjemności? Nie ma mowy. To nie fair.

Jack opuścił ręce i stanął wyprostowany.

- Źle mnie zrozumiałaś, Polly. Pozwól, żebym ci wytłumaczył. Wpuść mnie.

Polly cofnęła się i przepuściła go obok siebie do holu. Był tak blisko, że czuła jego zapach, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. Wszedł do salonu. Spencer gulgotał z zadowoleniem na jej rękę, ale Polly położyła go na leżaczku, zapięła pasek i opuściła sznur kolorowych, plastikowych zwierzątek, żeby miał się czym zająć.

Niewiarygodne, ale usłyszała swój głos, proponujący mu coś do picia. Jego obecność działała na nią obezwładniająco.

- Kawy, herbaty, soku?

Jack potrząsnął głową, pragnąc jak najszybciej wyrzucić z siebie to, co chciał jej powiedzieć.

- Nie chcę niczego, Polly. Chcę ciebie. Chcę, żebyśmy byli razem.

Polly usiadła.

- Okropnie za tobą tęsknię. Byłem kretynem. Spotykając ciebie, dostałem drugą szansę w życiu i o mało nie zmarnowałem jej przez swój egoizm i upór. Przepraszam.

Okropnie kusiło ją, żeby podbiec do niego z otwartymi ramionami, pozwolić się objąć. Tak długo była silna. Zmusiła się jednak do pozostania na miejscu.

Spencer zaczął marudzić.

- To nie jest takie proste, Jack. Wiesz, że nie. Krążymy wokół tego tematu. Spencer jest tutaj i zostanie jeszcze przez kilka lat. A nawet kiedy Cressida rozpocznie dorosłe życie i weźmie go do siebie, zawsze będą stanowić ogromną część mojego życia. To moje dzieci. A ty nie chcesz mnie z nimi dzielić. Myślałam, że chcesz, ale okazało się, że nie. Udowodniłeś to, kiedy się wycofałeś. To znaczy, że nam się nie uda.

Pomyślała o słowach Susan. Prosiła go o bardzo wiele. Może zbyt wiele. Ale prosiła, a on jej odmówił. Jak mogli teraz zaczynać od nowa?

W holu zadzwonił telefon. Polly spojrzała na zegarek. To na pewno Cressida - często telefonowała o tej porze. Spencer zaczął popłakiwać. To czas jego spania.

- Powinnam odebrać.

- Jasne.

Polly wyszła do holu, zamykając za sobą drzwi. Cressida nie lubiła słyszeć płaczu dziecka. Mówiła, że od tego aż bolą ją piersi.

Jack nachylił się nad Spencerem.

- Jesteś po prostu przeciwko mnie, mały? Prawda? Nie jestem dla ciebie żadną konkurencją. - Mówił ironicznym, trochę rozbawionym tonem, lecz jego głos brzmiał nisko i miękko.

Spencer, obracający główką na obie strony w proteście przeciwko nagłemu osamotnieniu, uspokoił się w jednej chwili i spoglądał na Jacka szeroko rozwartymi oczami. Jego usteczka układały się w szereg maleńkich „o”, jakby próbował puszczać kółka z dymu.

Jack wyciągnął palec i ostrożnie pogładził go po policzku. Przez drzwi słyszał głos Polly. Wiedział, że rozmawia z Cressidą - w stosunku do dzieci zawsze przybierała pewien szczególny ton. Przypuszczalnie także o to był zazdrosny. Co za kretyn. Zdziwiony własnym gestem, odpiął klamerkę i podniósł Spencera pod pachy. Chciał się przekonać, co to za uczucie. Nigdy w życiu nie trzymał tak małego dziecka. Spencer był ciepłutki, czuł jego żeberka pod śpioszkami i oddech. Przytulił do swej twarzy miękkie policzki, który przed chwilą gładził, ostrożnie, żeby nie podrapać go zarostem. Polly lubiła, kiedy całując się z nią, drapał ją brodą w policzki. Spencer wyciągnął rączki do jego twarzy, wkładając paluszek w nozdrze, a drugą rączką ciągnąc za dolną wargę. Jack nigdy przedtem nie doświadczył takiego poczucia odpowiedzialności za bezbronną, zależną od niego istotkę. Był także ciekawy. To nie miłość, byłoby to śmieszne, lecz instynktowny impuls, całkowicie poza jego kontrolą. Spencer teraz podrapał go całkiem boleśnie swoim małym, ostrym paznokietkiem. Jack przytrzymał go na odległość wyciągniętych ramion i przyjrzał mu się.

Głowa dziecka opadła bezwładnie do tyłu. Jack odruchowo podłożył mu dłonie pod główkę, cały czas trzymając go pod pachy. Podparty w ten sposób Spencer nadal gapił się na niego wygłodniałym wzrokiem.

Jack podjął przerwana rozmowę.

- No co, ty mały krwiopijco?

Kiedy na buzi Spencera rozlał się szeroki uśmiech, Jack poczuł, jakby właśnie wygrał główny los na loterii. Zaprzagnął, aby Spencer znowu się uśmiechnął.

I tak zastała ich Polly. Później zawsze powtarzała, że nie mogła uwierzyć, jak szybko Spencer oczarował Jacka. To cudowne nawrócenie wydawało jej się zbyt nieprawdopodobne. Wyszła na trzy, może cztery minuty, a po powrocie zastała mężczyznę w średnim wieku absolutnie zniewolonego przez niemowlę. Stan ten, jak później ze śmiechem opowiadała, utrzymywał się niezmiennie przez wiele lat. Jack na to śmiał się także, swoim gromkim, soczystym śmiechem, obejmował ją i wyjaśniał, że to kompletny nonsens. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nic tak nie działa na kobiety, jak mężczyzna z dzieckiem w ramionach. Była to zimna kalkulacja, obliczona na to, aby ją odzyskać. Tak naprawdę nie mógł znieść smarkacza. Nikt, kto widział choć raz, jak grają w krykieta w ogrodzie, zjeżdżają z ogromnej, zielonej zjeżdżalni na basenie albo przepytują się nawzajem z nazw stolic, drużyn piłkarskich czy marek samochodów, nie uwierzył w to ani przez chwilę.

Listopad

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Alchemik Paulo Coelho, 2003*

To opowieść o Santiago, andaluzyjskim pasterzu, który śni, że przemierza świat w poszukiwaniu wspaniałego skarbu. Z rodzinnego domu w Hiszpanii wyrusza na egzotyczne bazyry Tangeru, a potem na egipską pustynię, gdzie oczekuje go brzemiennie w skutki spotkanie z alchemikiem. *Alchemik* to powieść, która was odmieni, opowiadająca o podstawowej ludzkiej mądrości, jaką jest słuchanie własnego serca, właściwe odczytywanie znaków napotykanym na ścieżce życia, a ponad wszystko - słuchanie własnych marzeń.

* P. Coelho, *Alchemik*, przeł. Basia Stępień, Andrzej Kowalski, Warszawa 2003.

Wydaje mi się, że przyjęliśmy zasadę nieczytania literatury niefabularnej?

- Słusznie!

- I właśnie dla tej książki mamy ją złamać?

- Chętnie porozmawiam z dwudziestoma tysiącami osób, których życie odmieniło się dzięki jej przeczytaniu... jeśli wierzyć temu, co piszą na obwolucie.

- Ja też. No dobrze, Susan. Powiedz nam, dlaczego... Susan zrobiła śmieszny minę.

- Bo uwierzyłam notce na obwolucie? - To było pytanie.

- Ładna okładka, nie za wiele stron, autor trochę przypomina Rogera?

- To nie wystarczy. Gdyby naszego klubu nie uszczupliło już i tak odejście Clare, chyba powinniśmy cię wykluczyć.

- Przykro mi.

- Poczekaj, nie przepraszaj Harriet. Ona tu nie rządzi. - Nicole też się śmiała. - Nie musimy przepraszać za nasze wybory. Do znudzenia powtarzam wam, że nie o to chodzi w podobnych spotkaniach. Chodzi o to, żeby przeczytać coś, czego nigdy by się nie przeczytało samemu. Nie mam racji, Harriet?

Harriet przybrała bardziej ustępliwy wyraz twarzy.

- Poza tym - ciągnęła Nicole - ja także stwierdziłam, że to niezwykła książka. To całkiem nowe doświadczenie.

- Żartujesz? - Polly popatrzyła na swój egzemplarz z niedowierzaniem.

- Jestem śmiertelnie poważna. Wydaje mi się, że można w niej znaleźć rzeczy, które naprawdę dają do myślenia.

- O tak, z całą pewnością - stwierdziła Harriet sarkastycznie. - A oto jedna z nich. - Przekartkowała strony, z których wiele miało pozaginane rogi. Kiedy Harriet coś się nie podobało, miała zwyczaj zasypywać słuchaczy argumentami. - Chociażby tutaj. - Ponownie przybrała niski głos, z ciężkim akcentem: - „Wszystko, co zdarza się raz, może już nie przydarzyć się nigdy więcej, ale to, co zdarza się dwa razy, zdarzy się na pewno i trzeci”. - To słowa geniusza.

- No dobrze, zgadzam się, że trudno cokolwiek zrozumieć.

- Podoba mi się sposób, w jaki jest napisana. Jak przypowieść. Można sobie wyobrazić, jak opowiadają ją, wiele wieków temu. Taka prosta.

- Prosta to odpowiednie słowo.

- Co w takim razie dało ci do myślenia, Nicole?

- Zaraz - Nicole starała się szybko sformułować swoje przemyślenia, aby powiedzieć coś sensownego, zanim pozostałe jej przerwą. Zdecydowanie tym razem nie miała wielu zwolenników, poza być może Susan.

- Myślę, że można tu wyczytać kilka inteligentnych spostrzeżeń na temat samookreślenia i wiedzy o sobie, co akurat teraz bardzo mnie dotyczy. Santiago wyrusza w podróż w poszukiwaniu samego siebie, prawda? Chodzi o przysłuchiwanie się własnemu sercu. Jest tam fragment, w którym zadaje pytanie: „Dlaczego mam zatem słuchać serca?”. Otrzymuje odpowiedź: „Bo nie uciszysz go nigdy. Nawet gdybyś udawał, że nie słyszysz, o czym mówi, nadal będzie biło w twojej piersi i nie przestanie powtarzać tego, co myśli o życiu i o świecie”.

- Zgoda, ma rację w kilku punktach. Dosyć oczywistych, ale ma. Nie sądzisz jednak, że do tych kilku prostych prawd wiedzie niewiarygodnie długa i pokrętna droga?

- No tak. Muszę przyznać, że straciłam cierpliwość przy tych wszystkich fantastycznych momentach - sam alchemik, „znaki”, które on ciągle znajduje...

- Te idiotyczne kamienie, którym zadaje pytania...

- I to, że zamienia się w wiatr, aby nie zostać zamordowany.

- Słyszałam już te same prawdy w bajkach, tylko zwięźle podane. Słuchaj głosu serca. Miłość ponad wszystko. Czasami to, czego najbardziej pragniesz, jest tuż obok, tylko tego nie zauważyłeś.

- Może po prostu nie jesteś teraz w nastroju na podobną książkę. Ja byłam. Kiedy mówią, że potrafi zmienić życie, może chodzi o to, że to nam potrzebna jest zmiana.

- Wszystkim nam była potrzebna w ciągu ostatniego roku, prawda?

Umilkły, zastanawiając się nad zwrotami we własnym życiu. Harriet myślała o tym, jak straciła Tima i jak znalazła go na powrót, dokładnie takim, jakiego zawsze pragnęła. Nicole myślała o tym, jak odkryła samą siebie. Polly o tym, jak zrezygnowała z Jacka, żeby pójść za głosem serca i pomóc Cressidzie, i jak jego serce sprawiło, że wrócił. Może książka mogła nauczyć czegoś każdą z nich.

Milczenie było najlepszą odpowiedzią. Harriet przerwała ciszę.

- Być może. Obyłabym się jednak bez tych wszystkich hokus-pokus.

- Na tym polega starożytna sztuka opowiadania, prawda? Przebieranie rzeczy w fantastyczny kostium, żeby zainteresować słuchaczy. Na przykład Biblia. Ta książka to taka mini-Biblia. Lista zasad, jak należy żyć, przedstawiona jako bajka.

- Zgadzam się z tym, że największym kłamstwem jest wiara w to, iż w pewnym momencie naszego życia tracimy wpływ na to, co się z nami dzieje, i zaczyna nami rządzić los. Uważam, że to prawda - ja też nie wierzę w przeznaczenie.

- A ja tak. Zwałam na nie wszystkie moje obsuwy - roześmiała się Harriet. - Szczerze mówiąc, najbardziej interesujące zdanie na temat losu usłyszałam na studiach. Ktoś powiedział - chyba George Eliot - że życie jest jak statek. Nie możemy zmienić jego kursu, ale możemy się po nim poruszać, niezależnie od tego, dokąd płynie. Zawsze mnie to przekonywało. Na niektóre sprawy nie mamy wpływu. Ale to nie znaczy, że mamy nic nie robić.

- Tylko że on się trochę płacze. Najpierw twierdzi, że nie ma losu, ponieważ wszystko zależy od nas, a jednak ciągle gada o wróżbach, znakach, które nas prowadzą - to przecież także jest los?

- Czy los to samo co przeznaczenie?

- Chyba tak. - Nicole nie była w stanie zmienić Gavina. Próbowała latami. W końcu jednak mogła zmienić swoje reakcje.

- Podoba mi się bardzo to, co mówi o czasie. Pisze, że „Dla mnie istnieje tylko dzisiaj i nie obchodzi mnie nic więcej... Zrozumiesz, że tak jak pustynia tętni życiem, tak niebo jest pełne gwiazd... twoje życie stanie się świętem, wielkim widowiskiem, ponieważ będzie tą chwilą, którą właśnie żyjesz, żadną inną”.

- To chyba niezbyt oryginalne? Żyj chwilą?

- Inni ludzie także mogą zmienić nasz los - powiedziała Susan. - Na przykład moja mama odmieniła mój.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie była moją prawdziwą matką. Zostałam adoptowana. - Wcześniej nie powiedziała o tym nawet Polly. Nadal bardzo silnie to przeżywała. Rewelacja Susan spadła na pokój z siłą meteorytu.

Nicole była zdumiona.

- Nigdy nam o tym nie wspominałaś.

- Sama nie wiedziałam. Trzymała to w tajemnicy. Chyba nikt nie wiedział, z wyjątkiem ojca. Razem z Maggie znalazłyśmy jej list, kiedy w zeszłym tygodniu porządkowałyśmy dom. Miałyśmy go przeczytać dopiero po jej śmierci.

Słuchały zafascynowane. To stało się nagle nieskończenie bardziej interesujące niż Santiago i jego wędrówka po pustyni.

- Byłam dzieckiem jej siostry, Dorothy. Dorothy zaszła w ciążę i urodziła mnie w sekrecie, ponieważ nie była zameżna. Potem zginęła. Mama - Alice - wzięła mnie do siebie i udawała, że jestem jej dzieckiem.

- O matko, Suze - Polly, która siedziała naprzeciwko, wstała i podeszła do niej. - To musiał być dla ciebie okropny szok.

- Początkowo nie mogłam tego przyswoić. Nadal nie potrafię. Wszystko, czym byłam, co o sobie myślałam, musi się teraz zmienić. Jestem kimś innym. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Głos jej zadrżał.

- Wcale się nie dziwię - stwierdziła Harriet. - Czemu nigdy ci nie powiedziała? Wy tłumaczyła to jakoś?

Susan wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie. Dlatego to takie frustrujące. Wyobraźcie sobie, w pewnym sensie jestem na nią zła za to, że umarła, zanim mi powiedziała. Chyba napisała w którymś miejscu coś takiego... nigdy nie chciała mi zdradzić, że nie jestem jej własnym dzieckiem, bo za bardzo mnie kochała.

- Tak jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie, po tym, jak cię wychowała. Miałoby znaczenie?

- Chyba byłabym ciekawa. Mogłabym chcieć dowiedzieć się czegoś więcej o Dorothy, o moim ojcu. Ale raczej nie. To ona była moją prawdziwą matką. To ona mnie wychowała. Dzięki temu jeszcze bardziej bym ją kochała. - Jej oczy wypełniły się łzami. - I cały czas tak strasznie za nią tęsknię. Umarła kilka miesięcy temu, a mnie nadal jest tak okropnie smutno, że ją straciłam. Zwłaszcza w taki upiorny sposób. Stopniowo, najpierw tylko umysł. To było okrutne. A teraz to. Uczciwie mówiąc, sama nie wiem, co mam czuć.

Polly objęła ją ramieniem. Była tak zajęta swoją własną rodziną i radością z powrotu Jacka, że nie zadzwoniła sprawdzić, jak Susan radzi sobie z porządkowaniem domu matki. Nie mogła sobie wyobrazić, jak się czuł ktoś, czyje życie w całości opierało się na kłamstwie.

- Niewiarygodne - przyznała. - To jak z jakiegoś romansidła.

- Wiem. Nie wydaje się realne, prawda? Chyba zapominamy, co musiały przechodzić niezamężne kobiety w ciąży zaledwie czterdzieści kilka lat temu.

- Czy Margaret wiedziała? - zapytała Polly.

- Nie, nikt nie wiedział. Była tak samo wstrząśnięta jak ja. Tak samo zdenerwowana, może nawet bardziej. Ja i mama byliśmy zawsze ze sobą bliżej. Chyba także dlatego Margaret tak szybko odeszła z domu - zawsze była zazdrosna. Teraz zastanawiam się, czy mama nie poświęcała mi więcej czasu, bo nie byłam jej własnym dzieckiem.

- Nie wydaje mi się - odparła Polly. - Wy dwie byłyście tak do siebie podobne. To było całkiem naturalne. Każdy to widział.

- Przecież była twoją mamą w każdym znaczeniu tego słowa, poza biologicznym. Tak właśnie powinnaś o tym myśleć - powiedziała Harriet łagodnie.

- Nie mogłam chyba kochać jej bardziej - przyznała Susan. - Zawsze byłam jej wdzięczna. Dlatego opiekowanie się nią, kiedy zachorowała, było dla mnie takie ważne. Nie mogłam znieść myśli o oddaniu jej do zakładu. Jakbym nie umiała zrobić dla niej czegoś, co ona zrobiła dla mnie. Postawić jej na

pierwszym miejscu. Wiem teraz, że nie musiała tego robić. Chciała. Z miłości do siostry, jak sądzę. Przez to mój dług wydaje się jeszcze większy.

- To nie jest dług. To niemądre. Opieka rodziców nad dziećmi to niezupełnie to samo, co dzieci nad rodzicami. Nie życzyłabym tego moim dzieciom. Wy chyba też nie? - Harriet rozejrzała się wokół. - Chcę powiedzieć, że nie wychowuję ich po to, aby mogły zatroszczyć się o mnie na starość. To działa inaczej. Nicole przytaknęła.

- Nie możesz dać się wciągnąć poczuciu winy, Susan.

- Zdecydowanie nie - dodała z naciskiem Polly.

Susan uśmiechnęła się do przyjaciółek. Ich sympatia i wsparcie były jasno widoczne i cieszyła się z tego. Oczywiście, miały rację. Jej życie nie opierało się na kłamstwie, lecz na uczynku pełnym niezwyklej dobroci i miłości. Musi teraz przyzwyczać się do nowego życia, do nowej historii, w której Alice jej nie urodziła. Do przyszłości bez Alice. Ale może z Margaret. Wydawało się to odpowiednim zakończeniem dla siostry, która tak długo była sama.

Popatrzyły na pomarańczowe egzemplarze *Alchemika*. Prawdziwe życie zwyciężyło.

- Gdyby Santiago miał brata zamiast stada owiec i ukryty list zamiast jakichś durnych kamieni, miałybyśmy świetną historię!

Susan śmiała się najgłośniej ze wszystkich - tym szczególnym śmiechem, który w sześćdziesięciu procentach składa się z łez.

- Harriet! Uwielbiam cię! Jesteś po prostu okropna.

- Wiem, wiem. Nie dziękujcie mi.

19.15

- Jak zwykle robimy wszystko w ostatniej chwili.

- Mamy mnóstwo czasu. Zaczynamy dopiero o wpół do dziewiątej, prawda?

- Tak. Ale nie zapominaj, że teraz nasza kolej przynieść jedzenie.

- Zapomnieć? *Moi?* Nigdy! Kupiłam kurczaka i sałatkę na wynos. Nie ma problemu. Nikt nie spodziewa się domowego jedzenia przed świętami.

- Mów za siebie. Ja spędziłam pół nocy, piekąc biszkopt z sherry.

- Ty światowa damo!

- Ani się waż ze mnie śmiać. Spróbuj zajmować się ząbkującym niemowlęciem.

- Czy mi się wydaje, czy Cressida przyjechała na ferie? To chyba ona powinna maszerować po korytarzu we wczesnych godzinach porannych?

- Chyba powinna, ale jest taka zmęczona. Bardzo dużo się uczy, poza tym miała kilka imprez na zakończenie semestru. Chciałam, żeby sobie pospała.

- Polly Bradford, jesteś niepoprawna.

- Wiem. Niepoprawna, ale szczęśliwa.

Susan oderwała rękę od kierownicy i ścisnęła kolano przyjaciółki.

- Tak się cieszę.

- Poza tym nie przeczytałam do końca książki.

- Ty niedobra dziewczyno!

- Wiem, wiem. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Myślę, że masz więcej niż inni.

- Możliwe. - Polly uśmiechnęła się żałośnie.

- I tak przyjdę. Nie będę już miała okazji zobaczyć się z Harriet i Nicole przed świętami.

- Musisz przyjść. Inaczej cię rozszarpia.

- Powiedz mi, które z tych toreb są twoje? Chyba prawie wszystkie. - Susan wskazała ręką na tylne siedzenie, na którym piętrzyły się plastikowe pakunki.

Spędziły dzień w Londynie wbrew radom Rogera, który stwierdził, że to istne szaleństwo o tej porze roku. Bardzo przyjemne szaleństwo. Miasto roilo się od kupujących, zirytowanych swoją własną nieporadnością, przepychających się na zatłoczonych ulicach, w zaskakująco cieplej temperaturze jak na tę porę roku. Obie cieszyły się, że wcześniej załatwiły wszystkie poważniejsze sprawunki. Susan z Rogerem w podmiejskim centrum handlowym pewnej niedzieli, wiele dni wcześniej, a nieprzytomna z niewyspania Polly przez internet, pewnej listopadowej nocy, kiedy Spencer długo nie chciał zasnąć.

Ten dzień był całkiem inny. W takie dni idzie się na lunch do Harveya Nicholisa i pije szampana. Potem przystanek w Nail Bar na manikiur - na tę okoliczność Polly ogoliła nogi i włożyła elegancką bieliznę. Znalazły także to, czego szukały. W pierwszym sklepie, do którego weszły. Przepiękną suknię ślubną. Składała się z jedwabnej halki chabrowego koloru, długiej i wąskiej, na którą nosiło się o ton ciemniejszą długą, aksamitną tunikę, z szerokim kołnierzem haftowanym srebrną nicią w kwiatowe motywy. Na głowie Polly miała przepaskę z tego samego jedwabiu ozdobioną pękiem chabrowych piór, dżetami i perłami, która prześlicznie lśniła na jej kręconych włosach. Susan uroniła kilka łez, kiedy zobaczyła przyjaciółkę wyłaniającą się z przebieralni.

- Tak ślicznie wyglądasz.

- Być może, ale czy z tego da się wywabić plamy po Spencerze?

Polly jednak także zebrało się na płacz, kiedy ujrzała się w potrójnym lustrze, ponieważ spoglądała na nią stamtąd obca, piękna osoba. Wiedziała, że to nie tylko zasługa sukienki. To szczęście sprawiało, że olśniewała, że błyszczały jej oczy i trzymała się idealnie prosto. Może nawet poprzedzające je nieszczęście przyczyniło się do utraty kilku funtów. Dzięki temu materiał nie opinał jej się na brzuchu i nie podkreślał ud zapaśnika. Szczęście jednak dodało jej blasku. Nie miała nawet zamiaru sprawdzać ceny. Zastanawiała się, czy w grudniu można dostać żywe chabry.

Otworzyła drzwi i zebrała torby z zakupami.

- Dzięki za dzisiejszy dzień, Suze. Fantastycznie się bawiłam.

- Ja też. Na razie. Jack cię podrzuci?

- Tak. Widzę, że już jest. - BMW Jacka stało przed domem.

- Słuchaj, ani się waz pokazywać mu sukni. Wiem, że wszystko ma się odbyć szybko i skromnie, ale to nie znaczy, że wyrzucamy na śmietnik wszystkie dobre tradycje. On ma jej nie widzieć. Słowo?

- Słowo - roześmiała się Polly. Susan była bardzo staroświecka. Już postanowiła, że trzydziestego grudnia Polly musi przenocować u niej - nieważne, czy Cressida da sobie radę sama, czy nie - ponieważ nie wierzyła, że Jack nie przyjdzie w ostatniej chwili i że Polly go nie wpuści.

Polly odwróciła się na progu, żeby pomachać.

- Nie pokazuj mu też tego drugiego! - krzyknęła Susan i odjechała.

Miała na myśli koszulę nocną od Janet Reger, którą kupiła Polly w prezencie ślubnym, perłoworóżową, ozdobioną koronką. Była to najpiękniejsza rzecz, w jakiej Polly spała kiedykolwiek (przy czym miała nadzieję, że i teraz nie zaśnie).

Jack zobaczył ją przed domem i otworzył drzwi, kiedy Polly grzebała w torebce w poszukiwaniu klucza.

- Czego masz mi nie pokazywać? - Trzymał na ręku Spencera.

- Nie twoja sprawa!

Pocałowali się i Jack potarł nosem o jej nos.

- Miły dzień, skarbie? Zadanie wypełnione?

- Zdecydowanie tak. A u ciebie?

- W porządku. Ten mały człowiek będzie miał zęby, jak twierdzi jego mama.

Polly postawiła torby pod wieszakiem z ubraniami, zrzuciła niedbale płaszcz i wyciągnęła ramiona do Spencera.

- Mój najdroższy, mądry chłopczyk. Co robiłeś kiedy babci nie było?

Jack, który przekazał jej dziecko, dopiero teraz zauważył liczbę i rozmiary pakunków.

- Ty chyba też byłaś mocno zajęta. Znalazłaś jakieś seksowne kostiumy kąpielowe?

Pierwszego stycznia zabierał ją na Barbados, na tygodniowy miodowy miesiąc. Starał się utrzymać to w sekrecie, lecz Polly tak długo go prosiła i prowokowała, że w końcu uległ. Nigdy nie była w podobnym miejscu. Tego ranka zeszła na dół, wymachując swoim praktycznym, granatowym kostiumem, który od trzech lat służył jej w czasie porannego pływania w ośrodku sportowym, przesiąknięty chlorem i powyciągany. Jack uznał, że jeśli tylko na to ją stać, zastanowi się, czy nie zabrać na miodowy miesiąc kogoś innego. Potem podszedł do niej, kiedy stała przy tosterze, czekając, aż wyskoczą grzanki, objął ją dłońmi za pupę i zasugerował, żeby poszukała czegoś bardziej skąpego, w kolorze nieprzywodzącym na myśl szkolnych zawodów pływackich. Obok gulgotał radośnie Spencer, oblizujący grzechotkę.

- Kupię sobie różowe stringi - odparła Polly. - Wzbudzę sensację pod wodą, prawda? - Nawet Spencer zachichotał.

- Zastanawiam się, czy w hotelu zorganizują konkurs na najpiękniejszą babcie?

- Nie miałam pojęcia, że Barbados oferuje takie atrakcje.

- Cha, cha, cha. Przynależem ci pięciogwiazdkowe luksusy, przyszła pani Fitzgerald, i będziesz je miała.

- Wszystko mi jedno, ile ma gwiazdek, pod warunkiem, że codziennie będę mogła spać do południa.

- Nie o tym marzą faceci w czasie miodowego miesiąca. Oblubienica w śpiączce.

Podeszła do niego, przemawiając tym samym, melodyjnym głosem, którym na ogół zwracała się do Spencera:

- Mój biedaku, boisz się, że nie będę się tobą zajmować? Objęła go za szyję i przyciągnęła jego twarz do swojej.

- Czy was w ogóle cokolwiek obchodzi? W tym pokoju znajduje się niemowlę. Nie wspominając o targanym burzą hormonów nastolatku i pozbawionej snu zombie. - Cressida, która właśnie pojawiła się na dole, wskazała na Spencera, Daniela i na końcu na siebie. Opadła na krzesło, rozczochrana, w krzywo zapiętej piżamie. Uśmiechała się.

Co za przedziwna, wspaniała rodzina, pomyślała Polly. Moje dziecko ma dziecko. Ja zachowuję się jak nastolatka. Jack jest kimś ważnym - nawet jeśli nie ma na to jeszcze określenia - dla Daniela, Cressidy i Spencera. Dzięki Bogu. Udało nam się. Wszystko pójdzie dobrze.

- Hej, hej, mammo.

- Cześć, kochanie. - Pocałowała Cressidę w policzek. - Jak się sprawował?

- Był cudowny, prawda, najdroższy? Trochę marudny przez chwilę, ale to chyba przez te zęby.

- Znalazłaś żel? I gryzaczek? Były w lodówce. Powinam była ci powiedzieć. Przepraszam.

Cressida uśmiechnęła się do matki. Właśnie wróciła z kuchni z butelką dla Spencera.

- Wszystko znalazłam. Nie martw się. Poradzimy sobie. Chyba wykupiłaś wszystko w sklepach. Znalazłaś coś fajnego?

- Owszem. - Polly nie mogła się powstrzymać, żeby nie zatańczyć w miejscu. - Chcesz zobaczyć? Mam pół godziny przed wyjściem.

- Muszę nakarmić Spencera.

- Dajcie mi go i idźcie sobie. Chodź, kolego, załapiemy się na koniec sportu. - Jack zabrał Spencera od Polly, wywracając teatralnie oczami. Cressida wręczyła mu butelkę i położyła na ramieniu złożoną szmatkę, wygładzając ją na koszuli. Pod wpływem impulsu pocałowała go szybko.

- Dzięki.

Polly z zachwytem obserwowała malujące się na jego twarzy dumę, miłość i czułość, kiedy sięgał po pilota od telewizora, mruczając coś do Spencera na temat zakupów i kobiet.

W jednej z toreb znajdowała się kartka świąteczna. Susan powiedziała, że dała jej ją Mary z prośbą o przekazanie Polly. Całkiem o niej zapomniała. Otworzyła ją. „15 listopada. Najlepsze życzenia świąteczne”. Była to kartka organizacji Na Ratunek Dzieciom, podpisana ręką Clare, z jednym krzyżykiem oznaczającym całusa. Po lewej stronie Clare napisała:

Jestem na właściwym miejscu. Mogę pomóc wielu osobom, a to z kolei pomaga mnie. Jest tu tak wiele spragnionych miłości dzieci, a ja mam tyle miłości do ofiarowania. Myślałam, że już jej nie mam, ale to tak naprawdę dopiero początek. Mam nadzieję, że u Ciebie, Cressidy i małego Spencera wszystko dobrze.

Zapoczątkowałam klub książkowy! Mamy jednak tylko po jednym egzemplarzu każdej książki, więc czytanie trwa bardzo długo. Myślę o Was za każdym razem, kiedy coś czytam. Całuję.

Clare była bardzo dzielna. Wyjazd do Rumunii i tak radykalny zwrot w życiu wymagały wiele odwagi. Kartka jednak sprawiła na Polly wrażenie czynu niezwykle bohaterskiego. Oczyma duszy ujrzała cichą, nieśmiałą Clare dyrygującą dyskusją w klubie książkowym. Kiedy Cressida wróciła do pokoju, Polly bez słowa podała jej kartkę.

Cressida przeczytała i odezwała się drżącym głosem:

- Tak się cieszę.

- Ja też.

- To jakby mi wybaczyła.

- Myślę, że tak się stało.

Cressida opuściła głowę na ramię Polly.

- Nigdy nie myślałam, że będę taka szczęśliwa, mając dziecko.

- Nigdy się nie wie przedtem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu na łóżku, spoglądając na kartkę. W końcu Cressida wstała.

- Sukienka jest boska. Jack padnie z wrażenia. Ale przemyśl raz jeszcze strój dla Spencera. Mój syn nie będzie paradował w jedwabnych pantalonach.

- To mój ślub i ja tu decyduję.

- Ale to moje dziecko.

Przekomarzały się. Polly nie była przekonana co do spodenek, namówiła ją Susan. Czemu posłuchała ekscentrycznej rady kobiety, która strzygła swoich synów na pazia praktycznie do momentu, kiedy stali się nastolatkami? Podniosła rękę.

- Nie będę teraz o tym dyskutować. Mam spotkanie klubu.

- Nie martw się, to może poczekać do jutra. Chyba że przyjdzie mi do głowy je spalić, podczas kiedy ty będziesz u Susan.

- Ani mi się waż!

- Proszę o spokój! Niektórzy z nas ucinają sobie drzemkę. Polly, rusz się, bo się spóźnisz. - U dołu schodów stał Jack, wymachując kluczykami od samochodu.

- Idę!

- Ale jak dzidzie dostają się do brzuszka? - Goła, ociekająca wodą Chloe stała na łazienkowej macie w swojej najbardziej upartej pozie, na rozstawionych nogach, z pulchnymi rączkami wspartymi na biodrach.

Harriet odgarnęła jej włosy z oczu. Tego dnia jedno z dzieci przyszło do szkoły ze swoim niedawno urodzonym małym braciszkiem. Harriet obserwowała, jak matka z trudem wydostaje się z samochodu, z wyjąłym niemowlęciem w ciężkim foteliku. Poruszała się niezgrabnym krokiem kobiety, która niedawno urodziła. Można było dostrzec nadal wystający brzuch i charakterystyczną bladość, spowodowaną brakiem snu i karmieniem na zawołanie. Koleżanki Chloe uparcie wyciągały ręce w stronę fotelika, dopóki matka nie zgodziła się postawić dziecka na podłodze. Następnie dwanaście przenoszących rozmaite bakterie czterolatek zgromadziło się wokół niego, powodowane niepohamowaną ciekawością i potrzebą, żeby „głaskać” i „tulać”. W rezultacie temat dzieci opanował Chloe na resztę dnia. Była najwyraźniej rozczarowana historią o mamach i tatusiach, którzy kochają się i mają dziecko. „Nasionka” tatusia i „jajeczka” mamusi także nie odniosły wielkiego sukcesu. Tydzień wcześniej w przedszkolu dzieci siały nasionka na ligninie ułożonej w skorupkach od jajek. Po pewnym czasie wyrastała z nich odrobina zielonej, pachnącej pleśnią rzeżuchy, którą zjadało się na kanapce, a nie coś, co można kołysać i ubierać. Całej sprawy nie rozwiązała nawet obietnica wycieczki na położoną niedaleko farmę (bardzo w stylu książeczki *Martynka na wsi*; wyłącznie słodkie jagniątko i prosiaczki, żadnego błota i nawozu), żeby obejrzeć małe zwierzątko. Chloe żądała szczegółów.

Josh, świeżo po kąpieli, drobny i wzruszający z wilgotnymi włosami, wyrastający ze swojej piżamy ze Spidermanem, chichocząc (i nie czyszcząc zębów), przeskakiwał z nogi na nogę. Wyglądało na to, że doskonale wie, co trzeba zrobić, aby osiągnąć pożądany wynik. Tę drogocenną wiedzę uzyskał zapewne w trakcie tajnych narad po lekcjach w szkolnej toalecie i rozpaczliwie pragnął podzielić się nią z Chloe. Harriet bardzo chciała tego uniknąć. Chloe z pewnością nie przegapi okazji, aby opowiedzieć pani Bond, swojej nauczycielce, o tym, czego właśnie się dowiedziała. W zeszłym tygodniu poinformowała kasjerkę w sklepie, że mama ma owłosioną pupę. Jeszcze tydzień wcześniej zaatakowała na basenie jakiegoś Bogu ducha winnego faceta, który miał na sobie niepokojąco obcisłe i skąpe kąpielówki. Chloe, znajdująca się dokładnie na poziomie jego ud, poinformowała wszystkich dookoła, że widzi siusiaka. Co z tego, że miała rację. W ostatnim czasie Harriet bezustannie rozglądała się nerwowo dookoła, gotowa zagłuszyć córkę lub - w najgorszym możliwym wypadku - chwycić ją i pędem opuścić miejsce wydarzeń. W tych okolicznościach zapewnienie Chloe choćby podstawowej wiedzy o seksie nie wydawało się rozsądne.

- Josh!

Nie przestawał chichotać. Nie mógł się opanować. Harriet zawsze zdumiewała się, jak przezabawne może wydawać się małemu chłopcu wszystko, co związane jest z ciałem.

W tej chwili usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Dzięki Bogu. Zdażyła tylko zarzucić ręcznik na ramię Chloie, która pogalopowała na dół, wykrzykując swoją mantrę:

- Tatusiu! Tatusiu! Josh popędził za nią.

Kiedy Harriet znalazła się na dole, Tim stał jeszcze w płaszczu, choć Chloe, którą trzymał w zagięciu ramienia, próbowała rozwiązać mu szalik.

- Poczekajcie. Dajcie mi pocałować mamę. - Miał bardzo zimny nos i policzki. - Mmm... Jaka jesteś ciepłutka. - Opuścił Chloe na podłogę i objął Harriet ramionami.

Wsunęła ręce pod jego płaszcz.

- A ty lodowato zimny.

Kiedy zatrzymała na chwilę dłonie na jego pośladkach, zrobił to samo, podnosząc ją do góry i całując miejsce, gdzie szyja przechodziła w ramię. Pachniał wodą po goleniu, wełną i świeżym powietrzem. Pachniał sobą.

Chloe wcisnęła się między ich nogi, wystawiając głowę do góry. Harriet przypomniała sobie, że mała jest całkiem goła.

- Chodź, robaczku, znajdziemy ci jakąś piżamkę.

- Ja chcę tę z pieskami. - Oznaczało to dodatkowe dziesięć minut zawracania głowy przed wieczorną bajką, ponieważ Chloe musiała nazwać po imieniu każde z narysowanych na piżamie komiksowych zwierzątek. Harriet jęknęła przeciągle.

- Zostaw, ja to zrobię. Chcesz sobie usiąść na chwilę? - Tim wyjął z teczki „Evening Standard”.

- O Boże, jasne że tak. Jesteś aniołem. - Harriet powlokła się do salonu, słuchając, jak cała gromadka idzie na górę. Dzieci biegały wokół Tima jak szczeniaki, wykrzykując o wydarzeniach całego dnia. Na szczęście Chloe puściła w niepamięć śledztwo na temat dzieci.

Niegdyś w takich chwilach Harriet czuła się wykluczona. Jak oszustka. Siedziała na dole, udając, że musi odpocząć, albo obserwowała ich od progu, wynajdując prawdopodobne zajęcia, aby nie należeć do szczęśliwej, rodzinnej sceny. Nie chciała być hipokrytką, udawać czegoś dla dobra Tima albo dzieci. Uważała, że go nie kocha. Sądziła, że w końcu od niego odejdzie.

Wypadek okazał się pierwszą kostką domina, która popchnęła wszystkie inne i zmieniła cały jej świat. Popchnął do działania Tima. teraz wszystko wydawało się takie oczywiste. Jak to było w piosence? „Nigdy nie wiesz, co masz, póki nie stanie się za późno...”. Czego szukała? Na pewno nie Nicka ani Charlesa. Wszystko jej się pomieszało. Charles był wspomnieniem odbitym w krzywym zwierciadle. Nick fantazją, przeniesioną z przyćmionego światła wyobraźni w jaskrawy blask rzeczywistości. Nie zwracała uwagi na oczywiste oznaki życia wokół siebie. Nigdy już nie chciała się tak bać, jak przez te tygodnie, kiedy Tima nie było. Teraz rozumiała, na czym ten lęk polegał: nie bała się domowej samotności, wymienia korek, płacenia rachunków. Nie chciała być bez Tima. Tima, który zakochał się w dziewczynie z nosem zatkanym od wielogodzinnego płaczu. Mężczyzny, który kochał każdą uncję jej ciała, kiedy była w ciąży. Mężczyzny, który wiedział wszystko o Nicku i nie zrobił nic, bo uważał, że może im to w jakiś sposób pomóc. Który całymi dniami w szpitalu czytał na głos *Hobbita* nieprzytomnemu Joshowi. Tima.

Przestała rozglądać się wokół siebie w poszukiwaniu czegoś lepszego. Przypomniała sobie, a być może nawet odkryła po raz pierwszy, że to, co ma, jest bardzo dobre. Wiedziała, co wydarzy się dzisiejszej nocy, i następnej, i w weekend, a także, jeśli los pozwoli, przez wszystkie nadchodzące lata. Podobało jej się to. Nie czuła się przyduszona, jak pod ciężką poduszką, ale raczej otoczona przyjemnym ciepłem, jak w kąpieli. Szczęście. Zadowolenie. Poświęcenie. Bezpieczeństwo. Nie były to takie głupie słowa, mimo wszystko. To były wspaniałe słowa.

Nagle straciła ochotę na czytanie gazety. Chciała być na górze, razem z nimi. Tam, gdzie było jej miejsce.

Tim przebierał się. Przeciągnęła powoli wzdłuż jego pleców, między łopatkami, aż do miejsca nad krzyżem. Tim zadrżał i Harriet zrobiło się miło na myśl o swojej władzy. Pożądanie w środku tygodnia? Wszystko naprawdę się odmieniło.

- Wychodzisz dzisiaj, prawda?

- Tak, na spotkanie klubu książkowego. Ostatni raz w tym roku.

- To był dopiero rok. Dla was wszystkich.

- To prawda. Niesamowite, że dałyśmy radę przeczytać wszystkie te książki!

- Co macie dzisiaj w planach?

- *Dziewczynę z perłą* Tracy Chevalier. Świetna powieść.

- O czym?

- Głównie o niespełnionej miłości. Chociaż to zbyt duże uproszczenie.

- Książka dla dziewczyn.

- To prawda, kochanie. Żaden facet nie byłby w stanie pojąć podobnych rzeczy - oddanie, poświęcenie, natchnienie, ambicja...

- Albo inne wielkie słowa.

- Otóż to. Poradzicie sobie beze mnie?

- Jakoś przeżyję. Mam kilka spraw do załatwienia w związku z Bożym Narodzeniem, więc może lepiej, że nic będziesz się tu kręcić. - Wiedział, że nie znosiła tajemnic.

- Oooch. Dla mnie? Co kupiłeś?

- Nie ma mowy. Musisz poczekać.

- Wiesz, jak nie cierpię czekać. - Rzuciła się na niego i oboje upadli na łóżko.

- Proszę, proszę, proszę!

- Jesteś gorsza niż Chloe - roześmiał się. Harriet utkwiała w nim błagalne spojrzenie. - Jest jeden prezent, który możesz dostać wcześniej, jeśli nie dasz rady poczekać do Bożego Narodzenia.

- Z całą pewnością nie dam rady. - Harriet w pośpiechu podniosła się do pozycji siedzącej. Nie oczekiwała małego, skórzanego pudełeczka. Przez sekundę pomyślała, że może jednak powinna poczekać, ale przepędziła tę myśl i otworzyła je.

Tim obserwował jej twarz. W środku znajdowała się bransoletka z białego złota, z delikatnych, podłużnych ogniwek, z pięcioma breloczkami. Na każdym z nich znajdowała się inna litera, wypisana lśnącymi brylancikami: T, H, J, C. I stokrotka. Tak jakby potrzebowała objaśnienia, Tim powiedział:

- Po jednej za każde z nas, a stokrotki miałaś...

- ... w bukietcie na ślubie.

- Nie sądziłem, że pamiętasz.

Zrobiło jej się przykro. Kwiaty dostali od hotelu, wliczone w usługę. Nie myślała o nich przez całe lata.

- No jasne, że pamiętam. - Przez chwilę była zbyt wzruszona, żeby mu podziękować. Z pewnością zbyt wzruszona, żeby podskakiwać i głośno się cieszyć. Był to najpiękniejszy, najbardziej romantyczny i znaczący prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Mówiąc to, pocałowała go.

- Włóż ją.

- Czy nie powinnam jej zatrzymać na specjalne okazje?

- Nie. To na co dzień. Chcę, żeby od tej pory każdy dzień był dla nas wyjątkowy.

Do pokoju wpadła z impetem Chloe, w krzywo pozapinanej piżamie w pieski.

- Tato, miałeś mi poczytać i zapomniałeś. - Roześmiali się. Chloe wspięła się ojcemu na kolana, wołając Josha. Kiedy się pojawił, wyciągnęła do niego ręce i zażądała: - Przytulić razem.

19.25

Odcinek serialu właśnie dobiegał końca, lecz Cressida nie była właściwie skupiona na ekranie telewizora. Zamiast tego przyglądała się Spencerowi. Mogła to robić przez całą wieczność. Kiedy spał, wyglądały się wszystkie fałdki na jego ciele i skóra, bez śladu porów czy innych niedoskonałości, wydawała się idealnie aksamitna. Maleńkie żyłki nadawały powiekom błękitny odcień. Rzęsy rzucały cień na policzki. Różowa buzia zaciskała się i otwierała we śnie, pierś unosiła się w oddechu. W takim stanie jego ramiona i nóżki były zupełnie bezwładne. Leżał w łóżeczku z jedną ręką na twarzy, a drugą odrzuconą do tyłu. Każdy cal jego ciała wydawał się Cressidzie absolutnie czarujący. Począwszy od tyłu główki po maleńkie paznokietki u nóg, których nie nauczyła się jeszcze obcinać bez lęku. Kiedy nie spał, zawsze krążyła wokół niego jak zapracowana pszczoła. Podgrzać mleko, pocieszyć, uspokoić, wywołać uśmiech na buzi. Starła się odczytywać wyraz jego twarzy, szukając oznak głodu, bólu czy rozpoznania. Kiedy spał, mogła po prostu mu się przyglądać i podziwiać go. Ogromny balon miłości w jej piersi wzbierał aż do bólu.

W pokoju w college'u miała korkową tablicę, pełną fotografii. Dostała ją od mamy i Daniela, zanim wyjechała w październiku na studia. Polly posyłała jej nowe zdjęcia za każdym razem kiedy wywołała film. Spencer w kąpielni, na leżaczku, na macie, w foteliku samochodowym. Tablica wisiała przy drzwiach. Codziennie rano przed wyjściem na zajęcia Cressida całowała palec i przykładła go do jednego ze zdjęć.

Naturalnie, że za nim tęskniła. Z początku nie sądziła, że wytrzyma. Był taki maleńki. Wszystko zdawało się takie dziwne. Nikt z jej kolegów nie miał dziecka, żadna ze znanych jej osób. Wszyscy przy-

pominali ją samą sprzed zaledwie roku. Gdyby wyobrazić sobie, że znajdowali się na taśmie montażowej życia, to było tak, jakby jakaś maszyna umieściła ją na pewien czas gdzie indziej, w celu wykonania przeróbek, a następnie przywróciła na miejsce. Miała coś wyjątkowego. Nie powstrzymywało jej to od robienia tego, co wszyscy - nauki, picia, zabawy - ale była przez to inna. Miała dziecko i ojca tego dziecka, i nosiła w sobie wszystko, czego się od nich nauczyła.

Nigdy nie musiała ukrywać jego istnienia, ponieważ temat dzieci nie pojawiał się sam w rozmowach. Dopiero ktoś, kogo poznała na tyle dobrze, że odprowadzał ją do pokoju po wykładach, dostrzegał tablicę z fotografiami. Tak, to mój synek, Spencer. Ma około czterech miesięcy i na razie mieszka z moją mamą. Nie, nie jestem z jego ojcem. Dziękuję, tak, jest śliczny, przynajmniej ja tak uważam. Nigdy nie spotkała się z niechętną reakcją. Po pierwszym zdumieniu wszyscy mówili to co trzeba, a potem Cressida sama kierowała rozmowę na bardziej ogólne tematy. Pewna dziewczyna, Amie, z którą była w jednej grupie, bardzo ją nawet rozbawiła, mówiąc:

- Przecież widziałam cię na basenie!

- No to co?

- Widziałam cię nago.

- No i?

- Nie widać ani śladu. I masz taki płaski brzuch. A niech cię! Masz lepszą figurę niż ja, a ja przecież nie urodziłam dziecka.

Co prawda nigdy jeszcze nie wróciła do pokoju z facetem. Nie mogła sobie tego wyobrazić. To było zbyt dziwaczne. Choć według Amie macierzyństwo i ciąża nie zostawiły na niej śladu, nie była pewna, czy to do końca prawda. Jej ciało wydawało się inne. Po urodzeniu Spencera ani razu nie przespała się z Elliotem. Nie wydawało jej się to właściwe, wśród tych wszystkich uczuć. Nie miała także na to ochoty. Za wcześnie jednak, żeby się tym martwić. Nie sądziła, żeby istniał jakiś problem. W pierwszych dniach w college'u poznała Amie na imprezie zorganizowanej przez samorząd studencki. Właśnie myła ręce w toalecie, kiedy Amie wpadła do środka. Potem opowiedziała jej, że na imprezach chodziła często do łazienki, ponieważ siedząc spokojnie na białym porcelanowym sedesie, z dala od zgiełku, mogła sobie łatwiej uzmysłowić, jak bardzo jest pijana. Pomagało to w dokonaniu właściwego wyboru. Czy ma jeszcze się napić? Iść potańczyć? A może wrócić do domu z przystojnym sportowcem? I tym podobne. Na tej konkretnej imprezie była wystarczająco wstawiona, żeby stanąć obok Cressidy i wyrecytować na cały głos, patrząc w lustro:

- Nazywam się Amie Gordon i jestem zakochana w Simonie Frenchu.

Później nie była w stanie przypomnieć sobie, kim był Simon French ani co wywołało tak gwałtowne emocje. Amie regularnie chodziła do łóżka z chłopakami, których nie знаła zbyt dobrze, ale instynktownie zawsze wybierała autentycznie miłych facetów, którzy dobrze znosili odrzucenie i stawali się oddanymi przyjaciółmi. Była zawsze i wszędzie zapraszana i zabierała ze sobą Cressidę, kiedy tylko udało się ją namówić. Zdarzało się to dosyć często. Amie była bardzo zabawną towarzyszką. Ale sypianie z facetami

jeszcze nie wydawało się Cressidzie możliwe. Co prawda kilku jej się podobało na pierwszy rzut oka. Cichy, spokojny chłopak z czytelnicy, w okularach w drucianych oprawkach; wysoki wioślarz, często jadający obiad w tej samej stołówce; facet grający główną rolę w jakiejś koszarnej sztuce według Becketta, na którą zaciągnęła ją Amie. Z żadnym z nich jednak sprawy nie wyszły poza uśmiech i skinienie głową. Cressida tego nie chciała. Na razie musiało wystarczyć, że powoli budzi się w niej zainteresowanie. Wiedziała, że w każdym wypadku zrani Elliota, i nie czuła się na to gotowa, niezależnie od wszystkiego innego. On jednak wiedział, że nie będą ze sobą. Uważała to za słusne w sensie moralnym, nad czym wcześniej się nie zastanawiała. Ich związek zrodził się z oszustwa i nieuczciwości. Nie była pewna, czy nawet cała miłość świata zdołałaby uratować rozpoczęte w ten sposób życie. Może była po prostu odpowiednią osobą w nieodpowiednim czasie. Ale nie mogli już tego zmienić. To, co było między nimi, minęło i Elliot o tym wiedział.

Mieli jednak Spencera, który zawsze będzie ich łączył. Nawet gdyby wtedy zdecydowała, że nie chce go mieć (drżała teraz na sama myśl o tym), zawsze stanowiłby łączącą ich nić. Elliot sobie poradzi. Co tydzień zamieniali ze sobą kilka słów. Teraz, kiedy już była w college'u, pozwolił, aby do niego dzwoniła. Rozmawiali o Spencerze, co robił, jak spał. To było cudowne, ponieważ wiedziała, że Elliot kocha go tak mocno jak ona sama. Czasami łamał mu się głos, ale na ogół starał się zachowywać pogodnie i z godnością. Cressida był mu za to wdzięczna. Widywał Spencera raz w tygodniu. Nowa praca w Bristolu oznaczała wielogodzinne dojazdy szosą M4, lecz Elliot uwielbiał spędzać czas ze swoim synkiem. Urządził się jakoś w Bristolu. Dawny znajomy, z którym nie stracił kontaktu, pomógł mu znaleźć mieszkanie, które wynajmował w oczekiwaniu na sprzedaż swojego dawnego domu. Wszystko brzmiało sympatycznie. Po świętach Elliot chciał przyjechać ich odwiedzić. Teraz wydawało jej się, że to całkiem dobry pomysł. Miała szczęście - wszystko przecież mogło się ułożyć zupełnie inaczej.

A teraz jeszcze kartka od Clare, jakby zamykająca to, co się wydarzyło. Dwoje ludzi, którym uczyniła największą krzywdę, wybaczyło jej. Choć czasami zastanawiała się, czy na to zasługuje, była zadowolona. I miała Spencera.

Kilka dni wcześniej, wmykając się na przedświąteczne zakupy, wpadła przypadkiem na Joego. Chwała Bogu, nie miała ze sobą dziecka. Pamiętała o Joem, lecz przyćmiły go późniejsze wypadki. Jego widok nie zaskoczył jej, ale serce uderzyło jej mocniej i poczuła, że się rumieni. On dostrzegł ją pierwszy - inaczej może odwróciłaby się i uciekła - podszedł i cmoknął ostrożnie w policzek.

- Jak się masz?

- Świetnie. A ty? - Zauważyła, że jego wzrok powędrował w kierunku jej na powrót płaskiego brzucha.

- Doskonale.

Co jeszcze mogła powiedzieć? Nic. Oboje odezwali się jednocześnie.

- Słyszałem, że wyjechałaś na studia.

- Przyjechałaś na święta?

Oboje odpowiedzieli: - Tak - i roześmiali się nerwowo.

- Nie jesteś z jego... ojcem?

Brutalne pytanie wśród banalnych grzeczności. Chyba jednak miał prawo wiedzieć.

- Nie, nie. Przeprowadził się do innego miasta.

Joe uważnie przyglądał się jej twarzy, chcąc odczytać emocje. Uśmiechnęła się w nadziei, że wygląda na szczęśliwą, a nie tylko dzielną.

- Mama opiekuje się dzieckiem, a ja studiuję. Jest cudowna. Joe przygryzł wargę.

- To świetnie.

Prześliczna dziewczyna o niebieskich oczach podeszła i stanęła obok niego. Przed chwilą płaciła za coś przy kasie. Joe zreflektował się.

- To Issie. Poznaliśmy się... na studiach. - Wahanie w jego głosie powiedziało jej wszystko. Issie uśmiechnęła się szeroko, czekając, aż ją przedstawi. - A to jest Cressida. - Cressida zauważyła, że jej imię nie wymaga dalszych wyjaśnień, że Issie wszystko o niej wie. Poczuli się obnażona.

- Miło cię poznać. - Issie także spoglądała na jej płaski brzuch i rozejrzała się za wózkiem.

- Dziecko zostało w domu z mamą. Myślałam, że może uda mi się coś kupić.

Oboje pokiwali ze zrozumieniem głowami, jakby w pełni znali problemy chodzenia na zakupy z wózkiem.

- A jak... czy dziecko ma się dobrze? - Joe nie wiedział, jak sformułować pytanie. Nie był pewien, czy chce cokolwiek wiedzieć.

Cressida uśmiechnęła się.

- Tak, dzięki. Słuchajcie, muszę lecieć. Obiecałam, że niedługo wrócę. Miło cię poznać, Issie.

- Ciebie też. - Na pewno. Nareszcie mogła poznać osobiście bohaterkę romansu.

- Na razie, Joe.

- Na razie. - Objął ją niezręcznie i odszedł.

Na schodach ruchomych Cressida obejrzała się za siebie. Kierowali się do wyjścia. Joe otoczył Issie ramieniem, a ona obejmowała go w talii, trzymając jedną rękę na biodrze. Był to gest pełen fizycznej intymności. Jest niższa ode mnie, uznała Cressida, i lepiej do niego pasuje. Pomyślała o tym na próbę, żeby sprawdzić, jak będzie się czuła: Joe ma dziewczynę. Wszystko dobrze.

Uczucie obnażenia minęło. Joe to człowiek, którego znała i kochała dawno temu, w innym życiu. Zapewne jej wybaczył. Lecz nie odwrócił się za nią, jadącą schodami ruchomymi do działu dziecięcego na drugim piętrze.

Miała Spencera.

Poza Spencerem najlepsze, co miała, to mama. Fatalnie się czuła, kiedy mama zerwała z Jackiem, a ona wiedziała, że to przez nią. Ale teraz Jack wrócił. Nie umiał odejść. Jak powiedziała Polly, w ten sposób udowodnił, że naprawdę ją kocha. Od tamtej pory mama była taka szczęśliwa. I tak bardzo kochała Spencera.

Dzięki temu wszystkiemu Cressida dowiedziała się ważnej rzeczy na swój temat. Nie jest zazdrośna. Nigdy nie była zazdrośna o Clare. Nie zazdrościła Polly, że może codziennie mieć przy sobie jej dziecko i że zapewne przez pewien czas będzie dla niego najważniejszą osobą na świecie. Myśląc o tym, czuła głównie wdzięczność - za to, że ma matkę, która pozwoliła jej odzyskać swoje życie i zatrzymać Spencera. Ogarnęła ją dogłębna radość - inaczej sobie wszystko wyobrażała, ale cieszyła się, że tak się w końcu ułożyło.

- Cress? - To był Daniel. Podeszła do schodów.

- Cii. Spencer usnął.

- Przepraszam. Chcesz makaronu? Gotuję dla siebie, mogę ci też trochę zrobić. Zejdiesz utrzcę ser?

- Zaraz zejdę. - Skinął głową. - Danny?

- No? - zapytał szeptem.

- Dzięki.

19.30

Bohaterki wiejskich powieści zawsze stały nago przed zwierciadłem, podziwiając swoje ciało i wliczając kolejne atrybuty: wysoko osadzone, sterczące piersi; płaski brzuch; zaokrąglone biodra i jędrne pośladki. W powieściach te cechy zapewniały im szczęśliwe romanse i małżeństwa. Takie kobiety podbijały serca najlepszych mężczyzn, przystojnych, dzielnych i czarujących. Nieważne, czy był to Ken, Książę z Bajki czy Richard Gere.

Najwyraźniej to jednak stek bzdur. Nicole spędzała wystarczająco dużo czasu na wielogodzinnym treningu na siłowni, w klubie sportowym, a także w salonie piękności, na równie męczących kuracjach odmładzających. Wszystko to miało uczynić z niej posiadaczkę najlepszego ciała na świecie. Na jej biurku można było podawać galaretkę, na pupie zaparkować rower, a od brzucha odbijać mrożony groszek. Wszystko wyglądało tak, jak powinno. Życie nie pozostawiło na niej najmniejszego śladu. Z zewnątrz.

Teraz wiedziała już, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Gavin nie zdradzał jej w poszukiwaniu jakiegoś odległego ideału seksu. Miał go cały czas w domu. Zdradzał, ponieważ nie kochał jej wystarczająco. Ponieważ taki już był.

Od ostatniego lata przytyła trochę, kilka funtów. Była to wina Harriet. To przez ten wyjazd w połowie października. Pojechały same z dziećmi do cudownego, wprost stworzonego na rodzinne wakacje hotelu w Dorset, zwanego Moonfleet Manor. Zabrały ze sobą bilard dla chłopców i w pełni wyposażone, pełne lalek przedszkole dla dziewczynek, a same rozkoszowały się sauną, pływaniem i masażem. Nicole zdecydowanie wyglądała najlepiej ze wszystkich kobiet na basenie. Niektóre miały kostki u nóg grubości kolan, inne pofałdowane brzuchy. Harriet prezentowała wspaniałe krągłości. Jej przemiana materii po prostu nie reagowała na stres. Nicole jednak była pewna, że przyjaciółka ze swoją brzoskwiniową cerą zawsze znajdzie mężczyznę, który zapragnie złożyć głowę na jej obszernym łonie. Tym razem widok innych ko-

biet przygnębił ją. Po co się starać, do cholery? Wszystkie te baby miały kochających mężów. Łącznie z Harriet, która nie umiała tego dostrzec. Grube, niekształtne, zaniedbane kobiety, kochane przez swoich mężczyzn, którzy nigdy nawet nie spojrzeli na inną. I po co to wszystko?

- No właśnie! - zachwycona Harriet uznała, że znalazła kolejnego potencjalnego wyznawcę pobłażania sobie w kwestii diety. - W takim razie pozwólmy sobie na jeszcze jedną latte. - Co też Nicole uczyniła. Latte, a potem trochę szampana do kolacji przy świecach, z tortem czekoladowo-truflowym na deser. Czowała się przez to jeśli nie lepsza, to z pewnością mniej skrępowana.

Teraz przeglądając się w lustrze, uznała, że te kilka funtów nie zaszkodzi. Wydawała się łagodniejsza, mniej spięta.

I była. Odejście Gavina przyniosło jej wielką ulgę. Czasami - zwłaszcza w nocy, w łóżku - gorąco pragnęła jego albo kogokolwiek. W ogromnym podwójnym łożu czuła się samotna. Ostatnio, kiedy Martha miała zły sen i przysłała do niej w środku nocy, Nicole pozwoliła jej zostać do rana. Przytulona do miarowo oddychającej córki zasnęła głęboko i po raz pierwszy od dawna przespała wiele godzin bez przebudzenia.

Często myślała o dziecku. Byłaby teraz w siódmym albo ósmym miesiącu ciąży, z ogromnym, wystającym brzuchem. Zapewne odczuwałyby bóle, które według położnych powodowało rozciąganie się więzadeł miednicy. Byłoby jej niewygodnie, nie mogłaby spać. Dziecko ważyłoby około pięciu funtów, miałoby rzęsy i paznokcie. W przedpokoju stałaby spakowana torba. Włożyłaby do niej ogromną błękitną koszulę nocną z różowym sercem z przodu, przynoszącą szczęście, ponieważ miała ją na sobie, rodząc bliźnięta i Marthę. A także kasetę z ulubionymi przebojami. A może jednak nie, ponieważ większość piosenek należała do niej i do Gavina. Melodie ich romansu. *Lilac Wine*, słuchali jej w winiarni, w czasie pierwszego wieczoru. *My first, my last, my everything* - kiedy pierwszy raz ze sobą tańczyli, na przyjęciu u znajomych. *Fall at your feet, Crowded House* - siedzieli wtedy w samochodzie, gdzieś w Norfolk, i usłyszeli w radiu, że John McCarthy został uwolniony przez porywaczy. Przeprowadzano wywiad z jego dziewczyną, a zaraz potem nadawali tę piosenkę. Whitney Houston, *7 Will Always Love You*, pierwszy taniec na ich weselu. Nie, kaseta nie.

Tak bardzo cierpiała, że nie jest teraz w ósmym miesiącu ciąży. Bardziej niż kiedykolwiek przez Gavina. Oczywiście, paradoksalnie, ta perspektywa jednocześnie przynosiła jej ulgę. Przez większość czasu okropnie żałowała swojej decyzji. Była silniejsza, niż jej się wydawało. Znalazła siłę, żeby wyrzucić Gavina ze swojego serca, domu i łóżka. Zdobyła się na to, aby zakończyć małżeństwo, przeprowadzić wszystkie formalności, powiedzieć dzieciom. Umiała znaleźć pracę. Z pewnością dałaby radę wychować samotnie dziecko. Tylko wtedy w to nie wierzyła. Te uczucia nigdy nie znikną. Nie było to wyłącznie poczucie winy - Nicole rozumiała, że w końcu sobie wybaczy - lecz smutek, żal i utrata. Puste miejsce w domu, w życiu, w sercu, po dziecku, którego nie było, zawsze będzie istniało. Została blizna.

Powiedziała to wszystko Harriet, która trzymała ją za rękę. Sygnał do płaczu. Ale Harriet wołała się śmiać.

- Cóż, możliwe. Dzięki Bogu, że to nie bliźna po Gavinie. On raczej przypomina ohydną wysypkę niż czysto zagojony strupek.

- Jesteś nieznośna. Wyobraź sobie, że był moim mężem przez prawie dziesięć lat.

- Wiem o tym. I był do niczego przez prawie dziewięć i pół. Uwielbiam ten czas przeszły.

Postawa Harriet przynosiła jej wielką ulgę. Przyjaciółka nie traktowała nigdy nonszalancko tematu aborcji, lecz Gavina jak najbardziej. Okazała się niezwykła i Nicole zawsze będzie ją za to kochać.

W domu nie mogła nic dać po sobie poznać. Dzieci bardzo kochały ojca. Nie chciała przeistoczyć się w zgorzkniałą mamusię, jak wiele kobiet spotykanych pod szkolną bramą. Był to następny rodzaj samokontroli. Na użytek dzieci powstała wersja ze *Sprawy Kramerów*: mama i tatuś nie będą już razem mieszkali, ale cały czas bardzo was kochają i będziecie często tatusia widywać. Z resztą zaczeka, kiedy dorosną. Gavin chciał być obecny przy rozmowie, ale nie pozwoliła mu na to. Bała się, że nie zniesie demonstracyjnych gestów lojalności i poświęcenia z jego strony. Opowiedziała im, co się dzieje, pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy siedzieli w kuchni nad gorącą czekoladą z ciasteczkami. Według Harriet było to niezawodne lekarstwo na wszelkie zmartwienia.

- Jak mama i tata Stephanie? - Martha w widoczny sposób pozostała nieporuszona. Po chwili zsunęła się z krzesła i poszła poszukać koralików, żeby zrobić tatusiowi śliczne serce do nowego mieszkania. Gavina nie było w domu od wielu tygodni i Nicole zdała sobie sprawę, że córka przyzwyczaiła się do nowej sytuacji. Przypuszczała, że pewnego dnia nastoletnia, zbuntowana Martha zaatakuje matkę, lecz od Polly i Susan dowiedziała się, że nienawiść wieku dorastania w żaden sposób nie zależy od rozvodu. Przed wieloma miesiącami Susan opowiedziała jej, jak piętnastoletni Alex, przyszczaty i małomówny, został poproszony o wybór wiersza do szkolnego przedstawienia. Jej syn wyrecytował *This Be the Verse* Philipa Larkina, zaczynający się od słów „Ojciec i matka spieprzyli ci życie...”, co przyniosło mu nieklamana sławę wśród kolegów, piątkę z plusem od nauczyciela literatury i naganę od dyrektora szkoły. Wszyscy rodzice mieli podobne problemy; Nicole nie mogła się doczekać.

Chłopcy zareagowali z większym namysłem, zadawali pytania. Przynajmniej George. Ku zdumieniu Nicole chciał się dowiedzieć, czy któreś z rodziców będzie znowu brało ślub.

- Może kiedyś, kochanie. Ale to daleka przyszłość. I to będzie ktoś, kogo będziecie od dawna znali i kochali, i kto będzie też was kochał.

- Ale nie tak, jak ciebie albo tatę?

- Oczywiście, że nie. Macie tylko jedną mamę i jednego tatę. Ale są różne rodzaje miłości, prawda? Przecież kochamy Harriet i Tima? Wujka Iana i ciocię Kate?

- Tak - nie wydawał się przekonany. - Ale z nimi nie chciałbym mieszkać.

- Nie martw się tym. Jeszcze bardzo, bardzo długo będziecie mieszkać tylko ze mną. Obiecuję. - George podszedł, żeby się przytulić.

William zawsze był bardziej zamknięty w sobie. Zupełnie jak ona sama, przyszło jej nagle do głowy. Bez słowa bawił się swoim robotem.

- Wszystko w porządku? - zapytała, przykrywając jego rękę swoją.

- Chyba tak - odparł. Nagle wydał się taki dorosły. To było okropnie smutne.

O rozwodzie Gavin zawsze wyrażał się eufemistycznie, tak jak inni ludzie wspominali o kłopotliwych dolegliwościach cielesnych. Może nadal nie wierzył. Nie obchodziło jej to specjalnie: w końcu sam się przekona. Ciekawe, czy bardziej obawiał się bólu zranionego serca, czy portfela.

Nie musiał się zbytnio przejmować, Nicole nie była mściwa. Niezadowolona Harriet przekonywała ją, że Gavin powinien drogo zapłacić za swoje grzechy. Ale Nicole chciała tylko zatrzymać dom, ponieważ był to dom ich dzieci. Chciała, aby mogły zostać w szkole, którą lubiły, i prowadzić życie, do którego przywykły. Nic ponadto. Jego pieniądze wydawały jej się obrzydliwe, jakby przez wszystkie te lata opłacał jej uległość. Spoglądała na pierścionek zaręczynowy z brylantem wielkości przepiórczego jajka i na pozostałą biżuterię, zastanawiając się nad jego motywami. Półtora karata za każde bzykanko na boku? Może powinna wszystko to sprzedać.

Gavin wynajął mieszkanie niedaleko Canary Wharf na czas, aż „wszystko ustalą”, jak się wyraził, w apartamentowcu z basenem, w pobliżu wielu restauracji i kin. Miało trzy pokoje, tak że Martha mogła spać osobno. Nicole była zadowolona, że mieszkanie podoba się dzieciom. Tylko one na razie się liczyły. Pomysłała o wszystkich tych zmarnowanych latach, kiedy była zbyt zajęta sobą i Gavinem, aby leżeć z nimi na podłodze i bawić się, piec ciasta i leniuchować. Odnalazła nowy rytm. Wysiłkiem woli zmusiła się, żeby dotrzeć do końca tego strasznego roku i rozpocząć następny. Zazwyczaj nie przepadała za Wigilią. Znajdowała się zbyt blisko Bożego Narodzenia, zbyt intensywnie wypełniona oczekiwaniami i pragnieniami. Tym razem nie mogła się doczekać. Czerwona szyfonowa sukienka od Chrisa de Burgha. Coś wyjątkowego. Numer dwanaście. Rozpuści włosy. Gavin nigdy tego nie lubił. Nie lubił jej także w czerwonym, dlatego na zakupach z Harriet wybrała właśnie tę sukienkę.

- Wyglądasz fantastycznie. Nic dziwnego, że nie chciał, żebyś nosiła czerwony. Ktoś już dawno by cię porwał z jednego z nudnych biznesowych przyjęć.

Włożyła tę sukienkę na pierwsze od dziesięciu lat przyjęcie, na które pójdzie bez Gavina. Czy to nie smutne? Szminka, kluczyki, pieniądze, Gavin. Była jak gejsza. Ni mniej, ni więcej. Wybierała się na wesele swojej przyjaciółki Polly. Swojej własnej przyjaciółki, która nigdy nie poznała Gavina. Będzie tam Harriet z Timem, Susan z Rogerem i mnóstwo obcych ludzi. Miała zamiar pić, tańczyć i rozmawiać ze wszystkimi. Będzie uchodzić za samotną. Wszystko będzie super.

19.35

Susan uwielbiała swoje choinki. Najbardziej na świecie przygnębiały ją nowoczesne, modnie przybrane drzewka. Jedna z jej klientek, osoba, która miała w domu więcej falbanek, firaneczek i absurdalnych miseczek z potpourri niż ktokolwiek inny, ozdobiła sztuczną, różową choinkę różowymi i srebrnymi bombkami. Susan uważała to za ohydne i absolutnie nieświęteczne. Teraz siedziała, podziwiając własną choinkę i rozcierając obolałe od chodzenia po sklepach stopy. To była prawdziwa choinka. Norweski

świerk, wysoki na siedem stóp, obwieszony ozdobami o tysiącu kolorach, zbieranymi przez lata, przywozonymi z wakacji oraz (te lubiła najbardziej) przynoszonymi ze szkół i przedszkoli. Anioł z krepiny i papieru toaletowego, przypominający nieco Eddiego Izzarda, papierowe gwiazdki, które dawno utraciły cały swój blask, malutkie zdjęcia Aleksa i Eda w ramkach z pozłacanej modeliny. Co roku, rozpakowując pudełko, popadała w zadumę. Nie pamiętała już szczegółów, ale wiedziała, że każdy drobiazg stanowi część mozaiki życia rodzinnego, i podziwiała i kochała je wszystkie.

Święta bez Alice wydawały się dziwne. Susan popatrzyła na fotografię matki na kominku, zrobioną w zeszłoroczne Boże Narodzenie, na chwilę przed rozpoczęciem filmu w telewizji. Alice siedziała dostojnie w fotelu. Po obu jej stronach stali chłopcy w papierowych kapeluszach. Edowi zwiślał z ramienia świecący sznurek. Alice uśmiechała się sztucznym, odrobinę zdziwionym uśmiechem, jaki starsi ludzie przybiorą do fotografii. Wyglądała tak dobrze w porównaniu z późniejszymi miesiącami, choć już wtedy musiała być chora. Jeszcze nic nie wiedzieliśmy, pomyślała Susan. Nie przypuszczaliśmy, że to nasze ostatnie wspólne święta. Ostatni raz pomagała mi obierać brukselkę i pasternak, podczas kiedy chłopcy poszli do pubu. Po raz ostatni uciszała rodzinę, żeby wysłuchać bożonarodzeniowego orędzia królowej. Ich salon nigdy już nie będzie pachnieć mydłem konwaliowym i staroświeckimi wkładkami do szuflad, które Alice tak lubiła.

Roger uważał, że w tym roku powinni obchodzić Gwiazdkę zupełnie inaczej. Dzięki temu brak Alice będzie mniej dotkliwy. Susan jednak wiedziała, że tak naprawdę nie ma to najmniejszego znaczenia, czy otworzą prezenty przed śniadaniem, czy po nim, czy zjedzą obiad w południe, czy wieczorem. Alice i tak z nimi nie będzie. Może za rok. Może nawet przyjmą zaproszenie Margaret i pojedą do Australii. Tym razem jednak chciała urządzić wszystko dokładnie tak jak zawsze. To będzie okazja do wspomnienia i tęsknoty. Pragnęła pociechy wśród znajomych rzeczy, tak wiele się zmieniło w ciągu tego roku. Kiedy robiła zdjęcie, Alice żyła i była jej matką. Teraz była martwa i była kimś innym. Kiedy Alice pozowała do fotografii z Alekssem i Edem, nie poświęcali zbyt wielu myśli Margaret, odległej, obcej osobie, mieszkającej w Australii ze swoim mężem. To wszystko także nie było już prawdą. Do pokoju weszła Margaret z dwoma kubkami herbaty.

- Proszę.

- Fantastycznie. Dzięki, Mags. Tego mi było trzeba. - Susan z wdzięcznością przyjęła kubek. - Która to godzina? Wpół do ósmej. Mam jeszcze kilka minut. Na pewno nie chcesz zostać?

- Nie. Dziękuję, że mnie zaprosiłaś, ale to raczej nie w moim stylu.

- Nie mów tak, dopóki nie spróbujesz. Ja też myślałam, że to nie w moim stylu. To świetna rozrywka. Co miesiąc nie mogę się doczekać - zawsze się wspaniale razem bawimy.

- Umówiłam się już z tą całą kuzynką Lindy - pamiętasz, opowiadałam ci?

- Faktycznie, wyleciało mi z głowy.

- To trochę bez sensu, bo w ogóle się nie znamy, ale u nas tak już jest. Kiedy jesteś dwanaście tysięcy mil od domu, po prostu musisz odszukać najbliższego Australijczyka i nawiązać znajomość - uśmiechnęła się.

- Jeśli jednak nie będzie ci się chciało iść, zawsze możesz odwołać spotkanie i ukryć się razem z Rogerem. Zaraz powinien wrócić.

Margaret zmarszczyła nos.

- Świetny pomysł. Wymarzony wieczór - kolacja w kuchni ze mną.

- Nie przesadzaj! On się zaczyna do ciebie przekonywać. Pomału.

- Twoja koleżanka Polly też specjalnie za mną nie przepada.

- Przyzwyczajają się do twego nowego oblicza. Sama przyznasz, że nigdy specjalnie się nie starałaś zrobić dobrego wrażenia?

- Rzeczywiście nie. To prawda. - Zamyśliła się na chwilę.

- Boże, skręcam się na samą myśl o pogrzebie mamy. Byłam taką małpą.

- Owszem, byłaś - nie da się ukryć.

Obiecały sobie nawzajem, że od tej pory będą zawsze ze sobą szczerze. Zbyt wiele zmarnowały lat. Umilkły, spoglądając na drzewko i ogień na kominku.

- Uwielbiasz Gwiazdkę, prawda?

- To najlepszy czas w roku.

- Tak jak mama. Pamiętasz, że zawsze musiałyśmy mieć nowe stroje? Chyba oszczędzała na nie przez okrągły rok.

- Pamiętam.

- Zawsze razem dekorowałyście dom.

- Naprawdę? - Susan pamiętała kolorową krepinę, z której wycinały długie łańcuchy i zawieszały je w poprzek pokoju. I baloniki. W tamtych czasach nie miewali choinki. Wystarczała jedna, stojąca w centrum miasta, którą podziwiali z zachwytem i przejęciem. Raz czy dwa, kiedy znalazły się na to pieniądze, Alice zabrała je pociągiem do Londynu, aby mogły obejrzeć iluminację Oxford i Regent Street. Wtedy wywierały na niej o wiele większe wrażenie. W dzisiejszych czasach najważniejsze było, która z aktualnych gwiazd muzyki rozrywkowej wciska wyłącznik. Same światełka były białe i nieliczne. A może wyolbrzymiała je w dziecięcej wyobraźni? Kiedy nie mogły pozwolić sobie na wycieczkę do Londynu, Alice zostawiała je w domu z ojcem i szła na targ, próbując kupić tanio skrzynkę mandarynek.

- Pamiętasz nasze pończochy? - Skarpetki ojca, przypięte na oparciu wysokich foteli w salonie.

- Pewnie! Zawsze była w nich mandarynka i garść orzechów włoskich i laskowych, wepchnięta w sam czubek.

- To prawda. Ja też tak robiłam dla chłopców, kiedy byli mali.

- Naprawdę? - Margaret śmiała się z niej.

- Owszem. Rzecz jasna, nie wytrzymały konkurencji czekoladek i innych słodczy. Zawsze musiałam wkładać je z powrotem do koszyka z owocami w drugi dzień świąt.

Teraz także stał na stoliku. Mandarynki i orzechy, cynowy dziadek do orzechów, który pamiętały z dzieciństwa, niewygodny dla małych rączek, ale bardzo ładny, z wiewiórką na czubku.

Margaret spoglądała na owoce.

- To wszystko sprawiało, że czułam się opuszczona. Obie tak bardzo lubiłyście święta, byłyście takie rozentuzjasmowane, że czułam się trochę głupio. Udając, że wierzę w Mikołaja i że nigdy nie widziałyśmy naszych prezentów na wystawie sklepu.

- Och, Maggie.

- Po prostu zostawiałam was obie przy tej zabawie. Staralam się nie przeszkadzać.

- Nigdy tego nie zauważyłam.

- No tak. Zawsze przebywałyście razem w swoim świecie. Staralaś się być dokładnie taka jak ona.

Susan roześmiała się smutno.

- Ironia losu, nie sądzisz?

- Prawda? Chyba to było najlepsze w wyjeździe do Australii - koniec tych wszystkich świąt.

- Jak obchodziliście Gwiazdkę z Gregiem?

- Zwyczajnie. Często szliśmy na plażę. Jak w zwykły wolny dzień. Nigdy nie umiał kupować prezentów. Najczęściej kupowałam coś sobie sama na jego rachunek. Nie był skąpy, po prostu nie umiał, a mnie to odpowiadało.

- A po rozstaniu z Gregiem?

- O wiele lepiej. - Margaret uśmiechnęła się szeroko. - Nigdy chyba nie będę podchodziła do świąt tak jak ty i mama. Na ogół idę do Lindy na ogromne przyjęcie barbecue z mnóstwem alkoholu - to typowe dla Australijczyków. Ostatnio było około trzydziestu osób. Gotujemy, tańczymy, pijemy. Lindy ma pełno zwariowanych greckich krewnych, którzy tłuką talerze i tak dalej.

Nie brzmiało to zbyt gwiazdkowo, ale całkiem fajnie. Susan starała się wyobrazić sobie roześmianą, rozluźnioną Margaret pośród szampańskiej zabawy. To chyba możliwe. Musi pozbyć się wielu stereotypów na temat siostry.

- Przepraszam - powiedziała.

- Za co?

- Że czułaś się dziwnie na Gwiazdkę.

- Nie robiłyście tego celowo. Takie już byłyście. Zamilkły na kilka minut.

- Wiesz, kiedy dowiedziałam się, że nie byłaś jej córką, poczułam się lepiej.

Susan nie wiedziała, jak zareagować.

- Nie miej mi tego za złe. Trudno to wyjaśnić. Byłyście z mamą bardziej podobne do siebie niż ja i ona. To nie ma nic wspólnego z biologią. Teraz, kiedy się dowiedziałam, kim jesteś, zaczynam myśleć, że może z tobą się bardziej starała, ponieważ myślała, że musi ci coś wynagrodzić. Wiesz?

Susan wielokrotnie sama o tym myślała. Od dnia, w którym znalazły list.

- Zrobiła coś niezwykłego, prawda? - powiedziała Margaret.

- To prawda. Czuję ogromny respekt dla jej bezinteresowności.

- Ja też. Nie jestem pewna, czy umiałabym zrobić dla kogoś to samo.

- Nawet dla własnej siostry?

- Zwłaszcza dla siostry.

Susan rzuciła w nią poduszką. Ucichły znowu, myśląc o Alice. To były trudne sprawy.

- Założę się, że było jej smutno.

- Dlaczego?

- Przez to, że się nie lubiliśmy.

- Nigdy o tym nie mówiła. A tobie?

- Nie - Margaret potrząsnęła przecząco głową. - Nigdy nie dałam jej okazji. Uciekłam, kiedy tylko mogłam.

- Zastanawiam się, czy miała poczucie winy? - Susan odpowiedziała sobie sama na pytanie. - Oczywiście, że miała. Wszystkie matki mają.

- Nigdy o tym z tobą nie rozmawiała? Byłyście tak blisko.

- Nie aż tak blisko, najwyraźniej. Wiem, że tęskniła za tobą. I czasami powtarzała, że nie rozumie, czemu wszystko się tak ułożyło. Wiesz, że cię kochała, prawda?

- Tak.

- Przyrzekła coś Dorothy i dotzymała słowa.

- Przez wszystkie te lata siedziałam w Australii, skrecając się z zazdrości. Zmarnowałam kawał życia, Suze.

Susan pomyślała, że siostra zaraz znowu się rozpłacze. Ta nowa, przewrażliwiona Margaret była dla niej objawieniem. Tak jakby przerwały się wewnętrzne tamy. Nie była pewna, czy ma na to teraz siłę, ale chciała spróbować. Pożałowała, że nie jest religijna. Mogłaby wtedy wierzyć, że Alice skądś tam obserwuje swoje dwie córki, bliższe niż kiedykolwiek. To była miła myśl. Alice w białych szatach, w aureoli, do spółki z Dorothy obserwująca je z puszystej chmurki. To jednak zabrzmiało, jakby robiła to tylko dla Alice, co nie było przecież prawdą. Robiła to dla siebie samej. Chciała nadal czuć się częścią swojej dawnej rodziny, choć rozumiała, że ona, Roger i chłopcy tworzą teraz nową. Tylko Margaret jej została. Chciała ją kochać. Teraz zaświtało jej, że to możliwe. Objęła swoją siostrę - nie siostrę i przytuliła ją mocno.

Grudzień

Spotkanie dyskusyjnego klubu czytelniczego

Dziewczyna z perłą Tracy Chevalier, 2002

Dziewczyna z perłą to powieść historyczna i olśniewające studium natury ludzkiej, jeszcze świetniejsze z perspektywy czasu. W swej pięknej, a zarazem okrutnej powieści Chevalier opisuje niezwykle splot namiętności, przemocy i sztuki.

Naprawdę chciałabym, żeby z tyłu pisali, o czym jest książka. Te cytaty są beznadziejne. Chciałoby się wiedzieć coś o treści, a nie tylko, czy zdobyła wiele nagród i pochwał. Brzmi to strasznie pretensjonalnie. To klasyczny przykład powieści, której bym w życiu sama nie wybrała.

- Ja też. Ale cieszę się, że ją przeczytałam.

- Boże, ja też. To chyba moja ulubiona.

- Moja też.

- Naprawdę? A ja w ogóle nie jestem do niej przekonana. Wynudziłam się. Przez pierwsze sto stron nie byłam w stanie wciągnąć się w akcję. Rozwijała się tak strasznie powoli. Myślałam, że w życiu jej nie skończę.

- Niemożliwe! Mnie się wydaje przepiękna. Prawie uwierzyłam, że Griet naprawdę istniała - jest taka autentyczna. Jakbyś czytała prawdziwy pamiętnik.

- Wiem. Czy spoglądałaś ciągle na okładkę? Na przykład wtedy, kiedy on zmusza ją do przekłucia drugiego ucha, choć nie widać go na obrazie, i strasznie ją boli. Nie patrzyłyście cały czas na okładkę, zastanawiając się, czemu to zrobił?

- Nie. To chyba oczywiste. Sprawdzał jej uczucia, swoją władzę nad nią. Uważam, że to drań. Wiedział, że ona go kocha i zrobi wszystko, o co poprosi.

- Ale nigdy nie próbował się z nią przespać.

- Czy to nie dlatego, że żyli w tamtych czasach?

- Chyba nie. Wtedy bzykali się na boku jeszcze częściej niż teraz. Sama zrobiła to z rzeźnikiem w zaułku, bo bała się, że ten drugi facet, patron, ją zgwałci.

- Więc gdyby zaszła w ciążę, rzeźnik musiałby się z nią ożenić.

- Mnie się wydaje, że po prostu nie był zainteresowany.

- Był wystarczająco zainteresowany, żeby co dziesięć miesięcy płodzić dziecko ze swoją żoną.

- To tylko dowodzi, z jaką pogardą traktował ją i wszystkie „zwykłe” kobiety. Nigdy nie okazywał jej uczuć. To było tylko fizyczne, funkcjonalne. A gospodarstwo prowadziła dla niego teściowa. Nie chciał zajmować się niczym prozaicznym. Liczyło się tylko malowanie. Zauważyłaś, kilka razy powtarza, że nie

chce pracować szybciej, nie chce zrezygnować ze swojego perfekcjonizmu, chociaż finanse rodziny są w opłakanym stanie?

- Tak. Koszmarny egoista.

- Wcale nie, artysta. Chyba tak autorka chciała go przedstawić. Ktoś nie całkiem z tego świata.

- Poczucie koloru i przestrzeni Griet, które zademonstrowała wtedy w kuchni, kiedy się po raz pierwszy spotkali, pociągało go w niej, chociaż była tylko kobietą, i do tego służącą.

- Myślę, że było coś więcej. Sceny, kiedy on ją maluje, są pełne erotyzmu.

- Zgadzam się. Wprost ociekają pożądaniem.

- Przez dwieście czterdzieści siedem stron miałam nadzieję, że on ją w końcu rzuci na łożo, i nic takiego nie nastąpiło!

- Jeśli szukasz tak zwanych momentów, następnym razem możemy przeczytać *Kochanka lady Chatterley*. To jest o wiele subtelniejsze.

- To mnie chyba poruszyło najbardziej. Ona wie, że nic z tego nie będzie i że musi poprzestać na rzeźniku. Ta jej rezygnacja...

- Właśnie.

- Nie jest jednak strachliwa. Kiedy dostaje perły, które zapisał jej w testamencie, sprzedaje je, żeby kupić sobie wolność. Nikt nigdy się o tym nie dowie, ale ona wie i to wystarczy.

- Nie uważasz, że sprzedała je, ponieważ są z innego życia, które nie do niej należy? Tak mówi, prawda? „...żony rzeźników, podobnie jak służące, nie noszą pereł”.

- A więc wydaje ci się, że zapisał jej perły, bo ją kochał?

- Nie, z poczucia winy. Wiedział, że pokazał jej skrawek świata, którego nigdy nie dostanie.

- Ja myślę, że zostawił je na pamiątkę, w podziękowaniu. Za życia nie przyznałby się, że coś jej zawdzięcza - a to przecież dzięki niej powstał ten obraz. A więc zrobił to po śmierci.

- Nie sądzisz, że jest w tym wszystkim jakiś wielki banał? Griet może po prostu była kolejną młodą kobietą dla mężczyzny niezrozumianego przez żonę?

- Wcale nie. Nic się między nimi nie wydarzyło.

- To nie jest definicja zdrady. Przecież oszukiwali jego żonę. Spędzali razem wiele czasu w miejscu, gdzie nie wolno jej było nawet wchodzić. Opowiadał jej rzeczy, o których żona nie miała pojęcia. To jest zdrada. Seks to tylko seks. Równie dobrze mogli się ze sobą przespać.

- Czy zauważyliście, że większość bohaterów naszych książek ma okropnie nieszczęśliwe życie? Z powodu mężczyzn. To stały motyw.

- Z powodu mężczyzn czy z powodu siebie samych?

- Nie bądź pedantyczna. Z powodu tego, co się z nimi dzieje - na co pozwalają. To to samo.

- Absolutnie nie.

- Zgadzam się. Te, które zostają uratowane, które w końcu dają sobie radę - jak bohaterka *Zgagi* albo Paula u Roddy'ego Doyle'a - biorą sprawy w swoje ręce.

- Wiesz, że zawsze uogólniasz? Za każdym razem.

- Nieprawda. Co na to poradzę, że widzę wszystko z szerszej perspektywy?

- Cha, cha, cha!

- Czy stajemy się feministycznym klubem książkowym? Bo jeśli tak, to chcę podkreślić, że lubię facetów. Prawie wszystkich. Oczywiście, niektórych bardziej. Ale ogólnie jestem za.

- Ja też. Nie zamierzam ogolić głowy, nosić ogrodniczek i cytować Germaine Greer.

- Dosyć. Macie wszystkie koncentrację godną kury. Kto chce kawałek biszkopta?

- Uwielbiam nasze spotkania. - Harriet uśmiechnęła się promiennie do pozostałej trójki.

- Dziś wieczorem uwielbiasz wszystko - zauważyła Susan. - Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się tak, jakbyś przeżywała miodowy miesiąc.

Harriet i Nicole wymienili spojrzenia.

- Coś w tym stylu.

- Ejże - wykrzyknęła Polly. - Zaklepuję wszystko, co wiąże się ze ślubami! Jeszcze siedemnaście dni.

- Cholera, już? Nigdy nie zdążę zrzucić tych sześciu funtów. Nie w czasie świąt.

- Harriet, daj spokój! - roześmiała się Susan. - Mówisz to, odkąd cię znam. To cały czas jest te same sześć funtów, które odchodzą i wracają. Chyba musisz je polubić. I kupuj większy rozmiar.

- Nie potrafię. Dieta to moja najstarsza przyjaciółka. - Harriet zaśmiała się i wyjęła czekoladową trufkę z pudełka, które Susan wniosła razem z kawą. Podała jedną Nicole, która zjadła ją, lekko zdziwiona własnym zachowaniem.

- Ale owszem. Uwielbiam nasz klub. Powinnyśmy się zastanowić nad sobą - spotykamy się już od roku. Okazuje się, że nie mogę się doczekać tych środowych wieczorów.

- Czy zamierzasz zasugerować, żebyśmy padły sobie w ramiona? Bo jeśli tak, to chyba nie skorzystam - prowokowała ją Nicole. Świetnie wiedziała, co przyjaciółka ma na myśli.

- Przeczytałyśmy kilka naprawdę dobrych książek - stwierdziła Susan.

- I kilka absolutnych kitów - dodała Polly.

Harriet pochyliła się i wyjęła z torebki arkusz papieru.

- Zaczęłam układać listę na przyszły rok. Koniecznie musimy przeczytać *Boskie sekrety siostrzanej stowarzyszenia Ya Ya* Rebeki Wells i *Ericę Jong*. Nie do wiary, że nie przeczytałyśmy ani jednej powieści Margaret Atwood - bez niej nie może się obyć żaden szanujący się klub książkowy. Istnieje dalszy ciąg *Rebeki* pióra Sally Beauman, autorki *Wyroków losu*, pamiętacie? Poza tym nadal mam zamiar doprowadzić do tego, żebyście zakochały się w Jane Austen.

- Czekaj, czekaj. Chyba panuje demokracja? Wszystkie będziemy wybierać.

- Głosuję za tym, żebyśmy wybierały wszystkie, oprócz ciebie - zachichotała Harriet. Nikole poszukała wzrokiem wsparcia, ale Polly i Susan także się śmiały.

- ŚmieJCie się, proszę bardzo. Pogarszacie tylko sprawę. Coś czuję, że będę miała ochotę na Salma-
na Rushdiego...

Odpowiedział jej ogólny jęk.

Nicole pokiwała głową, jak wyrozumiała matka nad niesfornym dzieckiem.

- A co z nowymi członkami? Bez Clare zostałyśmy minigrupą.

Zastanowiły się. Wszystkie przeżyły bardzo dziwny rok. Kiedy po raz pierwszy siedziały przy tym stole z uważnie przeczytanymi egzemplarzami *Zgagi* w ręku, czując się jak uczennice na początku roku szkolnego, były całkiem inne. Nicole i Harriet tkwiły w nieudanych małżeństwach. Susan miała matkę, którą kochała i - jak sądziła - świetnie znała. Clare nie miała nadziei. Polly uważała, że bycie babcią to kwestia odległej przyszłości. Od tamtej pory świat przekręcił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, dla wszystkich. Życie niektórych stało się prostsze. Inne doświadczyły niewyobrażalnych komplikacji. Zawsze jednak mogły przyjść na swoje spotkanie. Czasami żeby wyjawic sekrety, czasami żeby od nich uciec, ale zawsze wysłuchać się nawzajem i porozmawiać o życiu w ogólności lub o bieżących wydarzeniach. Tyle się nauczyły. I nic nie trzeba zmieniać. Byłoby dziwne znaleźć się nagle w towarzystwie kogoś obcego.

- Nee. - Polly potrząsnęła głową. Susan także.

- Mnie się podoba tak, jak jest.

- Cieszycie się, bo nie ma kto z wami dyskutować. A gdybyśmy poznały kogoś naprawdę inteligentnego, kto faktycznie chodził na wszystkie poranne wykłady? To byłby dopiero kubeł zimnej wody.

Harriet wyniośle zadarła głowę i rozejrzała się wokół stołu.

- Po moim trupie!